

ERNESTO SABATO
O BOHATERACH
I GROBACH
WYDAWNICTWO
LITERACKIE
KRAKÓW

NOTATKA Początkowe badania wykazały, że dawny mirador *, który służył za sypialnię Aleksandry, był od wewnątrz zamknięty na klucz przez nią samą.

Potem (czas nie da się oczywiście dokładnie oznaczyć) Aleksandra zabiła ojca czterema strzałami z pistoletu kalibru 32. Następnie rozlała benzynę i wznieciła pożar.

Ta ponura tragedia, która ze względu na nazwisko jej bohaterów, pochodzących ze znanej starej rodziny argentyńskiej, poruszyła całe Buenos Aires, mogła zrazu uchodzić za wywołaną nagłym atakiem szału. Obecnie nowy element śledztwa zmienił ten nazbyt uproszczony pogląd. W mieszkaniu w Villa Devoto ** zajmowanym przez Fernanda Vidala pod przybranym nazwiskiem znaleziono mianowicie osobliwy *Raport o ślepcach*, który tenże Fernando Vidal gorączkowo kończył pisać w noc przed samą śmiercią.

Według posiadanych przez nas wiadomości jest to dzieło paranoika. Niemniej jednak pewne zawarte w nim szczegóły mogą rzucić światło na zbrodnię i obalić hipotezę szaleństwa. Wylania się natomiast nowe, bardziej jeszcze ponure przypuszczenie. Jeżeli jest ono słuszne, byłoby również zrozumiałe, dlaczego Aleksandra nie zabiła się jednym z dwóch pozostałych w pistolecie naboju, lecz wybrała śmierć w płomieniach, jak gdyby w sposób symboliczny pragnęła wymierzyć sobie surową karę.

(Fragment kroniki policyjnej z wychodzącego w Buenos Aires dziennika „La Hozón” z dnia 28 czerwca 1955 r.)

* Nadbudówka w kształcie wieżyczki lub belwederu w starych pałacach argentyńskich służących za wiejską rezydencję. (Przyp. aut.)

** Dzielnica Buenos Aires. (Przyp. tłum.)

CZĘŚĆ PIERWSZA
KRÓLEWNA I SMOK

I W pewną majową sobotę 1953 roku, dwa lata przed wypadkami w Barracas"*, pewien smukły i nieco przygarbiony młodzieniec przechadzał się po parku Lezama.

Usiadł na ławce w pobliżu posągu Cerery i pogrążył się w rozmyślaniach. „Jak łódź dryfująca po wielkim jeziorze, na pozór spokojnym, lecz w głębinie wzburzonym od prądów” —pomyślał Bruno, kiedy po śmierci Aleksandry Marcin opowiedział mu urywkowo i chaotycznie o swych przeżyciach związanych z tymi wypadkami. Nie tylko pomyślał, ale i zrozumiał go, i to jeszcze jak! Ów siedemnastoletni Marcin przypominał mu bowiem jego własną przeszłość, tamtego dalekiego Bruna, który jak przez mgłę ukazywał mu się niekiedy poprzez przeorany i spustoszony przez miłość, rozczarowania i śmierć obszar trzydziestu lat. Oczami wyobraźni widział go błakającego się smętnie po starym parku, kiedy zachodzące słońce barwi jeszcze skromne posągi, zadumane lwy z brązu i ścieżki usłane z wolna umierającymi liśćmi. O tej godzinie można usłyszeć najcichsze szmery, milkną za to potężniejsze dźwięki, podobnie jak przycicha głośnie rozmowa w pokoju, gdzie ktoś umiera; szemranie źródła, kroki oddalającego się człowieka, świergot ptaków układających się w gniazdach do snu. daleki płacz dziecka, wszystkie te dźwięki rozbrzmiewają wtedy dziwnie donośnie. O tej godzinie zachodzi tajemnicze zjawisko: zapada zmierzch. I oto wszystko przybiera inny wygląd: drzewa, ławki, emeryci, którzy tu i ówdzie rozpalają ogniska z suchych liści; odmienia się dźwięk syreny okrętowej w Południowym Basenie, inaczej rozbrzmiewają echa wielkiego miasta. A najbardziej odczuwa te chwile człowiek samotny, który o tej porze siedzi milcząco i zadumany na ławce w jednym z parków lub na jakimś placu w Buenos Aires. Marcin podniósł strzęp porzuconej gazety, z kształtu podobny do kraju- kraju, który nie istnieje, ale może istnieć. Znowu ujrzał w myślach umalowaną twarz matki i usłyszał jej słowa „Tylko przez moją nieostrożność znalazłeś się na świecie”. No tak. później zabrakło jej odwagi Gdyby nie to. byłby skończył w kloace.

* Dzielnica Buenos Aires. (Przyp. tłum.)

Matka-kloaka.

— Nagle poczułem — opowiadał Marcin — że ktoś stoi za moimi plecami i patrzy na mnie.

Siedział chwilę bez ruchu, czekając w napięciu i nasłuchując, jak nasłuchuje się w ciemnej sypialni podejrzanego szmeru. Odnosił już nieraz podobne wrażenie, że ktoś stoi za jego plecami, ale uczucie to było dokuczliwe, uważał bowiem (tłumaczył), że jest brzydki i śmieszny, i sama myśl, że ktoś go obserwuje, chociażby z tyłu, była dla niego przykra. Ale w tej chwili doznawał innego uczucia. Było to coś — zawahał się, jakby szukając odpowiedniego wyrażenia — coś niepokojącego, co przypominało owe podejrzone szmery, jakie słyszymy lub zdaje nam się, że słyszymy niekiedy w nocy.

Starał się patrzeć na posąg, lecz w rzeczywistości go nie -widział; spojrzenie miał zwrócone w siebie, jak to bywa, kiedy rozmyśla się o sprawach minionych i z niejasnych wspomnień pragnie się odbudować przeszłość, co wymaga dużego skupienia.

„Ktoś chce się ze mną porozumieć” — powiedział to, co właśnie w owej chwili pomyślał.

Wrażenie, że ktoś się w niego wpatruje, spotęgowało w nim jak zwykle niedobre samopoczucie: czuł się brzydki i niewydarzony. Nawet i to, że ma siedemnaście lat, wydało mu się śmieszne.

— ■ Ależ wcale tak nie jest — powie mu w dwa lata później dziewczyna, która w owej chwili stała za jego plecami. „Dwa lata to okres niezmiernie długi — pomyślał Bruno — bo nie mierzy się go na miesiące ani nawet na lata, ale, jak to jest właściwe tego rodzaju istotom, na katastrofy psychiczne, na dni zupełnej samotności i beznadziejnego smutku, na dni, co ciągną się w nieskończoność i rzucają upiorny cień na mury czasu”.

— Wcale tak nie jest — powie przypatrując mu się jak malarz swemu modelowi i jak zawsze zaciągając się przy tym nerwowo papierosem.

Starał się usilnie patrzeć na Cererę. Powiedział, że w owej chwili kierowały nim sprzeczne uczucia: strach i fascynacja; bał się odwrócić głowę, a jednocześnie czuł, że musi to zrobić. Pamiętał, że stał kiedyś nad brzegiem Czarnej Gardzieli, wpatrując się w ciemną czeluść pod nogami, i jakaś nieprzeparta siła

popychała go *do* skoku na drugi brzeg. Teraz działa się z nim coś podobnego: pchało go coś do skoku przez bezdenną przepaść „na drugi brzeg istnienia”. Ta sama nieświadoma, a nieprzeparta siła kazała mu odwrócić głowę.

Zaledwie ją ujrzał, natychmiast spuścił oczy i jeszcze raz wzniósł je na posąg. Odczuwał lęk przed ludźmi; uważał, że są nieobliczalni, a przede wszystkim przewrotni i zbrukani. Posągi natomiast dawały mu chwile spokojnego szczęścia, ich świat był uporządkowany, piękny i czysty.

Teraz jednak nie mógł widzieć posągu, gdyż w oczach pozostał mu nieuchwytny obraz dziewczyny, błękitna plama jej spódnicy, czarna plama jej długich, gładkich włosów, jej blada twarz, jej oczy w niego utkwione. Były to tylko plamy, pośpieszny szkic malarza, bez szczegółów, które określałyby jej wiek czy też urodę. Wiedział wszakże — podkreślił to słowo — że w życiu jego zaszło coś bardzo ważnego: zdecydował o tym nie tyle jej widok, ile alarmująca wieść, którą przekazała mu w milczeniu.

Nie umiał dokładnie określić, ile czasu minęło, ale pamiętał, że po chwili, która wydawała mu się niezmiernie długa, poczuł, że dziewczyna wstała i poszła sobie. Odprowadził ją wzrokiem: była wysokiego wzrostu, w lewej ręce niosła książkę, stawiała kroki z jakąś nerwową energią. Marcin bezwiednie podniósł się z ławki i podążył w tym samym kierunku. Lecz kiedy raptem uświadomił sobie, co czyni, i pomyślał, że dziewczyna może odwrócić głowę i ujrzeć go za sobą, zatrzymał się przerażony. Widział, że poszła ulicą Brasil pod górę, w kierunku Balcarce.

Potem znikła mu z oczu.

Wrócił powoli i usiadł na tej samej ławce.

— Ale, jak powiedziałem, nie byłem już tym małym człowiekiem co przedtem I nigdy już nim nie bede.

II

Mijały dni pełne niepokoju. Marcin wiedział, że ją spotka, był pewny, że dziewczyna wróci na to samo miejsce.

W tym czasie nie zajmował się niczym, rozmyślał tylko o nieznanym i codziennie po południu siady- 10

wał na tej samej ławce z tym samym mieszanym uczuciem obawy i nadziei.

Aż wreszcie któregoś dnia powiedział sobie, że to wszystko nie ma sensu, i postanowił pójść na Boca, zamiast ośmieszać się, jeszcze raz siadając na ławce w parku Lezama. Ale na ulicy admirała Browna nagle przystanął i zawrócił; zrazu wahał się i szedł powoli i nieśmiało, potem coraz szybciej, aż w końcu pobiegł, jakby w obawie, że spóźni się na umówione spotkanie.

Istotnie, była tam. Z daleka już widział, że idzie mu naprzeciw.

Marcin przystanął; serce biło mu jak młotem.

Dziewczyna podeszła bliżej i stanęła przed nim.

— Czekałam na ciebie — powiedziała.

Marcin poczuł, że nogi uginają się pod nim.

— Na mnie? — spytał czerwieniąc się.

Nie miał odwagi spojrzeć na nią, ale zauważył, że ma na sobie czarny sweter z wysokim odwiniętym kołnierzem i spódnicę również czarną, a może ciemno-granatową (nie mógł tego sprecyzować, ale nie miało to żadnego znaczenia). Wydało mu się, że ma czarne oczy.

— Czarne? — zdziwił się Bruno.

Nie, oczywiście, tak mu się tylko zdawało. Kiedy ją ujrzał po raz drugi, zauważył ze zdziwieniem, że jej oczy są ciemnozielone. Tamto pierwsze wrażenie spowodowało, być może, skąpe światło lub też jego nieśmiałość, która nie pozwoliła mu spojrzeć jej w twarz, a najprawdopodobniej podziały obie te przyczyny razem. Podczas drugiego spotkania mógł również zauważyć, że jej długie gładkie włosy, które wydały mu się ciemne, w rzeczywistości miały rudawy połysk. Później uzupełnił sobie jej obraz: miała grube wargi i usta duże może trochę zbyt duże, ze zmarszczkami w kącikach, co sprawiało wrażenie goryczy i pogardy.

„Mnie nie musi tłumaczyć, jaka jest Aleksandra — pomyślał Bruno. — Wiem dobrze, jak wygląda jej twarz, jakie ma zmarszczki w kącikach ust” Pomyślał też, że właśnie owe pogardliwe zmarszczki i Dewien rjonury blask jej oczu odróżniały twarz Aleksandry od twarzy Georginy którą psprawdę kochał Bo te^az już wiedział, że jedyną jego miłością była tamta, i kiedy -*-.•*•

sądził, że jest zakochany w Aleksandrze, była to matka Aleksandry, której doszukiwał się w córce, podobnie jak mnich średniowieczny usiłuje rozszyfrować pierwotny tekst i pod warstwą rekonstrukcji szuka słów startych i zastąpionych innymi. Jego własna głupota była przyczyną tragicznych nieporozumień między nim a Aleksandrą; czuł się czasem jak podróżny, który po wielu latach wraca do rodzinnego domu i nocą otwierając drzwi natrafia na ścianę. Jej twarz istotnie przypominała do złudzenia twarz Georginy: miała te same czarne włosy z rudawym połyskiem, te same szarozielone oczy, te same duże usta i mongolskie policzki, i tę samą matową, bladą cerę. A jednak była między nimi okrutna różnica, tym okrutniejsza, że prawie niedostrzegalna; tym głębsza i bardziej bolesna była też i jego omyłka. „Twarz ludzka bowiem — myślał Bruno — to nie tylko mięśnie, skóra i kości”. Twarz jest nieskończenie mniej materialna niż reszta ciała: o jej indywidualności stanowi spojrzenie, grymas ust, zmarszczki, cały zespół subtelnych cech, za pomocą których duch ujawnia się poprzez ciało. A raczej nie poprzez ciało, jak przez przezroczyste naczynie, ale w samym ciele.

Dlatego też, w chwili kiedy człowiek umiera, ciało jego przeobraża się nagle i staje się tak inne, że moglibyśmy powiedzieć: „Nie jest to ten sam człowiek”, choć składa się z tych samych kości i z tych samych mięśni co przed chwilą, przed owym tajemniczym momentem, kiedy dusza opuszcza ciało i pozostawia je martwe, jak dom opuszczony na zawsze przez mieszkańców, którzy w nim cierpieli i kochali. To nie ściany, podłoga i sufit tworzą atmosferę domu, ale żywe istoty, co w nim mieszkają: śmieją się w nim i płaczą, nienawidzą i kochają. Stworzenia, które nasycają dom czymś niematerialnym, ale istotnym, czymś tak mało materialnym jak uśmiech — choć czynią to za pośrednictwem przedmiotów fizycznych: sprzętów, książek i barw. Obrazy porozwieszane na ścianach, kolor drzwi i ram okiennych, deseń dywanów, kwiaty w wazonie, książki i instrumenty muzyczne choć są to przedmioty materialne (nodobnie jak cielesne są usta i oczy), niewątpliwie są manifestacją duszy, dusza bowiem nie może objawić się naszym, materialnym oczom inaczej jak poprzez materię, i to jest jej dziw-

nie subtelną właściwością. Z owej nieuniknionej cielesnej manifestacji duszy i jej niemożności istnienia w stanie czystym dałoby się może wywnioskować, że jest ona czymś zasadniczo różnym od rozumu, rozum bowiem, przebywając na olimpijskich wyżynach, w samotniczym i "wiecznotrwałym świecie czystych idei, czystego piękna i czystej prawdy, istnieje sam dla siebie i z pogardą spogląda z góry na nasze nędzne ciało. A może nawet i ze wstrętem, i z przerażeniem. Przerażenie, pogarda i wstręt odnoszą się nie do ciała jedynie, ale przede wszystkim do duszy, gdyż zwykle, nieomal zawsze, bierze ona udział w burzliwych przygodach ciała, a nawet sama bywa ich przyczyną. One to, dusza i ciało, są chyba nierozłącznymi współwiozawcami, są twórcami, a zarazem aktorami w owych plugawych i na ogół okrutnych przygodach ludzkich.

— Co mówisz? —■ spytał Bruno.

— „Przyszłam zobaczyć się z tobą” — powiedział Marcin, powtarzając słowa Aleksandry.

Usiadła na trawniku. Marcin okazał widocznie zdumienie, bo odezwała się po chwili:

— Czy nie wierzysz w telepatię? To by mnie dziwiło, bo wyglądasz na doskonałe medium. Kiedy ujrzałam cię wtedy na ławce, wiedziałam od razu, że wrócisz. No i wróciłeś. Byłam też pewna, że mnie pamiętasz.

Marcin milczał. Ileż to razy powtórzą się podobne sceny: ona odgaduje jego myśli, a on słucha jej w milczeniu! W tej chwili miał wrażenie, że z pewnością ją zna; bywa tak czasem, że ktoś wydaje się nam znajomy z jakiegoś poprzedniego życia; wrażenie to jest tak podobne do rzeczywistości, jak sen do zdarzeń z dnia poprzedniego. Wiele jeszcze wody upłynie, zanim Marcin pojmie, dlaczego Aleksandra wydała mu się jakby znajoma, i Bruno znowu uśmiechnął się do swoich myśli.

Marcin spoglądał na nią ołsniony: ciemne włosy przy białej matowej cerze, wysoka, smukła postać; było w niej coś z modelki z salonu mód, a jednocześnie powaga i surowość niespotykana u kobiet z tej sfery. Niezmiernie rzadko, prawie nigdy nie ujrzy w niej śladów łagodności uchodzącej za cechę charakterystyczną dla kobiety, a zwłaszcza dla matki. Uśmiech Aleksandry był twardy i sarkastyczny, śmiech gwał-

towny jak wszystkie jej odruchy i w ogóle cały jej charakter.

„Z trudem nauczyłam się śmiać — powiedziała mu kiedyś — ale nigdy nie śmieję się z całego serca”.

— A jednak — ciągnął Marcin patrząc na Brunę z dumą, jaką odczuwa zakochany, widząc, że inni również zachwycają się urodą jego wybranki — a jednak przyzna pan chyba, że wszyscy, mężczyźni, a nawet kobiety, oglądali się za nią na ulicy.

Bruno skinął głową uśmiechając się w duchu wobec tak naiwnego przejawu dumy; istotnie, musiał przyznać, że łak było, gdyż wszędzie, gdziekolwiek Aleksandra się pojawiała, zwracała na siebie uwagę zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Z różnych co prawda powodów; na kobiety bowiem patrzeć nie mogła, nie cierpiała ich, uważała je za godny pogardy gatunek człowieka i twierdziła, że *może* się przyjaźnić tylko z nielicznymi mężczyznami; kobiety ze swojej strony odpłacały jej również nienawiścią, co u Aleksandry wywoływało jedynie wzgardliwą obojętność. Nienawiść ich jednak zmieszana była niewątpliwie z ukrytym podziwem dla jej urody, którą Marcin nazywał „egzotyczną”, a która była po prostu pewną niecodzienną odmianą typu często spotykanego w krajach Południowej Ameryki, gdzie kolor skóry i rysy białego człowieka łączą się z mongolskimi policzkami i oczyma Indian. Te oczy głębokie i namiętne, te duże wzgardliwe usta, ta mieszanina sprzecznych uczuć i namiętności, które można było wyczytać z jej rysów, wszystko to przydawało jej twarzy czegoś, czego nie można było zapomnieć.

Marcin powiedział też, że gdyby nawet nic ich nie łączyło, gdyby widział ją jeden jedyny raz lub tylko raz z nią rozmawiał o jakiejś błahostce, do końca życia nie mógłby zapomnieć jej twarzy. Bruno przyznał w duchu, że mogło tak być istotnie, gdyż Aleksandra miała coś więcej niż tylko urodę. Chyba nawet wcale nie była taka piękna. Była inna. Mężczyzn przyciągała jak magnes, co można było zauważyć towarzysząc jej na ulicy. Wyraz jej twarzy, roztargniony i zarazem skupiony, jak gdyby o czymś myślała lub patrzyła w siebie, sprawiał, że ktokolwiek ją spotkał, musiał zadać sobie pytanie, kim jest ta kobieta, czego szuka, o czym tak myśli.

Owo pierwsze spotkanie było dla Marcina decydujące. Aż do tej chwili uważał kobiety bądź to za bohaterkie i czyste dziewice z baśni, bądź za istoty powierzchnowe i frywolne, za gadatliwe plotkarki, fałszywe i egoistyczne („Jak jego własna matka” — pomyślał Bruno, że tak myślał Marcin). I oto spotkał nagle kobietę, która pod żadnym „względem nie odpowiadała jego pojęciom. Długo niepokoiła go ta nowość, nie przypuszczał, że może istnieć kobieta, która, jak mu się zdawało, posiada niektóre cnoty owego bohaterskiego ideału dziewicy z książek dla młodzieży, a jednocześnie przejawia zmysłowość, właściwą, jak sądził, tylko kobietom, które potępiał. I nawet później, już po śmierci Aleksandry, pomimo że łączyła ich kiedyś tak bliska zażyłość, nie zdołał przeniknąć jej tajemnicy i często zapytywał sam siebie, co byłby uczynił podczas tamtego drugiego spotkania, jeśliby odgadł, że Aleksandra jest taka, jaką się potem okazała. Czy byłby uciekł?

— Istotnie, co byłbyś uczynił? — zapytał Bruno. Marcin spojrział na niego uważnie, chwilę pomilczał i rzeki:

— Tyle przez nią wycierpiałem, że często byłem bliski samobójstwa. A jednak mimo wszystko, choćbym z góry wiedział, jaki będzie koniec, byłbym przy mej pozostał.

„Z pewnością — pomyślał Bruno. — Każdy inny mężczyzna byłby tak samo postąpił”.

— Urzekła mnie jak mroczna przepaść — opowiadał Marcin. — I jeżeli doprowadzała mnie do rozpacz, to właśnie dlatego, że ją kochałem i że była mi potrzebna. Czyż ktoś obojętny może doprowadzić nas do rozpacz?

Zadumał się, a potem wrócił do swej obsesji: starał się przywołać na pamięć chwile z nią spędzone, podobnie jak odczytuje się stary, od dawna przechowywany list miłosny, chociaż ukochana istota, która go pisała, odeszła już na zawsze; i podobnie jak w liście wspomnienia zestarzały się i uwiedły, całe zdania pogubiły się w zakamarkach duszy, atrament przybladł, a wraz z nim piękne, cudotwórcze słowa. Trzeba wtedy przymuszać pamięć, jak przymusza się oczy, każąc im wczytywać się w tekst zmięty i pozółkły. Było tak: zerwała jakąś trawkę (zapamiętał to 15

dokładnie) i żując łyżkę spytała go, gdzie mieszka. A później spytała, z kim mieszka. Odpowiedział, że z ojcem. Po chwili wahania dodał, że mieszka także z matką.

— Czym zajmuje się twój ojciec? — spytała Aleksandra, na co nie odpowiedział natychmiast; dopiero po chwili rzekł, że ojciec jest malarzem. Ale przy słowie „malarz” głos jego odrobinę zadrżał, jak gdyby się załamał, przeraził się więc, że zwróci to jej uwagę, jak zwracają uwagę kroki człowieka, który chodzi po szklanym dachu. Istotnie, Aleksandra musiała coś zauważyć, gdyż nachyliła się ku niemu i spojrzała nań badawczo.

— Zaczerwieniłeś się — rzekła.

— Ja się zaczerwieniłem? — spytał Marcin.

I, jak to zwykle bywa w takich okolicznościach, zaczerwienił się jeszcze bardziej.

— Co ci się stało? — nalegała z trawką w ustach.

— Nic, cóż by mi się miało stać — odpowiedział.

Chwilę milczeli oboje, po czym Aleksandra znowu położyła się na wznak i gryzła łyżkę, Marcin zaś przyglądał się bitwie żuków i rozważał, że właściwie on nie powinien wstydzić się niepowodzeń swego ojca.

Zawyla syrena okrętowa z Południowego Basenu i Marcin pomyślał: „Coral Sea, Wyspy Markizy”, ale powiedział:

— To rzadkie imię — Aleksandra.

•—■ A twoja matka? ■— spytała.

Marcin usiadł i zaczął zrywać ździebełka trawy.

Napotkał kamyk i udał, że go bada jak geolog.

— Nie słyszysz, co mówię?

— Słyszę.

— Pytałam cię o matkę.

— Moja matka — powiedział cicho — to kloaka.

Aleksandra uniosła się i oparta na łokciu przyglądała mu się uważnie. Marcin zacisnął szczęki i milcząc wpatrywał się badawczo w kamyk. W myślach potarzał sobie: „Kloaka, matka-kloaka”.

— Zawsze byłem zawadą. Od urodzenia — powiedział w końcu.

Miał uczucie, że duszę rozsadza mu cuchnący, trujący gaz pod ciśnieniem setek atmosfer. Z roku na rok jego dusza nabrzmiewa coraz bardziej, nie mieści

się już w ciele, lada chwila pęknie i wyrzuci z siebie strumień nieczystości.

— Wciąż woła: dlaczego byłam tak nieostrożna! „Chyba wszystek brud matki stłoczył się pod ciśnieniem w mojej duszy” — pomyślał, a Aleksandra wpatrywała się w niego oparta na łokciu. Słowa: płód, kąpiel, kremy, brzuch, poronienie unosiły się w jego umyśle jak lepki mdlący osad na wodzie stojącej i zgniłej. Wtedy, jakby rozmawiając sam z sobą, opowiedział jej, iż przez długi czas był przekonany, że matka nie karmiła go piersią z powodu braku mleka, aż pewnego dnia wyjaśniła mu z krzykiem, że po prostu nie chciała zniekształcać swych piersi. Przyznała się też, że robiła, co tylko mogła, ażeby poronić, z wyjątkiem skrobanki, gdyż nienawidziła cierpienia, a uwielbiała cukierki i słodczyce, tygodniki radiowe i lekką muzykę. Choć lubiła i muzykę poważną, walce wiedeńskie i księcia Kalendera. „Ale niestety — mówiła — jego już nie ma”. Tak więc mógł sobie wyobrazić, z jaką radością go w końcu urodziła, kiedy nie pomogło kilka miesięcy skakania przez sznur, jak to czynią bokserzy, ani bicie po brzuchu, z którego to powodu (tak wyjaśniła mu z krzykiem jego matka) on urodził się lekki jak kurczątka, i prawdziwy cud, że nie musiała go wyrzucić do kloaki.

Zamilkł, jeszcze raz obejrzał kamyk i cisnął go daleko od siebie.

— Zapewne dlatego, ilekroć o niej myślę, kojarzy mi się zawsze ze słowem „kloaka” — powiedział w końcu i parsknął tym swoim dziwnym śmiechem. Aleksandra spojrzała na niego zdumiona; zdziwiło ją, że Marcin ma jeszcze ochotę do śmiechu. Lecz gdy ujrzała w jego oczach łzy, uświadomiła sobie, że to, co usłyszała, nie było śmiechem, ale (jak twierdził Bruno) owym osobliwym dźwiękiem, który wydają niektórzy ludzie w bardzo niezwykłych sytuacjach i który — prawdopodobnie z powodu niedoskonałości mowy — można nazwać płaczem lub też śmiechem; jest on bowiem rezultatem potwornej kombinacji zdarzeń na tyle smutnych, że mogą wywoływać płacz (nawet nieutulony) i na tyle śmiesznych, że chciałoby się ten płacz przemienić w śmiech. Prerażające jest okazywanie tych dwojakich uczuć, 17

najstraszniejszy to obraz człowieka, a najtrudniej go też wtedy pocieszyć, gdyż przyczyna jest zbyt zawiślana.

Świadek takiej sceny doznaje podobnie sprzecznych uczuć, jakie miewa się czasem, na widok garbatych lub kulawych.

Cierpienia przytłaczały Marcina od najwcześniejszych lat; pod ich wciąż narastającym ciężarem ponad siły (a więc groteskowym) kulił swe dziecięce plecy; czuł, że musi ostrożnie się poruszać, stawiać kroki jak linoskoczek, który po drucie ma przejść nad przepaścią, dźwigając przy tym na plecach cuchnący balast, wózek pełen śmieci i ekskrementów, a także krzykliwych małp i małych rozwydrzonych pajacyków, które z chichotem miotają na niego obelgi i tam, za jego plecami, mamroczą ohydne przekleństwa, podczas gdy on całą swą uwagę skupia na tym, żeby nie runąć w przepaść. Widowisko to (jego zdaniem) powinno wzbudzać uciechę, tak jest tragicomiczne; dlatego też uważał, że nie ma prawa wypłakać się po prostu, nawet przed Aleksandrą, przed tą istotą, na którą czekał chyba od lat, a sądził, że jest jego obowiązkiem, zawodowym niemal obowiązkiem pajaca, któremu przydarzyło się wielkie nieszczęście, płacz ten przemienić w grymas śmiechu. W miarę jednak jak odbywał przed Aleksandrą swą niedługą spowiedź, czuł, że uwalnia się od ciężaru, i pomyślał, że w końcu mógłby swój śmieszny grymas obrócić w rzewny, niepowstrzymany płacz, że mógłby ukryć głowę na jej łonie i dostać się wreszcie na drugi brzeg przepaści.

I byłby to zrobił, tak pragnął to zrobić, mój Boże, ale nie zrobił tego, a tylko schylił głowę na piersi i odwrócił się, aby ukryć łzy.

III Kiedy jednak Marcin po latach rozmawiał z Brunem o tym spotkaniu, pozostały już tylko, niby fragmenty gmachu, pojedyncze zdania, wspomnienia jakichś słów, jakiejś pieszczoty, melancholijny dźwięk syreny tamtego nieznanego statku; pamięć jego zatrzymała jednak — być może na skutek zdziwienia, jakie wtedy odczuł — słowa, które w czasie tego spotkania wypowiedziała Aleksandra:

— Ty i ja mamy coś wspólnego, łączy nas coś bardzo poważnego.

Słowa te zaskoczyły Marcina; cóż on może mieć wspólnego z tak cudowną istotą?

W końcu Aleksandra oświadczyła, że musi już odejść, ale że kiedy indziej opowie mu mnóstwo rzeczy i — co go najbardziej uderzyło — że koniecznie musi mu je opowiedzieć.

Przy pożegnaniu jeszcze raz spojrzała na niego jak lekarz na pacjenta i dorzuciła kilka słów, które Marcin na zawsze zachował w pamięci:

—■ Co prawda uważam, że nie powinnam się już nigdy więcej z tobą spotkać. Ale spotkamy się, bo jesteś mi potrzebny.

Sama myśl, sama tylko możliwość, że mógłby już nigdy więcej nie ujrzeć tej dziewczyny, zasmuciła go. Nieważne, że Aleksandra z jakiegoś powodu może nie życzyć sobie tego spotkania. On o niczym innym nie marzył.

— Zawsze, kiedy tylko zechcesz — powiedział żarliwie.

Aleksandra uśmiechnęła się.

—• To dobrze, bo tak się składa, że koniecznie muszę cię widywać.

Bruno pomyślał, że wiele jeszcze lat minie, zanim Marcin zrozumie, co mogły znaczyć te niejasne słowa. Pomyślał także, że gdyby Marcin był naówczas starszy i bardziej doświadczony, słowa takie w ustach osiemnastoletniej dziewczyny byłyby go zdziwiły.

U Aleksandry, co prawda, słowa te brzmiały naturalnie, była ona bowiem dojrzała od urodzenia lub od wczesnego dzieciństwa, przynajmniej pod pewnym względem; pod innymi natomiast sprawiała wrażenie, że nigdy nie będzie dojrzała, niczym dziecko, które bawi się lalkami i jednocześnie wygłasza jak dorosły zdumiewające mądrości; przedwczesną dojrzałość przyniosły jej zapewne tragiczne wydarzenia, które pchnęły ją w ramiona śmierci, zanim miała czas pozbyć się cech dzieciństwa i młodości.

W chwilę po rozstaniu, kiedy już oddalili się o kilka kroków, Marcin przypomniał czy też uświadomił sobie, że nie umówili się na następne spotkanie. Zawrócił więc i podbiegł do Aleksandry.

— Bądź spokojny — odrzekła. — Zawsze będę wiedziała, gdzie cię mogę znaleźć.
Nie zastanawiając się nad tymi dziwnymi słowami, a zbyt nieśmiały, by nalegać, Marcin poszedł swoją drogą.

IV Od czasu tego spotkania codziennie oczekiwał jej w parku. Mijały tygodnie i miesiące, lecz Aleksandra nie pojawiła się; znikła, jakby ją ziemia pochłonięła.

„Co się z nią stało? — myślał zrozpaczony Marcin. — Dlaczego nie przychodzi? Czyżby zachorowała?” Nie znał nazwiska dziewczyny i robił sobie gorzkie wyrzuty, że nie zapytał jej, jak się nazywa. Nic zgoła o niej nie wiedział. Niepojęta głupota. Zaczął już zastanawiać się, czy cała ta historia nie była halucynacją albo snem. Nieraz przecież zasypiał na ławce w parku Lezama. Tak, był to chyba sen, tak wyrażysty, że mógł w końcu uwierzyć, iż wszystko to działa się naprawdę. Ale świadomość, że spotkał się z nią dwukrotnie, kazała mu to przypuszczenie odrzucić. Chociaż *nie*: i to mogło być snem, obydwa spotkania mogły mu się przyśnić w tym samym śnie. Nie zachował po niej żadnego przedmiotu, który by go uwolnił od wątpliwości, ale w końcu przyjął, że było to prawdziwe zdarzenie i że *on* sam jest po prostu głupcem, za jakiego się zresztą zawsze uważał. Dniami i nocami rozmyślał o nieznanym i cierpiał straszliwie. Starał się narysować ją z pamięci, ale nie udawało mu się uchwycić podobieństwa, gdyż w czasie spotkań zaledwie kilka razy ośmielił się spojrzeć jej w twarz; rysunki jego były niepodobne i martwe, przypominały liczne, niegdyś rysowane portrety wymarzonych dziewczyn z baśni, w których się kochał. Ale choć jego rysunki były mdłe i nijakie, wyczuwał doskonale, że spotkał się z kimś bardzo mocnym, o bardzo określonych rysach, z kimś nieszczęśliwym i samotnym tak jak on. A jednak jej twarz gubiła się w zwiewnej mgle — był to jakby seans spirytystyczny, kiedy zmaterializowana zjawą nagle daje o sobie znać wyraźnym stukaniem w stolik.

Kiedy utracił już niemal nadzieję, odnajdywał w pamięci słowa Aleksandry, którymi *go* żegnała: 20

„Uważam, że nie powinnam się już nigdy więcej z tobą spotkać. Ale spotkamy się”. I tamte: „Bądź spokojny. Zawsze będę wiedziała, gdzie cię mogę znaleźć”.

„Te słowa ■ — myślał Bruno — uszczęśliwiały Marcina, bo nie zauważył, przynajmniej wówczas, zawartego w nich egoizmu”.

— Była to niezwykła dziewczyna — powiedział Marcin, tak jak wówczas myślał, dlaczego więc istota tak cudowna miałaby chcieć się z nim spotkać już nazajutrz albo za tydzień? Może minąć kilka tygodni, a nawet miesięcy, zanim zechce go ujrzeć.

Takie to rozważania podtrzymywały go na duchu. Kiedy indziej jednak, w chwilach depresji, powiedział sobie: „Nie ujrzę jej już, ona umarła, była przynębiona, może się zabiła”. Pamiętał o swoich własnych zamiarach samobójczych. Czyż Aleksandra nie mogła przeżywać czegoś podobnego? Powiedziała -mu przecież najwyraźniej, że są do siebie podobni, że łączy ich coś bardzo poważnego. Czyżby podobieństwem tym miała być właśnie wspólna im obojgu mania samobójcza? Z kolei jednak uspokajał się: nawet gdyby nosiła się z podobnym zamiarem, byłaby go przedtem odszukała, a jeśli tego nie uczyniła, było to z jej strony jakimś niepojętym wiarołomstwem.

Ileż to dni przesiedział zrozpaczony na ławce w parku Lezama! Jesień minęła i nadeszła zima. Skończyła się zima, przyszła wiosna, zrazu chłodna i płochliwa, pokazywała się na chwilę, jakby chciała ujrzeć, co się dzieje, potem, coraz bardziej zdecydowana wracała na dłużej; ożywcze ciepłe soki zaczęły z wolna krążyć w gałęziach drzew, rozwijały się pączki, aż po kilku tygodniach zima na dobre wyniosła się z parku Lezama w inne, dalekie strony.

Nadeszły pierwsze upalne dni grudnia. Żakarandy i akacje w parku Lezama pokryły się kolorowym kwieciem.

A później kwiaty powiędły, żółtkłe liście zaczęły schnąć i opadać unoszone pierwszym jesiennym wiatrem.

— I wtedy — rzekł Marcin — pożegnałem się z nadzieją, że ja i ona kiedyś spotkam.

V „Nadzieja, że ją spotka" (rozmyślał Bruno z melancholijną ironią). Czyż wszystkie ludzkie nadzieje nie są podobnie śmieszne? Tak już jest na tym świecie, że wciąż żywimy nadzieje, których spełnienie przynosi nam tylko rozczarowanie i gorycz; dlatego też pesymiści rekrutują się spośród ludzi niegdyś pełnych nadziei: ażeby bowiem patrzeć czarno na świat, trzeba wprzód wierzyć w ten świat i w jego możliwości. Rzecz dziwna i paradoksalna na pozór: pesymiści, ludzie rozczarowani, nie są stale i absolutnie pozbawieni nadziei; skłonni są raczej do pewnego stopnia wskrziesić ją w każdej chwili, lecz wskutek pewnego rodzaju metafizycznego wstydu ukrywają to skrętnie pod czarną maską zgorzknienia, jak gdyby pesymizm, chcąc zachować swoją moc i aktywność, wymagał od czasu do czasu nowych brutalnych rozczarowań.

A sam Marcin (rozmyślał Bruno patrząc na siedzącego obok młodzieńca), sam Marcin, pesymista *in spe*, jak przystoi wszelkiej istocie niewinnej i gotowej spodziewać się Wielkich Rzeczy po ludziach w szczególności i po Ludzkości w ogóle, czyż nie zamierzał popełnić samobójstwa z powodu matki, która była kloaką? Czyż nie dowodziło to, że spodziewał się po tej kobiecie czegoś innego, czegoś wspaniałego zapewne? I (co dziwniejsze) czy po tak wielkim rozczarowaniu nie zaczął, spotkawszy Aleksandrę, na nowo wierzyć w kobietę?

Cóż, siedzi tu teraz obok niego ten bezradny chłopiec, jeden z tak licznych w tym mieście, roi się od nich w Buenos Aires jak zresztą w każdym gigantycznym bałaganie.

Na pierwszy rzut oka nie rozpoznaje się ich co prawda; często nie wyglądają na bezradnych, choćby dlatego, że nie chcą za takich uchodzić. I na odwrót, mnóstwo ludzi udaje bezradnych, co czyni problem jeszcze bardziej zawikłanym i sprawia, że w końcu przestajemy wierzyć, iż istnieją ludzie naprawdę bezradni.

Widząc bowiem kogoś, kto nie posiada nóg albo rąk, przyjmujemy oczywiście, iż jest to człowiek bezradny. W tej samej chwili człowiek ten traci po części swą bezradność, gdyż zauważywszy go. zaczęliśmy 22

mu współczuć, kupujemy u niego niepotrzebne grzebienie lub kolorowe zdjęcia Carlosa Gardela *.

Z tą chwilą ów kaleka bez nóg czy bez rąk traci też swą przynależność do klasy całkowicie bezradnych, do jakiej zaliczaliśmy go, a nawet zaczynamy odczuwać do niego pewną nieuświadomioną niechęć, zbyt wiele bowiem jest ludzi absolutnie bezradnych, którzy nie posiadają odwagi owych sprzedawców kolorowych zdjęć i grzebieni, graniczącej często z bezczelnością, i znoszą w milczeniu i z godnością swój prawdziwie nieszczęsny los.

Ot, na przykład ten samotny człowiek, który siedzi zadumany na ławce w miejskim ogrodzie, nie wchodzi się w rozmowy, nikogo o nic nie prosi; tamta staruszka (tak natarczywie bezradna, że aż przestaje wzbudzać litość, podobnie jak przestaje ją wzbudzać sprzedawca grzebieni), ów stary człowiek z laską emeryta, dla którego świat jest wspomnieniem; wszyscy ci staruszkowie, co karmią gołębie lub przyglądają się chytrym wróblom i wszelakiemu ptactwu gnieźdzącemu się wśród gałęzi drzew, usiłują być może na swój sposób rozwiązać te same problemy, nad którymi głowią się najwięksi mędracy: jaki jest ogólny sens istnienia, dlaczego i po co istnieją małżeństwa, okręty wojenne, dzieci, walki polityczne, pieniądze, królowie i wyścigi konne lub samochodowe. W tym świecie, którego dominującymi cechami są wzajemna niezależność i hierarchia, bankier obmyśla największą na terenie Rio de la Pląta operację dewizową (która przy sposobności zrujnuje Konsorcjum X lub Wielką Spółkę Akcyjną Y), a jednocześnie mała ptaszyna o sto kroków od Wszechpotężnego Banku skacze po trawniku parku Colón, szukając słomki do gniazdka, ziarenka owsa lub pszenicy, robaczka, którym by mogła pożywić siebie i swoje pisklęta. Tymczasem w innym środowisku, o jeszcze mniejszym znaczeniu i jeszcze bardziej obcym (już nie tylko Wielkiemu Bankierowi, ale i skromnym emerytom), stworzenia drobniusińkie i anonimowe żyją w ukryciu życiem niezależnym, często ogromnie aktywnym: robaki, mrówki, nie tylko te wielkie czarne, ale i te mniejsze czer-

* Słynny pieśniarz argentyński, odtwórca tang, zmarły przed wolną, dla którego biedota Buenos Aires żywiła kult niemal religijny. (Przyp. aut.)

wone, a także inne, jeszcze mniejsze, prawie niedostrzegalne, i mnóstwo innych niepozornych stworzonek o rozmaitych barwach i bardzo różnych zwyczajach. Wszystkie te stworzenia żyją w rozmaitych światach, wzajemnie sobie obcych, z wyjątkiem okresów Wielkich Katastrof, kiedy to Ludzie uzbrojeni w Rozpylacze i Łopaty podejmują Walkę z Mrówkami (nawiasem mówiąc bezskuteczną, gdyż zawsze kończy się tryumfem mrówek) lub kiedy Bankierzy rozpętują Wojnę o Naftę; wtedy to nieskończone mnóstwo stworzeń, które dotąd żyły na rozległej zielonej łące lub w wygodnych podziemiach parku, ginie od bomb gazowych, podczas kiedy inne, szczęśliwsze, należące do zawsze zwycięskiego gatunku Robaków, rozmnażają się niesłychanie szybko, a o parę metrów nad nimi Dostawcy i Fabrykanci Broni przeżywają czasy rozkwitu.

To prawdziwy cud, że z wyjątkiem owych okresów kataklizmów i zamieszania tak wiele gatunków stworzeń może rodzić się, rozwijać i ginąć w tych samych regionach świata, nie znając się wzajemnie, nie żyjąc dla siebie szacunku ani nienawiści; niczym liczne rozmowy telefoniczne, które podobno można przesyłać jednym kablem, a które dzięki przemyślnym urządzeniom nie mieszają się z sobą i nie ulegają zniekształceniu.

Tak czy inaczej (rozmyślał Bruno) na pierwszy planie pozostaje człowiek. Ot, na przykład ten starzec, który usiadł w parku na ławce i wpatrzony w ziemię godzinami będzie studiował pracowitą ruchliwość tysięcy drobnych stworzeń. Będzie się przyglądał rozmaitym gatunkom mrówek, będzie się zastanawiał, jaki ciężar mogą udźwignąć, w jaki sposób dwie albo trzy mrówki współpracują przy cięższych robotach itd. Patyczkiem albo gałązką — nietrudno ją znaleźć na ścieżce — dla zabawy wytraci mrówkę z jej żmudnej drogi, czasem nawet uda mu się otumanić biedną mrówkę tak dalece, że wlezie na gałązkę i będzie wspinać się po niej do samego szczytu, a później, wykonawszy ostrożnie parę akrobatycznych ewolucji, zejdzie z powrotem na dół. Zabawa ta potrwa dopóty, dopóki samotny człowiek nie zmęczy się i z litości albo raczej ze znużenia nie odrzuci gałązki, z czego mrówka skwapliwie skorzysta

i pośpieszy odszukać swe towarzyszek; z pierwszymi, które napotka, przeprowadzi krótką a ożywioną rozmowę, aby usprawiedliwić swe spóźnienie albo dowiedzieć się o Ogólnym Toku Robót podczas jej nieobecności, i natychmiast podejmie pracę włączając się w długi, zwarty szereg egipskich niewolników.

Tymczasem samotny zadumany człowiek powróci do swych medytacji, lecz na niczym nie skupi rozpierchłych myśli: to spojrzy na drzewo, to znów na dziecko bawiące się opodał; dzięki temu dziecku przypomni sobie dawne niewiarygodne dni spędzone w Selva Negra lub na stromej uliczce w Pontevedra; zamglone oczy, jak to bywa u starców, zajdą łzami, nie wiadomo czy z przyczyn wyłącznie fizjologicznych, czy też stanie się to na skutek wspomnień, tęsknoty, doznanego zawodu albo myśli o śmierci, a może też owej nieokreślonej a nie dającej się opanować melancholii, jaką wzbudza w nas słowo KONIEC po przeczytaniu pasjonującej powieści, smutnej i tajemniczej. Tematem tej powieści mogłaby być historia każdego z nas, czyż bowiem istnieje człowiek, którego życie byłoby wolne od smutku i tajemnicy?

Ale nie sami tylko zadumani starcy i emeryci prześiadują w parku na ławkach.

Przychodzą tam niekiedy ludzie w sile wieku, trzydziesto- lub czterdziestoletni. Ciekawe i godne zastanowienia (myślał Bruno). że im młodszy, tym bardziej są patetyczni i bezradni. Nie ma bowiem nic bardziej smutnego niż widok zadł'anego młodzieńca, siedzącego w parku na ławce i obcego całemu światu. Czasami ten młody człowiek jest marynarzem, kiedy indziej emigrantem, który pragnie wrócić do swej ojczyzny, a nie może; często bywa nim mężczyzna porzucony przez ukochaną; nierzadko są to istoty niezdolne do życia lub takie, co opuściły na zawsze swój dom i rozmyślają o swej samotności i o dniu jutrzejszym. A zdarza się, że jest to młodzieniaszek jak na przykład Marcin, który ze zgrozą zaczyna pojmować, że ideał nie istnieje.

Może to być również człowiek, który utracił syna i powróciwszy samotny z cmentarza odczuł, że jego życie pozbawione zostało sensu; kiedy inni śmieją się i są szczęśliwi (choćby na krótko) i cudze dzieci bawią się w parku (widzi je tuż obok siebie), -jego wła-

sne dziecko leży już w ziemi, w trumience dopasowanej do drobnego ciała, które przestało w końcu zmagać się z nazbyt wielkim i groźnym nieprzyjacielem. Zadumany ten człowiek zastanawia się nie po raz pierwszy może nad ogólnym sensem istnienia, gdyż nie potrafi zrozumieć, dlaczego jego dziecko musiało umrzeć w męczarniach, dlaczego to małe serce miało cierpieniem ponad siły przypłacić cudze dawne przewinienia.

Oto jest bezradny człowiek! Rzecz osobliwa, nie jest on może ubogi, kto wie, czy nie jest tym samym bogatym Wielkim Bankierem, który obmyślał wspaniałą operację dewizową i o którym mówiliśmy przedtem pogardliwie i z ironią. Pogarda i ironia (łatwo to teraz zrozumieć) jak zwykle okazały się przesadne i w ostatecznym rachunku niesprawiedliwe. Nie istnieje bowiem człowiek, który by w najwyższej instancji zasługiwał na pogardę i ironię; wcześniej czy później, czy jest bogaty czy ubogi, spadną na niego ciosy, śmierć syna lub braci, jego własna starość i własna samotność przed śmiercią.

Będzie on w końcu bardziej bezradny niż ktokolwiek inny; jak żołnierz zaskoczony bez swej broni jest bardziej bezbronny niż spokojny szary człeczyna, co nigdy jej nie posiadał, toteż nigdy nie odczuje jej braku.

VI To pewne, że od jedenastu lat nie wchodził do pokoi rodziców, a zwłaszcza do saloniku, który był czymś w rodzaju sanktuarium matki: po wyjściu z kąpeli przesiadywała tam całymi godzinami słuchając radia i czyniła przygotowania do wyjścia.

A ojciec? Marcin nie znał jego zwyczajów w ostatnich latach, wiedział tylko, że siedzi zamknięty w swojej pracowni; żeby dostać się do łazienki, nie musi koniecznie przechodzić przez salonik, ale może. Czyżby bawiła ją myśl, że mąż ujrzy ją w takiej sytuacji? Czy jej zażarta nienawiść pragnie go do tego stopnia upokorzyć?

U niej wszystko jest możliwe.

Kiedy zamilkło radio, przypuszczał, że chyba wyszła z domu <?dvż bvło nie do pomyslenia, żeby przesiadywała w saloniku w zupełnej ciszy.

W półmroku miota się na tapczanie czworonogie monstrum.

Przeszło godzinę błąkał się Marcin jak lunatyk po ulicach, potem wrócił do swego pokoju i położył się na łóżku. Spoglądał na sufit, po czym skierował spojrzenie na ściany i zatrzymał je na ilustracji „Billiken”¹ *, która przypięta do muru wisiała od czasów jego dzieciństwa: na zakolu rzeki Salado Belgrano zaprzysięga swoich żołnierzy na błękitny sztandar **.

„Niepokalany sztandar” — pomyślał ***.

Równocześnie przyszły mu na myśl inne słowa, wokół których obracały się jego marzenia: chłód, czystość, śnieg, samotność, Patagonia.

Myslał o okręcie, o pociągu, lecz skąd wziąć pieniądze?

Przypomniał sobie nagle wielką ciężarówkę, która stała w garażu opodal stacji Soła, a która jak magnes przykuła jego uwagę napisem: TRANSPORT PATAGONSKI. A nuż potrzebny im jest robotnik czy pomocnik, czy ktokolwiek bądź?

— Zrobi się, czemu nie — powiedział Bucich, trzymając w ustach zgaszonego papierosa.

— Mam osiemdziesiąt trzy pesos — powiedział Marcin.

— Nie gadaj głupstw — rzekł Bucich zdejmując zatłuszczony kombinezon.

Wyglądał jak cyrkowy olbrzym, tyle że był lekko przygarbiony i włosy miał przyprószone siwizną. Olbrzym z twarzą naiwnego dziecka. Marcin obejrzał ciężarówkę; z boku wielkimi literami napisane było: TRANSPORT PATAGONSKI, z tyłu zaś ktoś nagryzmoilił: LUXTORPEDA.

— Idziemy — rzekł Bucich wciąż ze zgaszonym papierosem w ustach.

* „Billiken” to nazwa czasopisma dla dzieci. (Przyp. aut.)

** Argentyńcy wyswobodzili się spod panowania Hiszpanii w 1810 r. Generał Manuel Belgrano (1770—1820) był jednym z pierwszych dowódców oswoobodzicielskiej armii. To on zaprojektował i zaprzysięgł pierwszy sztandar narodowy, kiedy miał się przeprawiać ze swoim małym oddziałem przez rzekę Salado, by walczyć przy północnej granicy kraju z wojskami hiszpańskimi. (Przyp. aut.)

*** Od słów: „Niepokalany sztandar” zaczyna się pieśń patriotyczna śpiewana w szkołach argentyńskich. (Przyp. aut)

Mokry, oślizły bruk zabłysnął na chwilę mleczną, rozplywającą się czerwienią. I zaraz błysk fioletowy i znowu mleczna czerwień: CINZANO-AMERICANO GANCIA. CINZANO-AMERICANO GANCIA.

— Ależ ziąb — zauważył Bucich.

Czy to deszcz? Nie, raczej mgła złożona z drobniutkich, nieodczuwalnych, unoszących się w powietrzu kropelek. Kierowca idzie obok niego wielkimi krokami. Jest mocny i prosty; takiego właśnie towarzysza poszukuje Marcin do swojej wędrówki na południe. Pod jego opieką może teraz spokojnie oddawać się rozmyślaniom. — To tutaj — powiada Bucich. CHICHIN *pizza faina*, sprzedaż trunków alkoholowych. — Cześć — powiada Bucich. — Cześć — powiada Chichin, stawiając na stole butelkę jałowcówki. — Dwie gorzkie; ten chłopak to mój przyjaciel. — Bardzo mi przyjemnie — powiada Chichin z czapką na głowie i czerwonymi szelkami na koszuli żółtej jak słonecznik.

— Jak tam stara? — pyta Bucich. — Ot, tak — powiada Chichin. — Analizę zrobili? — No. — I jak? — Chichin wzrusza ramionami, ot, wiadomo przecież, jak to jest z tymi rzeczami. *Wyjechać daleko na południe, chłodne, czyste* — myśli Marcin, spoglądając na portret przedstawionego z profilu Gardela, we fraku, o uśmiechu cwaniaka, ale poczciwego, i na błękitno-białą kokardę pod portretem, na gołe dziewczęta w towarzystwie dżokeja Leguisamo i słynnego bramkarza Amerigo Tesorieri opartego o bramkę, na dedykację przyjacielowi Chichin w dowód szacunku i na liczne zdjęcia drużyny Boca z napisem: MISTRZOWIE! *Skakałam przez sznur jak bokser, byle nie robić skrobanki, tłukłam pięścią w brzuch, dlatego pewnie jesteś taki głupi, śmiała się pogardliwie, robiłam wszystko, co mogłam, nie chciałam przez ciebie stracić dobrej figury, mówiła mu, a miał wtedy jedenaście lat.* — A gdzież Tito? — pyta Bucich. — Zraz przyjdzie ■ — powiada Chichin, *i postanowił zamieszkać na poddaszu.* — A ta niedziela? — pyta Bucich. — Bo ja wiem — odpowiada Chichin ze złością — ja już sobie nie będę psuł krwi, żeby tak jutra nie doczekał, *a ona wciąż słuchała bolera, szminowała się, jadła słodycze, zostawiała za sobą wszędzie lepkie papierki, nic mnie to nie obchodzi* ■ — po-

wiada Chichin — nic a nic, *brudny i lepki świat*, i milcząc wyciera ze złością szklanę i powtarza: nic a nic, uciec tą *czysty, chłodny, krystaliczny świat*, aż zostawia w końcu szklanę i twarzą w twarz z kierowcą wybucha: przetrząć z takimi patałachami, na to Bucich, który problem traktuje z należytą uwagą, kiwa głową i powiada: to doprawdy świństwo, a *Marcin wciąż słyszy radiowe bolero i czuje ciężką atmosferę łazienki i kremów usuwających nieprzyjemne zapachy, gorące nieczyste powietrze, gorąca kąpiel, gorące ciało, gorące łóżko, gorąca matka, łóżko-matka, łóżko-kanasta, mlecznobiałe łydki aż do ud, jak w jakimś okropnym cyrku, w tej samej prawie pozycji, jak wtedy kiedy on wyszedł z kloaki i do kloaki albo prawie*, tymczasem wchodzi chudy nerwowy człowieczek i powiada, cześć, i Chichin powiada, cześć; Humberto J. D'Arcangelo wita się, cześć, Puchito, ten mały to mój przyjaciel, bardzo mi przyjemnie, cała przyjemność po mojej stronie, powiada i ptasimi oczkami świdruje go z tym samym zmartwionym wyrazem twarzy, jaki Marcin stale będzie obserwował u Tita, jakby zgubił cenną rzecz i poszukiwał jej, i w pośpiechu, z niepokojem, wszystko przeglądał.

— Kurwa ich mać, tych czerwonych diabłów.

— No, gadaj, gadaj. Opowiedz mu.

— Tobie to dobrze. Wyjedziesz ciężarówką i fiu.

•— A ja już przestałem psuć sobie krew — powtarza Chichin. — Mam to wszystko gdzieś, żebym tak jutra nie doczekał. Z takimi patałachami, no proszę ja ciebie. Ale jemu opowiedz, jak to było.

Humberto J. D'Arcangelo, znany powszechnie jako Tito, orzeka:

— Świństwo.

I siada przy stoliku pod oknem, wyciąga zwinięty w rulon dziennik „Critica”, który zawsze nosi przy sobie, otwiera go na stronicy sportowej, kładzie z oburzeniem na stoliku i dłużyć w popsutych zębach wykałaczką, którą stale trzyma w ustach, śle ponure spojrzenie na ulicę Pinzón. Drobny, wąski w ramionach, w zniszczonym ubraniu wygląda, jakby medytował nad losami świata. Po chwili zwraca oczy na ladę i powiada:

— Ta niedziela była tragiczna. Przerznięliśmy jak ostatni idioci, a San Lorenzo wygrała, milionerzy wy-

grali, nawet Tigre wygrała. No i powiedzcie mi, jak długo tak można?

Wodzi oczyma po przyjaciółach wzywając ich na świadków, po czym znowu spoziera na ulicę i dłubiąc w zębach powiada:

— Nie ma porządku w tym kraju.

VII »To niemożliwe — pomyślał zatrzymując rękę na plecaku — to niemożliwe". Ależ tak, ten kaszel i to skrzywienie schodów.

A kiedy po latach wspominał ową chwilę, myślał jeszcze: „Jak samotni mieszkańcy wysp sąsiednich, lecz rozdzielonych niezmierną głębią”.

Po latach, kiedy ojciec leżał już w ziemi, zrozumiał, że biedak cierpiał chyba nie mniej niż on sam i że zapewne z owej sąsiedniej, lecz niedostępnej wyspy, gdzie zamieszkiwał (gdzie dokonywał żywota), nieraz dawał mu milcząc znaki, że potrzebuje pomocy albo przynajmniej zrozumienia i czułości. Ale pojął to dopiero po własnych bolesnych doświadczeniach, kiedy było już za późno, jak to niemal zawsze się zdarza. Obecnie zaś, w przedwczesną terażniejszość (czas zabawia się nieraz w ten sposób, że nadchodzi wcześniej, niż powinien, i człowiek gra swoją rolę śmiesznie i po dyletancku, jak niewprawny aktor amator: Otello, który jeszcze nie kochał), w terażniejszość, która powinna być w przyszłości, wkroczył przez omyłkę jego ojciec, wspinał się po schodach, na które od lat nie wstępował. Marcin, odwrócony plecami do drzwi, usłyszał jego głośny suchotniczy oddech i choć ojciec stał przez chwilę wahając się niczym intruz, udał ze świadomym okrucieństwem, że go nie zauważył. „Przeczytał oczywiście moją notatkę, chce mnie zatrzymać”. Zatrzymać? Po co? W ciągu lat zamienili ze sobą ledwo parę słów. Odczuł gniew i zarazem litość. Gniew nie pozwalał mu spojrzeć na ojca, kazał mu zlekceważyć jego obecność w pokoju lub co gorsza dać mu do zrozumienia, że chce ją zlekceważyć. Ale odwrócił głowę. Tak, odwrócił ją i ujrzał ojca takim, jakim go sobie wyobrażał.

Oburącz trzymając się poręczy, stał zmęczony wysiłkiem, z opadającym na czoło kosmykiem siwych włosów, i uśmiechał się głupawo, jak winowajca, co 30

Marcina jeszcze bardziej rozgniewało. Błyszczącym od gorączki spojrzeniem trochę wypukłych oczu objął izdebkę, która przed dwudziestu laty była jego pracownią, i poczuł się zapewne jak podróżnik, co po latach wraca do rodzinnej wioski, rozczarowany krajami i ludźmi, którzy kiedyś wzbudzali w nim zapał i ciekawość. Podeszedł do łóżka i usiadł na brzegu, jak gdyby nie czuł się upoważniony zająć więcej miejsca lub rozsiaść się zbyt wygodnie. Dosyć długo milczał, pracowicie oddychając, lecz siedział bez ruchu jak posąg.

— Kiedyś byliśmy przyjaciółmi — powiedział posyłając w dal rozświetlone spojrzenie.

— Pamiętam, raz w parku Retiro... Miałeś wtedy może cztery, może pięć lat... tak jest, pięć lat miałeś... i chciałeś sam przejechać się małym elektrycznym samochodem, ale ja ci nie pozwoliłem, bałem się, że się przestraszysz.

Uśmiechnął się smutno.

— Później, jak wracaliśmy do domu, wdrapałeś się na jakiś wóz, co stał w zakątku przy ulicy Garay. Nie wiem dlaczego, zawsze cię mam przed oczyma, jak biegniesz odwrócony do mnie plecami. Wiatr wzdymał twoją koszulkę w błękitne prążki. Było już późno, prawie ciemno.

Zamyślił się i powtórzył, jakby to była rzecz bardzo ważna:

— Koszulka w błękitne prążki, tak. Pamiętam ją doskonale.

Marcin milczał.

— Wtedy myślałem, że z biegiem lat staniemy się coraz lepszymi towarzyszami... że w końcu... zostaniemy przyjaciółmi.

Uśmiechnął się znowu nieśmiało, jak winowajca, jak gdyby śmieszne było spodziewać się rzeczy, do której się nie ma prawa. Jak gdyby popełnił małą kradzież korzystając z bezbronności syna.

Marcin spojrział na niego: siedział zgarbiony z rękami na kolanach, wpatrując się w jakiś odległy punkt.

— Tak... stało się inaczej.

Wziął do ręki ołówek, który leżał na łóżku, i przyglądał mu się zamyślony.

— Nie myśl, że ciebie nie rozumiem... jakże mogli-

byśmy być przyjaciółmi?... Musisz mi wybaczyć, Marcinku...

— Nie mam ci nic do wybaczenia.

Ostry ton Marcina przeczył jego zapewnieniu.

— No widzisz. Nienawidzisz mnie... Nie myśl, że tego nie rozumiem.

Marcin pragnąłby powiedzieć: „Nie jest tak, nie czuję do ciebie nienawiści”, ale nie miał najmniejszej wątpliwości, że go nienawidzi. Nienawiść ta czyniła go jeszcze bardziej nieszczęśliwym i samotnym. Patrząc, jak matka wychodzi z domu umalowana i nuci jakieś bolero, odczuwał wstręt, który rozciągał się i na ojca i w końcu na nim się koncentrował, jak gdyby to on był winien.

— Oczywiście, doskonale rozumiem, że nie masz powodu być ze mnie dumny. Z malarza, któremu się nie powiodło...

Oczy Marcina napełniły się łzami.

Ale łzy pozostały zawieszony w wielkiej urazie jak krople oliwy w occie.

— ■ Nie mów tak, tatusiu! — zawołał.

Ojciec spojrział na niego poruszony. Zdziwiła go taka reakcja.

— Ten podły kraj jest temu winien! Tylko łobuzy dochodzą tu do czegoś! — krzyczał Marcin ze złością, sam nie wiedząc, co mówi.

Ojciec pomilczał chwilę i spojrział na niego stanowczo.

— Trzeba być sprawiedliwym — rzekł w końcu. — Jestem niedołęgą, który zasłużył na to, żeby mu się nie wiodło: nie mam ani talentu, ani energii. Oto cała prawda.

Marcin zaczął wycofywać się z powrotem na swoją wyspę. Był zawstydzony dramatyczną sceną, a wobec zrezygnowanej postawy ojca znowu zamknął się w sobie.

Zapadło milczenie, tak uciążliwe, że ojciec podniósł się, chcąc odejść. Zrozumiał chyba, że decyzja zapadła nieodwołalnie i że przepaść pomiędzy nimi jest zbyt wielka, nie do przebycia. Zbliżył się do Marcina i dłoń ujął jego ramię; pragnął go uściskać, ale czy mógł to uczynić?

— No cóż, trudno... — wyszeptał.

Czy Marcin byłby znalazł jakieś serdeczniejsze sło-

wo. gdyby wiedział, że jest to jego ostatnia rozmowa z ojcem?

„Czy człowiek byłby tak surowy wobec swych bliźnich — zastanawiał się Bruno — gdyby pomyślał, że muszą umrzeć i że nic z tego, co zostało powiedziane, nie da się już cofnąć?”

Widział, jak ojciec odwrócił się i odszedł. Widział też, jak przed odejściem jeszcze raz zwrócił ku niemu twarz i popatrzył na niego wzrokiem, którego Marcin nie zapomni do końca swoich dni.

I kiedy usłyszał, jak kaszle schodząc po schodach, Marcin rzucił się na łóżko i zapłakał. Dopiero po kilku godzinach poczuł się dość silny, aby skończyć pakowanie plecaka. Kiedy wychodził z domu, była druga nad ranem; w pracowni ojca paliło się światło.

„Siedzi tam — pomyślał. — Mimo wszystko żyje, jeszcze żyje”.

Szedł pieszo do garażu i myślał, że powinien mieć wspaniałe uczucie swobody, ale go nie miał; o władnęło nim przygnębienie.

W końcu stanął i zawahał się. Czego właściwie pragnął?

VIII — Zanim ujrzałem ją ponownie, zaszły pewne wypadki... u mnie w domu... nie chciałem już tam mieszkać, zamierzałem wyjechać do Patagonii, rozmawiałem nawet z pewnym kierowcą nazwiskiem Bucich, czy nie mówiłem już o nim? Ale owej nocy... W końcu nie pojechałem na południe. Do domu także już nie wróciłem.

Zamilkł, sięgał pamięcią w przeszłość.

— Ujrzałem ją znowu w tym samym miejscu 'w parku, ale dopiero w lutym 1955 roku. Chodziłem tam, kiedy tylko mogłem. Jakkolwiek wiedziałem dobrze, iż nie dlatego ją spotkam, że czekam na nią stale w tym samym miejscu.

Bruno zdawał się nie pojmować.

— Przecież tam właśnie przyszła — rzekł zdziwiony.

— Przyszła, bo chciała mnie spotkać. To samo mogło się być stać w każdym innym miejscu. Rozumie pan? Wiedziała dobrze, gdzie i kiedy może mnie spotkać, jeżeli tylko zechce. Oto co chciałem powiedzieć.

To, że czekałem przez tyle miesięcy na tej ławce, było jednym z licznych przejawów mojej głupoty.

Zamyślił się i spojrzął na Bruna, jak gdyby szukał u niego wytłumaczenia.

— Jeżeli tak pragnęła mnie odszukać, że umyślnie po to przyszła, to nie mogę zrozumieć, jak mogła potem... w taki sposób...

Bruno utkwiał spojrzenie w jego wychudłej twarzy.

— A czy pan to rozumie? — spytał Marcin po chwili milczenia.

— Ludzie nie postępują logicznie — odparł Bruno. — A zresztą, dla tej samej przyczyny, dla której cię szukała, musiała zapewne później...

Chciał powiedzieć: „Opuścić cię”, ale rzekł tylko: - „Odejść”.

Marcin przez jakiś czas milczał pogrążony w zadumie. W końcu opowiedział o swoim spotkaniu z Aleksandrą.

Zapadał wieczór i brakło już światła, by mógł przeglądać odbitki, siedział więc na ławce beczynnym. Nagle usnął.

Śniło mu się, że płynie opuszczonym statkiem o złamanym maszcie po tajemniczej, ogromnej, na pozór spokojnej rzece. Był zmierzch. Mimo że dookoła panowała cisza, nietrudno było odgadnąć, że w lesie, który jak mur wznosił się na obydwu brzegach rzeki, wre tajemne i pełne niebezpieczeństw życie. Wtem zadrżał: z gęstwiny lasu zabrzmiało głośnie wołanie. Słów nie mógł zrozumieć, ale wiedział, że skierowane są do niego. Chciał podnieść się, ale coś mu przeszkadzało. Daremnie się wysiłał; odległy zagadkowy głos wołał go coraz donośniej, coraz bardziej rozpaczliwie, jak gdyby tej, która go wzywała, groziło wielkie niebezpieczeństwo i jedynie on mógł ją uratować. Obudził się; przerażony skoczył na równe nogi.

To była ona.

Potrząsała nim i z cierpkim uśmiechem rzekła:

— Wstawaj, leniu.

W przestraszu, zaskoczony kontrastem pomiędzy tamtym błagalnym, rozpaczliwym wołaniem a beztroską Aleksandrą, którą widział przed sobą, nie zdołał wypowiedzieć słowa.

Spostrzegł, że Aleksandra podnosi z ziemi kilka odbitek, które spadły z ławki, podczas gdy on spał. 34

— Jestem pewna, że właścicielem tego przedsiębiorstwa nie jest Molinari — zauważyła ze śmiechem.

— Jakiego przedsiębiorstwa?

— No, tego, z którego dostajesz tę robotę, głuptasie.

— Dostaję ją z drukarni Lopeza.

— Obojętne, z czyjej, ale że nie jest to Molinari, to pewne.

Nic z tego nie zrozumiał. Aleksandra zaś — nieraz miało się to jeszcze powtórzyć — nie zadała sobie trudu, żeby mu cokolwiek wyjaśnić. Usiadł, opowiadał Marcin, jak zły uczeń wobec ironizującego nauczyciela.

Poukladał odbitki, mechaniczne zajęcie pozwoliło mu ochłonąć z wrażenia, jakie na nim wywarło upragnione spotkanie. A potem — również i to miało się w przyszłości niejednokrotnie powtórzyć — Marcin milczał onieśmielony, a mówiła tylko Aleksandra, która zawsze albo prawie zawsze odgadywała jego myśli.

Odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów, jak to dorosli czynią dzieciom.

— Powiedziałaś ci, że się spotkamy, nieprawdaż?

Ale nie powiedziałam kiedy.

Marcin patrzył na nią rozanielony.

— Przecież ci nie powiedziałam, że to będzie wkrótce.

— Nie powiedziałaś.

Tak się zaczęła ta straszna historia (opowiadał Marcin). Wszystko to było niezrozumiałe, wszystkiego można się było po niej spodziewać. Spotykali się w nieprawdopodobnych miejscach, w holu Banku Prowincji albo na moście Avellaneda, o rozmaitych porach, nawet o drugiej w nocy. Niczego nie można było przewidzieć z góry ani wytłumaczyć; ani jej gniewu, ani ataków złości, ani tych dni z nią spędzonych, kiedy to Aleksandra przez cały czas nie odezwała się ani słowem; a zwłaszcza jej długich nieobecności. „Mimo to — opowiadał — był to najcudowniejszy okres mojego życia”. Wiedział jednak, że okres ten długo nie potrwa, gdyż było to szaleństwo i — czy przypadkiem nie powiedział mu już tego? — były to jakby następujące po sobie kolejno wybuchy ropy naftowej w burzliwą noc. Chociaż czasem, bardzo rzadko co prawda, zdawała się szukać u niego wytchnienia, jak

gdyby była chora i jak gdyby on zastępował jej sanatorium lub słoneczną miejscowość w górach, gdzie w końcu znajdowała schronienie i ciszę. Bywało też, że przychodziła udręczona i wyglądała, jakby go chciała prosić o szklanek wody czy o lekarstwo, o coś, bez czego nie mogła się obejść; a potem znowu wracała do tej ponurej i dzikiej krainy, gdzie upływało jej życie.

—• A która dla mnie nigdy nie była dostępna — zakończył Marcin.

IX — To tutaj — powiedziała.

Powietrze mocno pachniało jaśminem. Stare żelazne sztachety do połowy zarośnięte były glicynią. Zardzewiała furtka ustąpiła ze skrzypieniem.

Po niedawnym deszczu lśniły w ciemności kałuże. Kilka okien było oświetlonych, ale z panującej tam ciszy należało się raczej domyślać, że dom jest nie zamieszkały. Przez zapuszczony, zarosły chwastami ogród przeszli ścieżką prowadzącą wzdłuż bocznej galerii wspartej na żelaznych słupach. Dom był sędziwy, okna wychodzące na galerię zachowały jeszcze kolonialne kraty; duże płyty chodnika pochodziły zapewne również z tamtych czasów; były zapadnięte, połamane i wytarte.

Słysząc było grę na klarncie: przeciągły jęk, nieartykułowany i tęskny.

— Co to? — spytał Marcin.

— To wuj Bebe — wyjaśniła Aleksandra. — Pomylony.

Minęli wąskie przejście pomiędzy bardzo starymi drzewami (Marcin czuł teraz intensywny zapach magnolii) i poszli dalej dróżką wyłożoną ceglami, na której końcu znajdowały się kręte schody.

— Teraz uważaj. Pomałutku chodź za mną.

Marcin potknął się o coś, o jakiś garnek czy o skrzynkę.

— Powiedziałam ci, żebyś uważał. Poczekaj.

Zapaliła zapalnik i osłaniając dłonią zbliżyła ją do twarzy Marcina.

— Nie ma tu lampy, Aleksandro?... Chciałem powiedzieć... czegoś... w podwórzu...

W odpowiedzi usłyszał jej złośliwy śmiech.

— Lampy! Chodź! Połóż ręce na moich biodrach i idź za mną.

— To dobre dla ślepych.

Aleksandra zatrzymała się nagle jak rażona piorunem.

— Co ci się stało, Aleksandro? — spytał Marcin zaalarmowany.

— Nic — odparła oschle. — Ale proszę cię, bądź tak uprzejmy i nie mów mi nigdy o ślepych.

Marcin położył znów dłonie na jej biodrach i szedł za nią po ciemku. Wspinając się powoli i ostrożnie po metalowych stopniach, w wielu miejscach nadzartych rdzą i chwiejnych, poczuł pierwszy raz w swoich dłoniach ciało Aleksandry tak bliskie, a zarazem dalekie i tajemnicze. Zadrżał, czy też lekko się zachwiał, co nie uszło uwagi Aleksandry, spytała więc, co mu się stało.

— Nic —• odpowiedział smutno. Kiedy weszli na górę, Aleksandra mocując się z trudnym do otwarcia zamkiem powiedziała:

— Oto jest dawny mirador.

•— Mirador? — zdziwił się Marcin.

— Tak. Z początkiem ubiegłego wieku były tu dookoła same tylko letnie rezydencje. Przyjeżdżały tu spędzić koniec tygodnia rodziny Olmos, Acevedo .. Roześmiała się.

— W czasie kiedy Olmosowie nie zdychali jeszcze z głodu... i nie byli pomyleni.

— Acevedo? — spytał Marcin. —• Który Acevedo? Czy ten wiceprezydent?

— Tak, ten sam.

W końcu z wielkim wysiłkiem udało jej się otworzyć stare drzwi. Podniosła rękę i zapaliła światło.

— Świetnie — rzekł Marcin. — Tu przynajmniej jest lampa. Myślałem, że ten dom oświetla się tylko świecami.

— Świecami nie. Ale dziadek Pancho używa wyłącznie lampy naftowej. Powiada, że elektryczność jest szkodliwa dla oczu.

Marcin objął spojrzeniem pokój, jak gdyby oglądał nieznaną część duszy Aleksandry. Nie było w nim sufitu, widać było drewniane belki podtrzymujące dach. Pod ścianą stał tapczan przykryty czymś w rodzaju poncho, inne meble wyglądały jak nabyte na licytacji: ot

z różnych epok i w rozmaitych stylach, ale wszystkie zniszczone i połamane.

— Chodź, usiądź lepiej na tapczanie. Te krzesła są niebezpieczne.

Na jednej ze ścian wisiało lustro w stylu weneckim, zmatowiałe, z malowidłem u góry, na drugiej wisiał sztych czy też litografia przypięta na rogach czterema pluskiewkami. Pod lustrem stała mocno zdezelowana komoda, nieco dalej mały bufecik.

Aleksandra zapaliła maszynkę spirytusową i zaczęła robić kawę. Czekaając, aż woda się zagotuje, puściła płytę.

— Posłuchaj —■ rzekła zamyślona, spoglądając w górę i zaciągając się papierosem.

Zabrzmiała muzyka, patetyczna i burzliwa.

Raptem wyłączyła adapter.

— Nie — powiedziała. — Teraz nie mogę jej słuchać.

Wróciła do swego zajęcia przy kawie.

— Po raz pierwszy grał ją na fortepianie sam Brahms. I wiesz, jak to zostało przyjęte? Wygwizdali go. Oto jacy są ludzie.

— Ale, być może...

— Jakie być może! — zaperzyła się. — Czy nie wiesz, że ludzie to bydło?

— Ale przecież ten muzyk także był człowiekiem.

— Widzisz, Marcinie — tłumaczyła nalewając kawę — to są ci nieliczni, którzy cierpią za resztę ludzkości. A reszta ludzkości to nudziarze, skurwysyny albo idioci.

Podawała kawę i usiadła milcząc na brzegu tapczana.

Za chwilę ponownie nastawiła adapter.

— Posłuchaj.

Znowu rozbrzmiały takty pierwszej części utworu.

— Pomyśl, ile cierpienia musiało się nagromadzić na świecie, ażeby ktoś mógł stworzyć taką muzykę. To okropne — dodała zdejmując płytę z adaptera.

W zamyśleniu wypila resztę kawy. Pustą filiżankę odstawiła na podłogę.

Wśród ciszy zadźwięczały nagle przez otwarte okno tony klarnetu, jak gryzmolenie dziecka na papierze.

— Powiedziałaś, że jest pomyłony?

— No tak. Jesteśmy rodzina pomyleńców. Wiesz, kto mieszkał w tej mansardzie przez osiemdziesiąt lat?

Panna Scholastyka. Bo wiesz, dawniej było w zwyczajach trzymać wariatów' zamkniętych w jakimś tylnym pokoju. Bebe to wariat raczej łagodny, pewnego rodzaju imbecyl, w każdym razie nikomu nie może zaszkodzić swoim klarnetem. Scholastyka także była łagodną wariatką. Chodź, opowiem ci, jak to z nią było.

Podniosła się i podeszła do litografii przypiętej do ściany czterema pluskiewkami.

— Spójrz: oto są resztki Legionu generała Lavalle w wąwozie Humahuaca. Na tym siwku przewożą zwłoki generała. Ten tutaj to pułkownik Pedernera. Obok niego Pedro Echagüe. A tamten z brodą, po prawej, to pułkownik Acevedo. Bonifacio Acevedo, stryjeczny dziadek dziadka Pancho. Pancha nazywamy dziadkiem, ale w rzeczywistości jest pradziadkiem — ciągnęła patrzając na litografię.

—■ A tamten drugi to chorąży Celedonio Olmos, ojciec dziadka Pancho, to znaczy mój prapradziadek. Bonifacio zmuszony był uciec do Montevideo. Tam ożenił się z Urugwajką, dziewczyną ze Wschodu, jak mówi dziadek, która nazywała się Encarnación Flores, i tam urodziła się Scholastyka. Dziwne imiona, nieprawdaż? Przed jej urodzeniem Bonifacio zaciągnął się do Legionu i nigdy nie ujrzał córki, gdyż kampania trwała dwa lata, a stamtąd, z Humahuaca, przeszli do Boliwii, gdzie przebywał kilka lat; przez jakiś czas był także w Chile. W roku 1852, z początkiem roku 1852, po trzynastu latach niewidzenia żony, która mieszkała tutaj, w tej rezydencji, komendant Bonifacio Acevedo, który wraz z innymi wygnańcami przebywał w Chile, nie mógł już dłużej znieść tęsknoty i wrócił do Buenos Aires w przebraniu poganiacza bydła; mówiono wtedy, że Rosas * lada chwila upadnie i Uruguju wśród pożogi wojennej wkroczy do Buenos Aires. Ale on nie chciał czekać i wszedł na statek. Ktoś go zapewne zdradził, inaczej nie można tego wytłumaczyć. Przybył do Buenos Aires i schwytana go Mazorka **. Ucięli mu głowę i przynieśli ją tutaj, zapukali do okna i kiedy je otwarto, wrzucili *głowę* do pokoju. Encarnación umarła z wrażenia, a Scholastyka

* Juan Manuel Ortiz de Rosas (1793—1877) — krwawy dyktator argentyński. Jego stronnikami byli federaliści. (Przyn. aut)

** Mazorka to nazwa jego okrutnej polipijki. (Przyn. aut)

oszalała. Po kilku dniach Urquiza wkroczył do Buenos Aires! Trzeba ci wiedzieć, że Scholastyka od najmłodszych lat słuchała opowieści o swoim ojcu i wpatrywała się w jego portret.

Z szufladki komody wyjęła kolorową miniaturę.

— Jako porucznik kirasjerów w kampanii brazylijskiej.

Wspaniały mundur, młodość i wdzięk kontrastowały z brodatą, obszarpaną postacią ze starej litografii.

— Powstanie Urquiza rozwścieczyło Mazorkę.

Wiesz, co zrobiła Scholastyka? Jej matka zemdląca, a ona podniosła głowę ojca i pobiegła na górę. Tu zamknęła się z nią i pozostała aż do swojej śmierci w roku 1932.

— W 1932!

— Tak, w 1932. Żyła tu osiemdziesiąt lat samotnie z tą głową. Przynoszono jej posiłki i wynoszono odpadki. Nigdy stąd nie wychodziła, nie chciała stąd wychodzić. Z chytrą, typową dla wariatów, ukryła głowę ojca, tak że nikt nie mógł jej stąd zabrać. Mogli ją byli oczywiście znaleźć, gdyby szukali, ale wtedy Scholastyka dostawała ataków szału i nie sposób było ją okłamać. Nikomu nie pozwalała niczego wyjmować z komody ani z szafy, ani z tego worka. Dopóki nie umarła w 1932 roku, wszystko pozostawało tak jak w roku 1852. To nie do wiary, nieprawdaż?

— Istotnie, trudno w to uwierzyć.

— A jednak jest to fakt historyczny. I ja także byłam ciekawa, jak jadała, jak tu sprzątała. Otóż jedzenie jej przynosili, a w pokoju potrafili utrzymać taki ład. Scholastyka była łagodną wariatką, a nawet rozmawiała normalnie prawie o wszystkim, tylko nie o ojcu i o jego głowie. Przez osiemdziesiąt lat, które tu spędziła w zamknięciu, nigdy na przykład nie mówiła o ojcu jako o umarłym. Mówiła o nim w czasie teraźniejszym, jakby to był rok 1852 i ona miała dwanaście lat, a jej ojciec był w Chile i miał lada chwila wrócić. Była spokojną staruszką. Ale jej życie, a nawet jej język zatrzymał się w roku 1852, jak gdyby Rosas wciąż jeszcze był u władzy. „Kiedyż nareszcie usuną tego człowieka?” — mawiała wskazując na ulicę, gdzie jeździły już tramwaje elektryczne i rządził Yrigoyen. Jej rzeczywistość miała chyba puste miejsca, a może zamknięte na klucz, czy ja wiem; jak

dziecko uciekała się do wybiegów, aby nie mówić o pewnych rzeczach, tak jak gdyby dzięki przemilczaniu nie istniały, jakby więc nie istniała także śmierć jej ojca. Odrzuciła wszystko, co łączyło się ze ścięciem głowy Bonifacia Acevedo.

— Co stało się z tą głową?

— W 1932 roku Scholastyka umarła i nareszcie można było zrewidować komodę i worek komendanta. Głowa była owinięta w szmaty (zdaje się, że stara wymowała ją co nocy, kładła na komodzie i godzinami przyglądała się jej, może nawet i spała, a głowa stała tam jak wazon). Była oczywiście zmumifikowana i skurczona. I taka pozostała.

— Jak to?

— Oczywiście, a cóż miało się stać z tą głową? Co można zrobić z głową w takiej sytuacji?

— No, nie wiem. Cała ta historia jest tak absurdalna, że nie wiem.

— Przede wszystkim musisz sobie zdać sprawę, jaka jest moja rodzina, to znaczy rodzina Olmos, nie Acevedo.

— Jaka jest twoja rodzina?

— Jeszcze o to pytasz? Czy nie słyszysz, jak wuj Bebe gra na klarncie? Nie widzisz, gdzie mieszkamy? Kto w tym kraju coś znaczy, nie mieszka przecież w Barracas. pośród ruder i fabryk. Zrozumiesz więc, że z głową nie mogło się stać nic normalnego, pominiawszy już, że cokolwiek się dzieje z głową bez ciała, nie może być normalne.

— A więc?

— To bardzo proste: głowa została w tym domu. Marcin wzdrygnął się.

— I to cię tak dziwi? Cóż innego można było zrobić? Sklecić trumienkę i urządzić głowie mały pogrzebik?

Marcin roześmiał się nerwowo, lecz Aleksandra zachowała powagę.

— A gdzie ją trzymacie?

— ■ Dziadek Pancho ją ma, tam na dole. w pudle od kapeluszy. Chcesz ją zobaczyć?

— Na miłość boską! — krzyknął Marcin.

— Cóż w tym złego? To piękna głowa i powiem ci, że dobrze mi robi zobaczyć ją od czasu do czasu pośród tylu śmieci. To przynajmniej byli prawdziwi 41

mężczyźni, poświęcali życie za to, w co wierzyli. Trzeba ci wiedzieć, że niemal wszyscy członkowie mojej rodziny byli unitarianami, ale ani ja, ani Fernando nimi nie jesteśmy.

— Fernando? Kto to jest Fernando?

Aleksandra raptem zamilkła, jakby powiedziała zbyt wiele.

Marcin był zaskoczony. Miał wrażenie, że Aleksandra wygadała się niechcący. Wstała, podeszła do stolika z maszynką, zapaliła papierosa, postawiła wodę, po czym zbliżyła się do oszklonych drzwi prowadzących na taras.

— Chodź — powiedziała.

Marcin wyszedł za nią. Noc była gorąca i roziskrzona gwiazdami. Aleksandra przemierzyła taras i oparła się o balustradę.

— Dawniej widziało się stąd, jak okręty zawijały do Riachuelo — powiedziała.

— Kto tu teraz mieszka? — spytał Marcin.

— Tutaj? No tak, z posiadłości nie zostało już prawie nic. Dawniej był to kompleks budynków. A potem zaczęli sprzedawać. Ta fabryka i te szopy, wszystko to należało do rezydencji. Z tamtej strony są rudery. Cała tylna część domu również została sprzedana. A to, co zostało, jest zadłużone i lada dzień zostanie wystawione na licytację.

— Nie żal ci?

Aleksandra wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, czasem mi żal, ze względu na dziadka. Żyje wspomnieniami przeszłości i umrze nie rozumiawszy, co się stało w tym kraju. Staruszek nie wie, co to jest świństwo. A teraz nie ma już ani czasu, ani możliwości, aby to pojąć. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Raz już mieli nam wywiesić chorągiew licytacyjną i musiałam pójść i prosić Molinariego, ażeby uregulował tę sprawę.

— Kto to jest Molinari?

Po raz drugi już usłyszał Marcin to nazwisko.

— Pewnego rodzaju mitologiczne bydlę Świnia, która jest dyrektorem spółki akcyjnej.

Marcin spojrział na nią zdziwiony.

— Uzyskaliśmy coś w rodzaju zwłoki — ciągnęła z uśmiechem. — Możesz sobie wyobrazić, że stary *hv* umarł, gdy^{5f} wywiesili tu chorągiew licytacyjną.

— Twój ojciec?

— Ależ nie, dziadek.

— A twój ojciec nie zajmuje się tymi sprawami?

Aleksandra spojrzała na niego z miną, jaką mógłby mieć podróżnik, zapytany, czy w dżungli Amazonii rozwija się przemysł samochodowy.

•— Twój ojciec⁹ — nalegał Marcin wbrew swej woli, bo czuł, że powiedział głupstwo (choć nie wiedział dlaczego) i że nie powinien był nalegać.

— Mój ojciec nigdy tu nie bywa — skwitowała Aleksandra zdławionym głosem.

Ale Marcin brnął dalej jak początkujący rowerzysta, który chcąc uniknąć upadku stara się nie zboczyć z prostej linii, a w końcu dziwnym trafem uderza zawsze w drzewo lub w jakąkolwiek inną przeszkodę.

— Czy mieszka gdzie indziej? — dopytywał się natarczywie.

— Powiedziałam ci przecież, że tutaj nie mieszka, i na tym koniec.

Marcin zaczerwienił się.

Aleksandra przeszła na drugi koniec tarasu i pozostała tam dobrą chwilę. Potem wróciła i oparła się o balustradę obok Marcina.

•— Moja matka umarła, kiedy miałam pięć lat.

A kiedy miałam jedenaście lat, zastałam go tu z kobietą. Ale obecnie jestem przekonana, że żył z nią długo przedtem, zanim matka umarła.

Wybuchnęła śmiechem, który tak był podobny do normalnego śmiechu, jak zbrodniczy garbus podobny jest do normalnego człowieka.

— W tym samym łóżku, w którym ja teraz sypiam.

Zapaliła papierosa; w świetle zapalniczki Marcin zauważył na jej twarzy resztki dawnego śmiechu, rozkładające się zwłoki garbusa. Później widział, jak papieros *żarzył* się w ciemności za każdym jej głębokim wdechem; paliła zaciągając się ze skumoną pożądlivością.

— Wtedy uciekłam z domu — powiedziała

X *Ta piegowata dziewczuszka o rudawych włosach to ona: ma jedenaście lat. Dziewuszka ch^oida i myśląca ale gwoliowna; nej myśli są jak rozszalale* 43

gorące węże W jakimś tajemnym zakątku swej osoboicości dziewczuszka ta pozostała sobą, i oto teraz ona, osiemnastoletnia milcząca i czujna Aleksandra stara się nie spłoszyć zjawy, stanęła więc z boku i przygląda się jej ostrożnie i z ciekawością. Nieraz zabawia się w ten sposób, kiedy rozmyśla o swoim losie. Ale trudna jest ta zabawa, tak delikatna i zawodna, jak tuędlug spirytywistów bywa materializacja: trzeba umieć czekać, trzeba sporo cierpliwości i dużego skupienia, trzeba oddalić od siebie myśli płaskie i frywolne. Pomalutku cień się pojawi, należy mu w tym dopomóc, zachowując głębokie milczenie i wielką delikatność; byle drobiazg, a cień skurczy się i zniknie tam, skąd się wyłonił.

Oto jest: wyszła właśnie i Aleksandra może dostrzec jej rude warkocze i piegi. Rozgląda się dookoła podejrzliwym skupionym spojrzeniem, gotowa do kłótni i wymyślań. Aleksandra patrzy na nią z mieszanym uczuciem czułości i gniewu, jak na młodszą siostrę, na której wyladowuje się złość na swoje własne błędy i na którą się krzyczy: „Nie gryź paznokci, ty małpo!”

— Przy ulicy Izabeli Katolickiej] stoją ruiny pewnego domu. Należy raczej powiedzieć, stały, bo niedawno zostały rozebrane i w tym miejscu zbudowano fabrykę lodówek. Dom był od bardzo wielu lat nie zamieszany z powodu procesu o spadek. Mam w pamięci, że był własnością rodziny Miguensów i że kiedyś musiała to być piękna posiadłość Przypominam sobie, że miał ściany jasnozielone, seledynowe, ale odrapane, jakby dotknięte trądem. Byłam pobudliwym dzieckiem, a myśl, że mogę uciec i tikryć się w opuszczonym domu, dawała mi poczucie siły: podobnie czuje się zapewne żołnierz, kiedy mimo lęku idzie do ataku demonstrując swą odwagę. Czytałam gdzieś o tym, czy ty także? Opowiedam ci to, bo w nocy strasznie się bałam, możesz więc sobie wyobrazić, co mnie czekało w tym opuszczonym domu. Co wieczora szalałam ze strachu, widziałam bandytów jak wpadają z latarniami do mojego pokoju albo ludzi z Mazorki niosących w rękach zakrwawione głowy (Justyna opowiadała nam wciąż o Mazorce). Tonęłam w kałużach krwi. Nie wiem nawet, czy mi się fo wszystko śniło, przypuszczam że bylv to raczej balu-

cynacje, że widziałam tych ludzi jak na jawie, bo pamiętam ich tak dobrze, jakby to było wczoraj. Krzyczałam dopóty, dopóki nie przybiegła babka Helena i nie uspokoiła mnie pomalutku, ale długo jeszcze trzęsło się łóżko od moich drgawek; były to ataki, prawdziwe ataki.

Toteż obmyślić podobny plan ukrycia się nocą w opuszczonych ruinach było po prostu szaleństwem. Przypuszczam teraz, że ułożyłam ten plan z zemsty. Czułam, że będzie to piękna zemsta, tym piękniejsza i tym bardziej sroga, na im większe wystawię się niebezpieczeństwo. Tak jak gdybym myślała, a może istotnie tak myślałam: „Patrzcie, jak cierpię z winy mojego ojca”. To dziwne, ale od owego wieczora mój nocny strach przemienił się raptem w szaleńczą odwagę. Prawda, że to dziwne? Jak można wytłumaczyć to zjawisko? Była to, jak powiadam, jakaś szalona pogarda dla niebezpieczeństwa, obojętne, czy było ono prawdziwe, czy urojone. To prawda, że zawsze byłam odważna; podczas wakacji, które spędzałam na wsi, u starych panien Carrasco, przyjaciółek babki Heleny, przywykłam do trudnych sytuacji. Pędziłam galopem przez pola na klaczy, którą od nich dostałam. Nazwałam ją Pogarda, podobało mi się to imię.

Miałam strzelbę myśliwską kalibru 22 i wiatrówkę. Umiałam doskonale pływać i pomimo próśb i zaklęć puszczałam się daleko w morze i nieraz musiałam walczyć z falami. (Zapomniałam ci powiedzieć, że posiadłość starych Carrasco leżała na wybrzeżu, niedaleko Miramar). A jednak, mimo wszystko, trzęsłam się po nocach ze strachu przed urojonymi stworami. A więc, jak powiedziałam, postanowiłam uciec i ukryć się w ruinach przy ulicy Izabeli Katolickiej. Czekałam do wieczora, aby nie zauważona wśliznąć się przez kratę (brama była zamknięta na kłódkę). Ale ktoś mnie chyba dostrzegł i choć z początku nie przywiązywał do tego wagi, bo jak sobie możesz wyobrazić, niejeden chłopak dla ciekawości robił już przedtem to samo co ja w tej chwili, później jednak, kiedy wiadomość rozeszła się po dzielnicy i kiedy interweniowała policja, ten ktoś przypomniał sobie zapewne i zeznał, co widział. Ale jeżeli istotnie tak było, to stało się to dopiero w parę godzin po mojej ucieczce, bo policja zjawiała się dopiero o jedenastej. Tak więc mia-

łam dosyć czasu, aby porządnie najeść się stracnu. Skoro tylko przelazłam przez kratę, okrążyłam dom i dawnym tylnym wejściem dostałam się na zarosłe ■zielskim podwórze, pełne śmieci, starych garnków i cuchnących zdechłych kotów czy psów. Zapomniałam ci powiedzieć, że wzięłam ze sobą latarkę, nóż sprężynowy i wiatrówkę, którą dziadek Pancho podarował mi na moje dziesiąte urodziny.

Jak mówiłam, weszłam od tyłu; była tam galeria podobna do tej, którą mamy tutaj. Okna prowadzące ina tę galerię miały zamknięte okiennice, były one jednak przegniłe, a niektóre nawet wypadły z zawiasów albo miały dziury. Nietrudno więc było przedostać się ido wnętrza i włączęga czy też zebiak mógł tu t>ię prze- spać, a nawet jakiś czas pomieszkać. Skąd mogłam wiedzieć, czy i tego wieczora ktoś nie szukał tam inoclegu? Przy pomocy mojej latarki obejrzałam wszystkie okna i drzwi wychodzące na tyły, w końcu znalazłam takie, w których brakowało jednej deski. Pchnęłam te drzwi, zaskrzypiały i otwarły się z trzaskiem; izapewne nikt ich nie otwierał od bardzo dawna. Ze zgrozą pomyślałam, że w takich warunkach nawet włączęga nie odważyłby się schronić w tym przeklętym domu. Zawahałam się, bijąc się z myślami, czy nie lepiej byłoby nie wchodzić do środka, a spędzić noc na ganku. Ale dokuczał mi chłód. Musiałam wejść, a nawet rozpalić ogień, co dla mnie nie było trudne, gdyż niejednokrotnie przyglądałam się tej czynności. Postanowiłam rozniecić ognisko w kuchni na odpowiedniej do tego celu podłodze z płytek. Miałam także nadzieję, że ogień wypłoszy szczury, którymi się zawsze brzydziłam. Kuchnia była, jak zresztą cały ten dom, doszczętnie zrujnowana. Nie miałam odwagi położyć się na podłodze, nawet na słomie, bo wyobrażałam sobie, że ułatwi do dostęp szczurom. Wolałam położyć się na piecu kuchennym. Kuchnia starego typu była podobna do naszej, a także do tych, jakie do dziś spotyka się w niektórych estancjach; miała palenisko na węgiel i oszczędnościową kuchenkę. Pozostałą część domu zamierzałam obejrzeć dopiero nazajutrz, w tej chwili, w nocy, nie miałam odwagi go obejść, a zresztą nie było po co. *Zaczęłam*, od tego, że zebrałam w ogrodzie drewno na opał, kawałki skrzyń, pojedyncze deski, słomę, papiery, połamane gałązki, a także konar

uschłego drzewa, który tam znalazłam. Zaczęłam rozpalać ognisko koło drzwi kuchennych, aby dym nie gromadził się w kuchni. Po kilku próbach udało mi się rozniecić ogień i gdy tylko w ciemności zbladł płomień, poczułam natychmiast rozkoszne ciepło, fizyczne i duchowe. Zaraz wyjęłam z torby zapasy, usiadłam na skrzynce przy ognisku i z apetytem zjadłam wędlinę i chleb z masłem, a potem deser z batatów. Na moim zegarku była dopiero... ósma. Nie chciałam nawet myśleć o tym, co mnie czeka w tę długą noc.

Policja zjawiała się o jedenastej. Jak powiedziałam, nie jest wykluczone, że ktoś widział, jak przełaziłam przez kratę. Być może również, że któryś z sąsiadów zauważył ogień albo dym rozpalanego ogniska, lub też światło latarki, z którą kręciłam się po kuchni. Dość, że policja nadeszła, i muszę ci wyznać, że ucieszyłam się na jej widok. Goniłszy szczurów i kotów, szum wiatru oraz wszystkie urojone dźwięki, powstałe w mojej wyobraźni, doprowadzały mnie do obłędu. Byłabym chyba oszalała, gdyby mi przyszło pozostać tam w nocy, kiedy miasto już naprawdę uśnie i dookoła zapanuje głęboka cisza. Toteż, kiedy nadeszła policja, nie spałam, tylko leżałam skulona na piecu kuchennym i trzęsłam się ze strachu.

Nie mogę ci opisać, co się działo, gdy mnie przyprowadzili do domu. Dziadek Pancho miał, biedak, oczy pełne łez i bez końca wypytywał, dlaczego odważyłam się na podobne szaleństwo. Babka Helena łajała mnie i jednocześnie pieściła, jak histeryczka. Ciotka Teresa natomiast, a właściwie cioteczna babka, która przesiadywała całymi dniami przy nieboszczykach i po zakrystiach, krzyczała, że powinni co prędzej oddać mnie do internatu w szkole przy alei Montes de Oca. Narada przeciągnęła się chyba do późnej nocy, bo słyszałam, jak rozmawiali w salonie. Nazajutrz dowiedziałam się, że babka Helena zgodziła się w końcu na propozycję ciotki Teresy, myślę, że głównie ze strachu, żebym lada chwila nie popełniła znowu podobnego głupstwa; a może i dlatego, że wiedziała, jak bardzo kocham siostrę Teodolinę. Ja oczywiście zachowałam wobec wszystkich uporczywe milczenie i przez cały czas siedziałam zamknięta w swoim pokoju. Ale w głębi duszy wcale mnie nie martwiła 47

myśl, że mam odejść z domu; spodziewałam się, że w ten sposób ojciec głębiej odczuje moją zemstę. Nie wiem, czy sprawiło to wstąpienie do internatu, czy przyjaźń z siostrą Teodoliną, czy zmiana otoczenia, czy wszystko to razem wzięte. Dość, że wzięłam się do religii z tą samą pasją, z jaką pływałam i jeździłam konno; jakby chodziło o życie. Aż do dnia, kiedy skończyłam piętnaście lat.

Było to niewątpliwie pewnego rodzaju szaleństwo.

Oto jest ojciec Antonio: opowiada o Pasji, z przejęciem opisuje mękę, upokorzenie i krwawą ofiarę Krzyża. Ojciec Antonio jest słusznego wzrostu, i dziwna rzecz, podobny jest do jej ojca. Aleksandra płacze, zrazu po cichu, potem coraz gwałtowniej, w końcu wybucha konwulsyjnym łkaniem. Ucieka. Mniszki biegną za nią przestraszone. Widzi przed sobą siostrę Teodolinę, która ją uspokaja, po chwili zbliża się ojciec Antonio i również chce ją uspokoić. Podłoga zaczyna się pod nią chwiać, niczym w łodzi. Podłoga faluje jak morze, pokój staje się coraz większy, zaczyna krążyć: powoli, coraz szybciej, w końcu wiruje zawrotnie. Aleksandrę oblewa pot. Podchodzi ojciec Antonio i wstrętną, olbrzymią, gorącą łapą dotyka jej policzka. Aleksandra pada na podłogę jak rażona prądem.

— Aleksandro, co ci się stało? — krzyknął przerażony Marcin pochylając się nad nią.

Upadła i z posiniałą twarzą leżała na podłodze sztywna i bez tchu. Raptem chwyciły ją konwulsje.

— Aleksandro! Aleksandro!

Nie reagowała; nie słysząc go i nie czując jego ramion jęczała i gryzła wargi.

W końcu, podobnie jak burza morską przycicha z wolna, zamarły żalosne jęki Aleksandry, ustały też drgawki. Uspokoila się i leżała bezwładna, jak martwa. Marcin podniósł ją, na rękach zaniósł do pokoju i położył na łóżku.

Mineła godzina, a może i więcej, zanim Aleksandra otworzyła oczy. Jak pijana rozejrzała się dookoła i przeciągnęła rękami po twarzy, jakby ją chciała otrzeć z brudu. Chwilę leżała bez słowa. Widać było po niej ogromne zmęczenie.

Wreszcie wstała i połknęła jakąś pigułkę.

Marcin nie spuszczał z Aleksandry przerażonych oczu.

— Nie rób takiej miny. Jeżeli masz zostać moim przyjacielem, będziesz musiał się do tych rzeczy przyzwyczaić. To głupstwo — uspokajała go.

Wzięła ze stolika papierosa i zapaliła.

— O czym to mówiłam? — spytała po chwili.

Marcin przypomniał jej.

— Wiesz, tracę pamięć — rzekła. — Wyjdźmy, chcę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wyszli na taras i oparli się o balustradę.

— Zdaje mi się, że opowiadałam ci o tej ucieczce.

Milczała chwilę, z papierosem w ustach.

— Ze mną nie można wygrać ani prośbą, ani groźbą, jak twierdziła siostra Teodolina. Dręczyła mnie całymi dniami analizowaniem moich uczuć i moich reakcji. Po owym incydencie z ojcem Antonio rozpoczęłam serię umartwień: klęczałam godzinami na potłuczonym szkłe, polewałam ręce gorącym woskiem ze świec, a nawet skaleczyłam się w ramię brzytwą do golenia. Siostra Teodolina płaczem usiłowała mnie zmusić do wyznania, dlaczego się skaleczyłam, ale nie chciałam powiedzieć; w rzeczywistości sama nie wiedziałam i chyba dotychczas nie wiem. Ale siostra Teodolina powiedziała, że bym nie urządziła podobnych historii, że Bóg nie lubi takich wybryków i że w tego rodzaju uczynkach przejawia się ogromna, szatańska pycha. To mi dopiero nowość! Tamto było silniejsze niż jakiegokolwiek dowodzenie. Posłuchaj, jak skończyło się to szaleństwo.

Zamyśliła się.

— To dziwne ■ — podjęła po chwili. — Usiłuję przypomnieć sobie, jaki był bieg wypadków w tamtym roku, ale przychodzą mi na pamięć tylko pojedyncze sceny, jedna po drugiej. Czy i tobie zdarza się to samo? W tej chwili czuję bieg czasu, mam wrażenie, że płynie wraz z krwią w moich żyłach mierzony uderzeniem pulsu. Ale nie udaje mi się prześledzić pamięcią przeszłości; widzę luźne sceny, bez ruchu, jak na fotografii.

Pamięć jej składa się ze statycznych, utrwalonych fragmentów jej życia. Czas pomiędzy nimi nie wpływa, a wydarzenia, które zachodziły w różnych, odległych od siebie okresach, wiążą się lub łączą ze sobą

dzięki dziwnym antypatiom i sympatiom. Być może wydostają się one na powierzchnię świadomości połączone już więzią niedorzeczną, lecz potężną; bywa nią pieśń, żart albo zwyczajna nienawiść. Teraz na przykład nicią, która owe fragmenty łączy i wydobywa jeden po drugim na powierzchnię, jest pewne zakłopotanie, pewnego rodzaju zawstydzenie kojarzące się z takimi słowami, jak Bóg, plaża, grzech, czystość, morze, śmierć.

— Widzę siebie w pewien dzień letni i słyszę, jak babka Helena powiada: „Aleksandra powinna wyjechać na wieś, musi koniecznie zaczerpnąć świeżego powietrza”. Ciekawe: pamiętam, że babka trzymała wtedy w ręce srebrny naporstek.

Aleksandra roześmiała się.

— Dlaczego się śmiejesz? — spytał zaciekawiony Marcin.

— Nie, nic ważnego. Otóż posłali mnie na wieś, do dwóch staruszek Carrasco, dalekich krewnych babki Heleny. Nie wiem, czy ci już mówiłam, że babka Helena nie pochodziła z rodziny Olmosów; jej panieńskie nazwisko brzmiało Lafitte. Była bardzo piękną dziewczyną, kiedy wyszła za mego dziadka Patricia, syna don Pancha. Dziadek Patricio już nie żyje, opowiem ci kiedyś o nim. A więc, jak powiedziałam, stare Carrasco były kuzynkami drugiego stopnia babki Heleny. Były to poczciwe, śmieszne staruszki, nawet imiona miały śmieszne: Ermelinda i Rosalinda. Były mi tak obojętne, jak uliczni przechodnie albo jak kamienie, nie słuchałam nawet, co mówią. A były tak nieskończenie naiwne, że gdyby choć przez sekundę mogły czytać w moich myślach, umarłyby z przerażenia. Toteż ogromnie lubiłam wyjeżdżać do nich na wieś: miałam zupełną swobodę i mogłam na swojej klaczy pędzić galopem aż na plażę, bo posiadłość leżała nad oceanem, trochę na południe od Miramar. Poza tym pasjami lubiłam pływać, jeździć konno, pozostawać sam na sam z niezmierną przyrodą, z dala od plaży, gdzie złązili się ci wszyscy wstrętnei ludzie, których nie cierpiałam. Przez cały rok nie widziałam Marka Molino i cieszyło mnie też, że go spotkam. Ten rok był taki ważny! Chciałam podzielić się z nim nowymi myślami, przedstawić mu pewien wspaniały projekt, natchnąć go moją gorącą wiarą. Zawsze by-

łam dzika i pełna energii, ale w tym roku moja energia wzrosła w dwójnasób, choć obrała inny kierunek. Marek dosyć się nacierpiał tego lata. Miał piętnaście lat, o rok więcej niż ja. Był przystojny, świetnie zbudowany. Jestem teraz pewna, że będzie doskonałym ojcem rodziny i z pewnością zostanie kiedyś kierownikiem któregoś z oddziałów Akcji Katolickiej. Nie żeby był nieśmiały, ale był poczciwy, naiwny i spokojny, jak przystało na chłopca z porządnego katolickiego domu. A teraz posłuchaj: ledwie przyjechałam na wieś, zagarnęłam go wyłącznie dla siebie i zaczęłam go przekonywać, że jak tylko ukończymy oboje osiemnaście lat, powinniśmy wyjechać do Chin albo do Amazonii. Rozumiesz? W charakterze misjonarzy. Wyjeżdżaliśmy konno i zapuszczaliśmy się plażą daleko na południe. Kiedy indziej jeździliśmy na rowerach albo maszerowaliśmy całymi godzinami pieszo. W długich, pełnych entuzjazmu wywodach usiłowałam mu wtedy wytłumaczyć, jak piękne będzie to, czego wspólnie z nim zamierzam dokonać. Rozwodziłam się nad ojcem Damianem i nad jego działalnością wśród trędowatych w Polinezji, opowiadałam o misjonarzach w Chinach i w Afryce i o mniszkach, które padły ofiarą Indian w Mato Grosso. Największą rozkoszą, według mnie, byłoby umrzeć jako męczennica. Wyobrażałam, sobie, jak zostaję porwana przez dzikich, jak mnie obnażają i jak później wśród okrzyków i tańców podchodzą do mnie z wyostrzonym kamiennym nożem, otwierają mi pierś i wrywają krwawiące serce.

Aleksandra umilkła, ponownie zapaliła zgasłego papierosa i podjęła opowiadanie.

— Marek był katolikiem, ale słuchał mnie z pełną niechęcią. Aż pewnego dnia wyznał mi, że Wszystkie te męczeństwa misjonarzy, którzy ginęli w torturach za wiarę, są podziwu godne, ale że on nie czuje się zdolny do takich ofiar. A także, że według jego zdania można służyć Bogu inaczej, skromniej, będąc po prostu dobrym człowiekiem i nie czyniąc złego. Strasznie mnie to zirytowało.

„Jesteś tchórzem!” — krzyczałam, pieniąc się ze złości.

Podobne sceny, z małymi wariantami, powtórzyły się kilkakrotnie.

Marka to martwiło, czuł się upokorzony, Pamiętam, jechałam raz u jego boku i zaciąwszy batem moją siwą klacz, puściłam się galopem, wściekła i pełna pogardy dla tego fajtlapy. Następnego dnia ponowiłam atak. Do dziś nie mogę pojąć, dlaczego tak się na tego chłopca uwzięłam, bo nie podobał mi się pod Radnym względem. Po prostu zawzięłam się i nie dawałam mu spokoju.

„Aleksandro — przerywał mi łagodnie, kładąc swoje wielkie łapsko na moim ramieniu — skończ już to twoje kazanie i chodźmy się kąpać”.

Ale nie dawałam mu się wykręcić. Wciąż wracałam do tego samego.

Czasem rozmawialiśmy o małżeństwie.

„Nigdy nie wyjdę za mąż — zapewniałam go. — A jeżeli nawet wyjdę, to nie będę miała dzieci”.

Bardzo był zdziwiony, kiedy to pierwszy raz usłyszał.

„A wiesz, co się robi, żeby mieć dzieci?” — spytałam.

„Wiem, mniej więcej” — odpowiedział, czerwieniąc się po uszy.

„Więc jeżeli wiesz, to rozumiesz, jakie to świństwo”.

Powiedziałam mu to ze stanowczością, a nawet ze złością. Miał to być jeszcze jeden argument na poparcie mojej teorii o misjonarzach i o poświęceniu.

„Wyjadę stąd, ale nie mogę wyjechać sama. Rozumiesz? Muszę wyjść za mąż, bo inaczej będą mnie szukali przez policję i nie wypuszczą z kraju. Dlatego też pomyślałam, że mogłabym wyjść za ciebie. Posłuchaj : mam teraz czternaście lat, a ty piętnaście. Jak będę miała osiemnaście, ukończę szkołę i pobierzemy się za pozwoleniem sądu dla nieletnich. Nikt nam w tym nie będzie mógł przeszkodzić. W ostateczności uciekniemy, wtedy będą musieli się zgodzić.

„I pojedziemy do Chin albo do Amazonii. Co ty na to? Ale pobierzemy się tylko w tym celu, żeby móc spokojnie wyjechać, rozumiesz? Nie po to, żeby mieć dzieci, już ci to powiedziałam. Nie będziemy mieli dzieci. Będziemy zawsze razem, będziemy jeździli po egzotycznych krajach, ale się nie dotkniemy. Prawda, że to piękne?”

Marek był przerażony.

„Nie powinniśmy unikać niebezpieczeństwa — ciągnęłam — ■ powinniśmy wyjść mu naprzeciw i zwalczyć je. Niech ci się nie zdaje, że nie bierze mnie cza-
sem, pokusa. Ale jestem mocna i potrafię się opano-
wać. Wyobraź sobie, jak to będzie pięknie: będzie-
my razem przez długie lata, będziemy spać w jed-
nym łóżku, będziemy się obnażać, ale się nie zbliży-
my do siebie i nawet się nie pocałujemy”.

Marek patrzył na mnie ze zgrozą.

„To, co mówisz, jest szaleństwem — powiedział. —
Przecież Bóg każe mieć dzieci w małżeństwie”.

„Oświadczam ci, że nie będę miała dzieci — wrza-
snęłam. — I ostrzegam cię, nie dotykaj mnie! Ani ty,
ani nikt inny!”

Trzęsąc się ze złości zaczęłam się rozbierać.

„Zaraz zobaczysz” — rzuciłam, mu wyzwanie.

Czytałam gdzieś, że w Chinach krępują kobietom
stopy, żeby nie rosły, a w Syrii dzieciom bandażują
głowy. Kiedy zaczęły mi rosnać piersi, ścisnęłam je
długą na trzy metry płócienną opaską wyciętą z prze-
ścieradła. Okręcałam się nią kilka razy, straszliwie
mnie uciskała. Ale piersi mimo to rosły, jak owe ro-
śliny, co rodzą się w szczelinach między kamieniami
i rozsadzają skały.

Zdjęłam z siebie bluzkę, spódnicę i majtki i zaczę-
łam rozwijać opaskę. Przerażony Marek utkwiał we
mnie wzrok, jak ptak urzeczony przez węża.

Naga położyłam się na piasku.

„A teraz ty! — zawołałam. — Pokaż, że jesteś męż-
czyzną !”

„Aleksandro — ■ wybełkotał — co robisz, przecież
to szaleństwo i grzech”.

Parę razy wyjąkał, że to grzech, co robię, i wciąż
na mnie patrzył, a ja krzyczałam i uragałam mu tak
długo, aż w końcu zaciskając szczęki z wściekłości,
zaczął się i on rozbierać. Obnażył się — i wyczerpała
się jego energia, gdyż stał bezwładny i patrzył na
mnie ze strachem.

„Połóż się tu” — rozkazałam.

„Aleksandro, to szaleństwo i grzech”.

„Połóż się, powiadam”.

Musiał w końcu usłuchać. Patrząc w niebo leżeli-
śmy obok siebie na gorącym piasku. Zapadła przytła- 53

czająca cisza, tylko fale rozbijały się z szumem o brzeg i mewy krążyły z piskiem ponad nami.

„Widzisz, jakie to proste — przekonywałam go. — Zawsze tak będziemy”.

„Nie, o, nie! — Marek zerwał się na równe nogi. — Jesteś szalona, zupełnie szalona” — wołał, ubierając się pośpiesznie.

Nic nie odrzekłam, tylko uśmiechnęłam się zadowolona z siebie. Czułam się mocna.

„Gdybyś mnie tknął, przebiłabym cię nożem” — oświadczyłam z największym spokojem.

Marek stanął jak wryty; nagle puścił się biegiem w stronę Miramar.

Leżąc na boku patrzyłam, jak się oddala, potem wstałam i pobiegłam do wody. Pływałam długo i zapamiętałam, czując, jak słona woda otula moje nagie ciało.

Przez kilka dni Marek nie przychodził do Piedras Negras. Byłam pewna, że ze strachu zamknął się w domu. Onieśmielony, pokazał się dopiero za tydzień. Udałam, że nic się nie stało, i jak zwykle wyszliśmy na przechadzkę.

„No i co, Marku? —• spytałam z głupia frant. — Czy pomyślałeś o tym małżeństwie?”

Mai*ek przystanął i spojrzał na mnie z powagą

„Ożenię się z tobą, Aleksandro •— powiedział z mocą. — Ale nie tak, jak ty chcesz”.

„Jak to? — zawołałam. —■ Co ty gadasz?”

„Mówię, że się z tobą ożenię, żeby mieć dzieci, tak jak wszyscy”.

Krew uderzyła mi do głowy. Nie wiedząc, co czynię, rzuciłam się na niego i zmagając się runęliśmy na ziemię. Choć Marek był ode mnie o rok starszy i silniejszy, z początku przewaga była po mojej stronie, wściekłość spotęgowała moje siły. Pamiętam, że w pewnej chwili zdołałam go powalić. Leżałam na nim i kolanami tłukłam go po brzuchu. Z nosa puściła mi się krew, walczyliśmy jak śmiertelni wrogowie. Ale Marek wyteżył wszystkie siły i w końcu wziął górę. Przygniótł mnie swoim ciężarem, jak kleszczami ścisnął mi ramiona, poczułam na twarzy jego gorący oddech i w końcu pocałował mnie.

Z całych sił ugryzłam go w usta. Krzycząc z bólu Marek uwolnił mnie z uścisku i pobiegł jak szalony.

Podniosłam się, ale dziwna rzecz, nie pobiegłam za nim; stałam jak przymurowana widząc, że się oddała. Ręką wytarłam usta, jakbym chciała oczyścić je z brudu, a gniew wzbierał we mnie jak wrzątek w garnku. Zrzuciłam więc z siebie odzież i pobiegłam do wody. Pływałam długo, bodaj że kilka godzin, zapuszczając się daleko w morze. Dziwną rozkosz sprawiało mi to pływanie. Czułam się mocna, a zarazem samotna i jak gdyby opętana przez diabła.

Pływałam dopóty, dopóki nie zaczęły mnie opuszczać siły; wtedy dopiero zawróciłam.

Położyłam się na gorącym piasku i odpoczywałam, patrząc na szybujące w powietrzu mewy. Wysoko na niebie tkwiły nieruchomo obłoki; zapadał już zmierzch i dookoła panowała zupełna cisza; tylko we mnie szalała burza. Byłam jak łódka miotana szkwalem.

Do domu wróciłam późnym wieczorem, pełna nieokreślonej urazy do świata i do siebie samej. Do siebie miałam żal o to, że walka z Markiem i jego pocałunek sprawiły mi przyjemność. Nawet i później, leżąc na wznak w łóżku, odczuwałam dreszcze, jak w gorączce. Ciekawe, że nie myślałam przy tym o Marku (powiedziałam ci, że uważałam go za głupiego i wcale mi się nie podobał); było to coś, co czułam na skórze i we krwi, jakieś wspomnienie mocnych ramion i ciężaru, co ugniatał mi piersi i brzuch. Nie umiem ci tego wytłumaczyć; walczyły we mnie dwie przeciwstawne siły; walka ta, której nie mogłam zrozumieć, męczyła mnie i budziła nienawiść tym większą, im mocniejszy żar odczuwałam w całym ciele, a zwłaszcza w koniuszkach piersi.

Nie mogłam usnąć. Spojrzałam na zegarek: zbliżała się północ. Nie myśląc, co robię, ubrałam się i wyskoczyłam, jak już nieraz, przez okno z mego pokoju do ogródka. Nie pamiętam, czy ci już mówiłam, że panny Carrasco posiadały drugi domek w samym Miramar, gdzie spędzały letnie tygodnie. Tam właśnie bawiłyśmy wówczas.

Pobiegłam prosto do domu Marka (choć przysięgałam, że nigdy więcej go nie zobaczę).

Pokój Marka, na piętrze, wychodził na ulicę. Zagwizdałam jak zwykle i czekałam.

Nie odpowiedział. Podniosłam kamyk, cisnęłam nim w otwarte okno i jeszcze raz zagwizdałam. Wre-

szcie podszedł do okna i przestraszony spytał, co się stało.

„Zejdź na dół — powiedziałam. — Chcę z tobą pomówić”.

Przypuszczam, że do tej chwili nie wiedziałam jeszcze sama, że chcę go zabić, jakkolwiek przezornie wzięłam z sobą mój nożyk.

„Nie mogę, Aleksandro — odpowiedział. — Ojciec i tak się gniewa, a jak usłyszysz, dopiero będzie źle”.

„Jeżeli nie zejdziesz — odpowiedziałam z udanym spokojem — będzie jeszcze gorzej, bo wtedy ja wejść na górę”.

Chwilę wahał się, rozważając zapewne, jakie mogą być skutki moich propozycji, i zdecydował się zejść.

Po chwili wyszedł tylnymi drzwiami.

Ruszyliśmy; ja na przódzie, on za mną.

„Dokąd idziesz? — spytał trwożnie. — Co chcesz zrobić?”

Nie odpowiedziałam i szłam przed siebie, aż dotarliśmy do ugoru oddalonego o paręset metrów od jego domu. Marek włókł się przez cały czas za mną. Obróciłam się nagle.

„Dlaczego pocałowałaś mnie dzisiaj?” — spytałam.

Sposób lub ton, jakim to powiedziałam, wywarł na nim chyba wrażenie, bo głos uwiązł mu w gardle.

„Odpowiadaj!” — rozkazałam.

„Wybacz mi — szepnął — uczyniłem to niechcący...”

Zauważył, być może, błysk ostrza albo też instynkt samozachowawczy kazał mu rzucić się na mnie i oburącz pochwycić moją prawą rękę. Udało mu się wyrwać mi nóż z dłoni; cisnął go daleko w zielsko. Płacząc z wściekłości zaczęłam go szukać, nie sposób jednak było znaleźć nóż w nocy, pośród gąszczu. Wtedy puściłam się biegiem w dół, w stronę morza; strzeliło mi do głowy, że powinnam się utopić. Marek biegł za mną, odgadł chyba mój zamiar, bo nagle z całej siły uderzył mnie za uchem. Straciłam przytomność.

Później dowiedziałam się, że podniósł mnie i zaniósł do domu. Położył mnie pod drzwiami, ządzwo-

nił i czekał, dopóki nie ujrzał światła w oknach i nie usłyszał, że ktoś podchodzi do drzwi. Wtedy uciekł. Cóż innego mógł uczynić? Gdyby był pozostał przy mnie, nieprzytomnej, o północy, kiedy staruchy były przekonane, że śpię u siebie w łóżku, wyobrażasz sobie, co by się działo? W tej sytuacji postąpił właściwiej. Mimo to nie uniknęłam skandalu.

Kiedy oprzytomniałam, już w moim pokoju, ujrzałam nad sobą obie starszki, a także kucharkę i pokojową. Wachlowały mnie, nacierały wodą kołońską, płacząc przy tym i lamentując, jakby stała się Bóg wie jaka tragedia.

Pytaniom, piskom i okrzykom przerażenia nie było końca. Była to prawdziwa katastrofa.

Jak się domyślasz, odmówiłam wszelkich wyjaśnień.

Przyjechała zrozpaczona babka Helena i na próżno starała się wydobyć ze mnie tajemnicę. Dostałam gorączki, która trwała prawie całe lato.

W końcu lutego zaczęłam wstawać z łóżka.

Nie rozmawiałam z nikim, byłam jak oniemiała.

„Nie chciałam też pójść do kościoła, wzdrygałam się na samą myśl, że mam się wypowiadać z moich uczuć.

Kiedy wróciłyśmy do Buenos Aires, ciotka Teresa (nie wiem, czy opowiadałam ci już o tej starej hysteryczce, co to spędzała swój żywot na mszach i na pogrzebach i stale rozprawiała o chorobach i kuracjach), otóż ciotka Teresa tak mi powiedziała:

„Jesteś żywym portretem swego ojca. Nic dobrego z ciebie nie wyrośnie. Jestem szczęśliwa, że nie jesteś moją córką”.

Byłam wściekła na tę starą wariatkę. Ale rzecz dziwna — wściekłość moja zwracała się raczej ku memu ojcu; złośliwość ciotki Teresy, we mnie wycelowana, odbiła się ode mnie jak bumerang i trafiła prosto w mego ojca.

Powiedziałam babce Helenie, że w tym domu nie zostanę ani dnia dłużej i że chcę wrócić do szkoły.

Przyrzekła porozmawiać z siostrą Teodoliną, żeby zephiciały mnie przyjąć przed rozpoczęciem nauki.

Nie wiem, o czym ze sobą mówiły, w każdym razie znalazł się sposób, żebym została przyjęta. Wieczorem uklęknęłam przy łóżku i prosiłam Boga o śmierć ciotki Teresy. Modliłam się o to żarliwie przez kilka

miesiący każdego wieczora przed spaniem, a także podczas wielogodzinnych modłów w kaplicy. Spowiedzi jednak odmówiłam, pomimo nalegań siostry Teodoliny: wpadłam na chytrą myśl, żeby najpierw wymodlić śmierć ciotki, a później dopiero wypowiadać się, ponieważ (sądziłam) gdybym się wypowiadała wcześniej, musiałabym wyznać, czego pragnę, i byłabym zmuszona zaniechać tego.

Ale ciotka Teresa nie umarła. Przeciwnie, kiedy na wakacje wróciłam do domu, zastałam ją w najlepszym zdrowiu. Starucha ta miała zwyczaj stale się skarżyć i połykać niezliczone ilości pigułek w najrozmaitszych kolorach, ale była zdrowa jak koń. Ulubionym jej tematem były choroby i śmierć.

Wchodziła, na przykład, do jadalni i wołała z emfazą:

„Zgadnijcie, kto umarł?” Po czym wyjaśniała z mieszaniną ironii i dumy: „A mówiłam, że to rak, a nie zapalenie wątroby”.

Największą jej przyjemnością było podawać przez telefon tragiczne wiadomości. Rozmowy prowadziła stylem telegraficznym; w najkrótszym czasie pragnęła zawiadomić możliwie największą ilość osób (bała się żeby ktoś jej nie ubiegł). Powiadała na przykład: „Józefina? Pipo umarł, rak”, i to samo do Marii Rosy, do Beby, Niny, Marii Magdaleny i do wszystkich swoich kum.

Ujrzawszy ją przeto w znakomitym zdrowiu, nifnawieść, którą odczuwałam do niej, przeniosłam na Boga. Czułam się oszukana: trzymał najwyraźniej stronę tej starej złośliwej histeryczki, niewiele się więc chyba od niej różnił. Moja pasja religijna przybrała kierunek odwrotny; nie tracąc nic ze swej mocy stała się pasją antyreligijną. Ciotka Teresa twierdziła, że nic dobrego ze mnie nie wyrośnie, mówiła, że jestem .zgubiona, a więc i Bóg podobnie myślał, co więcej, pragnął tego. Zaczęłam planować zemstę i wyobrażałam sobie, jak będę dręczyć Marka Molino, kiedy Drzyjadę do Miramar, jak gdyby to Marek był przedstawicielem Boga na ziemi. Na razie miałam kilka drobniejszych osiągnięć: połamalam krzyż wiszący nad moim łóżkiem, obrazki wyrzuciłam na śmietnik, podarłam sukienkę uszytą do komunii i używałam jej jako ścierki.

Wiedząc, że rodzina Molino wyjechała do Miramar, uprosiłam babkę Helenę, żeby zatelefonowała do starych Carrasco. Nazajutrz wyjechałam; do Miramar przybyłam po południu, a ponieważ do estancji było jeszcze parę godzin jazdy samochodem, który oczekiwał mnie na dworcu, więc tego dnia nie widziałam się już z Markiem.

W nocy nie mogłam spać.

Noc jest nieznośnie upalna i duszna. Tarczę księżycyca okala żółta jak ropa obwódka. W naładowanym elektrycznością powietrzu nawet liść nie zadrży: nadciągająca burza. W pokoju jasnym od księżycowego światła naga Aleksandra przewraca się na łóżku, umęczona upalem i nienawiścią. Wstaje i podchodzi do okna. Patrzy na zegarek: jest wpół do trzeciej. Wygląda przez okno; krajobraz pełen blasku, zamknięty na horyzoncie górami, sprawia wrażenie dekoracji teatralnej. Zaniepokojone psy bez ustanku szczekają, ujadanie ich to oddala się, to przybliża. Niesamowite jest to żółte ciężkie światło. Trudno oddychać gęstym powietrzeni przesyconym zapachem magnolii i jaśminu. Aleksandra nie może oprzeć się pokusie, wyskakuje przez okno, idzie trawnikiem. Pies Milord poznał ją; przyjaźnie merda ogonem. Aleksandra idzie boso po wilgotnej szorstkiej trawie; oddaliwszy się od domu, rzuca się na ziemię, szeroko rozwierając ramiona i nogi. Żdźbła trawy laskoczą jej nagie ciało, tonące w blasku księżycyca. Leży jak pijana; o niczym nie myśli: czuje tylko, że cała płonie, rękoma dotyka brzucha, głaszcząc się po udach i muska koniuszki piersi, drży, skóra jej pręży się jak u kotki.

Nazajutrz, z samego rana, osiodłałam klacz i pojechałam do Miramar. Nie pamiętam, czy ci już mówiłam, że spotykałam się z Markiem potajemnie; jego rodzina nie cierpiała mnie, a ja odwzajemniałam ich niechęć. Zwłaszcza nie znosiły mnie jego siostry, dwie idiotki, których największą ambicją było wyjść za mąż za graczy w polo i jak najczęściej odczytywać swoje nazwiska w kronice towarzyskiej „Atlantydy”. Zarówno Monika, jak i Patrycja robiły nadąsane miny, gdy spotykały mnie z braciszkiem. Miałam swój własny sposób porozumiewania się z nim: kiedy sądziłam, że jest w domu, gwizdałam pod jego oknem; jeśli go nie było, zostawiałam mu wiadomość u ką-

pielowego Lomónaco. Tego dnia nie było go w domu, nie odpowiedział na mój sygnał.

Na plaży dowiedziałam się od Lomónaco, że Marek wybrał się w towarzystwie siostr i ich przyjaciółek do Dormy House i wróci po południu. Nie było rady, musiałam poczekać. Kazałam mu powiedzieć, że będę go oczekiwała o szóstej po południu w Piedras Negras. W złym humorze wróciłam do estancji.

Po poobiedniej sjeście wyruszyłam konno do Piedra Negras. Czekałam.

Już poprzedniego dnia zanosilo się na burzę. Dzisiaj powietrze jest ciężkie i lepkie, niemal płynne; ogromne chmurzyska od samego rana wędrowały na wschód, a po południu zakryły całe niebo. Niespokojna, oblana potem Aleksandra leży w cieniu sosny i czuje, że w atmosferze narasta ładunek elektryczności, jak zwykle przed wielką burzą.

W miarę jak mijało popołudnie, byłam coraz bardziej rozdrażniona. Niecierpliwiło mnie czekanie na Marka; w końcu pojawił się o zmierzchu, który zapadł wcześniej z powodu zbierających się na zachodzie chmur.

Przyszedł, a raczej przybiegł, pomyślałam, że boi się burzy. Do dziś nie rozumiem, dlaczego wyładowałam całą nienawiść na tym nieszczęsnym, raczej pożałowania godnym chłopcu. Nie wiem, co bardziej skłaniało mnie do pastwienia się nad nim: czy to, że uważałam go za wzorowego katolika, czy też to, że był taki pocziwy. I to możliwe, że pociągał mnie fizycznie, miał w sobie coś ze zwierzęcia, coś, co działało ina zmysły.

„Aleksandro — powiedział — nadciąga burza i zdaje mi się, że lepiej będzie wrócić do Miramar”.

„Zaledwie przyszedłeś, już chcesz pędzić do domu — odrzekłam z pogardą. — Tak długo mnie nie widziałeś i wcale nie jesteś ciekaw, dlaczego chciałam się z tobą spotkać”..

Usiadłam, żeby się rozebrać.

„Mam z tobą dużo spraw do omówienia, ale najpierw chodźmy popływać”.

„Byłem cały dzień w wodzie — bronił się —■ A zresztą popatrz, co się dzieje” — dodał, wskazując na niebo.

„Nie szkodzi. Chodźmy”.

„Nie przyniosłem slipów”.

„Slipy? —■ spytałam z ironią. — Ja także nie mam kostiumu”.

Zaczęłam ściągać z siebie dzinsy.

„Nie, Aleksandro — powiedział tak stanowczo, że zwróciło to moją uwagę — ja sobie pójdę. Nie mam slipów, a nago nie będę się z tobą kąpał”.

Ściągnęłam tymczasem dzinsy, stanęłam wyprostowana i powiedziałam, z miną niewiniątka:

„Dlaczego? Boisz się? Taki z ciebie katolik, że musisz być ubrany, żeby nie grzeszyć? Czy nagi stajesz się innym człowiekiem? Zawsze wiedziałam, że jesteś tchórzem — dodałam zdejmując majtki ■— typowym katolickim tchórzem”.

Wiedziałam, że to poskutkuje. Marek, który w chwili kiedy zaczęłam się rozbierać, odwrócił ode mnie *r j* wzrok, teraz spojrzął na mnie czerwony ze wstydu i złości i z zaciśniętymi szczękami zaczął się rozbierać. Mocno wyrósł w ciągu tego roku, dzięki uprawianiu sportów zmężniał, mówił też głębokim, męskim głosem. Przestał już być tym śmiesznym dzieckiem, jakim był jeszcze w ubiegłym roku: przy swoich szesnastu latach był nad wiek silny i rozwinięty. A ja nie nosiłam, już tej głupiej opaski i piersi, oswobodzone z ucisku, zaokrągliły się znacznie, urosłam i rozpierała mnie energia i siła.

Pragnęłam go dręczyć, więc kiedy już się obnażył, obrzuciłam go od stóp do głów badawczym spojrzeniem.

„Prawda, że nie jesteś już takim smarkaczem, jak w ubiegłym roku”.

Marek, zawstydzony, odwrócił się do mnie plecami.

„Już się nawet golisz...”

„A cóż w tym złego, że się gołę” — burknął ze złością.

„Nie powiedziałam, że to coś złego. Stwierdziłam tylko, że się golisz”.

Nie odezwał się i nie chcąc zapewne patrzeć na swoją nagość ani przede mną demonstrować swojej, pobiegł do wody, w chwili gdy pierwsza błyskawica rozdarła niebo. Jak gdyby grom był sygnałem do rozpoczęcia widowiska, woda spieniła się, ołowiana, szara powierzchnia oceanu stała się niemal czarna, a błyskawice raz po raz rozświetlały niebo zasnutym ciężkimi chmurami.

Na moje napięte i wibrujące jak struna ciało spadły pierwsze krople deszczu. Fale rozbijały się z hukiem o brzeg.

Wypłynęliśmy w morze. Unoszona przez fale jak piórko, miałam cudowne poczucie siły i jednocześnie słabości. Marek pływał u mego boku nie odstępując mnie; nie wiem, czy bał się o mnie, czy o samego siebie.

„Wracajmy, Aleksandro! Za chwilę nie będziemy nawet wiedzieli, gdzie jest plaża!” — zawołał, kiedy oddaliliśmy się znacznie od brzegu.

„Zawsze ta ostrożność!” — krzyknęłam w odpowiedzi.

„A więc ja sam wrócę!”

Nie odpowiedziałam, nie można się już zresztą było porozumieć. Zawróciłam. Bezustanne błyskawice i grzmoty toczyły się z hukiem po czarnym niebie i pękały nad naszymi głowami.

Dotarliśmy do plaży i pobiegli do miejsca, gdzie zostawiliśmy ubrania. W tej chwili burza rozpełtała się z prawdziwą furją: zimny, ryczący wichur z pampy wymiatał plażę, a nawałnica zaciniała ukośnymi strugami.

Było wspaniale. Nadzy, smagani deszczem i wiatrem, staliśmy na opuszczonej plaży, pośród scenarii rozświetlanej zygzakami błyskawic.

Przestraszony Marek zaczął się ubierać. Rzuciłam się na niego i wyrwałam mu z rąk koszulę.

Stojąc przywarłam piersiami i brzuchem do jego muskularnego, drżącego ciała. Zaczęłam go całować, gryźć jego wargi i uszy, wbijać mu w plecy paznokcie. Marek bronił się, rozpoczęliśmy walkę na śmierć i życie. Ilekroć udało mu się oderwać usta od moich, mamrotał jakieś niezrozumiałe, lecz na pewno rozpaczliwe słowa. Usłyszałam tylko, jak krzyknął:

„Puść mnie, na miłość boską, puść mnie! Oboje pójdziemy do piekła!”

„Idioto, piekło nie istnieje — przekrzyczyłam go. — Wymyślili je księża, żeby otumanić takich głupców jak ty! Bóg nie istnieje!”

Marek walczył rozpaczliwie, w końcu zdołał mnie odepchnąć.

W świetle błyskawicy dostrzegłam na jego twarzy wyraz świętej grozy.

„Szalona jesteś, szalona! Jesteś opętana przez diabła! — krzyknął z szeroko otwartymi oczami, jakby na jawie przeżywał koszmar.

„Śmieję się z piekła, ty idioto! Śmieję się z męki wieczystej!” — wykrzykiwałam. Ale wraz z przyplływem nadludzkiej siły i nienawiści ogarniał mnie niewypowiedziany smutek. Zanosząc się od śmiechu i od płaczu wzniosłam ramiona ku niebu i z owym nieklamany patosem, na jaki stać tylko ludzi bardzo młodych, rzuciłam wyzwanie Bogu, żeby mnie zabił swoim piorunem, jeśli istnieje.

W świetle błyskawic dostrzega Aleksandra swoją nagość i zrywa się do ucieczki. Śmieszna i wzruszająca zarazem postanawia, że nigdy go już więcej nie ujrzy. Huk piorunów i ryk morza zdają się przepowiadać ciemne, straszliwe wyroki, jakie gotuje dla niej bóstwo.

XI Wrócili do pokoju. Aleksandra podeszła do stolika z lampą i wyjęła z fiolki dwie czerwone pigułki. Usiadła na brzegu tapczana i lewą ręką uderzyła Marcina lekko po łopatkę.

— Usiądź — powiedziała i połknęła pigułki bez wody.

Marcin usiadł, ona zaś położyła się na tapczanie, podkulonymi nogami dotykając chłopca.

— Muszę chwilę odpocząć — wyjaśniła i przymknęła oczy.

— Pójdę już chyba — powiedział Marcin.

— Nie, nie odchodź — szepnęła usypiając — potem jeszcze porozmawiamy... tylko chwileczkę...

I zapadła w głęboki sen.

Pantofle zsunęły się na podłogę; nagie stopy dotykały Marcina zmieszanego i odurzonego jeszcze jej opowiadaniem. Głupia historia jak w niedorzecznym dramacie, nie wiadomo, jak się wobec niej powinien zachować. Cokolwiek by robił czy nie robił, wszystko będzie niewłaściwe.

Po co tu siedzi? Czuje się głupio i niezręcznie. Ale z jakiegoś powodu, którego nie może zrozumieć, jest jej widać potrzebny. Czyż nie przyszła po niego? Czyż nie opowiedziała mu swoich przeżyć z Markiem Molino? „To pewne — pomyślał z dumą — że przedtem nie opowiadała ich nikomu”. A teraz nie pozwoliła 63

mu odejść i usnęła u jego boku, czym okazała mu najwyższe zaufanie, jak żołnierz, który powierza komuś swoją broń. Oto leży bezbronna, ale tajemnicza i niedostępna. Tak bliska, a jednak oddzielona nieważką, lecz nie dającą się przekroczyć ścianą snu. Ogarnia ją spojrzeniem: leży na wznak, łapczywie oddychając przez w pół otwarte usta, duże, zmysłowe i pełne pogardy. Długie, gładkie i ciemne włosy (o rudawym połysku, który przypomina, że ta Aleksandra była kiedyś rudowłosą -dziewuszką, tą samą, a jednak tak odmienną) rozsypane na poduszce odsłaniają twarz o rysach równie ostrych i pełnych wyrazu, jak ona sama. Światło nocnej lampki pada na jej rozluźnione ciało, na piersi rysujące się pod białą bluzką i na długie, piękne nogi, którymi go dotyka.

Marcin drży, pełen niejasnych, nie znanych mu dotąd myśli. Przybliży dłoń do jej ciała, lecz nie dotknąwszy go natychmiast ją cofa. Po dłuższym wahaniu jeszcze raz przybliży rękę, w końcu kładzie ją lekko na biodrze Aleksandry i pozostawia ją tak przez dłuższą chwilę, a serce bije mu gwałtownie, jakby wypełnił haniebną kradzież, jak gdyby korzystając ze snu żołnierza ukradł mu broń. W tym momencie Aleksandra obraca się, Marcin cofa rękę. Aleksandra podciąga nogi, unosi kolana, kuli się i przybiera pozycję embrionu.

Panuje głęboka cisza, słychać tylko przyspieszony oddech dziewczyny i odległe skrzypienie dźwigów portowych.

„Nigdy nie będę jej naprawdę znał” — pomyślał nagle i zasmucił się.

Oto leży tutaj, w zasięgu jego dłoni i ust. Jest niby to bezbronna, ale jakże daleka, jak nieosiągalna! Marcin przeczuwa, że rozdziela ich głęboka przepaść (nie tylko przepaść snu) i że chcąc wdrzeć się do jej duszy, będzie musiał przebyć daleką, najeżoną niebezpieczeństwami drogę, wśród płomieni i ciemności. „Nigdy nie będę jej znał” — powtórzył w myślach.

„A jednak jestem jej potrzebny, wybrała mnie” — pomyślał równocześnie. Tak czy inaczej, jego właśnie szukała i jego wybrała, dla jakiegoś celu, którego nie mógł zrozumieć. To jemu opowiedziała rzeczy, których — jest tego pewny — nie opowiadała nikomu, a przeczuwa, że opowie mu jeszcze wiele innych, stra-

szniej szych jeszcze i piękniejszych niż te, które mu już wyznała. Przeczuwa jednak, że istnieją inne jeszcze, których nigdy nie będzie mógł poznać. I te właśnie niepokojące, mroczne tajemnice są najgłębszą prawdą jej duszy i one tylko mają istotne znaczenie. Zadrżała, kiedy wspomniał o ślepych. Dlaczego? Dlaczego wzdręgnęła się, gdy wyrzekła niechcący imię Fernanda? „Ślepi — pomyślał niemal ze strachem. — Ślepi, ślepi”.

Noc, dzieciństwo, ciemność, ciemność, trwoga i krew, krew, ciało i krew, sny i przepaście, bezdenne przepaście, samotność, samotność, samotność, dotykamy się, ale jesteśmy nieskończenie daleko od siebie, dotykamy się, ale jesteśmy samotni. Był jak dziecko pod ogromną kopułą, pod samym środkiem kopuły, pośród przeraźliwego milczenia, samotne na tym niezmiernym świecie.

Wtem zauważył, że Aleksandra poruszyła się, uniosła nieco i jak gdyby odtrącała coś od siebie rękami. Z jej ust dobywały się dźwięki niezrozumiałe, Jęcz gwałtowne i błagalne, aż w końcu z nadludzkim wysiłkiem udało jej się krzyknąć wyraźnie: „Nie, nie”, i nagle zerwała się.

— Aleksandro! — zawołał Marcin i chcąc uwolnić ją od koszmaru potrząsnął jej ramieniem.

Otworzyła szeroko oczy, ale nie przestała jęczeć i gwałtownie odpychać od siebie niewidzialnego wroga.

— Aleksandro, Aleksandro! — wołał Marcin szarpiając ją za ramię.

Aż wreszcie przebudziła się, jak gdyby wynurzyła się z głębokiej, ciemnej studni.

— Ach — westchnęła z ulgą.

Chwilę siedziała na tapczanie, opierając głowę o zwarte kolana i rękami obejmując łydki. Potem wstała, zaświeciła dużą lampę, zapaliła papierosa i zaczęła parzyć kawę.

— ■ Obudziłem cię, bo zdawało mi się, że masz koszmarne sen — rzekł Marcin spoglądając na nią z niepokojem.

— Stale miewam koszmarne sny — odparła obrócona do niego plecami i postawiła imbryk na maszynie. Po chwili kawa była gotowa, podała mu filiżankę, wzięła swoją i usiadła zamyślona na tapczanie.

„Fernando, ślepi” — pomyślał Marcin.

„Z wyjątkiem Fernanda i mnie”, powiedziała.
A chociaż znał Aleksandrę dość dobrze, by domyślić się, że nie powinien pytać o to imię, które nieopatrznie wymieniła, jakiś niepojęty przymus kazał mu raz po raz powracać w zakazaną dziedzinę, krążyć wokół niebezpiecznego miejsca.

— Czy twój dziadek także jest unitarianinem? — zapytał.

— Co mówisz? — odrzekła jeszcze niezupełnie przytomna.

— Pytam, czy twój dziadek też jest unitarianinem. Aleksandra spojrzała na niego zdziwiona.

— Ależ nie, mój dziadek Patricio nie żyje. Żyje mój pradziadek Pancho, już ci o tym mówiłam.

— Właśnie, chciałem zapytać, czy twój dziadek Pancho także jest unitarianinem? Wydaje mi się śmieszne, że dziś jeszcze mogą istnieć w Argentynie unitarianie i federaliści.

— Nie zdajesz sobie sprawy, że tutaj się to przeżywało. A dziadek Pancho do dzisiaj to przeżywa. Ma dziewięćdziesiąt pięć lat, urodził się niedługo po upadku Rosasa.

—• Dziewięćdziesiąt pięć lat?

— Urodził się w 1858 roku. My sobie gadamy o unitarianach i federalistach, ale on to wszystko sam przeżył, rozumiesz? Kiedy był dzieckiem, Rosas jeszcze żył.

— I pamięta owe czasy?

— Ma niebywałą pamięć. A zresztą każdemu, kto mu się nawinie, tylko o tym opowiada, choćby przez cały dzień. Jasne: to jego jedyna rzeczywistość. Poza nią nic nie istnieje.

— Chciałbym z nim kiedyś porozmawiać.

— Zaraz ci go pokażę.

— Jak to, co mówisz? Przecież jest trzecia w nocy!

—• Nie bądź głupi. Dla dziadka nie ma trzeciej w nocy. Nigdy prawie nie śpi albo też drzemie o każdej porze, czy ja wiem... Ale nocami przeważnie czuwa, siedzi przy świetle i rozmyśla.

— Rozmyśla?

— No, nie wiem. Czy można wiedzieć, co się dzieje w głowie prawie stuletniego starca? Może tylko wspomina, czy ja wiem... Powiadają, że w tym wieku już się tylko wspomina... Postaram się nie doczekać tych lat — dodała uśmiechając się gorzko. I wyszła w spo-

sób tak naturalny, jakby miała złożyć normalną wizytę normalnym ludziom o odpowiedniej porze.
— Chodź, pokażę ci go teraz. Jutro może już nie żyć.

Przystanęła.

— Przywyknij chwilę do ciemności, łatwiej ci będzie zejść po schodach.

Postali chwilę oparci o balustradę i spoglądali na uśpione miasto.

— Spójrz na to oświetlone okno, w tamtym domku — rzekła wskazując ręką. — Zawsze mnie zastanawia takie światło wśród nocy. Może kobieta rodzi tam dziecko? Może ktoś umiera? A może po prostu ubogi student studiuje Marksa? Świat kryje w sobie tak wiele tajemnic. Jedyne człowiek powierzchowny tego nie widzi. Porozmawiaj z tym człowiekiem tam, na rogu. niech tylko będzie wobec ciebie szczery, a zobaczysz, że i on jest zagadką.

Po chwili powiedziała:

— No dobra. Chodźmy.

XII Zeszli po schodach i idąc wzdłuż domu dotarli chodnikiem do jakichś bocznych drzwi pokrytych winoroślą. Aleksandra namacała kontakt i zapaliła światło. Marcin ujrzał starą kuchnię z gratami spiętrzonymi jak do przewodniczki. Wrażenie to spotęgowało się, gdy znaleźli się na korytarzu. Pomyślał, że podczas kolejnych przenosin i ograniczeń mieszkańcy tej rudery nie mogli pewnie się zdecydować lub też nie umieli rozstać się z rzeczami; świadczyły o tym zniszczone meble i krzesła, połączane fotele bez siedzeń, wielkie lustro oparte o ścianę, stojący zegar z jedną wskazówką, jakieś konsole. Mieszkanie to przypominało lokale przy ulicy Maipu, gdzie odbywają się licytacje. Sypialnia starego łączyła się z jednym z dawnych salonów, meble w obu pokojach porozstawiane były w nieładzie. Pośród gratów przy słabym świetle naftowej lampy ujrzał Marcin starca drzemiącego w fotelu na kółkach. Fotel stał naprzeciwko okna wychodzącego na ulicę, zapewne po to, ażeby starszerek mógł przyglądać się światu.

— Spi — szepnął Marcin z ulgą. — Zostaw go lepiej.

— Powiedziałaś ci, że nie wiadomo nigdy, czy śpi. Pochyliła się nad starcem i lekko nim potrząsnęła.

— Co? Jak? — wyjąkał dziadek, na wpół otwierając oczy.

Oczy te, osadzone głęboko w oczodołach, były zielonawe, pokryte czerwonymi i czarnymi rowkami, jakby je ktoś wyżłobił. Otaczała je sieć głębokich zmarszczek, którymi poryta była skamieniała jak u mumii twarz.

— Spałeś, dziadku? — krzyknęła mu do ucha Aleksandra.

— Co, jak? Nie, córuchno, gdzieżbym tam spał. Odpoczywałem krzywą.

— Przyprowadziłam ci mego przyjaciela.

Stary kiwnął głową i powtórzył ten ruch kilkakrotnie, coraz słabiej, jak wahadło wyprowadzone z pozycji równowagi. Podał Marcinowi kościstą dłoń, na której ogromne żyły niemal wychodziły ze skóry suchej i przezroczystej jak błona starego bębna.

— Dziadku — zawołała — opowiedz mu coś o Patricku.

Wahadło znowu zostało puszczone w ruch.

— Aha — mrucał — Patrick, tak jest, Patrick.

— Obojętne, od czego zaczniesz — zauważyła Aleksandra — w końcu i tak będzie opowiadał o Legionie, dopóki się nie zmęczy i nie uśnie.

— Aha, porucznik Patrick, tak jest.

Oczy zaszyły mu łzami.

— Elmtrees, młodzieniaszek Elmtrees. Porucznik Patrick Elmtrees ze sławnego siedemdziesiątego pierwszego. Kto by to powiedział, że zginie w Legionie.

Marcin spojrzął na Aleksandrę.

— ■ Opowiedz mu, dziadku — krzyknęła.

Stary przyłożył do ucha wielką żylastą dłoń i nachylił głowę ku Aleksandrze. Na pergaminowej, jakby pośmiertnej masce przeblyskiwały jeszcze resztki istoty ludzkiej, myślącej i pocziwej. Dolna szczęka zwisała nieco, jak gdyby nie miała siły trzymać się górnej, i odkrywała bezzębne dziąsła.

— Tak jest, Patrick.

Zamyślił się, spojrzął w odległe czasy, a spojrzenie to różniło się od spojrzenia żywego człowieka, jak różni się album fotografii od życia.

— Nazwisko Olmos pochodzi od angielskiego Elm-

trees *. Bo dziadkowi sprzykrzyło się słuchać, jak nazywają go Elmetro. Elmetrio, Lemetrio, a nawet kapitan Demetrio.

Dziadek przysłonił usta ręką; wyglądało na to, że trzęsie się ze śmiechu.

— Tak jest, kapitan Demetrio. Miał tego po uszy. Takim się stał *criollo***, że nie cierpiał, jak mówili o nim „ten Anglik”. Więc ze złości zmienił nazwisko na Olmos.

Ale i rozwagi mu nie brakło, należy przyznać.

A zresztą Argentyna była jego prawdziwą ojczyzną. Tu się ożenił i tu urodzili się jego synowie. Ktokolwiek ujrzał go na cisawym koniu z rzędem nabijanym srebrem, nigdy by się nie domyślił, że to gringo*^.

A choćby się i domyślał, nie zdążyłby powiedzieć słowa, bo don Patricio w mig zdzieliłby go batem. Młody porucznik Patrick Elmtree, tak jest. Kto by to był powiedział! Przeznaczenie bywa czasem tak niepojęte jak tureckie kazanie. Kto by to powiedział, że było mu pisane zginąć pod rozkazami generała.

Starzec zachrapał nagle i usnął.

— Generała? Jakiego generała? — spytał Marcin Aleksandrę.

— Generała Lavalle.

— Nic nie rozumiem. Angielski porucznik w służbie Lavalle'a? Kiedy to było?

— Podczas wojny domowej, tumanie.

Stu siedemdziesięciu pięciu obdartych, zrozpaczonych ludzi ucieka wąwozem na północ, ciągle na północ, przed pościgiem lansjerów Oriby.

Chorąży Celedonio Olmos na koniu myśli o bracie, młodziutkim Poncho, który zginął w Gjuebracho Herrano, i o ojcu, kapitanie Patricio Olmosie, który zginął w Quebracho Herrado. Jak tamci zrozpaczeni, obdarty i głodny jedzie konno na północ, ciągle na północ pułkownik Bonifacio Acevedo. Wraz z nimi innych stu siedemdziesięciu i dwóch mężów, nie rozpoznanych. I jedna niewiasta. Dniem i nocą mkną na północ, w stronę granicy.

Dolna szczęka to opada, to przywiera do górnej.

— Wuj Panchito wraz z dziadkiem padli od lanc

* Od ang. *elmtree* — wiąz. (Przyp. red.)

** Tak nazywa się rodowitych Argentyńczyków. (Przyp. aut.)

••• Cudzoziemiec (trochę pogardliwie). (Przyp. aut.)

w GJuebracho Herrado —■ szepnął, jakby komuś potakiwał.

— Nic nie rozumiem — powiedział Marcin.

— 27 czerwca 1806 roku — wyjaśniała Aleksandra — Anglicy wdarli się na ulice Buenos Aires. Kiedy byłam ot taka (pokazała ręką), dziadek opowiadał mi tę historię sto siedemdziesiąt pięć razy. Dziewiąta kompania zamykała pochód słynnego siedemdziesiątego pierwszego (dlaczego słynnego?). Nie wiem, ale tak mówiono. Może dlatego, że nigdy me został pobity, w żadnej części świata, rozumiesz? Dziewiąta kompania postępowała naprzód ulicą Uniwersytecką. (Uniwersytecką?) No, tak, teraz jest to ulica Bolívara Kiedy dotarli do ulicy Wenezueli, skończyło się (co się skończyło?). Poczekaj, zaraz ci opowiem. Zaczęto ich atakować. Z tarasów, z okien, z balkonów wlewali na nich wrzący olej, ciskali w nich butelkami, półmiskami, a nawet meblami. I strzelali. Wszyscy strzelali. Kobiety, murzyńscy niewolnicy, dzieci. Tam go ranili (kogo?). Właśnie porucznika Patricka. Na tym rogu stał dom Bonifacia Acevedo, dziadka naszego starego, a brata tego, który później był słynnym generałem Cosme Acevedo (tego od ulicy?), tak, tego, którego imieniem nazwali ulicę; to jedyne, co naszej rodzinie pozostało: nazwy ulic. Otóż ów Bonifacio Acevedo ożenił się z Trinidad Arias z Salty. (Aleksandra podeszła do ściany, zdjęła z niej miniaturę i przy naftowej lampie, podczas gdy starzec zdawał się z przymkniętymi oczyma dumać o sprawach minionych. Marcin ujrzał twarz pięknej kobiety o mongolskich rysach, bardzo podobnej do Aleksandry, u Aleksandry jednakże mongolskie rysy złagodzone były domieszką krwi angielskiej i hiszpańskiej). Trinidad urodziła mu kupę dzieci, między innymi Marię de los Dolores i Bonifacia, późniejszego pułkownika Bonifacia Acevedo, tego, któremu ucięto głowę.

Ale Marcin pomyślał (i powiedział), że coraz mniej z tego rozumie. Co ma z tym wszystkim wspólnego angielski porucznik Patrick i dlaczego zginął pod rozkazami Lavalle'a?

— Poczekaj, tumanie, właśnie o tym chcę mówić. Słyszałeś, jak dziadek powiedział, że życie jest tak niezrozumiałe jak tureckie kazanie. Tym razem Przeznaczenie przybrało postać wielkiego, silnego Murzyna

Benito. niewolnika mojego prapradziadka. Przeznaczenie bowiem nie objawia się jako coś niematerialnego, lecz posługuje się narzędziami; najpierw je wybiera, następnie wciela się w nie, a potem dopiero działa. Raz bywa nim nóż niewolnika, kiedy indziej uśmiech pięknej dziewczyny. W tym wypadku Przeznaczenie wcieliło się w postać Murzyna Benita, który młodziutkiego porucznika poczęstował nożem, niestety, tak niefortunnie (z punktu widzenia Murzyna), że porucznik Elmtreees mógł później zmienić nazwisko na Olmos i ja mogłam się urodzić. Ja więc, jak to się mówi, wisiałam, na włosku i niewiele brakowało, a nie byłoby mnie na tym świecie, bo gdyby Murzyn nie był usłyszał krzyku Marii de los Dolores, która z tarasu nakazywała mu nie dobijać porucznika, byłby go wykończył w sposób doskonały i ostateczny, jak tego sobie życzył on — ale nie Przeznaczenie, które pomimo że wcieliło się w Benita, nie miało tego samego co Murzyn zamiaru, nieco się pod tym względem od mego różniło. Dość często zdarzają się takie rzeczy, gdyż Przeznaczenie nie może oczywiście z taką precyzją wybrać sobie człowieka, który mu ma służyć jako narzędzie. Tak jak ty, kiedy śpieszysz dokądś w ważnej sprawie, od której zależy życie albo śmierć, nie patrzysz, czy samochód ma zielone obicie albo czy koń ma ładny ogon. Bierzesz to, co jest pod ręką. Z Przeznaczeniem jest trochę inaczej, ono wie dobrze, czego naprawdę chce, tylko człowiek, który jest jego wykonawcą, dobrze tego nie wie. Podobnie jak niezbyt inteligentny podwładny nigdy nie wykona w sposób doskonały zadania, które mu zostało zlecone. Przeznaczenie musi więc postępować jak Sarmiento *: zrobić jakąś rzecz, nawet źle ją zrobić, ale zrobić. Czasem (musi upić lub ogłuszyć swoje narzędzie. Wtedy się mówi, że ktoś wyszedł z siebie, nie wiedział, co robi, stracił panowanie nad sobą. Jak więc powiedziałam, w chwili kiedy Benito miał nie dopuścić do mego przyjścia na świat. Maria de los Dolores krzyknęła z góry tak głośno, że Murzyn poniechał ciosu. Maria de los Dolores. Czternastoletnia. Łała z góry wrzącą oliwę, ale równocześnie krzyczała.

*> Domingo Faustino Sarmiento (1811—1888) — wybitny polityk i pisarz argentyński znany z walki o postęp, twórca szkolnictwa argentyńskiego (Przyp aut.)

— Wciąż nie rozumiem. Przecież chodziło o to, żeby przepędzić Anglików.

— Ciemna maso, czy nie znasz wyrażenia *coup de foudre* *? Coś takiego wtedy właśnie się zdarzyło w tym chaosie. No i widzisz, jak działa Przeznaczenie? Murzyn Benito, choć niechętnie, ale posłuchał swej młodej pani i zawlókł oficerka do domu, jak mu kazała babka mego pradziadka Pancho. Tam zajęły się nim kobiety, zanim nadszedł doktor Argerich. Zdjęły z niego bluzę. „Ależ to jeszcze dziecko •— wołała przełożona doña Trinidad. — Me ma chyba jeszcze siedemnastu lat!” „A jaki dzielny!” — wykrzykiwały panie myjąc go wodą i odwarem z trzciny cukrowej i nakładając mu opatrunki z szarpi. Potem położyły go do łóżka. W nocy bredził w gorączce po angielsku. Maria de los Dolores, modląc się i płacząc, zmieniała mu okłady z octu. Panienska bowiem, jak mi opowiadał dziadek, od pierwszego wejrzenia zakochała się w młodym gringo i postanowiła zostać jego żoną. A trzeba ci wiedzieć — tak mówił dziadek — że jeśli kobieta coś sobie wbije w głowę, to nie ma takiej siły na ziemi ani w niebie, która by ją od tego odwiodła. W tym samym czasie, kiedy biedny porucznik bredził w gorączce i zapewne śnił o swojej ojczyźnie, ta mała już powzięła decyzję, że tamta ojczyzna przestanie dla niego istnieć i że potomkowie Patricka urodzą się w Argentynie. Później, kiedy zaczął powracać do przytomności, wyszło na jaw, że jest on ni mniej, ni więcej, tylko siostrzeńcem samego generała Beresforda. Możesz sobie wyobrazić, co się działo, kiedy Beresford miał w tym domu złożyć wizytę, no i przedstawił sobie tę chwilę, kiedy angielski generał pocałował w rękę dońę Trinidad.

— Stu siedemdziesięciu pięciu ludzi — mamrotał starzec kiwając głową.

— Co to znaczy?

— To Legion. Wciąż myśli o tym samym. O swym dzieciństwie i o Legionie. Opowiem ci dalej. Beresford podziękował za wszystko, co uczyniono dla młodzieńca, i postanowiono, że Patrick zostanie w tym domu, dopóki nie wyzdrowieje. Tak więc w tym samym czasie, kiedy Anglicy okupowali Buenos Aires, Patrick stał się

• MPOśc oć pierwszego wejrzenia (*rzyp red)

przyjacielem rodziny Acevedo, co wcale nie było łatwe, zważywszy, że wszyscy, a więc także moja rodzina, nienawidzili okupacji. Najgorsze jednak zaczęło się podczas walk wyzwoleniczych: wielkie sceny płaczu itd. Patrick zaciągnął się oczywiście z powrotem do swojej armii i musiał walczyć przeciwko nam. A gdy Anglicy mieli się poddać, Patrick odczuwał jednocześnie wielki smutek i wielką radość. Wielu spośród zwyciężonych pragnęło tu pozostać; zostali oni internowani. Rzecz jasna, że i Patrick wolał zostać w Argentynie; internowano go w estancji La Horqueta, w jednej z posiadłości mojej rodziny, w pobliżu Pergamino. Stało się to w roku 1807. W rok później pobrali się, szczęśliwie żyli, miód i wino pili. Don Bonifacio podarował im część posiadłości i Patricio przemienił się stopniowo w Elemeterio. Elemeterio, don Demetrio, aż raptem nazwał się Olmos.

— Byłoby lepiej, gdyby go zabili w Quebracho Herrado — mamrotał stary.

Marcin spojrział pytająco na Aleksandrę.

— Pułkownika Acevedo, chciał powiedzieć. Rozumiesz? Jeśli byłby zginął w Quebracho Herrado, nie odjęliby mu głowy tutaj, właśnie w chwili kiedy miał ujrzeć żonę i córkę.

„Byłoby lepiej, gdyby mnie zabili w Quebracho Herrado” — myśli pułkownik Bonifacio Acevedo podczas ucieczki na północ, z przyczyn, które uważa za straszne (tragiczny marsz, beznadziejność, nędza, druzgocąca kłeska), które wszakże są bez porównania mniej straszne niż to, co ma go spotkać w dwanaście lat później, to chwili kiedy naprzeciw swojego domu poczuje na gardle ostrze noża.

Marcin ujrzał z przerażeniem, że Aleksandra podchodzi do witryny, i krzyknął, lecz ona zgromiła go słowami: „Nie bądź tchórzem”, wzięła pudło, podniosła przykrywę i pokazała mu głowę pułkownika. Marcin zasłonił oczy rękami, na co ona wybuchnęła sardonicznym śmiechem i schowała głowę z powrotem.

— W Quebracho Herrado — mamrotał stary, potakując głową.

— To był drugi cud, dzięki któremu się urodziłam — tłumaczyła Aleksandra.

Gdyby bowiem jej prapradziadek. chorąży Cele- 73

donio Olmos poniósł śmierć w Quebracho Herrado wraz z swoim ojcem i bratem lub gdyby mu odcięli głowę naprzeciw domu. Jak pułkownikowi Acevedo, ona nie byłaby przyszła na świat i w tej chwili nie opowiadałaby w tym pokoju dziejów swego rodu. Krzyknąwszy dziadkowi do ucha: „Opowiedz mi o głowie”, oznajmiła Marcinowi, że sama musi teraz odejść, i znikła, zanim zdążył pobiec za nią (być może dlatego, że nazbyt był oszołomiony). Zostawiła go sam na sam ze starcem, który mruczał. „Głowa, tak jest, głowa”, i sam zaczął kiwać głową, jak wahadłem puszczone w ruch. Dolna szczeka wykonała kilka ruchów, drżąc zawisała na chwilę w powietrzu, wargi mamrotały coś niezrozumiale (może coś sobie powtarzał, jak dziecko wyuczona lekcję) i w końcu powiedział: „Ludzie z Mazorki rzucili głowę tutaj właśnie, przez okno, do salonu. Tak jest. Z głośnym śmiechem i z okrzykami radości zsiadli z koni, podeszli do okna i wołali: «Arbuzy, pani gospodyni! Świeżutkie arbuzy!» A kiedy otwarto im okno, wrzucili do salonu krwawiącą głowę wuja Bonifacio. Byłoby lepiej, gdyby i on 'był zginął w Quebracho Herrado. Jak wujek Pancho i dziadek Patrieio. Myślę, że byłoby lepiej”.

Podobnie myślał pułkownik Acevedo, kiedy ze stu siedemdziesięcioma czterema towarzyszami (i jedną niewiastą) uciekał na północ, przez wąwóz Humahuaca, ścigany, obdarty i zrozpaczony, ale nieświadom tego, że będzie jeszcze żył dwanaście lat, z dala od ojczyzny, i z tęsknotą wyczekiwał chwili, kiedy wreszcie ujrzy swą żonę i córkę.

— Wołali: „Świeżutkie arbuzy”, a to była głowa. Kiedy ją ujrzała biedaczka Encarnación, padła jak nieżywa i istotnie zmarła po kilku godzinach nie odzyskawszy przytomności. A biedaczka Scholastyka, dziewczuszka jedenastoletnia, postradała zmysły. Tak jest.

Pokiwał głową i zapadł w drzemkę, a Marcin, osłupiały z przerażenia, stał przed stuletnim starcem, w na wpół ciemnym pokoju, gdzie w pudle leżała głowa pułkownika Acevedo, zdając sobie sprawę z obecności pomyleńca, który zapewne kręcił się w pobliżu. Chciał odejść, ale wstrzymywała go obawa, że spotka się z pomyleńcem. Wołał więc zaczekać na powrót Aleksandry, która chyba lada chwila wróci, nie zechce 74

go tu przecież na wieki zatrzymać. Z wolna ogarniał go nastrój jakby snu na jawie; wszystko to było nie-realne, pozbawione sensu. Ze ścian spoglądali na niego jakiś pan malowany przez Pueyrredona i jakaś dama z dużym grzebieniem we włosach. Duchy wojowników i Konkwistadorów, szaleńców, kacyków i księży zdawały się unosić w tym pokoju i opowiadać szeptem dzieje podbojów i walk, mordów, zwycięstw i klęsk.

— Stu siedemdziesięciu pięciu ludzi.

Marcin spojrzął na starca — dolna szczęka poruszała się drżąc, jakby od płaczu.

— Stu siedemdziesięciu pięciu ludzi, *si señor*.

I jedna niewiasta. Ale o tym starzec nie wie albo me chce wiedzieć. To wszystko, co pozostało z dumnego Legionu, po ośmiuset milach rejterady, po klęsce, po dwóch latach rozczarowań i śmierci. Oddział złożony ze stu siedemdziesięciu pięciu wynędzniałych, milczących mężczyzn (i jednej niewiasty) zmierza konno na północ, ciągle na północ. Czy dotrą kiedyś do celu? Czy naprawdę istnieje Boliwia za tym nie kończącym się wąwozem? Październikowe słońce ciąży jak olów, zwłoki generała rozkładają się. W chłodną noc zepsuta krew krzepnie i armia robactwa odstępuje. I znowu nadchodzi dzień, i strzelanina tylnych straży, i groźby lansjerów Oriby.

Odór, przeraźliwy odór gnijącego ciała.

Jakiś głos nuci wśród wieczornej ciszy:

*Biała gołąbeczko,
co latasz nad doliną,
powiedz wszystkim,
gołąbeczko,
że Lavallo zginął.*

— Hornos ich opuścił, *caramba*. „Przyłączę się do armii generała Paz” — powiedział i zostawił ich, *caramba*. A Lavallo patrzył za nim, jak wzniesionym kurczakiem odchodził na wschód wraz ze swoimi ludźmi. Ojciec mi mówił, że generałowi oczy jakby zasły łzami, kiedy patrzył na odchodzące szwadrony. Zostało mu stu siedemdziesięciu pięciu ludzi.

Stary pokiwał głową i zadumał się.

— Czarni lubili Hornosa, bardzo lubili. A w końcu i tatuńcio przyjmował go tu, w tym domu. Popijał 75

z nim, bywało, matę i pospołu wspominali wypadki z kampanii.

Chwilę pomilczał.

— Od czasu prezydenta Roca zaczęło tych czarnych ubywać. Gringowie, co tu zjeżdżali, wyparli ich. Wzięli się do najpodlejszych robót. Ja już teraz nie wychodzę z domu, ale kilka lat temu, kiedy chadzałem na przechadzki tu, w pobliżu, zwłaszcza w dzień świętej Łucji, spotykałem paru Murzynów, co służyli jako woźni w Kongresie albo w jakimś urzędzie. A było ich tu niegdyś mnóstwo, młodych i starych. Ot, na przykład stary Mulat Elizalde, co ledwo na czworakach mógł się przyczołgać, ale w święto patronki niezawodnie się tu zjawiał. Cóż się stało z tymi wszystkimi czarnymi? Iluż ich było w tych stronach, kiedym ja był dzieckiem! Tomasito, Lucia, Benito, wujek Joaquin. Lucia przyrządzała matę dla mojej matki, był woźnica Tomasito, była stara Encarnación, co wykarmiła piersią mego ojca i moich wujów, i kulawa Toribia, pamiętam, jak popijając matę na tylnym patio opowiadała nam bajki.

Pokiwał głową, szczeka mu opadła, wymamrotał coś o komendancie Hornosie i o pułkowniku Pedernera i zamilkł. Czyżby usnął, czy może rozmyślał? Jak jaszczurka w zimie, tak i on żył zapewne jakimś utajonym życiem podobnym do śmierci.

Rozmyśla Pedernera: dwadzieścia pięć lat kampanii, bitew, zwycięstw i klęsk. Lecz w owych czasach wiedzieliśmy, o co walczymy. Walczyliśmy o wolność kontynentu, o Wielką Ojczyznę. A teraz... Tak wiele spłynęło krwi na amerykańską ziemię, tyle przeżyliśmy tragicznych dni, tyle stoczyliśmy walk bratobójczych .. Ot, nadchodzi Oribe, gotów odjąć nam głowy, przebić nas lancami, przepędzić nas z tej ziemi. A przecie walczyliśmy ramię przy ramieniu w szeregach armii andyjskiej. Mężny, surowy generał Oribe. Po czyjej stronie jest prawda? Jakże piękne były tamte czasy! Z jaką dumą paradował Lavallo w mundurze majora grenadierów, gdyśmy wkroczyli do Limy! Wszystko było wtedy jasne, wszystko było piękne, jak ten nasz mundur...

— Tak jest, chłopcze. Wiele bywało swarów w naszym rodzie z przyczyny Rosasa, z jego też czasów wiodzi się rozłam. Zwłaszcza rodzina Batisty Acevedo

wielu liczyła zaprzysiężonych federalistów, jak Evansto, który był członkiem Izby Reprezentantów, inni zaś, na przykład Marianito i Rudecindo, jeśli nawet nie byli czystymi federalistami, to przynajmniej stali przy Rosasie podczas blokady, a nam nigdy nie przebaczyli.

Odkasznął, zdawało się, że usnie, ale zaraz potem znowu zaczął mówić

— Generałowi Lavalle, mój synu — podjął za chwilę — niejedno można zarzucić, ale nikt szlachetnie urodzony nie odmówi mu rycerskości, dobrej wiary i braku samolubstwa. *Si, señor.*

Sto pięć bitew stoczyłem za wolność tego kontynentu. Bilem się w Chile pod rozkazami generała San Martín i w Peru pod komendą generała Bolívara. I na ziemi brazylijskiej walczyłem przeciw siłom imperialistów. A potem, w owe straszne dwa lata niepowodzeń, wzdłuż i wszerz przemierzyłem naszą biedną ojczyznę. Może i niejeden błąd popełniłem, a największy ze wszystkich to rozstrzelanie Dorrego. Któż jednak wie, gdzie jest prawda? Ja wiem tylko, że ten surowy kraj jest moim krajem i że tu miałem walczyć i zginąć. Ciało me gnije na moim bojowym rumaku i oto jest wszystko, co wiem.

— *Si, señor* — powtórzył starzec pokaszlując; zamyslił się, oczy zaszły mu łzami i pokiwał głową, jak gdyby zgadzał się z jakimś niewidzialnym rozmówcą.

— Było to bodajże w trzydziestym drugim, wedle tego, co mi opowiadał ojciec, tak jest. Bo zwracam ci uwagę, że ta cała historia z uszlachetnianiem była miała swoje *pro* i swoje *contra*. To Anglik Miller ją zaczął, wraz ze słynnym Tarquino, bodajże w trzydziestym roku. Tak jest, słynny Tarquino w estancji La Caledonia. Dzielny chłop był ten gringo Miller. Pracowity a oszczędny, jak wszyscy Szkoci, tak jest. Żeby powiedzieć prawdę, skąpiec (śmieszek i pakaszliwanie). Nie jak my, *criollos*, co lubimy szastać pieniędzmi, a potem świecimy ubóstwem (kaszel). To i naśmiewali się z niego, zwłaszcza don Santiago Calzadilla ostrzył sobie na nim język. Don Juan Miller pojął żonę z domu Balbastro. Dzielna była z niej dama, jako że niejedno raz przewodziła obronie przeciwko indiańskiej hałastrze, a z rewolweru strzelała jak chłop. Już jako babka, bo i białą bronią umiała władać. To

mi dopiero, przyjacielu, były kobiety, co się zowie, pewnie twarde życie takimi je uczyniło. O czym to mówiłem, synu?

— O Angliku Millerze.

— ■ O Angliku Millerze, tak jest. O nim i o tym byczym Tarauino cały świat mówi, a jak bywał tu don Santiago Calzadilla, to opowiadał o nim facecje. że boki zrywać. Bo do ośmieszania, synku, nigdy nie brak nam weny. Toteż Anglik Miller musiał przez "wiele lat znosić docinki ze wszystkich stron. A on uśmiechał się tylko, powiadał tatuńcio, i dalej robił swoje. O, Szkoci to twarde sztuki, a jacy uparci, jacy ambitni! Ten zagiął parol na bydło. Uparł się, żeby je uszlachetnić, i nie sposób było odwieść go od tego. Znowu roześmiał się, odkasznął, niezręcznie wytarł chustką oczy, które zaszyły łzami:

— O czym to mówiłem?

— O rasowych bykach, *señor*.

— O bykach, tak jest.

Pokiwał głową.

— Rodzina Evarista nigdy nam nie wybaczyła. Nigdy. Nawet wtedy, kiedy wujowi ucieli głowę. Tyran Rosas był przyczyną rozłamu w naszej rodzinie. Nie myśl, że mój ojciec nie uznawał jego zasług. Ale powiadał, że w ostatnich latach była to już ohyda, choć nawet i obronił argentyński sztandar. Zarzucał mu chytrość, zimne okrucieństwo, mściwość — kazał przecież zamordować Gjuirogę — a przy tym wszystkim był to tchórz, bo uciekł w Caseros. Był strachliwy, to fakt. Niejedno mógłbym ci opowiedzieć o tamtych czasach, a zwłaszcza o roku czterdziestym, kiedy to podcięli gardło niejakiemu Iranzuaga, narzeczonemu naszej powinowatej Izabelity Ortiz. Nikt nie spał spokojnie. A ten strach u nas w domu, kiedy tatuńcio zaciągnął się do Legionu, a matka zosiła sama. Także mój dziadek don Patricio poszedł, i stryjeczny dziadek Bonifacio, i wujek Pancho. W estancji został tylko najmłodszy, wujek Saturnino, jeszcze dzieciak. A prócz niego niewiasty. Same niewiasty.

Raz jeszcze przetarł chustką łzawiące oczy, zakaszłał, pokiwał głową, zdawało się, że usnął. Raptem zaczął mówić:

— Sześćdziesiąt mil. A ludzie Oriby deptali im po piętach. I powiadał ojciec, że październikowe słońce 78

niemiłosiernie paliło. Ciało generała rozkładało się, po dwu dniach rejterady nikt już nie mógł "wytrzymać, tak cuchnął. A do granicy brakowało jeszcze czterdziestu mil! Czterdziestu mil, a pięciu dni jazdy. Tylko po to, żeby ocalić kości i głowę Lavallo'a. Byli bowiem zgubieni i nic już nie mogli przedsięwziąć, ani wojny z Rosasem, ani nic. A jeśli by zwłoki generała dostały się w ręce wrogów, ucieliby mu głowę i dla pohańbienia nadziałiby ją na ostrze lancy i posłali Rosasowi z napisem: „Oto jest głowa dzikiego, ohydne-go, parszywego psa, unitarianina Lavallo'a". Trzeba więc było za wszelką cenę ratować jego ciało, bronić go strzelaniem podczas siedmiodniowej ucieczki i do-wieźć do Boliwii. Sześćdziesiąt mil rejterady. Bez wy-poczynku.

Jam jest komendant Aleksander Danel, -syn majora Danela z napoleońskiej armii. Do dziś go pamiętam, jak wróciwszy z Wielką Armią jeździł konno po ogro-dzie Tuileries i na Polach Elizejskich. Pamiętam jesz-cze i Napoleona na koniu, z eskortą weteranów przy swych legendarnych zakrzywionych szablach. A póź-niej, kiedy nadszedł kres i Francja przestała być Krai-ną Wolności, a ja nie zaprzestałem marzyć o walce za wolność uciskanych ludów, wsiadłem na okręt i przybyłem tu, do Argentyny, a wraz ze mną Bruix, Viel, Bardel, Brandsen i Rauch, którzy walczyli u boku Napoleona. O mój Boże, ileż to czasu minęło, ile walk, ile zwycięstw i klęsk, ile zgonów i ile krwi! Owego dnia roku 1825, kiedy ujrzałem generała Lavallo'a, zdał mi się orłem cesarskim na czele pułku kirasjerów. Wyruszyłem z nim na wojnę brazylijską, a kiedy w Yerbał został ranny, podniosłem go i wraz z moimi ludźmi wiozłem osiemdziesiąt mil przez góry i rzeki, z wrogami na karku, jak teraz... Nigdy się z nim nie rozstawałem... A teraz po ośmiuset milach tragicznej ucieczki, teraz maszeruję obok jego gnijącego ciała... donikąd.

Starzec obudził się i podjął swą nieskładną opo-wieść :

— Niektóre rzeczy sam widziałem, inne opowiadał tatuńcio, ale przede wszystkim matka, bo tatuńcio zwykł był milczeć i rzadko kiedy mówił. Kiedy, by-wało, generał Hornos albo pułkownik Ocampo przy-jeżdżali na matę i na wspominki o Legionie, tatuńcio

tylko słuchał i wtrącał czasem: . Prawda, przyjacielu¹,
lub inne jakieś słóweczko.

Pomilczał chwilę.

— Tak jest, Elisita, tak. Biedna dziewczyna po-
stradała zmysły i rzuciła się do rzeki, kiedy przynieśL
jej wiadomość o śmierci narzeczonego. Ten dom
owszem, pamiętam, ale admirała już nie znałem. Choć
na pewno lubili się z moim dziadkiem i z babką Do-
lores, pomimo że tamten był federalistą. Opowiem ci
kiedyś ciekawą historię o moim dziadku, który nie
nazywał się Olmos, tylko Elmirees i przybył tutaj
z armią angielską podczas inwazji. Ciekawa to histo-
ria (zaśmiał się, zakaszła).

Pokiwał głową i zachrapał.

Marcin spojrział na drzwi, ale spoza nich nie do-
chodził żaden dźwięk. Gdzież podziała się Aleksandra?
Co robi w swoim pokoju? Pomyślał, że niepotrzebnie
tu siedzi, nie chcąc zostawić starca samego, kiedy ten
wcale na niego nie zwraca uwagi. Staruszek wie
w ukryciu swój żywot, nie troszcząc się ani o niego,
ani o innych, co żyją w obecnych czasach; dzielą go
od nich lata, głuchota, słaby wzrok, a zwłaszcza pa-
mięć przeszłości, która odgradza go ścianą mroku. Żyje
jak na dnie studni, wspominając czarnych niewolni-
ków, kawalkady, morderstwa i wypadki z czasów Le-
gionu. Nie, nie szacunek dla starca go tu zatrzymuje,
lecz obawa przed wejściem w rzeczywistość, którą za-
mieszkuje dziadek, tamten pomyleniec i sama Ale-
ksandra. Dziwny to i niezdrowy świat, niedorzeczny
jak sen i jak sen niepokojący. Podniósł się jednak
z krzesła, na którym siedział jak przygwożdżony.
i ukradkiem zaczął iść w kierunku drzwi. Rzucił okiem
na pudło w oszklonej szafie i pod strażą antenatów
spoglądających ze ścian stapał uważnie, żeby nie po-
traćić jakiegoś grata. Dotarł w ten sposób do drzwi
i zatrzymał się, nie śmiejąc ich otworzyć. Podeszedł
bliżej i przyłożył ucho do szpary: zdawało mu się, że
pomyleniec z klarnetem w rękę czeka na niego po
tamtej stronie. Odniósł nawet wrażenie, że słyszy jego
oddech. Przerażony, ostrożnie zawrócił i usiadł na
krześle.

— Już tylko trzydzieści pięć mil — szepnął nagle
starzec.

Istotnie, pozostało trzydzieści pięć mil. Po trzech 80

dniach kłusowania przez wąwóz, z wzdętym i cuchnącym na odległość trupem, z którego sączy się ohydna posoka. Wciąż naprzód, z kilkoma strzelcami w tylnej straży. Od Jujuy do Huacalery dwadzieścia cztery mile. Już tylko trzydzieści pięć mil, powiadają dla dodania sobie animuszu. Już tylko cztery, najwyżej pięć dni gonitwy, jeżeli szczęście dopisze.

W cichą noc rozlega się tętent kopyt upiornej kawalkady. Wciąż na północ.

— Bo w wąwozie, synu, na tej wysokości, w czystym powietrzu, słońce praży jak ogień. Toteż po dwóch dniach marszu ciało wzdęło się i odrażający fetor zatruwał powietrze, powiadał ojciec, i trzeciego dnia trzeba było oddzielić ciało od kości, tak jest.

Pułkownik Pedernera każe stanąć i powiada towarzysząc: „Ciało rozkłada się, wydaje ohydny woń. Trzeba odjąć ciało od kości, kości zachować”. Ktoś inny rzecze, że także i serce. Ale przede wszystkim głowę: Oribe nie dostanie głowy, nie uda mu się pohańbić generała.

Kto zechce to uczynić? Kto zdoła to uczynić?

Uczyni to pułkownik Aleksander Danel.

I oto zdejmują z konia cuchnące zwłoki generała i kładą je na brzegu strumienia Huacalera. Pułkownik Danel przykłada z ostrym nożem w ręce. Przez łzy spogląda na nagie, zniekształcone ciało wodza. Spoglądają na nie w zadumie i przez łzy surowi wynędniali ludzie, którzy ustawili się w krąg.

A potem ostrożnie wbija nóż w przegnite dało.

Starzec pokiwał głową i powiedział:

— Za rządów don Bernardina został mianowany kapitanem milicji w Guardia de la Horqueta, bo tak nazywał się fort; obecnie jest to wieś Capitan Olmos. Później był burmistrzem, dopóki nie doszli do władzy federaliści. O czym to mówiłem?

— O tym, że przestał być burmistrzem, *senor* (kto?).

— Tak jest. Złożył urząd burmistrza, kiedy federaliści objęli władzę, tak jest. I każdemu, kto chciał słuchać, mówił, chyba po to, żeby dowiedział się o tym don Juan Manuel*, że aż nadto jest zajęty

* Dyktator Rosas, zwany przez swych zwolenników Odnowicielem. (Przyp. aut.)

krowami i Indianami i że nie ma czasu na politykę (śmieszek). Ale Odnowiciel, który nie był głupi, gdzieżby tam! (śmieszek) nie dał tym słowom wiary. Mój dziadek dowiedział się, że don Juan Manuel przysyłał listy do burmistrza z La Horqueta z nakazem, żeby nie spuszczał z oczu Anglika Olmosa, ponieważ jest on w konspiracji z innymi właścicielami estancji w Salto i w Pergamino. Stary wyga nie mylił się, spryciarz to był, jakich mało! Dziadek istotnie był w konspiracji, co się okazało, kiedy Lavallo zszedł z okrętu w San Pedro, w sierpniu czterdziestego roku. Zaprezentował mu się tam wraz ze swoją konnicą i z dwoma najstarszymi synami: z moim ojcem Celedonem, który miał wówczas osiemnaście lat, i ze starszym o rok wujkiem Pancho. Przeklęta kampania z roku czterdziestego! Dziadek osłaniał ucieczkę Lavallo'a do ostatniego pocisku. Mógł uciec, ale nie chciał. Kiedy wszystko już było stracone, wystrzelił ostatnią kulę, która mu pozostała przy moździerzach, i poddał się oddziałom Oriby. A gdy dowiedział się o śmierci swego najukochańszego syna Pancha, rzekł tylko: „Przynajmniej generał wyszedł cało”. I tak zakończył w tym kraju życie mój dziadek, don Patricio Olmos.

Starzec pokiwał głową, wymamrotał: „Armistrón, tak jest, Armistrón”, i nagle zmożył go sen.

XIII Marcin czekał, czas mijał, a starzec nie obudził się. Pomyślał, że tym razem don Pancho usnął na dobre, podniósł się więc i pomału, tak, by nie robić hałasu, ruszył w stronę drzwi, przez które wyszła Aleksandra. Świtało już i brzask poranka oświetlał pokój starca, toteż Marcin obawiał się, że może natknąć się na wuja Bebe albo na starą służącą Justynę, która zapewne już wstała. Co im powie? Ze przyszedł tu w nocy z Aleksandrą? Natychmiast jednak uprzytomnił sobie, że w tym domu nic nie wyda się dziwne, więc nie powinien obawiać się jakichkolwiek przykrości. Co najwyżej spotkania z pomyłkiem, z wujem Bebe.

Zdawało mu się, a może istotnie usłyszał skrzypienie, jak gdyby odgłos czyichś kroków w korytarzu, na który wychodziły drzwi. Z biciem serca czekał w milczeniu trzymając rękę na klamce. Gdzieś daleko za-

gwizdała lokomotywa. Marcin przyłożył ucho do drzwi i z niepokojem nasłuchiwał; gdy wszystko ucichło i miał już otworzyć drzwi, zaskrzypiało ponownie, tym razem był to niewątpliwie odgłos kroków. Na korytarzu ktoś z wolna i ostrożnie podchodził do tych samych drzwi.

„To ten pomylenieć” — pomyślał Marcin wzburzony i cofnął ucho od drzwi, w obawie, że nagle się otworzą i że on znajdzie się w niezręcznej sytuacji. Stał chwilę bezradny, nie wiedząc, co począć: bał się otworzyć drzwi i znaleźć twarzą w twarz z pomylenieć, a z drugiej strony obawiał się, że don Pancho się przebudzi i będzie go szukał. Zdecydował, że lepiej będzie poczekać, aż się starzec obudzi. Gdyby bowiem wuj Bebe wszedł do pokoju, don Pancho mógłby wytłumaczyć jego obecność, jeżeli oczywiście pomylenieć będzie żądał jakichś wyjaśnień.

Przypomniał sobie uwagę Aleksandry, że jest to spokojny wariat, który nic innego nie robi, tylko pitoli na klarncie wiecznie te same nieartykułowane dźwięki. Ciekawe, czy chodzi swobodnie po domu, czy też siedzi zamknięty w jakimś pokoju, podobnie jak Scholastyka, jak to było w zwyczaju u starych rodzin?

Tak rozmyślając czekał chwilę i wyteżzał słuch. Było cicho, więc trochę niespokojny przyłożył znowu ucho do drzwi i starał się wyłowić najlżejsze podejrzane dźwięki; nadaremnie.

Z wolna nacisnął klamkę: był to jeden z owych dużych zamków, jakie dawniej były w użyciu, z długim na kilkanaście centymetrów kluczem. Wydało mu się, że klamka przy naciśnięciu głośno zazgrzytała, co wuj Bebe na pewno usłyszał, jeżeli istotnie tam stał, i co powinno go zaniepokoić. Cóż jednak Marcin mógł począć w tej chwili? Cofnąć się było za późno, wobec tego energicznie otworzył drzwi.

Omał nie krzyknął.

Przed nim stał w całej okazałości pomylenieć. Był to mężczyzna czterdziestokilkuletni, nie ogolony, z rozwichrzonym włosiem, odziany w zniszczone ubranie i bez krawata. Miał na sobie sportową marynarkę, która kiedyś zapewne była granatowa, i szare flanelowe spodnie. Koszulę miał podartą, całe ubranie było wymięte i brudne. W zwisającej prawej ręce trzymał swój słynny klarinet. Twarz miał wychudzoną i kan-

ciasta, z potężnym orlim, nosem. Nieprzytomne oczy były nieruchome, jak to często bywa u szaleńców. Oczy te były jak u wszystkich Olmosów szarozielone. Ale głowę miał olbrzymią i wydłużoną: głowę idioty. Marcin osłupiał; ze strachu głos uwiązał mu w gardle.

Pomyleniec spoglądał na niego przez chwilę, po czym obrócił się bez słowa, uczynił parę miękkich, delikatnych ruchów jak młody kot i oddalił się korytarzem w głąb domu, z pewnością do swego pokoju. Marcin puścił się biegiem w przeciwnym kierunku, do patio, gdzie poranne słońce świeciło już jaskrawym blaskiem.

Stara, mocno sędziwa Indianka prała coś w niecce. „Justyna” — pomyślał Marcin ponownie zaskoczony. — Dzień dobry — rzekł starając się okazać spokój, jak gdyby wszystko to było całkiem naturalne. Staruszka nie odpowiedziała. „Może jest głucha jak don Pancho” — pomyślał Marcin. Ale przez chwilę, która Marcinowi zdała się wiecznością, przypatrywała mu się niezgłębionym spojrzeniem Indianki. Po czym znowu zajęła się praniem.

Marcin przystanął nie wiedząc, co robić, ale przyszło mu na myśl, że najlepiej będzie zachować się swobodnie. Udał się więc krętymi schodami do miradoru Aleksandry. Zapukał do drzwi.

Po chwili czekania zapukał jeszcze raz. Znowu nadaremnie. Zbliżył więc usta do szpary i głośno zawołał Aleksandrę. Nie otrzymał odpowiedzi.

Pomyślał, że Aleksandra usnęła, że więc najlepiej będzie, jeżeli sobie pójdzie. Bezwiednie jednak podszedł do okna miradoru i zauważył, że firanka nie jest zaciągnięta. Spojrzał do wnętrza i w półciemnym jeszcze pokoju starał się odnaleźć Aleksandrę, lecz gdy oczy jego przywykły do półmroku, przekonał się ze zdziwieniem, że Aleksandry tam nie ma.

Stał osłupiały, nie mogąc nic przedsięwziąć ani nic rozsądnego pomyśleć. Zaczął więc powoli schodzić po stopniach, starając się uporządkować myśli.

Minął tylne patio, zapuszczonym ogrodem obszedł stary dom i w końcu znalazł się na ulicy.

Niezdeterminowany podążył ścieżką w stronę Montes de Oca, by tam wsiąść do autobusu. Lecz po kilku krokach przystanął i spojrzął poza siebie na dom 84

Olmosów. Tak był skonsternowany, że nie wiedział, co ma z sobą począć.

Zrobił parę kroków w stronę domu i znowu przystanął. Spojrzał na zardzewiałą kratę, jakby czegoś oczekiwał. Czego? W dziennym świetle stare domostwo robiło jeszcze bardziej niesamowite wrażenie. Kruszące się mury, zachwaszczony ogród, pokryta rdzą krata i niemal wywalona brama tworzyły rażący kontrast z fabrykami i warsztatami dookoła; wyglądało to nieprawdopodobnie, niczym pojawienie się upiora w jasny, słoneczny dzień.

Spojrzenie Marcina zatrzymało się w końcu na miradorze: wysoko w górze robił wrażenie tak osamotnionego i tajemniczego jak sama Aleksandra. „Mój Boże! — pomyślał. ■ — Co to wszystko znaczy?”

Noc spędzona w tym domu teraz, za dnia, wydała mu się snem: stuletni starzec, głowa komendanta Acevedo w pudle od kapeluszy, zwariowany stryj z klarnetem i z nieprzytomnymi oczyma; stara Indianka, głucha i tak obojętna na wszystko, że nie chce się nawet dowiedzieć, kim jest i co tu robi obcy człowiek, który wyszedł z pokoju starego pana i udał się do miradoru; historia kapitana Elmtree; nieprawdopodobna historia Scholastyki i jej szaleństwa, a przede wszystkim sama Aleksandra.

Powoli rozmyślił się. Nie, nie może teraz pojechać autobusem, to nazbyt brutalne. Postanowił pójść pieszo ulicą Izabeli Katolickiej w stronę Martin Garcia: przechadzka po zabytkowej ulicy pozwoli mu stopniowo uporządkować poplątane myśli.

Najbardziej zastanowiła go i zaniepokoiła nieobecność Aleksandry. Gdzie spędziła tę noc? Czy po to wprowadziła go do dziadka, żeby się go pozbyć? Chyba nie, gdyby tak było, nie zatrzymywałaby go, kiedy chciał odejść po wszystkim, co opowiedziała o Marku Molino, o tej całej historii na plaży i o misjonarzach w Amazonii. Dlaczego nie pozwoliła mu wtedy odejść?

Nie, to wszystko było raczej nieprzewidziane także i dla niej samej. Może strzeliło jej do głowy pójść sobie właśnie wtedy, kiedy on był u don Pancha. Ale jeśli tak było, dlaczego mu nie powiedziała? W końcu forma nie jest ważna. Ważne jest to, że Aleksandra nie spędziła nocy w miradorze. Należało więc domy-

ślać się, że spędziła ją w innym miejscu. I że czyni to częściej, ponieważ nie ma powodu przypuszczać, że tej nocy zdarzyło się coś niezwykłego.

Czyżby poszła zwyczajnie przejść się po ulicy?

„Tak, oczywiście — pomyślał z nagłą ulgą, niemal z radością — chciała się przejść, otrząsnąć się z przykrych myśli. Taka już jest: pełna udręki i niespodzianek, zagadkowa, skłonna przechadzać się w nocy samotnie po ulicach przedmieścia. Czyż nie poznali się w parku? Czyż nie przesiaduje często w parkach, tali jak wtedy, kiedy się pierwszy raz spotkali? Tak, u niej wszystko jest możliwe”.

Uspokojony poszedł parę kroków pieszo. Aż raptem przypomniał sobie z niepokojem pewne szczegóły, które w swoim czasie zwróciły jego uwagę: imię Fernando, które ona tylko raz wymieniła i natychmiast tego pożałowała, oraz gwałtowną reakcję Aleksandry, kiedy wspomniał o ślepych. Co to miało znaczyć? Niewątpliwie coś ważnego, gdyż stanęła wtedy jak osłupiała. Czy ów tajemniczy Fernando jest ślepy? Kim jest ten Fernando, którego imię Aleksandra boi się wypowiedzieć, podobnie jak niektóre ludy boją się wymieniać imię bóstwa?

Ze smutkiem pomyślał raz jeszcze, że dzieli go od niej głęboka przepaść i że tak już zawsze pozostanie. Po chwili namysłu wszakże na nowo błysnęła mu nadzieja. Przecież to ona pierwsza zagadała do niego w parku. I czyż nie powiedziała mu, że go potrzebuje, że łączy ich coś bardzo poważnego?

To szedł parę kroków, to znów przystawał, spoglądał na bruk, rozważał coś i pytał sam siebie: „Na co mogę być jej potrzebny?”

Był zakochany bez pamięci w Aleksandrze. Pomyślał z żalem, że ona nie odwzajemnia jego miłości. Może i jest jej potrzebny, ale ona z pewnością nie żywi do niego takich uczuć, jakie on ma dla niej.

W głowie Marcina panował zamęt.

XIV Mijały dni, a nie było od niej wiadomości.

Krecił się w pobliżu domu w Barracas i nie raz spoglądał z daleka na zardzewiałą furtkę w kracie. A kiedy stracił pracę w drukarni — powiedzieli mu, że przez jakiś czas nie będzie roboty — zupełnie

upadł na duchu. Wiedział jednak doskonale, że przyczyną tego nie jest utrata pracy.

Nie poszedł świadomie: lecz oto znalazł się tu, przy szybie wystawowej na ulicy Pinzón, i ma wrażenie, że lada chwila zemdleje. Słowa PIZZA FAINA trafiają nie w głowę, ale prosto w żołądek, jak u psów Pawłowa. Żeby choć Bucich tu był. Ale i wtedy by się nie odważył. Zresztą Bucich wyjechał na południe i Bóg wie, kiedy wróci. Ale jest Chiehin ~y czerwonych szelkach i w czapce jak zwykle i jest Humberto J. D'Arcangelo, znany raczej jako Tito, z wykałaczką w ustach zamiast papierosa i ze zwiniętą w rulon gazetą „Criticas” w prawej ręce. Są to jego znaki szczególne, bez wykałaczki i zwiniętej vV rulon gazety w prawej ręce niepodobna sobie wyobrazić Humberta J. D'Arcangelo. Z długim, spiczastym nosem i oczami osadzonymi po bokach spłaszczonej kościstej twarzy ma w sobie coś z ptaka. Nerwowy i jak zawsze niespokojny, wykałaczką dłubie w zębach i wciąż poprawia wystrzępiony krawat. Występująca grdyka to podnosi się, to opada.

Marcin patrzy w niego jak urzeczony, aż Tito zauważył go i poznał dzięki swej niezawodnej pamięci. Rulonem z gazety daje mu znaki jak policjant regulujący ruch, zaprasza go do wejścia, każe mu usiąść i zamawia cinzano i bitter; tymczasem rozpościera gazetę, która już była otwarta na kolumnie sportowej, uderza w nią chudą dłonią i ponad marmurowym blatem przybliża się do Marcina. Z wykałaczką poruszającą się nad dolną wargą powiada: „Czy wiesz, ile za tego faceta zapłacili?” Na co Marcin robi przerażoną minę, jak gdyby nie umiał zadanej lekcji, i choć porusza ustami, nie może wypowiedzieć słowa D'Arcangelo, którego oczy miotają gromy, a grdyka znieruchomiała pośrodku szyi, czeka na odpowiedź; z ironicznym uśmiechem, z góry już traktuje z gorzką ironią nieuniknioną pomyłkę nie tylko tego chłopca, ale każdego, nawet starego cwaniaka.

Grdyka pozostaje w zawieszeniu, ale na szczęście nadchodzi Chiehin z butelkami i Tito zwraca do niego swą twarz o ostrych rysach, uderza wierzchem dłoni w gazetę i mówi: „Ty mi powiedz, Chiehin, ile za- 87

płacili za tę ofertę Cincotte?" „Bo ja wiem, może pięćset" — odpowiada Chichin nalewając cinzano. Tito, zwrócony do niego plecami, uśmiecha się z goryczą i z pewnym zadowoleniem (czym wykazuje, jak dalece on, Humberto J. D'Arcangelo, jest nieomylny), powiada: „Aha (i znowu zwija gazetę w rulon, jak nauczyciel, który po doświadczeniu chowa przyrząd do szafki), osiemset tysięcy!" Po chwili milczenia, ■wywołanego tak horrendalnym nonsensem, powiada: „No i powiedzcie mi, czy w tym kraju nie jesteśmy wszyscy pomyleni?" Utkwił badawczy wzrok w Chichinie, jak gdyby chciał wysondować jego opinię, i na chwilę wszystko zatrzymało się w miejscu: grdyka D'Arcangela i jego ironiczne ocz'ki, uprzejmy wyraz twarzy Marcina i Chichin ze swoją czapką i czerwonymi szelkami, trzymający w powietrzu butelkę wermutu. Niczym żywy obraz, który można by nazwać: „Typowa scena w kafejce w Buenos Aires". Obserwator mniej powierzchowny niż ci, co przygodnie zwiedzają to miasto (i co nigdy nie zdołają pojąć czegoś więcej poza czystym folklorem), mógłby wytłumaczyć ten obraz jako „próbę opisaną w na pozór malowniczej scenie na przedmieściu Buenos Aires mieszaniny goryczy, niedowierzania, ironii, powtarzającej się skłonności do nadziei, gniewu, urazy, zmysłu krytycznego i w końcu naiwności — która to mieszanina jest charakterystyczna dla pewnego typu Argentyńczyków".

Chwila dziwnego bezruchu minęła. Tito wsypuje sodę do wermutu, wypija kilka łyków i zachowuje ponure milczenie spoglądając, jak zwykle w podobnych momentach, na ulicę Pinzón spojrzeniem zamysłonym, rzecz można, zgoła symbolicznym, które za nic w świecie nie raczy widzieć tego, co się naprawdę dzieje dookoła. Po chwili powraca do swego konika: „Skończył się już prawdziwy futbol. Czego można się spodziewać po piłkarzu, którego można kupić i sprzedać?" Spojrzenie jego staje się rozmarzone; po raz nie wiadomo który zaczyna wspominać Wielką Epokę, kiedy on sam był ot, takim pędrakiem. Marcin, oniesmielony, pije wermut, który — wiadomo — zaszkodzi mu po dwóch dniach postu, a Humberto J. D'Arcangelo powiada: „Trzeba zbijać forszę, chłopcze. Możesz mi wierzyć. To jedyne, co ważne w tym życiu. Sprzedać duszę i abić grubą forszę", poprawia przy tym wy-

mięty krawat i naciąga rękawy sfatygowanej marynarki, co świadczy o tym, że on, Humberto J. D'Arcangelo, jest żywym zaprzeczeniem głoszonej przez siebie filozofii. Poczciwie namawia Marcina do wypicia wermutu i opowiada mu o tamtych czasach. A Marcin, ma nagle wrażenie, że całą tę rozmowę prowadzą na okręcie, na pełnym morzu. „Ja ci tu opowiadam, chłopcze, o roku piętnastym, jakem chodził na mecze z wujkiem Wincentym. To było podczas wojny światowej”, a Marcina mdli, ze smutkiem myśli o Aleksandrze i o jej zniknięciu. „Ej, Chichin, powiedz no, jaki był skład naszej drużyny w piętnastym roku!” Chichin spogląda na sufit, przestaje wycierać szklanekę, przymyka oczy i poruszywszy w milczeniu wargami, (jak gdyby powtarzał lekcję), recytuje: „De la Santo, Vergara, Cerezo, Priano, Peney, Grande, Farenga, Moltedo, Jose Farenga i Bacigaluppi”, i kończy wycierać szklanekę. Tito powiada: „Zgadza się. Wtedy Racing był mistrzem, a my już się zaczęli windować i zajęliśmy czwarte. W osiemnastym zajęliśmy trzecie miejsce, a w dziewiętnastym tośmy tryumfowali w turnieju o puchar, mimo silnej konkurencji. Ej, Chichin! Powiedz no, jaki był skład drużyny, która zdobyła puchar?” Na co tamten zastanawia się chwilę przymykając oczy i przechylając głowę w tył, po czym odpowiada: „Ortega, Busso, Tesorieri, López, Canaveri, Cartella, Elli, Bozzo, Calomino, Miranda i Martin”, i wraca do swych obowiązków, a Tito powiada: „Zgadza się. To mi była drużyna, że proszę siadać! Wielki Tesorieri! Nigdy nie było i nie będzie, słuchaj dobrze, co ci powiadam, nie będzie już takiego bramkarza jak Americo Tesorieri. Powiadam ci to ja, Humberto J. D'Arcangelo, co już nie jeden piękny mecz w życiu widziałem”, i poprawia krawat, patrząc z oburzeniem na ulicę Pinzón, a Marcina mdli; przed oczyma przesuwiają mu się jak we śnie obrazy starego don Pancha opowiadającego o Legionie, Aleksandry opartej o balustradę tarasu i głowy komentanta Acevedo. „I takiego skrzydłowego już nie będzie jak Pedro Leo Journal, wynalazca sławnego roweru, co go później masowo naśladowali. To były czasy, szczeniaku, to były czasy!”, powiada przerzucając wykałaczkę z lewego kącika ust do prawego i patrząc na ulicę Pinzón, a Marcin widzi śpiącą Ale-

ksandrę, spogląda na nią znad przepaści. „Ale — powiada D'Arcangelo — co racja, to racja”, on bowiem nie jest takim fanatykiem jak Chichin, dla którego istnieje tylko Boca*. „Co racja, to racja, chłopcze, każda drużyna ma swego asa, a Boca ma swoich patałachów, co tu dużo gadać. Weźmy na przykład takiego Murzyna Seoane, co to parę sezonów był asem Czerwonych Diabłów”.

Zamyśla się i patrzy na ulicę Pinzón gryząc wykałaczkę.

— To były czasy — szepcze sam do siebie.

Poprawia krawat, ściąga rękawy marynarki i powracając do twardej rzeczywistości zwraca zaszepioną twarz do Marcina. Uderza pięścią w gazetę i powiada: „Osiemset kawałków za taką kalikę. Dokąd ten świat idzie...” Oczki błyszczą oburzeniem, Tito poprawia wystrzępiony krawat i wskazującym palcem uderza w stół, jakby się do niego zwracał: „Tutaj ten kraj musi się ocknąć! Albo się ocknie, albo go szlag trafi!” Obrzuca spojrzeniem chłopców, którzy się tymczasem zeszli, ale symbolicznie zwraca się do Marcina (a Marcin ujrzał właśnie, jak w pięknym śnie, uśpioną Aleksandrę).

Rozkłada gazetę, znów zwiniętą w rulon, i powiada: „Poczytam gazetę, muszę się dowiedzieć o jednym takim interesie. A ty myśl tymczasem o niebieskich migdałkach albo czytaj sobie tę książkę”. Poprawia krawat i po minucie filozoficznej medytacji dodaje: „Ty się, bracie, ucz, zostań Edisonem, wynalazcą telegrafu albo katolickim księdzem, jedź do Afryki jak ten stary wąsaty Niemiec, oraj nosem, poświęcaj się dla ludzkości i potem cię ukrzyżują, a inni nabiją pełną kabzę. Poświęcaj się, a na starość zdychaj z głodu. Mnie nie nabiorą!” Z wściekłością spoziera na ulicę Pinzón, poprawia krawat, ściąga rękawy wystrzępionej marynarki; chłopaki naśmiewają się z Tita, a Marcin w odurzeniu widzi znowu przy sobie uśpioną Aleksandrę, która łapczywie oddycha przez otwarte usta, duże, wzgardliwe i zmysłowe. Widzi jej długie

* Boca Juniors jest to najlepsza i najbardziej znana drużyna argentyńska, wywodząca się — jak D'Arcangelo — z portowego przedmieścia Buenos Aires, Boca, zamieszkanego przeważnie przez emigrantów włoskich z okolic Genui i ich potomków.

gładkie włosy, ciemne z rudawym połyskiem, rozsypane na poduszce, jej kanciastą twarz, o rysach tak surowych, jak surowa jest jej udęczona dusza. I jej szczupłe, odprężone ciało, zarysy piersi pod białą bluzką, i te jej skulone nogi, piękne i długie, które go dotykały. Tak, Aleksandra jest tutaj, w zasięgu jego ręki i jego ust, jest nawet i bezbronna, ale jakże daleka, jak nieosiągalna!

„Nigdy” — powiada sobie z goryczą prawie na głos, a chłopaki wykrzykują: „Powiesimy Perona i całą jego klikę na placu Majowym”; „nigdy”, a przecież sama go wybrała, ale po co, mój Boże, po co? Bo doskonale wie, że nigdy nie zgłębi jej tajemnicy, i znowu przychodzi mu na myśli słowa „ślepi” i „Fernando”, w chwili gdy jeden z chłopców wrzuca do grającej szafy pieniądz i zaczynają śpiewać Platersi. Tego dla D'Arcangela już za wiele, chwytą więc Marcina za ramię i powiada:

— Chodź, mały. Już i tu nie można wysiedzieć.

Gdzie przyjdiesz, od razu ten dżaz.

XVI Chłodny wiatr otrzeźwił Marcina. D'Arcangelo szedł mrucząc coś pod nosem; trwało chwilę, zanim się uspokoił. Wtedy spytał go, gdzie pracuje. Marcin przyznał się ze wstydem, że jest bez pracy. D'Arcangelo spojrział na niego.

— Od kiedy?

— Już dość dawno.

— A rodzinę masz?

— Nie.

— A gdzie mieszkasz?

Marcin zwlekał z odpowiedzią i zaczerwienił się, ale na szczęście (pomyślał) był wieczór. D'Arcangelo znowu spojrział bacznie na niego.

— Właściwie... — szepnął Marcin.

— Co?

— To znaczy... musiałem się wyprowadzić...

— A gdzie nocujesz?

Marcin bąknął zawstydzony, że sypia gdzieś podpadnie.

— Ale jeszcze jest ciepło — dodał, chcąc złagodzić wrażenie.

Tito przystanął pod latarnią.

— A przynajmniej masz co zjeść?

Marcin milczał. Wtedy D'Arcangelo wybuchnął:

— No i bądź tu mądry, kiedy facet nie puszcza pary z ust! A ja tu gadam o meczach i każę mu pić wermut! Fajny kawał!

Zaciągnął go 'do baru i zamówił kolację. Kiedy zjedli i wyszli na ulicę, rzekł poprawiając krawat:

— Spokojna głowa, szczeniaku. Teraz pójdziemy do domu. A jutro zobaczymy.

Weszli do starej wozowni, która niegdyś należała zapewne do wielkopańskiego domu.

— Mój stary, trzeba ci wiedzieć, był furmanem jeszcze dziesięć lat temu. Ale teraz pokręcił go reumatyzm i nie może się ruszać. A zresztą, kto by dziś jeździł powozem? Mój stary jest jedną z wielu ofiar ery postępowej w stolicy. Zrobił swoje, i bądź zdrow. Była to mieszanina ruder mieszkalnych i stajni: słychać było krzyki, rozmowy i kilka aparatów radiowych równocześnie. Pachniało końskim moczem. W dawnej wozowni stało kilka różnych powozów i jedna niewielka ciężarówka. Słychać było uderzenia kopyt końskich.

Weszli do środka.

— Kiedy byłem małym f ąf lem, stały tu trzy wiktorie, że proszę siadać: 39, 42 i 90. Trzydziestką dziewiątką jeździł mój stary. To był brylant. Nie dlatego, że była jego, ale powiadam ci, to była wycackana panienka: malował ją, polerował, że błyszczała z daleka. A teraz popatrz na nią.

Wskazał na stojącego w głębi trupa powozu: bez latarni, bez gum, popękanego, z podartą, zbutwiałą budą.

— Jeszcze parę miesięcy temu wyjeżdżała, biedaczka. Jeździł nią Nicola, przyjaciel mego starego, ale umarł. Żeby powiedzieć prawdę, lepiej dla niego, bo to robić, co on robił, to lepiej leżeć w grobie. Wziął skrzynie na dworzec Constitucíón.

Pogłaskał koło starej Wiktorii.

— Kurwa — powiedział zdławionym głosem — trzeba ją było widzieć w karnawale na korsie w Barracas. A mój stary w szerokim pilśniowym kapeluszu Powiadam ci, było na co patrzeć!

Weszli do izby, gdzie stały dwa łóżka. Jedno z nich należało do brata, który wałęsał się po kraju, teraz

był w Bahia Blanca, tymczasem więc mógł tu sypiać Marcin. Tito pokazał mu swoje skarby: fotografię piłkarza Americo Tesorieri przyczepioną pluskiewkami do ściany, z kokardą argentyńską u dołu i z dedykacją: „Memu przyjacielowi Humbertowi J. D'Arcangelo”. Tito spoglądał na nią nabożnie.

— Wielki Americo — skomentował.

Na ścianach wisiały jeszcze inne zdjęcia i wycinki z „El Grafico”, a u samej góry wielki sztandar klubu Boca, rozpostarty w całej okazałości.

Na skrzyni stał stary gramofon z tubą i z korbą do nakręcania.

— Funkcjonuje? — spytał Marcin.

D'Arcangelo spojrział na niego ze zdziwieniem, a nawet z wyrzutem.

— Niejeden z tych niby nowoczesnych patefonów chciałby tak grać, jak ten.

Podszedł i wytarł chusteczką tubę gramofonu.

— Nie wymieniałbym go na taki nowoczesny, żeby nawet był ze srebra. Bo wiesz, one są zanadto skomplikowane. A te były więcej naturalne i głos także lepiej wychodził.

Położył płytę i nakręcił; z tuby popłynęło tango, śpiewane przez Carlosa Gardela. Zaledwie można je było rozpoznać wśród kakofonii dźwięków. Tito stanął opodal i z przejściem kiwał do taktu głową. „To był śpiewak, chłopcze, to był śpiewak”, szepnął wzruszony. Słuchali w milczeniu. Kiedy skończyło się, Marcin ujrzał w jego oczach łzy.

•— Kurwa — powiedział udając, że się śmieje — ci wszyscy dzisiejsi są gówno warci.

Schował płytę do starej pozlepianej plastrami koperty i ostrożnie położył ją na stosie innych płyt.

— A ty, mały, lubisz tango? — zapytał.

— Jasne, że lubię — odpowiedział Marcin poważnie.

— To dobrze. Bo teraz, żeby powiedzieć prawdę, ta dzisiejsza młodzież nie wie, co to jest tango. Furt grają fokstrota, bolero, rumbę, same błazeństwa. A tango to jest coś poważnego. Przemawia ci do duszy. Każe ci myśleć.

Usiadł na łóżku i zadumał się.

— Ale to wszystko już minęło — powiedział. —

Czasem tak sobie myślę, że w tym kraju wszystko 93

jaż minęło, wszystko, co dobre, minęło i już nie wróci, jak powiada tango. Tak samo tango i futbol, i karnawał, i korso, i bo ja wiem co jeszcze.

A potem opowiedział mu, że ojcu coraz bardziej dokuczają reumatyzm, ale głównie wykończyło go zmartwienie z powodu Bachichy.

— Bo wiesz — tłumaczył z żalem — przyszedł raz i powiedział mu, że sprzedał czterdziestkę i że za pieniądze, co zebrał, kupi do spółki taksówkę. Możesz sobie wyobrazić, jak stary się wściekał. Krzyczał, prosił, błagał, nic nie pomogło, bo Bachicha jest twardy jak ten kamień. Daję słowo, jakbym miał wtedy cegłę w rękę, rzuciłbym mu w łeb. Wszystko na nic. Kupił taksówkę i jeszcze do tego tu ją postawił. Stary leżał w łóżku przeszło miesiąc. Jak wstał, to już nie był ten sam człowiek.

— Me dość, że postawił na swoim — dodał po chwili — ale jeszcze dogadywał, że powozy się skończyły, powiada, że trzeba pogodzić się z tym, co jest, jak chcesz zarobić na życie takim gratem, powiada, zrozum, stary, że trzeba iść z postępem, nie rozumiesz, że świat idzie naprzód, a ty trzymasz się grata jak pijany płotu, powiada, nie rozumiesz, że ludzie chcą wszystko prędzej, że świat musi iść coraz prędzej, powiada. A każde jedno słowo trafiało jak nóż.

Położyli się.

Daremnie przez wiele dni wyczekiwał wiadomości od Aleksandry. Wreszcie któregoś dnia Chichin przyzwał go skinieniem ręki i podał mu kopertę. Drżąc otworzył list. Swoim nerwowym piśmem, wielkimi i nierównymi literami, zawiadamiła go tylko, że będzie go oczekiwać o szóstej.

Przed szóstą był w parku na ławce, wzburzony, ale szczęśliwy i uradowany, że będzie teraz miał komu opowiedzieć o swoich niepowodzeniach. I to komu! Czuł się jak żebrak, który nagle został milionerem. Podbiegł ku niej jak dziecko i opowiedział, że stracił pracę w drukarni.

— Mówiłaś mi o jakimś Molinarim — rzekł. — Powiedziałaś, zdaje się, że jest właścicielem dużej firmy.

Aleksandra uniosła brwi okazując zdziwienie.

— Molinari? Ja ci mówiłam o Molinarim?
— Tak, tu, w tym miejscu, kiedy zastałaś mnie śpiącego. Pamiętasz? Powiedziałaś: „To pewne, że nie pracujesz u Mołinariego”.
— Być może.
— Czy to twój przyjaciel?
Aleksandra uśmiechnęła się ironicznie.
■— Czy ci powiedziałam, że to mój przyjaciel?
Ale Marcin był w tej chwili zbyt upojony nadzieją, żeby przywiązywać wagę do tych słów i do ich znaczenia.
— Jak ci się zdaje? — nalegał. — Czy sądzisz, że dostanę u niego pracę?
Spojrzała na niego jak lekarz na rekruta, który staje przed komisją poborową.
— Umieć pisać na maszynie, potrafię redagować listy, robić korektę drukarską...
— Jednym słowem: obiecujący młodzieniec.
Marcin zaczerwienił się.
— A czy wiesz, co to znaczy pracować w tak wielkim przedsiębiorstwie? Z rejestracją obecności i różnymi takimi rzeczami?
Stropiony Marcin wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył mniejszy nożyk i zamknął go z powrotem.
— Nie mam wielkich wymagań. Jeżeli nie w biurze, mogę pracować w warsztacie, nawet jako prosty robotnik.
Aleksandra ogarnęła spojrzeniem jego zniszczone ubranie i podarte buty, a kiedy Marcin zwrócił ku niej twarz, spostrzegł, że ma zmarszczone czoło i poważny wyraz twarzy.
— Sądzisz, że to będzie trudne?
Zaprzeczyła głową.
— Nie martw się — powiedziała. — Znajdziemy jakieś wyjście.
Podniosła się z ławki.
— Chodźmy stąd.
Z parku zeszli w dół, do portu.
Aleksandra usiadła na dużej skrzyni i spoglądała na rzekę, a Marcin na mniejszej, jak poddany u stóp księżniczki. Oboje patrzyli na wielką, płową jak lew rzekę.
— Widzisz, że mamy z sobą wiele wspólnego? — powiedziała.

A Marcin pomyślał: „Czy to możliwe?"; zauważył co prawda, że zarówno ona, jak i on lubią spoglądać na płynącą rzekę. „Ale — pomyślał — jest to tak mało w porównaniu z tym wszystkim, co go od niej dzieli, tak mało, że chyba nawet ona sama nie bierze tego poważnie". Choćby i te ostatnie słowa: wypowiedziała je z uśmiechem, jak wielka osobistość, której zachciało się nagle dać się sfotografować na ulicy w demokratycznym towarzystwie robotnika lub służącej. Choć słowa te mogły również zawierać w sobie sens utajony; to, że i on, i ona patrzą z tęsknotą na płynącą rzekę, może być przejawem głębokiej wspólnoty duchowej. Bóg raczy wiedzieć, co ona istotnie miała na myśli. Wznosi ku niej spojrzenie, patrzy na nią jak na linoskoczkę, który gdzieś wysoko wykonuje niebezpieczne ewolucje i któremu chciałoby się pomóc. Oto widzi ją niepokojącą i zagadkową; siedzi zadumana, z papierosem w ustach, wiatr rozwiewa jej ciemne gładkie włosy i podkreśla strome rozwarte piersi. Dmie porywisty wiatr, lecz ona nie zwraca na to uwagi, gęsta mgła smutku dzieli ją od świata. — Jak pięknie byłoby wyjechać gdzieś daleko — rzekła. — Daleko od tego wstrętnego miasta. Marcina zmartwiła nieosobowa forma: wyjechać.

— Wyjechałabyś? — spytał stłumionym głosem.
— Chętnie bym wyjechała — odparła zamyślona, nie patrząc nawet na niego. — Gdzieś daleko, gdzie nikogo bym nie знаła. Może na jakąś wyspę. Marcin pochylił głowę i zaczął scyzorykiem żłobić rowki w skrzyni, na której przeczytał napis THIS SIDE UP. Aleksandra spojrzała na niego, przyglądała mu się chwilę i spytała, czy mu się coś stało, a Marcin wciąż żłobiąc w desce i czytając THIS SIDE UP odpowiedział, że nic mu się nie stało, niemniej Aleksandra wciąż mu się przyglądała, zamyślona. Oboje trwali w milczeniu, tymczasem nadszedł wieczór, na molo zapanował spokój, dźwigi przestały pracować, dokerzy zaczęli rozchodzić się do domów lub do pobliskich barów.

— Chodźmy do „Moskwy" — zaproponowała Aleksandra.

— Do „Moskwy"?

— Tak, przy ulicy Independencia.

— Czy to nie jest drogi lokal?

Aleksandra roześmiała się.

— Ależ to zwyczajna knajpa. A poza tym Wania to mój przyjaciel.

Drzwi były zamknięte.

— Nikogo nie ma — stwierdził Marcin.

— Poczekaj. — Aleksandra zapukała do drzwi.

Po chwili otworzył im jakiś mężczyzna w koszuli.

Miał gładkie siwe włosy i subtelną, smutno uśmiechniętą twarz. Jednym policzkiem tuż obok oka co chwila wstrząsał nerwowy tik.

— Iwan Pietrowicz — rzekła Aleksandra, podając mu rękę.

Mężczyzna podniósł ją do ust i lekko się uklonił.

Usiedli przy oknie wychodzącym na promenadę Colón. W lokalu słabo oświetlonym jedną brudną żarówką siedziała przy kasie gruba kobieta o słowiańskiej twarzy i piła imate.

— Mam polską wódkę — powiedział gospodarz. — Wczoraj mi przynieśli, zawinął statek z Polski.

— To wspaniały typ — mówiła Aleksandra, kiedy gospodarz się oddalił. — Ale ta gruba — wskazała na kasę — to ohydne babsko. Stara się, żeby Wanię zamknęli w domu obłąkanych, chce tu zostać sama.

— Wania? Powiedziałaś do niego Iwan Pietrowicz.

— Idioto, Wania jest zdrobniałą formą od Iwan.

Wszyscy nazywają go Wania, a ja mówię Iwan Pietrowicz, żeby się czuł jak w Rosji. Zresztą jest czarujący.

— A dlaczego mają go zamknąć w domu obłąkanych?

— ■ Jest narkomanem i miewa ataki. Gruba chce skorzystać z okazji.

Gospodarz przyniósł wódkę.

— Teraz adapter znakomicie funkcjonuje — powiedział usługując im. — Mam koncert skrzypcowy Brahmsa, chce pani, żebym puścił płytę? Gra sam Heifetz.

— Widzisz? Ten człowiek to sama szlachetność — oświadczyła Aleksandra, kiedy gospodarz oddalił się. — Był kiedyś skrzypkiem w orkiestrze Colón, a teraz aż serce boli, kiedy go się słucha. Ale ofiaruje ci właśnie koncert skrzypcowy, i to z Heifetzem.

Ręką wskazała na ściany: Kozacy na koniach 97

⁷ O bohaterach i grobach

cwałujący przez wieś, bizantyńskie cerkwie ze złotymi kopułami, Cyganie. Wszystko to prymitywne i ubogie.

— Czasem myślę, że Wania chciałby tam wrócić. Powiedział mi kiedyś: „Wie pani, uważam, że Stalin to mimo wszystko wielki człowiek. Podobnie jak Piotr Wielki pragnie uczynić z Rosji potęgę”. Ale o takich rzeczach mówi szeptem i co chwila zerka na tę grubą. Ona chyba po ustach poznaje, co on mówi. Z daleka, jak gdyby nie chciał naprzykrzać się młodemu, Wania robił znaczące gesty, wskazując z podziwem na adapter. Aleksandra przytakiwała mu z uśmiechem.

— Świat to jedna wielka ohyda — powiedziała ni stąd, ni zowąd.

— O nie, Aleksandro! Dużo jest pięknych rzeczy na świecie!

Spojrzała nań uważnie, pomyślała może o jego ubóstwie i samotności, o jego matce; a jednak mimo wszystko znajduje jeszcze cuda na tym świecie! Jej twarz złagodzoną wyrazem czułości skurczył ironiczny uśmieszek.

— Jakie mianowicie?

— Dużo, dużo, Aleksandro! — zawołał Marcin, przyciskając jej dłoń do serca. — Ta muzyka... taki człowiek jak Wania... a przede wszystkim ty, Aleksandro... ty...

— Gotowa jestem naprawdę pomyśleć, że jesteś dzieckiem, ty ciężki idioto!

Podumała chwilę i wypła łyk wódki.

— Oczywiście, masz rację — przyznała. — Są wspaniałe rzeczy na świecie... jasne, że są...

Zwróciła się ku niemu twarzą i dodała z goryczą:

— Ale ja jestem ścierwo. Rozumiesz? Co do mnie nie miej złudzeń.

Marcin ujął w obie ręce dłoń Aleksandry, podniósł ją do ust i okrył pocałunkami.

— Nie, Aleksandro! Dlaczego tak mówisz? Ja wiem, że tak nie jest. To, co powiedziałaś o Wani, i wiele jeszcze innych rzeczy świadczy o tym, że tak nie jest!

Łzy stanęły mu w oczach.

— No dobrze już, dobrze — uciszała go Aleksandra. — Nie ma o czym gadać.

Marcin oparł głowę na jej ramieniu i zapomniał o świecie. Widzi oto przez okno, jak nad Buenos Aires zapada noc, i ogarnia go uczucie spokoju, jakby w tym zakątku bezlitosnego miasta znalazł wreszcie upragnioną przystań. Pytanie, którego nigdy nikomu nie zadał (komuż mógłby je zadać?), wyłania się z niego jak czysta, lśniąca moneta, której nie skalały jeszcze miliony anonimowych brudnych rąk.

— Kochasz mnie?

— Tak, kocham cię. Strasznie cię kocham — powiedziała po chwili wahania.

Marcin czuje, że w cudowny sposób oderwał się od twardej rzeczywistości zewnętrznej, jaik to się zdarza w teatrze, kiedy przebywamy w świecie sztuki, a za drzwiami czekają niemiłe sprawy życia codziennego, ciosy, które uderzą w nas niechybnie, kiedy tylko czar pryśnie i światła rampy zgasną. I podobnie jak w teatrze w pewnej chwili świat zewnętrzny zgłusza się w postaci dalekich dźwięków (sygnału samochodu, wołania sprzedawcy gazet, gwizdu policjanta regulującego ruch), tak i do jego świadomości przedostają się, niby niepokojące szmery, jakieś mało znaczące fakty, kilka słów psujących czar tej chwili: tamto zdanie, które wyrzekła w porcie, a które go nielitościwie wykluczało („Chętnie wyjechałabym z tego wstrętnego miasta!”), i to ostatnie, rzucone przed chwilą („Jestem ścierwo, nie miej co do mnie złudzeń!”); słowa te drażną jego umysł jak natrętny, tępy ból, a choć trzyma w tej chwili głowę na ramieniu Aleksandry i oddaje się bez reszty cudownemu uczuciu szczęścia, to jednak w głębszej, nieufnej strefie jego duszy powiedzenia te dręczą go i kłują wraz z innymi zagadkowymi słowami: ślepi, Fernando, Molinari. „Ale to nie ma znaczenia — wmawia sobie z uporem — to nie ma znaczenia”, i tuli głowę do jej gorących piersi, i pieści jej ręce, jak gdyby przez to mógł zapewnić trwanie szczęśliwej chwili.

— A jak mnie kochasz? — spytał po dziecinnemu.

— Powiedziałam ci: strasznie.

Głos jej wydał mu się zmieniony, podniósł więc głowę i spostrzegł, że Aleksandra jest zamyślona, uwaga jej skupiona jest na czymś, czego tu nie ma, na czymś niewiadomym, co jest gdzie indziej, daleko stąd.

— O czym myślisz? — zapytał.

Nie odpowiedziała, jak gdyby nie usłyszała pytania. Zapytał więc ponownie i ścisnął jej ramię, pragnąc przywrócić ją do rzeczywistości.

Odrzekła, że nie myślała o niczym; o niczym specjalnym.

Nieraz jeszcze będzie Marcin przeżywał podobne chwile: z otwartymi oczami, nawet czymś zajęta, Aleksandra stanie się nagle nieobecna, jak gdyby z daleka kierowała nią jakaś siła.

— Lubię ludzi, którym się nie powiodło — rzekła nagle patrząc na Wanię. — Czy i ty także?

Marcin, zastanawiał się chwilę nad tym osobliwym pytaniem.

— Tryumf — dowodziła — ma w sobie coś wulgarnego i okrutnego. Czym stałby się ten kraj, gdyby wszyscy tryumfowali! Nie chcę nawet myśleć o tym! Ratują nas trochę niepowodzenia tak wielu ludzi. Czy nie jesteś głodny?

— Jestem.

Podniosła się i podeszła do gospodarza zamówić kolację. Kiedy wróciła, Marcin wyznał jej czerwony ze Wstydu, że nie ma pieniędzy. Wyjęła z torebki dwieście pesos.

— Proszę. Jeśli będziesz potrzebował więcej, powiedz.

Marcin zawstydził się, nie chciał przyjąć pieniędzy.

— Oszalałeś? Czyżbyś uznawał drobnomieszczańską zasadę, że od kobiety nie przyjmuje się pieniędzy?

Po kolacji udali się pieszo do Barracas. W milczeniu minęli park Lezama i weszli w ulicę Hernandarias.

— Czy znasz legendę o Zaczarowanym Mieście w Patagonii? — zapytała Aleksandra.

— Coś słyszałem, niewiele.

— Pokażę ci kiedyś papiery, które dotąd uchowały się w tym worku komendanta. To właśnie o nim.

— O kim?

Aleksandra wskazała na tablicę z nazwą ulicy.

— Papiery, nazwy ulic. To jedyne, co nam pozostało. Hernandarias był protoplastą rodu Acevedo. W 1550 roku zorganizował wyprawę, aby odnaleźć Zaczarowane Miasto.

Po chwili milczenia Aleksandra zaczęła recytować wiersz:

Oto Buenos Aires. Czas, co przynosi ludziom
Miłość albo złoto, mnie pozostawia tylko
Tę zgaszoną różę, to puste pasmo
Ulic powtarzających imiona mojej krwi,
Które przemieły: Laprida, Cabrera, Soler, Suarez...
Imiona, w których rozbrzmiewają tajemne polbudki,
Republiki, konie i poranki,
Radosne zwycięstwa, żołnierska śmierć *.
Znowu uszli w milczeniu spory kawałek drogi.
— Czy słyszysz dzwony? — zapytała nagle.
Marcin wyteżył słuch, ale nic nie usłyszał.
— Jakie dzwony? ■— spytał z zaciekawieniem.
— Ach, bo ja słyszę czasem prawdziwe dzwony,
a czasem takie, których nie ma.

Roześmiała się.

— A propos kościoła ■—• ciągnęła — miałam tej
nocy dziwny sen. Byłam w katedrze, niemal całkiem
ciemnej, musiałam ostrożnie stąpać, by nie potrącać
ludzi. Miałam wrażenie (bo nic nie było widać), że
nawa jest przepelniona. Z wielkim trudem udało mi
się w końcu dotrzeć do kazalnicy, z której przemawiał
ksiądz. Nie słyszałam, co mówił, choć stałam bardzo
blisko i, co gorsza, byłam pewna, że zwracał się do
mnie. Słyszałam tylko przytłumiony szept, jak przez
popsuty telefon, i to mnie coraz bardziej przerażało.
Otworzyłam szeroko oczy, aby przynajmniej ujrzeć
jego twarz. Z przerażeniem spostrzegłam, że brak mu
twarzy, że zamiast twarzy jest gładka powierzchnia
i że nie ma włosów na głowie. W tej chwili zaczęły
dzwonić dzwony, wprawdzie powoli i cicho, później stop-
niowo coraz mocniej, wreszcie rozzwoniły się jakby
z wściekłością, aż się obudziłam. Najdziwniejsze, że
we śnie zatykałam sobie uszy ze strachu i mówiłam:
to są dzwony kościoła Świętej Łucji, chodziłam tam,
kiedy byłam mała.

Zamyśliła się.

— Ciekawa jestem, co to *może znaczyć* — rzekła
po chwili: — A ty wierzysz w znaczenie snów?

— Czy masz na myśli psychoanalizę?

* Fragment wiersza *La noche celestial* Jorge Luisa Borgesa,
w przekładzie K. A. Jeżewskiego.

— Nie. Zresztą psychoanalizę, owszem, także. Ale sny są pełne tajemnic, ludzkość od tysięcy lat przywiązuje do nich wagę i tłumaczy je.

Roześmiała się tym samym co przedtem dziwnym śmiechem. Nie był to śmiech zdrowy i pogodny — był niespokojny, udręczony.

— Stale miewam sny. Sni mi się ogień, czasem ptaki albo że grzęznę w bagnie, albo też że rozszarpują mnie pantery. Czasem śnią mi się żmije. Ale najczęściej ogień. Ogień jest zawsze: wiesz, zdaje mi się, że ogień ma w sobie coś zagadkowego, coś sakralnego.

Przybyli na miejsce. Marcin spoglądał z daleka na stare domostwo z miradorem u góry, upiorną pozostałość świata, który już przestał istnieć.

Weszli, minęli ogród i obeszlili dom, słychać było bezsensowną, lecz spokojną frazę powtarzaną na klar-necie przez wuja Bebe.

— Wciąż tak gra?

— Prawie. W końcu przestaje się go słyszeć.

— Wiesz, że tamtej nocy widziałem go, kiedy wychodziłem. Nasłuchiwał za drzwiami.

— Tak. Ma ten zwyczaj.

Weszli po krętych schodach na taras i Marcina ogarnął nastrój tamtej wiosennej nocy. Wszystko mogło się zdarzyć na tym skrawku świata, zawieszonym jak gdyby poza czasem i przestrzenią.

Weszli do miradoru.

— Usiądź na tapczanie — powiedziała Aleksandra. •— Wiesz już, że krzesła są niebezpieczne.

Marcin usiadł, ona zaś odłożyła teczkę i nastawiła wodę. Po chwili puściła płytę: dramatyczne tony akordeonu zaczęły się układać w ponurą melodię.

— Posłuchaj tych słów.

Chciałbym umrzeć samotnie,

Bez spowiedzi, bez Boga...

Wypili kawę, wyszli na taras i oparli się o balustradę. Z dołu dochodziły dźwięki klarnetu. Była głęboka, gorąca noc.

— Bruno powiada zawsze, że niestety żyjemy tak, jakbyśmy pisali coś na brudno. Pisarz może poprawić tekst, jeśli mu się nie udał, albo go wyrzucić na śmie-

tnik. W życiu to niemożliwe, co się przeżyło, nie da się już naprawić ani oczyścić, ani wyrzucić. Prawda, że to straszne?

— Kto to jest Bruno?

— Mój przyjaciel.

— Co robi?

— Nic, kontempluje, sam mówi o sobie, że jest pozbawiony woli. Myślę, że pisze. Ale nikomu nie pokazuje swoich utworów, sądzę, że nie ma zamiaru ich publikować.

— A z czego żyje?

— Jego ojciec ma młyn w Capitan Otmos. Stamtąd się znamy, był wielkim przyjacielem mojej matki. Mam wrażenie — dorzuciła z uśmiechem — że był w niej zakochany.

— Jaka była twoja matka?

— ■ Powiadają, że taka jak ja, fizycznie oczywiście. Bardzo słabo ją pamiętam; kiedy umarła, miałam pięć lat. Nazywała się Georgina.

— Dlaczego powiedziałaś, że była do ciebie fizycznie podobna?

— Bo duchowo bardzo się od niej różnię. Ona, według tego, co mi opowiada Bruno, była słodka, kobieca, delikatna, cicha.

— A ty do kogo jesteś podobna? Czy do ojca? Aleksandra milczała.

— Ja? Sama nie wiem... Być może jestem wcieleniem jednego z pomniejszych diabłów, tych, co to są sługami Szatana — powiedziała po chwili głosem innym niż poprzednio, złamanym i ochrypłym. Rozpięła dwa górne guziki bluzki i trzymając w rękach wąskie klapki zaczęła się nimi wachlować, jakby jej brakło powietrza. Łapczywie chwytając oddech podeszła do okna, tam dopiero parę razy odetchnęła głęboko i jak gdyby się uspokoiła.

— Żartuję — powiedziała i usiadła na brzegu tapczana, wskazując Marcinowi miejsce obok siebie.

— Zgaś światło. Czasami strasznie mnie męczy. Oczy mnie pieką.

— Chcesz, żebyśmy odszedł, chcesz spać? — spytał Marcin.

— Nie, nie mogłabym teraz usnąć. Zostań, jeżeli ci się nie znudzi siedzieć tak i nie rozmawiać. Ja się na chwilę położę, a ty możesz tu zostać.

— Zdaje mi się, że lepiej będzie, jeżeli sobie pójdę. Będziesz mogła spokojnie wypocząć.

Aleksandra ofuknęła go.

— Czy nie rozumiesz, że chcę, żebyś został? Zgaś także lampkę nocną.

Marcin zgasił nocną lampkę i usiadł znowu obok Aleksandry. Był wstrząśnięty i onieśmielony: do czego Aleksandra go potrzebuje? Nie miał o sobie wysokiego mniemania, uważał, że jest głupim, niepotrzebnym stworzeniem, które może co najwyżej słuchać Aleksandry i podziwiać ją. Ona jest ta mocna, ta rozumna; jakiego rodzaju pomocy może od niego potrzebować?

— Co ty tam mruyczysz? — spytała Aleksandra leżąc na tapczanie i potrząsnęła jego ramieniem, jakby chciała przywołać go do rzeczywistości.

— Nic nie mruczę.

— No więc o czym myślisz? Bo przecież o czymś myślisz, głuptasie.

Marcin wzbraniał się powiedzieć, przypuszczał jednak, że ona tak czy owak odgadnie jak zawsze jego myśli.

— Myślałem... że... do czego ty możesz mnie potrzebować?

— A dlaczego by nie?

— Ja przecież tak mało znaczę... Ty za to jesteś mocna, masz zdefiniowane pojęcia, jesteś odważna... Sama mogłabyś stawić czoło całemu plemieniu ludożerców.

Aleksandra roześmiała się na cały głos.

— Sama nie wiem — odparła. — Ale szukałam ciebie, bo jesteś mi potrzebny, bo ty... zresztą po co mamy sobie łamać głowy?

— A jednak — stwierdził Marcin z akcentem gorczy — dzisiaj właśnie, w porcie, powiedziałaś, że chciałabyś wyjechać na jakąś daleką wyspę. Czy nie?

— No i co?

— Powiedziałaś, że ty byś wyjechała, a nie, że my byśmy wyjechali.

Aleksandra znowu wybuchła śmiechem.

Marcin ujął jej rękę i zapytał z przejęciem:

— Wyjechałabyś ze mną?

Aleksandra widocznie coś rozważała. Marcin nie mógł dojrzeć jej twarzy.

— Tak... zdaje mi się, że tak... Ale nie widzę w tym dla ciebie powodu do radości.

— Dlaczego? — spytał Marcin zasmucony.

— Dlatego, że nie znoszę przy sobie nikogo, a także dlatego, że wyrządziłabym ci dużo, strasznie dużo złego.

— Nie kochasz mnie?

—• Ach. Marcinie... nie pytajmy o takie rzeczy...

— Więc to dlatego, że mnie nie kochasz.

— Ależ nie, głuptasie. Właśnie dlatego, że cię kocham, byłoby ci ze mną tak źle. Rozumiesz? Nie jest się złym dla kogoś, kto jest obojętny. Ale słowo „kochać” ma tak szerokie znaczenie... Kocha się kochanka, psa, przyjaciela...

— A ja — zapytał Marcin z drżeniem — czym jestem dla ciebie? Kochankiem, psem czy przyjacielem?

—■ Powiedziała ci, że ciebie potrzebuję. Czy to nie wystarcza?

Marcin zamilkł; zmory, które dotąd okrażały go z daleka, zaczęły przybliżać się z diabelskim chichotem: imię „Fernando”, słowa: „Ja jestem ścierwo, nie miej co do mnie złudzeń”, jej zniknięcie w ową pierwszą noc.

„Nigdy” — pomyślał z goryczą i smutkiem.

W oczach jego zabłyśły łzy i głowa opadła mu na piersi, jakby pod ciężarem tej myśli.

Aleksandra uniosła dłoń i koniuszkami palców musnęła jego oczy.

—• Tak myślałam. Chodź no tutaj.

Przycisnęła go do siebie ramieniem.

— No dobrze już — przemówiła jak do dziecka. — Powiedziała ci przecież, że mi jesteś potrzebny, że cię strasznie kocham, czego jeszcze chcesz?

Dotknęła ustami jego policzka i pocałowała go.

Marcinem wstrząsnął dreszcz. Wziął Aleksandrę w ramiona i poczuł przy sobie jej gorące ciało. Z niepowstrzymaną namiętnością zaczął okrywać pocałunkami jej oczy, policzki, włosy, aż poszukał ustami jej dużych mięsistych warg. Lecz nagle odniósł wrażenie, że Aleksandra unika jego pocałunków; jej kibić jak gdyby zeszywniała, ramiona uczyniły odpychający gest. Trwało to jednak znikomą chwilę, gdyż natychmiast odtajała, jakby i ją ogarnął szal zmysłów. Lecz oto stało się coś przerażającego: Aleksandra odepchnę-

ła go od siebie, a jednocześnie ręce jej jak szpony wbiły się w jego ramiona.

— Nie! — krzyknęła, zrywając się na równe nogi i pobiegła do okna, rękami oparła się o parapet i ciężko dysząc wielkimi haustami chwytając powietrze. Obiema rękami szarpnęła bluzkę obrywając guziki i sztywna, z posiniąłą twarzą, osunęła się na podłogę. Nagle chwyciły ją drgawki.

Marcin nie wiedział z przerażenia, co ma począć, jak z nią postąpić. Ujrawszy, że pada, podbiegł, pochwyił ją w ramiona i usiłował uspokoić. Aleksandra jednak nie reagowała; wiała się jęcząc, z szeroko otwartymi, nieprzytomnymi oczami. Marcin zorientował się, że najlepiej będzie zanieść ją do łóżka. Tak też zrobił i zauważył z ulgą, że Aleksandra odpręża się, że jej jęki z wolna przycichają.

Zakłopotany, pełen lęku, przysiadł na brzegu tapczana i spojrzał na jej obnażone piersi wychylające się z odpiętej bluzki. Przyszło mu na myśl, że w jakiś sposób on, Marcin, istotnie może być potrzebny tej udęczonej, cierpiącej dziewczynie. Zapiął jej bluzkę i czekał. Stopniowo oddech Aleksandry stawał się bardziej równomierny i spokojny, oczy przymknęły się; wyglądała jak pogrążona we śnie. Minęła godzina, a może i więcej, zanim się ocknęła.

Spojrzała na Marcina i poprosiła o trochę wody.

Dał jej pić podpierając ją ramieniem.

— Zgaś światło — powiedziała.

Marcin zgasił i usiadł przy niej.

— Marcinie — rzekła znużonym, głosem —• jestem bardzo, bardzo zmęczona, chciałabym usnąć, ale ty nie odchodź. Połóż się koło mnie.

Zdjął buty i położył się obok Aleksandry.

— Jesteś święty — powiedziała, kuląc się obok niego.

Usnęła natychmiast, Marcin natomiast starał się uporządkować bezład, jaki panował w jego umyśle. Była to jednak taka gmatwanina, wnioski, do jakich dochodził, były tak sprzeczne, że z wolna o władnęła nim senność, a także rozkoszne uczucie (pomimo wszystko), że leży obok ukochanej kobiety.

Jednakże sen nie przychodził i z wolna ogarniał go niepokój.

„Jestem jak ów księżę — myślał — co samotnie 106

orzewędrował dalekie kraje i stanął w końcu przed grota, gdzie śpi królowna strzeżona przez smoka. I który zauważył nagle, że ów straszliwy smok nie trzyma straży przy królownie, jak to bywa w bajkach dla dzieci, ale. o zgrozo! siedzi przyczajony w niej samej: jest to królowna¹smok, nierozdzielna całość czysta i zarazem płomienna, nieskalana i odpychająca, jak niewinna, ubrana w biel dziewczeczka, którą trapią straszne sny o gadach i wampirach".

Tajemniczy wicher, co wiał od mrocznej jaskini królowny-smoka, mącił i targał jego duszę, myśli jego były nieskładne i pomieszane, a całe ciało dostarczało mu dziwnych odczuć. Moja matka (myślał), moja matka, ciało i brud, gorąca kąpiel i wilgoć, ciemna płatanina włosów i zapachów, wstrętny odór skóry i gorących warg. Ja jednak (starał się uporządkować zamęt), ja rozdzieliłem miłość na brudne ciało i czyste jak łąca uczucie, i wstrętną nieczystą pleć, którą muszę odtrącić od siebie, chociaż (albo ponieważ) tyle razy buntowałem się instynktownie przeciwko temu, tym bardziej przerażony, że nagle odnajdywałem na swojej własnej twarzy rysy mojej łożko-matki. Jak gdyby moja łożko-matka, przewrotna i chytra, zdołała przebyć głęboką fosę, której rozpaczliwie strzegłem pragnąc obronić moją wieżę, lecz ona, nieubłagana żmija, powraca co noc i ukazuje się jak ohydna zmora na wieży, której bronię moją ostrą czystą szpadą. A jak to jest, mój Boże, z Aleksandrą? Jakież to dwoiste uczucie niweczy teraz całą mą obronę? Ciało zda mi się nagle duchem, a moja miłość do niej przemieniła się w ciało, w gorące pożądanie jej skóry i jej wilgotnej, mrocznej jaskini królowny-smoka. Ale, Boże, Boże, dlaczego ona zdaje się bronić tej jaskini ognistym wichrem i okrutnym wrzaskiem zranionego smoka? „Nie powinienem rozmyślać" — mówił sobie ściskając skronie i starał się udać przed samym sobą, że odzyskał spokój. Usiłował powstrzymać kłębiące się myśli. Był cały napięty, a jednocześnie jakby pusty od środka. Zdołał na chwilę uśmierzyć wewnętrzną burzę i pomyślał z bolesną trzeźwością: ALE Z MARKIEM MOLINO, TAM, NA PLAŻY, NIE TAK BYŁO. MARKA KOCHAŁA ALBO POŻĄDAŁA! CAŁOWAŁA GO NAMIĘTNIE. MNIE NATOMIAST ODTRĄCA.

I znowu rozpętała się w nim burza, kiedy poczuł, że u jego boku Aleksandra rzuca się we śnie, jęczy i szepce niezrozumiałe słowa. Powiedziała mu przecież: „Stale miewam koszmarne sny”.

Marcin usiadł na brzegu tapczana wpatrując się w Aleksandrę; światło księżyca pozwalało mu śledzić jej twarz dręczoną przez inną burzę, jej własną, która dla niego na zawsze pozostanie tajemnicą. Jak gdyby pośród brudu i błota kwitła w ciemności biała delikatna róża. Czy to nie dziwne, że on właśnie ukochał to zagadkowe stworzenie: królownę-smoka, dziewczętkę-wampira, która leży oto drżąca obok niego, nawiedzona przez Bóg wie jakie straszliwe zwiady. A najsmutniejsze, że on, Marcin, przyjął ją taką, jaka jest, ona natomiast jego nie chce przyjąć; jak gdyby dziewczątka w bieli (pośród błota, otoczony rojem nocnych nietoperzy, lepkich, wstrętnych nietoperzy) błagało go o pomoc i jednocześnie gwałtownym gestem odrzucało jego obecność, odpychało go od siebie. Tak, oto królowna drży i jęczy. Ze spustoszonych, pogrążonych w ciemności regionów wzywa jego, Marcina.

On jednak, biedny, stropiony chłopiec, nie może dostać się do miejsc, gdzie przebywa Aleksandra, dzieli go od niej niezgłębiona przepaść.

Może jedynie siedzieć przy niej, spoglądać na nią z niepokojem i czekać.

— Nie, nie! — krzyknęła Aleksandra wyciągając przed siebie ręce, jak gdyby coś odrzucała. Przebudziła się wreszcie i znowu powtórzyła się scena, którą Marcin przeżył w tamtą pierwszą noc: uspokajał, wołał ją po imieniu; ona zaś, zrazu nieprzytomna, wyłaniała się powoli z głębokiej studni pełnej wampirów i pajęczyn.

Usiadła na tapczanie i podkurczając nogi oparła głowę na kolanach z wolna powracając do przytomności. Po pewnym czasie spojrzała na Marcina i rzekła:

— Mam nadzieję, że już się przyzwyczyłeś.

W odpowiedzi Marcin chciał pogłaskać ją po twarzy.

— Nie dotykaj mnie! — zawołała cofając się.

Podniosła się z tapczana.

— Pójdę się wykąpać i wrócę.

— Dlaczego tak się guzdrałaś? — spytał, kiedy po dłuższym czasie weszła do pokoju.

— Byłam bardzo brudna.

Zapaliła papierosa i położyła się na tapczanie.

Marcin popatrzył na nią z ukosa: nigdy nie wiadomo było, kiedy żartuje.

— Nie żartuję, głuptasie, mówię poważnie.

Marcin milczał; wątpliwości, pomieszane myśli i uczucia paraliżowały go. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w sufit, starał się uporządkować swoje myśli.

— O czym myślisz?

— O wielu rzeczach, Aleksandro... nie wiem...

— Czego nie wiesz?

■— Nic nie wiem... Odkąd cię znam, żyję w zupełnym pomieszaniu pojęć, uczuć... nie wiem nigdy, jak mam się zachować. Ot, na przykład teraz, kiedy się przebudziłaś, chciałem cię pogłaskać... I przedtem, zanim usnęłaś... kiedy...

Zamilkł. Aleksandra również nic nie mówiła.

Na 'długą chwilę zapadło milczenie. Słysząc było tylko, jak Aleksandra głęboko i chciwie zaciąga się dymem z papierosa.

— Nic nie mówisz — rzekł Marcin z wyrzutem.

— Odpowiedziałam ci już, że cię kocham, że cię strasznie kocham.

■—■ O czym teraz śniłaś? — spytał nieśmiało.

— Na co ci to wiedzieć? Nie warto.

— Widzisz? Żyjesz w świecie, którego ja nie znam. Jak możesz mówić, że mnie kochasz?

— Kocham cię, Marcinie.

— Ba... kochasz mnie, jak się kocha dziecko

Aleksandra milczała.

— No widzisz? — powiedział z wyrzutem — widzisz?

— Nie, głuptasie, nie jest tak... dla mnie samej nie wszystko jest jasne... Ale kocham cię, potrzebuję cię, to pewne.

— Nie pozwoliłaś się pocałować. Przed chwilą me dałaś mi się nawet dotknąć.

— O mój Boże! Nie widzisz, że jestem chora, że strasznie cierpię? Nie masz pojęcia, jaki miałam koszmarny sen...

— I dlatego się kapałaś? — spytał z ironią.

— Tak. Kapałam się z powodu tego koszmarne-
go snu.

— Czy koszmary czyści się wodą?

— Tak, Marcinie. Wodą i mydłem.

— Nie uważam, żeby to, co mówię, było śmieszne.

— Nie śmieję się, moje maleństwo, choć powinna
bym śmiać się z samej siebie, z absurdalnego pomysłu
czyszczenia duszy za pomocą wody i mydła. Gdy-
byś wiedział, jak mocno się szoruję!

— To dziki pomysł.

— Przyznaję.

Aleksandra podniosła się, zgasiła niedopałek pa-
pierosa na popielniczce stojącej na nocnym stoliku
i znowu się położyła.

— Ja jestem niedoświadczonym chłopcem, Ale-
ksandro. Prawdopodobnie uważasz mnie nawet za nie-
zbyt mądrego. Ale mimo to pytam ciebie: jeżeli ci
sprawia przykrość, kiedy cię dotykam, kiedy całuję
cię w usta, dlaczego kazałaś mi położyć się obok sie-
bie? To mi się wydaje okrucieństwem z twojej strony.
Czy też traktujesz to jako jeszcze jeden eksperyment,
jak z Markiem Molino?

— Nie, Marcinie, to żaden eksperyment. Marka
Molino nie kochałam, to dla mnie jasne. Z tobą to
inna sprawa. Dziwne, że nie potrafię sobie sama te-
go wytłumaczyć: muszę cię mieć blisko siebie, czuć
ciepło twego ciała, dotknięcie twojej ręki.

— Ale pocałować się nie pozwalasz.

Aleksandra na chwilę zamilkła.

— Wiesz, Marcinie — podjęła — jest we mnie
coś... sama nie wiem... Może dlatego, że mam dla cie-
bie wiele czułości... rozumiesz?

— Nie.

— Oczywiście... ja sama niedobrze rozumiem.

— Czy nigdy nie będę cię mógł pocałować, nigdy
nie dotknę twego ciała? ■—■ pytał Marcin z trochę
śmieszną, dziecianną emfazą.

Aleksandra zakryła twarz rękami, przycisnęła je
do skroni, jak gdyby ją bolały. Po chwili zapaliła pa-
pierosa, bez słowa podeszła do okna i pozostała tam,
dopóki nie skończyła palić. Potem wróciła, usiadła na
tapczanie, ogarnęła Marcina długim poważnym spoj-
rzeniem i zaczęła się rozbierać.

Marcin omal nie przeraził się: oto na jego oczach 110

spełnia się cud tak gorąco upragniony, a jednak w tej samej chwili przeczuwa, że jest w tym coś strasznego. Oto jej ciało wyłania się powoli z ciemności jak Wenus z piany morskiej; stoi już w świetle księżyca i Marcin spogląda na jej kibić, tak wąską, że można by ją objąć jednym ramieniem; na jej smukłe uda; na strome, trójkątne, rozchylone piersi, które drżą za każdym poruszeniem, na jej długie gładkie włosy opadające na ramiona. Twarz jej jest poważna, nieomal tragiczna; maluje się na niej rozpacz, napięta, jak gdyby naelektryzowana rozpacz.

Rzecz osobliwa! Oczy Marcina są pełne łez, drży cały jak w gorączce. Spogląda na Aleksandrę jak na starożytną amfore, wysoką, piękną i kruchą amfore z ciała; w pragnienie więzi z Aleksandrą, w chęć zrozumienia jej istoty wmieszane jest również jej ciało, gdyż, jak powiedział Bruno, jedną z tragicznych osobliwości ducha, ale też jedną z jego najgłębszych subtelności jest niemożność istnienia inaczej, jak za pośrednictwem ciała.

Świat zewnętrzny przestał dla Marcina istnieć. Zaczarowany, magiczny krąg oddzielił go od straszego miasta, od jego nędzy i brzydoty, od milionów ludzi, którzy mówią, jedzą, cierpią, kłócą się i nienawidzą. Dzięki przedziwnej mocy miłości wszystko przestało istnieć prócz ciała Aleksandry, które czeka obok niego. Ciało to umrze kiedyś i zgnije, ale w tej chwili jest nieśmiertelne i niezniszczalne, jak gdyby duch, co je zamieszkuje, przekazał mu cechy swojej wieczności. Po uderzeniach serca poznał Marcin, że oto wspina się na nigdy przedtem nie osiągniętą wysokość, na niebosiężny szczyt, gdzie powietrze jest czyste, lecz naelektryzowane, na wysoką górę ponad ciemnym, cuchnącym bagniskiem, skąd niedawno jeszcze dochodził go chlupot ohydnych, plugawych bestii. A Bruno (nie Marcin, rzecz jasna) pomyślał, że w owej chwili Aleksandra milcząc zmówiła dramatyczną, a nawet tragiczną modlitwę. Pomyśli też później, że jej modły nie zostały wysłuchane.

XVIII Świtało już, kiedy Marcin się obudził. Aleksandry nie było przy nim. Zaniepokojony 111

zerwał się i ujrzał, że stoi oparta o parapet okna i wygląda zamyślona na ulicę.

— Aleksandro — powiedział z miłością.

Odwróciła się, na jej twarzy malowały się z troskanie i melancholia.

Zbliżyła się i usiadła na tapczanie.

— Dawno wstałaś?

— Przed chwilą. Ale ja często wstaję.

— Czy i tej nocy również wstawałaś? — spytał zdumiony.

— Oczywiście.

— A ja nic nie słyszałem.

Aleksandra schyliła głowę, odwróciła od niego spojrzenie i marszcząc czoło, co jej nadało wygląd jeszcze bardziej z troskany, chciała coś powiedzieć, lecz w końcu zamilczała.

Marcin patrzył na nią ze smutkiem i choć niezbyt dobrze rozumiał przyczynę tej melancholii, zdawało mu się, że usłyszał z daleka jej szept, jej niezrozumiałe szept.

— Aleksandro... — rzekł z uniesieniem — ty...

Zwróciła ku niemu nieprzeniknioną twarz.

— Co ja?

Nie czekając zbędnej odpowiedzi podeszła do stolika, wzięła papierosy i wróciła do okna.

Marcin wodził za nią wzrokiem z obawą, że — jak to bywa w bajkach dla dzieci — zaczarowany pałac, wzniesiony w tę noc, o świcie zapadnie się bezszelestnie. Przeczynał niejasno, że surowa istota, której tak się obawiał, gotowa ukazać się znowu. I kiedy po chwili Aleksandra zwróciła ku niemu twarz, zrozumiał, że zaczarowany pałac rozwił się jak dym.

— Powiedziała ci, Marcinie, że jestem ścierwo.

Pamiętaj, że cię przestrzegałam.

Obróciła się znowu do okna i w milczeniu paliła papierosa.

Marcin poczuł swoją śmieszność; widząc jej surową twarz przykrył się prześcieradłem i pomyślał, że powinien ubrać się, zanim znowu na niego spojrzy. Starając się nie czynić hałasu usiadł na brzegu tapczana i ubierał się nie odrywając wzroku od okna, w obawie, że Aleksandra odwróci się znowu. Po chwili był gotów i czekał.

— Skończyłeś? — spytała, jak gdyby przez cały czas wiedziała, co Marcin robi.

— Tak.

— A teraz zostaw mnie samą.

XIX^{Te} i F-Ocy Marcin miał sen: Pośród tłumu ludzi podszedł do niego żebrak, którego twarzy nie mógł dojrzeć, i zrzuciwszy z pleców worek, położył go na ziemi, rozsypał węzły i wyłożył zawartość przed Marcinem. Wtedy dopiero wznosił w górę oczy i wyszeptał jakieś słowa, których Marcin nie zrozumiał. Sen nie zawierał w sobie nic strasznego: żebrak był zwyczajnym sobie żebrakiem i to, co robił, było rzeczą zwykłą. A mimo to Marcin obudził się z lękiem, jak gdyby we śnie ujrzał symbol czegoś, czego nie zdołał pojąć; jak gdyby otrzymał ważny list i po otwarciu go spostrzegł, że pismo jest nieczytelne, a papier wymięty i przegniły.

XX Kiedy po latach Marcin starał się znaleźć wytłumaczenie dla swego stosunku z Aleksandrą, między innymi sprawami, które wyjawiał Brunowi, powiedział mu też, że nie bacząc na zmiany humoru Aleksandry był przez kilka tygodni szczęśliwy. Bruno podniósł brwi; wobec słowa tak nieoczekiwanego w zestawieniu z czymkolwiek, co odnosiło się do Aleksandry, na czole jego pojawiły się poziome zmarszczki; Marcin zrozumiał ten drobny milczący komentarz, dodał więc po chwili namysłu:

— Powinienem raczej powiedzieć: niemal szczęśliwy. Ale niezmiernie.

Albowiem słowo „szczęście” nie mogło odpowiadać niczemu, co miało jakikolwiek związek z Aleksandrą; a jednak istniało coś, czy to uczucie, czy stan umysłu, co trochę zbliżone było do tego, co nazywamy szczęściem, nie mogąc jednak w atmosferze niepokoju i niepewności, jaka stale otaczała Aleksandrę, stać się szczęściem, w postaci doskonałej (dlatego słowo „niemal”); lecz Marcin osiągnął w danych "warunkach najwyższy szczyt (stąd owo „niezmiernie”), doznając uczucia czystości i majestatu, żarliwego milczenia i samotnej ekstazy, uczucia, jakie mają alpiniści na szczytach gór.

Bruno oparł podbródek na pięści i spojrzał na niego zamyślony.

— A ona — zapytał — czy także była szczęśliwa? Pytanie to miało mimo woli pewien zaledwie dosłyszalny odcień czulej ironii. Marcin nie zauważył być może nutki niedowierzania, ale samo sformułowanie kwestii kazało mu zastanowić się, jak gdyby przedtem nigdy nie był pomyślał o takiej możliwości. Toteż po chwili odpowiedział (lecz powątpiewanie Bruna natychmiast ma się nieświadomie udzieliło i zamaściło już jego umysł:

— Nie wiem... może... w tym okresie.

I zaczął głowić się nad dozą szczęśliwości, jaką ona mogła odczuć lub przynajmniej okazać: czy to uśmiechem, czy piosenką, czy jakimiś słowami.

Bruno zaś mówił sobie: „A dlaczego by nie? I czym w końcu jest szczęście? Dlaczegoż by nie miała być z tym chłopcem szczęśliwa, przynajmniej w chwilach tryumfu nad samą sobą, w owym czasie, kiedy walczyła ciałem i duszą, żeby uwolnić się od demonów?” I z głową opartą na pięści spoglądał na Marcina, i poprzez jego smutek, pośmiertne nadzieje i żarliwość starał się nieco lepiej zrozumieć Aleksandrę; z taką samą melancholijną uwagą, z jaką wskrzesza się w myślach przyjemną podróż do dalekiego kraju słuchając relacji innego podróżnika, choć ten podróżował innymi drogami i w innym czasie.

I jak to bywa niemal zawsze przy wymianie dwóch poglądów, kiedy dochodzi się do pośredniego, który nie posiada ani ostrości, ani precyzji obu poprzednich, podczas gdy Bruno przyjął w końcu, że Aleksandra mogła być czuć się w jakiś sposób lub w pewnej mierze szczęśliwa, Marcin ze swej strony dokonując przeglądu wspomnień (pewne wyrażenia, jakaś mina, jakiś uśmiech) doszedł do wniosku, że Aleksandra nie była szczęśliwa, nawet w okresie tamtych paru tygodni.

Jakże by inaczej mógł wytłumaczyć ten straszny upadek, który potem nastąpił? Czyż nie oznaczał on, że w jej udręczonym umyśle wciąż walczyły owe demony, o których istnieniu wiedział, lecz które chciał zlekceważyć udając roztargnienie, jak gdyby w ten naiwnie magiczny sposób można je było unicestwić? Przebiegał pamięcią nie tylko słowa, które od samego początku zwracały jego uwagę (ślepi, Fernando), ale też gesty, 114

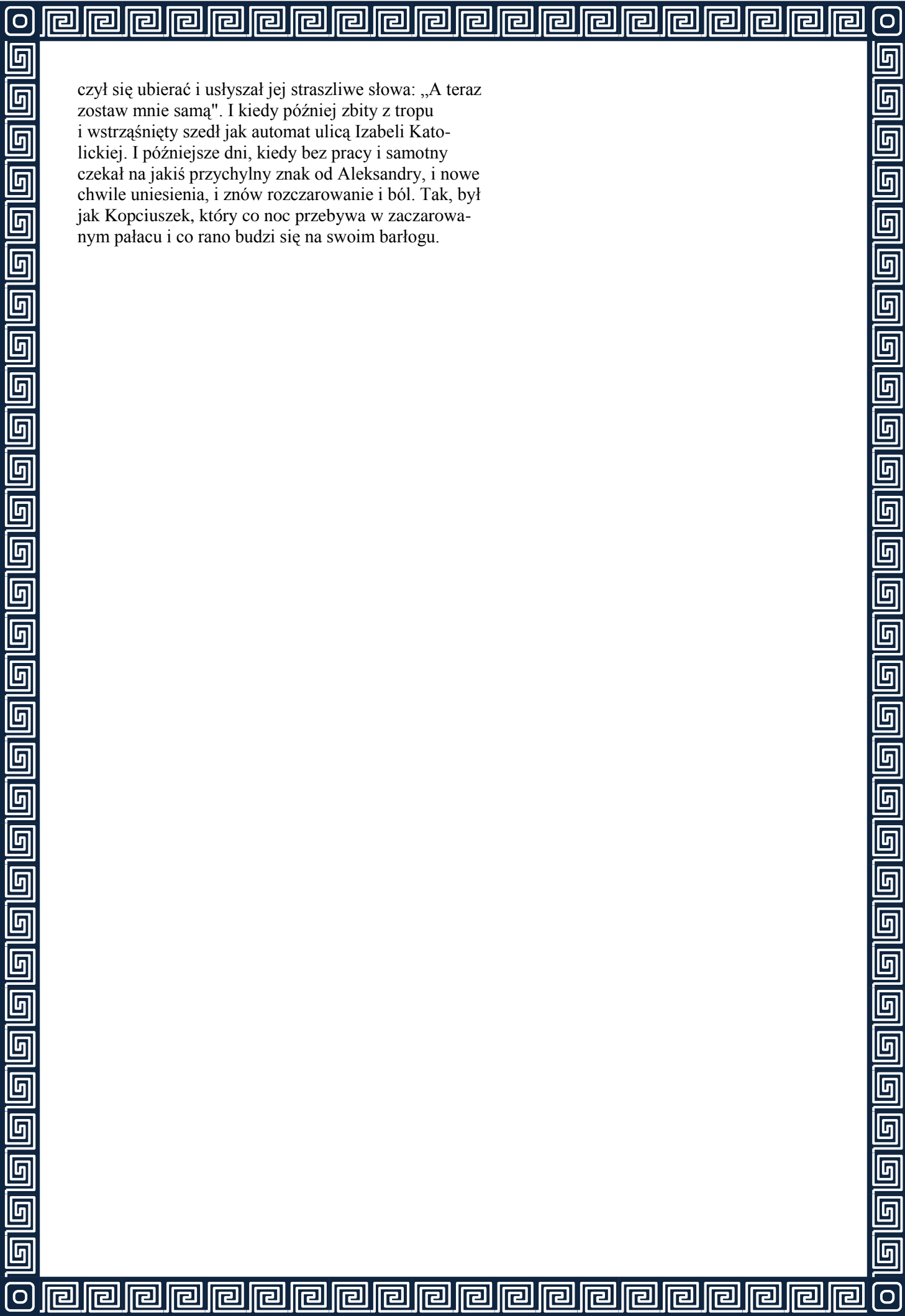
orzejawy ironii w stosunku do osób postronnych, jak Molinari, milczenia i przemilczenia, a przede wszystkim tę alienację, w jakiej żyła całymi dniami, kiedy to Marcin miał wrażenie, że jej umysł przebywa w innym miejscu, a ciało zostało opuszczone, jak ciało owego dzikusa, którego dusza wydartą przez czarownika błąka się w nieznanych ostępach. Myślał też o raptownych zmianach jej humoru, o atakach złości i o pewnych snach, które w zmienionej, mglistej postaci znał z jej opowiadań. Lecz przy tym wszystkim wierzył, że w tym okresie Aleksandra kochała go i że miewała chwile pogody lub spokoju, jeśli już nie szczęścia; pamiętał przecież piękne, ciche wieczory, pieszczotliwe, głupiutkie słowa, jakie wypowiadają zakochani, drobne odruchy czułości i miłe żarty. A niekiedy była jak żołnierz powracający z frontu, ranny i wykrwawiony, sponiewierany i bezbronny, który powoli w pogodnym otoczeniu wraca do życia pod troskliwą opieką kochającej istoty.

Coś z tego wszystkiego opowiedział Brunowi, a Brano zamyślił się, niezbyt pewny, czy to właśnie tak było, bo na pewno było jeszcze inaczej. A gdy Marcin spojrział na niego oczekując odpowiedzi, mruknął coś tak niezrozumiale, jak niejasne były jego myśli.

Nie, również i Marcin nie miał jasnego sądu i rzeczywiście nigdy nie umiał sobie wytłumaczyć ani przyczyny, ani rozwoju owego stanu, choć coraz bardziej skłonny był przypuszczać, że Aleksandra nigdy nie wydobyla się z chaosu, w którym żyła, zanim go poznała, chociaż miewała przy nim chwile spokoju; że ciemne siły, które kłębiły się w jej wnętrzu, nigdy jej nie opuściły i w końcu rozpętały się na nowo z całą furją. Jej zdolność do walki wyczerpała się widać i kiedy pojęła swą klęskę, ogarnęła ją tym straszniejsza rozpacz.

Obracając w palcach scyzoryk Marcin pozwolił swej pamięci sięgnąć w czasy, które teraz wydawały mu się bardzo odległe. Pamięć jego była jak stary, prawie ślepy człowiek, który laską szuka dawnych ścieżek, dziś zarosłych trawą. Czas, niedole i burze zmieniły krajobraz. Czy był szczęśliwy? Nie, co za nonsens. Można raczej powiedzieć, że miewał chwile rozkoszy, po których nieuchronnie następowała katastrofa.

Wspomniał tamten poranek w miradorze, kiedy skon-



czył się ubierać i usłyszał jej straszliwe słowa: „A teraz zostaw mnie samą”. I kiedy później zbity z tropu i wstrząśnięty szedł jak automat ulicą Izabeli Kato-lickiej. I późniejsze dni, kiedy bez pracy i samotny czekał na jakiś przychylny znak od Aleksandry, i nowe chwile uniesienia, i znów rozczarowanie i ból. Tak, był jak Kopciuszek, który co noc przebywa w zaczarowa-nyim pałacu i co rano budzi się na swoim barłogu.



CZĘŚĆ DRUGA
NIEWIDZIALNE TWARZE

I Ciekawa rzecz (ciekawa z punktu widzenia późniejszych wydarzeń), Marcin nigdy nie czuł się tak szczęśliwy, jak w godzinach, które poprzedzały rozmowę z Molinarim. Aleksandra była w doskonałym humorze i miała ochotę pójść do kina: nie zraziła się nawet, kiedy Bordenave pokrzyżował ich plany, wzywając Marcina na siódmą. Lecz w chwili kiedy Marcin miał właśnie zapytać o bar amerykański, pociągnęła go za ramię, jak gdyby dobrze знаła ten lokal: ów pierwszy incydent zdołał popsuć mu humor.

Jakiś człowiek zwrócił jego uwagę. Siedział z dwoma mężczyznami przy stoliku zarzuconym papierami. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, był wysokiego wzrostu, elegancki, nieco podobny do Edena. Tylko lekko ironiczny wyraz oczu i trochę krzywy uśmiech nadawały mu typowo argentyński wygląd. „Ach, to pan”, powiedział i usprawiedliwiwszy się przed tamtymi zaprosił Marcina do sąsiedniego stolika; gdy jednak Marcin mruczając coś pod nosem spojrzał w stronę Aleksandry, Bordenave zatrzymał na niej spojrzenie i rzekł: „Ach, doskonale, przysiadzimy się”.

Marcin zauważył, że człowiek ten nie wzbudził sympatii Aleksandry, gdyż przez cały czas rysowała ptaszki na papierowej serwetce; Marcin dobrze znał tę oznakę niezadowolenia. Zmartwiony nagłą zmianą jej humoru musiał się wysilać, by zrozumieć, co mówi Bordenave. Mówił on zresztą o rzeczach nie mających nic wspólnego ze sprawą Marcina. W sumie wydał mu się awanturnikiem pozbawionym skrupułów, ale najważniejsze, że obiecał wstrzymać eksmisję.

Kiedy wyszli i przemierzywszy ulicę usiedli na ławce na placu, Marcin, zgnębiony, spytał Aleksandrę, co myśli o Bordenavem.

— Co mam myśleć? Ot, Argentyńczyk — odparła.

W świetle zapalniczki, którą zapaliła papierosa, zauważył, że jej twarz przybrała surowy wyraz. Długo milczała ku strapieniu Marcina, który zastanawiał się, co mogło „wpłynąć na tak raptowną zmianę, chociaż było jasne, że przyczyną był Bordenave. Ten człowiek mówił niepotrzebnie o sprawach będących w związku z tymi Włochami, co z nim siedzieli, i pokazał się przy tym w niekorzystnym świetle. To pewne, że jego pojawienie się zamąciło poprzedni spokój, niczym uka-

4
,j]

zanie się jakiegoś gada w źródle, z którego pijemy czystą jak kryształ wadę.

Aleksandra oświadczyła, że boli ją głowa i że chciałaby wrócić do domu, żeby się położyć. Dopiero przy ulicy Rio Cuarto, przed samym rozstaniem otworzyła wreszcie usta, by mu oświadczyć, że pomówi z Molinarim, ale żeby się niepotrzebnie nie łudził.

— Co mam zrobić? Czy dasz mi list? — zapytał.

— Zobaczmy. Może porozmawiam z nim przez telefon i zostawię ci wiadomość.

Marcin spojrział na nią zdumiony. Wiadomość? Tak, zawiadomi go.

— Ależ... — wyjąkał.

— Co: ależ?

— To znaczy... czy nie mogłabyś mi tego powiedzieć jutro, kiedy się zobaczymy?

Twarz Aleksandry nagle się postarzała.

— Wiesz... nie mogę ci teraz powiedzieć, kiedy się zobaczymy.

Marcin'zbity z tropu bąknął nieśmiało, że dopiero co umówili się na jutro.

— Widzisz przecież, że źle się czuję — odburknęła otwierając furtkę w kracie. Marcin oddalił się już o parę kroków, kiedy go zawołała:

— Poczekaj. Jutro rano do niego zadzwonię, a w południe zostawię ci wiadomość — powiedziała nieco łagodniejszym tonem.

A wchodząc, dorzuciła śmiejąc się złośliwie:

— Zwróć uwagę na jego sekretarkę. Tę blondynkę.

Marcin przystanął zdziwiony.

— To jedna z jego kochanek.

Takie były wypadki tego dnia. Upłynie pewien czas, zanim Marcin zacznie się znowu zastanawiać nad rozmową z Bordenavem, podobnie jak po zbrodni bada się uważnie miejsca i przedmioty, którym przedtem nikt nie przypisywał znaczenia.

II Po latach, kiedy Marcin powrócił z południa, jednym z tematów jego rozmów z Brunem był stosunek, jaki łączył Aleksandrę z Molinarim. „Wciąż sprowadza rozmowę na Aleksandrę — myślał Bruno — jsk gdyby pragnął odbudować jej duszę, która już się rozwiąła, jakby pragnął ją unieśmiertelnić, a czuje, że

rozprasza się i niknie w ślad za gnijącym ciałem, jak-
by długo nie mogła istnieć bez tej podpory, i że wkrótce
nic z niej nie pozostanie, prócz ułomków i śladów
utrwalonych (czy na długo?) w duszach ludzi, co
zmarłą znali, kochali albo nienawidzili".

Marcin stara się więc gromadzić ułamki i ślady,
przemierza ulice i odwiedza miejsca, gdzie przebywała
Aleksandra, prowadzi z mm, z Brunem, rozmowy, bez
żadnego sensu kolekcjonuje jej rzeczy i słowa: jak
człowiek oszalały z rozpaczyny usiłuje zebrać i złączyć
poszarpane szczątki drogiej istoty w miejscu, gdzie
rozbił się samolot; lecz nie zaraz po katastrofie, ale
długo potem, kiedy te poszarpane szczątki uległy już
rozkładowi.

W taki to sposób zrozumiał Bruno, dlaczego Marcin
tak usilnie chce przypomnieć sobie i przeanalizować
tę historię z Molinartai. Podczas gdy on rozmyślał nad
rozpadem ciała i duszy, Marcin powiedział jak gdyby
sam do siebie, że owo nieudane spotkanie z Molinari
było niewątpliwie momentem zwrotnym w jego przy-
jaźni z Aleksandrą; już wtedy wydało mu się zdumie-
wające, że Aleksandra, wiedząc doskonale, iż Molinari
nie ofiaruje mu pracy, mimo to zorganizowała to spot-
kanie, a także że człowiek tak ważny i tak zajęty jak
Molinari poświęcił tak wiele czasu nic nie znaczącemu
młodemu chłopcu.

„Gdyby Marcin miał wtedy tyle przytomności umy-
słu, ile ma dzisiaj — pomyślał Bruno — mógłby był
zauważyć lub co najmniej przypuścić, że w duszy Ale-
ksandry budzi się coś niedobrego, i oznaki te byłyby
dla niego zapowiedzią, że jej miłość czy afekt, czy jak
by to nazwać, zdążyła ku końcowi — nieuchronnie".

— Wszyscy powinniśmy pracować — orzekła wów-
czas Aleksandra. — Praca uszlachetnia. I ja także po-
stanowiłam pracować.

Powiedzenie to, pomimo sarkastycznego tonu Ale-
ksandry, uradowało Marcina, zawsze bowiem uważał,
że jakiegokolwiek konkretne zajęcie dobrze by jej zdo-
biło.

— Widzę, że ucieszyła cię ta wiadomość — dodała,
zauważywszy jego uradowaną minę. Powiedziała to
z tą samą co przedtem ironią, ale przebijała przez nią
odrobina czułości, podobnie jak na spustoszonej przez
żywiol ziemi (tak myślał później) spod martwych zwie- 120

i

i

rząt, obrzmiałych i cuchnących, spod trupów rozdartych przez hieny wyrasta źdźbło trawy, które wysysa resztki wilgoci w cudowny sposób zachowanej w głębszych warstwach pustyni.

— Ale nie masz się z czego cieszyć — dodała. —
3edę pracować u Wandy — wyjaśniła w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Marcina.

Wówczas jego radość znikła — tak opowiedział to Brunowi — jak znika czysta woda w rynsztoku, gdzie, jak wiadomo, pomiesza się z ■wstrętnymi fekaliami. Wanda bowiem należała do tych regionów, skąd chyba przyszła Aleksandra, gdy go spotkała (choć słuszniej byłoby powiedzieć: „gdy go znalazła”); od regionów tych trzymała się z daleka w okresach względnej pogody ducha; chociaż i tu należałoby raczej powiedzieć, że to Marcin sądził, iż stroniła od nich, gdyż teraz przypomina sobie dokładnie, że w ostatnim czasie Aleksandra znowu zażywała narkotyki, a jej nagłe znikanie i niepokazywanie się przez dłuższy czas powtarzało się coraz częściej i coraz więcej dawało do myślenia. Lecz podobnie jak trudno jest pomyśleć, że w jasny słoneczny dzień 'można popełnić zbrodnię, tak niełatwo mu 'było wyobrazić sobie, że wtedy kiedy łączył ją z nim tak czysty związek, Aleksandra mogła powrócić do tamtej sfery. Toteż odezwał się trochę głupio (przysłówek ten nasunął mu się dużo później): „Suknie damskie? Ty będziesz rysowała suknie?”, na co ona rzekła, że jest to niemała przyjemność zarabiać pieniądze na tym, czym się pogardza. Wtedy powiedzenie to wydało mu się zwrotem charakterystycznym dla Aleksandry, po jej śmierci wszakże nabrało ono gorzkiego wydźwięku.

— A zresztą, jest to jak bumerang, rozumiesz? Im więcej odczuwam pogardy dla tych wypacykowanych papug, tym bardziej gardzę sobą. W ten sposób koło się zamyka.

Analiza tego zdania spędziła mu sen z powiek.

W końcu zmęczenie pchnęło go delikatnie, lecz z mocą ku owemu tymczasowemu przedśmionkowi śmierci, w okolice, gdzie przechodzimy kurs przygotowawczy do wielkiego snu. Jest to jak gdyby krótka i nieudolna próba ponurej przygody ostatecznej, jakby pokreślony niezrozumiały brulion końcowego tekstu z przemijającym piekłem koszmaru. Nazajutrz jest się i nie jest

tym samym człowiekiem, gdyż ciąży na nas tajemne a straszne doświadczenia minionej nocy. Z tego też powodu mamy w sobie coś z człowieka wskrzeszonego i coś z upiora (powiedział Bruno). Kto wie, jaka przetworna metamorfoza Wandy prześladowała go w tę noc, rano zaś miał przez dłuższy czas wrażenie, że jakiś nieokreślony ciężar porusza się w ciemnych strefach jego istoty, aż zrozumiał, że tym, co niejasno go dręczyło, był obraz Wandy. A pojął to, co gorsza, w chwili kiedy wszedł do "wspaniałej poczekalni i oniemiały nie mógł się już cofnąć. Doznał wtedy miazdzącego uczucia dysproporcji; jak w opowiadaniu Czechowa czy też Awerczenki (pomyślał), kiedy nędzarz przychodzi do dyrektora banku i oznajmia, że pragnie - otworzyć sobie rachunek dwudziestoma rublami. Czy to nie nonsens? Toteż miał już zebrać wszystkie swoje siły i wycofać się, gdy hiszpański służący oznajmił: „Pan Castillo”. Nie bez ironii oczywiście (pomyślał). Nikt bowiem nie ma tyle pogardy dla biedaków, co biedak w uniformie. W głębokich skórzanych fotelach czekali wytworni panowie w wyglansowanych butach, z portfelami pełnymi Decydujących Papierów i spoglądali na niego ze zdumieniem i ironią (tak myślał), w miarę jak zbliżał się do wysokich drzwi, w innej zaś warstwie świadomości powtarzał sobie: „dwadzieścia rubli”, z upokarzającą autoironią myśląc o swych zniszczonych butach i poplamionym ubraniu; sami nieposzlakowani panowie ze złotymi zegarkami na rękach, odmierzającymi dokładny czas, również ze złota, czas pełen ważnych Zdarzeń Finansowych; jakże różnił się ten czas od rozległych, niepotrzebnych przestrzeni jego życia, kiedy jedynym jego zajęciem były rozmyślanie w parku na ławce; okruchy czasu nędzarza tak różniły się od owego złotego czasu, jak jego izdebka na Boca od wspaniałego gmachu firmy IMPRA. W chwili gdy wchodził do świętego przybytku, pomyślał: „Mam gorączkę”, jak mu się zdarzało zawsze w momentach udreki. I oto ujrzał za olbrzymim biurkiem otyłego mężczyznę. Siedział w wielkim fotelu jakby specjalnie stworzony dla tego gmachu. Z bezrozumną energią Marcin powtarzał sobie w duchu: „Przychodzę, proszę pana, otworzyć rachunek dwudziestoma rublami”.

— Proszę usiąść — powiedział Molinari wskazując 122

fotel i jednocześnie podpisując Dokumenty przedłożone mu przez utlenioną kobietę o tak zmysłowym wyglądzie, że Marcina to jeszcze bardziej pograżyło, bo (przypuszczał) mogłaby obnażyć się przed nim jak przed rzeczą pozbawioną świadomości i zmysłów albo jak obnaża się sławna faworyta przed niewolnikami.

„Wanda” — pomyślał wówczas. Wanda, która pije dzin, kokietuje mężczyzn, także i jego, śmieje się frywolnie i zmysłowo, zwilża wargi językiem, chrupie cukierki jak jego matka; równocześnie widzi na wielkim biurku chromowany maszt z miniaturową argentyńską flagą, skórzane teczki, ogromny portret Perona z dedykacją dla pana Molinari, rozmaite Dyplomy w oprawach, fotografię w skórzanej ramce ofiarowaną panu Molinari, termos z plastyku, a na jednej ze ścian nawet wiersz Kiplinga wydrukowany gotyckimi literami i oprawiony w ramkę. Liczni urzędnicy i woźni wchodzą i wychodzą z papierami, a utleniona sekretarka, która przed chwilą wyszła, powraca teraz i przedkłada inne Papiery, mówiąc do szefa po cichu, ale nie poufale, ażeby nikt, a zwłaszcza żaden z urzędników firmy, nie mógł podejrzewać, że pan Molinari z nią sypia.

—• To pan jest przyjacielem Drusi — zwrócił się do Marcina. A widząc jego pytającą, zdziwioną minę uśmiechnął się i powiedział, jak gdyby to było dowcipne:

— Ach, oczywiście, oczywiście.

Marcin zaś zdumiony i wściekły powiadał sobie: „Aleksandra, Aleksandrusia, Drusia”, lecz pomimo to, a może właśnie dlatego ocenił o stopień wyżej tego korpulentnego mężczyznę w ciemnym garniturze w jasne prążki, z granatowym w czerwone kropki krawatem, w jedwabnej koszuli, z nieskalanie białą chustką do nosa jaśniejącą w górnej kieszeni marynarki i z odznaką Rotary Club w klapie. Był łysawy, ale resztki włosów miał starannie zaczesane i wyszczotkowane; pachnący wodą kolońską wyglądał, jak gdyby ogolił się na sekundę przed wejściem Marcina do gabinetu. Marcin usłyszał z przestraczem, że powiedział sadowiąc się wygodnie w fotelu i przygotowując się do wysłuchania Ważnej Propozycji Marcina:

■— Słucham pana.

Dziwna chęć umartwiania się, poniżania, przyzna- 123

nia się od razu do swej straszliwej znikomości wobec świata, a nawet głupia szczerość nieomal kazały mu powiedzieć: „Przychodzę złożyć dwadzieścia rubli”. Zdołał jednak powstrzymać ten odruch i z ogromną trudnością, jak w koszmarnym śnie, wyjąkał, że został bez pracy i że może przypadkiem — pomyślał, wyobrażał sobie — w IMPRA może się coś dla niego znaleźć. Podczas gdy mówił, pan Molinari marszczył coraz bardziej czoło, aż z pierwotnego profesjonalnego uśmiechu nic już nie pozostało, w chwili gdy spytał go, gdzie pracował dotychczas:

- W drukarni Lopeza.
- W jakim charakterze?
- Jako korektor techniczny.
- W jakich godzinach?

Marcin pamiętał słowa Aleksandry i rumieniąc się wyznał, że nie miał stałych godzin pracy, że brał odbitki do domu. Pan Molinari spojrział marsem odbierając jednocześnie telefon wewnętrzny.

— ■ A dlaczego stracił pan zajęcie?

Na to Marcin odrzekł, że w drukarni bywają okresy nasilenia lub zastoju i że w tych ostatnich zwalnia się korektorów pracujących w domu.

— To znaczy, że przy nasileniu pracy rnożą pana przyjąc z powrotem?

Marcin zaczerwienił się ponownie i pomyślał, że ten człowiek jest nazbyt przenikliwy i że ostatnie pytanie postawił po to, aby usłyszeć prawdę, prawdę, która naturalnie będzie zabójcza.

— Nie, proszę pana, nie sędę.

— Z jakich powodów? — spytał Molinari, bębniąc palcami po biurku.

— Miałem ciężkie zmartwienie, proszę pana, i...

Molinari spoglądał na niego w milczeniu, badawczo i zimno. Marcin spuścił oczy i nagle bez świadomego zamiaru i całkiem nieoczekiwanie powiedział: — Muszę pracować, proszę pana, przeżywam ciężki okres, mam poważne trudności finansowe. — Kiedy podniósł oczy, zdawało mu się, że w spojrzeniu Molinariego zabłysła ironia.

— Bardzo żałuję, panie Castillo, że nie mogę być panu pomocny. Po pierwsze dlatego, że nasza praca tutaj różni się mocno od tej, którą pan wykonywał dla drukarni. Ale jest jeszcze inna przyczyna, ważniej-

— sz: jest pan przyjacielem Aleksandry, a to stworzy-
łoby mi w organizacji problem bardzo delikatny. Z na-
szymi podwładnymi wolimy utrzymywać stosunki ra-
czej nieosobiste. Nie wiem, czy pan mnie zrozumiał.

— Doskonale zrozumiałem, proszę pana — rzekł
Marcin wstając.

Molinari zauważył chyba w jego postępowaniu coś,
co z jakiegoś powodu mu się nie podobało.

— Oczywiście, kiedy pan będzie starszy... Ile pan
ma lat? Dwadzieścia?

— Dziewiętnaście, proszę pana.

— Kiedy pan będzie starszy, przyzna mi pan rację.

A nawet będzie mi pan za to wdzięczny. Zapewniam
pana: nie wyrządziłbym panu żadnej przysługi ofia-
rowując mu pracę z czystej przyjaźni, zwłaszcza że
w krótkim czasie, co łatwo można przewidzieć, po-
wstałyby pewne trudności.

Rzucił okiem na jakiś przyniesiony właśnie Doku-
ment, zrobił parę uwag i ciągnął dalej:

— Miałoby to przykre konsekwencje dla pana, dla
naszej organizacji, dla samej Aleksandry... Z drugiej
strony zdaje mi się, że jest pan zbyt dumny, żeby
przyjąć pracę z samej tylko przyjaźni, prawda? Jeżeli-
bym ofiarował panu posadę tylko ze względu na Ale-
ksandrę, pan by jej chyba nie przyjął?

— Tak jest, proszę pana.

— No widzi pan. I nikomu by to na dobre nie
wyszło: ani panu, ani firmie, ani przyjaźni. Nie na-
leży mieszać uczuć z liczbami, oto moja dewiza.

W tej chwili -wszedł jakiś mężczyzna z Papierami
i spojrzął na Marcina, jak gdyby wahając się, co ma
uczynić. Marcin podniósł się, lecz Molinari odebrał te
Papiery i nie podnosząc oczu powiedział Marcinowi,
żeby został, że jeszcze nie skończył. Przeglądał owo
memorandum czy coś w tym rodzaju, Marcin zaś,
okropnie zdenerwowany i poniżony, ze zdumieniem
starał się pojąć przyczynę tego wszystkiego: dlaczego
Molinari go zatrzymuje, dlaczego traci czas dla osoby
tak mało znaczącej jak on. Na domiar złego cały ten
Mechanizm jakby nagle oszalał: nieustanne dzwonie-
nie czterech aparatów telefonicznych, rozmowy przez
telefon wewnętrzny, wchodzenie i wychodzenie utle-
nionej sekretarki, podpisywanie Papierów. Kiedy zaś
przez telefon wewnętrzny powiedziano, że przyszedł 125

pan Wilson z Banku Centralnego, Marcin miał wrażenie, że jego postać zmalala do wymiarów owada. Tymczasem Molinari niemal krzyknął z nieoczekiwaną gwałtownością:

— Niech zaczeka! I niechaj mi nikt nie przeszkadza, dopóki nie zawołam! Zrozumiano? — zwrócił się do wychodzącego urzędnika.

Nagle wszystko ucichło; wszyscy jak gdyby się ulotnili, telefony przestały dzwonić, a pan Molinari, nerwowy i w złym humorze, siedział zamysłony, bębniąc palcami po biurku.

— Skąd pan zna Aleksandrę? — spytał po chwili spoglądając z uwagą na Marcina.

—• Poznałem ją u przyjaciół — skłamał Marcin czerwieniąc się, bo nigdy nie kłamał, pojął jednak, że okryje się śmiesznością, jeśli powie prawdę.

—■ Czy jest pan jej przyjacielem? — pytał badawczo Molinari.

— Nie wiem... to znaczy...

Molinari podniósł prawą rękę na znak, że dalsze szczegóły są zbędne. Po chwili, wciąż przyglądając mu się uważnie, powiedział:

— Wy, dzisiejsza młodzież, uważacie nas za reakcjonistów. Więc powiem panu, co pana zapewne zdziwi, że w młodości byłem socjalistą.

W tej chwili w bocznych drzwiach pokazał się jakiś Dostojnik.

— Wejdz, wejdz — zaprosił go Molinari.

Nieznajomy pan wszedł, położył ramię na łopatkę Molinariego i szeptał mu coś do ucha, a Molinari przytakiwał głową.

— Dobrze, zgadzam się, niech robią, co chcą — oznajmił. I wskazując nieznacznym gestem na Marcina powiedział z uśmiechem, który Marcinowi wydał się trochę drwiący:

— Ten oto młody człowiek jest przyjacielem Aleksandry.

Nieznajomy pan nie zdejmując ręki z oparcia fotela Molinariego uśmiechnął się niewyraźnie do Marcina i lekko się uklonił.

— Doskonale, żeś przyszedł, Hektorze — rzekł Molinari. — Ty wiesz, ile troski przysparza mi problem młodzieży argentyńskiej.

Nieznajomy pan spojrział na Marcina.

— Powiedziałem, mu właśnie, że młodzi ludzie uważają nas, starych, za zgrają reakcjonistów, sądzą, że nic nie rozumiemy, nic nie jesteśmy warci, i tak dalej, i tak dalej.

Nieznamy pan uśmiechnął się życzliwie spoglądając na niego jako na przedstawiciela Młodego Pokolenia (pomyślał Marcin). Pomyślał też, że podział sił w Walce Pokoleń jest zbyt nierówny, dzięki czemu, o ile to było jeszcze możliwe, odczuł jeszcze bardziej swoją własną śmieszność: tamci dwaj za imponującym biurkiem pod osłoną Towarzystwa Akcyjnego IMPRA, fotografii Perona z własnoręczną dedykacją, Masztu z Flagą, międzynarodowego Rotary Club i dwunastopiętrowego gmachu — i on w podartym ubraniu, po dwudniowym poście. Mniej więcej jak Zulusi broniący się przed imperialistyczną armią brytyjską za pomocą strzał i malowanych tarcz ze skóry.

— Jak powiedziałem przed chwilą, i ja także byłem w swoim czasie socjalistą, ba, nawet anarchistą — zarówno on, jak i nowo przybyły uśmiechnęli się szeroko jak na wspomnienie dobrego żartu. — Mój przyjaciel Perez Moretti nie pozwoli mi skłamać, gdyż niejedno przeżyliśmy wspólnie. Niech pan nie sądzi, że się tego wstydzimy, przeciwnie, uważam, że młodzież powinna mieć górne ideały. Starczy jej czasu na wyzbycie się złudzeń. Życie wykaże później, że człowiek nie jest stworzony dla utopijnego społeczeństwa. Na świecie nie ma nawet dwóch ludzi sobie równych: jeden jest ambitny, drugi niedbały, jeden aktywny, drugi leniwy, jeden pragnie do czegoś dojść, jak na przykład mój przyjaciel Perez Moretti albo ja, inny będzie nędzarzem przez całe życie, byle go zostawiano w spokoju. Nie ma co mówić: ludzie z natury nie są równi i nie ma sensu marzyć o stworzeniu społeczeństwa, w którym wszyscy byliby sobie równi. Zresztą zważ pan, że byłaby to wielka niesprawiedliwość; dlaczego człowiek pracowity ma dostawać tyle co próżniak? Dlaczego geniusz, jakiś Edison, jakiś Henry Ford, ma być traktowany tak samo jak niedołęga stworzony po to, aby czyścić podłogę w tym gabinecie? Czy nie uważa pan, że byłaby to ogromna niesprawiedliwość? Dlaczego ma się w imię sprawiedliwości, właśnie w imię sprawiedliwości wprowadzać system oparty na niesprawiedliwości? Jest to jeden 127

z licznych paradoksów, warto by specjalnie o tym napisać książkę. Powiem ci, że mnie nieraz korciło napisanie czegoś w tym duchu — rzekł zwracając się do Pereza Moretti, jak gdyby chciał powołać go na świadka, Marcin tymczasem patrząc, jak ten potakująco kiwnął głową, pyta sam siebie: „Dlaczego ten człowiek traci dla mnie tyle czasu?“, i dochodzi do wniosku, że wiąże go chyba z Aleksandrą coś niezmiernie ważnego, coś, na czym Molinariemu ogromnie zależy, a myśl, że Aleksandrę łączy z tym człowiekiem tak rnocna więź, obojętne, jakiego rodzaju, dręczy go coraz bardziej, w miarę jak przeciąga się ta rozmowa, bo czas trwania rozmowy stanowi niejako miarę owej więzi; wobec tego zaczyna się na nowo zastanawiać, dlaczego Aleksandra go tu przysłała, i niejasno, sam nie wiedząc dlaczego, wnioskuje, że uczyniła tak po to, aby „czegoś dowieść“, teraz, kiedy stosunki między nimi zaczęły się zaciemniać, znowu więc odświeża w pamięci wydarzenia, małe i wielkie, które grupują się dookoła nazwiska „Molinari“, podobnie jak detektyw przy pomocy lupy szuka śladu lub znaku, chociażby na pozór bez znaczenia, który by jednak mógł prowadzić do wyjaśnienia tajemnicy; lecz umysł Marcina mąci się, gdyż nad owym męczącym dociekaniami góruje głos Molinariego rozwijającego w dalszym ciągu swoją Generalną Koncencję Świata.

— Lata i życie, które jest twarde i bezlitosne, uczą człowieka, że ideały, nawet najszlachetniejsze, gdyż niewątpliwie są to szlachetne ideały, nie są dla ludzi. Są wymyślone przez marzycieli, powiedziałbym nawet: przez poetów. Bardzo piękne, bardzo górnotne, nadają się do książek, do przemówień na barykadach, ale nie do "wprowadzenia w życie. Chciałbym ja widzieć takiego Kropotkina albo Malatestę na moim miejscu. Ciekaw jestem, czy potrafiłyby walczyć dzień w dzień z przepisami Banku Centralnego (tu roześmiał się, w czym pan Perez Moretti serdecznie rnu zawtórował) i bez przerwy lawirować, żeby Peron albo syndykat, albo oboje razem nie zrobili mu jakiegoś kawału. Z drugiej strony to dobrze, jeśli chłopiec lub dziewczyna posiada jakieś ideały wolności, sprawiedliwości społecznej i utopijnego społeczeństwa. Ale później pan się ożeni, zechce pan uregulować swoją sytuację wobec społeczeństwa, stworzy pan ognisko ro-

128

dzinne, do tego przecież dąży każdy porządny człowiek, i tym samym zapomni pan powoli o tych mrzonkach, nie wiem, czy pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć. Nie jest trudno być anarchistą, kiedy się jest młodym i na utrzymaniu rodziców. Co innego stawić czoło życiu, troszczyć się o dom, zwłaszcza kiedy przychodzą dzieci i nowe obowiązki rodzinne: to ubranie, to szkoła, to książki, to jakaś choroba. Teorie socjalne to piękna rzecz, ale kiedy nie ma czego włożyć do garnka, jak to się potocznie mówi, wtedy, przyjacielu, trzeba spuścić z tonu i zrozumieć, że świat nie jest stworzony dla marzycieli, dla Malatestów i Kropotkinów. Proszę zwrócić uwagę, że ja mówię o teoretycznych anarchistach, bo oni przynajmniej nie wzywają do dyktatury proletariatu, jak komuniści. Czy może pan sobie wyobrazić coś tak strasznego, jak rządy dyktatorskie? Dyktatura to przecież zawsze miliony niewolników pracujących pod nahajką. Wolność, przyjacielu, to rzecz święta, jest to jedna z tych wielkich wartości, które powinniśmy ratować za wszelką cenę. Wolność dla wszystkich: wolność dla robotnika, ażeby mógł szukać pracy, gdzie mu się podoba, i wolność dla pracodawcy, żeby mógł zatrudniać tego, kto mu odpowiada. Prawo podaży i popytu i wolnej konkurencji. Weźmy dla przykładu pański przypadek: wchodzi pan tutaj swobodnie i oferuje mi swoją siłę roboczą: mnie to z pewnych względów nie odpowiada i nie przyjmuję pana. Ale pan jest człowiekiem wolnym, może pan stąd wyjść i oferować swe usługi w przedsiębiorstwie naprzeciwko. Niech pan pomyśli, co to za nieoceniona rzecz: pan, skromny chłopiec, i ja, prezes wielkiego przedsiębiorstwa, mamy z tytułu prawa podaży i popytu równą swobodę działania: niech sobie politycy mówią, co chcą, ale to jest najwyższym prawem dobrze zorganizowanego społeczeństwa, toteż ilekroć ten człowiek (wskazał na fotografię z dedykacją Perona), ilekroć ten pan wchodzi w drogę wolnemu przedsiębiorstwu, zawsze działa na naszą szkodę, a -tym samym na szkodę państwa. Dlatego mam taką dewizę, przyjaciel Perez Moretti to poświadczy: ani dyktatury, ani utopii socjalnej. Nie poruszyłem tu innych problemów, które moglibyśmy wyliczyć, problemów natury moralnej, gdyż nie samym tylko chlebem człowiek żyje. Społeczeństwu, w którym żyjemy,

potrzebny jest porządek, hierarchia moralna, bez niej, proszę mi wierzyć, wszystko się wali. Czy panu na przykład byłoby przyjemnie, gdyby ktoś podał w wątpliwość honor pańskiej matki? Przepraszam, że pozwoliłem sobie ten hipotetyczny przypadek wysunąć jako przykład. Sam pan właśnie nachmurzył się, świadczy to dobrze o panu, widać, że pojęcie matki jest dla pana równie święte jak dla mnie. No, więc jak można pogodzić takie pojęcie ze społeczeństwem, w którym istnieje wolna miłość i w którym nikt nie jest odpowiedzialny za własne dzieci, w którym małżeństwo wyrzucono za burtę jako instytucję burżuazyjną? Czy rozumie pan, co chcę powiedzieć? Jeżeli podminowuje się podstawę rodziny... ale, czy pan się źle czuje? Marcin pobladł, bliski omdlenia przecierał ręką czoło zroszone zimnym potem.

— Nie, to nic — odpowiedział.

— Więc, jak powiedziałem, jeżeli podminowuje się podstawę rodziny, która stanowi fundament naszego społeczeństwa, jeżeli zburzy pan nienaruszalną instytucję małżeństwa, pytam się, co pozostanie? Chaos. Jakie ideały, jakie wzory mają przyświecać młodemu pokoleniu? Z tymi rzeczami nie wolno żartować, mój chłopcze. Coś jeszcze panu powiem, o czym na ogół z nikim nie mówię, ale wobec pana poczuwam się do tego obowiązku. Mam na myśli problem prostytucji.

W tej chwili zadzwonił telefon wewnętrzny, Molinari spytał opryskliwie: „Co znowu?“, a Marcin coraz bardziej zagubiony w tej brudnej mgle wciąż czegoś się doszukiwał i powtarzał w myślach „Wanda, Wanda“, wspominając cyniczne słowa Aleksandry o tym, że należy pracować i że ma pogardę dla wypacykowanych papug, a także dla samej siebie; pomyślał, jak gdyby w podsumowaniu swoich dociekań, że Wanda jest jednym elementem tej zagadki, Molinari drugim, a kto jeszcze? I znowu odtwarzał w pamięci inne wcześniejsze zdarzenia, lecz nie znalazł nic doniosłego, było tylko to spotkanie z Bordenavem, ale tego człowieka Aleksandra przedtem nie znała i w dodatku wydał jej się tak niesympatyczny, że aż straciła humor.

Tymczasem widzi, że twarz Molinariego, która podczas rozmowy telefonicznej spochmumiała, zaczyna się 130

rozjaśniać, nabiera wyrazu, jaki postanowił zaprezentować jemu, Marcinowi. Teraz pan Molinari zdaje się szukać wątku swego dyskursu.

— Tak jest, prostytutce — podjął. — Popatrz pan, co za paradoks. Jeżeli twierdzę, że prostytutka jest potrzebna, to doskonale rozumiem, że pana to mogło zaszokować. Czy nie? Chociaż jestem święcie przekonany, że jeżeli pan dokładnie rozważy ten problem, i będzie się pan musiał ze mną zgodzić. Bo proszę sobie wyobrazić, co by się działo na świecie bez tego wentyla bezpieczeństwa. Niestety właśnie tu, w naszej ojczyźnie, źle rozumiane pojęcie moralności — zwracam uwagę, że jestem katolikiem — doprowadziło kler argentyński do zakazu prostytutki w roku...

Wahał się chwilę i spojrzał na pana Pereza Moretti, który przysłuchiwał mu się uważnie.

— Zdaje mi się, że to było w roku 35 — powiedział pan Perez Moretti.

— No i jaki był rezultat? Rezultat był taki, że pojawiła się prostytutka pokątna. To jasne. Najgorsze jest jednak to, że ta pokątna prostytutka jest bardziej niebezpieczna, bo nie ma kontroli sanitarnej. Ale mało tego: drogo kosztuje, nie leży w granicach możliwości finansowych robotnika czy urzędnika. Bo nie tylko trzeba zapłacić dziewczynie, trzeba jeszcze wydać pieniądze na hotel. W rezultacie Buenos Aires przechodzi proces demoralizacji o nie dających się przewidzieć konsekwencjiach.

Obrócił głowę w stronę pana Pereza Moretti.

— Na ostatnim posiedzeniu Rotary Club mówiłem właśnie o tym palącym problemie stolicy, a może i całego kraju. Jest to kocioł pod wysokim ciśnieniem z zamkniętym wentylem bezpieczeństwa — tłumaczył zwróciwszy się ponownie w stronę Marcina. — Bo tym właśnie jest legalna, zorganizowana prostytutka: wentylem bezpieczeństwa. Albo będziemy mieli uczciwą kontrolowaną prostytutkę, albo społeczeństwo znajdzie się wcześniej czy później w obliczu niebezpieczeństwa, które zburzy jego podstawowe instytucje. Nie należę do tych, którzy wobec niebezpieczeństwa chowają głowę w piasek jak struś. Pytam się, czy dziewczyna z porządnego domu może dziś żyć spokojnie, a przede wszystkim, czy jej rodzice mogą żyć spokojnie? Pomijam już, że panienska nie może dziś przejść

przez ulicę, zęby nie nasłuchać się świństw z ust mężczyzn, którzy nie mogą dać naturalnego upustu swoim instyktom. Pomijam to wszystko, choć to są bardzo przykre rzeczy. Ale w grę wchodzi lu co innego. To mianowicie, że pomiędzy młodymi ludźmi, pomiędzy narzeczonymi albo po prostu znajomymi dochodzi do ostateczności. Młody człowiek posiada, do diabła, krew, posiada zmysły. Panowie mi wybaczą, że mówię tak otwarcie, ale nie ma innej możliwości ujęcia tego problemu. W dodatku taki młody człowiek nie może się wyładować, bo nie ma dostępnej dla jego kieszeni prostytucji i jest stale podniecony przez, pożał się Boże, kino, przez pornograficzne publikacje, więc czego się można w końcu spodziewać? Z drugiej strony młodzież nie posiada dzisiaj tych hamulców, które dawniej nakładał jej dom z solidnymi zasadami. Bo musimy przyznać, że nasz katolicyzm jest bardzo powierzchowny. Prawdziwych katolików, w całym tego słowa znaczeniu, proszę mi wierzyć, nie ma tu więcej niż pięć procent, a może nawet mniej. A reszta? Pozbawiona hamulców moralnych, bo rodzice bardziej troszczą się o swoje osobiste sprawy niż o świętość ogniska domowego... ale co się panu stało?

Obaj panowie podbiegli do Marcina.

— Nic, nic mi nie jest, proszę panów, nic •— tłumaczył się Marcin, starając się zachować przytomność. — Proszę mi wybaczyć, ale lepiej pójdę już... Wstał z fotela, ale zachwiał się. Był blady i zroszony potem.

— Ależ nie, nie puszczę pana. Zaraz każę przynieść kawy — zatrzymywał go Molinari.

— Nie, proszę pana. Już mi lepiej, bardzo dziękuję. Powietrze dobrze mi robi. Dziękuję, do widzenia. Za ledwie zamknął za sobą drzwi, do których obaj panowie go odprowadzili, i znalazł się poza zasięgiem ich oczu, wybiegł resztkami sił na ulicę, poszukał wzrokiem kawiarni, lecz żadnej nie znalazł w pobliżu. Wpadł więc pomiędzy stojące wzdłuż chodnika samochody i zwymiotował.

III Czekał na nią w barze „The Criterion”, oglądając tymczasem na jednej ze ścian fotografię królowej Izabeli, a na drugiej rysunki nagich kobiet, jak

gdyby (pomyślał) Imperium i Pornografia mogły wieść zancą koegzystencję, podobnie jak koegzystują ucziwe rodziny z domami publicznymi, i to nie wbrew nim, ale właśnie dzięki nim, jak to olśniewająco objaśnił Molinari, i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób i w którym towarzystwie odkryła Aleksandra ten wiktoriański bar.

Przy ladzie, pod drobnomieszczańsko uśmiechniętą królową („Najmniej znaczący ze wszystkich rodów królewskich”, określi go później Aleksandra) brytyjscy dyrektorzy i wysocy urzędnicy pili dżin i whisky i śmiali się ze swoich dowcipów. „Perła Korony” * — pomyślał prawie w tej samej chwili, kiedy iijrzał ją w drzwiach. Zamówiła whisky i wysłuchiwała relacji Marcina.

— Molinari to wspaniały człowiek, Filar Narodu — powiedziała. — Wspaniała świnia, znakomity skurwysyn. Ale ty tak często pytasz mnie o Bruna, zaraz ci go przedstawię.

IV W miarę jak zbliżali się do skrzyżowania ulic Corrientes i San Martin, głośniki Alianzy ** nawoływały coraz bardziej hałaśliwie: „Niechaj oligarchia z Północnej Dzielnicy ma się na baczności, niech Żydzi wsadzą mordercy w kubek, niech masoneria przestanie się naprzykrzać, niech marksiści przestaną wreszcie prowokować!”

Weszli do „La Helvetica”. Lokal był ciemny, z wysokim drewnianym bufetem i staroświecką boazerią.

W poplamionych, zmętniałych lustrach powtarzał się

* Anglicy usiłowali dwukrotnie zająć Argentynę: w r. 1806 i 1807. Argentyńcy jednak odparli ich, przez co uzyskali świadomość swej siły w stosunku do Hiszpanii i w r. 1810 wszczęli bunt przeciw metropolii. Wówczas Anglia świadomie zaniechała zbrojnych interwencji w Argentynie, udzieliła pomocy Argentyńczykom w wojnie z Hiszpanią i zaczęła lokować kapitały w Rio de la Plata. Nie bez powodu jeden z ministrów brytyjskich nazwał Argentynę „Perłą Korony”. Z tego okresu wpływów brytyjskich, który trwał w przybliżeniu do drugiej wojny światowej, pozostało w Buenos Aires wiele zwyczajów angielskich. (Przyp. aut.)

** Właśc. Alianza Libertadora Nacionalista — organizacja młodzieżowa pełniąca rolę oddziałów szturmowych Perona. (Przyp. red.)

Kilkakrotnie obraz tego przeżytku czasów minionych, co wzmagало melancholijny, trochę tajemniczy nastrój.

Od stolika podniósł się niebieskooki jasny blondyn w okularach z bardzo grubymi szklami. Wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat, miał zmysłową, ale myślącą twarz. Marcin zauważył, że przypatruje mu się życzliwie, i pomyślał czerwieniąc się: „Mówiła mu 0 mnie”.

Przez chwilę rozmawiali we troje, lecz Aleksandra była roztargniona, w końcu pożegnała się i poszła; 1 oto Marcin znalazł się sam na sam z Brunem, pełen tremy, jak gdyby miał zdawać egzamin, i zmartwiony nagłym i jak zawsze niezrozumiałym zniknięciem Aleksandry. Raptem, uświadomił sobie, że Bruno zadał mu jakieś pytanie, którego początku nie dosłyszał. Speszony, miał go właśnie poprosić o powtórzenie, kiedy na szczęście nadszedł jakiś mężczyzna rudowłose, piegowaty, z orlim nosem i świdrującym spoza okularów spojrzeniem. Raz po raz uśmiechał się nerwowo. Cały jego wygląd był niepokojący, a chwilami przybierał ton sarkastyczny i Marcin czuł, że gdyby miał zostać z nim sam na sam, nie mógłby otworzyć ust, chociażby się paliło. W dodatku patrzył prosto w oczy, co jeszcze bardziej onieśmielało Marcina. Rozmawiał z Brunem i zwracając się do niego nad stolikiem spozierał ukradkiem dookoła, jak człowiek, który jest obecnie albo był kiedyś prześladowany przez policję. Położył na stole jakąś książkę.

— Przeczytałem właśnie artykuł Pereiry — powiedział Bruno wskazując na książkę.

Mendez uśmiechnął się sardonicznie. Z jego rudej czupryny jak gdyby sypały się iskry, niby z miotłki naładowanej w maszynie elektrostatycznej podczas szkolnych ćwiczeń z fizyki. Oczy jego zabłysły ironią.

— Ha! Atak rozpoczyna już w tytule. Nie do wiary! Jedność Ameryki Łacińskiej!

— Właśnie. Uważa, że było to zbiorowisko narodów ciemionych przez Hiszpanię.

— Ha! Dla tego człowieka istnieje tylko Rosja! Zbiorowisko narodów! W głowie mu wciąż Kirgizi, Gruzini, Ukraińcy, *kraj (myśli Marcin), kraj, dom rodzinny, szukać schronienia iv ciemnościach, ognisko, ciepła jasna przystań wśród ciemności*, a kiedy Bruno 134

podniósł oczy, jakby nie dowierzał, *te oczy, co widziały Aleksandrę w jej dzieciństwie, te smutne, łagodnie ironiczne oczy, i równocześnie wylania się postać Wandy wraz ze słowami: „Zarabiać pieniądze na tym, czym się pogardza”, w tej chwili nie wie oczywiście, jak potwornego znaczenia nabiorą kiedyś słowa Aleksandry, ale już są one dostatecznie ponure, by go dręczyć*, dla tych tutaj zwolenników imperializmu Panama to także naród, chociaż wie o tym każde dziecko, że wynalazła ją Fruit Co. *Widzi Wandę pijącą dzin i rozmawiającą z mężczyznami, frywolnie roześmianą, i Janosa, jej dziwnego małżonka, a Bruno słucha go zamyślony i łyżeczką miesza fusy na dnie filiżanki, Marcin zaś patrzy na jego duże, nerwowe ręce i zastanawia się, jaka mogła być miłość tego człowieka do matki Aleksandry, i nie wie jeszcze, że ta miłość objęła w jakiś sposób jej córkę i że o tej samej Aleksandrze, o której on teraz myśli, rozmyślał także ten człowiek siedzący naprzeciw niego, jednakże tamta Aleksandra (sam Bruno nieraz tak myśli i nie stara się tego ukryć) nie jest tą samą osobą, która doręczy teraz Marcina, bo nigdy (twierdzi Bruno) nie jest się tą samą osobą dla różnych znajomych, przyjaciół lub kochanków, podobnie jak owe rezonatory ze szkolnych lekcji fizyki, co odpowiadają jakąś struną na bodźce dźwiękowe, podczas gdy inne struny pozostają milczące i obce i czekają, aż inny głos wywoła kiedyś ich odpowiedź; bywa, że głos ten się nie odezwie, wtedy owe milczące struny giną to zapomnieniu, samotne i obce całemu światu, tymczasem Mendez wykrzykuje z pełną ironii emfaza,:* — Kto tu mówi o czystym internacjonalizmie! Brawo, Pereira! Teraz dopiero odkrył Argentynę! Całe lata żył d Ja russe *, zamiast zupy iadał barszcz, zamiast matę pił czaj. Argentyna była dla niego egzotyczną wyspą, a nam przyszło na niej żyć, ale sercem, towarzysze, byliśmy w Moskwie! *Znowu wylania się Janos z tym zagadkowym niespokojnym (dlaczego"?) spojrzeniem, uprzejmy do przesady, aż śliski, całuje jej ręce, mówi do niej: „Oui, ma chere” i „comme tu veux, ma chere” **, dlaczego prześladowuje go teraz ten obrzydliwy człowiek zawsze coś*

* Po rosyjsku. (Przyp. red)

** Tak, moja droga, Jak chcesz, mola droga (Przyp red) 135

węszący, zawsze czujny, niewątpliwie są to sprutki Wandy, ale w tej chwili ktoś uklonił się Brunowi i przysiadł się do tamtych mówiących szeptem, a Mendez jadowniczo obserwuje ten ukłon i powiada: — Z pewnością coś knują. Ci klerykalni nacjonaści, ci arcyhiszpanofile odkryli teraz Stany Zjednoczone! Oczywiście, strach ich obleciał przed peronizmem, tą jedyną ostoją przeciwko groźbie sowieckiej i *na nowo gubi trop myśląc o Janosie, aż Bruno powiedział chyba coś o korupcji, a Mendez odpalił: — To jest moralność drobnomieszczańska, Bruno zaś pocziwie zaprzeczył głową i rzekł: Tego bym nie powiedział, a Marcin męczy się, bo nie może śledzić dyskusji, myśli więc: „Jestem strasznym egoistą”, bo myśli jego znowu wracają do tej obleśnej figury i do jej zachowania, do jej ustawicznej czujności z powodu czegoś, czego przyczyną jest obecność albo nieobecność Wandy. Ale co to właściwie jest? Ona zaś odnosi się do niego z mieszaniną pobłażliwości i ironii, jakby oboje, jakby między nimi, lecz oto Bruno powiada,:* Bo psuje wszystko, czego się dotknie, bo jest cynikiem nie wierzącym w nic, ani w lud, ani chociażby w peronizm, bo jest tchórzem, jest małym człowiekiem, Mendez zaś z ironią kiwa głową myśląc zapewne: nieuleczalny drobnomieszczanin, a Marcin myśli, że wszystko jest zawiklane, że trudno żyć i rozumieć i że ów zagadkowy Janos jest jakby symbolem ogólnej niejasności, że zagadkowość jest chyba zasadniczą cechą człowieczeństwa, z tym jego ugrzecznieniem i fałszywą rycerskością w stosunku do żony (a on zauważył to doskonale jak wszystko, co ma jakiś związek z Aleksandrą), z tym lękającym niespokojnym spojrzeniem, jakby się czegoś obawiał lub czegoś oczekiwał, w tym, wypadku czegoś od Wandy, może to zazdrość? na co Aleksandra wybuchła śmiechem i powiedziała: „Jakiś ty jeszcze dziecinny!” Słowa te wryły mu się dokładnie w pamięci, później, po tragedii będzie je wspominał: „Janos to obrzydliwe monstrum”, a ponieważ w tej chwili Bruno poszedł zatelefonować, Marcin został sam z Mendezem, który ciekawie mu się przypatruje, Marcin więc z samego onieśmienia pije wodę.

Bruno na szczęście wrócił.

— Gorąco tu nie do zniesienia — powiedział. —
Proponuję, żebyśmy wyszli.

— Duszno w tej kawiarni, ale lubię ją —■ rzekł, kiedy znaleźli się na ulicy. — Długo już me postoi, ten narożnik wart jest kilka milionów. Szkoda, zburzą ją i postawią wieżowiec, a na dole jeden z tych międzyplanetarnych 'barów pstrokatych i głośnych, które wymyślili Amerykanie.

Rozluźnił krawat.

— Mendez to ciekawy facet. Z ludzi, którzy go nienawidzą, można by założyć towarzystwo wzajemnej pomocy, tak wielu ich jest. A moje stosunki z nim... no tak, on uważa mnie pewnie za chwiejnego intelektualistę, za zgniłego drobnomieszczanina...

Uśmiechnął się myśląc po cichu: „Człowiek w ustawicznej rozterce, Hamlet”.

Na moście ulicy Belgrano Bruno przystanął i oparłszy się o balustradę rzekł:

—• Tu przynajmniej można odetchnąć.

Marcin tymczasem zastanawiał się, czy Aleksandra przejęła od Bruna ów zwyczaj -włóczenia się po porcie, ale pomyślał, że raczej jest przeciwnie, gdyż Bruno wydał mu się miękki i łatwo ulegający wpływowi.

Patrzył na jego delikatną cerę i subtelne ręce i porównywał je z twardymi, chciwymi dłońmi Aleksandry, z jej zamkniętą kanciastą twarzą, a Bruno rozmyślał tymczasem: „Takie pejzaże mogli malować tylko impresjoniści, i to się już skończyło, gdyż malarz który jedynie to odczuwał i nic poza tym, sam siebie oszukiwał”. Spoglądając na niebo zasnute chmurami, na odbicia statków w spokojnej wodzie, pomyślał też, że Buenos Aires przypomina Wenecję; podobne ma niebo ponad stojącą wodą i powietrze przesycone wilgocią, podczas gdy w innej strefie myślenia wciąż jeszcze dyskutował z Mendezem:

—• Na przykład literatura. Są brutalnie schematyczni. Proust jest zdegenerowanym artystą, gdyż należy do klasy upadającej.

Uśmiechnął się.

— Jeżeliby ta teoria była słuszna, nie istniałby marksizm, a także Mendez. Teorię marksistowską powinien by był wymyślić robotnik, najlepiej pracujący w przemyśle ciężkim.

Przechadzali się ścieżką, w pewnej chwili Bruno zaproponował, by usiedli na kamiennym obramowaniu i popatrzeli na rzekę.

Marcina zdziwiła ta oznaka młodości, był skłonny uważać ją za objaw sympatii i koleżeństwa; Bruno poświęca mu wiele czasu i traktuje go familiarnie, stanowi to niejako rękojmię uczuć Aleksandry dla niego, dla Marcina; tak poważny człowiek nie darzyłby go takimi względami, gdyby on, nieznajomy chłopiec, nie był pod osłoną szacunku, a może i miłości Aleksandry. Toteż rozmowa ta, ta przechadzka, to wspólne przesiadywanie nad rzeką sa chyba jakimś potwierdzeniem (choćby pośrednim i słabym) jej miłości, jakimś świadectwem (choćby niejasnym), że Aleksandra nie jest mu tak obca, jak przypuszcza. Bruno wciągał chciwie w płuca wilgotne powietrze płynące z nad rzeki, Marcin zaś wspominał podobne chwile spędzone w tym miejscu z Aleksandrą. Leżą na murze, on złożył głowę na jej łonie i jest (był) naprawdę szczęśliwy. W przedwieczornej ciszy słucha spokojnego szumu rzeki i patrzy na chmury raz po raz zmieniające kształt: głowy proroków, karawany wśród śnieżnej pustyni, żaglowce, białe zatoki. W tej chwili cały świat jest (był) tylko ciszą i pogodą. Sennie, jak po przebudzeniu, układa wygodniej głowę na jej łonie i myśli, jak to dobrze, jak słodko czuć pod głową jej ciało; zdaniem Bruna to ciało jest czymś więcej niż tylko ciałem złożonym z komórek tkanek i nerwów, jest czymś subtelniejszym, bardziej złożonym i tajemnym, bo (jak w przypadku Marcina) jest już także wspomnieniem, a więc czymś przezroczystym i zwiewnym, co broni się przed śmiercią i rozkładem i co nosi w sobie pewne cechy nieśmiertelności: może to być melodia z płyty, którą Marcin słyszał u Aleksandry w miradorze, i zachmurzone niebo w Buenos Aires, skromne posąжки w parku Lezama o zmroku i nieznajomy człowiek grający na cytrze, może być i ów wieczór w restauracji „Zur Post” i nocna ulewa, przed którą schronili się (ze śmiechem) pod markizą, i uliczki Południowej Dzielnicy, i dachy Buenos Aires widziane z baru na dwudziestym pięttrze budynku Comega. Wszystko to odczuwał poprzez jej ciało, poprzez jej słodkie drżące ciało, którego przeznaczeniem jest zgnieć w wilgotnej ziemi pośród robaństwa (sposób myślenia Bruna). teraz jednak daje mu ono przecucie iwieczności. jesteśmy bowiem tak stworzeni — i to powie mu kiedyś Bruno — że jedy-

nie poprzez kruche i przemijające ciało możemy domyślać się wieczności. On wtedy westchnął, a ona zapytała: „Co?” Odrzekł: „Nic”, jak się mówi, kiedy myśli się „wszystko”.

— Byliśmy tu kiedyś z Aleksandrą — powiedział niemal bezwiednie do Bruna. I jak gdyby nie umiał zatrzymać w biegu roweru, nad którym utracił kontrolę, wyznał:

— Jakże byłem wówczas szczęśliwy!

Natychmiast pożałował i zawstydził się swego patosu i wylewności. Bruno jednak nie roześmiał się ani nawet się nie uśmiechnął, lecz poważny i zamyślony spoglądał na rzekę. Powiedział dopiero po chwili, kiedy Marcin nie spodziewał się już żadnej uwagi:

— Tak właśnie udziela się szczęście.

Co chciał powiedzieć? Marcin słuchał go chciwie, jak zawsze kiedy chodziło o coś, co miało związek z Aleksandrą.

■—■ W okrucinach, chwilami. W młodości czeka się na wielkie szczęście, na jakieś szczęście ogromne i absolutne. A w oczekiwaniu na to zjawisko gubi się małe szczęścia, jedyne, jakie istnieją, albo się ich nie docenia. Jak. .

Chwilę pomilczał.

— Jak żebrak — kończył — który gardzi jałmużną, bo ktoś przyrzekł mu wspaniały skarb. Skarb nie istniejący.

Znowu pograżył się w rozmyślaniach.

— Na pozór drobnostka: jakaś przyjemna rozmowa z przyjacielem. Albo te mewy, co krążą nad nami. To niebo. Ta butelka piwa, którą wypiliśmy przed chwilą.

Poruszył się.

— Ścierpła mi łydka. Jakby mi ktoś zastrzyknął sodę.

Schylił się

— Czasem myślę — dodał —■ że te małe szczęścia istnieją właśnie dlatego, że są małe. Jak owi skromni ludzie, których się nie zauważa.

Zamilkł, a po chwili rzekł bez widocznej przyczyny:

— Tak, Aleksandra to skomplikowana istota. I jakże inna niż jej matka. Właściwie to głupio oczekiwać, żeby dzieci podobne były do matek. Może słuszność 139

mają buddyści; czy można przewidzieć, czyja dusza wcieli się w ciało twojego dziecka?

Marcin słuchał go z uwagą. Po chwili milczenia pożegnał się. Miał się spotkać z D'Arcangelo.

Bruno odprowadził go tklwym spojrzeniem myśląc: „Wiele jeszcze wycierpi”. Wyciągnął się na kamiennym murze i złożył ręce pod głową.

Mewy wracały i odlatywały.

„Wszystko jest tak kruche, tak nietrwałe — rozmyślał. — Pisać chociażby po to, żeby uwiecznić coś.

co przemija. Może miłość”. „Aleksandra” — pomyślał.

Pomyślał też: „Georgina”. Ale co pisać? Jak? Jakież to wszystko trudne, jak straszliwie niedostępne.

Zresztą nie tylko o to idzie, nie tylko o uwiecznienie. Trzeba zgłębić serce człowieka, przenicować najgłębiej ukryte zakątki ludzkiej istoty.

— Nic, a wszystko — powiedział prawie na głos. Obrócił się w stronę miasta i objął spojrzeniem sylwetki wieżowców.

„Sześć milionów ludzi” — pomyślał.

Wszystko wydało mu się nagle niemożliwe. I niepotrzebne.

„Prawda — pomyślał uśmiechając się z ironią. —

Prawda. Powiedzmy: JEDNA jakaś prawda, ale czy jakaś jedna prawda nie jest prawdą? Czy nie można dociec prawdy przez zgłębienie jednego tylko serca ludzkiego? Czy w końcu wszystkie ludzkie serca nie są takie same?”

„Jedno jedyne serce” — pomyślał.

Jakiś młodzieniec całował dziewczynę. Przechodził sprzedawca lodów, Bruno zatrzymał go. Usiadł na parapecie i jedząc lody spoglądał na olbrzymie miasto. Sześć milionów Argentyńczyków, Hiszpanów. Włochów, Basków, Niemców, Rosjan, Polaków, Jugosłowian, Czechów, Syryjczyków, Libańczyków, Litwinów, Greków. Ukraińców.

Jak pisać o nich wszystkich? W jaki sposób przedstawić tę niezliczoną rzeczywistość na stu stronicach, na tysiącu, na milionie stron? „Ale dzieło sztuki jest przecież zamierzeniem może zbyt śmiałym — pomyślał. — Pragnie w granicach obrazu lub książki oddać nieskończoną rzeczywistość. Jest wyborem. Lecz jakże trudny to wybór i jakże często bwwę chybiony”.

— Babilonia — westchnął.

Największe na świecie miasto hiszpańskie. Największe na świecie miasto włoskie. I tak dalej. Więcej jest w nim włoskich pizzerii niż w Neapolu i w Rzymie razem wziętych. „Narodowe”. Mój Boże! Co jest narodowe?

Ach, Babilonia.

Wzrokiem małego bezsilnego boga spoglądał na mętne gigantyczne zbiorowisko, czułe i brutalne zarazem, odpychające, ale kochane, co niby groźny lewiatan odcinało się na wschodzie na tle chmur.

Nic, a wszystko.

„To pewne, że jedna wystarcza — rozważał. — Może dwie, trzy lub cztery. Byle tylko zgłębić ich serca”. Zachodzące słońce zmieniało co chwila barwy chmur na zachodzie. Wielkie szarofioletowe płachty odcinały się na tle chmur bardziej oddalonych: szarych, liliowych, czarniawych.

„Szkoda tej czerwieni” — pomyślał, jak gdyby znajdował się na wystawie malarstwa. Lecz oto czerwień rozlała się po niebie zatapiając wszystko inne. Aż przygasła i stała się fioletem, potem szarością, a w końcu czernią zapowiadającą śmierć, która zawsze jest uroczysta i zmarłemu przydaje godności.

V Stary człowiek siedział przed domem na wyplatany krześle. W ręce trzymał swój nieodłączny sękaty kij, zniszczony zielony kapelusz z szerokim rondem kontrastował z flanelową koszulą.

— Cześć, stary — powiedział Tito.

Weszli torując sobie drogę pośród dzieciaków, psów, kotów i kur. Tito wyniósł z izby jeszcze dwa krzesła.

— Weź je — powiedział do Marcina — a ja zaraz przyniosę matę.

Marcin postawił krzesło obok starego, nieśmiało usiadł i czekał.

— *Eh, si...* — mamrotał furman. — Tak to bywa...

„Co bywa?” — pomyślał Marcin.

— *Eh, si...* — powtórzył stary kiwając głową, jakby przytakiwał jakiemuś niewidzialnemu rozmówcy.

— Kiedym był ot, takim brzdącem, jak ten mały, co trzyma piłkę — powiedział niespodziewanie — lubię słuchać, jak ojciec śpiewa:

A kiedy trąba zagrała na alarm,
Za Garibaldim ruszyliśmy w bój...
Roześmiał się, pokiwał parę razy głową i powtórzył:
— *Eh, si...*

Piłka upadła obok nich, nieomal uderzając starego.
Don Francisco ipogroził z roztargnieniem sękatą laską,
dzieciaki nadbiegły hurmem, podniosły piłkę i uciekły
strojąc miny.

— Wdrapaliśmy się na górę z chłopcami z Cafareddy i usiedliśmy, aby popatrzeć na morze — opowiadał. — Pieczone kasztany żeśmy jedli. — *Quiddo mare azule* *.

Tito przyniósł matę i czajnik.

— Z pewnością już ci tu nabajdurzył o swojej wsi.
Ech, stary, nie nudź chłopaka tymi bzdurami — powiedział z szelmowskim uśmiechem robiąc oko do Marcina.

Starzec zaprzeczył ruchem głowy wpatrzony w daleką, utraconą stronę.

Tito pociągnął matę przez rurkę i uśmiechał się z dobrotliwą ironią. Po chwili nie zważając na obecność ojca (który zapewne tego nie dosłyszał) wytłumaczył Marcinowi, że stary duma całymi dniami o rodzinnej wsi.

Zwrócił się do ojca i potrząsnął lekko jego ramieniem, jakby go chciał obudzić.

—• Ech, stary! Czy chciałbyś to jeszcze kiedyś zobaczyć? — spytał. — Przed śmiercią?

Stary raz po raz przytakiwał głową, wciąż zapatrzony w dal.

— Gdybyś miał *cueli poqui soldi* **, czy pojechałbyś do Italii? Choćby tylko na krótko i potem umrzeć? Chciałbyś, stary?

Starzec potrząsnął głową niechętnie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Po co marzyć o takich cudach?”

Tito spojrział znacząco na Marcina.

— A co, nie mówiłem ci? — zażądał potwierdzenia swych słów.

— Pieniądz psuje człowieka — rzekł po chwili dolewając Marcinowi matę. — Mój stary przyjechał do

* Jakie błękitne morze. (Stary furman mówi mieszaniną hiszpańskiego i włoskiego. Przep. tłum.)

** Tych parę soldów. (Przep. tłum.)

Argentyny z przyjacielem, niejakim Palmieri. Żaden z nich, jak to się mówi, nie śmierdział groszem. Słyszałeś o doktorze Palmieri?

— O tym chirurgu?

— Tak, o chirurgu. To ten sam, co był posłem, radykałem. To syn tego przyjaciela, co tu przyjechał z ojcem. Jak przyjechali do Buenos Aires, razem zdychali z głodu: zamiatali ulice, brukowali drogi, bo ja wiem, co jeszcze. Mój stary, wiesz, jakie miał życie. A tamtemu się powiodło, zaczął handlować, robił machlojki i zbił kupę forsy. Jak spotykał starego, to go nie poznawał. Ale raz, kiedy nieboszczka matka jeszcze żyła, a Tina zamknęła za to, że był anarchistą, mamą tak rozpaczała, że stary poszedł do tego posła. I wiesz co? Trzy godziny go trzymał w poczekalni, a potem mu kazał powiedzieć, żeby przyszedł jutro. Jak wrócił do domu, to mu powiedziałem: „Stary, jak mi jeszcze raz pójdziesz do tego łotra, nie będę cię znał”.

Kipiąc gniewem poprawił zniszczony krawat.

— Taka jest Argentyna, chłopcze. Posłuchaj mnie. Trzeba być twardym. Tak jak ja. Nie patrzeć ani na prawo, ani na lewo. A jak trzeba, żeby baba robiła, niech robi. Jak nie, to bądź zdrowa.

Pogroził dzieciakom i mruknął ze złością:

— Poseł! Wszyscy oni są tacy sami, nie ma co gadać! Wszyscy na jedno kopyto: radykały, konserwatyści, socjaliści. Miał rację Tino, jak mówił, że ludzkość musi być anarchistyczna. Powiem ci szczerze: ja sam nigdy bym na nikogo nie głosował, gdybym nie musiał głosować na konserwatystę.

Marcin spojrział na niego ze zdumieniem.

— ■ Nie dziw się. To prawda. Co mam robić?

— Ale dlaczego?

— Ech, bracie. Zawsze jest jakieś dlaczego, jak miał nieboszczyk Zanetta. Każda rzecz ma swój sekret. Zmarkotniały pociągnął matę.

— Mój stary był stangretem u *caudilla* * konserwatystów z Północnej Dzielnicy, z Barracas. Nazywał się don Olegario Souto. Miał kilka córek, jednej było na imię Maria Helena. Blondynka, śliczna jak obrazek. Uśmiechnął się zmieszany.

• Przywódcy. (Przyp. red.)

Ale -wiesz ., to byli bogacze ., a ja, do tego... z tą
— Kiedy to było? — zapytał Marcin zdziwiony.
— ■ To, o czym ci mówię, było w roku piętnastym.

— A co się z nią stało?

— Z nią?... Co się miało stać... wyszła za męż...
pamiętam jak dziś. To było 23 maja 1924 roku.
Zamyślił się.

— I dlatego głosujesz stale na konserwatystów?

— Tak jest, dlatego... No i widzisz, że każda rzecz
ma swoje wytłumaczenie. Od trzydziestu lat głosuję
na tego łobuza. Co mam robić?

Marcin wciąż spoglądał na niego zdziwiony.

— ■ *Eh, si...* — mamrotał stary. — *A Natale lo de-*
cdbano bacare *.

Tito mrugnął na Marcina.

— Komu, staruszkę?

— *Lo briganti* **.

— ■ Słyszysz? Wciąż to samo! Po co go puszcza-
li, stary?

— ■ *Per andare a la santa misa. Due hore* *% *.

Pokiwał głową.

— *Eh, si... La notte cle Natale. I fusili tocaban la*
zambuña ****.

— A dużo tam było śniegu?

— *Eh, si...*

I zadumał się nad tą baśniową krainą. Tito uśmiech-
nął się do Marcina, a w uśmiechu tym była ironia
i czułość, sceptycyzm i zawstydzenie.

■—■ A nie mówiłem ci? Wciąż ta sama historia.

VI Zbierało się na deszcz. Kiedy Marcin wieczorem
przechadzał się po wybrzeżu, spadło w końcu
z ociąganiem kilka kropli wśród nieustannych błyska-
wic, tyle tylko — jak twierdził Bruno — ażeby miesz-
kańcy Buenos Aires podzielili się, jak zawsze w parne
dni lata, na dwa stronnictwa: jedni sceptyczni i zgorz-
kniali, bo nauczeni pięćdziesięcioletnim doświadcze-

* W Wigilię pozwalano mu zejść na dół. (Przyp tłum.)

** Bandyce. (Przyp tłum.)

*** żeby poszedł na mszę. Na dwie godziny. (Przyp. tłum.)

**** W noc wigilijną. Pasterze grali na fujarkach. (Przyp.

tłum.)

niem, zapewniają, że nic z tego nie wyjdzie, że wielkie chmury rozpierzną się i że jutro będzie jeszcze większy upał i większa wilgoć, drugim zaś wystarczy jedna zima, aby zapomnieć, jaką udawką bywa skwarne lato; pełni nadziei wierzą święcie, że z chmur tych spadnie deszcz jeszcze dzisiaj, a w najgorszym wypadku jutro. Jedni i drudzy są nieugięci i apodyktyczni, podobnie jak ludzie, którzy twierdzą, że kraj ten jest skończony, i tamci inni, co powiadają: „Wyjdziemy z opresji, bo mamy ogromne rezerwy”.

W sumie: letnie burze w Buenos Aires dzielą mieszkańców, jak w każdym innym wielkim mieście, na pesymistów i optymistów. Podział ten, jak tłumaczył Bruno Marcinowi, istnieje *a priori*, niezależnie od tego, czy srożą się burze, czy panuje pogoda, i niezależnie od klęsk żywiołowych lub politycznych; ale warunki sprawiają, że podział ten wychodzi na jaw jak na kliszy po wywołaniu. I chociaż (jak twierdził Bruno) odnosi się to do każdego zakątka świata, gdzie żyją ludzie, nie ulega wątpliwości, że w Argentynie, a przede wszystkim w Buenos Aires pesymistów jest znacznie więcej z tej samej przyczyny, dla której tango jest smutniejsze niż tarantela czy polka lub jakkolwiek inny taniec na świecie. W istocie, w tę noc deszcz lał strumieniami zmuszając stronnictwo pesymistów do odwrotu; oczywiście chwilowego, gdyż pesymiści nigdy nie cofają się do końca i nie dopuszczają do ostatecznej klęski, zawsze bowiem mogą powiedzieć (i mówią): „Ten deszcz nie przyniósł prawdziwej ochłody”. Powiał jednakże południowy wiatr i wraz z deszczem przyniósł ów ostry suchy chłód, co przychodzi aż z Patagonii, i dla pesymistów już z racji ich natury jest smętną zapowiedzią grypy i przeziębienia, a nawet zapalenia płuc — bo w tym przeklętym mieście nigdy nie wiadomo, co włożyć na siebie rano: czy płaszcz (pomimo upału), czy lekkie ubranie (pomimo chłodu). —■ Toteż, jak twierdzą pesymiści, skromnym ludziom mieszkającym na przedmieściach o godzinę jazdy pociągiem lub koleją podziemną od miejsca pracy zagraża stale niebezpieczeństwo nagłego chłodu lub nieznośnego wilgotnego upału. Bruno ujął tę myśl w twierdzeniu, że w Buenos Aires nie istnieje klimat, są tylko dwa wiatry: północny i południowy. Z kawiarni Marcin patrzył, jak deszcz smaga po-

kłady statków raz po raz oświetlanych przez błyskawice.

A kiedy mógł wyjść, już dobrze po północy, puścił się biegiem do domu, tak było chłodno.

VII Czas upływał i Aleksandra nie dawała znaku życia, w końcu Marcin postanowił do niej zadzwonić. Zdołał spotkać się z nią na parę minut w barze przy ulicy Esmeralda; wyszedł stamtąd w gorszym jeszcze nastroju niż poprzednio; Aleksandra opowiadała mu wyłącznie (w jakim celu?) o wybrykach owych pań z *boulique* *.

Znowu minęło kilka dni, Marcin znów postanowił połączyć się z nią telefonicznie. Wanda oświadczyła mu, że Aleksandry w tej chwili nie ma, że przekaże jej wiadomość. Odpowiedzi jednak nie otrzymał.

Kilka razy miał już ulec pokusie i pójść do *bou-Uque*. Ale powstrzymywał się w porę, wiedział bowiem, że gdyby to uczynił, stałby się dla niej uciążliwy, a to by ją jeszcze 'bardziej od niego oddaliło; podobnie rozbitek, dręczony w swej łodzi pragnieniem, winien oprzeć się pokusie i nie pić słonej wody, gdyż miast zaspokoić zaostrzyłaby je ona jeszcze bardziej. Nie, oczywiście, nie pójdzie tam. Może dotychczas nadzbyt ograniczał jej swobodę, stał się dla niej ciężarem, wskutek swojej samotności bowiem uczepił się po prostu Aleksandry. Może, jeżeli zostawi jej zupełną wolność, powrócą tamte dni.

W głębi duszy był jednak przekonany, że czas ludzki nigdy się nie cofa, że nie ma powrotu do tego, co było niegdyś, i że gdy uczucie mija lub zmienia się, żaden cud nie może przywrócić mu dawnej mocy: jak sztandar, który zabrudził się i zniszczył (powiedział to kiedyś Bruno). Lecz nadzieja jego walczyła, nadzieja bowiem (jak myślał Bruno) nigdy nie zaprzestaje walki, chociażby skazana była na klęskę, gdyż nadzieja jedynie z niepowodzenia się rodzi i z jego przyczyny. Czy kto inny będzie kiedyś mógł ofiarować Aleksandrze to, co dał jej on? Tyle czułości i zrozumienia, taką bezgraniczną miłość? Słowo „kiedyś” pomnożyło smutek Marcina, kazało mu wyobrazić sobie ową przyszłość, kiedy Aleksandry nie będzie już przy nim,

* Sklep, pracownia, tu: magazyn mód (Przyp red.)

kiedy inny, inny! będzie jej mówił słowa podobne tym, które on mówił, a których ona słuchała z płonącymi oczyma w chwilach dzisiaj już nieprawdopodobnych ; wierzył kiedyś, że te oczy i owe chwile będą na zawsze jego własnością, że na zawsze pozostaną nieskalane i wzruszająco piękne jak posąg. Ona i ów Inny o nie znanej mu twarzy będą razem chodzili ulicami, którymi chadzała z nim, on zaś przestanie dla Aleksandry istnieć, co najwyżej będzie zanikającym wspomnieniem bólu i czułości, a może nudy i śmiešności. Z uporem wyobrażał ją sobie z Tamtym, szepczącą tajemne słowa, jakie mówi się w chwilach, kiedy cały świat, a także przede wszystkim on, Marcin, zostaje w okrutny sposób wyłączony, wyproszony za drzwi z pokoju, gdzie znajdują się ich obnażone ciała i ich jęki; Marcin więc biegnie do telefonu, bo powiada sobie, że wystarczy w końcu nakręcić sześć cyfr, ażeby usłyszeć jej głos. Zanim jednak zdążył otrzymać połączenie, sam je przerwał, miał bowiem dostatecznie dużo doświadczenia, aby zrozumieć, że można przebywać obok drugiej istoty, można słyszeć ją i dotykać jej, a mimo to być od niej oddzielonym nieprzekraczalnym murem; tak dusza zmarłego przebywa może w pobliżu ukochanej osoby, a jednak dzieli ich niewidzialny, lecz nie dający się przekroczyć mur, który na wieki przeszkadza zmarłym łączyć się ze światem żyjących.

Tak mijały dni i tygodnie.

W końcu poszedł mimo wszystko do *boutique*, jakkolwiek wiedział, że nic przez to nie uzyska, że raczej podrażni w Aleksandrze ową uśpioną w niej bestię, która nie pozwoli, by wtrącano się w jej sprawy. Mówił sobie: „Nie pójdę”, zdążając równocześnie w kierunku ulicy Cerrito; a w chwili kiedy był u drzwi, powtórzył sobie z uporczywą, lecz bezsilną stanowczością: „Absolutnie nie powinienem się z nią spotkać”.

Wychodziła właśnie jakaś obwieszona klejnotami dama z umalowaną twarzą o wytrzeszczonych złośliwych oczach. Nigdy nie odczuwał Marcin tak dotkliwie obcości Aleksandry, jak wtedy kiedy przebywała wśród tego rodzaju kobiet, żon lub kochanek dyrektorów, znanych lekarzy i impresariów. „Ach, te rozmówki! — naśmiewała się Aleksandra. — Takie rozmowy słyszy się tylko w salonach mód albo u dam- 147

skich fryzjerów. Wśród włosów we wszystkich kolorach, z których spływa brudna woda, spod aparatów, z ust wyglądających jak kloaka, z obrzydliwych dziur w twarzach umazanych kremem wychodzą zawsze takie same słowa i takie same plotki: udzielają perfidnych rad, mówią, co należy, a czego NIE należy robić z facetem, mieszają z tym wszystkim choroby, pieniądze, biżuterię, szmatki, guzy na macicy, cocktaile, przepisy kuchenne, poronienia, stanowiska, awanse, akcje, potencję i impotencję kochanków, rozwody, zdrady małżeńskie, sekretarki, Bóg wie co jeszcze". Marcin słuchał jej zasmucony, wówczas Aleksandra wybuchała śmiechem tak czarnym jak scena, którą właśnie opisała. „Jak więc możesz to wszystko znieść? — spytał nieśmiało. •—■ Jak możesz pracować w takim otoczeniu?" Na to prostoduszne pytanie odpowiedziała robiąc przy tym dobrze mu znaną ironiczną minę: „Bo w gruncie rzeczy wszystkie jesteśmy sobie równe, wszystkie mamy ciało i macicę i wypada pamiętać o tym patrząc na te karykatury, podobnie jak piękne kobiety na średniowiecznych obrazach patrzą na trupią główkę; ciekawa rzecz, te nieroby są właściwie dosyć uczciwe i konsekwentne, gdyż ich brudy są zbyt widoczne, żeby mogły kogoś oszukać". Nie, tego Marcin nie rozumiał, był pewien, że w tych słowach Aleksandry kryje się jeszcze jakaś myśl. Otworzył więc drzwi i wszedł do *bouiique*. Aleksandra spojrzała na niego zdziwiona, lecz powitała go tylko gestem nie przerywając pracy. Poprosiła, żeby usiadł.

W tej chwili wszedł do pracowni jakiś dziwaczny jegomość.

— *Mesdavies* —■ powiedział kłaniając się z zamierzonym komizmem.

Ucałował rękę Wandy, potem Aleksandry i powitał je słowami:

— Jak powiada Popesco * w *Zielonym fraku*: *je me prostitue a vos peds**

* Elvire Popesco (ur. 1896) — słynna francuska aktorka teatralna i filmowa. (Przyp. red.)

W tej komedii Flersa i Caillaveta żona głównego bohatera, Amerykanka, przekręca zabawnie język francuski. Zdanie powinno brzmieć: *je me prosterne d vos peds* - upadam do stóp. (Przyp. red.)

Po czym zwrócił się do Marcina i obejrzał go jak rzadki mebel, który ewentualnie mógłby kupić. Roześmiana Aleksandra przedstawiła go z oddalenia.

— Ma pan zupełną rację patrząc na mnie z takim zdumieniem, młody przyjacielu — powiedział naturalnym tonem. — Zaraz panu wytłumaczę. Jestem połączeniem nieoczekiwanych efektów. Ci na przykład, co mnie nie znają i widzą mnie milczącego, sądzą, że powinienem mieć głos jak Szalapin, a okazuje się, że piszczę. Kiedy siedzę, myślą, że jestem karłem, bo mam bardzo krótki tułów, a okazuje się, że jestem olbrzymem. Z przodu wyglądam, jakbym był szczupły, ale z profilu okazuje się, że jestem grubas.

Mówiąc udowadniał praktycznie swoje słowa, a Marcin stwierdził ze zdumieniem, że są słuszne.

— ■ Jestem człowiekiem typu Gillette według słynnej klasyfikacji Profesora Pupy: mam spiczastą twarz, wielki i również spiczasty nos, a przede wszystkim wielki żołądek, a i on jest spiczasty; jak bożki z Wyspy Wielkanocnej. Może mnie w dzieciństwie spłaszczyli między dwiema deskami.

Marcin był zaskoczony serdecznym śmiechem obydwu kobiet; nie przestawały się śmiać przez cały czas obecności Koka, stanowiło to jakby tło muzyczne filmu; czasem chichotały zaledwie dosłyszalnie, by nie przerywać jego wywodów, kiedy indziej w momentach kulminacyjnych śmiały się do rozpuku, co mówcy nie przeszkadzało. Marcin patrzył z bólem na Aleksandrę. Jakże nie cierpi jej twarzy-Ł>oufique, którą wkłada jak suknię specjalnie dla tego frywolnego świata i nie wyzbywa się jej także wtedy, kiedy jest z nim sam na sam, i tylko z wolna wyłania się czasem spod znieawidzonej maski jedna z tych twarzy, które należą do niego, twarz, której wypatruje z tęsknotą jak drogiego gościa w tłumie obcych pasażerów. Bruno powiada, że „osoba” znaczy maska, a każdy z nas posiada ich wiele* maskę ojca, profesora, kochanka. Która z nich jest prawdziwa? Czy naprawdę istnieje taka, która jest prawdziwa? Marcin myśli w tej chwili, że ta Aleksandra, którą widzi oto przed sobą, która śmieje się z dowcipów Koka, nie jest, nie może być tą samą, którą on zna, a zwłaszcza nie może być tą mądra, cudowna i straszną Aleksandrą, którą on kocha. Kiedy indziej jednak (a w miarę jak czas upły-

wał, wierzył w to coraz mocniej) skłonny był myśleć jak Bruno, że wszystkie one są prawdziwe i że również *twarz-boutique* jest autentyczna i w jakiś sposób wyraża pewną rzeczywistość duszy Aleksandry; rzeczywistość ta, a kto wie ile jeszcze innych, jest mu obca, nie należy i nigdy nie będzie należała do niego. Kiedy przychodziła na spotkanie z nim z resztkami tamtych obcych fizjonomii, gasnącymi tak powoli, jak gdyby nie miała czasu (albo ochoty?) przeobrazić się, Marcin odkrywał w jakimś grymasie jej ust, w gestach rąk, w pewnym błysku jej oczu pozostałości innych egzystencji, podobnie jak na kimś, kto przebywał na śmietniku, pozostaje trochę brudu.

— Opowiedz, jak to było wczoraj •— przerwała jego rozmyślania Wanda, nie przestając chrupać cukierków.

— Gównno, *ma chere* * — odrzekł Koko z precyzją i spokojem, kładąc na stole książkę, którą przyniósł z sobą.

Obie panie parsknęły śmiechem.

— Ile zarabiasz w tej redakcji? — spytała Wanda uspokoiwszy się.

— Pięć tysięcy siedemset dwadzieścia trzy pesos i pięćdziesiąt siedem centavos plus dodatek na końcu roku tudzież napiwki od szefa, kiedy posyła mnie po papierosy albo pastę do obuwia.

— Słuchaj, Koko: puść lepiej w trąbę ten dziennik, my damy ci o tysiąc pesos więcej. Tylko za to, żebyś nas zabawiał.

— *Sorry* **. Etyka zawodowa nie pozwala mi na to. Wyobraź sobie, dziecińco, że jeżeli ja odejdę, kronikę teatralną będzie robił Roberto J. Martorel. Katastrofa narodowa.

— No dobrze. Opowiedz, jak to było wczoraj.

— Powiedziałem. Zupełne gównno. Na j ordynarniej - sze.

— Tak, idioto. Ale opowiedz szczegóły. Przede wszystkim o Krystynie.

— Ach, *la femme****! Wando, jesteś wzorem kobiecości jak u Weiningera. Cukierki, prostytutka, plotki. Ubóstwiam cię.

* Moja droga. (Przyp. red.)

** Przykro mi. (Przyp. red.)

»** Kobieta. (Przyp. red.1

— Weininger? Kto to taki?
— Właśnie, właśnie. Ubóstwiam cię.
— No dobrze już. Gadaj o Krystynie.
— Biedaczka; załamywała ręce jak Francesca Bertini w filmach, jakie ogląda się w *cine-clubs* *. A pisarza grał jakiś urzędnik Ministerstwa Handlu.
— Ty go znasz?
— Nie, ale jestem pewny. Zmęczony, biedny urzędniczyna. Widać było z daleka, że jest zajęty jakimś problemem swojej pracy, może emeryturą albo czymś takim. Tłusty kurdupelek, który przed chwilą wyszedł z biura *pour jouer l'ecrivain***. Nie mogę wam opisać, jak mnie wzruszył.

W tej chwili weszła jakaś dama. Marcin, który czuł się jak w groteskowym śnie, został jej przedstawiony. Pojął, że jest to ta sama Krystyna, o której mówił Koko, i zaczerwienił się widząc, jak ją wita.

— Witaj, piękna pani — rzekł Koko składając głęboki ukłon. A dotykając jej sukni dorzucił:

— Boska. Ten odcień lila znakomicie harmonizuje z kolorem włosów.

Krystyna uśmiechnęła się nieśmiało •— nie wiedziała, czy ma uwierzyć, czy nie. Nie miała odwagi spytać go o zdanie na temat wczorajszego przedstawienia, ale Koko nie omieszkał go wygłosić.

— Wspaniale, Krystyno! Biedacy, aleście się namordowali! Ten straszny hałas za ścianą! Co tam jest za tą ścianą?

— Szkoła tańca ■— odrzekła Krystyna przezornie.

— ■ Ach, jasne... To okropne! W najtrudniejszych momentach mambo na cały regulator. Zdaje się, że na domiar złego grają na trąbie. Chamstwo.

Marcin ujrzał, że Aleksandra wybiega do drugiego pokoju. Wanda nie przestała pracować odwrócona plecami do Koka i Krystyny, ale milcząc trzęsła się ze śmiechu.

— Powinni zabronić grania na trąbie, nieprawdaż, Krystyno? — ciągnął Koko z największym spokojem. — Cóż to za chamski instrument! Biedacy, musieliście, rzecz jasna, krzyżeć jak opętani, żeby was

* Dyskusyjne kluby filmowe (Przyp. red.)

•* Aby odgrywać pisarza. (Przyp. red.)

słyszano. Straszna męka. Zwłaszcza ten, który grał sławnego pisarza, jak się nazywa? Tonazzi?

— Tonelli.

— Właśnie, Tonelli. Biedaczysko. Tak mało *physique du role* *. W dodatku przez cały czas musiał walczyć z tą trąbą. To męka! Wando, publiczność nie zdaje sobie sprawy, co to znaczy. Poza tym, Krystyno, zdaje mi się, że świetnie zrobili powierzając rolę pisarza człowiekowi, który wygląda raczej na urzędnika przed emeryturą. Kiedyś na przykład w teatrze „Telon” wystawiali *Linę* O’Neill’a i marynarz wyglądał jak prawdziwy marynarz. Śmieszne! W ten sposób byle kto może grać marynarza. Ale za to, kiedy zaczął mówić, a raczej szeptać (bo się go nie słyszało), był tak diabelnie kiepski, że nawet z tym swoim wyglądem marynarza nikt mu nie wierzył, że nim jest: mógł być froterem, murarzem, kelnerem. Ale marynarzem? *J’ever!* ** Powiedz mi, Krystyno, dlaczego wszystkie zespoły amatorskie uwzięły się na O’Neill’a? Pecha ma ten biedak! Zawsze był nieszczęśliwy: najpierw z ojcem i z kompleksem Edypa. Później tu, w Buenos Aires, dźwigał w porcie walizki. A teraz te wszystkie zespoły niezależne i amatorskie z całego świata...

Koko rozwarł szeroko ramiona, jak gdyby chciał objąć ten światowy konglomerat, i z wyrazem szczerego smutku ciągnął:

— Tysiące, co mówię, miliony zespołów amatorskich wystawiają naraz *Kosmatą małpę*. *Czarne geito*, *Cesarza Jonesa*, *Pożądanie w cieniu więzów*. Biedaczysko ten O’Neill. I jak tu nie zapijać się na śmierć, żeby tego wszystkiego nie widzieć; oczywiście, wy to co innego, wy jesteście już prawie że teatrem zawodowym, bilet u was kosztuje tyle, ile w zawodowym. To lepiej: to przecież niemożliwe, ażeby taki poczciwiec pracował w dzień jako buchalter czy kanalarz, a wieczorem grał *Króla Leara*! Pomyśl tylko! Jakie to męczące, te zbrodnie na scenie!.. Można oczywiście znaleźć wyjście, grać sztuki spokojne, bez morderstw i kazirodztwa. Ale nie: zespoły amatorskie lubują się w sztukach, w których jest mnóstwo zbrodni, po prostu rzeźnie, jak u Szekspira. Nie mówiąc już o do-

* Aparycja odpowiadająca roli (Przyp. red.)

** Nigdy. (Przyp. red.)

datkowych robotach; sami muszą wykonywać pracę mechaników, malarzy pokojowych, bileterów, garderobianych, babek klozetowych. Co prawda podnosi to ogromnie ogólny poziom moralny. Prawdziwe falanstery: wszyscy po kolei czyszczą WC. A więc jednego dnia pan Zanetta reżyseruje *Hamleta*, a Nora Rolland nie * Fanny Rabinowicz czyści męsko-damski WC. Następnego dnia wyżej wspomniany Zanetta czyści męsko-damski WC, a Nora Rolland reżyseruje *Pożądanie w cieniu więzów*. Oprócz tego wszyscy zaharowują się przez dwa i pół roku jako murarze, stolarze, malarze i elektrycy przy budowie nowego lokalu. Przy tej wzniosłej działalności dają się łaskawie fotografować i udzielają wywiadów prasie, nie szczędząc pięknych słów, jak zapal, entuzjazm, szlachetne aspiracje, teatr ludowy, prawdziwe powołanie. Ma się rozumieć, że taki falanster może się zawalić. Spoza demagogii czatuje zawsze dyktatura. Kończy się na tym, że pan Mastronicola czy Hernan Soi, czy Werdyszewski, czy Aurelio Pupa, wyczyściwszy dwa albo trzy razy męsko-damskie WC, wymyśli doktrynę, że panna Kaka Pastafrola, znana w świecie teatralnym pod swoim *nom de guerre* ** Elisabeth Lynch, jest zanadto zarozumiała, posiada zgniłe i dekadencjonalne zapatrywania drobnomieszczańsko-kontrrewolucyjne, że wobec tego konieczne jest dla jej formacji moralnej i scenicznej, ażeby przez cały rok 1955 czyściła męsko-damskie WC. Że nie wspomnę o *les affair es* *** panny Ester Abramowicz, dla której teatr jest tylko odskocznią do puszczania się, bo, jak twierdzi dyrektor, zamieniła ten szlachetny przybytek czystej sztuki w burdel pierwszej klasy. A zazdrość pani Diany Ferrer, która ani myśli wypuścić ze swoich rączek wyżej wspomnianego pana Mastronicola. A nagromadzona gorycz obiecującego aktora charakterystycznego Ramsesa Cuciaroni. którego posadzili przy kasie biletowej, z chwilą kiedy wywrotowa demokracja doszła do głosu. Jednym słowem, przepiękny burdel. Mieliście zupełną rację, Krystyno, żeście się stali teatrem profesjonalnym. A ten wasz staruszek pracuje za dnia w jakimś ministerstwie?

* Z domu (Przyp. red.)

** Pseudonim. (Przyp. red.)

*** Sprawki. (Przyp. red.)

— Jaki staruszek?

— Tonazzi.

— Tonelli... Tonelli nie jest staruszkim. Ma za-
ledwie czterdzieści lat.

— *Tiensl** A byłbym przysiągł, że ma co naj-
mniej pięćdziesiąt kilka. Co znaczy złe oświetlenie...
Ale za dnia gdzieś pracuje, prawda? Mam wrażenie,
że widziałem go w kawiarni naprzeciwko Minister-
stwa Handlu.

— Nie. Ma jakiś sklepik: księgarnia i przybory
szkolne.

Plecy Wandy zadrgały, jakby dostała febry.

— Ach, to świetnie! Teraz rozumiem, dlaczego dali
mu rolę pisarza. Oczywiście. Co prawda wyglądał mi
raczej na urzędnika państwowego, ale pewnie dlatego,
że byłem wczoraj wieczorem bardzo zmęczony, a przy
tym światło jest kiepskie, nie wasza w tym wina, że
elektrownia nawala. To dobrze, że ma sklep. Przy-
najmniej wraca zaraz po przedstawieniu do domu
i kładzie się do łóżka. Biedak ma chyba zniszczone
gardło. Z tym przeklętym mambo i z tą trąbą. No,
muszę już iść, zrobiło się późno. Gratuluję, Krystyno.
Pa pa pa.

Pocałował Wandę w policzek, biorąc przy tym z pu-
delka cukierek.

— Pa, Wandeczko. Uważaj na linię. Pa, Krystyno.
jeszcze raz gratuluję. Jesteś znakomita w tym *ensem-
ble* **.

Z boku podał rękę osłupiałemu Marcmowi. Sponad
parawanu dzielącego pracownię od zaplecza zawołał
do Aleksandry:

— *Mes hommages* ***, najdroższa.

VIII Marcin siedział osłupiały na wysokiej ławie
i czekał na jakiś znak Aleksandry. Po odej-
ściu Koka Aleksandra skinieniem kazała mu pójść za
sobą na zaplecze, gdzie mieściła się jej pracownia.

— Widzisz? — tłumaczyła, jak gdyby dla uspra-
widliwienia swych nieobecności — mam mnóstwo ro-
boty.

* A to dopiero! (Przyp. refl.)

** Zespół. (Przyp. red.)

*** Moje uszanowanie. (Frzjped.)

Otwierając i zamykając swój scyzoryk przyglądał się Marcin pracy Aleksandry: rysowała coś na białym papierze. Czas włókł się ciężko, jak z kamienia.

— Pójdę już... — powiedział zbierając wszystkie swe siły.

Aleksandra zbliżyła się i uściskawszy jego ramię przyrzekła, że się wkrótce zobaczą. Marcin pochylił głowę.

— Mówię ci, że się wkrótce zobaczymy — powtórzyła zirytowana.

Marcin podniósł głowę.

— Wiesz dobrze, Aleksandro, że nie chcę wkraczać w twoje życie, że twoja niezależność...

Nie dokończył zdania.

— Nie — podjął po chwili — chciałem powiedzieć, że... chciałbym przynajmniej... żebyś się nie spieszyła, kiedy jesteśmy razem.

— Masz rację — zgodziła się po namyśle.

Marcin ucieszył się.

— Postaramy się, żeby było tak jak dawniej, pamiętasz?

Aleksandra spojrzała na niego smutno i jakby z niedowierzaniem.

— Czy uważasz to za niemożliwe?

— Ach, nie — odrzekła spuszczać oczy i biorąc się do rysowania. — Spędzimy razem jakiś piękny dzień... zobaczysz...

— Nasze nieporozumienia w ostatnim czasie powstawały głównie z powodu twojej pracy i ustawicznego pośpiechu, i tych terminów — ciągnął Marcin uradowany.

Twarz Aleksandry zaczęła się zmieniać.

— Do końca miesiąca 'będę bardzo zajęta, powiedziałam ci już.

Marcin powstrzymał się siłą od wyrzutów, wiedział bowiem, że jakiegokolwiek wymówki wywarłyby wręcz przeciwny skutek. Ale słowa wydobywały się z głębi jego świadomości, cicho, lecz z niepowstrzymaną siłą:

— Martwi mnie, że wciąż spoglądasz na zegarek Aleksandra podniosła oczy znad rysunku i marszcząc czoło utkwiała w nim spojrzenie. Pomyślał z lękiem: „Ani jednej wymówki więcej”, mimo to powiedział:

— Na przykład we wtorek, myślałem, że spędzimy razem popołudnie.

Twarz Aleksandry zakrzepła. Marcin zatrzymał się jak nad brzegiem przepaści.

— Masz rację, Marcinie — przyznała niechętnie.

— ■ Dlatego wolałbym, żebyś sama wyznaczyła nasze spotkanie — ^ ośmielił się powiedzieć.

Aleksandra przeprowadziła w myślach jakieś obliczenie.

— W piątek — oświadczyła. • — Mam nadzieję, że do piątku uporam się z najpilniejszą robotą.

Zamyśliła się.

— ■ Ale w ostatniej chwili trzeba coś poprawić albo czegoś zabraknie, czy ja wiem... Nie chciałabym dać ci czekać... czy nie lepiej odłożyć to do poniedziałku?

Do poniedziałku! Prawie cały tydzień, ale cóż robić, kiedy nie można inaczej.

W ciągu całego nie kończącego się tygodnia usiłował zająć się pracą, czytaniem, chodzeniem na spacerzy albo do kina. Odwiedził Bruna i choć pragnął mówić 0 Aleksandrze, nie mógł wypowiedzieć nawet jej imienia; a Bruno, mimo że domyślał się jego stanu ducha, również unikał tego tematu i mówił o innych sprawach lub na tematy ogólne. Marcin ożywił się i wtrącił kilka słów, które również posiadały sens ogólny, słów na pozór dotyczących oderwanej i bezcielesnej sfery czystych idei, w istocie jednak były to tylko wyrażone w nieosobistej formie jego własne męki i nadzieje. Kiedy na przykład Bruno mówił o absolicie, Marcin zapytał, czy prawdziwa miłość nie jest właśnie jednym z absolutów; w owym zapytaniu słowo „miłość” było w takim stosunku do określenia Kanta albo Hegla, w jakim rzeczownik „katastrofa” pozostaje do zderzenia pociągów lub do trzęsienia ziemi, kiedy giną dziesiątki ludzi, a ranni jęczą w kałużach krwi. Bruno odpowiedział mu na to, że jego zdaniem rodzaj miłości łączącej dwoje kochanków ulega zmianom: raz jest ona wzniosła, kiedy indziej obniża swój lot i staje się nawet trywialna, z czasem przemienia się w wygodę 1 przywiązanie, może też stać się nagle zabójczą, tragiczną nienawiścią.

— Zdarza się bowiem, że kochankowie nie czują do siebie miłości, że jedno z nich przestaje kochać i miłość przemienia się w nienawiść albo w pogardę.

156

Miał przy tym na myśli pewne słowa, które powiedziała mu raz Jeanette: *Uamour c'est une personne qui souffre et une autre qui s'enrnerde* *. On, obserwator nieszczęśliwych, zachował w pamięci obraz dwojga ludzi w mrocznym kącie kawiarni: wychudły, nie ogolony mężczyzna odczytuje chyba po raz setny list — zapewne od niej — i z rozpaczą powołuje głupi świstek papieru na świadka Bóg wie jakich przyrzeczeń i zaklęć, gdy tymczasem partnerka, nieczuła na jego mękę, spogląda na zegarek i ziewa.

Kiedy Marcin spytał, czy pomiędzy dwojgiem kochających się nie powinna panować szczerość, czy stosunek ich nie powinien opierać się na prawdzie, Bruno odpowiedział, że jeśli idzie o sprawy ludzkie, prawdy mówić nie należy, gdyż przynosi ona tylko ból, smutek i zniszczenie. On sam nosił się od dawna z zamiarem (stałe noszę się z jakimś zamiarem, ale nigdy go nie realizuję — wtrącił z nieśmiałym, trochę ironicznym uśmiechem), otóż nosił się z zamiarem napisania powieści lub sztuki o młodym człowieku, który postanawia mówić tylko prawdę, zawsze i za wszelką cenę. Od tej chwili na każdym kroku sieje zniszczenie, lęk i śmierć, w końcu sam ginie zdruzgotany własną prawdomównością.

— Należy więc kłamać ■ — wywnioskował Marcin z goryczą.

— Powiadam, że nie zawsze można mówić prawdę. Ściśle mówiąc, prawie nigdy.

— Kłamać przez przemilczanie?

— Coś w tym rodzaju — odparł Bruno patrząc nań z boku w obawie, czy go nie dotknął.

— Znaczyłoby to, że pan nie wierzy w prawdę?

— Wierzę w prawdę zawartą w naukach matematycznych, w chemii, w filozofii. Ale nie w życiu. W życiu ważniejsze jest złudzenie, wyobraźnia, pragnienie, nadzieja. Czyż wiemy zresztą, co to jest prawda? Stwierdzając, że ten kawałek okna jest błękitny, mówię prawdę. Ale jest to tylko prawda częściowa, a więc pewnego rodzaju kłamstwo. Bo ten kawałek cina nie jest sam. Jest w domu, w mieście, w krajobrazie. Oto-

* Miłość — to jedna osoba, która cierpi, i druga, która się nudzi (Przyp. red.)

czony jest szarością tego betonowego muru, jasnym błękitem tego nieba, tymi podłużnymi chmurami i wieloma innymi rzeczami. Jeżeli nie mówię o tym wszystkim, absolutnie o wszystkim, to kłamię. Ale wszystkiego wypowiedzieć nie można nawet w przypadku okna, zwykłego kawałka rzeczywistości fizycznej, prostej rzeczywistości fizycznej. Rzeczywistość jest nieskończona, mało tego: posiada nieskończoną ilość odcieni i skłamię, jeżeli nie wspomnę choćby o jednym z nich. Wyobraź więc sobie, jaka jest rzeczywistość człowieka, istoty tak skomplikowanej i powikłanej, pełnej sprzeczności, a ponadto zmiennej. Zmieniamy się bowiem co chwila, nigdy nie jesteśmy tymi, którymi byliśmy przed chwilą. Czy pozostajemy stale tą samą osobą? Czy stale żywimy te same uczucia? Kochając można nagle stracić szacunek dla ukochanej osoby, a nawet znienawidzić ją. Jeżeli popełniamy przy tym ten błąd, że wyznajemy jej tę prawdę, to wyznajemy prawdę chwilową, która za godzinę albo jutro, albo w innych okolicznościach przestanie być prawdą. Osoba natomiast, której to powiedzieliśmy, uwierzy w trwałość tej prawdy i pograży ją to w rozpacz.

IX Nadszedł poniedziałek.

Ujrzawszy Aleksandrę zdążającą do restauracji Marcin pomyślał, że nie można jej nazwać przystojną ani nawet ładną, odpowiedniejsze byłoby może określenie piękna, ale przede wszystkim była władcza. Nawet w tej skromnej białej bluzce, czarnej spódnicy i w pantoflach na niskim obcasie. Przy prostocie stroju jeszcze bardziej uwydatniała się jej egzotyczna twarz, podobnie jak posąg bardziej jest widoczny na placu pozbawionym ozdób. Wszystko w owo popołudnie jaśniało. Nawet cisza, brak wiatru, mocny blask słońca, które jak gdyby odwlekało nadejście jesieni (Marcin pomyśli kiedyś, że ta jesień czekała przyczajona na chwilę, gdy on pozostanie samotny, by wtedy dopiero wyładować cały swój smutek), wszystko wskazywało na to, że gwiazdy okażą się przychylnie.

Zeszli na dół w kierunku portu.

Lokomotywa ciągnęła kilka wagonów, dźwig unosił 158

w górę jakąś maszynę, nisko nad ich głowami szybo-
wał hydroplan.

— Oto Postęp Narodu — zauważyła Aleksandra.

Usiedli na ławce zwróconej w stronę rzeki.

Prawie godzinę siedzieli nic nie mówiąc lufo mó-
wiąc o błahostkach, zatopieni w owym milczeniu, które
tak niepokoiło Marcina. Wyrażali się stylem telegra-
ficznym, niezrozumiale dla postronnych: „ten ptak”,
„ten żółty komin”, „Montevideo”. Nie robili jednak
planów, jak bywało dawniej, a Marcin strzegł się, by
nie palnąć jakiegoś głupstwa i nie zniszczyć tych kilku
godzin. Traktował to popołudnie jak ukochanego pa-
cjenta, do którego należy mówić szeptem i którego me
wolno narażać na najlżejszą nawet przykrość.

To uczucie wszakże — Marcin nie mógł pozbyć się
tej myśli — jest w samej swej istocie sprzeczne. Bo
jeżeli on tak stara się nie psuć nastroju tej chwili, to
właśnie dla szczęścia, dla tego, co jest jego szczęściem:
być z nią, a nie obok niej. Więcej jeszcze: być w niej
samej, mieścić się w każdej jej wolnej chwili, w jej
odruchach, w jej uczuciach i myślach; być w pobliżu
jej pożądanego i podziwianego ciała, z nią i w niej
samej: pragnie połączenia, a nie milczącej i smutnej
bliskości. Jakże łatwo byłoby zachować czystość tych
godzin nic nie mówiąc, nie starając się wniknąć w nią,
ale byłby to absurd równie zbyteczny, jak gdyby w to
popołudnie w ogóle nie był z nią razem; byłoby to
tak łatwe i tak bezsensowne, jak zachować czystość
źródlanej wody pod warunkiem, że ktoś, kto ginie
z pragnienia, nie będzie jej pił.

— Chodźmy do ciebie, Aleksandro — powiedział.

Spojrzała na niego z powagą.

— Wołałabym pójść do kina — rzekła po chwili.

Marcin wyjął z kieszeni scyzoryk.

— Nie obrażaj się, Marcinie. Kiepsko się dzisiaj
czuję.

— Wyglądasz wspaniale — odparł Marcin, bawiąc
się scyzorykiem.

— Ale znowu czuję się niedobrze.

— Sama jesteś temu winna — zawołał trochę
gniewnie. — Nie uważasz na siebie. Dopiero przed
chwilą jadłaś coś, czego nie powinnaś jeść. I do tego
opijasz się dżinem.

Zamilkł, zaczął oddzierać drzazgi z ławki.

— Nie złość się na mnie — mitygowała go.
Marcin nie podniósł głowy, Aleksandra ujęła go pod brodę.
— Przyrzekliśmy sobie, Marcinie, że to popołudnie minie w spokoju.
Marcin chrząknął.
— Oczywiście — mówiła — teraz myślisz, że nie twoja w tym wina, iż nie jesteśmy dzisiaj szczęśliwi, prawda?
Marcin nie zaprzeczył; było to zbyt ciche.
— Dobrze, niechaj będzie, chodźmy do domu — powiedziała Aleksandra po chwili milczenia.
Marcin zdziwił się, ale nie odpowiedział. Aleksandra podniosła się i biorąc go pod ramię spytała:
— Co ci się stało?
— Nic. Poświęcasz się.
— ■ Nie bądź głupi. Chodźmy.
Uśmiechnął się blado jak dziecko, któremu odebrano zabawkę, bo było niegrzeczne, ale oddano mu ją, bo zapłakało.
Ruszyli pod górę ulicą Belgrano. Marcin ożywił się i zawołał niemal z zapalem:
— ■ Chodźmy do kina!
— Nie gadaj głupstw.
— Nie, koniecznie musisz zobaczyć ten film. Tak się na to cieszyłaś.
— Pójdziemy kiedy indziej.
— Naprawdę nie chcesz?
Gdyby się zgodziła, popadłby w najczarniejszą rozpacz.
— Nie, nie chcę.
Marcin odtajał jak górską rzekę podczas odwilży. Stąpił zamasyście, prowadząc Aleksandrę pod ramię. Przechodząc przez most obrotowy ujrzeni zajęta taksówką jadącą do portu. Na wszelki wypadek dali znak kierowcy wskazując, że idą do miasta, żeby ich zabrał w drodze powrotnej. Kierowca skinął głową. W ten dzień układ gwiazd był wyjątkowo przychylny. Czekali oparci o barierę mostu. W oddali, na południu rysowały się w opadającej mgle nabrzeża Boki. Taksówka wróciła; wsiedli. Marcin rozmawiał z kierowcą po przyjacielsku, z ową (jak powiada Bruno) właściwą szczęściu skłonnością do udzielania się i do tworzenia wokół siebie szczęścia, podobnie jak ciało

naładowane elektrycznością przekazuje elektryczność innym otaczającym je ciałom. Jak to w takich wypadkach bywa, nie słowa i nie wyjątkowe tematy tworzyły ową atmosferę szczęśliwości, lecz coś subtelnego, co istniało poza zwyczajnymi słowami: mówili o podwyżce cen paliwa, o nowej taryfie taksówek, o braku wozów. Kierowca wyjął papierosy i poczęstował ich. Zapalili wszyscy i tak dotarli do zbiegu ulic Hernandezias i Patricios.

Aleksandra parzyła kawę, a Marcin przeglądał płyty i znalazł wśród nich kupioną niedawno przez Aleksandrę: *Trying*. Włączył adapter i usłyszeli ochryply głos Elli Fitzgerald:

*I'm trying to forget you, but try as I may,
You're still my every thought every day...**

Aleksandra stanęła z filiżanką w ręce:

— Co za brednie! *Knocking, knocking at your door...***

Marcin spoglądał na nią w milczeniu, zasmucony cieniem, jaki zawsze wychylał się zza pewnych wypowiedzi Aleksandry.

Niebawem, jednak smutek odfrunął jak liście porwane wiatrem. Spleceni w uścisku jak dwie istoty pragnące się nawzajem pochłonąć — pamiętał to — dopełnili owego dziwaczego obrzędu, dziko i rozpaczliwie. W porywie zmysłów, pośród tumultu ciał, Marcin pragnął przekazać głos swej duszy drugiej istocie po tamtej stronie przepaści. Dotykając twarzy Aleksandry, głaszcząc jej włosy, całując jej uszy, szyję, piersi i brzuch usiłował dotrzeć do niej, odczuć ją i zrozumieć; jak pies, co szuka ukrytego skarbu, węszy na powierzchni, pod którą kryje się tajemnica, na powierzchni pełnej oznak niezrozumiałych dla innych stworzeń. I podobnie jak pies, kiedy nagle czuje bliskość poszukiwanego skarbu, zaczyna ryć z gorączkowym zapałem (obcy zewnętrznemu światu, przejęty jedynie ową potężną, tak bliską już tajemnicą), tak Marcin napierał na ciało Aleksandry usiłując dotrzeć do głębi bolesnej zagadki: drażył, gryzł i wdzierał się

* Choć staram się, jak mogę, zapomnieć o tobie,
Co dzień w moich myślach pojawiaasz się znowu... (Przyp
red.)

** Pukając do twoich drzwi... (Przyp. red.)

11 O bohaterach i grobach

nasłuchując coraz bliższych słabiutkich odgłosów głęboko ukrytej duszy tej istoty tak krwawo bliskiej i tak beznadziejnie dalekiej. Ona zaś na swojej wyspie toczyła chyba własną walkę, wydając okrzyki, które dla niego były niezrozumiałym szyfrem, dla niej, dla Aleksandry były zapewne daremne, a dla obojga rozpaczliwe.

Potem oboje milczeli jak po walce, która się na nic nie zdała, a zostało po niej pełne trupów pobojuwisko. Marcin usiłował wybadać jej twarz, lecz w zupełnej prawie ciemności niczego nie mógł odgadnąć. Wyszli. — Muszę do kogoś zadzwonić — odezwała się Aleksandra.

Weszła do baru, do telefonu.

Zmarkotniały Marcin czekał przy wejściu. Do kogo dzwoni? Co mówi?

— Chodźmy — rzekła wróciwszy nieco zdetonowana.

Marcin zauważył, że myślami jest nieobecna, a kiedy zrobił jakąś uwagę, spytała: „Co mówisz?” Co chwila spoglądała na zegarek.

— Czy masz coś do załatwienia? — spytał.

Spojrzała na niego, jak gdyby nie zrozumiała pytania. Powtórzył je.

— O ósmej mam gdzieś być — odpowiedziała.

— Czy daleko? — spytał Marcin nieśmiało.

— Nie — odparła bez dalszych wyjaśnień.

• X Ze smutkiem patrzył, jak się oddala.

Był to jeden z pierwszych dni kwietnia, lecz pewne sygnały ostrzegawcze zapowiadały już bliskość jesieni, podobnie jak owe nostalgiczne echa waltorni (myślał), rozbrzmiewające już w temacie symfonii, które (zrazu kapryśnie i z cicha, ale z rosnącą natarczywością) dają znać, że temat ów dobiega już końca i że te dźwięki dalekich waltorni będą potężniały, aż w końcu zapanują w motywie.

Jakiś suchy liść, niebo, jakby w oczekiwaniu długich pochmurnych dni maja i czerwca, zapowiadały, że oto po cichu nadchodzi najpiękniejsza w Buenos Aires pora roku. Obrzmiałe, jaskrawe lato z wolna ustąpi, a niebo i drzewa w skupieniu przygotowują się do długiego snu.

XI Kroki poniosły go machinalnie do baru, lecz myślami wciąż był przy Aleksandrze. Toteż z westchnieniem ulgi, jak gdyby po najeżonej niebezpieczeństwami podróży dotarł do znajomego portu, usłyszał słowa Tita: „Nie ma porządku w tym kraju”. Mówiąc to Tito uderza pięścią w rozłożoną na stoliku gazetę „Critica”, dowodząc tym być może czegoś, o czym właśnie dyskutowano, Poroto zaś powiada: „Wszyscy, co go otaczają, to klika”, a za ladą Chichin w czapce na głowie, jak do wyjścia, wtrąca wycierając szklanke: „Źle robi, że nie wywala na pysk tych łobuzów”, podczas gdy zniechęcony i wściekły Tito stwierdza z nieodłącznym argentyńskim sceptycyzmem, poprawiając wymięty krawat i zaraz potem wskazując palcem na własną pierś: „Powiadam ci to ja, Humberto J. D’Arcangelo”. W tej samej chwili ten nowy (Peruzzi? Peretti?) w efektownej marynareczce włoskiego kroju, nienagannie ogolony i uperfumowany, powiada hiszpańszczyzną nowo przybyłych, że zgadza się w zupełności z panem D’Arcangelo, że istotnie zwraca uwagę na przykład kiepski stan wozów tramwajowych i że jest nie do pomyślenia, by w drugiej połowie dwudziestego wieku w takim mieście jak Buenos Aires kursowały takie klekoty.

W tej chwili Humberto J. D’Arcangelo, spoglądając nań ze skrywaną niechęcią, powiada ze sztuczną, pełną ironii grzecznością (poprawiając przy tym krawat): „Powiedz mi pan, bo ciekaw jestem, czy tam, w pańskiej ojczyźnie, nie ma tramwajów?” Na pytanie to młodziutki Peruzzi czy Peretti powiada, że z centrów wielkich miast usuwa się tramwaje, poza tym są to tramwaje pośpieszne, modne, czyste, aerodynamiczne, jak na ogół wszystkie środki transportu. „Czy wiadomo wam, że połączenie bezpośrednie Genua—Neapol pobiło wszystkie międzynarodowe rekordy szybkości? Gdy tymczasem, szczerze mówiąc, tutejsze pociągi budzą litość, a nawet śmiech, jak to słusznie zauważył przed chwilą pan D’Arcangelo”; z tego powodu z niemalym zdziwieniem przyjął zapewne reakcję tegoż pana D’Arcangelo, który uderzywszy kościstą dłonią w pierwszą stronicę gazety, gdzie na ośmiu kolumnach opisano tryumfy mistrza Fangio w Reims, nieomal krzyknął: „A ten tutaj, czy on też jest Włochem?” Na pytanie to młody Peruzzi czy Peretti, zaskoczony, za-

czął coś bełkotać w odpowiedzi, na co Tito opanowując wściekłość powiedział głosem prawie że niedosłyszalnym wskutek napięcia: „Widzi pan, mistrz Fangio jest Argentyńczykiem, chociaż i on jest synem Włochów, tak jak ja i jak Chichin. Sprawia mu zaszczyt, że jest synem takich Włochów, co przyjechali tu pod pokładem, a później harowali przez pięćdziesiąt lat, nie podnosząc głowy, i jeszcze wdzięczni byli za to Ameryce, a ich synowie z dumą patrzą na błękitno-białą flagę, nie tak jak ci Włosi, co teraz tu zjeżdżają i od rana do nocy tylko krytykują ten kraj: że tramwaje, że pociągi, że śmiecie, że ten przeklęty klimat w Buenos Aires, że wilgoć, że w Milano jest tak a tak, że tutejsze kobiety nie mają szyku, a jak się już uczepią, to nawet befsztyk im nie smakuje. Więc zapytuję szanowną publiczność: jeśli tak źle czują się w tym kraju, dlaczego nie spakują manatków i nie wyniosą się do diabła? Dlaczego nie wracają do Włoch, jeżeli tam jest taki raj, jak powiadają? Co oni mi tu zawracają głowę, pytam się, ta cała banda szefów, doktorów, inżynierów?” Z wściekłością wstał z krzesła i poprawiając krawat zwinął w rulon gazetę, zawołał na Marcina: „Idziemy do domu, mały”, i wyszedł, z nikim się nie żegnając.

XII Po wyjściu z baru rozstali się i Marcin podążył w stronę parku. Wstąpił na schody prowadzące do dawnej *quinta* * i poczuł, jak zawsze w tym miejscu, ostry odór wyschniętego moczu. Usiadł naprzeciw posągu na ławce, do której powracał za każdym razem, kiedy ich miłość przechodziła kryzys. Zadumał się nad swoim losem, dręczyła go myśl, że w tej chwili Aleksandra jest z innym. Oparty o poręcz ławki po-grążył się w rozmyślaniach.

XIII Nazajutrz Marcin zatelefonował do Bruna, był to jedyny człowiek, którego znosił podczas nieobecności Aleksandry, jedyny most prowadzący

* Posiadłość podmiejska o powierzchni kilku hektarów, z dużym domem, gdzie bogate rodziny argentyńskie spędzały wolny czas. (Przyp. aut)

w owe nieznane okolice, most dostępny, lecz kończący się w mglistej i melancholijnej krainie. Pominąwszy już ich obopólną wstydlivość, która nie pozwalała im mówić o tym jedynym, co Marcina interesowało.

Umówił się z nim w „La Helvetica”.

— Mam się zobaczyć z ojcem Rinaldinim, ale pójdziemy do niego obaj — zapowiedział Bruno.

Objął Marcina, że ojciec Rinaldini jest chory i że on interweniował u biskupa Gentile, by pozwolili mu wrócić do La Rioja. Ale biskupi nie cierpią go, a należy przyznać, że Rinaldini robi wszystko, aby się do tego przyczynić.

— Kiedyś, kiedy umrze, będą o nim mówili. Bo w tym kraju wzajemnych niechęci zaczyna się być wielkim człowiekiem dopiero wtedy, kiedy przestaje się nim być.

Szli ulicą Peru, Bruno dotknął jego ramienia i wskazał na mężczyznę z laską, idącego im naprzeciw.

— Borges.

Podeszli bliżej, Bruno przywitał się. Marcin poczuł w swej ręce dłoń małą, jak gdyby pozbawioną kości i energii. Twarz wyglądała, jakby ją ktoś narysował ołówkiem, a potem wymazał. Jąkał się.

— Ten młody człowiek jest przyjacielem Aleksandry Vidal-Olmos — przedstawił Bruno Marcina.

— *Caramba, caramba...* Aleksandry... to świetnie. Borges wzniosł brwi i spojrzał na niego nieobecnie oczyma błękitnymi jak woda i z abstrakcyjną, do nikogo nie skierowaną serdecznością.

Bruno spytał go, co pisze.

— Wie pan... *caramba...* — jąkał się z uśmiechem ni to skruszonym, ni to złośliwym, z owym wyrazem ironicznej skromności, mieszaniny ukrywanej pogardy i udanej nieśmiałości, jaki przybiera chłop argentyński, kiedy ktoś chwali jego konia. — *Caramba...* wie pan... staram się napisać parę stron, które byłyby czymś więcej niż tylko szkicem, cco?... — jąkał się, strojąc przy tym żartobliwe miny.

W drodze do Rinaldiniego Bruno przypomniał sobie słowa Mendeza: „Borges to konferansjer dla pań z oligarchii”. Ale wszystko to jest znacznie bardziej skomplikowane, niż Mendez sobie wyobraża.

— Ciekawa rzecz, jak wielkie znaczenie ma w Ar- 165

gentyńle literatura fantastyczna — powiedział. — Jaka może być tego przyczyna?

Marcin spytał nieśmiało, czy nie jest to przypadkiem wywołane przykrą rzeczywistością argentyńską, ucieczką od niej.

— Nie. Również rzeczywistość północnoamerykańska nie jest przyjemna. Istnieje chyba jakieś inne wytłumaczenie. A co się tyczy sądu Mendeza o Borgesie... Uśmiechnął się.

— Mówią, że jest nie bardzo argentyński — zauważył Marcin.

— A jaki mógłby być, jeśli nie argentyński? Jest typowym produktem krajowym. Nawet jego europejskość jest krajowa. Europejczyk nie bywa europejski, jest po prostu Europejczykiem.

— Czy uważa go pan za wielkiego pisarza?

Bruno zamyślił się.

— Nie wiem. Ale jestem pewien, że jego proza jest najlepsza ze wszystkiego, co się dzisiaj pisze w języku *castellano* *. Jak na wielkiego pisarza za wiele jednak przykłada wagi do szczegółów natury formalnej. Czy wyobrażasz sobie Tolstoja pragnącego olśnić jakimś przymiotnikiem, gdy chodzi o życie lub śmierć któregoś z bohaterów? Ale u Borgesa nie wszystko jest bizantyńskie, wierz mi, w jego lepszych utworach jest coś bardzo argentyńskiego, pewna nostalgia, pewien metafizyczny smutek...

Chwilę pomilczał.

— Wiele głupstw mówi się o tym, jaka powinna być literatura argentyńska. Ważne jest, żeby była głęboka. Wszystko inne to tylko dodatki. Jeśli nie posiada głębi, nie pomoże szpikowanie jej gauchami. Najbardziej reprezentatywnym pisarzem Anglii za czasów królowej Elżbiety był Szekspir. A przecież wiele jego sztuk nawet nie rozgrywa się w Anglii.

— A najbardziej mnie śmieszy — dodał po chwili — to, że Mendez neguje wpływy europejskie na naszych pisarzy. Na jakiej podstawie? To najzabawniejsze: na doktrynie filozoficznej opracowanej przez Żyda Marksa, Niemca Engelsa i Greka Heraklita. Gdybyśmy mieli słuchać tych krytyków, powinniśmy

* *Castellano* — język hiszpański używany w krajach Ameryki

pisać w języku *guarani* * o polowaniu na strusie. Wszystko inne byłoby obce i antynarodowe. Nasza kultura wywodzi się stamtąd. Jakże tego unikać? I po co? Ktoś powiedział, nie pamiętam już kto, że nie czyta, żeby nie utracić oryginalności. Pomyśl tylko! Jeżeli ktoś urodził się po to, żeby robić lub mówić rzeczy oryginalne, nie zagubi siebie czytając książki. A jeśli nie ma wrodzonego talentu, to tym bardziej niczego nie straci. Poza tym żyjemy na innym, na mocnym kontynencie, wszystko tu się rozwija w zgoła odmiennym kierunku. Faulkner również czytał Joyce'a i Huxleya, Dostojewskiego i Prousta. Chcecie oryginalności zupełnej i absolutnej? Takiej nie ma. Ani w sztuce, ani w czymkolwiek innym. To, co jest, buduje się na tym, co było. Nic, co ludzkie, nie jest czyste. Grecy bogowie również byli mieszańcami i zarażeni byli (że się tak wyrażę) religiami Wschodu i Egiptu. W powieści *Młyn nad rzeką Floss* kobieta przymierza przed lustrem kapelusze: to Proust. Chcę powiedzieć: załóżek Prousta. Wszystko inne jest rozwojem. Rozwojem genialnym, niemal rakowatym, ale tylko rozwojem. To samo odnosi się na przykład do opowiadania Melville'a, zdaje mi się, że nazywa się *Bertleby* albo *Bartleby*, albo jakoś podobnie; kiedyś je czytał, wywarła na mnie wrażenie jego atmosfera, jakby kafkowska. Tak jest we wszystkim. My na przykład jesteśmy Argentyńczykami nawet wtedy, kiedy wypieramy się ojczyzny, jak to w szczególności robi Borges. Zwłaszcza kiedy wypieramy się jej z całą zawziętością, jak to czyni Unamuno w stosunku do Hiszpanii; podobnie jak owi nieubłagani ateści, którzy podkładają bomby w kościele, na swój sposób wierzą w Boga. Prawdziwi ateści są obojętni, są cyniczni. Ateistami ojczyzny możemy nazwać kosmopolitów, ludzi, którzy mieszkają tutaj, a tak samo dobrze mogliby mieszkać w Paryżu albo w Londynie. Żyją w każdym kraju jak w hotelu. Bądźmy jednak sprawiedliwi. Borges do nich nie należy, myślę, że w jakiś sposób ojczyzna go boli, chociaż oczywiście nie posiada tej wrażliwości czy wielkoduszności, by ojczyzna go tak bolała, jak może boleć chłopca na wsi lub

* *Guarani* — język Indian, którzy zamieszkiwali argentyńską pampę przed inwazją hiszpańską. (Przyp. tłum.)

robotnika w chłodni. To właśnie wskazuje na brak wielkości, ta jego niezdolność zrozumienia i odczucia całokształtu ojczyzny aż do głębi jej zbrukanej istoty. Kiedy czytamy Dickensa, Faulknera albo Tołstoja, wyczuwamy to pełne zrozumienie duszy ludzkiej. Otworzył im drzwi sam Rinaldini.

Był wysoki, siwowłósy, o surowym orlim profilu. Na wyraz twarzy składała się skomplikowana mieszanka dobroci, ironii, inteligencji, skromności i dumy. W mieszkaniu pełnym książek panowało ubóstwo. Kiedy przyszli, obok papierów i maszyny do pisania leżały resztki chleba i sera. Rinaldini ukradkiem starał się je usunąć.

— Jedyne, co mogę wam ofiarować, to kieliszek wina — rzekł przynosząc butelkę.

— Właśnie spotkaliśmy na ulicy Borgesa — oznajmił Bruno.

Rinaldini uśmiechnął się napełniając kieliszki. Bruno wyjaśnił Marcinowi, że ksiądz zajmował się twórczością Borgesa i dużo o niej pisał.

— Ale od tej pory upłynęło już wiele wody — zauważył Rinaldini.

— Czyżby się ojciec usprawiedliwiał?

— Nie —■ odpowiedział z wiele znaczącym gestem — ale dzisiaj napisałbym co innego. Coraz trudniej znoszę jego opowiadania.

— Jego poezje oceniał ojciec wysoko.

— Tak, niektóre.

Bruno wyznał, że wzruszają go wiersze Borgesa, przypominające mu dzieciństwo, dawne Buenos Aires, stare podwórza, przemijanie czasu.

— Tak — zgodził się Rinaldini. — Nie cierpię jednakże jego igraszek filozoficznych, a raczej pseudo-filozoficznych. Anglicy nazywają tego rodzaju twórczość *sophisticated* *.

— A jednak, ojcze, w pewnym czasopiśmie francuskim pisano o głębokiej filozofii Borgesa.

Rinaldini częstował papierosami uśmiechając się złośliwie.

— Co pan powiada...

Zapalił papierosa.

— Weź pan jakąkolwiek z jego igraszek. Na przy-

* Sztuczny, wymyślny, przeintelektualizowany. (Przyp. red.) 168

kład *Bibliotekę babilońską* *. Snuje tam sofistyczne rozważania na temat pojęcia nieskończoności, które miesza z nieokreślonością. A rozróżnienie jest wszak elementarne, można je *znaleźć* w pierwszym lepszym traktaciku na przestrzeni dwudziestu pięciu wieków. Oczywiście z absurdu wszystko da się wyprowadzić. *Ex absurdo sequitur quodlibet*. Wychodząc z dziecinnego pomieszania pojęć sugeruje, jakoby wszechświat był czymś nie do pojęcia, tworzy jakąś bezbożną metaforę. Każdy uczeń wie, że realizacja wszystkich możliwości naraz jest niemożliwa. Można stać i można siedzieć, ale nie jednocześnie.

— A opowiadanie o Judaszu?

— Tematem tej farsy nie powinien być człowiek uczciwy, nawet jeśli uchodzi ona za czystą literaturę.

— W przypadku Borgesa jest to czysta literatura.

On sam by to powiedział.

■ — Tym gorzej dla niego — uniósł się ojciec Rinaldini. — Te życzliwe Judaszowi wytwory fantazji wykazują skłonność do słabości i do tchórzostwa. Cofają się przed wszystkim, co najwyższe, przed najwyższą dobrocią i przed najwyższą złością. I tak kłamca nie jest dzisiaj kłamcą; jest politykiem. Chodzi o to, żeby w elegancki sposób wybielić diabła. Popatrzcie, diabeł nie jest taki czarny, jak go malują!

Spojrzał na nich, jak gdyby prosił o potwierdzenie.

— A w rzeczywistości jest na odwrót: diabeł jest bardziej czarny, niż go ci ludzie malują. Nie są oni złymi filozofami, ale, co gorsza, są złymi pisarzami. Nie dostrzegają bowiem nawet tej zasadniczej rzeczywistości psychologicznej, którą znał już Arystoteles. Tego, co Edgar Poe nazwał *the imp of perversity* **. Wielcy pisarze ubiegłego wieku widzieli to jasno: począwszy od Blake'a, skończywszy na Dostojewskim. Ale, oczywiście...

Nie dokończył zdania. Patrzył chwilę przez okno i podjął z subtelnym uśmiechem:

— Toteż Judasz żyje sobie swobodnie w Argentynie... Jest patronem ministrów skarbu, gdyż wyciąga pieniądze, skąd nikomu nie wpadłoby na myśl. Oczywiście Judasz nieborak nie marzył o tym, żeby rzą-

* Urywek by* drukowany w „Przekroju” w tłumaczeniu

Z. Chądzyńskiej. (Przyp. tłum.)

** Diablik przewrotności. (Przyp. red.)

■dzić. A obecnie w naszej ojczyźnie wkrótce otrzyma, a może już otrzymał, stanowiska rządowe. No dobrze, w rządzie czy nie w rządzie, Judasz w końcu zawsze się udławi.

Wreszcie Bruno opowiedział mu o swoich zabiegach u biskupa Gentile. Rinaldini machnął ręką uśmiechając się z ironiczną, chociaż łagodną rezygnacją.

— Niech się pan tym nie przejmuj. Biskupi mi nie pozwolą. A jeśli mowa o biskupie Gentile, który niestety jest pańskim krewnym, byłaby lepiej, żeby zamiast zajmować się politykierstwem kościelnym, poczytał sobie od czasu do czasu *Ewangelię*.

Wyszli.

„Ot, siedzi biedaczysko samotnie w tej swojej zniszczonej sutannie” — pomyślał Marcin.

XIV Aleksandra wciąż była nieuchwytna, a Marcin szukał ucieczki w pracy i w towarzystwie Bruna. Był to okres żalosnych rozmyślań, nie nadeszły jeszcze ponure dni chaosu i beznadziejnego smutku. Nastrój odpowiadał jesieni w Buenos Aires, pełnej suchych liści, szarych chmur i deszczu, a także zniechęcenia, mglistej rozterki.

Również i Bruno, którego się kurczowo uchwycił, na którego zwracał błagalne spojrzenia, był chyba trawiony wątpliwościami. Przemyśliwał bezustannie nad sensem życia w ogólności, nad bytem i niebytem tych mrocznych okolic świata, gdzie żyje i cierpi on sam, Marcin, Aleksandra i miliony mieszkańców, którzy chodzą po Buenos Aires jak w gorączce, a nikt z nich nie wie, gdzie jest prawda, nikt w nic mocno nie wierzy. Starcy, jak don Pancho, żyją snem o czasach minionych, awanturnicy robią majątki nie troszcząc się o nic i o nikogo, cyniczni profesorowie przystosowali się do nowego ładu i głoszą to, co przedtem odrzucali, a starzy emigranci marzą (i oni także) o innej rzeczywistości, dalekiej i bajkowej, jak ów staruszek D'Arcangelo wpatrzony w niedościgłą już dal i mruczający:

Addio patre e maire

*addio sorelli e fratelli...**

* Żegnaj, ojcze i matko,
żegnajcie, siostry i bracia
(Przyp red.)

Jakiś poeta emigrant wypowiedział zapewne przy nim te słowa, w chwili kiedy statek odbijał od nabrzeża w Reggio lub w Paoli i kiedy podróżni wpatrzeni w góry, które niegdyś były częścią Wielkiej Grecji, widzieli je raczej oczyma duszy niż oczyma ciała, gdyż te są słabe i nieudolne. Niedorzecznie wpatrzone w dal, nie pokonane przez zmienne koleje losu ani przez nędzę, ani przez starość, oczy ich wciąż jeszcze poprzez morza i minione lata oglądają ojczyście góry i kwitnące kasztany. Takimi to oczyma wpatruje się w swą daleką Kalabrię stary D'Arcangelo przystrojony w śmieszny zniszczony kapelusz, niczym groteskowy symbol Czasu i łagodnych, lecz nieustannych Rozczarowań, a Tito patrzy na ojca, popija matę i myśli: „Żeby tak, do cholery, miał forse”. — O tak, cierpi na nostalgię ten staruszek D'Arcangelo — szepnął Bruno jakby sam do siebie... — Ale wszyscy tu na nią cierpią, gdyż niewiele jest chyba na świecie krajów, w których historii tak często powtarza się uczucie żalu; pierwsi Hiszpanie tęsknili za daleką ojczyzną, później Indianie wdychali do utraconej wolności, właściwego sensu ich życia, jeszcze później żalność trawiła rozproszonych przez napływową cywilizację gauchów, wygnańców na swej własnej ziemi, pomnych złotego wieku nie ujarzmionej swobody, i dawnych patrycjuszów jak don Pancho, dla których piękne czasy wielkopańskiej hojności przeszły w czas ubóstwa i zakłamania; podobnie cierpią teraz imigranci, serce ich bowiem wyrывa się do rodzinnych stron, do dawnych obyczajów, do legend, do zimowych świąt spędzanych przy kominku. I jak tu nie mieć zrozumienia dla starego D'Arcangelo? Wszak w miarę jak zbliżamy się do śmierci, jesteśmy też bliżej ziemi, nie tej w ogólności, lecz tego skromnego (lecz tak drogiego, tak utęsknionego) kawałka ziemi, gdzie spędziliśmy czas dzieciństwa, czas zabawy i magii, bezpowrotnej magii bezpowrotnego dzieciństwa. I oto w pamięci staje nam jakieś drzewo, twarz przyjaciela, pies, zakurzona droga w letnie popołudnie, kiedy brzęczą cykadę, jakiś strumyczek. Ot, takie rzeczy. Niewielkie to rzeczy, raczej małe i skromniutkie, ale na chwilę przed śmiercią nabierają one wielkości, zwłaszcza kiedy w tym kraju emigrantów człowiek, który ma umrzeć, jedynie wspomnieniem może się bronić, tak 171

straszliwie niepełnym, tak przezroczystym i bezcielesnym wspomnieniem drzew i strumyków z dzieciństwa, od których dzieli go nie tylko przepaść czasu, ale i rozległych oceanów. Nieraz spotykamy starców, takich jak D'Arcangelo, co to prawie nie mówią, ale wciąż zdają się wzrokiem sięgać w dal, a w istocie sięgają do wnętrza, do głębin swej pamięci. Jedyne bowiem pamięć opiera się czasowi i jego sile niszczenia; jest ona jak gdyby kształtem, który przybiera wieczność w owym nie kończącym się przemijaniu. A chociaż my (świadomość nasza, nasze uczucia i nasze gorzkie doświadczenia) zmieniamy się z biegiem lat, a nasza skóra i zmarszczki stają się świadectwem przemijania, pozostaje coś w naszym wnętrzu, coś, co głęboko ukryte, zębami i pazurami trzyma się dzieciństwa i przeszłości, rodziny i ziemi, tradycji i marzeń, coś, co opiera się tragicznemu procesowi: jest to pamięć, tajemnicza pamięć o nas samych, o tym, czym jesteśmy, i o tym, czym byliśmy. Bez tej pamięci (jakież to musi być straszne!) ludzie, którzy ją utracili wskutek jakiegoś pustoszącego wybuchu owych głęboko ukrytych regionów, są bezbronni jak liście unoszone przez okrutną wichurę czasu.

XV Wreszcie pewnego popołudnia zdarzyło się coś zdumiewającego: czekając na trolejbus na skrzyżowaniu ulic Leandro Alem i Cangallo, Marcin w czasie przerwy w ruchu ujrzał Aleksandrę z tym człowiekiem w sportowym cadillacu.

Oni ujrzeni go również i Aleksandra zbladła.

Bordenave zaprosił go do samochodu, Aleksandra usiadła między nimi.

— Przyjaciółkę pana również spotkałem na przystanku trolejbusowym. Cóż za przypadek! Dokąd mogę pana zawieźć?

Marcin powiedział, że miał udać się do domu, na Boca.

— Doskonale, podwieziemy pana.

„Dlaczego?” — zapytywał Marcin sam siebie jak odurzony. Słowo „podwieziemy” otwierało dręczące możliwości.

— Nie — powiedziała Aleksandra. — Ja wysiądę pierwsza. Tu, w pobliżu. Przy avenida de Mayo.

Bordenave spojrział na nią zdziwiony albo też później tak się Marcinowi zdawało, kiedy zastanawiał się nad tym spotkaniem i stwierdził, że to zdziwienie Bordenavego było podejrzane.

Kiedy miała wsiąść, Marcin zaproponował, że ją odprowadzi, odrzekła jednak, że bardzo się śpieszy, że raczej spotkają się kiedy indziej. Lecz w chwili kiedy miała już odejść, zawahała się i przyrzekła, że spotka się z nim następnego dnia o szóstej po południu w Jockey Club.

Bordenave siedział milczący i ponury aż do końca jazdy, Marcin zaś usiłował przeanalizować to dziwne spotkanie. Istotnie, nie jest wykluczone, że ten człowiek spotkał Aleksandrę przypadkiem. Przecież i jego również spotkał przypadkowo. Nic dziwnego też, że on, człowiek światowy, ujrawszy Aleksandrę na ulicy, zaprosił ją do samochodu. W końcu wszystko to mogło się zdarzyć. Dziwne jest tylko, że Aleksandra przyjęła zaproszenie. Z drugiej zaś strony, dlaczego Bordenave okazał zdumienie, kiedy Aleksandra oświadczyła, że wsiądzie przy avenida de Mayo? Taka reakcja mogła świadczyć, że spotkanie ich było z góry umówione, nie zaś przypadkowe, Aleksandra natomiast postanowiła wsiąść, by pokazać Marcinowi, że z tym człowiekiem nie jej nie łączy prócz owego przypadkowego spotkania; jej postanowienie musiało chyba zaskoczyć Bordenavego do tego stopnia, że się z tym zdradził. Marcin poczuł, że coś się w jego duszy wali, lecz usiłował nie poddać się rozpaczom i z wymuszoną przytomnością umysłu w dalszym ciągu analizował to zdarzenie. Z pewną ulgą pomyślał, że zaskoczenie Bordenavego mogło mieć inną przyczynę: wsiadając Aleksandra powiedziała mu, że jedzie do domu, do Barracas (istotnie, jechali przez Leandro Alem na południe), w obawie jednak, że Marcin może powziąć niesłuszne podejrzenie, jeżeli po jego odejściu zostanie sama z tym człowiekiem, postanowiła wsiąść pierwsza, a nagle zmiana jej postanowienia mogła Bordenavego zaskoczyć. No dobrze, ale dlaczego siedział później mrukliwy i speszony? Ach, zamierzał pewnie poflirtować trochę sam na sam z Aleksandrą i nadzieje jego spełzły na niczym. Została co prawda pewna wątpliwość: dlaczego Aleksandra nie pozwoliła Marcinowi, by ją odprowadził? Czyżby zamierzała 173

spotkać się z Bordenavem tam, dokąd zapewne razem jechali? Szczegół uspokajający: jakżeby inaczej mogła Aleksandra spotkać się z Bordenavem, jeżeli nie przypadkiem? Nie znała go przecież, nie wiedziała, gdzie mieszka, on zaś nie znał nawet jej nazwiska. Niemniej jakieś niejasne przeczucie kazało Marciniowi wciąż na nowo analizować tamtą rozmowę, na pozór zwyczajną, która jednakże teraz w świetle ostatniego spotkania nabierała szczególnego znaczenia. Wówczas już przemknęło mu to przez myśl, ale dopiero w kilka lat po śmierci Aleksandry nabrał pewności, że Bordenave miał coś wspólnego z faktem, iż Aleksandra posłała go do Molinariego po tej jego rozmowie z Bordenavem w kawiarni „Plaža”. Wypadki, które zakończyły się jej samobójstwem, oraz ostatnia rozmowa z Bordenavem wykażą mu kiedyś, jaką rolę grał ten człowiek w jej tragedii. I po latach w rozmowie z Brunem będzie jedynie z żalosną ironią wspominał szczegół, że to on, Marcin, postawił tego człowieka na drodze Aleksandry. I wciąż na nowo będzie z maniaką dokładnością wspominał każdy szczegół tamtej pierwszej rozmowy w kawiarni „Plaža”, zwyczajnej rozmowy, która utonąłaby wśród nic nie znaczących wydarzeń, gdyby końcowe wypadki nie rzuciły niespodzianie straszliwego światła na ów pewnego rodzaju zapomniany rękopis.

W tej chwili wszakże Marcin nie mógł jeszcze dojść do tych ostatecznych konkluzji. Głowił się nad rozmową w kawiarni „Plaža” i przypominał sobie, że w momencie kiedy przedstawiał go Aleksandrze, spostrzegł w jej oczach przelotny błysk, po czym zachowała się odpychająco. Nie było co prawda wykluczone (tak sądził Bruno), że wspomnienie to było fałszywe, podobnie jak po katastrofie mówi się: „Przypominam sobie teraz, że usłyszałem podejrzany szmer”, a w istocie szmer ten jest szczegółem dorzuconym przez wyobraźnię do istotnie zapamiętanych faktów; w taki to sposób terażniejszość zwykle wpływa na przeszłość, zmienia ją i wzbogaca o znaki ostrzegawcze.

Marcin usiłował odtworzyć słowo po słowie wszystko, co Bordenave wówczas powiedział. A więc mówił wskazując pogardliwym ruchem głowy na dwóch mężczyzn siedzących w kawiarni: „Wszyscy ci Włosi są do siebie podobni, sami inżynierowie, adwokaci,

dyrektorzy \ A w rzeczywistości łobuzy, których się trzeba wystrzegać". Nie uszło też uwagi Marcina, że równocześnie Aleksandra spochmurniała, i nie patrząc na niego robiła pogmatwane rysunki na papierowej serwetce. „Pierwsze słowo każdego z nich (ciągnął Bordenave) to *corruzione* **; należy im wtedy przypomnieć, że tym nieszczęśnikom, których wysłali do Afryki przeciwko Anglikom, rozleciały się po drodze czolgi. Ale i na to mają dranie gotową odpowiedź: «Bo źle trafili, dali takim, którym nie należało dać. Dali pieniądze za nic». Ci, co dają, nie są lepsi od tych, co biorą". Marcin patrzył na niego ze zdumieniem. Kiedy po śmierci Aleksandry odtwarzał w myślach każdą sytuację, w której ona była obecna, doszedł do wniosku, że wówczas Bordenave mówił przede wszystkim do niej; Marcin uważał to za rzecz zdumiewającą, nie mógł bowiem pojąć, jak Bordenave zamierzał ją zdobyć, opowiadając takie rzeczy. Później mówił o politykach: „Wszyscy są przekupni. Oczywiście nie odnosi się to tylko do peronistów: mówię o wszystkich, mówię w ogólności. Bo to są nie kończące się sprawy. Jeśli idzie o przemysłowców, to płaczą wprawdzie (Marcinowi przyszedł na myśl Molinari), ale nigdy tak dużo nie zarabiali, jak w tym okresie, chociaż gadają o korupcji, o tym, że bez łapówki nie mogą sprowadzić nawet igły, że robotnicy nie chcą pracować. I takie tam historie. Ale kiedy, pytam się, kiedy przemysłowcy zarobili te olbrzymie fortuny z ostatnich lat? Pralkami zasypali cały kraj. Nie ma kobieciny, która by nie posiadała elektrycznego miksera... A wojsko? Z nielicznymi chlubnymi wyjątkami od pułkownika wzwyż, z wyjątkiem wariatów, którzy jeszcze wierzą w ojczyznę, każdego można kupić za pozwolenie na kupno samochodu albo na wymianę dewiz. A robotnik? Jedyne, co go interesuje, to dobrze zjeść, dostać z końcem roku premię, pójść na mecz, wziąć duże odszkodowanie za usunięcie z pracy — jeszcze jeden przemysł krajowy! — mieć płatny

* Podczas drugiej wojny światowej tysiące Włochów emigrowało do Argentyny, w przeciwieństwie do pierwszej emigracji, z końca XIX w., składającej się z ludzi bardzo skromnych, w skład tej drugiej wchodził przeważnie ludzie utytułowani, prawdziwie lub fałszywie. (Przyp. aut.)

** Korupcja. (Przyp. red.)

urlop i wolny dzień Świętego Perona. Jedyne, czego mu brak, by stał się burżujem — perorował ze śmiechem — to kapitaliku". Po chwili streścił to mieszając wskazującym palcem lód w szklance z whisky: „Byle napęlić brzuch, nic, tylko napęlić brzuch. Za forszę niczego ci tu nie odmówią. Choćbyś był bandytą, jeżeli masz forszę, będą cię szanować, będziesz panem całą gębą. W końcu nie ma po co psuć sobie krwi, wszystko jest zgniłe i nigdzie nie ma porządku. Grin-gowie skurwili Argentynę, nie jest to już ten sam naród, który niósł sztandar wolności do Chile i do Peru. Dzisiaj jest to naród oportunistów, naród tchórzów, międzynarodowych awanturników, takich jak ci, co tu siedzą, oszustów i kibiców futbolowych". Na tym Bordenave skończył, podniósł się, podał Marciniowi rękę i powiedział, żeby się nie martwił, że ich nie będą eksmitować. Marcin i Aleksandra wyszli z kawiarni, przemierzili ulicę i usiadłszy po drugiej stronie na ławce spoglądali na rzekę. Pamiętał każdy ruch Aleksandry, kiedy spytał ją, co myśli o Bordenavem. Zapaliła papierosa i ujrzał w świetle zapałki, że twarz jej stała się surowa i posępna. „Co mam myśleć — rzekła — ot, Argentyńczyk". Potem milczała i wszystko w niej wskazywało na to, że nie powie już ani słowa. Naówczas Marcin stwierdził tylko, że pojawienie się Bordenavego zamąciło wewnętrzny spokój, jak ukazanie się gada w źródle czystej wody, z którego zamierzaliśmy pić. Po chwili oświadczyła, że boli ją głowa i że chciałyby pójść do domu i położyć się. A gdy mieli się rozstać, u furtki, na ulicy Rio Cuarto, oznajmiła mu nieprzyjemnym tonem, że pomówi z Molinarim, ale żeby nie miał złudzeń. Kiedy badał ów stary dokument pamięci, z brutalną wyrazistością wyszły na jaw pewne jej słowa, które wtedy dopiero, po śmierci Aleksandry, nabrały nieoczekiwanego znaczenia. Tak, pomiędzy owym cichym popołudniem, kiedy spacerowali trzymając się za ręce, a tą absurdalną rozmową z Molinarim było jeszcze pojawienie się Bordenavego.

Wdarło się wtedy między nich coś groźnego.

XVI

Sam o tym nie wiedząc znalazł się przed kawiarnią Chichina i już przy drzwiach doszły 176

go prorocтва wariata Barragana, który jak zawsze wygłaszał kazanie nie przestając przy tym pić przepalanki z trzciny cukrowej. „Słuchajcie, chłopcy, nadchodzi czas krwi i ognia” — ostrzegawczo, wskazując palcem przemawia do zanoszących się od śmiechu wyrostków, niezdolnych traktować poważnie niczego oprócz Perona i niedzielnego meczu piłki nożnej, jednocześnie Marcin głowi się nad tym, czy Aleksandra zbladła w chwili, kiedy go ujrzała, bo nie jest wykluczone, że tak mu się tylko zdawało, trudno to ustalić, gdyż ocieniał ją dach samochodu; szczególnie ten ma oczywiście ogromne znaczenie, gdyż dowodziłby, że spotkanie z Bordenavem nie było przypadkowe, tylko umówione, ale jak i kiedy, mój Boże, jak i kiedy? „Nadchodzi czas zapłaty, chłopaki”, i machając prawą ręką, jak gdyby pisał coś w powietrzu, stwierdza: „Tak stoi zapisane”, na co chłopaczyska pokładają się ze śmiechu, Marcin zaś rozumuje, że przecież i jej nagła błądź nie jest nieomylnym znakiem; mógł ją wywołać wstyd, że Marcin spotkał ją z tym człowiekiem, dla którego wyraziła pogardę. A zresztą jak mogli się umówić, jeśli ona nie wiedziała, gdzie Bordenave mieszka; nie przemknęło mu nawet przez myśl, że mogła znaleźć jego adres i numer telefonu w książce telefonicznej. „Czas krwi i ognia, bo ogniem trzeba wypalić to przekłete miasto, tę Babilonię, bo my wszyscy jesteźmy grzesznikami”. Zupełnie możliwe, że spotkali się w barze „Plaža”, gdzie Aleksandra bywa lub bywała dawniej, o czym świadczy precyzja, z jaką wprowadziła go do lokalu, tak że mógł wejść do baru (ale w jakim celu, mój Boże, w jakim celu?) i mogli nawiązać rozmowę najprawdopodobniej z jego inicjatywy; rzuca się przecież w oczy, że jest to człowiek światowy i kobieciarz. „ŚmieJCie się, śmieJCie, nicponie, a ja wam powiadam, że czeka nas krew i ogień”, na to wszyscy w śmiech, a i sam Barragan co chwila rechocze wraz z innymi, bo równy z niego chłop, jednakże na widok Marcina oczy jego rozjaśnia blask, zaiste proroczy, choć jest tylko skromnym prorokiem przedmieścia, zapij aczonym niedołągą (Bruno pomyślałby zapewne, że los rozmaite wybiera narzędzia dla swych utajonych celów, a że zwykł działać w sposób zagadkowy i przewrotny, więc chytrze rozsyła swe orędzia przez szaleńców i przez dzieci, 177

przez istoty, których nikt nie bierze serio), i powiada nagle nie swoim głosem, nie tym, którym żartował z chłopcami z baru: „Ale ty nie, chłopcze, ty nie, bo ty masz nas wszystkich zbawić”, i wszyscy milkną, i po tych nieoczekiwanych słowach wariata zapada cisza; ale natychmiast znowu rozlega się śmiech, gdyż taka jest natura Argentyńczyka, że wstydy się uroczystych momentów (czasem) lub boi się zostać oszukany (przeważnie), a chłopaki wykrzykują: „Te, prok, powiedz no, jaki numer jutro wygra”, a Barragan pije przepalankę i kiwając głową powiada: „Śmiećcie się, śmiećcie się zdrowo, ale zobaczycie, co będzie, na własne oczy zobaczycie, bo trzeba, żeby na to skurwione miasto spadła kara i ktoś musi nadejść, bo nie może tak dalej być na świecie”, a Marcin wpatruje się w niego z przejęciem, bo słowa te wiążą się jakoś ze słowami Aleksandry o prorocznych snach i oczyszczeniu przez ogień.

— Pan Jezus nas opuścił, a co nam dali za niego? Auta, samochody, lodówki. Ale powiedz no mi, Chichin, czy ty jesteś szczęśliwszy teraz z elektryczną lodówką, niż wtedy gdy kulawy Acuña przywoził ci lód? Przypuśćmy na przykład, że jutro ty, Loiacono, polecisz na Księżyc — zdanie to obecni uczcili wybuchem śmiechu. — Co się śmiejecie, jołopy, przecież mówię, że to przypuszczenie, no i co? Będziesz przez to szczęśliwszy niż teraz?

— Co ty mi tu trajlujesz o jakimś zasranym szczęściu — odburknął Loiacono.

— Powiadam przecież, że to tylko takie przypuszczenie. No co, pytam się ciebie, byłbyś szczęśliwszy, gdybyś poleciał na Księżyc?

— A bo ja wiem?

Wariat Barragan nie daje się zbić z tropu tą odpowiedzią na swoje retoryczne pytanie, lecz w dalszym ciągu prorokuje:

— Dlatego powiadam wam, chłopcy, że szczęścia trzeba szukać w sobie, we własnym sercu. Ale do tego potrzeba, żeby znowu na ziemię zstąpił Pan Jezus. Myśmy go zapomnieli, zapomnieli jego nauki, zapomnieli, że był męczennikiem z naszej winy i dla naszego zbawienia. Jesteśmy bandą niewdzięczników i łajdaków. A jak Pan Jezus znowu zstąpi na ziemię,

to go nawet nie poznamy i gotowiśmy go obedrzeć ze skóry.

— A może to ty jesteś Pan Jezus i my ciebie obedrzemy ze skóry? — przerwał mu któryś z chłopców.

Żart ten wzbudził ogólną wesołość, Barragan natomiast z poczciwym uśmiechem pokiwał głową i ciągnął bełkocząc po pijanemu:

— Wszyscy żeśmy smutni (obecni zaprotestowali, rozległy się okrzyki: ja nie, chyba ty sam itp.). Wszyscy żeśmy smutni, chłopaki. Nie ludźmy się. A dlaczego jesteśmy smutni? Bo nie mamy zadowolenia, bo wiemy, że jesteśmy nędzne łajdaki. Bo nie ma w nas sprawiedliwości, bo mamy w sercu nienawiść. A wszyscy gdzieś lecą. Po co lecą? Dokąd lecą? Każdy jeden walczy o te trochę forsy. Po co, pytam się? Czyż nie umrzemy wszyscy? A po co nam żyć, kiedy nie wierzymy w Boga?

— No dobra, zamknij się wreszcie — przerwał mu nagle Loiacono. — Ty także jesteś lepszy facet. Pełna gęba Boga, pełna gęba Pana Jezusa, pełna gęba tego — podniósł rękę z kieliszkiem do ust. — Kobieta haruje na ciebie jak wół, a ty tu prawisz kazania.

Wariat Barragan spojrział na niego życzliwie i pociągnął wódki.

— A czy ja mówię, że nie jestem drań? Ja, chłopaki, jestem pijak i wariat — kajał się bolejącym głosem. — Wołają mnie Wariat Barragan. Bo chleję, bo cały dzień chodzę i rozmyślam, a szefowa haruje od rana do nocy. Co mam zrobić? Taki się urodziłem i taki już umrę. Jestem nicpoń, nie zaprzeczam. Ale nie warto o tym mówić. Czy nie wiecie, że wariaty i dzieci mówią prawdę? No więc ja jestem wariat i czasem, klnę się na ten krzyż, sam nie wiem, dlaczego do was przemawiam.

Wszyscy wybuehnęli śmiechem.

— Śmieście się, śmieście. A powiadam wam, że objawił mi się raz w nocy Pan Jezus i powiedział: „Wariacie, świat zostanie oczyszczony krwią i ogniem, coś wielkiego nadejdzie, na wszystkich ludzi spadnie ogień i nie ostanie się kamień na kamieniu”. Tak mi powiedział Pan Jezus.

Chłopcy parsknęli śmiechem, tylko Loiacono siedział nachmurzony.

— Ejże, śmiejcie się tylko, a zobaczycie. Jeden tu tylko jest taki, co mnie rozumie.
Śmiech ustał, po ostatnich słowach zaległa cisza.
Ale już po chwili chłopcy zaczęli błaznować i wszczęli dyskusję o niedzielnym meczu.

A Marcin spoglądał na Wariata, wspominając inne słowa, słowa Aleksandry o ogniu.

XVII Aleksandra nie zjawiała się. Zamiast niej przyszła Wanda, która mu przekazała od niej wiadomość: w tym tygodniu nie będzie mogła się z nim spotkać.

— Mnóstwo roboty — wyjaśniła patrząc na swą grającą zapalniczkę.

— Mnóstwo roboty — powtórzył Marcin; równocześnie pojawiła się przed nim złośliwie postać Bordenavego.

Wanda raz po raz zapalała i gasiła zapalniczkę.

— Zadzwoń do ciebie — oświadczyła.

— Świetnie.

Jakiś ogromny przytłaczający ciężar nie dał mu wstać po odejściu Wandy, w końcu jednak podniósł się i zadzwonił do Bruna. Przez telefon mówił nieśmiało, nie odważył się wyznać, że pragnie go zobaczyć, ale Bruno jak zawsze zaprosił go w końcu do siebie.

Usiadł w kąci, a Bruno usiłował rozerwać go byle jaką rozmową.

Zdjął okulary i wytarł je, lubił utrzymywać je w idealnej czystości, może był to po prostu odruch. Oczy jego, pozbawione grubych szkielek, stawały się jakby znacznie większe i twarz sprawiała dziwne wrażenie nagości, Marcin odczuwał to niemal z zawstydzeniem. Ponadto spojrzenie Bruna stawało się oderwane i jakby bezbronne wobec świata tak bogatego w szczegóły.

Mówił o książce, którą obecnie czyta, o czasie; tłumaczył mu, jaka jest różnica pomiędzy czasem astronomicznym a czasem człowieka; był przy tym świadomy, że dla Marcina słowa jego są bezużyteczne, co najwyżej mogą go na chwilę oderwać od zmartwień. Rozmyślanie abstrakcyjne, nawet gdyby odnosiło się do problemów ludzkich, nie może służyć ku pociesze-

mu człowieka, nie koi smutku i udręki istoty z krwi i kości, wznoszącej pełne męki spojrzenie (ku czemu? na kogo?), istoty, którą tylko nadzieja utrzymuje przy życiu. Na szczęście bowiem (myślał) w człowieku jest nie sama tylko rozpacz, ale także wiara i nadzieja; nie tylko śmierć, lecz również pragnienie życia, i nie samotność jedynie, ale także chwile wspólnoty i miłości. Bo gdyby przeważała w nas rozpacz, wszyscy szukalibyśmy samobójczej śmierci, a tak bynajmniej nie jest.

Dowodzi to — jego zdaniem — niewielkiego znaczenia rozumu, gdyż nie jest rzeczą rozumną żywić na tym świecie nadzieję. Rozum i inteligencja uodwadniają nam wciąż na nowo, że świat jest zły, toteż rozum jest niszczycielski i wiedzie do sceptycyzmu, do cynizmu i w końcu do samounicestwienia. Na szczęście jednak człowiek prawie nigdy nie bywa istotą rozumną, dlatego też pośród klęsk raz po raz odradza się w nim nadzieja. I właśnie owo odradzanie się tak niedorzecznej, tak pozbawionej jakichkolwiek podstaw nadziei dowodzi, że człowiek nie jest istotą rozumną. Ot, zaledwie ustało trzęsienie ziemi, które spustoszyło rozległe obszary Japonii lub Chile, zaledwie cofnęła się powódź, która pochłonęła tysiące dzieci znad Żółtej Rzeki, zaledwie minęła krwawa i dla większości ofiar pozbawiona sensu wojna, jak na przykład wojna trzydziestoletnia, która obróciła w perzynę miasta i osiedla, przyniosła męki i zagładę kobietom i dzieciom, a już ci, co pozostali przy życiu, bezsilni świadkowie strasznego wyroku losu lub człowieka, ci sami, co w chwilach rozpaczki sądzili, że nigdy już nie naberą ochoty do życia, że nie zdołają go odbudować, chociażby nawet chcieli, ci sami mężczyźni i te same kobiety (kobiety zwłaszcza, kobieta bowiem jest życiem, jest matką-ziemią, jest tą, która nigdy nie traci nadziei), te same kruche istoty zaczynają od nowa, jak nierozumne a bohaterskie mrówki, wznosić swój mały świat dni powszednich: świat niewielki, to prawda, lecz tym bardziej wzruszający. Toteż nie myśl ocala świat, nie intelekt ani rozum, lecz coś wręcz przeciwnego: owa nierozumna nadzieja człowieka, jego wytrwała chęć pozostania przy życiu, żądza oddychania, jak długo to możliwe, jego małe, uparte i śmieszne bohaterstwo codzienne w obliczu niedoli. Jeżeli 181

więc rozpacz odpowiada Nicości, jeśli jest ona pewnego rodzaju dowodem antologicznym Nicości, to czyż nadzieja nie jest dowodem Ukrytego Sensu Istnienia, czegoś, o co warto walczyć? A ponieważ nadzieja potężniejsza jest niż rozpacz (jako że zawsze odnosi nad nią tryumf; gdyby tak nie było, wszyscy popełnilibyśmy samobójstwo), czyż ów Ukryty Sens Istnienia nie jest może bardziej prawdziwy niż owo słynne Nic?

Jednocześnie na bardziej powierzchownym planie mówił Marcinowi o sprawach na pozór nie posiadających związku z owymi głębszymi refleksjami, w rzeczywistości jednak połączonych z nimi nieprawidłową, lecz istotną więzią.

— Zawsze myślałem o tym, że chciałbym być czymś w rodzaju strażaka.

Marcin spojrział na niego zdziwiony, zaczął więc rozwijać swą myśl w przekonaniu, że tego rodzaju refleksje mogą przynieść Marcinowi ulgę; uśmiechem starał się zatuszować swój zamiar.

— Powiedzmy, naczelnikiem oddziału straży pożarnej. Człowiek czuje się przynależny do jakiejś wspólnoty, nie szczędzi wysiłku dla bliźnich, i to wśród niebezpieczeństw, w sąsiedztwie śmierci. Jako naczelnik czułbym się, przypuszczam, odpowiedzialny za swój oddział. Byłbym dla moich ludzi uosobieniem prawa i nadziei. W takim małym świecie dusza jednostki staje się duszą zespołu. Wspólne są troski, wspólne radości i niebezpieczeństwo również jest wspólne. Ma się ponadto świadomość, że można, że powinno się polegać na towarzyszach, że w momentach decydujących, w owych chwilach, kiedy stoimy w obliczu nagłej a okrutnej śmierci, towarzysze będą nas bronili i wraz z nami dzielić będą cierpienia i nadzieje. A nawet takie skromne zadanie, jak utrzymać oddział w czystości, nadawać połysk metalom, czyścić i ostrzyć toporki, w prosty sposób przeżywać chwile dzielące nas od niebezpieczeństwa, a może i od śmierci.

Zdjął i przetaił okulary.

— Często myślę o Saint-Exuperym. Wyobrażam go sobie, jak w swym małym samolocie wysoko ponad Atlantykiem walczy bohatersko z burzą, za jego plecami telegrafista złączony z nim przyjaźnią, wspólnym

niebezpieczeństwem, ale także wspólną nadzieją: jak wsłuchani w warkot silnika z niepokojem sprawdzają zapasy paliwa i patrzą na siebie. Koleżeństwo w obliczu śmierci.

Włożył okulary i uśmiechnął się spoglądając w dal. — No tak, najbardziej chyba podziwia się to, do czego się samemu nie jest zdolnym. Nie wiem, czy byłbym zdolny dokonać choć setnej części tego, czego dokonał Saint-Exupery. Oczywiście, to są rzeczy wielkie. Ale myślę, że nawet i w małych... naczelnik straży pożarnej... Ja natomiast... kim ja jestem? Jakiś samotny sensat, niepotrzebny człowiek. Nie wiem nawet, czy zdołam kiedyś napisać powieść albo sztukę. A choćbym i napisał... nie wiem, czy nie więcej wart jest prosty żołnierz, wchodzący w skład oddziału i stojący na straży życia i snu towarzyszy... Nieważne, że wojna jest idziełem łobuzów, finansowych lub naftowych bandytów; ten oddział, to stanie na straży, ta wiara naszych towarzyszy pozostaną na zawsze wartością absolutną.

Marcin wpatrywał się weń jak urzeczony. Brano zaś myślał: „Mój Boże, czyż każdy z nas nie prowadzi pewnego rodzaju wojny? Czy nie należy do jakiegoś małego oddziału? Czy Marcin nie jest do pewnego stopnia tym, nad którego snem ja czuwam, którego udrekę staram się złagodzić i którego nadzieję podsyacam jak płomyk dogasający wśród burzy?”

W tym momencie zawstydził się.

Opowiedział więc Marcinowi anegdotę.

XVIII W poniedziałek czekał na próżno na jej telefon. Zniecierpliwiony zadzwonił we wtorek do *boutique*. Miał wrażenie, że głos Aleksandry brzmi surowo, ale mogło tak być dlatego, że była zajęta. Wobec nalegania Marcina przyrzekła mu, że przyjdzie na kawę do baru na rogu Charcas i Esmeralda.

Marcin pobiegł; istotnie, czekała na niego: paliła papierosa wyglądając na ulicę. Rozmowa trwała krótko, gdyż Aleksandra musiała wrócić do pracowni. Marcin powiedział, że pragnąłby ją widzieć spokojną przez całe popołudnie.

— Nie mogę, Marcinie.

Spojrzawszy mu w oczy zaczęła bawić się trzy-
maną w ręce cygarniczką; chyba o czymś myślała,
robiła jakieś obliczenie. Czoło miała zmarszczone, była
najwidoczniej zatroskana.

— Bardzo źle się czuję — rzekła w końcu.

— Co ci jest?

— Raczej należałoby spytać, co mi nie jest.

Złe sny, bóle głowy (w karku, skąd rozchodzą się
po całym ciele), miganie w oczach.

— A do tego wszystkiego jeszcze te kościelne dzwo-
ny. Jak widzisz, mieszanina szpitala z kościołem.

— I dlatego nie możesz się ze mną widywać —
zauważył Marcin z odrobiną ironii.

— Nie, tego nie powiedziałam. Ale wszystko razem
wzięte, rozumiesz?

„Wszystko razem wzięte” — powtórzył Marcin
w duchu, wiedząc, że w owym „wszystko” mieści się
to, co go najbardziej dręczy.

— To znaczy, że nie możesz się ze mną spotkać?

Aleksandra wytrzymała przez chwilę jego spojrze-
nie, lecz niebawem spuściła oczy i zaczęła bębnić cy-
garniczką w stół.

— No dobrze — oznajmiła w końcu — spotkamy
się jutro po południu.

— Na jak długo?

— Na całe popołudnie, jeżeli zechcesz — odparła
nie patrząc na niego i nie przestając stukać cygar-
niczką.

Podniosła wzrok, a ujrzawszy jego rozjaśnione oczy
dodała:

— Ale, Marcinie, pod jednym warunkiem.

Oczy Marcina przygasły. Zapytał, gdzie się spo-
tkają.

— A gdzie ty byś chciał? — spytała z kolei ona.

Z przesadną wiarą w powtórzenia Marcin poprosił,
by znowu spotkali się w tej samej restauracji u stóp
Belgrano i o tej samej porze co w tamten ponie-
dzialek.

XIX Następnego dnia słońce świeciło jak w tam-
ten poniedziałek, ale dął wyjątkowo mocny
wiatr i powietrze było pełne kurzu. Wszystko wyglą-
dało podobnie, ale nic nie było takie samo, zmieni- 184

ła się chyba tak przychylna wówczas konfiguracja gwiazd, pomyślał Marcin z lękiem. Zawarta umowa narzuciła tej schadzce melancholijny spokój: rozmawiali spokojnie, jak dwoje przyjaciół. I właśnie dlatego było Marcinowi tak smutno. Może nie odczuwał tego z całą świadomością, ale nie mógł się doczekać chwili, kiedy zejda nad rzekę i usiądą znowu na tej samej ławce, jak gdyby wystarczyło powtórzyć to samo magiczne zaklęcie, aby powtórzyło się upragnione przeżycie. Nie wiedział oczywiście, że tamten poniedziałek, dla niego tak doskonale szczęśliwy, dla Aleksandry był pełen udręki; toteż te same fakty, które dla niego były źródłem szczęścia, dla niej były przyczyną niepokoju (myślał Bruno), pominałszy już, że zawsze jest trochę ryzykowne powracać do miejsc, które były świadkami chwili doskonałości (i o tym również pomyślał).

Zeszli wreszcie nad rzekę i usiedli na tej samej ławce. Milczeli dosyć długo, jakby w pogodnym nastroju ducha. Dla Marcina wszakże, po szczerzej nadziei, jaką miał w restauracji, pogoda ta nasycala się coraz bardziej melancholią, gdyż ów spokój panował tylko wskutek warunku narzuconego przez Aleksandrę. Dla niej natomiast (myślał Bruno) pogoda ta była jak gdyby osłoną tak słabą, tak nieistotną, jak ulga, którą chory na raka odczuwa po zastrzyku morfiny. Spoglądali na okręty, na chmury, obserwowali mrówki, które trzdużyły się uparcie z właściwym sobie zapalem.

Aleksandra wydostała z portfela notes z adresami.

Wyjęła z niego fotografię.

— Podoba ci się? — zapytała.

Było to jej własne zdjęcie; stała oparta o balustradę na tarasie w Barracas. Miała uduchowioną twarz z owym wyrazem oczekiwania na coś nieokreślonego, który Marcina tak ujął za pierwszym razem.

— Podoba ci się? — spytała znowu. — To z tamtych dni.

Istotnie, Marcin poznał bluzkę i spódnice. Wszystko wydaje mu się tak odległe! Dlaczego pokazuje mu teraz to zdjęcie?

— Podoba ci się czy nie? — nalegała Aleksandra.

— Pewnie, że mi się podoba. Kto zrobił to zdjęcie?

— Ktoś, kogo 'ty nie znasz.

Ciemna chmura zasłoniła melancholijne, ale pogodne dotąd niebo.

Marcin trzymał zdjęcie w ręku i spoglądał na nie z mieszanym uczuciem.

— Możesz mi je dać? — spytał nieśmiało.

— Jeśli tylko zechcesz. Po to je przyniosłam.

Marcin wzruszył się i jednocześnie poczuł żal: wyglądało to na pożegnanie. Napomknął coś o tym, lecz Aleksandra nie dała odpowiedzi, w dalszym ciągu przyglądała się mrówkom, a Marcin wpatrywał się badawczo w jej twarz.

Strapiiony pochylił głowę, wzrok jego padł na rękę Aleksandry, w której trzymała otwarty jeszcze notes; ujrzał w nim złożoną kopertę poczty lotniczej. Adresy zanotowane przez Aleksandrę, listy, które otrzymywała, wszystko to stanowiło dla Marcina świat boleśnie obcy.

A chociaż usiłował zawsze trzymać się w karbach, czasem wymykało mu się jakieś nieszczęsne pytanie. Tak było i tym razem.

— ■ Ten list jest od Juana Carlosa — rzekła Aleksandra.

— I cóż ten osioł pisze? — spytał Marcin z goryczą.

— Wiesz, te same głupstwa, co zawsze.

— Jakie głupstwa?

— O czym może pisać Juan Carlos w liście lotniczym? Niech uczeń odpowie, no?

Spoglądała na niego z uśmiechem, ale Marcin odpowiedział z powagą, która (był tego pewny) musiała jej się wydać głupia.

— O flirtach?

— Świetnie, dziecino. Czwórka. Piątka nie dostaniesz, bo zamiast odpowiedzieć wprost, zapytałeś. Setki, tysiące flirtów z bardzo wysokimi, bardzo głupimi i straszliwie jasnowłosymi Dunkami. Do takich ma feblika. Wszystkie opalone na brązowo dzięki systematycznemu uprawianiu sportów na wolnym powietrzu. Dzięki tysiącom kilometrów spędzonych na kajakach, w braterskim koleżeństwie z chłopakami również jak one jasnowłosymi, wysokimi i opalonymi na brązowo. Oczywiście mnóstwo *practical jokes* *, co Juan Carlos ubóstwia.

Figiel splatany komuś dla żartu. (Przyp. red.)

— Pokaż mi znaczek — poprosił Marcin.
Od dzieciństwa pasjonował się znaczkami z dalekich krajów. Sięgnąwszy po list miał wrażenie, że Aleksandra uczyniła mały ruch, zapewne nieświadomy, jakby chciała go cofnąć. Wzburzony tym szczegółem Marcin udawał, że pilnie przygląda się znaczкови, w rzeczywistości jednak nowa chmura pojawiła się na jego melancholijnym niebie.
Oddając list spojrział na nią uważnie, miał wrażenie, że się zmieszała.
— To nie od Juana Carlosa — zaryzykował.
— Ależ oczywiście, od niego. Widzisz przecież to sztubackie pismo.
Marcin milczał, jak zawsze, kiedy wynikała podobna sytuacja. Nie umiał wycofać się, nie okazać swojej udreki.
Podniósł patyk i zaczął nim grzebać w ziemi.
— Nie bądź głupi, Marcinie. Nie ma sensu psuć nastroju jakimiś bzdurami.
— Nie chciałaś mi dać listu — zalił się Marcin, nie przestając grzebać patykiem.
Aleksandra milczała.
— Widzisz, mam rację.
— Tak, masz rację — zgodziła się. — Bo w liście jest o tobie niepocholebna wzmianka.
— No to co? — odburknął. — Nie miałem zamiaru go czytać.
— Oczywiście, że nie... Ale wydawało mi się niedelikatne z twojej strony, że go wzięłaś do ręki, nawet bez zamiaru. To znaczy, myśląc o tym teraz, zdaję sobie sprawę, że to było przyczyną...
— A ^dlaczego Juan Carlos źle się o mnie wyraża?
— Ach, nie warto mówić. Niepotrzebnie byś się zmartwił.
— A skąd ten idiota mnie zna? Przecież nigdy mnie nie widział.
— Wyobraź sobie, Maranie, że mówiłam mu nie-raz o tobie.
— Takiemu kretynowi mówiłaś o mnie? O nas obojgu?
— To nie ma żadnego znaczenia. Zupełnie jakbym mówiła do ściany. Nikomu nic nie mówiłam. Rozumiesz? Do niego — to tak, jakby się mówiło do ściany.
— Nic nie rozumiem, Aleksandro. Dlaczego właśnie 187

jemu? Chciałbym, żebyś mi powiedziała albo żebyś mi przeczytała, co o mnie pisze.

— Ależ to są typowe głupstwa Juana Carlosa.

Po co?

Podawała mu list.

— Uprzedziłam cię, że list cię zasmuci — zauważyła z niechęcią.

— Nie szkodzi — odparł Marcin chwytając zachłannie list. Aleksandra usiadła bliżej, jakby zamierzała z nim. razem czytać.

Marcin przypuszczał, że chciała podczas czytania łagodzić wrażenie, i tak to opowiedział Brunowi. Bruno zaś pomyślał, że Aleksandra postąpiła tak nierozważnie, jak nierozważnie jest kontrolować z bliska ruchy kierowcy źle prowadzącego samochód.

Marcin miał już wyjąć list z koperty, kiedy nagle zrozumiał, że postępując tak, może zburzyć skąpe i kruche resztki pozostałe z miłości Aleksandry. Zbity z tropu cofnął rękę i potrzymał chwilę kopertę, zanim ją zwrócił. Aleksandra włożyła ją do notesu.

— Zwierzasz się takiemu kretynowi — narzekał mając jednak niejasną świadomość, że jest niesprawiedliwy, gdyż — był tego pewien — osobnikowi temu Aleksandra nie mogłaby czynić zwierzeń. Mogłoby to być coś lepszego albo gorszego, ale nigdy zwierzenia.

Czuł jednak potrzebę dokuczenia jej i wiedział lub przypuszczał, że to słowo powinno ją zabołec.

— Nie gadaj głupstw! Powiedziałam ci przecież, że mówić do niego to tak samo, co mówić do ptaka albo do konia. Rozumiesz? No, właściwie nie powinienam mu była nic mówić, co do tego przyznaję ci rację. Ale byłam pijana.

„Pijana, z nim” (pomyślał Marcin jeszcze bardziej rozgoryczony).

— Wiesz, to jest tak — dodała po chwili nieco łagodniejszym tonem — jak gdyby koniowi pokazał ktoś fotografię pięknego krajobrazu.

Wielkie szczęście zaczęło przedzierać się przez ciężkie chmury, kiedy do udręczonej duszy Marcina dotarły niby świetlne sygnały słowa „piękny krajobraz”. Ale musiał temu szczęściu utorować drogę wśród tych chmur, a przede wszystkim poprzez owo „byłam pijana”.

188

— Słyszysz, co mówię?

Marcin skinął głową.

— Posłuchaj, Marcinie — rzekła nagle. — Rozsta-
ną się z tobą, ale nie chcę, żebyś miał fałszywe wyobra-
żenie o naszej znajomości.

Marcin spojrział na nią przerażony.

— Tak, to się musi skończyć, z wielu powodów.

Dla ciebie tak będzie lepiej, znacznie lepiej.

Marcin nadaremnie szukał odpowiedzi. Oczy miał
pełne łez, patrzył więc daleko przed siebie, by Ale-
ksandra ich nie zauważyła. Widział niezbyt wyraźnie,
jak na impresjonistycznym obrazie, brązowy kadłub
okrętu i krążące nad nim białe mewy.

— Pomyślisz pewnie, że ciebie nie kocham, że ni-
gdy ciebie nie kochałam — powiedziała Aleksandra.

Marcin śledził uważnie manewry brązowego
statku.

Ciekawa rzecz (powie Brunowi po latach), że moż-
na w tak decydujących momentach przyglądać się tak
obojętnym rzeczom. Coś podobnego zdarzyło mu się
(opowie) podczas pogrzebu ojca, kiedy grabarze spuszc-
czali trumnę: patrzył wtedy jak urzeczony na re-
klamowy samolot, który wykonywał ewolucje nad
dzielnicą.

— Z pewnością tak pomyślisz — powtórzyła.

Marcin spuścił głowę, tym razem wlepił spojrze-
nie w mrówki; jedna z nich dźwigała duży trójką-
tny liść, wyglądający jak żagiel miniaturowego okrę-
ciku; poruszał nim wiatr, co jeszcze podkreślało po-
dobieństwo.

Poczuł, że Aleksandra chwyciła go za podbródek

— Chodźmy — powiedziała stanowczo. — Pod-
nieś głowę.

Marcin jednakże był nieugięty.

— Zostaw mnie, Aleksandro. Idź sobie i zostaw
mnie samego.

Nie bądź głupi, Marcinie. Przeklinam chwilę,
w której ujrzałeś ten idiotyczny list.

A ja przeklinam chwilę, kiedy ujrzałam cie-
bie. Była to najniezwyklejsza chwila w moim życiu.

— Tak myślisz?

— Tak.

Aleksandra milczała. Po chwili podniosła się z ła-
wki.

— Niemniej jednak możemy się razem przejść — powiedziała.

Marcin wstał ociągając się i ruszył za nią.

Aleksandra poczekała na niego i ujęła go pod ramię.

— Niejeden raz mówiłam ci, Marcinie, że cię kocham. Pamiętaj o tym. Nigdy nie mówię czegoś, w co nie wierzę.

Szarawy spokój wsączał się z wolna w duszę Marcina. A jednak o ileż lepsze były najgorsze burzliwe chwile od tej szarej beznadziejnej ciszy.

Przechadzali się, o'boje zaprzątnięci swoimi myślami.

Obok cukierni przy kąpielisku Aleksandra powiedziała, że musi zatelefonować.

Kawiarnia miała opuszczony wygląd, jak zwykle lokal świąteczny w dzień powszedni: stoliki poustawiane jeden na drugim, tak samo spiętrzone krzesła; kelner w koszuli i podkasanych spodniach zmywał podłogę. Aleksandra udała się do telefonu, Marcin zaś poprosił przy bufecie o kawę, ale powiedziano mu, że ekspres nie działa.

Kiedy Aleksandra wróciła i dowiedziała się, że nie ma kawy, zaproponowała, żeby poszli do „Moskwy” coś wypić.

Lokal był zamknięty. Daremnie pukali i czekali u wejścia.

Zapytali w kiosku na rogu.

— Jak to, nie wiecie? Zamknęli go w domu obłąkanych, w Vieytes.

Wyglądało to na symbol: w tym 'barze po raz pierwszy Marcin poznał szczęście. W najgorszych chwilach znajomości z Aleksandrą przywoływał wspomnienie przedwieczornej ciszy, kiedy patrzył przez okno, jak nad dachami Buenos Aires zapada noc. Nigdy nie czuł się tak wyłączony z miasta, z hałasu, z niezrozumienia i okrucieństwa, jak wtedy; nigdy nie był tak daleki od brudu swojej matki, od obsesji pieniądza, od owej atmosfery wygod, cynizmu i niechęci wszystkich przeciwko wszystkim. Tutaj, w tej niewielkiej, ale pewnej przystani, pod spojrzeniem przegranego, lecz szlachetnego człowieka Marcin odsunął od siebie całą brutalną rzeczywistość. Zastanawiał się potem, czy dla istot tak delikatnych jak

Wania istotnie nie ma innego wyjścia, jak wpaść w alkoholizm lub narkomanię. Wzruszały go też tańce malowidła ściennie w prymitywny sposób przedstawiające utraconą ojczyznę: jakież to wszystko rozczulające, właśnie dlatego że takie proste i szczerze! Nie były to obrazy z pretensjami, malowane przez złego malarza, mającego o sobie wysokie wyobrażenie; malował je z pewnością artysta, równie pijany i równie przegrany jak sam Wania, tak jak on niešťeśliwy wygnaniec skazany na życie w niezrozumiałym dla siebie, egzotycznym kraju — aż do śmierci. Te prymitywne malowidła budzą niewątpliwie wspomnienie dalekiej ojczyzny, podobnie jak dekoracje w teatrze, choć wykonane z papieru, często nieudolne, oddają w jakiś sposób prawdziwy nastrój dramatu lub tragedii.

Mężczyzna z kiosku pokiwał głową.

— To był dobry człowiek — powiedział.

Czasownik użyty w czasie przeszłym nadawał murdom domu obłąkanych to złowróźbne znaczenie, jakie istotnie posiadają.

Wrócili w stronę promenady Colón.

Aleksandra, którą ta wiadomość bardzo przygnębiła, podsunęła myśl zejścia na Boca.

Weszli do baru przy obiegu ulic Pedro de Mendosa i admirała Browna.

Z brazylijskiego frachtowca „Recife” schodził na ląd gruby spocony Murzyn.

— Louis Armstrong — zauważyła Aleksandra, wskazując na niego ręką, w której trzymała sandwicz.

Wyszli na przechadzkę po molach. Usiedli dosyć daleko, w odkrytym miejscu na brzegu grobli, i przyglądali się manewrom statków. Jeden z nich, o białym kadłubie i wydłużonej linii jak wielki ptak morski, sunął holowany po Riachuelo do ujścia rzeki.

Zwodzony most podniósł się z wolna, parę razy zawyły syreny i statek przepłynął. Jego wytworny kształt i bezszelestne ślizganie się w dziwny sposób kontrastowały z rykiem mocarnych holowników.

— „Doña Anita Segunda” — rzekła Aleksandra wskazując na płynący na przedzie holownik.

Podobały im się nazwy okrętów, bawili się w premiowanie najpiękniejszych imion: „Garibaldi Terce-ro”, „La Nueva Teresina”.

„Doña Anita Segunda” brzmiała niezłe, ale Marcin nie o zabawie myślał w tej chwili, tylko o tym, że to wszystko należy do czasów bezpowrotnie minionych.

Holownik z rykiem wyrzucał z siebie krzywy słup czarnego dymu. Liny były napięte jak cięciwa łuku.

— Mam zawsze wrażenie, że taki holownik dostanie raptury — zauważyła Aleksandra.

Pomyślał z żalem, że to wszystko zniknie z jego życia. Jak ten statek: cicho, ale nieuchronnie popłynie do dalekich nieznanymi portów.

— O czym myślisz, Marcinie?

— O niczym specjalnie.

— Powiedz.

— O czymś nieokreślonym.

— Nie bądź niedobry. Powiedz.

— Żeśmy się bawili w premiowanie imion. Że robiliśmy plany wyjazdu z tego miasta w nieznaną stronę.

— Tak — zgodziła się Aleksandra.

Ni stąd, ni zowąd Marcin oświadczył, że udało mu się dostać zastrzyki, które powodują śmierć wskutek paraliżu serca.

— Co mówisz — rzekła Aleksandra bez zbytniego zainteresowania.

Pokazał jej zastrzyki.

— Pamiętasz, jak mówiliśmy raz o wspólnym samobójstwie?

— Pamiętam.

Marcin schował zastrzyki do kieszeni.

Był już wieczór i Aleksandra powiedziała, że trzeba wracać.

— Idziesz do miasta? — spytał Marcin, myśląc z bólem, że oto wszystko się kończy.

— Nie, do domu.

— Mam cię odprowadzić?

Udawał obojętność, ale w pytaniu zabrzmiał niepokój.

— Dobrze, jeżeli chcesz — odparła po chwili wahania.

Kiedy byli na miejscu, Marcin poprosił, żeby mu pozwoliła pożegnać się na górze.

Zgodziła się — znowu z wahaniem.

Znalazłszy się w miradorze Marcin załamał się,

jakby niedola całego świata zwała się na jego barki.
Rzucił się na tapczan i zapłakał.
Aleksandra usiadła przy nim.

— Tak będzie lepiej, Marcinie, dla ciebie lepiej.
Wiem, co mówię. Nie powinniśmy się więcej spotykać.
Łkając powiedział, że zabije się tymi zastrzykami.
Aleksandra milczała skonsternowana.

Z wolna Marcin uspokajał się, potem nastąpiło to,
co nie powinno było nastąpić, a kiedy wszystko mi-
nęło, usłyszał, że Aleksandra powiedziała:

— Spotkaliśmy się, bo przyrzekłeś, że tego nie bę-
dzie. Do pewnego stopnia, Marcinie, postąpiłeś...
Nie dokończyła zdania.

— Jak postąpiłem? — spytał Marcin nieśmiało.

— Nieważne, już się stało.

Podniosła się i zaczęła się ubierać.

Wyszli. Aleksandrze zachciało się czegoś napić. Po-
wiedziała to głosem ciemnym i surowym.

Szła jakby nieobecna, uparcie nad czymś rozmy-
ślając.

Zaczęła pić w jednym z barów dzielnicy portowej,
po chwili jednak opanował ją ów nieokreślony nie-
pokój, który zawsze tak gnębił Marcina. W takim
stanie ducha nie mogła długo usiedzieć w jednym lo-
kalu, musiała wyjść i wstąpić do innego.

Była niecierpliwa, jak gdyby czekała na pociąg
i musiała pilnować godziny. Nie słuchała, co Marcin
do niej mówi, lecz bębniąc palcami po stole pytała
obojętnie „co?”

Weszła w końcu do kawiarni, za której oknem
widniały fotografie półnagich szansonistek. W lokalu
oświetlonym czerwonym światłem barmanka rozma-
wiała po niemiecku z marynarzem pijącym z bardzo
wysokiej czerwonej szklanki. Przy stolikach siedzieli
marynarze i oficerowie z prostytutkami z parku Re-
tiro. Na estradzie pojawiła się wymalowana, mniej
więcej pięćdziesięcioletnia platynowa blondynka. Pod
obcisłą suknią olbrzymie jej piersi wyglądały, jakby
miały pęknąć, niczym dwa wzdęte balony. Przeguby
rąk, palce i szyję zdobiła sztuczna biżuteria połysku-
jąca czerwonym światłem parkietu. Śpiewała przepi-
ętym głosem.

Aleksandra patrzyła na nią jak urzeczona.

— Co z tobą? — spytał Marcin zaniepokojony. 193

13 O bohaterach i grobach

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się jak w tęczę w grubą kobietę.

— Aleksandro — powtarzał dotykając jej ramienia. — Aleksandro, co się z tobą dzieje?

— Jakaż z niej ruina! Ani do śpiewu, ani już do łóżka, chyba tylko żeby robić sztuczki. Ale kto by się położył z takim potworem?

Znów wbiła spojrzenie w śpiewaczkę i szepnęła jakby sama do siebie:

— Ile bym dała, żeby być taka jak ona!

Marcin spojrział na nią z przerażeniem, wkrótce jednak przerażenie ustąpiło miejsca codziennemu już uczuciu smutku wobec jej zagadki, której nie umiał rozwiązać. Z doświadczenia wiedział, że w takich chwilach budzi się w niej niepojęta złość przeciwko niemu, jakiś płomienny, sarkastyczny gniew, którego nigdy nie potrafił wytłumaczyć, a który w ostatnim okresie ich znajomości wybuchał z brutalną siłą. Toteż kiedy zwróciła na niego szkliste od alkoholu oczy, wiedział już, że z jej mięsistych pogardliwych warg wyjdą słowa twarde i mściwe.

Z wysokości swego szatańskiego piedestału patrzyła na niego chwilę, która wydała mu się wiekiem; wyglądała jak krwiożerczy bóg Azteków, żądny ciepłego serca swej ofiary.

— Nie chcę cię tu widzieć. Idź stąd w tej chwili, zostaw mnie samą! — powiedziała niskim, chrapliwym głosem.

Na próżno starał się ją uspokoić, podniosła się gwałtownie i krzyknęła, żeby się wynosił.

Marcin wstał jak automat i odprowadzany spojrzeniami marynarzy i prostytutek ruszył ku wyjściu. Chłodne powietrze przywróciło mu przytomność.

Pieszko udał się do Retiro i usiadł na ławce na plaży Britanica; zegar na wieży wskazywał wpół do dwunastej w nocy.

Mąciło mu się w głowie.

Usiłował przez chwilę trzymać ją wysoko, lecz nagle zabrakło mu sił.

XX Minęło kilka dni, zanim zrozpaczony Marcin wykręcił numer *boutique*, lecz usłyszawszy głos Wandy nie miał odwagi odezwać się i zawiesił 194

słuchawkę. Po trzech dniach zadzwonił ponownie. Tym razem odezwała się ona.

— Dlaczego się dziwisz? ■— odpowiedziała mu. — Ustaliliśmy, zdaje mi się, że się więcej nie zobaczymy.

Rozmowa była bałamutna, po paru dla Marcina nie całkiem zrozumiałych zdaniach Aleksandra obiecała przyjść następnego dnia do baru na Esmeralda. Ale nie przyszła.

Po przeszło godzinnym oczekiwaniu Marcin postanowił udać się do pracowni.

Drzwi *boutique* były na wpół otwarte, stojąc w ciemności ujrzał z profilu siedzącego samotnie w świetle niskiej lampy Koko. W salonie nie było nikogo. Pochylony Koko wpatrywał się w podłogę, jakby nad czymś medytował. Marcin stanął nie wiedząc, co począć. Było oczywiste, że ani Wandy, ani Aleksandry nie ma w drugim pokoju, bo byłoby słycać rozmowę, a panowało milczenie. Było więc również oczywiste, że znajdowały się w salonie przymiarek, w tylnym pomieszczeniu na górze, dokąd wchodziło się po schodach; tym tłumaczyła się obecność Koka i otwarte drzwi.

Nie od razu zdecydował się wejść, przeszkadzał mu samotny i pogrążony w rozmyślaniu Koko. Może wskutek pochylecia wyglądał znacznie starzej i na jego twarzy malowała się powaga, której Marcin przedtem u niego nie zauważył. Nie wiadomo dlaczego żal mu się zrobiło tego samotnego człowieka. Będzie go takim pamiętał przez wiele lat i będzie się starał zrozumieć, czy ta litość, to niejasne uczucie żalu nawiedziło go w owej chwili, czy dopiero później. Przypomniał sobie, co powiedział mu Bruno: że jest straszną rzeczą ujrzeć człowieka, który sądzi, że jest sam; jest w nim wtedy coś tragicznego, może nawet coś świętego, a równocześnie zawstydzającego. Stałe nosimy maskę (powiedział), ale nie zawsze tę samą, zmienia się ją stosownie do ról, które w życiu mamy wyznaczone: roli profesora, kochanka, intelektualisty, zdradzonego męża, bohatera albo czulego brata. Jaką jednak wkładasz maskę, lub też która maska ci pozostaje, kiedy jesteś samotny, kiedy sądzisz, że nikt ciebie nie widzi, nie słyszy, niczego od ciebie nie wymaga, o nic nie prosi, o niczym nie zawiada-

mia? Sakralny charakter takiej chwili przypisać należy zapewne temu, że człowiek znajduje się wtedy sam na sam z Bogiem albo przynajmniej sam na sam ze swoim własnym nieubłaganym sumieniem. I nikt chyba nie wybaczy, jeśli przychwycić go na tej ostatecznej i istotnej nagości twarzy, najbardziej istotnej ze wszystkich nagości, gdyż pokazuje bezbronną duszę. Tym straszniejszej i bardziej zawstydzającej u takiego komedianta, jak Koko, toteż (pomyślał Marcin) zrozumiałe, że wzbudza on więcej współczucia niż prosty, Bogu ducha winny człowiek.

Dlatego też kiedy Marcin w końcu zdecydował się wejść, wycofał się wpierw po cichu, po czym wrócił stukając głośno obcasami w przedsionku prowadzącym do *boutique*. I oto z szybkością komedianta przywdział Koko maskę perwersji, fałszywej szczerości i ciekawości (coż może łączyć Aleksandrę z tym chłopcem?). Jego cyniczny uśmiech zniweczył zamierzoną litość Marcina.

Marcin, **który** wobec obcych czuł się niezręcznie, w obecności Koka nie umiał nawet usiąść, był bowiem przekonany, że Koko obserwuje go od stóp do głów i zapisuje wszystko w swej przewrotnej pamięci; kto wie, gdzie i jak będą się później naśmiewali z jego wyglądu i jego cierpień. Teatralne gesty Koka, jego zamierzona fircykowatość i obłuda, jego błyskotliwe powiedzonka, wszystko to sprawiało, że Marcin czuł się jak owad pod lupą ironicznego mędrca-sadysty.

— Wiesz, przypominasz mi jedną z postaci El Greca — przywitał go Koko.

Powiedzenie to w ustach Koka mogło być równie dobrze pochwałą, jak momentalnie ukutym szyderstwem. Słyszał on ze swych niby to pochwalnych, a w rzeczywistości wykrętnych i zjadliwych recenzji, jak na przykład: „Nigdy nie raczy posługiwać się głęboką metaforą”, „W żadnym wypadku nie ulega pokusie wyróżnienia się”, „Nie obawia się wywołać znużenia u publiczności”.

Marcin, onieśmielony i milczący jak tamtym razem, usiadł na wysokiej ławce za stołem rysunkowym i, jak na wojnie, skulił się instynktownie, żeby wystawić możliwie jak najmniej widocznej powierzchni. Na szczęście Koko zaczął mówić o Aleksandrze.

__ Jest na górze z Wandą i hrabiną Teleki *nie* Iturreria vulgo * Marita. Czy dawno znasz Aleksandrę? — spytał spoglądając na niego uważnie.

__ Od kilku miesięcy — odpowiedział Marcin, czerwieniąc się. Koko przysunął się wraz z krzesłem.

__ Muszę ci powiedzieć, że ja UBÓSTWIAM rodzinę Olmosów — powiedział cicho. — Sam fakt, że mieszkają w Barracas wystarczy, żeby *la haute* ** umierała ze śmiechu, a moja kuzynka Lala dostaje kolki nerkowej i ataków hysterii, kiedy ktoś odważy się wspomnieć, że między nami i Olmosami jest dalekie pokrewieństwo. Ostatnio krzyczała na mnie: „Ty uważasz, że KTOŚ może mieszkać w Barraoas?” Uspokoiłem ją, rzecz jasna, mówiąc, że NIKT tam nie mieszka, z wyjątkiem jakichś czterystu tysięcy robotników oraz tyłuż psów, kur i kanarków. Staralem się ją przekonać, że 01 ludzie (Olmosowie) nie sprawią nam chyba zbyt wielkich kłopotów, bo stary don Pancho życie spędza w fotelu na kółkach i nie istnieje dla niego nic poza Legionem Lavalle'a, należy więc wątpić, czy kiedykolwiek zacznie składać wizyty w Dzielnicy Północnej albo ogłaszać w gazetach artykuły o Peronie. Stara Scholastyka co prawda była wariatką, ale już umarła, wuj Bebe, co prawda, wariat, ale żyje w zamknięciu, jak powiadają: w swoich apartamentach, i uczy się gorliwie grać na klarncie, ciotka Teresa, co prawda, wariatka, ale i ona już na szczęście umarła, a zresztą *poor dear* *** całe życie spędzała w kościele i na pogrzebach, tak że nawet nie miała czasu naprzykrzać się nikomu w przyzwoitej części miasta, zwłaszcza że była wierną parafianką kościoła Santa Lucia i nigdy nie przekroczyła *colour line* ****, nawet żeby złożyć wizytę proboszczowi albo śledzić przebieg choroby księdza czy stadium raka arcybiskupa. Pozostają (powiedziałem to Lali) Fernando i Aleksandra. „Jeszcze dwoje wariatów” — ofuknęła mnie Lala. A Nono, który był przy tym, *zaczął* kiwać głową i wznosząc oczy ku niebu zacytował z *Fedry*:

* Powszechnie znana. (Przyp. red.)

** Właśc. *la haute société* — wyższe sfery towarzyskie. (Przyp. red.)

*** Drogie biedactwo. (Przyp. red.)

**** Bariera rasowa, tu użyte żartobliwie. (Przyp. red.)

„O *deplorable race!*”* Trzeba przyznać, że jeśli nie chodzi o Olmosów, Lala bywa raczej spokojna. Dla niej świat składa się z walki pomiędzy Makabrą a Cudem. Na przykład:

— Ta powieść to makabra.

— Nie gniewaj się, ale muszę ci powiedzieć coś makabrycznego.

Przykłady na Cudo:

— ■ Ostatnie opowiadanie Monique w „La Nación” to cudo.

— Ten film z Michele Morgan to cudo.

Świat dzieli się na Makabrę i Cudo. Z ustawicznej i nigdy nie kończącej się walki tych dwóch potęg wynikają wszystkie alternatywy rzeczywistości. Kiedy przeważa Makabra, sprawa wygląda brzydko: szkaradna, nieszykowna moda, trudne filozoficzne powieści, odczyt Larrety ** w Towarzystwie Przyjaciół Książki, na który musi się pójść, bo inaczej Wojtuś się obrazi, ludzie, co umierają z głodu i żądają Ustaw (a rząd nie chce), wizyty o niestosownej porze, bogaci krewni, co nie chcą umierać („Ten Marceli to makabra, będzie żył wieki na swoich hektarach”). Kiedy przeważa Cudo, rzecz staje się zabawna (to słówko również figuruje w słowniku Lali) albo co najmniej znośna: jakiś młody człowiek, któremu zachciało się pisać, ale mimo to gra dalej w polo i nie obcuje z byle kim; jakaś powieść Grahama Greene’a o szpiegach lub o ruletce, jakiś pułkownik, który nie pragnie ujarzmić mas ***, jakiś prezydent republiki, który jest przystojny i chadza na wyścigi. Ale sprawa nie zawsze jest taka jasna, gdyż, jak ci powiedziałem, te dwie potęgi prowadzą ustawiczną walkę, tak że czasem rzeczywistość okazuje się bogatsza: nagle makabryczny Larreta powie dowcip (pod tajemniczym wpływem Cuda) albo, przeciwnie, Wanda, jako modystka, jest Cudo, ale kiedy zaczyna się zgrywać na Amerykankę z Nowego Jorku, staje się makabryczna. Dawniej na świecie było wcale zabawnie, ale teraz, z tą hołotą, trzeba przyznać, że świat stał

* Rodzie nieszczęśliwy! — Słowa Enony z I aktu *Fedry*

w przekładzie T. Boya-Zeleńskiego. (Przyp. red.)

** Znany pisarz argentyński, pompatyczny esteta, młoda generacja wyśmiewa się z niego. (Przyp. aut.)

*** Aluzja do Perona. (Przyp. aut.)

się w znacznej mierze makabryczny. Taka to jest filozofia mojej kuzynki Lali. Jak widzisz, skrzyżowanie Anaksymandra ze Schiaparellim i Tito Udaondo" \ Idiotyczna.

W tej chwili dał się słyszeć głos Wandy; zbliżała się wraz z klientką. Weszły do salonu, a w chwilę później pojawiła się Aleksandra. Obecność Marcina nie wywołała wyrazu zdziwienia na jej twarzy, ale obojętność, którą tak dobrze znał, świadczyła o wielkiej, powstrzymanej irytacji. W tym absurdalnym otoczeniu Aleksandra odpowiedziała na jego przywitaniu z powierzchowną serdecznością, jak wobec pierwszego lepszego znajomego, i nie zadała sobie nawet trudu, aby wziąć go na bok i wytłumaczyć, dlaczego nie przyszła na schadzke. W obecności Wandy i Koka przybierała frywolną minę i Marcin miał wrażenie, że przemawia obcym językiem, którego on nie potrafi nawet zrozumieć.

Klientka bez przerwy gadała z Wandą o nieodzownej konieczności zamordowania Perona.

— Tę całą hołotę należałoby wymordować — rzekła. — Przyzwoity człowiek nie może się już nawet pokazać na ulicy.

Marcin jeszcze bardziej się zasmucił. Obudziły się w nim niejasne a sprzeczne uczucia.

— Ja im powiadam — ciągnęła dama, wycalowawszy się w oba policzki z Kokiem — niech już przyjdzie ten komunizm. Wszystko sobie obmyśliłam: jak nastanie komunizm, pojedę do estancji i koniec.

Przyjęła z roztargnieniem prezentację Marcina, Koko zaś sponad jej ramienia spoglądał z ubawioną miną na Aleksandrę, jak bowiem zauważył po odejściu damy: „Nikt nie potrafiłby wymyślić takiego powiedzonka”.

Marcin patrzył na Aleksandrę usiłując zachować obojętność, lecz twarz jego, niezależna od jego woli, przybierała z wolna nieunikniony, a zawsze niemiły wyraz wyrzutu, cierpienia i zapytania.

Marcin czekał na jakiś znak, na jakieś słowo,

— Aleksandrę jednak bawiły widać błżeństwa

* Tj *play-boya*, złotego młodzieńca z wysokich sfer towarzysstwa argentyńskiego. (Przyp. aut.)

Koka. Postawił tedy wszystko na jedną kartę, podszedł bliżej i spytał, czy nie mogłaby z nim na chwilę wyjść.

— Dobrze — zgodziła się. — Pójdziemy na kawę.

A zwracając się do Wandy dorzuciła:

— Wrócę za parę minut.

„Parę minut” — pomyślał Marcin.

Weszli do baru na rogu Esmeralda.

Dlaczego Aleksandra nie wytłumaczyła mu choćby dzisiejszej swej nieobecności?

— Czekałem na ciebie półtorej godziny — powiedział.

— Dostałam terminową robotę i nie mogłam cię zawiadomić.

Marcin przeczuwał katastrofę i chciał przynajmniej zmienić ton, zdobyć się na spokój i obojętność.

Nie było to jednak możliwe.

— Wobec tamtych osób jesteś inna. Nie mogę pojąć... — zamilkł, a potem dorzucił: — Sądzę, że naprawdę jesteś inną osobą.

Aleksandra milczała.

— Czy nie tak?

— Może.

— Aleksandro — powiedział — kiedy jesteś tą prawdziwą ?

I — Staram się zawsze być prawdziwą, Marcinie.

?

— Jakże mogłaś zapomnieć o tym, co nas łączy?

5 —• A kto ci powiedział, że zapomniałam? — od-

1 parła ze złością. — Właśnie dlatego, że nie chcę doprowadzić cię do szaleństwa, wolę się z tobą nie widywać — dodała po chwili milczenia.

Siedziała nachmurzona i milcząca.

— Nie chcę już więcej takich chwil! — wybuchła nagle. — Tych słynnych chwil, które ty uważasz za szczyt doskonałości — dorzuciła z brutalną ironią. Marcin patrzył na nią zrozpaczony; nie tylko tym, co powiedziała, sam ton był druzgocący.

— Teraz pewnie zapytasz, dlaczego jestem taka ironiczna, dlaczego zadaję ci tyle cierpień, prawda?

Marcin wpatrywał się w brązową plamkę na różowej brudnej serwecie.

— A więc powiem ci — ciągnęła. — Sama nie wiem dlaczego. Nie wiem też, dlaczego nie chcę przeżywać z tobą więcej tych sławetnych chwil. Zrozum: to się 200

musi raz na zawsze skończyć. Coś tu nie gra. Najuczciwiej będzie, jeżeli w ogóle przestaniemy się widywać.

Marcinowi lzy stanęły w oczach.

— Zabiję się, jeżeli mnie porzucisz — powiedział.

— Nic na to nie poradzę — odrzekła z dziwną mieszaniną surowości i smutku.

— Nie ma dla ciebie znaczenia, że się zabiję.

— Ależ ma znaczenie, oczywiście.

— A jednak nie zrobiłabyś nic, aby temu przeszkodzić.

— Jak mogłabym przeszkodzić?

— A więc jest ci obojętne, czy zabiję się, czy będę żył.

— Nic takiego nie powiedziałam. Nie jest mi to wcale obojętne. Byłoby to dla mnie straszne, gdybyś się zabił.

— Bardzo byś się martwiła?

— Strasznie.

•—■ A więc?

Patrzył na nią uważnie i błagalnie, jak się patrzy na kogoś w chwili niebezpieczeństwa, szukając u niego najmniejszej choćby możliwości ratunku. „To być nie może — pomyślał. — Po tym, co ze mną przeżyła zaledwie parę tygodni temu, ona nie może naprawdę tak myśleć”.

I Aleksandra również patrzyła na Marana. Ale Marcin nie mógł odgadnąć, czy w twarzy jej malowało się okrucieństwo, zawziętość czy smutek.

—■ No więc? —■ napierał.

— Co więc?

— Oświadczam ci, że dziś jeszcze zabiję się, rzucę się pod pociąg w Retiro albo w metro. Jest ci to obojętne?

— Powiedziałam ci już, że nie jest mi obojętne, że będę się strasznie martwić.

— Ale żyć toędziesz dalej.

Nie odpowiedziała. Mieszała łyżeczką resztę kawy i patrzyła na dno filiżanki.

—■ A więc wszystko, co nas łączyło, nie jest nic warte, można to po prostu wyrzucić na śmietnik.

Oczy Aleksandry zapłonęły gniewem.

— Nie gadaj głupstw — zawołała nieomal krzyżując.

Marcin zamilkł zmieszany.

— Nie rozumiem ciebie, Aleksandro — powiedział. — Właściwie nigdy ciebie nie rozumiałem. W świetle tego, co mówisz i jak ze mną postępujesz, tamto także inaczej wygląda.

Zakiełkowała w nim jakaś myśl.

— Kiedy byłem mały — podjął — babka kładła mnie spać i zostawiała na stoliku lampkę nocną, bo bałem się ciemności... I wtedy wszystkie przedmioty wyglądały całkiem inaczej... rzucały ogromne, straszliwe cienie...

Aleksandra siedziała posepna, zapewne nawet nie słuchała. Wpatrywała się w jakiś punkt na ulicy.

— A więc? — naprzykrzał się Marcin.

— Nie — odparła oschle. — Więcej się nie zobaczymy. To najuczciwsze.

— Aleksandro, ja tego nie zniosę. Muszę cię widzieć, obojętnie jak, jak sama zechcesz...

Aleksandra nie odpowiedziała. Z oczu jej pociekły łzy, ale twarz zachowała wyraz surowy i jakby nieobecny.

— No i co, Aleksandro?

— Nic, Marcinie. Nienawidzę pośrednich sytuacji. Albo nastąpi znowu taka scena jak dzisiaj, dla ciebie bolesna, albo stanie się to, co w poniedziałek. A ja nie chcę, rozumiesz? Nie chcę więcej być z tobą w łóżku. Za nic w świecie.

— Ale dlaczego? — ■ zawołał Marcin biorąc ją za rękę. Niejasno odczuwał, że coś, że coś bardzo ważnego pozostało mimo wszystko między nimi.

— Bo nie! — krzyknęła z nienawistnym spojrzeniem, wyrывая rękę z jego dłoni.

— Nie rozumiem... — wybełkotał Marcin — Nigdy ciebie nie rozumiałem...

— Nie myśl o tym. Ja sama także nie rozumiem. Nie wiem, dlaczego każę ci tak cierpieć. To okropne! — zawołała, zakrywając twarz rękami. I wybuchła histerycznym płaczem, powtarzając wśród łkania: „To okropne, okropne!”

W ciągu całej ich znajomości płaczącą Aleksandrę widział Marcin zaledwie parę razy i zawsze było to przejmujące. Nieomal straszne. Było to tak, jak gdyby śmiertelnie ugodzony smoik wylewał łzy. Te łzy jednak (jak Izy smoka) były niesamowite, nie oznaczały sła-

bości ani potrzeby współczucia, były to gorzkie krople płynnego, kipiącego gniewu.

Pomimo to Marcin ośmielił się ująć ją za rękę, starając się z czułością, ale i z mocą odkryć jej twarz.

— Biedna Aleksandro!

— A ty jeszcze mnie żałujesz! ■—■ wymamrotała spoza swych dłoni tonem nie wiadomo wściekłym czy pogardliwym, ironicznym czy pełnym litości, a może wyrażającym wszystkie te uczucia naraz.

— Pewnie, że mi ciebie żal, Aleksandro. Widzę przecież, że cierpisz. A nie chcę, żebyś cierpiała. Przysięgam ci, że to się już więcej nie powtórzy.

Z wolna uspokajała się. W końcu otarła lzy chusteczką.

— Nie, Marcinie. Lepiej, żebyśmy się już nie spotkali. Bo wcześniej czy później będziemy musieli rozstać się w jeszcze gorszy sposób. Ja nie mogę opanować tych strasznych *rzeczy*, które mam w sobie.

Znowu zakryła twarz rękami, a Marcin znowu usiłował je oderwać.

— Nie będziemy sobie więcej dokuczali, zobaczysz, Aleksandro. To moja wina, bo byłem natrętny, bo szukałem ciebie. To tak, jakby ktoś szukał dr a Jekylla, a znalazł Mr. Hyde'a — ciągnął usiłując się śmiać. — I to w nocy. Z maską i pazurami jak Frederic March. Co, Aleksandro? Będziemy się widywać tylko wtedy, kiedy ty zechcesz, kiedy mnie wezwiesz? Gdy będziesz się dobrze czuła.

Aleksandra milczała.

Mijały minuty, a Marcin zamartwiał się, że ten czas tak niepotrzebnie mija, wiedział bowiem, że Aleksandra spieszy się, że za chwilę odejdzie i zostawi go w stanie zupełnego upadku. A potem przyjdą dni czarne, dalekie od niej; wykreślone z życia.

Nastąpiło to, co musiało nastąpić: spojrzła na zegarek.

— Muszę już iść — powiedziała.

— Tak się nie możemy rozstać. To byłoby straszne. Postanówmy wpierw, co mamy zrobić.

— Nie wiem, Marcinie, nie wiem.

— Umówmy się przynajmniej, że się jeszcze zobaczymy. Bez pośpiechu. W tym stanie ducha nie decydujemy o niczym.

Jak mało, jak strasznie mało czasu pozostaje mu

na tych dwustu metrach ulicy, myślał Marcin wyszedłszy z Aleksandrą z baru. Choć szli powoli, pozostało już tylko pięćdziesiąt kroków, dwadzieścia kroków, dziesięć kroków, i koniec. Z rozpaczą chwycił jej rękę, przycisnął do serca i błagał o ostatnie chociażby spotkanie.

Aleksandra spojrzała na niego, jak gdyby z bardzo daleka, z dalekiego smutnego świata.

— Przyrzeknij mi to, Aleksandro — prosił ze łzami w oczach.

Aleksandra zatrzymała na nim długie surowe spojrzenie.

•— No dobrze. Ostatni raz. Jutro o szóstej po południu w barze „Adam”.

m

i

XXII Godziny wlokły się nieskończenie długo, jak na ostatnim odcinku uciążliwej wspinaczki na szczyt góry. Marcin doznawał mieszanych uczuć, z niecierpliwością oczekiwał spotkania, przeczuwając zarazem, że będzie -takie właśnie: jedno jeszcze spotkanie, może ostatnie.

Na długo przed szóstą był w barze „Adam” i spoglądał na drzwi.

Aleksandra nadeszła o wpół do siódmej.

Nie była tak agresywna jak wczoraj, miała za to ów nieobecny wygląd, który go doprowadzał do rozpaczki.

Dlaczego więc przyszła?

Kelner musiał kilkakrotnie prosić o zamówienie.

Zamówiła dzin i zaraz spojrzała na przeklęty zegarek.

— Jak to — zapytał Marcin z żalną ironią — zamierzasz już odejść?

Aleksandra nie zauważyła ironii, powiedziała, że ma jeszcze chwilę czasu. Marcin spuścił głowę.

— Po co więc przyszłaś? — wymknęło mu się niechcący.

— ■ Obiecałam ci przecież, że przyjdę.

Jednym haustem wypła dzin.

— Wyjdźmy stąd — powiedziała. — Chcę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wyszli. Aleksandra ruszyła w stronę placu. Po trawniku wspięła się na wał i usiadła na ławce, zwróconej ku rzece.

Dobłą chwilę siedzieli milcząc. W końcu Aleksandra przerwała milczenie.

— Cóż za ulga móc nienawidzić ■—• powiedziała. Marcin spoglądał na wieżę; zegar przypominał, że czas leci. Dalej widać było nabrzeże elektrowni z wielkimi, pękatymi kominami, elewatory i dźwigi Nowego Portu, nierealne przedpotopowe stwory o stalowych dziobach, które niby olbrzymie ptaki pochylają głowy i dziobią okręty.

Przygnębiony Marcin patrzył w milczeniu, jak nad miastem zapada noc, jak na granatowym niebie zaczynają rozbłykiwać czerwone światła na szczytach kominów i wież, latarnie na placu, kolorowe reklamy w parku Retiro. Spoglądał na wieżowiec Kavanagh, którego okna zaczynały się rozświetlać. Także i tam na górze, na trzydziestym lub trzydziestym piątym piętrze zabłysło światło, może w pokoju samotnego człowieka. Ileż nieporozumień takich jak między nimi, ile samotności mieści się w tym jednym wieżowcu! Usłyszał słowa, których z drżeniem spodziewał się w każdej chwili.

■—■ Muszę już iść.

•— Koniecznie?

— Tak.

Zeszli trawnikiem z wału; na dole Aleksandra pożegnała się i poszła w stronę ulicy Recova. Marcin szedł o parę kroków za nią.

— Aleksandro! — zawołał nieswoim głosem.

Przystanąła. Padało na nią mocne światło z wystawy sklepowej: miała surowy, nieprzenikniony wyraz twarzy. Najbardziej jednak bolesny był jej gniew. Co jej uczynił?

Wbrew postanowieniu pod wpływem bólu zapytał ją o to. Aleksandra jeszcze mocniej zacisnęła szczękę i zwróciła spojrzenie w stronę wystawy.

— Zawsze starałem się ciebie zrozumieć, jedyna moja — powiedział, na co Aleksandra odrzekła, że nie ma już ani chwili czasu: o ósmej powinna gdzieś być. Marcin podążył za nią. Cóż gorszego może mu się stać, jeśli go nawet zauważy?

Z ulicy Recova skręciła w Reconquista i weszła do niepozornej knajpy pod nazwą „Ukraina”. Marcin podszedł bliżej i z ciemnej ulicy śledził ją z zapartym tchem. Ścisnęło mu się serce, jakby je ktoś wyjął i po-

łożył na bryle lodu: Aleksandra usiadła naprzeciw mężczyzny, który wydał mu się tak niesamowity, jak len lokal. Miał smagłą cerę, jasne, chyba szare oczy i siwe gładkie włosy szczesane od czoła. Twarz o surowych rysach była jakby ociosana siekierą. Ten mocny mężczyzna obdarzony był jakąś ponurą urodą. W porównaniu z nim Marcin poczuł się zerem; teraz nic już nie miało znaczenia. Pomyślał: „To najgorsze, co mogło mnie spotkać”. Jak urzeczoney wpatrywał się w twarz nieznanego, śledził jego ruchy. Mężczyzna mówił niewiele krótkimi, urywanymi zdaniami. Jego kościste nerwowe dłonie przypominały nieco szpony sokoła albo orła. Tak, właśnie tak, wygląd tego człowieka ma w sobie coś z drapieżnego ptaka; cienki, ale potężny orli nos, kościste i bezlitosne, drapieżne ręce. Ten człowiek jest okrutny i do wszystkiego zdolny.

Marcin ma wrażenie, że mężczyzna ten jest do kogoś podobny, ale nie wie, do kogo. Zdaje mu się, że kiedyś już go widział: tej twarzy nie można zapomnieć; jeżeli się ją raz ujrzało, musi się ją poznać. Przypomina mu trochę znajomego młodzieńca z Salty. Ale nie, nie stamtąd twarz ta jest mu tak nieuchwytnie znajoma.

Aleksandra mówi z ożywieniem. Dziwna rzecz: oboje są posepni i wyglądają, jak gdyby się nienawidzili, ale to spostrzeżenie nie uspokoiło Marcina. Przeciwnie, gdy to zauważył, ogarnęła go jeszcze większa rozpacz. Dlaczego? Aż w końcu wydało mu się, że pojął prawdę: tych dwoje łączy gwałtowna namiętność. „Jakby kochały się dwa orły” — pomyślał. Jak dwa orły, które pomimo miłości mogą i chcą się zadziobać i rozszarpać. A gdy zobaczył, że Aleksandra ujęła w swą dłoń rękę, szpony tego człowieka, Marcin poczuł, że od tej chwili wszystko stało się obojętne i że świat utracił dla niego sens.

XXIII Nagle w ciemnej ulicy przyszło na niego olśnienie: ten człowiek jest podobny do Aleksandry! Natychmiast przypomniał sobie scenę w miradorze, kiedy to Aleksandrze wymknęło się imię Fernando; zachowała się tak, jak gdyby to imię należało utrzymać w tajemnicy.

„To jest Fernando” — **pomyślał.**

Szarzielone oczy, wystające, trochę mongolskie kości policzkowe, ciemna skóra i rysy prababki Trinidad Arias. Jasne: teraz rozumie, dlaczego człowiek ten wydał mu się znajomy; wiele ma z Aleksandry i wiele z Trinidad Arias, tej z portretu, który pokazał mu dziadek. „Tylko ja i Fernando”, tak powiedziała Aleksandra, jak gdyby ona i ten mężczyzna wyodrębnieni byli z reszty świata; ten mężczyzna, którego Aleksandra podziwia — teraz to rozumiała.

Ale kim jest Fernando? Starszym bratem, bratem, o którym ona nie chce mówić. Przypuszczenie, że ten człowiek jest bratem Aleksandry, uspokoiło nieco Marcina, a przecież powinno było uspokoić go całkowicie. Dlaczego nie cieszę się? (pytał). W danej chwili nie mógł znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Stwierdził tylko, że powinien się uspokoić, ale że mu się to nie udaje.

Na dobitkę Aleksandra znikła na dłuższy czas; było to oznaką, że stało się coś ważnego. Co jednak może mieć wspólnego ten domniemany brat z jej zniknięciem? Jeżeli są rodzeństwem, widują się przecież codziennie albo mogą się codziennie widywać. Jaki wpływ ma ten człowiek na Aleksandrę?

Nie mógł spokojnie usnąć; miał uczucie, jak gdyby do pokoju wkradł się wampir.

Odtwarzał sobie raz po raz scenę, której był świadkiem, i usiłował odkryć przyczynę swego niepokoju. Aż oto znalazł ją chyba: ręka! Ze zgrozą przypomniał sobie, w jaki sposób Aleksandra trzymała rękę tego człowieka. Tak nie trzyma się ręki brata. Aleksandra myśli o nim nieustannie: to on jest jej hipnotyzerem. Ucieka od niego, lecz wcześniej czy później musi do niego wracać, jak opętana. Teraz Marcin zrozumiał chyba niejedno z jej niezrozumiałych i sprzecznych posunięć.

Ledwie wydało mu się, że znalazł rozwiązanie, natychmiast ogarnęło go większe jeszcze zdziwienie: podobieństwo. Ten człowiek jest niewątpliwie jej krewnym. Może stryjecznym bratem. Tak, to jej brat stryjeczny, nazywa się Fernando.

Inaczej być nie może, ta możliwość wszystko tłumaczy: widoczne podobieństwo i nagłe zamilknięcie tamtego wieczora, kiedy wymknęło jej się imię Fernando. Ten człowiek (pomyślał) jest kluczem do jej

zagadki, tajemnym kluczem. „Wszyscy z wyjątkiem Fernanda i mnie”, powiedziała niechętnie i natychmiast zamilkła, a na jego pytanie nie dała odpowiedzi. Teraz Marcin rozumie wszystko: ona i on żyją wyodrębnieni i dumni w oddzielnym świecie.

Aleksandra kocha Fernanda i dlatego odczuła skrucę, kiedy przed nim, przed Marcinem, wypowiedziała to tajemnicze imię. W miarę jak mijały dni, rosło jego wzburzenie, w końcu nie mogąc znaleźć sobie miejsca zatelefonował do Aleksandry i powiedział, że musi z nią pilnie pomówić: o czymś ważnym, tylko ten jeden raz. Kiedy się spotkali, nie mógł wydobyć głosu.

XXIV — Co ci się stało? — zapytała brutalnie, widząc, że Marcin jest przygnębiony, że coś mu dolega. Rozdrażniło ją to, gdyż — jak nieraz mu powtarzała — nie posiadał do niej żadnych praw, niczego mu nie obiecywała, a więc nie jest mu winna wytłumaczenia. Teraz zwłaszcza, kiedy postanowili zerwać. Marcin potrząsnął głową, ale oczy miał pełne łez.

— Co się z tobą dzieje? — rzekła Aleksandra potrząsając jego ramionami. Czekala chwilę patrząc mu w oczy.

— Powiedz mi tylko jedno, Aleksandro: powiedz mi, kto to jest Fernando.

Aleksandra zbla'dła, oczy jej miały płomień.

— Fernando? — spytała — skąd ci przyszło na myśl to imię?

— Wymieniłaś je tamtego wieczoru, u siebie w pokoju, kiedy opowiadałaś mi historię twojej rodziny.

— A cóż cię obchodzą te głupstwa?

— Więcej minie obchodzą, niż sobie możesz wyobrazić.

— Dlaczego?

— Bo miałem wrażenie, że żalowałaś, iż ci się wymknęło to imię. Czy tak było?

— Przypuśćmy, że tak było. Jakim prawem pytasz mnie o to?

— Nie mam żadnego prawa, wiem o tym. Ale błagam cię na wszystko, co ci jest święte, powiedz mi, kto to jest Fernando. Czy jest twoim bratem?

— Nie mam braci ani sióstr.

— A więc jest twoim kuzynem.

— Dlaczego miałby być moim kuzynem?

— Powiedziałaś, że z całej waszej rodziny tylko ty i Fernando nie jesteście unitarianami. Więc jeżeli nie jest twoim bratem, to może jest kuzynem. Prawda?

Jest twoim kuzynem?

Aleksandra puściła wreszcie ramiona Marcina, które przez cały czas mocno ścisnęła, i nachmurzona zapaliła papierosa.

— Marcinie — rzekła — jeżeli chcesz, abym zachowała o tobie przyjazne wspomnienie, nie zadawaj mi takich pytań.

— Zadaję ci tylko jedno pytanie.

— Ale dlaczego?

— Bo dla mnie jest ono bardzo ważne.

— A dlaczego jest dla ciebie ważne?

— Bo doszedłem do wniosku, że ty kochasz tego człowieka.

Aleksandra znowu spochmurniała i oczy jej rzucały błyskawice jak w najgorszych chwilach.

— Na czym to opierasz?

— Na przecuciu.

— A więc mylisz się w zupełności. Nie kocham Fernanda.

— Może się źle wyraziłem. Chciałem powiedzieć, że ci się podoba, że jesteś w nim zakochana.

Te ostatnie słowa powiedział złamanym głosem.

Aleksandra chwyciła jego ramiona w swoje mocne, twarde dłonie („Jak jego — pomyślał z bólem Marcina — jak jego dłonie!”) i potrząsając nimi zawołała z gniewem:

— Śledziłeś mnie!

— Tak — przyznał się. — Szedłem za tobą do baru na Reconquista i ujrzałem cię z mężczyzną podobnym do ciebie. Ty się w nim kochasz!...

— Skąd wiesz, że to jest Fernando?

Bo jest do ciebie podobny... i powiedziałaś, że Fernando jest kimś z twojej rodziny... bo miałem wrażenie, że między tobą i Fernandem jest jakaś tajemnica, że ty i on tworzycie jakąś całość odizolowaną od wszystkich innych... i żałowałaś, że wymknęło ci się jego imię... i trzymałaś go tak dziwnie za rękę...

Aleksandra potrząsała nim i miotła, a on poddawał się biernie, jak bezwładny przedmiot. Wreszcie 209

M O bohaterach i grobach

puściła go i ukrywszy swą twarz w drapieźnych dłoniach, jakby ją chciała rozdrapać, zapłakała na swój sposób: suchym łkaniem. Spomiędzy na wpół rozwartych rąk Marcin usłyszał krzyk:

— Idioto! Ten człowiek jest moim ojcem!
I uciekła.

Marcin stał jak skamieniały, nie wiedząc ani co uczynić, ani co powiedzieć.

XXV Jakby po mocnym uderzeniu w kotły zapadła ciemność, tak po tych straszliwych słowach

Aleksandry Marcin znalazł się niby w ogromnym czarnym śnie, tak ciężkim, jak gdyby spał na dnie oceanu z płynnego ołowiu. Całymi dniami wałęsał się bez celu ulicami Buenos Aires, rozmyślając o tej cudownej istocie, która przyszła nie wiadomo skąd i oto teraz powróciła tam, skąd przyszła: w nieznanie.

— Do domu — powiedział nagle — do domu. — Zwyczajne słowa, na pozór bez znaczenia, lecz odnoszą się przecież do kogoś, kto pośród burzy, kiedy błyskawice i grzmoty rozdzierają ciemności, może się schronić w rodzinnym, zacisznym domu. W domu, przy ogniu, w jasnym, przytulnym pokoju. Dlatego (powiada Bruno) samotność dotkliwiej odczuwa się na obczyźnie, bo ojczyzna jest jak dom, jak ogień i jak dzieciństwo, jak schronienie u matki; na obczyźnie zaś jest smutno, jakby się mieszkało w hotelu, anonimowo i obojętnie; bez wspomnień, bez swojskich drzew, bez dzieciństwa, bez zjaw; bo ojczyzna jest dzieciństwem i raczej należałoby ją może nazwać niaczną, czymś, co chroni i grzeje w chwilach samotności i chłodu. Ale on, Marcin, nigdy nie miał matki. A ojczyzna jego taka wydaje się niegościnna, taka surowa i nieprzytulna. Bruno powiedział także (ale teraz Marcin tego nie pamięta, lecz odczuwa to fizycznie, jak gdyby znalazł się pod gołym niebem podczas ulewy), że naszym nieszczęściem jest, iż nie ukończyliśmy budować narodu, a świat, który mu dał początek, zaczął trzeszczeć i walić się, nie posiadamy więc nawet tego złudzenia wieczności, jakim w Europie albo w Meksyku czy w Cuzco są tysiącletnie kamienie. Tutaj bowiem (powiedział Bruno) nie jesteśmy ani Europą, ani Ameryką, tylko złamaną krainą, nietrwa-

lym, tragicznym miejscem złamania i rozdarcia. Dlatego też wszystko jest tutaj przejściowe i kruche, nie ma nic solidnego, czego by się można uchwycić, człowiek wydaje się bardziej śmiertelny, a jego istnienie bardziej krótkotrwałe.

On zaś (Marcin), który pragnął w nieszczęściu uchwycić się czegoś mocnego i trwałego, schronić się w ciepłym kącie, nie posiada ani domu, ani ojczyzny. Gorzej jeszcze: ma dom zbudowany na łąjnie i frustracji, a ojczyznę roztrzęsioną i chwiejną. Czuje się więc samotny, samotny, samotny; to jedyne słowo jasno odczuwa i rozumie, ale ono wyraża niewątpliwie wszystko inne. Jak rozbitek wśród nocy uchwycił się Aleksandry. Ale było to tak, jakby szukał schronienia w jaskini, z której głębi wypetły nagle dzikie bestie.

Któregoś dnia, kiedy jak zwykle wałęsał się bez celu, *znalazł* się nagle w tłumie biegnących ludzi; w górze warczały odrzutowce i wśród pędzących dokądś ciężarówek zapchanych robotnikami, pośród warkotu samolotów przelatujących ponad wieżowcami rozlegały się okrzyki: „Plaża Mayo!” Po chwili dał się słyszeć huk dział przeciwlotniczych i terkot karabinów maszynowych. A ludzie wciąż biegli, wpadali hurmem do bram i kiedy odlatywały samoloty, natychmiast wychodzili rozglądając się ciekawie i wymieniając nerwowo uwagi, aż do następnego przelotu odrzutowców, gdy znowu kryli się po bramach. Inni zaś, chroniąc się tylko pod murami (jak gdyby Padał zwyczajny deszcz), ze zdumieniem i z ciekawością spoglądali w górę i wyciągniętymi ramionami wskazywali w różnych kierunkach. Wszystko to było niezrozumiałe. Marcin jednakże wyczuwał, że te niezwykle a gwałtowne wypadki wiążą się z jego osobistym dramatem: z trudnym do wytłumaczenia dramatem samotnego Argentyńczyka.

Zapał wieczór. Na wystraszone, podminowane różnymi pogłoskami miasto spadł deszcz.

A.XVH Nastrój był posepny: ołowiane wieczorne niebo zaczerwieniło się łuną pożarów. Ni- 211

czym w karnawale szaleńców rozlegało się głuche dudnienie ibębna.

Marcin stał właśnie naprzeciw kościoła, porwany przez rozszalały tłum. Niektórzy byli uzbrojeni. Ktoś powiedział: „To ludzie z Alianzy”. Nagle zapłonęła benzyna, którą polano bramy kościoła. Ludzie wdarli się tłumnie, z głośnym krzykiem. Wywlekali ławki przed drzwi i układali z nich stos. Inni wynosili klęczniki, obrazy i ławki na ulicę. Padał deszcz chłodny i obojętny. Wylewali benzynę, drewno płonęło gwałtownie wśród lodowatych podmuchów wiatru. Rozlegały się krzyki, opodał ktoś wystrzelił. W strachu przed pożarem niektórzy uciekali panicznie, inni kryli się w przedsionkach i pod murami domów naprzeciw kościoła. Jakiś człowiek niósł w ramionach figurę Matki Boskiej, by rzucić ją w płomień. Stojący obok Marcina młody robotnik zawołał:

— Daj mi Matkę Boską, nie rzucaj jej w ogień!

— Odczep się — krzyknął tamten ze złością, zamierzając się posągiem.

— Nie pal figury, dostanę za nią parę groszy — prosił robotnik.

Tamten puścił figurę i kiwając głową oddał ją.

Zaczął ciskać w ogień ławki i obrazy.

Młodzieniec postawił Matkę Boską na ziemi rozglądając się za kimś, kto by mu pomógł wynieść ją z kościoła. Nie opodał stał policjant i przypatrywał się widowisku; młodzieniec zwrócił się do niego.

— Nie mieszaj się, chłopcze — doradzał policjant.

— Ja ci pomogę — powiedział Marcin, podchodząc bliżej.

— Dobra, bierz za nogi — zgodził się robotnik.

Wyszli. Deszcz padał nieprzerwanie, ale ogień buchał i syczał od benzyny i wody.

Jakaś postawna kobieta o jasnych potarganych włosach wymachiwała lichtarzem z brązu niby laską i wlokła po ziemi worek pełen obrazów i przedmiotów kościelnych.

— Łajdaki! — wołała,

■ — Milcz, wariatko! — krzyczeli dookoła.

— Łajdaki! — powtarzała. — Wszyscy pójdziecie do piekła!

Wlokąc za sobą worek osłaniała się lichtarzem.

Jakiś chłopiec dotknął nieprzyzwoicie jej ciała, inny

wykrzykiwał sprośności, ona jednak szła naprzód bro-
niąc się lichterzem i powtarzając: „Łajdaki!”

— Odejdź stąd, księża sługo! — wołali za nią.

Kobieta szła nieustraszenie naprzód, rozfanatyzowa-
wana i obca całemu światu. Ochryplym głosem wo-
łała: „Łajdaki!”

— To wariatka, puśćcie ją! — krzyknął ktoś z tłu-
mu.

Inna kobieta o indiańskiej twarzy długim kijem
niecila ogień, jak w olbrzymim piecu.

— To szalona, zostawcie ją, niech sobie nieci —
wołali.

Kobieta z workiem torowała sobie drogę pośród
gromady chłopców wykrzykujących nieprzyzwoite wy-
zwiska. Ciskali w nią płonące szczapy i ze śmiechem
próbowali ją obmacywać.

Słup ognia wystrzelił z kurii: płoną papiery, reje-
stry. Jakiś mężczyzna w kapeluszu ciska z histerycz-
nym śmiechem kamieniami, czerepami, odłamkami
bruku.

Kobieta z workiem znikła z pola widzenia.

Rozbrzmiewa karnawałowa wesoła muzyczka: oto
nadeszli uliczni muzykanci.

-* i

Muzykanci z Chanta Cuatro

Ofiarują piosnkę wam...

W blasku ognia ich dziwaczne postacie wyglądają
nierealnie; przebrani w ornaty wznoszą w górę kie-
lichy i krzyże, złożonymi lichterzami wybijają takt,
cyboria służą za instrumenty muzyczne. Ktoś gra na
bębnie.

Padły strzały i ludzie rzucili się do ucieczki.

Nie wiadomo kto i skąd strzelał. Wybucho panika.

Ktoś powiada: „To Alianza”. Ktoś inny uspokaja, na-
wołuje do porządku. Rozlegają się okrzyki: „Już nad-
chodzą!”, i: „Ludzie, uspokójcie się!”

Pośrodku ulicy rośnie stois. Gromadka mężczyzn
i kobiet rzuca w płomień konfesjonał. Wciąż jeszcze
taszczą figury i obrazy.

Jakiś człowiek wlecze Chrystusa; w tej chwi-
li nadchodzi jakaś kobieta i władczym tonem na-
kazuje:

— Oddaj.

— Czego chcesz? — rzuca tamten z pogardą.

— To pani z fundacji * — powiada ktoś.

— Kto? Gdzie? — pytają.

Kobieta nie ustępuje, chwytając Chrystusa za nogi, nie pozwala rzucić go na pastwę płomieniom..

— Puszczaj! — krzyczy mężczyzna.

— Oddaj! — woła kobieta.

Mocują się, a Chrystus zawisł na chwilę w powietrzu.

— Proszę pani — odezwał się młody robotnik, ten sam, który uratował Matkę Boską.

Kobieta kurczowo trzyma Chrystusa za nogi. Młodzieniec skinieniem głowy wskazuje na figurę u swoich stóp.

— Dam pani tę figurę — powiada.

Kobieta waha się, ale nie puszcza Chrystusa kołyszącego się w powietrzu.

— Niech pani odda — namawia robotnik.

Kobieta jest niezdecydowana, tamten jednak szarpnął Chrystusem i wyrwał go jej z rąk.

Stanąła zbita z tropu i patrzyła, jak oddala się człowiek z Chrystusem w ramionach. Jak oglupiała kieruje spojrzenie na Matkę Boską stojącą na ziemi u stóp robotnika. Podchodzi bliżej.

— Opiekunka Bezdomych — rzekł młody robotnik, wskazując na posąg.

Kobieta spojrzała nań, chyba nie zrozumiała; to chłopiec z ludu, może chce jej zrobić coś złego.

— Ten młody człowiek uratował Matkę Boską od ognia — ■ wmieszał się Marcin. — Chcemy ją stąd wynieść.

Kobieta podeszła bliżej.

— Zaniesiemy ją do domu — powiedziała.

Robotnik i Marcin schylili się, aby podnieść Matkę Boską.

— Poczekajcie — rzekła kobieta.

Rozpięła płaszcz, zdjęła go i przykryła figurę.

Chciała ją nieść wraz z chłopcami.

— Nie potrzeba — powiedział robotnik — wystarczy nas dwóch. Dokąd idziemy?

Ruszyli. Kobieta przodem, za nimi jakiś człowiek.

Padła ulewny deszcz, gwiazdzisty wieniec Matki Bo-

* Fundacja dobroczynna dla ubogich Ewy Peron.

skiej wbijał się w twarz młodego robotnika. Zwarty tłum zagradzał im przejście.

— Niesiemy rannego, puśćcie nas — prosili.

Ustępowano im z drogi.

Podążyli ulicą Santa Fe aż do Callao. Czerwony odbłask pożaru z wolna zanikał; weszli w ponurą, chłodną noc. Poprzez deszcz słychać było z daleka jakieś krzyki, pojedyncze strzały, gwizdy.

Przybyli na miejsce. Dostali się windą na siódme piętro i weszli do luksusowego apartamentu. Nie uszło uwagi Marcina, że młody robotnik jest zmieszany: nieśmiało spogląda na pokojówkę i nie wie, jak poruszać się między ciemnymi meblami i dziełami sztuki.

Postawili figurę w kącie. Młodzieniec oparł — bezwiednie może — swą umęczoną, otepiałą głowę o Matkę Boską i milczał.

— Chodźmy — rzekła po chwili kobieta. — Trzeba tam wrócić.

Młody człowiek rozglądał się dookoła, jakby czegoś szukał.

— Czego szukasz, chłopcze? — spytała.

— Chciałbym napić się wody — poprosił nieśmiało.

Dali mu wody, młodzieniec wypił, jakby go trawiła gorączka.

— Chodźmy już — rzekła kobieta.

Deszcz mżył, muzykanci byli zapewne przy innych pożarach, ale i przed kościołem trwał jeszcze pożar, spora gromada mężczyzn i kobiet stała ■—■ teraz już w milczeniu — na ulicy i przyglądała się chciwie jak w teatrze. Jakiś człowiek trzymał pod pachą zwinięte w rulon ornaty.

— Proszę mi dać te ornaty — zażądała kobieta.

— Czego? — spytał tamten.

— Ornaty. Proszę je oddać — powtórzyła.

Nie odpowiedział. Pochłonięty był widokiem pożaru.

— Ornaty — powtórzyła kobieta ze spokojem jak lunaticzka. — Przechowam je, dopóki nie odbudują kościoła.

Człowiek wpatrywał się w ogień i milczał.

— Nie jest pan katolikiem? — spytała z nienawiścią 215

Tamten wciąż przyglądał się pożarowi, ale w oczach jego (Marcin to zauważył) zabłysnął gniew.

— Nie jest pan ochrzczony? — pytała kobieta. — Nie ma pan dzieci? Nie ma pan matki?

— Kurwa twoja mać! — wybuchnął. — Idź do cholery!

— Ja jestem katoliczką — ciągnęła kobieta nie-ustępliwie, jak senna. — Przechowam ornaty, dopóki nie odbudują kościoła.

— Chcę się nimi osłonić przed deszczem — rzekł tamten niespodziewanie normalnym tonem.

— ■ Proszę mi dać ornaty — upierała się kobieta.

— Mieszkam bardzo daleko, aż w General Rodriguez — bronił się tamten. — Przykryję się nimi.

Ktoś, kto stał za kobietą, wtrącił się:

— Przyszedł pan z General Rodriguez, był więc pan przy tym, jak podpalali kościół?

Kobieta odwróciła głowę: był to stary siwowłosy człowiek. Jakiś inny, w kapeluszu na głowie rozpiął płaszcz i wyjął pistolet. Zimno, pogardliwie spojrzał staremu w twarz.

— Jakim prawem wypytuje pan ludzi? — powiedział.

Człowiek z ornatami również wy dobył pistolet. Do upartej podeszła kobieta z dużym nożem kuchennym w ręce.

— Chcesz, żebym ci wsadziła ten nóż w tyłek?

Tamta z niezmaconym spokojem obstawała przy swoim:

— Ta parasolka ma złotą rączkę, dam ją za ornaty — rzekła pokazując człowiekowi z ornatami parasolkę.

Człowiek obejrzał rączkę parasolki.

— Niech będzie — zgodził się. — Wezmę parasolkę.

— Zdrajca! Sprzedawczyk! — rozkrzyczała się kobieta z nożem.

— Jaki tam zdrajca — rzekł machnąwszy ręką gestem, znużenia. — A po cóż mi te ornaty.

Kobieta z nożem wpadła w furję.

— Jesteś podły sprzedawczyk! — wrzeszczała zamachując się nożem.

Człowiek z ornatami rozzłościł się.

— Milcz, bo dostaniesz kulka w łeb! — krzyknął i nie *zważając* na obelgi i wygrażania oddalił się. Mężczyzna w kapeluszu zamknął dyskusję:

— No, chłopcy, tu już nie ma co robić, chodźmy stąd — zwrócił się do stojącej obok grupki mężczyzn. Marcin i młody robotnik oddalili się nieco i z lekkim przypatrywali się tej scenie. Podeszła do nich kobieta z ornatami. Jeszcze raz odprowadzili ją do domu, dostali się windą na górę, weszli do luksusowego mieszkania. I znowu Marcin miał wrażenie, że robotnika onieśmielił widok zbytkownych foteli, cennych obrazów i porcelany.

— Wejdźcie — zapraszała kobieta.

— Dziękuję, pójdę już — odrzekł robotnik. — Nie jestem już potrzebny.

— Poczekaj — nalegała.

Chłopiec czekał w postawie pełnej szacunku i godności.

— Jesteś robotnikiem? — spytała, patrząc nań badawczo.

— Tak, proszę pani, jestem włókniarzem.

— A ile masz lat?

— Dwadzieścia.

— Jesteś peronistą?

Młodzieniec schylił głowę i milczał.

Kobieta spojrzała nań surowo.

— Jak możesz być peronistą? Nie widzisz, co oni wyprawiają?

— Ci, co spalili kościół, to bandyci, proszę pani — powiedział.

— Co mówisz! To peroniści! *

— Nie, proszę pani. To nie są prawdziwi peroniści.

Nie są naprawdę peronistami.

— Gadasz głupstwa! — rozzłościła się kobieta.

— Czy mogę już odejść? — spytał młodzieniec podnosząc głowę.

— Chwileczkę — rzekła jakby zamyślona — powiedz mi... dlaczego wyniosłeś z płomieni Matkę Boską, Opiekunkę Bezdomnych?

* W czerwcu 1955 r. marynarka wznieciła bunt przeciwko Peronowi i samoloty jej zbombardowały skupiska robotników-peronistów. Zamach me udało się, i tego samego wieczora oddziały szturmowe Perona spaliły kilka kościołów, kler bowiem należał do przeciwników Perona. (Przyp. aut.)

— Bo ja wiem? Nie lubię, jak się podpała kościoły, proszę pani. Co winna jest temu wszystkiemu Matka Boska?

— Jakiemu wszystkiemu?

— Bo ja wiem? Temu całemu bombardowaniu.

— Więc uważasz za niesłuszne, że bombardowali Plaża Mayb?

Młodzieniec spojrział na nią zdumiony.

— Czy nie wiesz, że należy już wreszcie skończyć z Peronem? Z tym degeneratem, z tą zakałą?

Młodzieniec milczał.

•— No, jak myślisz? — nalegała.

— Ja byłem na plaża Mayo — powiedział spuściwszy głowę. — Ja i tysiące moich towarzyszy. Przedemną dziewczynie bomba urwała nogę. Mój przyjaciel dostał w głowę, a drugi w brzuch. Tysiące ludzi zginęło.

— Czy nie rozumiesz, że bronisz łajdaka? — zapytała kobieta.

Chłopiec milczał.

— My jesteśmy ubodzy, proszę pani — rzekł po chwili. — Mieszkam w jednej izbie z rodzicami i siedmiorgiem rodzeństwa.

Kobieta zwróciła się do Marcina:

— A ty, czy również jesteś peronistą?

Marcin nie odpowiedział.

Noc była chmurna i mroźna, mżył drobny deszcz porwany owym południowo-wschodnim wiatrem, który przynosi smutek i pogłębia uczucie samotności. Niejeden mieszkaniec Buenos Aires siedząc w kawiarni spojrzy przez zamgloną szybę na ulicę i mruknie: „Co za cholerna pogoda”. Inny, bardziej wrażliwy, pomyśli sobie w duchu: „Jaki smętny nastrój”. Marcin zaś idzie w deszczu i chłodzie, sam nie wiedząc dokąd, zapatrzone przed siebie, pochłonięty swoją trudną zagadką, powtarza trzy wyrazy: Aleksandra, Fernando, ślepi. Godzinami wałęsał się bez celu. Raptem znalazł się na małym placu w Belgrano. Usiadł na jakiejś ławce. Naprzeciw niego okrągly kościół zdawał się przeżywać jeszcze grozę tego dnia. Posępna cisza, trupioblade światło i deszcz wywoływały w tym zakątku Buenos Aires złowieszczy

218

nastrój. Marcin doznawał wrażenia, że w starym budynku przylegającym do kościoła kryje się jakaś straszliwa tajemnica. Nie potrafił oderwać wzroku od tego miejsca, które widział po raz pierwszy w życiu.

Nagle omal nie krzyknął; przez plac, w kierunku starego budynku, szła Aleksandra.

W ciemności, pod osłoną drzew, Marcin nie mógł być przez nią dostrzeżony. Szła zresztą jak automat, krokiem lunatyczki, co już nieraz u niej widział, ale teraz wydawało mu się to jeszcze bardziej niesamowite. Szła pofosto przed siebie nie zważając na krawężniki, jak gdyby jakaś siła wyższa kazała jej podążać we śnie ku przeznaczeniu. Było oczywiste, że nic nie widzi ani nie słyszy. Doszedłszy do portalu, bez wahania otworzyła jedno z zamkniętych drzwi i weszła. Marcin pomyślał, że może mu się przyśniło lub też że uległ złudzeniu; nigdy przedtem nie był na tym placu; w tę fatalną noc skierował tu bezwiednie swe kroki, nie mógł przewidzieć takiego spotkania. Za wiele było w tym wszystkim przypadków, nic więc dziwnego, że przez chwilę pomyślał o halucynacji lub o śnie.

Ale długie godziny oczekiwania pod drzwiami rozproszyły jego wątpliwości: tak, to Aleksandra tam weszła i z niepojętej dla niego przyczyny pozostaje tam dotychczas.

Nadszedł ranek, Marcin nie miał odwagi dłużej czekać, obawiał się, że w świetle dziennym Aleksandra go dostrzeże. A zresztą co uzyska, jeśli nawet ujrzy ją wychodzącą?

Ze smutkiem dotkliwym jak ból fizyczny podążył w stronę Cabildo.

Pochmurny dzień, umęczony i smętny, wyłonił się z tej niesamowitej nocy.

CZĘŚĆ TRZECIA
RAPORT O ŚLEPCACH

O bogowie nocy!
O bogowie ciemności, kazirodztwa i zbrodni,
melancholii i samobójstwa!
O bogowie szczurów i jaskiń,
nietoperzy i karaluchów!
O gwałtowni, nieodgadnieni bogowie
snu i śmierci!

I Kiedy zaczęło się to wszystko, co w najbliższej
przyszłości zakończy się moim samobójstwem?
Mam teraz okrutnie jasny umysł; niczym z reflektora
rzucam mocny snop światła na rozległe obszary mej
pamięci i oto widzę wyraźnie jak na dłoni: twarze,
szczury w jakimś spichrzu, ulice Buenos Aires i Ar-
gelu, prostytutki i marynarzy; przesuwani reflektor
i widzę rzeczy jeszcze bardziej oddalone: źródło
w estacji, duszną sjęstę i ptaki, którym wykluwam
gwoździem oczy. Może to było wtedy, ale kto wie,
mogło to być znacznie dawniej, w czasach, których już
nie pamiętam, w okresie mego niemowlęctwa. Nie
wiem, zresztą to nieważne.

Doskonale natomiast pamiętam początki moich sy-
stematycznych badań (tamte, nieświadome, były —• czy
ja wiem — może nawet głębsze). Stało się to w pewien
letni dzień w roku 1947; przechodziłem właśnie ulicą
San Martin, w kierunku plaża Mayo. Pogrążony w roz-
myślaniach usłyszałem, nagle głos dzwonka tak prze-
nikliwy, jak gdyby ktoś chciał obudzić mnie z tysiąc-
letniego snu. Idąc wciąż słyszałem ten dzwonek, który
usiłował wedrzeć się w najgłębsze warstwy mej świa-
domości: słyszałem, ale nie słuchałem.

Aż nagle to cienie, lecz natrętne dzwonienie do-
tknęło chyba jakiejś wrażliwej strefy mego ja, jakie-
goś miejsca mego ja, gdzie skóra jest bardzo deli-
katna i czuła, gdyż ocknąłem się przerażony, jak gdy-
by spotkało mnie coś obrzydliwego, jak gdybym na
przykład po ciemku dotknął ręką jakiegoś zimnego
gada. Ujrzałem przed sobą ślełą kobietę, która w tam-
tej dzielnicy sprzedaje tanie drobiazgi.

Stała zwrócona do mnie twarzą, tajemnicza i su-
rowa; nagle przestała poruszać dzwonkiem, jak gdyby
tylko dla mnie dzwoniła, ażeby mnie obudzić z nie-
dorzecznego snu i dać mi do zrozumienia, że skończył
się głupi przygotowawczy etap mojej egzystencji i że

222



muszę teraz spotkać się twarzą w twarz z rzeczywistością. Ona, nieruchoma, maską zwrócona ku mnie, i ja, osłupiały, jak gdybym ujrzał piekielną, lecz lodowato zimną zjawę, staliśmy naprzeciw siebie przez chwilę, jedną z takich chwil, które nie liczą się w czasie, chociaż przybliżają nas ku wieczności. A kiedy moja świadomość włączyła się w nurt czasu, rzuciłem się do ucieczki.

Tak oto zaczął się ostatni etap mojej egzystencji.

Od tego dnia zrozumiałem, że nie wolno mi już tracić ani chwili i że niezwłocznie muszę podjąć eksplorację tego mrocznego świata.

Minęło kilka miesięcy i oto pewnego jesiennego dnia nastąpiło drugie decydujące spotkanie. Prowadziłem już badania, ale pracowałem opieszale, hamowany niepojętym brakiem woli, co, jak obecnie przypuszczam, było zamaskowaną postacią lęku przed nieznanym.

Nadal jednakże śledziłem i podpatrywałem ślepców. Zajmowałem się nimi ciągle i przy każdej sposobności dyskutowałem o ich pochodzeniu, hierarchii, sposobie życia i warunkach biologicznych.

W owym czasie zacząłem dopiero stawiać w ogólnych zarysach hipotezę zimnej skóry, a już stałem się ofiarą obelg listownych i ustnych ze strony członków rozmaitych towarzystw mających coś wspólnego ze światem ślepców. Działali szybko i sprawnie, w tajemniczy sposób otrzymywali informacje, tak jak każda tajna loża czy sekta. Takie loże i sekty wsuwają swe niewidzialne macki pomiędzy ludzi; nie wiedząc o tym ani nawet tego nie podejrzewając, jesteśmy stale śledzeni. Szpiegują nas, rozstrzygają o naszym losie, o naszym niepowodzeniu, a nawet o naszej śmierci. W wysokim stopniu odnosi się to do Sekty ślepców, -która na nieszczęście wszystkich nie wtajemniczonych ma na swoje usługi normalnych mężczyzn i kobiety. Niektórzy z nich to ludzie oszukani przez Organizację, inni padli ofiarą sentymentalnej demagogicznej propagandy; przeważnie zaś czynią to ze strachu przed karą fizyczną i metafizyczną, jaka ponoć spotyka śmiałków, którzy odważają się dociekać ich tajemnic. Nawiasem mówiąc miałem nieraz wrażenie, że i ja zostałem już po części ukarany, a byłem pewny, że czekają mnie dalsze kary coraz straszniejsze i coraz

bardziej wymyśkie; mima to, niewątpliwie z powodu mojej dumy, nie miałem innego wyjścia, jak okazać tym większy gniew i wytrwać w zamiarze doprowadzenia mojego śledztwa do najwyższych instancji. Gdybym był głupszy, niż jestem, mógłbym się może chełpić, że moje dociekania potwierdziły tylko sąd, jaki już w młodości urobiłem, sobie o świecie ślepców, pierwszych odkryć dokonałem już w dzieciństwie dzięki snom i halucynacjom. Później, w miarę jak doroślałem, ogarniała mnie wciąż rosnąca niechęć do tych uprawiających swego rodzaju szantaż moralny uzurpatorów, których mnóstwo kręci się z natury rzeczy w kolejce podziemnej, z uwagi na pokrewieństwo z zimnokrwistymi zwierzętami o śliskiej skórze, zamieszkującymi jaskinie, jarny, piwnice, stare pasáže, rury ściekowe, kanały, wyschnięte źródła, głębokie pieczary, opuszczone kopalnie, gdzie cicho sączy się woda, a niektórzy, ci potężniejsi, olbrzymie podziemne grotty, nieraz na kilkaset metrów głębokie, co można wywnioskować z doniesień speleologów i poszukiwaczy skarbów. Te skąpe i mętne niekiedy doniesienia niewątpliwie są jednak zrozumiałe dla wszystkich, którzy wiedzą, jaka kara grozi za zdradę wielkiej tajemnicy.

Dawniej, Medy byłem młodszy i mniej nieufny, aczkolwiek przekonany o słuszności mojej teorii, wzbraniałem się jednak sprawdzać ją, a zwłaszcza głosić, ponieważ sentymentalne przesady, które są demagogią uczuć, nie pozwalały mi przekraczać ukrytych, lecz tym bardziej wyrafinowanych zakazów Sekty. Zakazy te wchodzą w skład haseł szerzonych w szkołach i tygodnikach, respektowane są przez rząd tudzież policję, a propagują je panie i panowie z instytucji dobroczynnych. Nie pozwalają one dotrzeć do owych mrocznych okolic podmiejskich, gdzie skupiska ludzkie stają się coraz rzadsze i gdzie zaczyna się podejrzewać prawdę.

Dopiero po wielu latach zdecydowałem się przekroczyć zewnętrzne zakazy. I niby w koszmarnym śnie, gdy jakaś ogromna, paradoksalna siła każe ci iść na spotkanie ze straszliwym potworem, tak ja z nie-dorzeczną stanowczością wkraczając z wolna w owe zakazane regiony, gdzie zaczyna się królestwo metafizycznych ciemności, dostrzegałem tu i ówdzie po- 224

czątkowo mgliste tylko, pojedyncze, płochliwe zjawy, az w końcu zaczął się przede mną odsłaniać z coraz większą i przerażającą wyrazistością cały świat tych ohydnych istot.

Opowiem teraz, jak zdobyłem ten straszliwy przywilej i w jaki sposób po latach poszukiwań i zagrożenia dotarłem do miejsca, gdzie mrowi się od stworów, których zwykli ślepcy są tylko bladym odbiciem. U Doskonale pamiętam datę czternastego czerwca, był to dzień chłodny i deszczowy. Śledziłem wówczas pewnego ślepca, który pracuje w kolejce podziemnej w dzielnicy Palermo: jest niski, krępy i ociężały, ale ogromnie silny i gburowaty. Człowiek ten chodzi z wagonu do wagonu i pasażerom stłoczonym w zbitą masę podtyka nachalnie fiszbinki do kołnierzyków. Przepychając się bezczelnie między ławkami wyciąga jedną łapę, do której nieszczęśni podróżni, przeważnie skromni urzędnicy, wrzucają z nabożnym lękiem datki, w drugiej zaś trzyma owe wkładki do kołnierzyków będące raczej symbolem aniżeli towarem, fiszbinki wystarczają bowiem każdemu użytkownikowi jeśli nie na rok, to co najmniej na miesiąc, i nikt zdrowy na umyśle, choćby był milionerem, nie kupuje codziennie ich tuzina. Toteż jest rzeczą logiczną i cały świat to w ten sposób pojmuje, że fiszbinki są czysto symboliczne, stanowią jak gdyby wywieszkę, rodzaj legitymacji, która poza znaną powszechnie białą laską odróżnia ślepych od reszty śmiertelników. Śledziłem więc bieg wypadków i postanowiłem iść krok w krok za tym człowiekiem i nie odstępować go, dopóki raz na zawsze nie otrzymam potwierdzenia mojej teorii. Odbyłem niezliczone podróże pomiędzy plażą Mayo a Palermo, starając się na końcowych stacjach ukrywać swoją obecność, w obawie, że ściągnę na siebie podejrzenie Sekty i zostanę oskarżony o bandytyzm lub o inną podobną bzdurę, wtedy kiedy mój czas był na wagę złota. Toteż z pewnymi ostrożnościami trzymałem się blisko ślepca i gdy wreszcie odbywaliśmy ostatnią podróż o wpół do drugiej, właśnie czternastego czerwca, byłem zdecydowany iść za tym człowiekiem aż do jego kryjówki.

Na końcowej stacji plaża Mayo, zanim pociąg ru-

szły w ostatni kurs w stronę Palermo, ślepiec wysiadł i skierował się do wyjścia od strony ulicy San Martin. Ruszyliśmy tą ulicą do Cangallo.

Na rogu skręcił w dół.

Musiałem, zachować jak najdalej idącą ostrożność, gdyż tej zimowej nocy nie było na ulicy nikogo oprócz nas dwóch. Szedłem za nim zachowując przezornie dystans, pamiętałem bowiem, że ślepi mają świetny słuch oraz instynkt, który przestrzega ich przed każdym niebezpieczeństwem, jakie może zagrażać ich tajemnicy.

Cisza i samotność w tej dzielnicy banków wywierają w nocy potężne wrażenie. Nocą jest to dzielnica bardziej milcząca i opustoszała niż każda inna; prawdopodobnie z powodu kontrastu, gdyż w dzień panuje tam nieopisany rozgardiasz, pośpiech i krzątanina.

W godzinach pracy przewala się tam ogromne mnóstwo ludzi. Natomiast w nocy, kiedy Pieniądz odpoczywa, panuje w tej dzielnicy święta cisza. Z chwilą kiedy ostatni urzędnicy i dyrektorzy odchodzą i kiedy kończy się wyczerpująca i chaotyczna orka, podczas której skromne gryzpiórki na groszowych pensjach obracają milionami, a tłumy ludzi przy okienkach składają z mnóstwem zastrzeżeń skrawki papieru przedstawiające jakąś magiczną wartość, które to skrawki papieru odbierają potem inne tłumy ludzi przy innych okienkach, wyrażając przy tym krańcowo odmienne zastrzeżenia. Cały ten proceder jest urojony i magiczny, bo chociaż oni, ci wierzyciele, uważają się za realistów i ludzi praktycznych, to jednak przyjmują ów brudny papierek, na którym z wielkim szacunkiem odcyfrować można pewnego rodzaju absurdalne zobowiązanie, że jakiś pan, co nawet nie raczył się własnoręcznie podpisać, zobowiązuje się w imieniu Państwa ofiarować nie wiadomo jaką Rzecz wierzycielowi w zamian za ten papierek. Ciekawe, że człowiekowi temu wystarcza samo przyrzeczenie, gdyż, o ile wiem, nikt jeszcze nigdy nie żądał, aby zostało ono wypełnione; a co dziwniejsze, w zamian za te brudne papierki otrzymać można inny papier, czystszy, ale jeszcze bzdurniejszy, na którym jakiś inny pan przyrzeka, że w zamian za ten papier otrzyma wierzyciel pewną ilość wyżej wspomnianych brudnych papierków: a więc coś w rodzaju szaleństwa do kwadratu.

Wszystko to dzieje się w imieniu Czegoś, czego nigdy nikt nie widział, a co podobno leży zdeponowane w Jakimś Miejscu, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, w Stalowych Grotach. Że cała ta historia jest sprawą religii, świadczą przede wszystkim wyrażenia takie, jak kredyt i wierzyciel, następnie zaś fakt, że Banki mają kształt świątyń. Jak już wspomniałem, dzielnica ta, opuszczona przez rozfanatyzowane tłumy wierzycieli, jest w nocy bardziej opustoszała niż każda inna, gdyż w nocy nikt tam nie mieszka ani nawet nie mógłby mieszkać z powodu ciszy i straszliwej pustki panującej w olbrzymich halach owych świątyń i w wielkich podziemiach, gdzie przechowuje się niezliczone skafby. W tym samym czasie potężni mężowie, którzy kierują tą magią, łykają pigułki nasenne i śpią niespokojnie, dręczeni przez koszarne sny o klęskach finansowych. Także z tej prostej przyczyny, że w tej dzielnicy nie ma żywności, nie ma niczego, co umożliwiłoby egzystencję nie tylko ludziom, ale nawet szczurom i karaluchom, gdyż w tych przybytkach nicości panuje przesadna czystość, wszystko jest tam symboliczne i co najwyżej papierowe, a i te papiery mogące przedstawiać pewną wartość odżywczą dla moli i innych drobnych stworzeń przechowywane są w imponujących komorach stalowych, niedostępnych dla jakiegokolwiek żywej istoty.

Otóż wśród niczym nie zmaconej ciszy, jaka panuje w dzielnicy Banków, szedłem za ślepcem w dół ulicą Cangallo. Kroki jego głucho dudniły i z każdą chwilą nabierały bardziej zagadkowego i przewrotnego charakteru.

Tak doszliśmy aż do alei Leandro Alem i przeszedłszy na drugą stronę ulicy skierowaliśmy się w okolice portu.

Stapałem z niezmierną ostrożnością: chwilami sądziłem, że ślepy może słyszeć moje kroki, a nawet mój nierówny oddech.

Teraz człowiek ten szedł krokiem zdecydowanym, co budziło we mnie niepokojące podejrzenie, że w rzeczywistości wcale nie jest ślepy.

Lecz najbardziej przestraszyłem się, kiedy nagle skręcił znowu w lewo, do lunaparku. Powiadam, że się przestraszyłem, bo było to sprzeczne z logiką, gdy-

by bowiem miał ten zamiar od początku, nie było żadnego powodu, dla którego po przejściu przez ulicę miałby skręcić w prawo. A ponieważ przypuszczenie, że się pomylił, należało wykluczyć, biorąc pod uwagę pewność i szybkość, z jaką się poruszał, pozostawała hipoteza (groźna), że spostrzegł, iż go ścigam i że chce mnie zmylić. Lub też, co było nieskończenie groźniejsze, że stara się zastawić na mnie pułapkę.

Wszelako ten sam przymus, który każe nam pochylać się nad przepaścią, wiódł mnie coraz bardziej zdecydowanie w ślad za ślepcem.

Biegłem prawie (co wyglądałoby śmiesznie, gdyby nie było żalosne); człowiek z białą laską i z torbą pełną fiszbinków, za którym nieustępliwie, w milczeniu, kroczyłem, zmierzał wpierw przez Bouchard na północ, następnie, minąwszy pawilon lunaparku, w prawo, jakby chciał dojść do portu.

Wtedy straciłem go z oczu, bo, rzecz jasna, szedłem za nim w odległości około pięćdziesięciu metrów. Zdesperowany przyśpieszyłem kroku, obawiałem się, że mi ucieknie, w chwili kiedy już miałem w rękę (tak sądziłem wówczas) znaczną część tajemnicy.

Nieomal biegiem dotarłem do rogu i raptownie skręciłem w prawo, tak jak tamten.

O zgrozo! Ślepiec stał oparty o mur, był wzburzony, najwidoczniej czekał. Nie mogłem uniknąć spotkania z nim twarzą w twarz. Z nieludzką siłą chwycił mnie za ramię, poczułem na twarzy jego oddech.

W skąpym świetle zaledwie mogłem rozpoznać jego rysy, lecz cała jego postawa, sapanie, to ramię, które mi ścisnął jak kleszczami, świadczyło o irytacji i nieopanowanym gniewie.

— Pan mnie śledził! — zawołał niezbyt głośno, ale brzmiało to jak krzyk.

Z obrzydzeniem (czułem na twarzy jego oddech, czułem też zapach jego wilgotnej skóry) bąknąłem przerażony kilka słów, rozpaczliwie starając się zaprzeczyć.

— Pan się myli — zapewniałem go bezsensownie, nieomal mdlejąc ze wstrętu i z odrazy.

Jak mógł mnie zauważyć? Kiedy? W jaki sposób?

Nie do pomyslenia, żeby w normalny ludzki sposób mógł spostrzec, że go śledzę. A więc jak? Czyżby z po-

mocą kompana? Sekta posiada wszędzie nie ujawnionych kolaborantów, zajmują oni najmniej podejrzane stanowiska i pozycje: są to niańki, nauczycielki szkół średnich, panie z towarzystwa, bibliotekarze, konduktorzy w tramwajach. Nigdy nie wiadomo. Ale owej nocy potwierdziło się jedno z moich przypuszczeń, a raczej przeczuć dotyczących Sekty.

Wszystko to przemknęło mi przez myśl. w chwili kiedy walczyłem, by uwolnić się z jego kleszczy. Uciekłem co sił i przez dłuższy czas nie odważałem się kontynuować moich badań. Nie tylko ze strachu (który dręczył mnie nieznośnie), ale także z wyrachowania gdyż wyobrażałem sobie, że w wyniku tego nocnego epizodu mogę szybko znaleźć się pod ścisłym i niebezpiecznym nadzorem. Powiniennem przeczekać kilka miesięcy, a może i kilka lat. powiniennem zmylić ślady, pozwolić im uwierzyć, że był to zwyczajny pościg w celach rabunkowych.

Z górą trzy lata później pewien incydent naprowadził mnie na wielki trop i mogłem wreszcie dostać się do kryjówki ślepych. Społeczeństwo nadało tym ludziom nazwę Niewidomych: po części z powodu niefeminnej czułości. ale także niemal na pewno z powodu leku. który licznym sektom religijnym zabrania używać imienia bóstwa nadaremnie.

III Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy ludźmi, którzy utracili wzrok z powodu choroby lub wypadku, a ślepych od urodzenia. Tej właśnie różnicy zawdzięczam fakt, że w końcu dotarłem do ich kryjówek, chociaż co prawda nie dostałem się do najtajniejszych nor, z których wielu a nieznani hierarchowie sprawują rządy nad Sektą, a tym samym nad światem. Udało mi się zaledwie z owych, że tak powiem, przedmieść uzyskać pewne wiadomości, zawsze skąpe i mgliste, o tych potworach tudzież o środkach, jakimi posługują się w celu obanowienia całego świata. A więc dowiedziałem się, że taka hegemonie osiąga się i zachowuje przy pomocy anonimów, intryg, zarażania innych chorobami epidemicznymi, kontroli snów i koszmarów, somnambulizmu i rozpowszechniania narkotyków (nie mówiąc już o całkiem ordynarnym wyzyskiwaniu cudzego sentymentalizmu). Wystarczy

przypomnieć akcję z marihuaną i kokainą, którą wykryto w szkołach średnich w Stanach Zjednoczonych, gdzie deprawowano dzieci jedenasto- i dwunastoletnie, by uzyskać ich bezwarunkowe i absolutne posłuszeństwo. Śledztwo skończyło się oczywiście tam, skąd istotnie winno było zostać wszczęte: na nieprzekraczalnym progu.

Co się tyczy sprawowania władzy za pomocą snów, koszmarów i czarnej magii, to nie warto nawet trudzić się, ażeby udowodnić, że Sekta posiada dla tych celów na swe usługi w każdej dzielnicy całą armię widzących: czarownice, znachorów, kabalarki, spirytystów; wielu z nich, a nawet większość, to tylko komedianci, ale są i tacy, którzy posiadają niefałszowaną moc i — rzecz ciekawa — ukrywają ją zwykle pod pozorem pewnej szarlatanerii, ażeby tym skuteczniej zawładnąć otaczającym ich światem.

Jeżeli, jak powiadają, Bóg panuje nad niebiosami, to Sekta panuje nad ziemią i nad ciałem. Me jest mi wiadome, czy w ostatniej instancji organizacja ta wcześniej lub później nie będzie musiała dokonać obrachunku z tak zwaną Potęgą Światła, na razie wszakże jest rzeczą oczywistą, że cały świat znajduje się pod jej absolutną władzą, władzą życia i śmierci, którą sprawuje za pomocą epidemii i rewolucji, chorób i tortur, oszustwa i fałszywej litości, mistyfikacji i anoni mów, nauczycielek i inkwizytorów.

Nie jestem teologiem, i nie potrafię uwierzyć, że owe piekielne moce mogą znaleźć wytłumaczenie w jakiejś opacznej teologii. To w każdym razie byłoby teorią albo nadzieją. Tamto natomiast, co przeżyłem i przecierpiałem, to są fakty.

Powróćmy jednak do kwestii różnic.

A raczej nie; wiele jeszcze jest do powiedzenia na temat mocy piekielnych; ktoś naiwny bowiem mógłby pomyśleć, że idzie tu o zwykłą metaforę, a nie o twarłą rzeczywistość. Problem zła budził zawsze moje zainteresowanie; kiedy byłem dzieckiem, stawałem uzbrojony w młotek obok mrowiska i nagle ni stąd ni zowąd zaczynałem zabijać mrówki. W mrowisku powstawała panika, mrówki rozbiegały się jak opętane na wszystkie strony. Później urządziłem im potop z węża gumowego zalewałem mrowisko wodą. Wyobrażałem sobie, jakie tam. rozgrywają się sceny miotanie

się i spieszne wykonywanie robót na komendę, rozpaczliwa gonitwa dla uratowania składów żywności, jajeczek, zabezpieczenia królowych itd. W końcu burzyłem wszystko łopata, powodując nieodwołalną zagładę. Gdy to się już stało, oddawałem się medytacjom nad ogólnym sensem istnienia, rozmyślałem o naszych własnych potopach i trzęsieniach ziemi. Tak więc opracowałem szereg teorii, ponieważ myślałem, że rządzi nami wszechmocny, wszechwiedzący, dobry Bóg, zdawała mi się nieprawdopodobna i nie mogłem nawet przypuścić, iż można ją traktować poważnie. Później, w okresie kiedy należałem do szajki bandytów, opracowałem następujące możliwości:

1° Bóg nie istnieje.

2° Bóg istnieje i jest skończoną kanalią.

3° Bóg istnieje, ale czasem śpi; jego koszmarne sny to nasze istnienie.

4° Bóg istnieje, ale miewa ataki szału: te ataki to nasze istnienie.

5° Bóg nie jest wszechmocny, nie może być wszędzie. Czasem jest nieobecny. Czy przebywa wtedy w innym świecie? Czy w innej rzeczy?

6° Bóg to pocziwiec, który para się nazbyt trudnym jak na jego siły problemem. Walczy z materią, jak artysta walczy ze swoim dziełem. Czasami w jakiejś chwili udaje mu się być Brahmsem, ale na ogół nie osiąga dobrych wyników.

7° Bóg został w prapoczątkach pokonany przez Księcia Ciemności. Pokonany, przeistoczony w domnianego Szatana tym bardziej utracił autorytet, że obarcza się go winą za ten nieszczęsny świat.

Nie ja wynalazłem wszystkie te możliwości, chociaż w danej chwili byłem o tym przekonany; później sprawdziłem, że niektóre z nich stanowiły sedno ludzkich wierzeń, przede wszystkim hipoteza triumfującego Szatana. W ciągu tysiąca przeszło lat nieustraszone, światłe jednostki narażały się na śmierć i na tortury pragnąc zgłębić tajemnicę. Unicestwiano je i rozpraszano, gdyż, jak należy przypuszczać, siły rządzące światem nie zatrzymują się na drobiazgach, skoro mają możliwość uczynić to, co na ogół czynią. Obojętne, prostak czy geniusz, wszyscy byli na równi dręczeni, paleni przez Inkwizycję, wieszani, żywcem obdzierani ze skóry; całe narody zostały zdziesiątkowane

i rozproszone. Od Chin aż po Hiszpanię religie państwowe (chrześcijanie i mazdejscy) oczyszczały świat od wszelkich prób odkrycia tajemnicy. Należy stwierdzić, że w pewnej mierze osiągnęły swój cel. Choć bowiem niektóre spośród sekt nie mogły zostać unicestwione, to z kolei stały się nowym źródłem kłamstwa, jak to się zdarzyło z mahometanami. Oto jak wyglądał mechanizm: według gnostyków świat widzialny został stworzony przez Szatana zwanego Jehową. Najwyższe Bóstwo zostawiło mu na długo swobodę działania na ziemi, w końcu jednak wysłało swojego Syna, aby wcielony czasowo w postać Chrystusa uwolnił ludzkość od oszukańczych nauk Mojżesza. Mahomet, podobnie jak wszyscy inni gnostycy, widział w Chrystusie zwykłego człowieka i mniemał, że Syn Boży zstąpił i wcielił się w niego z chwilą, kiedy przyjął chrzest, lecz opuścił go podczas Męki; jakżeby inaczej można było wyjaśnić słynny okrzyk: „Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?” A Rzymianie i Żydzi, drwiąc z Chrystusa, drwili więc ze zjawy. Najważniejsze jest jednak to, że tym sposobem (obejmuje to i inne buntownicze sekty) kłamstwo nie tylko nie zostało zde-maskowane, lecz, przeciwnie, utwierdziło się jeszcze bardziej. Albowiem zarówno według mahometan, jak i według sekt chrześcijańskich, które twierdziły, że Jehowa to Szatan i że od Chrystusa zaczyna się nowa era, skoro Księżę Ciemności panował przed Chrystusem (albo przed Mahometem), to z chwilą gdy został pokonany, wrócił do piekieł. Zrozumiałe, że jest to podwójna mistyfikacja: zamiast osłabić to wielkie kłamstwo ci zacni ludzie jeszcze je umacniają. Moja konkluzja jest jasna: Księżę Ciemności panuje nadal. Sprawuje rządy poprzez Świętą Sektę Ślepców. Takie to proste, że chciałoby mi się śmiać, gdyby nie ogarniał mnie lęk.



IV Wróćmy jednak do tematu.

Przede wszystkim istnieje zasadnicza różnica pomiędzy ślepych od urodzenia a takimi, co utracili wzrok wskutek choroby lub wypadku. Oczywiście ci nowo przybyli nabierają z czasem wielu cech właściwych rasie, po części dzięki temu samemu mimetyzmowi. upodabniającemu Żydów do środowiska, które

ich nienawidzi i które nimi gardzi. Albowiem — co należy podkreślić — nienawiść ślepców do nowo przybyłych przewyższa tę, którą mają do ludzi widzących. Co jest przyczyną tego zjawiska? Początkowo sądziłem, że jest to ta sama przyczyna, która powoduje niechęć pomiędzy sąsiadującymi ze sobą narodami, a nawet wrogość pomiędzy rodakami; wiadomo, że najbardziej krwawe są wojny domowe, wystarczy przypomnieć walki wewnętrzne w Argentynie w ubiegłym wieku i wojnę w Hiszpanii. Pewna pannica, nazwiskiem Norma Gladys Pugliese, która służyła mi przez kilka miesięcy za obiekt do badań niektórych reakcji u osób o miernej inteligencji, uważała oczywiście, że przyczyną wojen i nienawiści pomiędzy ludźmi jest wzajemne niezrozumienie oraz ogólna ignorancja; musiałem jej wytłumaczyć, że jedynym sposobem utrzymania pokoju wśród ludzi jest właśnie wzajemna nieznanomość i niewiedza — tylko w tych warunkach stworzenia te są względnie łagodne i sprawiedliwe, wszyscy bowiem jesteśmy dosyć obojętni w stosunku do rzeczy, które nas nie obchodzą. Przy pomocy kilku podręczników historii oraz wiadomości politycznych z prasy wieczornej musiałem wyłożyć jej ABC stanu człowieczego, gdyż naiwna ta osoba, wychowana przez dystygowane guwernantki, wierzyła mniej więcej, że powszechna umiejętność czytania i pisania rozwiąże zasadniczy problem ludzkości. Na to przypominałem jej, że najwyżej pod tym względem stojący naród świata wprowadził obozy koncentracyjne dla tortur masowych i palenia Żydów i katolików.

W rezultacie wyskoczyła z łóżka, jak zwykle obrażona na mnie, zamiast obrazić się na Niemców; mity bowiem są silniejsze od faktów, które powinny je zburzyć, a mit powszechnego nauczania w Argentynie, jakkolwiek wydaje się nonsensowny i śmieszny, utrzymał się i będzie się utrzymywał wbrew licznym dowodom oraz wielu próbom ośmieszenia go.

^ Wracając jednak do nroblemu, który nas interesuje. Później, kiedy dokładniej poznałem Sektę, doszedłem o^o^ Przekonania, że czynnikiem decydującym o wrogości wobec nowo przybyłych jest duma kastowa, a co^{za} tym idzie, niechęć do ludzi, którzy zamierzają dostać się do kasty i którym się to w pewnej mierze

udaje. Nie odnosi się to oczywiście wyłącznie do ślepych, ta rzecz zdarza się również wśród śmietanki towarzyskiej, bardzo niechętnie godzącej się przyjąć do swego grona tych nielicznych, którym dzięki fortunie lub koligacjom małżeńskim udało się przestąpić najwyższe progi: zrazu tylko lekka pogarda stopniowo przeobraża się w coraz większą niechęć; ludzie z wyższych sfer, którzy dotąd czuli się opancerzeni, przeczuwają zapewne, że owa powolna, lecz stała inwazja zagraża ich bezpieczeństwu, i w końcu oni sami zaczynają doznawać paradoksalnego poczucia niższości. Wreszcie pewne znaczenie ma również fakt, że człowiek, który jeszcze wczoraj był ich nieświadomą ofiarą i przedmiotem bezlitosnych machinacji, wdiera się nagle w ich tajemnice. Staje się uciążliwym świadkiem i będąc pozbawiony jakiegokolwiek możliwości powrotu do swego pierwotnego świata, odkrywa z przerażeniem myśli i uczucia istot, które uważał za szczyt bezbronności.

Wszystko powyższe jest oczywiście analizą, i co gorsza analizą za pomocą słów i pojęć odnoszących się do nas. Ściśle biorąc, posiadamy tyleż możliwości zrozumienia świata ślepych, co świata kotów albo węży. Mówimy, że koty są niezależne, są arystokratyczne i zdradzieckie, są fałszywe; ale w rzeczywistości wszystkie te pojęcia mają względną wartość, ponieważ stosujemy wartościowanie i przykładamy pojęcia ludzkie do istot z nami nieporównywalnych: podobnie człowiek nie jest w stanie wyobrazić sobie bogów bez pewnych cech ludzkich. Doprowadziło to do śmieszności: greckim bogom przypięto rogi.

V Opowiem teraz, jak pojawił się na scenie zecer Celestino Iglesias i w jaki sposób natrafiłem na wielki trop. Przedtem jednak chciałbym opowiedzieć, kim iestem, czym się zajmuję itd.

Nazywam się Fernando Vidal Olmos, urodziłem się 24 czerwca 1911 roku w Capitan Olmos. na wsi noszącej imię mojego pradziadka, w prowincji Buenos Aires. Mam metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, ważę około siedemdziesięciu kilogramów, oczy szarozielone, włosy gładkie, siwe, znaków szczególnych brak.

Mógłby ktoś zapytać po jakiego diabła odpisuję

dane z dowodu osobistego. Nic nie dzieje się przypadkiem na tym ludzkim świecie.

W dzieciństwie nawiedzał mnie często pewien sen: widziałem małego chłopca (dziwna rzecz, tym chłopcem byłem ja sam, a widziałem siebie i obserwowałem się, jakbym był kim innym). Chłopiec bawił się w milczeniu w jakąś grę, której nie mogłem pojąć. Przypatrywałem mu się uważnie, starając się zgłębić znaczenie jego gestów, spojrzeń i słów, które szeptał. Patrzył na mnie z powagą i nagle powiedział: „Obserwuję cię tej ściany na podłodze; nie wiadomo, co się stanie, jeżeli ten cień zacznie się poruszać”. W słowach tych pobrzmiwało trwożne, lecz ogromne wyczekiwanie. Wówczas także i ja zacząłem z przerażeniem przyglądać się ścianie. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że nie chodziło tu o zwykłe przesuwanie się cienia wskutek ruchu słońca: było to COŚ INNEGO. A więc i ja patrzyłem ze strachem na cień. Aż zauważyłem, że cień powoli, ale wyraźnie, zaczyna się poruszać. Budziłem się z krzykiem, obłany potem. Co to było? Jakie ostrzeżenie, jaki znak? Kładłem się co wieczór z lękiem, że sen się powtórzy. I co rano budziłem się z uczuciem ulgi, że tym razem uniknąłem niebezpieczeństwa. Czasami jednak nadchodził ów straszliwy moment: znowu widziałem we śnie chłopca, ścianę i cień; chłopiec znowu patrzył na mnie z powagą, znowu wypowiadał te dziwne słowa, a ja znowu spoglądałem z trwożnym wyczekiwaniem na cień ściany i widziałem, jak zaczyna się poruszać i zmieniać kształt. Wówczas z krzykiem budziłem się obłany potem.

Sen dręczył mnie przez długie lata, rozumiałem bowiem, że jak wszystkie niemal sny powinien mieć ukryte znaczenie, a w takim razie jest niewątpliwym zwiastunem czegoś, co kiedyś mi się przydarzy. Nie wiem teraz, czy ów sen był zwiastunem tego, co mi się później przydarzyło, czy też był jego symbolicznym początkiem. Pierwszy raz stało się to już dawno temu, miałem niespełna dwadzieścia lat i byłem heroldem bandy (postaram się później opowiedzieć o tych przygodach). Nagle owładnęła mną myśl, że rzeczywistość może ulec zniekształceniu, jeśli nie wytęzę całej mojej woli, aby utrzymać ją taką, jaka jest. Złąłem się, że otaczający mnie świat w każdej chwili może 235

zacząć się poruszać, wykoślawiać, najpierw z wolna, później gwałtownie, może się rozpaść, przemienić, utracić wszelki sens. Jak ów chłopiec ze snu całą siłą woli wpatrywałem się w ten jakiś cień, którym jest otaczająca nas rzeczywistość: cień o pewnej strukturze lub ściana, której dokładnie widzieć nie możemy. I oto nagle (leżałem na łóżku w moim pokoju na Avellaneda *, na szczęście sam) ujrzałem z przerażeniem, że cień zaczyna się poruszać i dawny sen zaczyna się urzeczywistniać. Doznałem zawrotu głowy, straciłem przytomność i zapadłem w jakiś odmęt, w końcu jednak ogromnym wysiłkiem zdołałem wypłynąć na powierzchnię i jałem umocowywać dryfujące odłamki rzeczywistości. Pewnego rodzaju kotwica. Właśnie tak: musiałem jak gdyby zakotwiczyć rzeczywistość, lecz okręt ten składał się z wielu luźno z sobą spojonych części i wprawdzie trzeba było je wszystkie umocować, później dopiero zarzucić ciężką kotwicę, aby nie uniósł go prąd. Niestety przeżycie to powtarzało się, czasem nawet znacznie intensywniej. Odczuwałem nagle, że oto wszystko zaczyna się rozluźniać i szybko rozpadać, ale ponieważ znałem, już objawy, nie poddawałem się jak za pierwszym razem, lecz natychmiast zaczynałem energicznie przeciwdziałać. Ludzie nie mogli pojąć, co się ze mną dzieje; widząc, że się skupiam, ■że wytrzeszczam oczy i wpatruję się w jeden punkt, sadzili, że oszalałem, a tymczasem było na odwrót, właśnie na odwrót, gdyż dzięki temu wysiłkowi udawało mi się utrzymywać rzeczywistość we właściwej jej postaci i na swoim miejscu. Czasem jednak mimo największych moich usiłowań rzeczywistość zaczynała wykrzywiać się, zniekształcać, jak gdyby była z gumy i jakby z wszystkich krańców świata, z Syriusza, % Ziemi, zewsząd, działały na nią olbrzymie siły ciśnienia: jakaś twarz zaczyna oferzmiewać, z jednej strony wzdyma się w kulę, oczy z wolna zlewają się w jedną całość, usta stają się coraz większe, aż nękają, straszliwy grymas wykrzywia całe oblicze. Co gorsza, zastanawiałem się później nad tym zjawiskiem, zadawałem sobie pytanie, czy przypadkiem nie jest odwrotnie: czy czasami człowiek (ja) nie żyje w pewnego rodzaju śnie i czy te zniekształcenia i wybuchy nie są tisiłow-

* Przedmieście robotnicze Buenos Aires. (Przyp. aut.)

niem powrotu do prawdziwej rzeczywistości. Czy na co dzień nie oszukują nas oczy? Czy w ogólności nie zwodzą nas zmysły?

Tak czy inaczej, chwile te przerażały mnie, męczyła mnie konieczność zachowania przytomności umysłu, napiętej uwagi i czujności. Zapragnąłem nagle dostać się do domu obłąkanych, gdzie mógłbym wreszcie odpocząć, gdyż nikt nie ma tam obowiązku starać się, by rzeczywistość pozostawała w takim stanie, w jakim się rzekomo znajduje. Tam, w domu obłąkanych można powiedzieć (i z pewnością tak mówią): „A teraz niech się dzieje, co chce”.

Najgorsze jednak rzeczy nie działy się w moim otoczeniu, ale we mnie samym, albowiem moje własne ja zaczynało się nagle zniekształcać, rozciągać się, ulegać metamorfozie. Nazywam się Fernando Vidal Olmos, te trzy słowa stanowią jakby pieczęć, jak gdyby gwarancję, że jestem „kimś”, kimś dokładnie określonym: nie tylko kolorem oczu, wzrostem, rokiem i dniem urodzenia, imionami rodziców (to znaczy przez dane zawarte w dowodzie osobistym), ale przez coś znacznie głębszego, o charakterze duchowym — przez całokształt wspomnień, uczuć, myśli, które stanowią 0 wewnętrznej strukturze tego kogoś, kim jest Fernando Vidal, a nie listonosz lub rzeźnik. Czy jednak w tym ciele zarejestrowanym w książeczce wojskowej nie może nagle, wskutek jakiegoś kataklizmu, zamieszkać dusza portiera lub umysł markiza de Sade? Czy istnieje nienaruszalny związek pomiędzy moim ciałem 1 moją duszą? Zawsze wydawało mi się dziwne, że można rosnać, mieć złudzenia, przeżywać ciosy, iść na wojnę, cofać się umysłowo, zmieniać przekonania, zmieniać uczucia i wciąż nosić to samo imię: Fernando Vidal. Czy to ma sens? Czy też jest prawdą, że mimo wszystko istnieje jakaś nić, nieskończenie rozciągliwa, ale cudownie jednolita, która poprzez wszystkie zmiany i katastrofy zachowuje identyczność mojego ja? Nie wiem, jak to bywa u innych. Mogę tylko stwierdzić, że we mnie ta identyczność czasem zatracą się raptownie i że deformacja mojego ja osiąga nagle olbrzymie wymiary: ogromne regiony mego umysłu zaczynają nabrzmiwać (czasem aż odczuwam ciśnienie fizyczne w ciele, a zwłaszcza w głowie), zdążają niby milczące, zagadkowe pseudopodia ku innym re-

gionom gatunku ludzkiego, w końcu nawet ku mrocznym, prastarym regionom, zoologicznym: jakieś wspomnienie zaczyna nabrzmiewać, stopniowo przestaje być tą melodią z Tańca *ważek*, którą kiedyś w moim dzieciństwie ktoś grał wieczorem na fortepianie, a staje się coraz dziwniejszą, coraz bardziej bezładną muzyką, a ta z kolei przemienia się w krzyki i jęki, to znów w przejmujące wycie, w ogłuszające dzwonienie, aż wreszcie — rzecz znamienita — dźwięki zaczynają przekształcać się w ostre, obrzydliwe smaki, jak gdyby z uszu przeszły do ust, dostają wtedy skurczu żołądka i torsji; równocześnie inne dźwięki, inne wspomnienia i uczucia ulegają podobnym przemianom i czuję, że świadomość moja, czy też moje ja, obojętne zresztą co, przeistacza się w inne potworne ja, gdzie zmysły zamieniają się rolami, gdzie trzaski lub grzmoty przekształcają się w odrażające zapachy, wspomnienia w przewidywania, przeszłość w przyszłość, teraźniejszość rozbija się na tysiące odłamków o jaskrawych barwach lub dźwiękach, pamięć otwiera się niby ogromna skrzynia, a pustosząca nawałnica natychmiast ją burzy, płęć przemienia się w nienawiść albo w chrząkanie, słowa tracą swój sens i nabierają innego nieoczekiwanego znaczenia, czuję też, że w moich duszach mieszkają tabuny zwierząt, prawdziwych i urojonych: tygrysy, hieny, nie donoszone płody, smoki i meduzy.

Czasem przychodzi mi na myśl, że reinkarnacja istnieje chyba naprawdę i że w najbardziej ukrytych zakamarkach naszego ja drzemią wspomnienia istot, które nas poprzedzały, podobnie jak zachowujemy w sobie resztki ryby czy też gada; obojętne przez nowe ja i przez nowe ciało, lecz gotowe obudzić się i wyjść, kiedy siły, ciśnienia, druty kolczaste i śruby, trzymające w korbach obecne ja, z jakichś nieznanych nam powodów osłabną i ustąpią, i prehistoryczne bestie, co w nas mieszkają, wydostaną się na wolność.

To co dzieje się nocą w czasie snu, wymyka się nagle spod naszej kontroli i koszmar uzyskuje nad nami władzę również i w jasny dzień.

Jak długo jednak wola mi dopisuje, czuję się do pewnego stopnia bezpieczny, gdyż wiem, że dzięki niej potrafię wyostać się z chaosu i zreorganizować mój

świat: moja wola jest silna, gdy funkcjonuje. Gorzej bywa, kiedy czuję, że moje ja rozpada się, także jeśli idzie o wolę. Wydaje mi się wtedy, że wola jeszcze do mnie należy, ale części ciała lub systemu, który ją przekazuje, już nie. Albo też, że ciało jest moje, „coś” jednak odgradza je od woli. Na przykład: chcę poruszyć ramieniem, lecz ramię nie jest mi posłuszne. Skupiam całą uwagę na ramieniu, patrzę nań, dokonuję wysiłku, ono jednak odmawia mi posłuszeństwa. Jak gdyby komunikacja pomiędzy mózgiem a ramięm została przerwana. Zdarza mi się to nieraz; jestem jakby terenem, który nawiedziło trzęsienie ziemi: utworzyły się ogromne wyrwy i zerwane zostały przewody telefoniczne. W takich warunkach wszystko może się przytrafić: nie ma policji ani wojska. Spotkać mnie może kradzież, rabunek, każda niedola. Moje ciało tak jakby należało do kogoś innego, a ja bezwładny i niemy patrzę, jak na tym obcym terenie zaczynają się podejrzane ruchy, drgania, zapowiadające nowe wstrząsy, aż stopniowo, z coraz większą mocą kolejna żywiołowa klęska spada na moje ciało, a w końcu i na mój umysł.

Wyznam to wszystko, ażebyście mnie zrozumieli. I dlatego jeszcze, że pewne wypadki, o których opowiem, byłyby inaczej niezrozumiałe i mało wiarygodne. A zdarzały się one przeważnie z powodu owego katastrofalnego rozszczępienia mojej osobowości; nie pomimo niego, ale właśnie dzięki niemu.

VI Niniejszy raport przeznaczony jest po mojej śmierci, a więc w najbliższej przyszłości, dla pewnego instytutu, który uważa za wskazane kontynuować moje studia nad światem ślepych; dotychczas nie był on jeszcze przedmiotem badań. Dlatego też mój raport ogranicza się wyłącznie do FAKTÓW. Zależą jego jest, moim zdaniem, bezwzględny obiektywizm: o moich przeżyciach będę mówił, jak podróżnik opowiada o swych ekspedycjach do Amazonii lub do Afryki Środkowej. Jest zrozumiałe, że namiętność lub gniew nieraz mogą zamącić mój sąd, ale dołożę wszelkich starań, aby nie dać się porwać podobnym uczuciom. Miałem zadziwiające przeżycia, lecz dlatego właśnie pragnę trzymać się faktów, mimo że fakty te 239

rzucają nieprzyjemne światło na moje własne życie. Po tym, co zamierzam opowiedzieć, nikt rozsądny nie powie, że przez ten dokument pragnąłem wzbudzić sympatię dla siebie.

Na dowód mojej szczerości przyznam się do czegoś, co nie jest przyjemne: nie mam i nigdy nie miałem przyjaciół. Miewałem, rzecz jasna, namiętności, ale nigdy nie darzyłem nikogo uczuciem, a sądzę, że i mnie nikt uczuciem nie darzył.

Utrzymywałem, oczywiście, stosunki z wieloma ludźmi. Miewałem „znajomych”, jak zwykło się ich określać tym tak mglistym wyrażeniem.

Jednym z tych znajomych, który miał odegrać ważną rolę w dalszych wypadkach, był pewien Hiszpan, szczupły i małomówny, nazwiskiem Celestino Iglesias.

Ujrzałem go po raz pierwszy w 1929 roku, w ośrodku anarchistów Avellanedy, noszącym nazwę „Świt”. Bywałem u anarchistów, ponieważ już wtedy nosiłem się z nie sprecyzowanym zamiarem zorganizowania szajki bandytów, którą istotnie nieco później zorganizowałem, a choć nie wszyscy anarchiści są bandytami, to spotykało się między nimi wszelakiego autoramentu awanturników, nihilistów, a zatem wrogów społeczeństwa, w których zawsze mnie coś pociągało. Jednym z nich był Osvaldo R. Podesta, który brał udział w napadzie na bank w San Martin i który podczas wojny w Hiszpanii został w pobliżu portu Tarragona zastrzelony przez swoich czerwonych, właśnie wtedy, kiedy zamierzał uciec z Hiszpanii kutrem naładowanym pieniędzmi i biżuterią.

Iglesiasa poznałem za pośrednictwem Podesty, było to tak, jak gdyby wilk przedstawił mi jagnię. Iglesias bowiem należał do anarchistów dobrotliwych; nie był zdolny zabić nawet muchy, był pacyfistą, jaszem (nie chciał żyć ze śmierci żyjących istot) i żywił tę jakąś fantastyczną nadzieję, że świat będzie kiedyś serdeczną wspólnotą wolnych i braterskich spółdzielców. Ten Nowy Świat będzie porozumiewał się wspólnym językiem, a językiem tym będzie esperanto. Dlatego więc przyswajał sobie nie bez trudu esperanto, stanowiące coś w rodzaju aparatu ortopedycznego, który nie tylko jest okropny (co dla uniwersalnego języka nie byłoby jeszcze najgorsze), ale praktycznie

nikt nim nie mówi (co dla uniwersalnego języka jest katastrofalne).

Z wielkim wysiłkiem pisywał w języku esperanto listy do kilku spośród pięciuset osób na świecie myślących podobnie jak on.

Rzecz dziwna, a jednak wśród anarchistów dość często spotykana: istota tak anielska jak Iglesias mogła jednak zajmować się fałszowaniem pieniędzy. Po raz drugi spotkałem go właśnie w piwnicy przy ulicy Boedo, gdzie Osvaldo R. Podesta miał wszystkie potrzebne do tego procederu przyrządy i gdzie Iglesias wykonywał pewne tajne funkcje.

W owym czasie miał on trzydzieści pięć lat, był chudy, bardzo śniady, maleńki, suchy jak wielu Hiszpanów; poznać po nich, że mieszkali na wypalanej ziemi, źle się odżywiali, w lecie suszył ich niemiłosierny skwar, a w zimie bezlitosny mróz. Był niezwykle hojny, nigdy nie miał grosza przy duszy (cały swój zarobek, a także fałszywe pieniądze wydawał na syndykat albo też pakował w nieczyste interesy Podesta), stale gościł w swojej izdebce jednego lub dwóch darmozjadów, których tak wielu kręci się wśród anarchistów, i choć nie był zdolny zabić nawet muchy, większą część życia spędził w więzieniach hiszpańskich i argentyńskich. Iglesias, podobnie trochę jak Norma Pugliese, wyobrażał sobie, że ludzkość można uchronić od wszystkich nieszczęść za pomocą mieszaniny Wiedzy i Wzajemnego Poznania. Należy walczyć przeciwko Ciemnemu Mocom, które od wieków przeciwstawiają się tryumfowi Prawdy. Lecz Postęp Idei trwa nieprzerwanie i wcześniej czy później niechybnie nadejdzie Świt. Tymczasem należy walczyć przeciwko zorganizowanym siłom Państwa, piętnować Kłamstwo i Oszustwo Kleru, podważać Armię i popierać Oświatę wśród Ludu. Powstawały czytelnice, w których obok dzieł Bakunina i Kropotkina stały powieści Zoli oraz tomy Spencera i Darwina, jako że nawet teorię ewolucji uważali za wywrotową; jakiś dziwny związek łączy według nich historię Ryb i Torbaczy z Tryumfem Nowych Idei. Nie brakło również *Energetyki* Ostwalda, owej, rzecz można, termodynamicznej *Biblii*, w której Bóg zastąpiony jest przez istotę laicką, równie jak on niezrozumiałą, zwaną

■Łnergią. Wszechmocna ta istota wszystko wyjaśnia, 241

⁶ O bohaterach i grotach

a ma tę przewagę, że bierze udział w Postępie i w Napędzie. Mężczyźni i kobiety, którzy się w tych czytelnich spotykali, wchodzili rychło w wolne związki i wydawali na świat dzieci, które nazywali imionami takimi, jak Luz, Libertad, Nueva Era* lub Giordano Bruno.

Wskutek działania mechanizmu, który nakazuje synom zwracać się przeciw rodzicom, albo też po prostu dzięki skomplikowanemu i na ogół dialektycznemu Biegowi Czasu, dzieci te przeważnie wyrastały na zwykłych burżujów, łamistrajków, a nawet na zaciekłych prześladowców Ruchu, jak to się działo w przypadku osławionego komisarza Giordana Bruna Trenti.

Po wybuchu wojny w Hiszpanii przestałem się widywać z Iglesiasem, gdyż jak wielu innych pojechał bić się pod sztandarem Federacji Anarchistów Iberyjskich. W 1938 roku schronił się do Francji, gdzie zapewne miał sposobność ocenić braterskie uczucia tego narodu tudzież korzyści płynące z Sąsiedztwa i gdzie nabył Wiedzy o Obcości i Wzajemnym Niezrozumieniu. Stamtąd mógł w końcu powrócić do Argentyny. Tutaj też spotkałem go znowu w kilka lat po owym zajściu w kolei podziemnej, o którym już opowiadałem. Byłem wtedy związany z pewną grupą fałszerzy, a ponieważ potrzebowaliśmy człowieka zaufanego i mającego doświadczenie, przyszedł mi na myśl Iglesias. Poszukiwałem go wśród dawnych znajomych, w grupach anarchistów La Płaty i Avellanedy, w końcu natknąłem się na niego: pracował jako zecer w drukarni Krafta.

Zauważyłem, że był zmieniony, przede wszystkim na skutek kalectwa: stracił na wojnie prawą nogę. Bardziej jeszcze niż dawniej był wysuszony i zamknięty w sobie.

Wahał się, lecz w końcu przystał, gdy wyjaśniłem mu, że pieniądze te przeznaczone zostaną na pomoc dla pewnej grupy anarchistów szwajcarskich. Nietrudno go było przekonać o czymkolwiek, co dotyczyło sprawy, choćby to na pierwszy rzut oka wydawało się utopią, a zwłaszcza kiedy było naprawdę utopią.

Był naiwny ponad wszelką miarę — czyż nie praco-

* Luz — światło, Libertad — wolność; Nueva Era — nowa era. (Przyp. tłum.)

wał dla takiego szubrawca jak Podesta? Wahałem się chwilę, jaką narodowość wybrać dla tych anarchistów, i w końcu zdecydowałem się na Szwajcarię, uważając to za dobry żart, gdyż człowiekowi normalnemu równie trudno jest uwierzyć w istnienie anarchistów w Szwajcarii, jak przypuścić, że w kasie pancерnej mogą znajdować się szczury. Kiedy po raz pierwszy przejeżdżałem przez ten kraj, odniosłem wrażenie, że służba wymiata go każdego ranka do czysta (śmiecie wyrzucają na pewno do Włoch). Wrażenie to było tak mocne, że nasunęło mi myśl o narodowej mitologii. Dowcipy są zasadniczo prawdziwe, gdyż są zmyślone, zmyśla się dowcip po to, by dopasować go do jakiejś osoby. Podobnie ma się rzecz z mitami narodowymi; fabrykuje się je celowo, aby lepiej uchwycić ducha narodu. Otóż przyszło mi wtedy do głowy, że legenda o Wilhelmie Tellu wiernie oddaje ducha Szwajcarów: każąc ojcu trafić strzałą w jabłko, i to dokładnie w sam jego środek, stracili jedyną sposobność posiadania wielkiej tragedii narodowej. Czegóż można spodziewać się po takim kraju? W najlepszym wypadku rasy zegarmistrzów.

VII Mógłby ktoś pomyśleć, że jedynie dzięki wielkiemu nagromadzeniu przypadków dostałem się w końcu do świata ślepców: gdybym nie miał kontaktu z anarchistami, gdybym pośród anarchistów nie spotkał takiego człowieka jak Iglesias, gdyby Iglesias nie fałszował pieniędzy, a nawet gdyby je fałszował, lecz nie uległ wypadkowi, który pozbawił go wzroku itd.

Dalej już nie będę wyliczał. Zdarzenia są lub zdają się być przypadkowe, zależnie od punktu widzenia. Gdyby patrzeć pod innym kątem na rzeczywistość, dlaczegóż by nie przypuszczać, że wszystko, co się nam przydarza, jest celowe?

Ślepi zaprzętały moją uwagę już od dziecka; jak daleko sięgam pamięcią, przypominam sobie, że zawsze miałem ten sam niejasny zamiar wejść kiedyś w świat, który oni zamieszkują. Gdybym nie miał pod ręką Iglesiasa, wymyśliłbym jakiś inny sposób, gdyż całą mocą mego umysłu zdążyłem do tego celu. Kiedy bowiem człowiek systematycznie i z energią zdąży do

celu leżącego w granicach możliwości tego świata, kiedy mobilizuje nie tylko świadome siły swojej osobowości, ale i tamte znacznie potężniejsze siły podświadome, wtedy ostatecznie stwarza dookoła siebie pole sił telepatycznych i w jego zasięgu narzuca swoją wolę innym jednostkom. Zdarzają się rzeczy na pozór przypadkowe, lecz w istocie z góry narzucone przez owe niewidzialne moce naszego umysłu. Po mojej nieszczęsnej przygodzie ze ślepcem z kolei podziemnej myślałem sobie nieraz, że potrzebny byłby mi jakiś pośrednik pomiędzy obydwoma królestwami, ktoś, kto utracił wzrok w wypadku i należy jeszcze, choćby przez jakiś czas, do naszego świata widzących, a równocześnie stoi już jedną nogą na tamtym terenie. Kto wie, czy ta myśl, która z każdym dniem coraz bardziej mnie absorbowowała, nie ośwładnęła moją podświadomością do tego stopnia, że w końcu, jak rzekłem, stworzyła niewidzialne, lecz silne pole magnetyczne, i jednej z osób, które się znalazły w zasięgu jej działania, nie narzuciła czegoś, czego w danym momencie najgorzej] pragnąłem: utraty wzroku na skutek wypadku.

Badając okoliczności, w których Iglesias manipulował owymi kwasami, przypominam sobie, że eksplozja nastąpiła w chwilę po moim wejściu do laboratorium; myślałem wtedy intensywnie o tym, że gdyby Iglesias zbliżył się do palnika bunsenowskiego, mógłby nastąpić wybuch. Czyżbym to przewidział? Nie wiem. Kto wie, czy wypadek ten nie został w jakiś sposób wywołany przez moje pragnienie, czy wypadek, mogący uchodzić za zjawisko typowe dla obojętnego świata materialnego, nie był właśnie zjawiskiem typowym dla świata, w którym powstają i rozwijają się nasze najbardziej mgliste obsesje. Ja sam nazbyt dobrze pamiętam to zdarzenie, bo nastąpiło ono w okresie, kiedy życie było dla mnie trudem ponad siły; czułem się wtedy jak kapitan okrętu podczas burzy, kiedy huragan wymiata pomosty i kadłub trzeszczy w spójnię pod naporem wichrów. Usiłowałem zachować przytomność umysłu, by wszystko pozostało na swoim miejscu, z całych sił starałem się wśród rozszalałych fal i ciemności utrzymać kurs. Potem padałem jak martwy na łóżko, wyzuty z woli, z ogromnymi lukami w pamięci, jak gdyby burza spustoszyła mój umysł.

Dopiero po kilku dniach wszystko wracało po trosze do normalnego stanu; w miarę jak burza przycichała, działały się zwyczajne rzeczy, pojawiali się i wracali ludzie z mego codziennego życia, lecz wszystko było smutne, zniszczone i szare.

Po takich okresach powracałem do normalnego życia z mglistym wspomnieniem mojej poprzedniej egzystencji. Tak więc z wolna Iglesias pojawił się znowu w mej pamięci i z trudnością odbudowałem zdarzenia, których punktem szczytowym była eksplozja. VIII Wiele zaszło wypadków, zanim sprawa posunęła się o tyle naprzód, że mogłem zauważyć pewne wyniki. Nietrudno bowiem wyobrazić sobie, że ów pas graniczny pomiędzy obydwoma światami pełen jest potknięć, nieudanych prób i niewyraźnych sytuacji. Do środowiska ślepców, zważywszy na jego tajemniczy i okrutny charakter, nie można dotrzeć, jeśli nie przejdzie się uprzednio całego szeregu przemian.

Proces ten śledziłem z bliska, nie rozstając się prawie wcale z Iglesiasem. Był to najpewniejszy sposób wślizgnięcia się do zakazanego świata; nie zamierzałem przepuścić tej okazji przez popełnienie grubych błędów. Starłem się więc w miarę możliwości być zawsze przy nim, ale nie chciałem też wzbudzać podejrzeń. Pielęgnowałem go, czytałem mu Kropotkina, rozmawialiśmy o Wzajemnej Pomocy, przede wszystkim jednak obserwowałem go i czekałem. Powiesiłem w moim pokoju naprzeciw łóżka wielki karton z napisem-
OBSERWOWAĆ
CZEKAĆ

Powiedziałem sobie' wcześniej czy później muszą się pojawić; w życiu ociemniałego musi nadejść taka chwila, kiedy ONI się po niego zgłoszą. Lecz moment ten (niepokoiłem się) może przejść nie zauważony, Jest nawet prawdopodobne, że będzie to na pozór chwila mało ważna, zwyczajna. Postanowiłem bacznie śledzić najbliższe szczegóły, pilnować każdego, kto się do niego zbliży, choćby wydawał się najmniej

podejrzany, i co w tym wypadku było niezbędne, przechwytywać listy, telefony itd. Jak widać z powyższego, program ten był trudny i skomplikowany. Ażeby mieć pojęcie, jaki mnie w owych dniach zżerał niepokój, wystarczy pomyśleć o jednym tylko szczególe: każdy, kto mieszkał w pensjonacie, mógł nie wiedząc nawet o tym być wysłannikiem Sekty; osoba ta mogła widywać Iglesiasa wtedy, kiedy ja nie mogłem go kontrolować, mogła nawet czekać na niego w toalecie. Głowiłem się całymi nocami i układałem tak szczegółowe plany obserwacji, że do ich wykonania musiałbym rozporządzać większą organizacją szpiegowską, niż ją posiada kraj prowadzący wojnę; groziłoby przy tym stale niebezpieczeństwo kontrwywiadu, gdyż, jak powszechnie wiadomo, każdy szpieg może być podwójnym szpiegiem i nie sposób się przed tym uchronić. Wreszcie w wyniku długich rozważań — omal nie doprowadziły mnie one do szaleństwa — uprościłem mój plan i ograniczyłem go do rzeczy, które mogłem sam wykonać. Należało być dokładnym i cierpliwym, 'działać śmiało, ale w rękawiczkach; moje nieudane doświadczenie z ciemnym typem z kolejki ipodziemnej nauczyło mnie, że drogą * gwałtownych ataków frontalnych nic nie wskóram. Użyłem słowa „śmiało”, ale mógłbym również napisać „z niepokojem”. Obawiałem się, że od owego nocnego epizodu znajduję się pod najściślejszym nadzorem Sekty. Żadne środki ostrożności nie wystarczały. Podam (przykład: siedziałem raz w kawiarni przy ulicy Paso udając, że czytam gazetę. Nagle podniosłem niespodzianie wzrok znad gazety i spojrzałem na Juanita; sądziłem, że zauważę w nim coś podejrzanego, jakiś lekki błysk oczu, jakiś rumieniec. Skinieniem ręki wezwałem go do siebie. „Juanito — rzekłem stwierdziwszy, że się nie zaczerwienił — dlaczego się zarumieniłeś?” Kelner — rzecz jasna — zaprzeczył. Ale była to też znakomita próba: gdyby nie zaprzeczył i nie zaczerwienił się przy tym, mogło to świadczyć o jego niewinności; gdyby się zaczerwienił — uwaga! A jednak sam fakt, że się nie zaczerwienił na moje pytanie, również nie znaczył, że Juanito nie ma nic wspólnego ze spiskiem (dlatego napisałem „mogło świadczyć”), ponieważ dobry szpieg powinien panować nad swoimi odruchami,

Wszystko to można by uważać za objawy manii prześladowczej, późniejsze jednak zdarzenia WYKAZA, że moja nieufność i moje obawy nie były niestety tak nieuzasadnione, jak by się to mogło wydawać. Dlaczego jednak odważyłem się na tak niebezpieczny eksperyment? Otóż dlatego, że licząc na niedoskonałość rzeczywistego świata byłem pewny, że ani dozór, ani służba szpiegowska ślepych nie mogą być wolne od błędów. Liozyłem też na co innego, co logicznie można było przewidzieć: na wzajemne nienawiści i antypatie panujące wśród ślepych, podobnie jak w każdej innej grupie śmiertelników. W sumie doszedłem do wniosku, że widzący napotyka przy badaniu tego środowiska trudności pokrewne tym, jakie czekały szpiega angielskiego w pedantycznym, lecz pełnym szczelin i wzajemnych zawiści reżymie hitlerowskim.

Niemniej problem był podwójnie skomplikowany, gdyż, jak należało się spodziewać, w umysłowości Iglesiasa zaczęły zachodzić zmiany; co prawda zamiast mówić o umysłowości powinienem raczej użyć wyrażenia „rasa” lub „gatunek zoologiczny”. Było to tak, jak gdyby Wskutek jakiegoś eksperymentu z genami istota ludzka zaczęła powoli, lecz nieuchronnie przeobrażać się w nietoperza lub w jaszczurkę, a co gorsza jej wygląd zewnętrzny nie wykazywał przy tym tak głębokich zmian.

Nie jest przyjemnie znaleźć się w nocy po ciemku w zamkniętym pokoju sam na sam z nietoperzem, zwłaszcza kiedy ten skrzydlaty szczur lata dookoła ciebie, a już trudno wytrzymać, kiedy w locie muska ci twarz swym wstrętnym skrzydłem O ileż przykrzejsze jest wrażenie, kiedy to stworzenie ma postać ludzika! Iglesias przechodził właśnie subtelną przemianę; ikto inny mógł jej nawet nie zauważyć, ale dla mnie, śledzącego go uparcie i systematycznie było to oczywiste.

Z dnia na dzień stawał się coraz bardziej nieufny.

Zrozumiałe: nie był jeszcze prawdziwym ślepcem,

^U *iiejącym poruszać się w ciemności i posiadającym wyostrzone zmysły słuchu i dotyku, a już nie należał do ludzi, którzy patrzą i widzą. Miałem wrażenie, że czuje się zagubiony, nie umiał rozróżnić 0'dległości,

^m ylił się w ruchach, potykał się, ręce mu drżały, kig- 247

dy niósł przed sobą szklanę. Irytował się, choć duma nie pozwalała mu przyznać się do tego.

— Nie przejmuj się, Iglesias — mówiłem mu, choć powinienem był milczeć i udawać, że nic nie zauważam.

To go jeszcze bardziej rozdrażniało. Studiowałem jego reakcję, do tego właśnie zmierzałem.

Nagle milkłem; chciałem, aby otoczyła go zupełna cisza. Zupełna cisza jest dla ślepego tym samym, czym dla nas jest głęboka przepaść dzieląca nas od reszty świata. Nie wie on wtedy, czego się ma trzymać, w zupełnej ciszy, która jest ciemnością ślepych, zrywają się wszystkie więzy ze światem zewnętrznym. Musi więc czujnie nasłuchiwać najdrobniejszych szmerów, gdyż ze wszystkich stron czyha nań niebezpieczeństwo.

W takich chwilach ślepiec jest samotny i bezradny. Zwykle tykanie zegarka staje się światełkiem w oddali; w bajce dla dzieci takie światełko ratuje przerażonego wędrowca, który zabłądził w lesie.

Wtedy, niby to niechcący, lekko pukałem palcem w stół albo w krzesło i od razu spostrzegłem, z jakim nerwowym lękiem kieruje całą swą istotę w moją stronę. Pytał się może w swym osamotnieniu: Co Vidal zamierza? Gdzie jest? Dlaczego tak długo milczy? Bez wątplenia, był w stosunku do mnie bardzo podejrzliwy. Z każdym dniem rosła jego nieufność, a po trzech tygodniach, kiedy zakończyła się jego metamorfoza, nieufność ta osiągnęła swój szczyt. Zauważyłem pewien objaw świadczący o bezbłędności mojej teorii: czułem, do mego wstrętu, a zawsze miałem wstręt do autentycznych ślepców; było to więc oznaką, że Iglesias wszedł już w nowe królestwo, że przemiana jego została doprowadzona do końca. Co prawda, ów wstręt czy też lęk również nie pojawiał się nagle; wiedziałem z doświadczenia że przychodzi stopniowo aż pewnego dnia staję przed straszliwym faktem dokonany: oto mam przed sobą nietoperza lub gada. Pamiętam ten dzień: przyszedłem do pensjonatu, gdzie mieszkał Iglesias od czasu swego wypadku i zrobiło mi się słabo; w miarę jak zbliżałem się do jego pokoju, czułem się coraz gorzej, tak dalece, że wahałem się chwilę, zanim go zawołałem. W końcu nieomal drżąc rzekłem: „Iglesias, to ja”, a COS odpo-

wiedziało mi: „Wejdz”. Otworzyłem drzwi i pośród ciemności (kiedy był sam, nie zapalał oczywiście światła) poczułem tchnienie nowego potwora.

IX Zanim jednak nastąpił ów zasadniczy moment, zaszły pewne wypadki, które muszę opisać, gdyż one to umożliwiły mi dostęp do świata ślepych, zanim jeszcze przeistoczenie Iglesiasa dobiegło końca. Podobnie jak na wojnie kurier prowadząc desperacko motocykl przejeżdża przez most na chwilę przed jego wysadzeniem w powietrze, tak i ja wiedziałem, że zbliża się fatalny moment, kiedy metamorfoza się dokona, i starałem się przyspieszyć mój idiotyczny bieg. Chwilami bałem się, że nie zdążę na czas, że most zostanie wysadzony przez wroga, zanim zdolam go minąć.

Z rosnącym niepokojem śledziłem przebieg wewnętrznego procesu Iglesiasa; mijały dni, a nie zauważyłem żadnego znaku, który by wskazywał na to, że ONI nadchodzą. Przypuszczenie, że ślepi nie dowiedzieli się jeszcze o jego wypadku i dlatego nie próbują nawiązać z nim kontaktu i wciągnąć go do Sekty, odrzuciłem jako niedorzeczne. Dnie, w których nic się nie działo, i moje rosnące uczucie niepokoju mogło mnie oczywiście skłonić do tego przypuszczenia i do innych jeszcze głębszych, uczucie bowiem mąci zdolność rozumowania i niszczy pamięć, a więc mogłem zapomnieć to wszystko, co wiedziałem o Sekcie. Bardzo możliwe, że uczucia sprzyjają tworzeniu wierszy lub kompozycji muzycznych, ale dla czynności czystego rozumu są zgubne.

Wstydę się przyznać, jakie głupstwa przychodziły mi do głowy, kiedy bałem się, że nie zdążę przekroczyć mostu. Pomyślałem na przykład, że człowiek, który oślepl, mógłby pozostać sam jak wysepka pośród olbrzymiego oceanu obojętności. Zastanawiałem się, co może się stać z człowiekiem ociemniałym wskutek wypadku, którego charakter nie pozwala mu szukać ludzi jemu podobnych, a raczej ikaże mu ich unikać?

■Który, wskutek mizantropii, zniechęcenia czy też nieśmiałości, nie pragnie kontaktu z organizacjami, będącymi jawną (i powierzchowną) manifestacją zakazanego świata, np. czytelnie dla niewidomych, chó-

ry itp. Przejął mnie dreszcz, kiedy wyobraziłem sobie coś tak nonsensownego (nonsensy bowiem także są zdolne nas poruszyć). Natychmiast starałem się uspokoić. Pomyślałem: „Iglesias musi pracować, nie ma pieniędzy, nie może pozostać bezczynny”. Jak ślepy pracuje? Mu, si wyjść na ulicę i wziąć się do któregoś z tych zajęć specjalnie dla nich przeznaczonych: sprzedawać grzebień i fotografie Gardela czy Leguisama *, owe sławetne fiszbinki lub coś innego, co uczyni go łatwo widocznym i wcześniej czy później osiągalnym dla sekciarzy. Usiłowałem przyspieszyć ten proces i nakłonić go, aby zajął się handlem. Entuzjazmowałem się fiszbinkami, twierdząc, że w kolei podziemnej zarobi mnóstwo pieniędzy. Malowałem mu przyszłość w różowych barwach. Iglesias jednak zaciął się w nieufnym milczeniu.

— Mam jeszcze parę pesos. A później zobaczymy — powiadał.

Później! Słowo to doprowadzało mnie do rozpaczny. Wspomniałem mu o kiosku z gazetami, ale i to go nie zachwycało.

Nie pozostało mi nic innego jak czekać i dopóty go śledzić, dopóki nie będzie zmuszony wyjść na ulicę. Ze wstydem powtarzam, że to obawa doprowadziła mnie do takiego ogłupienia. Jakże mogłem, będąc przy zdrowych zmysłach, pomyśleć, że aż kiosku z gazetami potrzeba, żeby Sekta dowiedziała się o istnieniu Iglesiasa! A sąsiedzi, którzy widzieli, jak wynoszono go z domu po wypadku? A pielęgniarki, a lekarze w szpitalu? Nie mówiąc już o władzy, jaką ma Sekta, tudzież o rozgałęzionym i skomplikowanym systemie informacji i wywiadu, rozsnutym po świecie niby olbrzymia niewidzialna pajęczyna. Muszę co prawda stwierdzić, że i po kilku nie przespanych nocach doszedłem do wniosku, iż moje przypuszczenia są niedorzeczne, że nie istnieje jakakolwiek możliwość, by Iglesias pozostał nie zauważony. Co najwyżej mogłem się obawiać, że za późno zechcą nawiązać z nim kontakt. Ale na to już nie miałem rady. Ja sam nie mogłem być nieustannie przy nim. Szukałem więc sposobu śledzenia go na odległość. Przedsięwziąłem następujące środki:

Leguisamo — słynny dżokej. (Przyp aut.)

1) Ofiarowałem znaczną kwotę właścicielce pensjonatu, niejakiej pani Etcheparabarda, która na szczęście wydała mi się osobą niedorozwiniętą umysłowo. Prosiłem usilnie, żeby pilnowała Iglesiasa jak oka w głowie, a mnie powiadamiała o wszystkim, co go dotyczyło, oczywiście w związku z jego kalectwem.

2) Poprosiłem Iglesiasa, żeby nie robił nic bez mojej wiedzy, gdyż chciałem być mu pod każdym względem pomocny. Do tego punktu niewiele przykładałem wagi, domyślając się, że zecer z każdym dniem będzie się ode mnie oddalał i coraz mniej mi ufał.

3) Staralem się w miarę możliwości roztoczyć ścisły nadzór nad każdym jego krokiem, ażeby nie mógł wyjść z domu niepostrzeżenie, jak również nadzór nad wszystkimi osobami, które ewentualnie mogłyby się do niego zbliżyć. Pensjonat znajdował się przy ulicy Paso. Szczęśliwym trafem naprzeciwko była kawiarnia, gdzie podobnie jak tylu innych ludzi bez stałego zajęcia mogłem przesiadywać całymi godzinami udając, że czytam gazetę, rozmawiać z kelnerami i starać się z niektórymi z nich zaprzyjaźnić. Było lato, mogłem więc siedzieć przy otwartym oknie i obserwować frontowe drzwi pensjonatu.

4) Użyłem Normy Gladys Pugliese do podwójnego celu- miała odwrócić ode mnie podejrzenia, które jako samotny, wciąż przesiadujący w kawiarni mężczyzna mogłem łatwo wzbudzić, poza tym miała przyczynić się do urozmaicenia rozmów, obracających się głównie wokół piłki nożnej i polityki argentyńskiej, a także miałem ją demoralizować, co sprawiało mi pewną przyjemność.

X Następnych pięć dni doprowadziło mnie do rozpaczy. Cóż innego mi pozostawało do roboty, jeśli nie wysiadanie w kawiarni, rozmowy z kelnerami i przeglądanie dzienników i czasopism? Wykorzystałem ten czas, czytając tylko to, co mnie najbardziej interesuje: ogłoszenia i kronikę policyjną. Od dwudziestu lat nic innego nie czytuję, bo jedynie te wiadomości dają nam obraz człowieka i jego wielkich problemów metafizycznych. Czytam na przykład w wieczornej prasie- SZALENIEC ZABIJA SIEKIERĄ ŻONĘ I CZWORO DZIECI Dowiaduję się, że ten człowiek, nazywa się Domingo Salerno że był uczciwy,

pracowity, że miał sklepik w Villa Lugano i że ubóstwiał żonę i dzieci. I nagle zabija ich wszystkich siekierą! Tajemnicza sprawa! Ponadto czytając kronikę policyjną czujesz, że wiadomości te zawierają głęboką prawdę, w odróżnieniu od deklaracji polityków, tych międzynarodowych krętaczy i szalbierzy. O ileż uczciwszy od nich jest taki Salerno! Pasjonują mnie również ogłoszenia. **ZAPISZ SIĘ NA KURSY PITMANA, A PRZYSZŁOŚĆ NALEŻY DO CIEBIE.**

Na obrazku chłopiec i dziewczyna trzymają się za ręce i z promiennym uśmiechem maszerują ku przyszłości. Na innym ogłoszeniu tej samej firmy ujrzysz biuro z kilkoma telefonami i sekretarką; przy biurku puste krzesło. Napis: **TO JEST MIEJSCE DLA CIEBIE.** Przekonująco brzmi reklama okularów **DLA TWYCH OCZU TYLKO TE NAJLEPSZE.** Ogłoszenia kremu do golenia podawane są w formie historyjki obrazkowej zakończonej morałem. Na przykład: „Młodzieniec traci wspaniałą okazję zrobienia kariery”.

W głębi hali biurowej, wśród mnóstwa biurek i urzędników stoi nie ogolony Pedro; szef spogląda na niego z niechęcią i pogardą. **UŻYWAJ DO GOLENIA KREMU PALMOLIVE.** Kremy usuwające nieprzyjemne zapachy: narzeczeństwo, fantastyczna posada w olbrzymim przedsiębiorstwie, zaproszenie na bal — wszystko to straciłeś, bo nie używałeś **ODORONO**

Na innym obrazku pan z twarzą sportowca, doskonale uczesany, szeroko uśmiechnięty, pełen energii i radości życia, z kwadratową szczęką supermana, uderza ręką w biurko, na którym stoi kilka telefonów, i zwracając tors w stronę niewidzialnego rozmówcy woła: **TWOJE POWODZENIE W TWOIM RĘKU!** Gdzie indziej tenże superman nie uderza ręką w stół, ale energicznym i stanowczym gestem wskazuje palcem na ciebie, czytelniku gazety, który małodusznie wciąż trwonisz na głupstwa twój Czas i twoje Światne Warunki, i powiada ci: **ZAMIAST TRACIC CZAS, MOŻESZ ZAROBIĆ PIĘĆ TYSIĘCY MIESIĘCZNIE,** po czym każe ci podać twoje nazwisko i adres wznaczonych na kwestionariuszu miejscach

Wspaniale umięśniony, pozbawiony zarostu, energiczny Mr Atlas śle orędzie do cherlaków całego świata: za tydzień zauważysz **POPRAWĘ** i jeśli ePrcesz zregenerować twe ciało, rychło będziesz wyglądał tak

jak Mr Atlas. Napis: WSZYSCY PODZIWIĄJĄ JEGO
MĘSKĄ URODĘ. I TY RÓWNIEŻ MOŻESZ MIEĆ
NAJŁADNIEJSZĄ DZIEWCZYNĘ I NAJLEPSZĄ
POSADE!

A nie ma to jak „Reader's Digest”, jeśli chodzi
o krzewienie Optymizmu i Szlachetnych Uczuć. Arty-
kuł pana Franka L. Andrews pod tytułem: *Dyrektorzy
hotelu między sobą*, zaczyna się następująco:

„Do USA zjechała elita hotelarstwa Ameryki Hisz-
pańskiej. Spotkanie z tymi wytwornymi panami było
jedną z najbardziej wzruszających chwil w moim ży-
ciu”.

Znajdziesz w tym piśmie setki artykułów dla pod-
niesienia na duchu ubogich, trędowatych, kulawych,
głuchych, ślepych, niemych, głuchoniemych, epilepty-
ków, gruźlików, chorych na raka, sparaliżowanych,
makrocefalów, mikrocefalów, neurotyków, synów lub
wnuków schizofreników, płaskostopych, astmatyków,
ludzi nie docenionych, jakałów, osobników, którym
czuć z ust, nieszczęśliwych w małżeństwie, reumaty-
ków, malarzy, którzy utracili wzrok, rzeźbiarzy, któ-
rym amputowano obie ręce, muzyków, którzy ogłuchli
(pomyśl o Beethovenie!), atletów tkniętych na wojnie
paralizem, brzydkich kobiet, dzieci z zajęczą wargą,
mężczyzn mówiących przez nos, nieśmiałych sprze-
dawców, ludzi zbyt wysokiego wzrostu, ludzi zbyt ni-
skiego wzrostu (prawie karłów), ludzi ważących prze-
szło dwieście kilogramów itd. Tytuły: Z PIERWSZEJ
POSADY WYRZUCILI MNIE KOPNIAKIEM, NASZ
ROMANS ZACZAŁ SIĘ W LEPROZORIUM, ŻYJĘ
DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE, CHOĆ MAM RAKA,
DUŻO ZARABIAM, CHOĆ UTRACIŁEM WZROK,
TWOJA GŁUCHOTA MOŻE CI PRZYNIEŚĆ SZCZĘ-
ŚCIE itd.

Po wyjściu z kawiarni i po wieczornej wizycie
w pensjonacie obejrzałem jeszcze wielki plakat, za-
chwalający makaron Santa Catalina, i choć nie wie-
działem, kim była Santa Catalina, nietrudno mi było
domyślić się, że była to męczennica, gdyż męczeństwo
zawsze uchodziło niejako za profesję świętych; zamy-
śliłem się nad ową właściwością charakteru ludzkiego,
która ze świętej męczennicy ukrzyżowanej lub ob-
dartej ze skóry z czasem czyni reklamę makaronu lub
puszki konserw.

XI W tym. czasie Norma, która żywiła do mnie urazę, przysła pewnego razu do kawiarni w towarzystwie hermafrodyty pani Ines Gonzales Iturra. Siwa olbrzymka z wysypującym się wąsikami miała na sobie angielski kostium i męskie buciki. Gdyby nie jej wydatny biust, można by w pierwszej chwili pomylić się i przywitać ją: „Dzień dobry panu”. Dzięki swej energii i aktywności posiadała nad Normą nieograniczoną władzę.

— Miałem przyjemność panią poznać — rzekłem.

— Czyżby? — zdziwiła się, lekko obrażona tą insynuacją, gdyż Norma, rzecz jasną, dużo jej o mnie opowiadała.

Rzeczywiście, miałem wrażenie, że 'kiedyś się z nią zetknąłem, ale dopiero po owym, tak niedogodnym dla mnie spotkaniu (miałem pilnować domu numer 57) wyjaśniłem tajemnicę.

Normie zależało najwyraźniej na tym, żeby między mną a jej znajomą doszło do starcia, spodziewała się, że jej genialna przyjaciółka pomści jej własne częste porażki i zada mi druzgocącą klęskę. Ale ja byłem myślami nieobecny, nie chciałem i nie mogłem odwracać uwagi od bramy nr 57, nie okazywałem więc najmniejszej chęci do kłótni z tym niewydarzonym stworzeniem. Najchętniej byłbym wstał i odszedł, ale tego nie mogłem niestety zrobić.

— Ines uczyła mnie historii — oznajmiła Norma. — Mówiłam ci już o tym.

— Tak 'jest — odparłem grzecznie.

— Ja i moje przyjaciółki założyłyśmy kółko samokształceniowe. Ines to nasz przewodnik duchowy.

— Ach, tak — rzekłem tym samym tonem.

— Dyskutujemy o książkach, zwiedzamy wystawy i chodzimy na odczyty.

— Świetnie.

— Urządzamy wycieczki w celach naukowych.

— Znakomicie.

Była coraz bardziej rozdrażniona.

— A Obecnie odwiedzamy galerie sztuki, Ines i profesor Romero Brest oprowadzają nas — dodała prawie obrażona i spiorunowała mnie wzrokiem czekając, co odpowiem.

— To świetny pomysł — rzekłem uprzejmie.

Tego już było za wiele.

— Bo ty jesteś zdania, że kobiety powinny tylko froterować posadzki, zmywać naczynia i pilnować domu — zawołała podniesionym głosem.

Jakiś mężczyzna z drabiną zamierzał wejść do bramy nr 57, lecz sprawdziwszy numer domu ominął go i wszedł do bramy sąsiedniej. Uspokoilem się więc i poprosilem, żeby powtórzyła ostatnią uwagę, której nie dosłyszałem. Tym dobiłem ją ostatecznie.

— Naturalnie! — krzyknęła. — Nawet nie słuchasz, co mówię. Moje myśli nic cię nie obchodzą.

— Obchodzą mnie jak najbardziej.

— Nieprawda. Tyle razy mi mówiłeś, że kobiety różnią się od mężczyzn.

— Tym bardziej obchodzą mnie ich myśli. Człowiek zawsze bardziej interesuje się tym, co jest odmienne albo nieznanne.

— Ach, tak, według ciebie kobieta jest czymś innym niż mężczyzna!

— Ależ, Normo, po co irytować się z powodu rzeczy tak oczywistej.

Nauczycielka historii, poinformowana zapewne przez Normę o moich zacofanych poglądach, przysłuchiwała się naszej rozmowie z nieustającą ironią.

— Tak pan myśli? — wtrąciła się w końcu.

— Jak myśle? — spytałem naiwnie.

— Że to jest oczywiste — słowo to podkreśliła zjadliwie — ta różnica między mężczyzną a kobietą?

— Cały świat jest zgodny co do tego, że między mężczyzną a kobietą istnieją pewne, dość znaczne, różnice — wyjaśniłem spokojnie.

— O tym nie mówimy — odparła z hamowaną wściekłością. — Pan ito doskonale wie.

— O tym? To znaczy o czym?

— O płci, o tym, co pan wie — ucięła rozmowę.

Nóż był ostry i zdezynfekowany.

— Uważa pani, że to mało? — spytałem.

Zacząło mnie to bawić, a poza tym skracało nieco czas wyczekiwania. Męczyło mnie tylko niejasne uczucie, że tę nauczycielkę już kiedyś widziałem, a nie mogłem sobie przypomnieć gdzie.

— To nie jest najważniejsze. Mówimy o czymś innym, o wartościach psychicznych. Uznawana przez 255

pana różnica pomiędzy działalnością mężczyzny a kobiety jest typowa dla społeczeństwa zacofanego.

— Ach, tak, rozumiem — powiedziałem z pełnym spokojem — różnica pomiędzy waginą a phallosem jest według pani przeżytkiem Ciemnej Przeszłości. Zniknie wraz z oświetleniem gazowym i z analfabetyzmem.

Nauczycielka oblała się rumieńcem: nie tylko czuła się obrażona, ale była głęboko zawstydzona, co prawda słowa przeze mnie użyte, jako terminy naukowe, nie wywarły na niej większego wrażenia niż na przykład „neutron” lub „reakcja łańcuchowa”. Czuła się dotknięta, podobnie jak czułby się dotknięty profesor Einstein, gdyby wśród dyskusji zadał mu ktoś pytanie, jak funkcjonuje jego przewód pokarmowy.

— To są frazesy — orzekła. — Dzisiejsza kobieta rywalizuje z mężczyzną w każdej dziedzinie. I to właśnie wyprowadza was z równowagi. Ot, na przykład bawi tu obecnie delegacja kobiet z Ameryki Północnej; trzy spośród nich pełnią funkcję dyrektorów w przemyśle ciężkim.

Norma, tak bardzo kobieca, spojrzała na mnie z tryumfem: oto do czego doprowadza gniew. Te okropne babska odplacają mi za jej niewolniczą uległość w łóżku, jest przez nie pomszczona. Rozwój przemysłu metalurgicznego w Stanach Zjednoczonych wyrównuje jej seksualne poniżenie.

Było to zgodne z prawdą: istotnie przeczytałem w prasie notatkę o przyjeździe tej trupy.

■—■ Kobiety bywają nawet i bokserami — zauważyłem. — Jeżeli paniom podoba się coś tak potwornego...

— A więc fakt, że kobieta zostaje dyrektorem huty, uważa pan za coś potwornego?

W tej chwili musiałem znowu ponad atletycznymi barami panny Gonzalez Iturrat odprowadzić wzrokiem jakiegoś podejrzanego przechodnia. Moje zachowanie, chociaż całkiem na miejscu, doprowadziło megię do wściekłości.

—■ A czy osiągnięcia naukowe kobiet, na przykład genialnej madame Curie, również są czymś potwornym? — spytała, chytrze przymrużając oczki.

Takie pytanie musiało paść nieuchronnie.

— Geniuszem, proszę pani, jest ten, kto wykrywa

tożsamość faktów na pozór sprzecznych — tłumaczyłem z dydaktycznym spokojem. — Ten, kto odkrywa związki pomiędzy zjawiskami pozornie odległymi. Na przykład genialne było odkrycie, że spadanie kamienia i niespadanie księżyca są jednym i tym samym zjawiskiem.

Nauczycielka słuchała moich wywodów z sarkastycznym uśmiechem.

— A odkrycia madame Curie nie uważa pan za genialne ?

— Madame Curie, proszę pani, nie odkryła prawa ewolucji gatunków. Wyszła ze strzelbą na polowanie na tygrysy, a napotkała dinozaura. Według kryteriów pani, geniuszem byłby także marynarz, który pierwszy dostrzegł przylądek Horn.

— Może pan mówić, co pan chce, ale odkrycie madame Curie było rewolucją w nauce.

— Jeżeli wybierając się na polowanie na tygrysy, napotka pani centaura, to również spowoduje to rewolucję w zoologii. Ale do takiej rewolucji nie trzeba aż geniusza.

— Więc, zdaniem pańskim, kobieta nie powinna zajmować się nauką?

— Nie, tego nie powiedziałem. Chemia ma nawet w sobie coś z kuchni.

— A filozofia? Pan z pewnością zabroniłby dziewczętom studiować filozofię lub literaturę.

— Nie. Dlaczego? Na uniwersytecie nikomu nie przeszkadzają. A poza tym znajdują tam narzeczonych i wychodzą za mąż.

— A filozofia?

— Niech sobie studiują, jeżeli chcą. Nic im to nie zaszkodzi. Ani nie pomoże, oczywiście. To im nic nie da. Nie grozi nam niebezpieczeństwo, że staną się filozofami.

— To idiotyczne społeczeństwo nie daje nam tych samych możliwości, co mężczyznom! — zareplikowała z krzykiem panna Iturrat.

— Jak to? Stwierdziliśmy właśnie, że filozofię mogą spokojnie studiować. O ile mi wiadomo, to na tym wydziale jest nawet sporo kobiet. Nie stawia się im żadnych przeszkód. Nikt im nigdy nie zabraniał myśleć ani u siebie w domu, ani poza domem. Myślenia nie można nikomu zabronić. A do filozofii trzeba tylko

mieć głowę i chcieć myśleć. Tak samo teraz, jak u starożytnych Greków, jak i w XXX wieku. Ewentualnie społeczeństwo mogłoby przeszkodzić wydaniu dzieła filozoficznego napisanego przez kobietę za pomocą bojkotu czy satyry, czy czegoś podobnego. Ale zabronić myśleć?

— Gdyby wszyscy byli tego zdania, co pan, świat nigdy nie poszedłby naprzód! — krzyknęła oburzona.

— A z czego pani wnosi, że poszedł naprzód?

Uśmiechnęła się z pogardą.

— Istotnie. Dostać się stąd do Nowego Jorku w dwadzieścia godzin nie jest postępem.

— Nie widzę żadnej korzyści w szybkim dostaniu się do Nowego Jorku. Im później, tym lepiej. A poza tym sądziłem, że pani ma na myśli postęp duchowy.

— Mam na myśli wszelki postęp. Nieprzypadkowo podałam samolot jako przykład: symbolizuje on postęp ogólny. Łącznie z wartościami etycznymi. Chyba zgodzi się pan ze mną, że 'dzisiejsza ludzkość stoi pod względem moralnym wyżej od społeczeństwa z epoki niewolnictwa?

— Ach, woli pani niewolników z miesięczną gażą.

— Cynikiem być nietrudno. Ale nikt nie może zaprzeczyć, że ludzkość zna obecnie takie wartości moralne, jakie w starożytności nie były znane.

— Tak, rozumiem. Landru podróżujący koleją żelazną przewyższa Diogenesa podróżującego galerą.

— Naumyślnie wybiera pan groteskowe przykłady. Ale to oczywiste.

— Komendant Buchenwaldu stoi wyżej od kapitana galery. Zwierzęta ludzkie lepiej jest zabijać napalmem niż łukiem i strzałą. Bombardowanie Hiroszimy jest bardziej humanitarne niż bitwa pod Poitiers. Bardziej postępowe są tortury za pomocą elektryczności niż za pomocą sznurów, na modłę chińską.

■— To wszystko są sofizmaty, gdyż chodzi tu o pojedyncze fakty. Ludzkość przewycięży także i te barbarzyństwa. Ciemnota w końcu będzie musiała ustąpić na całej linii nauce i poznaniu.

— Obecnie jednak duch religijny jest potężniejszy niż w XIX wieku — zauważyłem z cichą złośliwością.

— W końcu zostanie zwalczony obskurantyzm wszelkiego rodzaju. Nie istnieje postęp bez zygzaków i kroków wstecz. Przed chwilą wspomniał pan o teorii

ewolucji: oto przykład, co potrafi wiedza przeciwko wszelkim mitom religijnym.

— Nie widzę pustoszących efektów tej teorii. Czyż nie stwierdziliśmy, że duch religijny się umacnia?

— Inne są tego przyczyny. Teoria ta zlikwidowała ostatecznie wiele mitów, jak na przykład ten o stworzeniu świata w ciągu sześciu dni.

— Proszę pani, jeżeli Bóg jest wszechmogący, to nie sprawiało mu żadnej trudności stworzyć świat w ciągu sześciu dni i porzucić tu i ówdzie parę szkieletów megateriów, aby wystawić na próbę wiarę czy też głupotę ludzką.

— No wie pan! Przecież nie mówi pan tego poważnie! Zresztą sam pan wychwalał przed chwilą owego geniusza, który stworzył teorię ewolucji. A teraz pan z niej żartuje.

— Wcale z niej nie żartuję. Powiadam tylko, że nie jest ona dowodem na to, iż Bóg nie istnieje, ale też nie świadczy przeciwko stworzeniu świata w ciągu sześciu dni.

— Według pana to i szkoły nie powinny by istnieć. O ile się nie mylę, jest pan gorącym zwolennikiem analfabetyzmu.

— Niemcy były w 1933 roku jednym z krajów o najmniejszej ilości analfabetów. Gdyby ludzie nie umieli czytać, to przynajmniej nie można by ich było ogłupiać dzień w dzień za pomocą gazet i czasopism. Niestety, choćby nawet nie umieli czytać, pozostałyby jeszcze inne cuda postępu: radio, telewizja. Należałoby dzieciom wycinać bębenki i pozbawiać je oczu. Ale to byłby już raczej trudny program.

— A jednak na przekór sofizmatom zawsze światło będzie górowało nad ciemnością, a dobro nad złem. Nieświadomość jest złem.

— Jak dotąd, proszę pani, zło górowało nad dobrem.

— Znowu sofizmat. Skąd pan bierze takie barbarzyństwa?

— Ja ich znikąd nie biorę, tylko spokojnie śledzę historię. Proszę stworzyć podręcznik historii Onckena na którejkolwiek stronicy, a nie znajdzie pani nic innego jak wojny, rzezie, konspiracje, tortury, zamachy stanu i inkwizycje. A zresztą jeżeli dobro zawsze zwycięża, to po co doń namawiać? Jeżeli człowiek z na-

tury nie jest skłonny do zła, to po cóż je piętnować i oczerniać? Ustalmy: najbardziej wzniosłe religie krzewią dobro, mało tego, dyktują przykazania, które żądają, żeby nie cudzołożyć, nie zabijać, nie kraść. To wszystko wymaga nakazu. A moc złego jest tak wielka i tak przewrotna, że może nawet służyć do zalecania dobra: jeżeli tego a tego nie uczynisz, grozi ci piekło.

— Wobec tego — rozkrzyczała się panna Iturrat — należy według pana krzewić zło.

— Ja tego nie powiedziałem, proszę pani. Zanadto się pani zdenerwowała i nie słucha już, co mówię. Zła nie trzeba krzewić, ono krzewi się samo.

— Co pan chce przez to udowodnić?

— Tylko spokojnie, moja pani. Nie zapomniałem, że pani uznaje wyższość dobra nad złem, i widzę, że najchętniej by mnie pani pocięła na kawałki. Chciałem po prostu powiedzieć, że postępu duchowego me ma. A nawet i ten słynny postęp materialny należałoby jeszcze przedyskutować.

Pełen ironii grymas zniekształcił ocienione wąsikiem wargi nauczycielki.

— Ach, zapewne zechce mi pan teraz udowodnić, że dzisiejszy człowiek żyje gorzej niż starożytny Rzymianin.

— To zależy. Nie sądzę na przykład, że nieborak, który pracuje osiem godzin dziennie w kopalni pod elektroniczną kontrolą, jest szczęśliwszy, niż był grecki pasterz. W Stanach Zjednoczonych, w tym raju mechanizacji, dwie trzecie ludności cierpi na nerwicę.

— Ciekawa jestem, czy wolałby pan podróżować dyliżansem niż pociągiem.

— Oczywiście. Znacznie piękniej i przyjemniej jest jechać powozem. A jeszcze lepiej konno: można spokojnie cieszyć się słońcem i powietrzem i napawać oczy widokiem krajobrazu. Apostołowie maszyny przyrzekli nam, że z każdym dniem będziemy poświęcali więcej czasu na wypoczynek. A tymczasem człowiek ma z każdym dniem coraz mniej czasu, z każdym dniem staje się bardziej zwariowany. Nawet wojna była dawniej piękna i męska, była zabawnym widowiskiem: takie wspaniałe, barwne mundury! A nawet służyła zdrowiu. Niech pani pomyśli na przykład o naszej wojnie wyzwoleńczej i o wojnach domowych;

jeśli ktoś nie zginął od lancy lub nie ucieli mu głowy, mógł później dożyć stu lat, jak mój pradziadek Olmos. To zrozumiałe: życie na wolnym powietrzu, ruch, konna jazda. Słabych chłopców posyłano na wojnę, ażeby się zahartowali.

Panna Gonzalez Iturrat zerwała się z krzesła oburzona.

— Ja odchodzę, Normito — zwróciła się do swej pupilki. — A ty rób, jak chcesz.

I wyszła.

Norma obrzuciła mnie płomiennym spojrzeniem i również podniosła się z krzesła.

— Jesteś cyniczny i źle wychowany — zgromiła mnie odchodząc.

Złożyłem gazetę, postanawiając nadal pilnować domu numer 57, w czym mi już teraz nie przeszkadzało ogromne cielsko nauczycielki.

Kiedy tego wieczora siedziałem w klozecie, w stanie, który waha się pomiędzy fizjologią patologiczną a metafizyką, wyęzając się i jednocześnie rozmyślając o ogólnym sensie świata, jak to często bywa w tym jedynym filozoficznym zakątku mieszkania, zdałem sobie w końcu sprawę z paramnezji, która dokuczała mi od początku tego spotkania: nie, panny Iturrat nigdy przedtem nie widziałem; ale przypominała ona do złudzenia pewną niemłą a gwałtowną istotę, która w filmie *Ośmiu skazańców* zrzuca ulotki sufrażystek z balonu Montgolfiera.

XII Kiedy tej nocy, jak zwykle, dokonywałem w myślach szczegółowego przeglądu wydarzeń, ogarnęło mnie przerażenie: po co Norma przyprowadziła mi pannę Gonzalez Iturrat? Zmusiła mnie do dyskusji na temat istnienia zła; i to także nie mogło być czystym przypadkiem. Po namyśle doszedłem do wniosku, że nauczycielka posiada wszystkie cechy charakterystyczne dla członka komitetu biblioteki dla niewidomych. Podejrzenie to objęło z kolei i samą Normę Pugliese, z którą nawiązałem stosunek tylko dlatego, że ojciec jej, socjalista, poświęca dwie godziny dziennie na przepisywanie książek metodą Braille'a.

Zdarza się często, że stwarzam mylne pozory co do mojej osoby; czytelnik niniejszego raportu zdziwi się 261

zapewne takiej lekkomyślności. Muszę niestety stwierdzić, że pomimo zamiłowania do porządku popełniam niekiedy czyny najbardziej nieuzasadnione, a więc niebezpieczne dla mojej obecnej pracy. A już największe głupstwa popełniam z powodu kobiet. Postaram się wytłumaczyć, jak to się dzieje, gdyż nie jest to znowu tak nieuzasadnione, jak na pozór wygląda, zawsze bowiem uważałem kobiety niejako za przedmieście świata ślepych; toteż moje kontakty z nimi nie są ani tak głupie, ani tak niepotrzebne, jak mógłby to sobie wyobrazić powierzchowny obserwator. Nie z tego też powodu robię sobie w obecnej chwili wyrzuty, lecz z powodu niepojętego braku ostrożności, na jaki pozwoliłem sobie w/ przypadku Normy Pugliese; z punktu widzenia losu było to zresztą najzupełniej logiczne, gdyż los oślepia tego, kogo chce zgubić, lecz z mego własnego punktu widzenia było to niewybaczalnym błędem. Tak już jest jednak, że po okresach skrzętej jasności umysłu następują u mnie okresy, kiedy zachowuję się tak, jakby rządził mną kto inny, jak gdybym nie był sobą, i oto nagle znajduję się w obliczu niebezpieczeństwa, jak samotny kierowca, którego zmógł sen i który na drodze najeżonej niebezpieczeństwami opuścił głowę i zdrzemnął się na chwilę.

Nie jest to łatwe. Ciekaw jestem, jak zachowałby się ktoś spośród tych, którzy mnie krytykują w podobnej sytuacji, otoczony zewsząd przez chytrego wroga, wśród niewidzialnej sieci szpiegów i podriatrywaczy, a zmuszony do śledzenia we dnie i w nocy wszystkich ludzi i wszystkiego, co się dzieje dookoła niego. Na pewno czułby się mniej pewny siebie i zrozumiałby, że tego rodzaju błędy nie tylko są możliwe, ale w praktyce nieuniknione.

Tak na przykład, zanim spotkałem Iglesiasa, przez dłuższy czas panował w moim umyśle straszliwy nieład: alkohol i kobiety sprawiają, że w łakich okresach ogarnia mnie zupełna ciemność: w tym stanie pochłania nas labirynt Piekła albo Świat Ślepców. Lecz nawet i w tych ponurych okresach nie zaominam o moim wielkim celu, tyle że zamiast śledzić świadomie, w sposób naukowy, czynię to chaotycznie, skokami. Ludzie wolni od przesądów uważaliby że dzieje się to przypadkowo, i rzeczywiście rządzi tym wszystkim

ślepy traf. Niemniej, pośród zamętu, oszołomiony i nie-
szczęsny, powiadam sobie nagle: to nieważne, oto jest
świat, który muszę zbadać; i z nierozumną rozkoszą
daję się porwać szaleństwu. Podobną rozkosz odczu-
wa bohater w najgorszym, najbardziej niebezpiecznym
momencie walki, kiedy rozsądek jest bezradny, a utru-
dzona wola ulega przemocy krwi i instynktów. Po
długim okresie ciemności nadchodzi wreszcie chwila
przebudzenia, kończą się orgie, zaczyna się czas asce-
tyzmu, miast chaosu ogarnia mnie mania organizowa-
nia, a napada mnie ona nie wbrew moim skłonnościom
do chaosu, lecz właśnie dzięki nim. Wtedy mój umysł
zaczyna pracować we wzmożonym tempie i z zadzi-
wiającą jasnością. Podejmuje precyzyjne, czyste de-
cyzje, wszystko staje się jasne i zrozumiałe jak teza;
nigdy wówczas nie działam instynktownie, gdyż trzy-
mam instynkty w korbach i doskonale je opanowuję.
Ale, rzecz dziwna, moje postanowienia i ludzie, któ-
rych poznaję w tych okresach wyostrej inteligencji,
prowadzą mnie z kolei do nowych okresów zamętu.
Na przykład poznaję żonę, powiedzmy, przewodniczą-
cego Komisji dla Współpracy z Chórem Niewidomych;
rozumiem doskonale, że z jej pomocą mogę uzyskać
cenne informacje, rozpracowuję ją i w końcu, dla ce-
łów ściśle naukowych, idę z nią do łóżka, a efekt jest
taki, że kobieta oszłamia mnie, okazuje się namięt-
na i zmysłowa i wszystkie moje plany biorą w łeb, odkła-
dam je na później i narażam je na poważne niebez-
pieczeństwo.

Nie dotyczy to oczywiście Normy Pugliese, lecz na-
wet i w tym wypadku popełniłem błędy, których nie
powiniene-n był popełnić.

Pan Americo Pugliese jest starym członkiem partii
socjalistycznej i wychował swoją córkę w zasadach
ustanowionych przez Juana B. Justo*. Prawda. Nauka,
Spółdzielczość, Walka z Paleniem Tytoniu i Alkoho-
lizmem. .Test to człowiek bardzo przyzwoity, niena-
widzący Perona i w swoim biurze wysoko ceniony
przez przeciwników politycznych. Rozumie się samo
Przez się, że te przesłanki podziałały zachęcająco i za-
pragnałem przespać się z jego córka.

Bvłp zaręczona z oficerem marynarki. Zgadzało się

* Założyciel argentyr^iej partii socjalistycznej. (Przyp. aut.)

to znakomicie z antimilitarystyczną postawą pana Pugliese, istnieje bowiem pewien mechanizm psychologiczny, który sprawia, że antimilitarystom podobają się marynarze: są bardziej obcy, podróżują, słowem, są ogromnie podobni do cywilów. Defekt ten staje się przyczyną podziwu. Wy tłumaczyłem Normie (która wpadła w złość), że podziwiać żołnierza za to, że na takiego nie wygląda (albo że nie jest nim aż tak bardzo), jest to to samo, co wychwalać zalety łodzi podwodnej, która tylko z trudnością daje się zanurzyć, i zaliczać na jej korzyść to, że płynie po powierzchni morza niemal tak dobrze jak frachtowiec.

Tego rodzaju argumentami podważyłem autorytet Marynarki Wojennej i w końcu udało mi się pójść z Normą do łóżka, dzięki czemu dowiodłem, że przez łóżko można dostać się do najmniej spodziewanych instytucji. A także że dla kobiety ważne jest jedynie takie rozumowanie, które w jakiś sposób wiąże się z pozycją horyzontalną, odwrotnie niż u mężczyzny. Dlatego też trudno jest za pomocą autentycznego rozumowania ustawić mężczyznę i kobietę w tej samej pozycji geometrycznej: należy uciec się do paralogizmów lub do rękoczynów.

Skoro doszedłem już do pozycji horyzontalnej, zabrałem się do urabiania Normy, poświęciłem też wiele czasu, by przyzwyczaić ją do Nowego Światopoglądu: od profesora Juana B. Justo do markiza de Sade. Nie było to łatwe. Musiałem zacząć od języka, gdyż jako fanatyczka nauki i czytelniczka dzieł w rodzaju *Małżeństwa doskonałego* używała słów najzupełniej w łóżku nieodpowiednich, na przykład na określenie zmierzchu mówiła o „prawie refrakcji chromatycznej”. Wyszędłszy od tej najprostszej prawdy (a prawda była dla niej rzeczą świętą), prowadziłem ją szczebel po szczeblu aż do najgorszych występków. Tyle lat cierpliwej pracy posłów, radców miejskich i mówców socjalistycznych zniweczone w kilka tygodni; tyle czytelników dzielnicowych, spółdzielni, tyle dobrej roboty policji, wszystko po to, żeby Norma zaczęła uprawiać tego rodzaju działalność. Jak tu wierzyć po tym wszystkim w spółdzielczość i w koleje żelazne?

Pięknie, uśmialiśmy się z Normy Pugliese. jak śmiałem się z niej sam w chwilach przewagi. Lecz oto nagle napadły mnie wątpliwości i zacząłem podejrzę-

wać, że jest ona jednym z zamaskowanych szpiegów nieprzyjaciela. Co prawda, można się było tego spodziewać, gdyż tylko prymitywny i głupi nieprzyjaciół posługiwałby się w tym celu osobą podejrzaną. Czyż właśnie prostota i szczerść Normy i jej umiłowanie prawdy nie przemawiały za tym, żeby jej się strzec? Z udręką jąłem analizować szczegóły naszego stosunku.

Na moją korzyść może świadczyć to, że nie przechwalam się zbyt dokładną znajomością kobiet. Otto Weininger wybrał w tym celu metodę wymagającą stanowczości i poświęcenia, lecz paradoksalną: nigdy nie przespał się z kobietą. Podobnie jak Leverrier, który zamknąwszy się w pokoju, li tylko z pomocą papieru i pióra obliczył i wykrył astronomom istnienie nieznaney planety, apriorystyczny i pełen pogardy Weininger wygłosił całe mnóstwo teorii o kobiecie, nie tknąwszy jej nawet palcem. Nie znał jej, rzecz jasna. Muszę jednak przyznać, że ja, który posługiwałem się metodą diametralnie różną, nie znałem jej lepiej od niego.

Byłem przekonany, że trafnie sklasyfikowałem Normę Pugliese, a biorąc pod uwagę jej sympatie do socjalizmu sądziłem, że nietrudno będzie poznać ją do głębi. Gruby błąd. Niejeden raz byłem zaskoczony jej niespodziewaną reakcją. A jej ostateczne zepsucie w żaden sposób nie dawało się pogodzić z tym tak zdrowym i solidnym nastawieniem, jakie zawdzięczała ojcu. Jeżeli jednak mężczyzna nie postępuje zgodnie z logiką, to czegoż można spodziewać się po kobiecie?

Całą tę nie przespaną noc poświęciłem na szczegółową analizę jej zachowania w stosunku do mnie. Nie-mało znalazłem powodów do niepokoju, ale miałem przynajmniej tę satysfakcję, że w porę dostrzegłem niebezpieczeństwo tego stosunku.

XIII Przyszło mi na myśl, że niejeden z was, zapoznawszy się z historią Normy Pugliese, pomyśli sobie, że jestem łotrem. Z góry przyznaję, że ma rację. Uważam się za łotra i nie mam najmniejszego szacunku dla własnej osoby. Jestem człowiekiem, który zgłębił swoją świadomość, a czyż można mieć 265

dla siebie szacunek, jeśli się dotarło do zakamarków "własnej świadomości?"

Uważam jednak, że jestem przynajmniej uczciwy, gdyż sam siebie nie oszukuję co do mojej osoby ani nie zamierzam oszukiwać innych. Zapewne więc spytacie, dlaczego bez najmniejszych skrupułów oszukałem tak wielu nieszczęsnych mężczyzn i kobiet, których po drodze spotkałem. Moi państwo, istnieją oszustwa i oszustwa. Tamte oszustwa były niewielkie, bez znaczenia. Podobnie nie można nazwać tchórzem generała, który nakazuje odwrót, ażeby w wyniku końcowym posunąć się naprzód. Istnieją i zawsze istniały oszustwa taktyczne, okolicznościowe, przejściowe, na rzecz zasadniczej prawdy, oszustwa mające na celu bezwzględne dochodzenie prawdy. Jestem badaczem Zła, a nie można badać Zła, nie zanurzywszy się po samą szyję w brudzie. Powiecie mi na to, że widocznie zamiast oburzać się i brzydzić jak prawdziwy badacz, który spełnia przykry obowiązek, odczuwam przy tym wielką przyjemność. I to także jest prawdą, otwarcie się do tego przyznaję. Widzicie, jaki jestem lojalny? Ani przez chwilę nie twierdziłem, że jestem porządnym człowiekiem: powiedziałem, że jestem badaczem Zła — są to dwie różne sprawy. A poza tym przyznałem, że jestem łotrem. Czego więcej możecie ode mnie żądać? I owszem, jestem skończonym łotrem. I szczycę się tym że nie należę do faryzeuszy, którzy nie są ode mnie lepsi, a udają ludzi czcigodnych, filary społeczeństwa, rycerzy bez skazy, nieposzlakowanych obywateli; po ich śmierci urządzi się im wspaniałe pogrzeby i poważne dzienniki zamieszczą ich życiorysy. Nie, jeżeli ja kiedykolwiek pojawię się na łamach gazet, to na pewno w kronice policyjnej. Ale zdaje mi się, że wyjaśniłem już, co myślę o poważnej prasie i o kronice policyjnej. Toteż jestem daleki od tego, żeby się z tego powodu wstydzić.

Nie cierpię tej powszechnej komedii szlachetnych uczuć. System konwencji objawia się już w samej mowie: jest ona największym fałszerzem prawdy przez duże P. Dzięki konwencji rzeczownik „staruszek” poprzedzany bywa nieuchronnie przez przymiotnik „biedny”, jakbyśmy wszyscy nie wiedzieli, że łobuz przez sam fakt, że się zestarzał, nie przestał być łobuzem, raczej przeciwnie, siwizna spotęgowała ieszczc jego 260

egoizm i zawiść. Należałoby urządzić olbrzymie *autodafe* wszystkim tym apokryficznym słowom, stworzonym przez powszechny sentymentalizm, uświęconym przez hipokrytów, którzy kierują społeczeństwem, i strzeżonym przez szkołę i policję: „czcigodni starcy” (najczęściej warto by na nich napluć). „szanowne matrony” (niemal wszystkie próżne, egoistyczne babska) itd. Nie mówiąc już o „biednych niewidomych”, którzy są przedmiotem niniejszego raportu. Winienem zauważyć, że jeśli ci biedni niewidomi boją się mnie, to właśnie dlatego, że jestem łotrem, wiedzą bowiem, że jestem jednym z nich, bezlitosnym draniem, którego nie można zbyć byle głupstwem lub komunalem. Czyż mieliby się lękać owego nieszczęśnika, który litościwie pomaga im przejść przez ulicę jak na kolorowym filmie Disneya z choinką gwiazdkową i z ptaszkami?

Gdyby tak można było ustawić w szeregu wszystkich łobuzów, jacy żyją na tej planecie, cóż by to była za wspaniała armia i jaka niezwykła galeria typów! Począwszy od małych dzieci („niewinne dziecięce lata”) aż do solidnych urzędników magistratu, którzy wynoszą z biura papier i ołówki. Ministrowie, gubernatorzy, lekarze i adwokaci niemal w pełnym składzie, owi wzmiankowani już wyżej biedni staruszkowie (masowo), również już wyżej wspomniane matrony, obecnie stojące na czele towarzystw niesienia pomocy trędowatym lub chorym na serce (a niegdyś spędzały czas na wyścigu z łóżka do łóżka i same przyczyniały się do zwiększenia liczby chorych na serce), kierownicy wielkich przedsiębiorstw, delikatne panienki o oczach gazeli (oskubią tego głupca, co uwierzy w ich romantyzm albo w ich słabość i bezradność), inspektory miejscy, urzędnicy kolonii, ambasadorowie odznaczani orderami itd.. itd. ŁOBUZY, NAPRZÓD MARSZ! Mój Boże, co za armia! Naprzód, skurwysyny! Nie zatrzymywać się, nie mazgać, czeka was los. który wam zgotowałem!

ŁOBUZY, W PRAWO ZWROT!

Piękne i pouczające widowisko.

Każdy żołnierz, wszedłszy do swej stajni, będzie musiał zjeść porcję swego własnego draństwa przemienionego w prawdziwe ekskrementy (w sensie dosłownym). Bez jakichkolwiek protekcji czy udowod-

nień. Synkowi pana ministra nie będzie wolno spożyć kawałka suchego chleba zamiast porcji własnego łajna. Nic z tego! Albo będzie tak, jak należy, albo nie warto, żeby w ogóle coś było! Niech zjada własne gównno! Niech zjada całe swoje gównno. Ładnie by to wyglądało, gdybyśmy mu pozwolili zjeść symboliczną porcję gównna. Żadnych symboli: każdy ma zjeść całą porcję swojego draństwa. Z tym tylko, że nie można oczywiście tak samo traktować nieszczęśnika, który po prostu wyczekiwał z pogodą ducha na śmierć swoich rodziców, ażeby otrzymać w spadku kilka groszy, jak któregoś z owych anabaptystów z Minneapolis, którzy marzą o niebie, wyzyskując bezlitośnie Murzynów w Gwatemali. O nie! **SPRAWIEDLIWOŚĆ I JESZCZE RAZ SPRAWIEDLIWOŚĆ**: każdemu tyle gównna, ile mu się należy. Na mnie nie liczcie, ja do bałaganu nie dopuszczę!

Chcę was zapewnić, że nie tylko trwam niewzruszenie na swoim stanowisku, ale że jestem bezinteresowny, gdyż i ja sam w charakterze, jak przyznałem, skończonego drania zostanę wcielony w szeregi armii koprofagów. Ubiegam się jedynie o przyznanie mi tej zasługi, że nikogo nie oszukałem.

Zanim to się stanie, należałoby wynaleźć jakiś przyrząd do dokładnego mierzenia ilości draństwa u osób czcigodnych, ażeby każda z nich mogła otrzymać należną jej porcję. Byłby to pewnego rodzaju „draństwomierz” ze wskaźnikiem, który ujawniałby, ile draństwa wyprodukował pan X w całym swoim życiu aż do tego Sądu Ostatecznego, ile z tego należałoby odliczyć jako dobre skłonności lub szczerłość, i w końcu podawałby ilość netto, jaką pan X powinien połknąć.

Następnie, po skrupulatnym dokonaniu pomiarów, olbrzymia armia pomaszeruje do stajni, gdzie każdy z uczestników spożyje swoją porcję łajna. Cały dowcip polegałby na tym, że procedura ta będzie się powtarzała w nieskończoność, gdyż na zasadzie niezniszczalności ekskrementów ilość wydalana będzie się równała ilości spożytej i na komendę zostanie za każdym razem na nowo w całości skonsumowana.

I tak *ad infinitum* *.

* Do nieskończoności (Przyp red)

XIV Czekałem, jeszcze dwa dni. W tym czasie otrzymałem list łańcuchowy; na ogół takie listy wyrzuca się do kosza, lecz mnie sprawił on jeszcze dodatkowy kłopot, gdyż wiedziałem z doświadczenia, że niczego, ale to dosłownie

NICZEGO
nie wolno lekceważyć, kiedy się jest uwikłanym w taką matnię jak ja. Przeczytałem go więc uważnie starając się znaleźć związek pomiędzy sprawami dotyczącymi nie znanych mi mecenasów i generałów a moją sprawą ze ślepyimi.

Oto jaka była jego treść: „Łańcuszek ten pochodzi z Wenezueli. Rozpoczął go pan Baldomero Mendoza, a powinien objąć całą kulę ziemską. Proszę przepisać go 24 razy i rozesłać kopie pomiędzy pańskich przyjaciół, z pominięciem wszystkich krewnych, nawet najdalszych. Osobiście przekona się pan o jego mocy, choć nie jest pan przesądny. Podam przykłady: Pan Ezequiel Goiticoa przepisał i rozesłał kopie do znajomych, a po dziewięciu dniach otrzymał sto pięćdziesiąt tysięcy boliwarów. Niejaki pan Barquilla nie zareagował na list i dom jego wraz z członkami rodziny spalił się, skutkiem czego pan B. wpadł w obłąd. W 1904 roku generał Joaquín Díaz dostał apopleksji i poważnie zachorował. Rozkazał jednak swej sekretarce przepisać ten list 24 razy i kopie powysłać. Powrócił szybko do zdrowia i obecnie czuje się doskonale. Pewien urzędnik z Garette sporządził wprawdzie kopie, ale .zapomniał je wysłać, po dziewięciu dniach miał przykrości i stracił posadę, potem dopiero rozesłał kopie; odzyskał posadę i dostał nawet odszkodowanie. Mecenasa Alfonso Mejía Reyes z Meksyku DF. otrzymał list, .przez nieuwagę zgubił go, po dziewięciu dniach spadł mu na głowę gzyms powodując tragiczny zgon. Inżynier Delgado przerwał łańcuch, a niedługo potem ujawniano jego nadużycia. Nie przerywaj łańcucha pod żadnym pozorem. Sporządź kopie i roześlij je. Grudzień 1954”.

XV Wreszcie pewnego dnia ujrzałem ślepcę idącego powoli ulicą Paso, od Rivadavia do Bartolome Mitrę. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Instynkt powiedział mi, że ten wysoki jasnowłosy człowiek ma coś wspólnego ze sprawą Iglesiasa, gdyż nie szedł obojętnie przed siebie, lecz sprawiał wrażenie, jak gdyby gdzieś niedaleko miał się zatrzymać. Wie przystanął przed domem nr 57, lecz bardzo powoli minął drzwi wejściowe i z pomocą swej białej laski istarał się zorientować w terenie, który prawdopodobnie miał być miejscem dalszych ważnych operacji. Tak mi się wydawało, toteż od tej chwili podwoiłem czujność.

Jednakże tego dnia nie zdarzyło się już nic godnego uwagi. Wieczorem, tuż przed godziną dziewiątą, wszedłem na siódme piętro, ale nie zauważyłem nic szczególnego: spotkałem roznosicieli wody sodowej, posłańców ze sklepu spożywczego, słowem, tych co zawsze.

Tej nocy nie mogłem usnąć, przewracałem się z boku na bok. Wstałem przed świtem i pobiegłem na ulicę Paso, w obawie, że ktoś dla mnie ważny mógłby wejść na górę w chwili otwarcia bramy. Ale nikogo takiego nie zobaczyłem i przez cały ten dzień również nie zauważyłem nic ciekawego. Czyżby pojawienie się owego wysokiego jasnowłosego ślepcy było czystym przypadkiem?

Powiedziałem już, że nie wierzę w przypadki, zwłaszcza kiedy odnoszą się do ślepych. Toteż tego samego wieczora po ukończeniu tego, co można by nazwać moją dzienną wartą, postanowiłem udać się do pensjonatu i przeprowadzić tajne badania pani Etcheparaborda.

Niepokój kazał mi posunąć się do najobrzydliwszej demagogii. Nie cierpię grubych kobiet, a właścicielka pensjonatu była pękata; wciśnięta w suknię uszytą chyba na normalną kobietę demonstrowała podbródek i olbrzymi śnieżnobiały biust przypominający gigantyczny trzęsący się budyń, ale budyń faszzerowany flakami.

Wyraziłem podziw dla jej pięknej cery i powiedziałem, że nie wierzę w jej czterdzieści pięć lat. Pochwaliłem również salonik, w którym wszystkie stoły, stoliki i w ogóle każda powierzchnia pozioma przy-

kryta białą szydełkową serwetą. Jakiś *horror vacui* * nie pozwalał jej zostawić kawałka wolnej przestrzeni bez przykrycia lub wypełnienia jej: pierroty z porcelany, słonie z brązu, łabędzie ze szkła, chromowane Don Kichoty i duży, niemal naturalnej wielkości Bambi. Na fortepianie, na którym, jak twierdziła, nie grała od śmierci nieboszczyka męża, leżały aż dwie wielkie szydełkowe serwety, jedna na klawiaturze, druga na pokrywie. Na tejże pomiędzy paroma szmacianymi gauchami i chłopkami wisiał trzyćwiertniowy portret pana Etcheparaborda, patrzącego z powagą na wielkiego słonia z brązu; wyglądał, jak gdyby patronował tej kolekcji teratologicznej.

Pochwaliłem ohydny chromowaną ramę, na co ona, spoglądając z rozmarzeniem na portret, wyjaśniła mi, że małżonek zmarł dwa lata temu w kwiecie wieku, mając czterdzieści osiem lat, kiedy właśnie miało się spełnić jego marzenie: miał otrzymać połowę emerytury.

— Był zastępcą kierownika działu przesyłek krajowych w firmie „Los Gobelinos” — zwierzyła mi się.

— ■ O, psiakość, to poważna firma — rzekłem z uznaniem, mimo iż byłem wściekły i zniecierpliwiony! gdyż nie zdołałem jeszcze wszcząć indagacji.

— O tak, bardzo poważna — przytaknęła z zadowoleniem.

— I stanowisko miał nieliczne — dodałem.

— Ja myślę — rzekła. — Nie żebym innych nie doceniała, ale do mego męża mieli nieograniczone zaufanie.

Zachęcona moją uprzejmością, gruba jejmość podsunęła mi pod nos album fotografii rodzinnych. Na jednym ze zdjęć oboje małżonkowie razem kąpią się w Mar del Pląta.

— Właśnie wtedy podarował mi to — rzekła wskazując na ozdobioną muszelkami latarnię stojącą na serwecie. Wstała, przyniosła ją i kazała przeczytać napis: „Pamiętka z Mar del Pląta”, z dopisaną poniżej atramentem datą: 1948.

I wróciła do albumu, gdy mnie tymczasem trawił niepokój.

Na innym zdjęciu pan Etcheparaborda paraduje

* Obawa próżni. (Przyp. red.)

u boku swej małżonki w parku Palermo. Na jeszcze innym onże w otoczeniu siostrzeńców i szwagra, niejakiego pana Rabufetti czy jak mu tam. Tenże pan Etchaparaborda z całym personelem firmy „Los Gobelinos” obchodzi jakąś wewnętrzną uroczystość w restauracji „Pod Rybką” na Boca. I tak dalej.

Defilada nagich leżących niemowląt wpatrzonych w kamerę, fotografii ślubnych, jeszcze wakacje, szwagrowie, kuzyni, przyjaciele (tak nazywała pani gospodyni gmachy do niej podobne).

W końcu zobaczyłem z radością, że zamyka album i chowa do szuflady w komodzie. Nad tym meblem, na którym stało mnóstwo figurynek, wisiał prowansalski pejzaż z napisem:

GOSC W DOM, BOG W DOM!

— Co słyhać u biednego Iglesiasa? — zapytałem.

— Nic nowego, panie Vidal, siedzi biedaczysko zamknięty w swoim pokoju i nie chce nikogo widzieć.

Powiem panu szczerze: serce mi się kraje.

— Wierzę pani. A nikt o niego nie pytał? Nikt się nim nie interesował?

— Nikogo nie było, panie Vidal. Przynajmniej jak dotąd.

— To ciekawe, bardzo ciekawe — rzekłem sam do siebie.

Powiedziałem jej przedtem, że nawiązałem kontakty z odpowiednimi towarzystwami. Za pomocą tego kłamstwa osiągnąłem podwójny cel niezmiernej wagi: zahamowałem wszelką osobistą inicjatywę z jej strony (a taka inicjatywa groziła oczywiście wymknięciem się Iglesiasa spod mojej kontroli) i mogłem jednocześnie dowiedzieć się o każdym najdrobniejszym zdarzeniu.

Nie należy zapominać, że postanowiłem sobie posłużyć się Iglesiasem nie tylko w celu dotarcia do tajemniczego kręgu, ale chciałem też przedtem zbadać i potwierdzić pierwsze moje przypuszczenia dotyczące organizacji: jeżeli zecer zostanie przez nią wykryty, mimo iż nikt nie wie o jego ślepcie, będzie to potwierdzeniem mojej teorii w najgorszej jej krańcowości i wtedy będę musiał podwoić czujność. Z drugiej strony jednak dalsze wyczekiwanie stało się niebez-

pieczne i potęgowało mój niepokój, że nie zdążę na czas.

Mimo wszystko przekłute czekanie musiało jeszcze potrwać, a ja śledziłem tymczasem przebieg metamorfozy Igleσίας i zanotowałem w jego wyglądzie i zachowaniu znaczne zmiany. Wieczorami, zwłaszcza po zamknięciu bramy, a więc kiedy ów z niepokojem wyczekiwany posłaniec nie mógł już wejść do pensjonatu (Sekta nie powinna za nic w świecie wiedzieć o mojej obecności u zecera), wchodziłem do jego pokoju i starałem się rozmawiać z nim albo przynajmniej dotrzymywać mu towarzystwa słuchając wspólnie z nim radia. Jak powiedziałem, Igleσίας stawał się z dnia na dzień coraz bardziej milczący, wzmagała się też niemal dostrzegalnie jego nieufność i owa lodowata niechęć, tak charakterystyczna dla członków kasty. Badałem również symptomy czysto fizyczne, na przykład podając mu rękę próbowałem, czy jego skóra zaczęła już wydzielać ów prawie nieuchwytny zimny pot, który jest jedną z cech świadczących o powinowactwie z żabami i w ogóle z płazami, i im podobnymi zwierzętami.

Pukałem więc do drzwi, a usłyszawszy jego „proszę” wchodziłem i przekręcałem kontakt, który znajdował się po lewej stronie drzwi. Igleσίας siedział w kącie przy radiu, z każdym dniem bardziej poważny i skupiony i patrzył na mnie, jak to czynią ślepi, z pustym i oderwanym wyrazem twarzy, co, według mojego doświadczenia, jest jedną z najwcześniejszych oznak ich powolnej metamorfozy. Czarne okulary, które miały tylko przykryć wypalone oczodoły, potęgowały jeszcze ten wyraz. Wiedziałem przecież, że za tymi czarnymi szklami niczego nie ma, ale właśnie to NIC wywierało przejmujące wrażenie. Czułem bowiem, że poza tym NICZYM są inne oczy, niewidzialne, lecz coraz bardziej bezlitosne i podstępne, które wpatrują się we mnie i przenikają mnie na wskroś. Nie powiedział nigdy ani jednego przykrego słowa; przeciwnie, był aż nadto uprzejmy, jak bywają ludzie pochodzący z pewnych okolic Hiszpanii; dzięki takiej Pełnej dystansu uprzejmości prosty chłop z surowej wyżyny kastyljskiej wydaje się panem. Lecz w miarę Jak mijaly dnie, a my wciąż siedzieliśmy milcząc na przeciw siebie niczym chłodne posągi egipskie, czułem.

273

18

O bohaterach i grobach

jak niechęć wsacza się stopniowo w każdy zakątek jego duszy.

W milczeniu paliliśmy papierosy. Aby przerwać to nieznośne milczenie, czasem rzucałem nagle jakieś słowa, o czymś, co dawniej mogło go interesować.

— TAM, w mieście, ogłoszono strajk robotników portowych.

Iglesias mruknął coś pod nosem, pociągnął ze złością czarnego papierosa i pomyślał sobie: „Znam cię, ty draniu.”

Kiedy sytuacja stawała się nie do zniesienia, odchodziłem. Ale i tak, pomimo wszystkich niedogodności, jakie te spotkania nastęrczały, osiągnąłem mój cel: śledziłem jego przemianę.

Wyszędzszy na ulicę, robiłem jeszcze nocny obchód, niby to dla wytchnienia przechadzałem się, ot tak sobie, pogwizdując, ale w rzeczywistości wypatrywałem bacznie jakichkolwiek znaków obecności nieprzyjaciela.

Jednakże w ciągu dwóch dni, po ukazaniu się wysokiego jasnowłosego ślepcą, nie zauważyłem nic takiego, co by miało jakieś znaczenie.

XVI Wreszcie drugiego dnia, kiedy przyszedłem jak zawsze wieczorem do pensjonatu, dowiedziałem się o pewnym fakcie, który mnie zaalarmował.

Zanim wszedłem do pokoju Iglesiasa, miałem zwyczaj odwiedzać panią Etcheparaborda i brać ją na spytki. Jak zwykle tak i tego wieczora zaproponowała mi kawę, którą specjalnie dla mnie parzyła. Sądziłem podówczas, że uważa mnie ona za swego wielbiciela, któremu Iglesias służy jedynie za pretekst do codziennych wizyt. Nie pozbawiałem jej tych złudzeń; to zachwalałem jej suknię, to znów wpadałem w zachwyt na widok nowego słonia z metalu, kiedy indziej prosiłem, żeby mi zacytowała złote myśli pana Etcheparaborda.

Tego wieczora, podczas gdy ona parzyła swą sławetną kawę, spytałem ją jak co dzień, czy zdarzyło się coś nowego. Ona zaś, jak zwykle, odpowiedziała, że nikt nie przychodził pytać o Iglesiasa.

To nie do pomyślenia, proszę pana. Traci się po prostu wiarę w ludzkość.

— Nigdy nie traćmy nadziei — odparłem jednym ze słynnych powiedzeń pana Etcheparaborda. „Trzeba mieć zaufanie do Ojczyzny”; „Takie jest Życie”; „Należy ufać siłom Narodu” — myśli te świadczyły o wysokim poziomie zmarłego zastępcy kierownika ekspedycji w „Los Gobelinos” i nawet po śmierci wzruszały jego małżonkę.

— Mój nieboszczyk mąż zawsze to mówił — oznajmiła podając mi cukiernicę.

I zaczęła mówić o drożyźnie.

— Wszystkiemu winien ten łajdak Peron. Nigdy go nie mogłam znieść. A wie pan dlaczego? Przez to jego zacieranie rąk i ten uśmiech. Zupełnie jak ksiądz. A księży nie cierpię, choć szanuję każdą religię; oboje z nieboszczykiem mężem należeliśmy do stowarzyszenia spirytystów brata Basilio.

W końcu zaczęła rozprawiać o nowej podwyżce opłat za prąd.

— Oni robią, co chcą — utyskiwała. — Na przykład dzisiaj: przyszedł człowiek z CADE * i cały dom przewrócił do góry nogami, żeby przekonać się, czy lodówka, kuchnia i inne aparaty są w porządku. Ja się pytam, panie Vidal, czy jest takie prawo, żeby u kogoś ni stąd, ni zowąd robić rewizję?

Podobnie jak koń zatrzymuje się nagle i staje dęba na widok, który go przeraził, tak mną wstrząsnęły jej słowa.

— Funkcjonariusz CADE? — spytałem, niemal zrywając się z miejsca.

■ — No tak, z CADE — odrzekła zaskoczona.

— O której godzinie?

— Około trzeciej po południu — odparła po chwili namysłu.

— Tęgi? W jasnym ubraniu?

— Tak, tęgi... — odrzekła coraz bardziej zdziwiona, patrząc na mnie jak na chorego.

— Ale czy miał na sobie jasne ubranie? — napierałem niemiłosiernie.

— Tak... jasne... tak, może z popeliny, z jakiegoś takiego materiału, co to teraz noszą.

* Compañía Argentina de Electricidad — jeden z dwóch wielkich koncernów elektrycznych w Argentynie. (Przyp. red.)

Wpatrywała się we mnie z takim zdumieniem, że musiałem się jakoś wykręcić, inaczej, kto wie, czy mój niepokój nie wydałby się podejrzany nawet takiej idiotce. Ale co jej powiedzieć? Staralem się wymyślić coś wiarygodnego, powiedziałem, że ten człowiek jest mi winien pieniądze, paplałem szybko jakieś słowa, wiedziałem bowiem, że nie ma sposobu, żeby powiedzieć coś takiego, co wytłumaczyłoby moje zachowanie. A było ono najzupełniej uzasadnione, gdyż tego popołudnia o godzinie trzeciej zwrócił moją uwagę tego mężczyzna w jasnym popelinowym ubraniu, który z walizką w ręce kręcił się po ulicy Paso, koło domu numer 57. Wydał mi się od razu podejrzany, a opowiadanie właścicielki pensjonatu o rewizji potwierdziło moje przeczucia.

Dopiero później, dokonując przeglądu zdarzeń związanych z moim śledztwem, pomyślałem, że całe moje zachowanie w związku z funkcjonariuszem CADE, a także moje tłumaczenie się przed gospodynią były nierozważne.

Wystarczyły, żeby wzbudzić jej podejrzenie, że coś się pod tym wszystkim kryje.

Nie mogłem jednak dopuścić do tego, żeby gmach z takim trudem wzniesiony runął z powodu jednej szczeliny. W nocy miałem zamęt w głowie: czułem, że zbliża się decydująca chwila. Nazajutrz, bardziej niż zwykle zdenerwowany, zasiadłem już wczesnym, rankiem w kawiarni. Wypiłem białą kawę i rozłożyłem gazetę, ale w rzeczywistości nie spuszczałem z oka numeru 57. Doszedłem do niemałej wprawy w tej podwójnej grze. Słuchałem gadania Juanita o strajku metalurgów, aż oto dygocąc z emocji ujrzałem funkcjonariusza CADE z tą samą, co wczoraj, walizką i w tym samym jasnym ubraniu. Szedł ulicą Paso, tym razem w towarzystwie niskiego, szczupłego jegomościa, z twarzy podobnego do aktora Pierre Fresnaya. Szli rozmawiając. Gruby pochylił się i szepnął szczupłemu coś na ucho, tamten potakując skinął głową. Doszedłszy do domu numer 57 niski wszedł do bramy, a funkcjonariusz CADE poszedł dalej aż do ulicy Mitre, gdzie przystanął na rogu. Wyjął paczkę papierosów, zapalił i czekał.

Czy Iglesias wyjdzie z tamtym na ulicę?

Nie wydało mi się to prawdopodobne; nie leżało 276

w jego naturze przyjmować natychmiast każde zaproszenie czy propozycję.

Staralem się wyobrazić sobie scenę, która odgrywała się na górze: co mu ten człowiek powie? Jak się przedstawi? Najprawdopodobniej poda się za członka komitetu jakiejś czytelnicy lub chóru, albo jakiejś innej instytucji tego rodzaju; powie, że dowiedzieli się o jego nieszczęściu, że chcą mu przyjść z pomocą itd. Ale, jak rzekłem, trudno przypuścić, żeby Iglesias od razu zgodził się z nim pójść: stał się zbyt nieufny, wzmogła się też jego duma, która, jak u wielu Hiszpanów, grała u niego dominującą rolę, jeszcze zanim oślepl.

Toteż kiedy wysłannik sam jeden wyszedł na ulicę i przystąpił do funkcjonariusza CADE, pomyślałem z satysfakcją, że moje przypuszczenia były słuszne, co świadczyło o prawidłowości mego rozumowania.

Funkcjonariusz CADE wysłuchał, zdaje się, z wielkim zainteresowaniem raportu małego człowieka, po czym rozmawiając z ozywieniem udali się obaj do rogu alei Pueyrredón.

Czym prędzej popędziłem na górę; musiałem koniecznie dowiedzieć się o wszystkim, nie wzbudzając przy tym podejrzeń Iglesiasa.

Wdowa przyjęła mnie entuzjastycznie.

— Wreszcie był tu ktoś ze Stowarzyszenia! — zawołała ściskając oburącz moją prawą rękę.

Staralem się ją uspokoić.

— Przed wszystkim, droga pani, proszę nie zdradzać się ani słówkiem przed Iglesiasem, że to z mojej inicjatywy po niego przysłali. Nie chcę, żeby o tym wiedział.

Zapewniła mnie, że doskonale pamięta moje polecenia.

— To świetnie — pochwaliłem. — A więc o co poszło?

—■ Zaproponowali mu pracę.

— Jaką pracę?

— Tego nie wiem. Nie powiedział mi.

— I co on na to?

— Powiedział, że się namyśli.

— Do kiedy?

— Ten pan przyjdzie dzisiaj po południu. Chce go przedstawić.

— Przedstawić? Komu? —[^]

— Nie wiem, proszę pana.

Na razie musiałem się tym zadowolić. Pożegnałem się.

— Ach, byłbym zapomniał. O której ten pan ma wrócić? — spytałem już odchodząc.

— O trzeciej.

— Doskonale.

Sprawa zaczęła posuwać się naprzód.

XVII Jak zwykle, kiedy jestem zdenerwowany, poczułem gwałtowną potrzebę udania się do toalety. Wszedłem do baru i skierowałem się do ubikacji. Ciekawe, że w tym kraju jedynym miejscem, w którym używa się tytułu „Damy” i „Kawalerowie” jest właśnie to, gdzie wszyscy przestają nimi być. Czasem myślę, że jest to jeden z tak licznych u Argentyńczyków przejawów ironii i niedowierzania. Rozgościłem się w cuchnącej komórce i dla potwierdzenia mojej starej teorii, że toaleta jest jedynym pozostałym przybytkiem filozofii w stanie czystym, jałem odczytywać płataninę napisów Nad nieuniknionym, podstawowym VIVA* PERON, ktoś wymazał VIVA i zastąpił je wyrazem MUERA ** który z kolei także został wymazany i zastąpiony przez inne VIVA, wnuka tego pierwotnego, i tak na przemian, w formie pagody, a raczej rozwichrzonej budowy gmachu

Z prawej i lewej strony, od góry i od dołu jakieś plemię dzikich, pornograficznych egzegetów ozdobiło wzbogaciło i opatrzyło uwagami ten pierwotny wyraz za pomocą strzałek znaków podziwu i aluzyjnych rysunków, a także przeróżnych uwag o matce Perona o pochodzeniu socjalnym i o szczegółach anatomicznych Ewy Duarte Peron, o tym, co uczyniłby ów nieznanymi wypróżniający się komentator, gdyby miał szczęście znaleźć się z nią w łóżku, w fotelu lub choćby w tejże ubikacji Zdania te i wyrazy tęsknoty z kolei również zostały wymazane, wytarte, przekrecone albo wzbogacone przysłówkiem pejoratywnym lub pochlebnym, a dzięki interwencji przymiotnika treść ich została wzmocniona bądź też osłabiona Jakiś pijany,

* Niech żyje (Przyp red)

" Niech zginie (Przyp red)

zaśliniony profesor anatomii wykonał do nich ilustracje ołówkiem i kolorowymi kredkami. Wszystkie wolne miejsca w dole i z boku wypełniają prośby i oferty (z podaniem numeru telefonu) dla ludzi posiadających takie lub inne kwalifikacje, skłonnych dokonać takich lub innych kombinacji, bohaterских czynów i innych sztuczek masochistycznych i sadystycznych. Oferty te tudzież podania, często otoczone ramką (na wzór ważniejszych ogłoszeń w dziennikach), napisane są rozmaicie, pismem niespokojnym lub koślawym, literami wymęczonymi albo puszczone swobodnie, kaligraficznie lub niedbale. Osoby postronne, które z jakichś powodów nie są skłonne interweniować w danej kombinacji, lecz które jednak (jak o tym świadczą ich uwagi) pragną mieć i istotnie mają swój udział w tej sprośnej magii, dopisały do nich ironiczne, a nawet obraźliwe lub humorystyczne uwagi. Pośród tej plątaniny, w kierunku wskazanym strzałką, znaleźć można pełną tęsknoty i nadziei odpowiedź, w której korespondent podaje, kiedy i jak będzie oczekiwać Księcia Koprografii i Odbytu: gdzieniegdzie odpowiedź ta opatrzona jest marginesową uwagą, czułą i na pozór nie pasującą do tego miejsca- POZNASZ MNIE PO BIAŁYM GOŹDZIKU

„Oto odwrotna strona świata” — pomyślałem.

Poddobnie jak w kronice policyjnej, tak i tutaj wychodzi na jaw ostateczna prawda plemienia ludzkiego

„Miłość i ekskrementy” — pomyślałem

A zapinając spodnie pomyślałem jeszcze* „Damy i Kawalerowie”.

XVIII Dla pewności zasiadłem już o drugiej po południu w kawiarni. Ale jegomość podobny do Pierre Fresnaya zjawiał się dopiero o trzeciej. Szedł bez żadnego wahania, a znalazłszy się przed domem podniósł głowę, aby sprawdzić numer (miał bowiem głowę pochyloną, jak gdyby *coś do* siebie marmotał), i wszedł do bramy nr 57.

Czekałem w napięciu, aż wyjdzie: zbliżała się oto najniebezpieczniejsza część mojej przygody, bo choć myślałem przez chwilę, że zaprowadzą go po orostu do któregoś z towarzystw wzajemnej pomocy lub dobroczynności intuicyjnie wyczułem natychmiast, że 279

tak być nie może; zrobią to później. Na razie ograniczą się do czegoś 'bardziej niewinnego, zaprowadzą go do któregoś z ważniejszych ślepców, do takiego być może, który utrzymuje więź z hierarchiami. Na czym opierałem to przypuszczenie? Uważałem, że zanim hierarchowie puszcza — że tak powiem — w ruch nowego ślepcę, zechcą poznać do głębi jego cechy, jego warunki i kwalifikacje, jak również stopień inteligencji lub głupoty: dobry szef siatki szpiegowskiej nie powierzy misji agentowi, zanim nie pozna jego zalet i wad. Rzecz prosta, że zbieranie datków w kolei podziemnej nie wymaga tych samych kwalifikacji, co służba w tak ważnym miejscu jak Ośrodek Morski (przebywa tam stale sześćdziesięciokilkuletni wysoki ślepiec w kapeluszu, trzyma w ręku ołówki, milczy i wygląda zupełnie jak angielski lord, zubożały przez nieszczęśliwy przypadek losu). Istnieją, jak już powiedziałem, rozmaici ślepcy. I choć wszyscy posiadają zasadniczą cechę wspólną, która nadaje im owo minimum swoistych właściwości rasowych, nie powinniśmy upraszczać problemu tak dalece, żeby ich wszystkich uważać za równie inteligentnych i sprytnych. Są tacy, którzy nadają się jedynie do grubej roboty, a znajdzie się też między nimi niejeden Kierkegaard i Proust. Ponadto nigdy nie można przewidzieć, co stanie się z człowiekiem, który dostał się do świętej Sekty wskutek choroby lub wypadku, gdyż, podobnie jak na wojnie, zdarzają się i tu nieprawdopodobne niespodzianki; jak nie było do przewidzenia, że z nieśmiałego urzędnicy bankowego w Bostonie wyrośnie bohater z Guadalcanal *, tak nie można z góry wiedzieć, w jak zaskakujący sposób ślepotę może podnieść hierarchię stróża lub drukarza: powiadają, że jeden z czterech tetrarchów, którzy rządzą Sektą na skalę światową (zamieszkują oni gdzieś w Pirenejach, w jakiejś niezmiernie głębokiej grocie, w której zginęła w roku 1950 grupa speleologów, usiłująca dotrzeć do jej głębi), nie był ślepy od urodzenia, ale, co jest najdziwniejsze, w swoim poprzednim życiu był zwyczajnym dżokejem z Mediolanu, który utracił wzrok podczas gonitwy

* Wyspa w Archipelagu Salomona na Oceanie Spokojnym, teren ciężkich i długotrwałych walk między Amerykanami i Japończykami w latach 1942–1943. (Przyp. red.)

Wiadomość tę otrzymałem z którejś tam ręki i choć uważam za mało prawdopodobne, żeby ktoś, kto nie był ślepy od urodzenia, mógł zostać tetrarchą, powtarzam tę historię tylko po to, żeby wykazać, jak dalece człowiek gotów jest uwierzyć, że utrata wzroku może zapewnić przejście do wyższej klasy. System awansowania jest tak ezoteryczny, że uważam co najmniej za wątpliwe, żeby ktoś mógł kiedykolwiek dowiedzieć się czegoś bliższego o tetrarchach. W świecie niewidomych podaje się z ust do ust wiadomości nie zawsze prawdziwe: po części dlatego być może, że właściwa istotom ludzkim skłonność do oszczerstwa i plotek u ich rasy przybiera proporcje patologiczne; po części zaś, według mojego przypuszczenia, dlatego że dostojnicy posługują się fałszywymi informacjami jako jednym ze sposobów zachowania swej tajemniczości i wieloznaczności, które są potężną bronią w każdej tego rodzaju organizacji. Tak czy inaczej, po to, żeby jakaś wiadomość była prawdopodobna, musi być przynajmniej zasadniczo możliwa, a to już wystarcza, żeby jak w domniemanym przypadku dżokeja podwyższyć kwalifikacje szeregowego jeźdźca.

Powracając do naszego problemu, nie wyobrażałem sobie, żeby Iglesiasa wprowadzili już za pierwszym razem do jednego z tych ezoterycznych stowarzyszeń, gdzie ślepi, uciekając się do najpodlejszych kruczków uczuciowej demagogii, posługują się Bogu ducha winnymi paniami lub paniami o złotych sercach i ptasich mózdzkach. Wyczułem natomiast, że owo pierwsze wyjście Iglesiasa może mnie od razu zaprowadzić do jednej z tajnych kryjówek, co przy licznych niebezpieczeństwach implikowało też z pewnością wspaniałe możliwości. Toteż 'kiedy po południu zasiadłem w kawiarni, miałem już za sobą wszystkie przygotowania, które wydały mi się słuszne na wypadek takiej podróży Powiecie mi na to, że nietrudno jest rozsądnie przygotować się do podróży w góry Cordoby, ale nie wiadomo jak — nie będąc szalonym — należy przygotować się do eksploracji świata niewidomych Otóż przyznam się wam, że owe sławetne przygotowania ograniczyły się do dwóch czy trzech względnie logicznych przedsięwzięć: do zabrania latarki elektrycznej, prowiantu i jeszcze paru podobnych drobiazgów Postanowiłem, że podobnie jak to czynią nurkowie naj-

lepiej będzie wziąć czekoladę jako koncentrat żywności.

Z pudełkiem czekoladek w kieszeni, uzbrojony w latarkę i w białą laskę (w ostatniej chwili wpadło mi na myśl, że może mi być przydatna, podobnie jak mundur nieprzyjacielski dla zwiadowczego patrolu) oczekiwałem w najwyższym napięciu pojawienia się Iglesiasa z małym jegomościem. Nie było co prawda wykluczone, że zecer, jako prawdziwy Hiszpan, wymówi się od wyjścia i pozostanie sam ze swoją dumą. w tym wypadku cały przeze mnie wzniesiony gmach runąłby jak domek z kart i mój ekwipunek, składający się z czekoladek, latarki i białej laski, automatycznie stałby się śmiesznym, ekwipunkiem wariata.

Lecz oto ukazał się Iglesias!

Mały jegomość tłumaczył mi coś żarliwie, a zecer słuchał go z godnością zubożalego hidalga, który nie poniżył się dotychczas i nigdy się nie poniży. Poruszał się ociężale, niewprawnie jeszcze manewrując białą laską, którą mu tamten przyniósł; co parę kroków unosił ją w powietrze i niósł przed sobą jak szklane naczynie.

Ileż brakowało mu jeszcze do ukończenia okresu terminowania! Spostrzeżenie to podniosło mnie na duchu; zadowolony z siebie pośpieszyłem za nimi.

Mały jegomość nie dawał najmniejszego znaku, że mnie zauważył, i to również poprawiło moje samopoczucie, a nawet wbiło mnie w swego rodzaju dumę, gdyż sprawa rozwijała się zgodnie z wynikiem moich długoletnich badań wstępnych.

Nie wiem, czy już wspominałem, że od czasu mojej nieudanej próby ze ślepym z kolei podziemnej w Palermo niemal cały czas poświęcałem systematycznej i szczegółowej obserwacji dającej się uchwycić działalności każdego ślepca, jakiego spotykałem na ulicach Buenos Aires; w ciągu tych trzech lat zakupiłem i wyrzuciłem setki niepotrzebnych czasopism, tysiące fiszbiników do kołnierzy, nabyłem mnóstwo ołówków i różnej wielkości notatników, chodziłem na koncerty niewidomych, opanowałem metodę Braille'a i całymi dniami przesiadywałem w czytelnii. Ma się rozumieć, że w ten sposób narażałem się na poważne niebezpieczeństwo, bo gdyby padło na mnie podejrzenie, wszystkie moje plany wzięłyby w łeb pominąwszy już, że

i moje życie byłoby zagrożone; lecz takie postępowanie było konieczne, a nawet w paradoksalny sposób dawało ono jedyną szansę ratunku przed tymże niebezpieczeństwem; czułem się jak żołnierz, który ćwiczy się w poszukiwaniu min, a któremu w kulminacyjnym momencie ćwiczeń grozi to niebezpieczeństwo, jakiego powinien właśnie unikać.

Nie byłem oczywiście tak nierozważny, żeby narażać się na niebezpieczeństwo nie podejmując elementarnych środków ostrożności: zmieniałem ubranie, używałem sztucznych wąsów lub brody, wkładałem ciemne okulary, a nawet zmieniałem głos.

Wiele rzeczy prześledziłem w ciągu tych trzech lat i ta mozolna praca przedwstępna otworzyła mi drogę do tajemniczego królestwa

I tak skończyłem...

W tych ostatnich dniach życia nie mam już bowiem wątpliwości, że los mój był z góry przesądzony, może od samego początku moich badań, od nieszczęsnego dnia, kiedy inwigilowałem ślepcę z kolei podziemnej w ciągu wielokrotnych podróży pomiędzy plażą Mayo a Palermo.

Myślę czasem, że im wyższe miałem wyobrażenie o własnej chytrłości, im bardziej byłem dumny z tego, co uważałem za moją niezwykłą zręczność, tym głębiej sam wpadałem w matnię w poszukiwaniu własnej zguby. Doszło do tego, że zacząłem podejrzewać nawet samą panią Etcheparaborda! Jakże ponura i śmieszna wydaje mi się teraz myśl, że owa *misę en scène* * z bibelotami, z ogromnymi Bambi, z fotografiami drobno-mieszcząńskiego stadła na plaży, z idyllicznymi prowansalskimi obrazkami, że to wszystko, z czego w mojej zarozumiałości po cichu się naśmiewałem, nie było niczym więcej jak grubą, ponurą i komiczną *misę in scène*!

Wszystko to są jednak tylko przypuszczenia, postanowiłem zaś opisywać jedynie fakty. Wróćmy więc do zdarzeń w ich kolejności

W dniach poprzedzających wyjście Iglesiasa z domu przemyślałem, jak przy partii szachów, wszystkie możliwe warianty tego wyjścia, gdyż musiałem być Przygotowany na każdy z nich. Mogło się na przykład

* Inscenizacja (Przyp red)

zdarzyć, że przyjadą po niego taksówką lub prywatnym samochodem. Ponieważ nie chciałem stracić najwspanialszej okazji mego życia przez pominięcie tak łatwo dającej się przewidzieć kombinacji, stałe czekał na mnie w pobliżu wóz turystyczny; załatwił mi to R., jeden z moich współników od fałszowania banknotów.

Lecz spostrzegłszy tego dnia, że podobny do Pierre Fresnaya wysłannik nadchodzi pieszo, zrozumiałem, że ten środek ostrożności był niepotrzebny.

Pozostała oczywiście możliwość, że pojedzie z Iglesiasem taksówką, i choć w Buenos Aires jest obecnie o taksówkę tak trudno jak o mamuta, byłem na tę ewentualność przygotowany. Nie zatrzymali się jednak w bramie, jak zwykle kiedy czeka się, aż nawinie się jakaś taksówka; przeciwnie, nie rzuciwszy nawet okiem w prawo ani w lewo, jegomość wziął Iglesiasa pod ramię i zaprowadził go do rogu ulicy Mitre; było jasne, że gdziekolwiek mają się udać, skorzystają z miejskich środków lokomocji.

Pozostała co prawda możliwość, że tamten, ten grubas z CADE, oczekuje ich gdzieś z samochodem, ale nie wydało mi się to logiczne, gdyż nie widziałem żadnego powodu, dla którego nie miałby oczekiwać ich tu, na ulicy Paso. Z drugiej strony właśnie jazda autobusem wydawała mi się jak najbardziej stosowna, by nowy ślepiec nie nabrał od razu przekonania o wszechmocy kasty; skromne zachowanie i ubóstwo są skuteczną bronią w okrutnym i egoistycznym, lecz skłonny do sentymentalizmu społeczeństwie. Choć zamiast „lecz” powinienem raczej napisać „i”.

Postępowałem za nimi, zachowując przezorny dystans.

Dotarłszy do zbiegu ulic, skręcili w lewo i zatrzymali się przy Pueyrredón obok przystanku autobusów. Stała tam kolejka złożona z kilku osób, mężczyzn i kobiet, lecz z inicjatywy jakiegoś pana z teczką i w okularach, który wyglądał przyzwoicie, ale w którym wyczulem skończonego łotra, wszyscy ustąpili miejsca „niewidomemu”.

Tak więc Iglesias i jego towarzysz zajęli pierwsze miejsca w kolejce.

Na tablicy oznaczone były trzy numery; dla mnie stanowiły one pierwszy klucz do wielkiej zagadki, przestały być numerami autobusów idących do Retiro 284

czy do Wydziału Prawa, do Szpitala Klinicznego lub do Belgrano, lecz wiodły do wrót Nieznanego.

Wsiadli do autobusu jadącego w kierunku Belgrano i ja za nimi, przepuściwszy jednak przed sobą kilka osób, aby stworzyć między nami warstwę izolacyjną.

Przy Cabildo zacząłem się zastanawiać, gdzie wysiądą. W czasie drogi mały jegomość nie okazywał niepokoju, dopiero przy Virrey del Pino zaczął przesuwać się naprzód i obaj z Igleciasem ustawili się przy drzwiach wyjściowych. Wsiadli przy ulicy Sucre. Minąwszy Sucre, poszli przez Obligado na północ do Juramento, tą ulicą aż do Cuba, przez Cuba znowu na północ; dotarwszy do Monroe wrócili na Obligado i przez Obligado ma placyk, który poprzednio już minęli : przy Echeverria i Obligado.

Było to jasne jak dzień: zamierzał kogoś zbić z tropu. Ale kogo? Mnie? Czy kogoś innego, kto podobnie jak ja mógł iść w ślad za nimi? Hipoteza ta nie była do odrzucenia, gdyż oczywiście nie ja pierwszy usiłowałem dotrzeć do tajemniczego świata. Na przestrzeni historii ludzkości było chyba wielu takich, w każdym razie ja podejrzewam dwóch: pierwszy to Strindberg, który przyplącił to szaleństwem, drugi to Rimbaud: Rimbauda zaczęli śledzić już przed jego podróżą do Afryki, jak wynika z listu, który poeta napisał do siostry, a który Jacques Riviere mylnie interpretuje.

Nie było też wykluczone, że chcieli zbić z tropu samego Igleciasa, mając na względzie nader wyostrzony zmysł orientacji, którego człowiek nabiera od chwili, kiedy utracił wzrok. Ale po co?

Tak czy inaczej po całej tej okrężnej peregrynacji wrócili na placyk, gdzie wznosi się kościół Niepokalanego Poczęcia. Przez chwilę przypuszczałem, że wejdą do kościoła, i z dreszczem pomyślałem o kryptach i o jakimś tajemnym pakcie łączącym obydwie organizacje. Nie, skierowali się do owego ciekawego zakątka Buenos Aires przy kościele, gdzie stoją stare dwupiętrowe domy.

Weszli do jednej z bram i jęli wspinać się po starych drewnianych schodach.

XIX^T tu zaczął się najtrudniejszy i najbardziej ryzykowny etap moich badań.

Przystanąłem na placyku zastanawiając się, co powinienem teraz zrobić.

Nie (mogłem oczywiście natychmiast pójść za nimi; ze strony Sekty groziłoby mi zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Pozostawały dwie możliwości: zaczekać, dopóki nie wyjdą, a kiedy się oddalą, wejść na górę i zbadać, co będzie możliwe do zbadania, albo też po pewnym czasie, nie czekając na ich wyjście, udać się na górę.

Ten drugi wariant, choć bardziej ryzykowny, dawał lepsze widoki powodzenia, miał przy tym tę dobrą stronę, że gdyby wizja lokalna nie dała wyników, mógłbym zawsze jeszcze usiąść na ławce na placyku i zaczekać, aż wyjdą. Po kilkunastu minutach zacząłem po cichutku wspinać się po schodach. Co prawda należało się spodziewać, że wprowadzenie Iglesiasa czy też jego prezentacja lub coś w tym rodzaju nie będzie kwestią minut, lecz raczej godzin, chyba że moje wyobrażenie o tego rodzaju organizacjach jest najzupełniej mylne. Schody były brudne i zniszczone, był to jeden z owych starych domów ongi pretensjonalnych, lecz obecnie zaniedbanych, brudnych i zamieszkałych przez kilku lokatorów: dla jednej ubogiej rodziny są za duże, dla rodziny zaś na pewnym poziomie towarzyskim nazbyt cuchnące. Nasunęła mi się ta uwaga, gdyby bowiem dom zamieszkały był przez kilka rodzin, problem stałby się zawiły jak labirynt: do kogo poszli i do którego mieszkania weszli? Z drugiej strony wydało mi się bardzo prawdopodobne, że tetrarcha lub pełnomocnik tetrarchy mieszka tak skromnie, prawie nędznie.

Wchodząc po schodach czułem się niepewny i zбитy z tropu; po tak wielu latach czekania perspektywa znalezienia się u wejścia do labiryntu nie była zachęcająca.

Na szczęście posiadam skłonność do przewidywania najgorszych ewentualności. Powiadam „na szczęście”, gdyż w ten sposób moje przygotowania przerastają rzeczywisty problem i rzeczywistość okazuje się zwykle mniej skomplikowana, niż przewidywałem.

Tak też było i teraz, przynajmniej co się tyczy samego domu; pod innymi względami po raz pierwszy 286

w moim życiu prawda okazała się gorsza, niż oczekiwałem.

Znalazłszy się na podeście pierwszego piętra, stwierdziłem, że są tu tylko drzwi, że schody się tutaj kończą i że nie ma żadnego innego wejścia do innych mieszkań, w ogóle problem okazał się jak najprostszy. Stałem chwilę naprzeciw owych zamkniętych drzwi pilnie nasłuchując kroków i gotów każdej chwili zbiec na dół. Zaryzykowałem i przyłożywszy ucho do szpary starałem się złowić jakikolwiek dźwięk, nic jednak nie słyszałem.

Odnosiło się wrażenie, że to mieszkanie jest puste. Nie pozostawało mi nic innego, jak zaczekać na placyku.

Zszedłem na dół i usiadłszy na ławce starałem się dokładnie przestudiować topografię tego miejsca. Powiedziałem już, że zabudowa wygląda tu trochę dziwnie, gdyż domy zbudowane w pobliżu kościoła otaczają prostokątny plac przed kościołem i zajmują powierzchnię jednej kwadry *. Główna jej część, przy samym kościele, należy też zapewne do niego, przypuszczam, że mieści się w niej zakrystia i inne pomieszczenia przykościelne.

Resztę jednak budynków, po prawej i po lewej stronie, zajmują lokatorzy, poznać to po drewnianych skrzynkach z kwiatami na balkonach, po bieliźnie, klatkach z kanarkami itd. Nie uszło oczywiście mojej uwagi, że okna należące do mieszkania ślepych różniły się od tamtych: pozbawione były wszystkiego, co by świadczyło o obecności ludzkiej, a ponadto były zamknięte. Można by wnioskować, że ślepy nie potrzeba światła. Ale powietrza? Skądinąd oznaki te potwierdzały moje spostrzeżenia, które poczyniłem na górze, pod drzwiami. Czuwając na posterunku zastanawiałem się nad tym dziwnym faktem i po wielu rozmaitych domysłach doszedłem do wniosku, który, chociaż zaskakujący, niemniej wydał mi się niezaprzeczalny: w tym mieszkaniu nikt nie mieszka.

Powiadam „zaskakujący”, bo jeśli nikt tam nie mieszkał, po co wszedł tam Iglesias z jegomościem po-

* Kwadra — prostokątna powierzchnia zabudowy o długości 100 m zamknięta ulicami. (Przyp. tłum.)

dobnym do Pierre Fresnaya? Wysznuwani stąd niezaprzeczalny wniosek: lokal ten służy jako wejście do czegoś innego.

Do „czegoś”, ponieważ mogło to być drugie mieszkanie, może sąsiednie, połączone z tamtym wewnętrznymi drzwiami, ale mogło też być „czymś” innym, trudniejszym do wyobrażenia, chodziło tu bowiem o ślepych. Czyżby to było jakieś wewnętrzne tajne przejście do podziemi? Niewykluczone.

W końcu pomyślałem, iż w tej chwili niepotrzebnie łamię sobie głowę, gdyż później, kiedy obaj mężczyźni wyjdą, będę mógł zbadać sprawę gruntownie.

Przewidywałem z góry, że prezentacja Iglesiasa nie będzie rzeczą prostą, że więc zapewne potrwa jakiś czas, lecz okazała się chyba jeszcze bardziej skomplikowana, niż przypuszczałem, bo wyszli o drugiej w nocy. Około północy, po ośmiu godzinach czuwania w ciemności, która ten dziwny zakątek Buenos Aires czyni jeszcze bardziej niesamowitym, zacząłem ze ściśniętym sercem domyślać się jakiegoś ponurego obrzędu w niedostępnych podziemiach, w wilgotnym hipogeum na rozkaz tajemniczego ślepego mistagoga; myśl o tej smętnej uroczystości była jak gdyby przestrogą przed tym, co mnie czekało.

Druga w nocy!

Zdawało mi się, że Iglesias wychodząc stawiał kroki z mniejszą pewnością, jak gdyby ugiął się pod olbrzymim ciężarem. Może jednak odniosłem tylko takie wrażenie, na które złożył się szereg posępnych okoliczności: moje pojęcia o Sekcie, mrok, ogromna kopuła kościoła, a zwłaszcza niepewne światło, jakie rzuca na sień brudna żarówka wisząca nad wejściem.

Czekałem, aż odejdą, patrzyłem, jak oddalają się w kierunku Cabildo, a kiedy upewniłem się, że już nie wrócą, pobiegłem na górę.

Wśród cizy nocnej tupot moich nóg brzmiał hałaśliwie, za każdym skrzypnięciem zużytych stopni oglądałem się za siebie.

Przy wejściu na podest oczekiwała mnie największa do tej chwili niespodzianka: drzwi były zamknięte na kłódkę! Tego nie przewidziałem.

Ażeby ochłonać z przykrego wrażenia, musiałem usiąść na pierwszym stopniu owych przeklętych schodów.

Zgnębiony, siedziałem tak dobrą chwilę, ale umysł mój nie przestał pracować i wyobraźnia nasunęła mi szereg domysłów.

Po ich wyjściu nikt już z domu nie wychodził, a więc jedynie człowiek podobny do Pierre Fresnaya mógł wchodząc zdjąć kłódkę, a wychodząc znów ją zawiesić. Toteż jeżeli w tym domu są jacyś mieszkańcy lub też jakieś tajne przejście wiedzie do „czegoś”, to osoby te w każdym razie nie wychodzą ani nie wchodzą przez drzwi, jakie mam teraz przed oczyma.

A więc owo „coś”, czy to mieszkanie, czy dom, czy też piwnica, posiada jeszcze drugie wejście albo kilka wejść, być może w innej stronie dzielnicy lub miasta. Czyżby drzwi zamknięte na kłódkę były przeznaczone dla tego małego posłańca czy pośrednika? W takim razie służą również osobom, które wykonują podobne zadania, i każda z nich posiada, jak należy przypuszczać, taki sam klucz.

Pierwsza seria wniosków umocniła mnie w przekonaniu, jakiego nabrałem obserwując dom od strony placu: nikt tu nie mieszka.

Mogłem więc od razu uznać za pewnik ogromnej wagi dla następnych etapów moich badań: mieszkanie to jest tylko przejściem „DOKĄDŚ INDZIEJ”.

Czym jest to „gdzie indziej”? Nie mogłem sobie tego wyobrazić, pozostawała mi jedynie śmiała pokusa: przemocą otworzyć kłódkę, wejść do tajemniczego mieszkania i znalazłszy się tam, zobaczyć, dokąd ono prowadzi. W tym celu potrzebny mi był wytrych albo też mogłem po prostu zerwać kłódkę obcęgami lub w jakiś inny gwałtowny sposób.

Byłem tak zniecierpliwiony, że nie mogłem czekać do rana. Nie chciałem też zerwać kłódki ze względu na hałas, jaki ta czynność by wywołała, pomyślałem więc, że najlepiej będzie wezwać na pomoc jednego z moich znajomych. Zszedłem na dół i przy Cabildo zaczekałem na taksówkę, których o tej nocej porze nie brakło. Los mi sprzyjał: już po kilku minutach udałem się taksówką na ulicę Paso, tam przesiadłem się w mój turystyczny samochód, który dowiózł mnie do pewnego domu przy Floresta, gdzie mieszkał F.

Obudziwszy go głośnym krzykiem (F. znany jest z kamiennego snu) oznajmiłem, że musi jeszcze tej nocy otworzyć kłódkę. Kiedy ocknął się ze snu i dowiedział,

o co chodzi, tak się oburzył, że najchętniej byłby z porwrotem położył się do łóżka; prosić go o otwarcie kłódki znaczyło to samo, co kazać Stawiskiemu ukraść sta franków. W końcu prośbą i groźbą udało mi się ściągnąć go do mojego wozu.

Rozwinąłem największą szybkość, jak gdyby organizacja ślepców miała jeszcze tej samej nocy zapaść się pod ziemię, i już po trzydziestu minutach byliśmy na miejscu. Zatrzymałem samochód na ulicy Echeverria. a przekonawszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, wysiedliśmy i obaj udaliśmy się do domu przy kościele.

Operacja otwarcia kłódki trwała niespełna minutę, po czym oświadczyłem mu, że musi sam wrócić na Florestę, gdyż ja zabawię w tym domu dłuższy czas. To rozgniewało F. do reszty, ale wytłumaczyłem mu, że idzie o sprawę niezmiernie dla mnie ważną, a ponadto że w pobliżu na pewno znajdzie taksówkę.

Z godnością odmówił przyjęcia ofiarowanych mu pieniędzy na taksówkę i odszedł bez pożegnania.

Muszę stwierdzić, że przez cały czas jazdy taksówką na ulicę Paso niepokoiło mnie pytanie: dlaczego, kiedy po raz pierwszy stanąłem pod drzwiami, nie było tu kłódki? Otóż brak kłódki był zrozumiały, bo kiedy obaj mężczyźni weszli do środka, nie mogli zostawić kłódki na zewnątrz. Jeżeli jednak drzwi te są tak ważne, jak należy przypuszczać, to dlaczego zostawiają je otwarte dla byle intruza? Sądziłem, że rozwiążę tę zagadkę, gdy drzwi okażą się podparte od środka drągami lub zaryglowane.

Jak należało się spodziewać, wewnątrz panowała zupełna ciemność i śmiertelna cisza. Drzwi otwarły się z hukiem, który wydał mi się przeraźliwy. Latarką oświetliłem wewnętrzną stronę drzwi i ujrzałem z zadowoleniem, że posiadają zasuwę z brązu, a że zasuwka nie była pokryta śniedzią, dowodziło to, że jest w użyciu.

Sprawdziło się moje przypuszczenie, że drzwi były zamknięte od środka, a wraz z nim hipoteza (groźna), że owe drzwi nie mogą pozostawać ani chwili otwarte. Kiedy później po długim czasie rozmyślałem o tych sprawach, stawiałem sobie pytanie, dlaczego owe tak ważne drzwi zamknięte były na kłódkę, którą F. otworzył w niespełna minutę. Tę okoliczność można wytłumaczyć jedynie tym, że dom miał mieć pozór zwy-

czajnego domu z takich lub innych powodów nie zamieszkanego.

Pomimo przekonania, że dom nie ma żadnych lokatorów, wszedłem ostrożnie do pierwszej izby i jałem oświetlać ściany. Nie jestem tchórzem, ale każdy inny na moim miejscu odczułby taki sam lęk. Jaki ja czułem poruszając się z wolna i ostrożnie po tonącym w ciemnościach, opuszczonym mieszkaniu. Dziwna rzecz: białą laską opukiwałem ściany jak prawdziwy ślepiec! Do tej pory nie zastanawiałem się nad tą niepokojącą oznaką, chociaż zawsze wiedziałem, że kto przez długie lata walczy z potężnym nieprzyjacielem, w końcu upodabnia się do niego; skoro wróg wynalazł karabin maszynowy, wcześniej czy później musisz i ty go wynaleźć i posłużyć się nim, jeżeli nie chcesz zginąć, a zasada ta dotycząca tak topornej i materialnej rzeczy jak broń wojenna odnosi się również, i to z głębszych, bardziej subtelnych przyczyn, do broni psychologicznej i umysłowej: uśmiech, sposób poruszania się, mina, sposób bycia, powiedzenia i wyrażanie uczuć z tego powodu często się zdarza, że mąż i żona stają się do siebie podobni.

Otóż i ja nabrałem stopniowo wielu wad i zalet przeklętej rasy. Jak to niemal zawsze bywa, badanie ich świata — i to również zaczynam teraz dostrzegać — było badaniem mej własnej ponurej rzeczywistości.

W świetle latarki ujrzałem nagle, że w tej pierwszej izbie nic nie ma; ani mebli, ani nawet jakiegoś zapomnianego grata, tylko kurz, dziurawa podłoga i kruszące się ściany z resztkami starej zbutwiałej tapety. Uspokoiło mnie to do pewnego stopnia, gdyż przewidywania moje okazały się trafne: dom istotnie był nie zamieszkały. Z większą tedy pewnością obejrzałem czym prędzej pozostałą część mieszkania, która również okazała się pusta, i w końcu pojąłem, że nie trzeba było przedsięwziąć specjalnych środków ostrożności przy zamykaniu drzwi wejściowych, gdyby bowiem przypadkiem jakiś złodziej zerwał kłódkę, rozczarowałby się i co rychlej oddalił.

Ze mną sprawa przedstawiała się inaczej, bo ja wiedziałem, że ten upiorny dom nie jest sam w sobie celem, lecz środkiem do celu.

Inaczej musiałbym przyjąć, że ów niepozorny jego- 291

mość, który przyszedł po Iglesiasa, był jakimś półgłówkiem i wprowadził Hiszpana do tej nory po to tylko, aby stojąc (nie było nawet gdzie usiąść) po ciemku, opowiadać mu przez dziesięć godzin pod rząd o czymś strasliwym, co jednak równie dobrze mógł mu opowiedzieć w jego własnym pokoju.

Wynikało stąd, że należy szukać wyjścia gdzie indziej. Przede wszystkim nasuwała się najprostsza myśl o jakichś drzwiach, widocznych czy też ukrytych, a prowadzących do sąsiedniego domu; mniej proste (ale nie mniej możliwe, czyż bowiem musi być proste coś, co odnosi się do tak potwornych istot?), mniej proste było przypuścić, że te widoczne lub ukryte drzwi prowadzą do przejścia wiodącego do piwnic lub do miejsc jeszcze dalszych a niebezpiecznych. W obu przypadkach najbliższym moim zadaniem było znaleźć owe tajne drzwi.

Natychmiast więc sprawdziłem wszystkie drzwi widoczne: wszystkie bez wyjątku łączyły poszczególne pokoje i inne pomieszczenia. Tamte drzwi, jak zresztą należało sądzić, były niewidoczne lub przynajmniej niewidoczne na pierwszy rzut oka.

Pamiętałem podobne sytuacje z filmów i z powieści przygodowych: każdy obraz lub rama portretu mogła ukrywać wejście.

Ponieważ w tym opuszczonym domu nie było żadnego obrazu, nie trzeba było tracić na to czasu.

Obejrzałem we wszystkich izbach każdą odrapaną ścianę; chciałem się przekonać, czy w jakimś kącie, na gzymsie lub cokole nie kryje się kontakt elektryczny albo inny podobny mechanizm. Nic takiego.

Więcej uwagi poświęciłem dwom miejscom, które z natury posiadają więcej cech swoistych, toalecie i kuchni. Pomimo zniszczenia przedstawiały istotnie duże możliwości, nie spotykane w pokojach mieszkalnych. Muszla klozetowa bez pokrywy nie dawała żadnych szczególnych szans, niemniej starałem się odkręcić dawne zawiasy nie istniejącej pokrywy, pociągnąłem za łańcuch, odkryłem zbiornik, odkręciłem i zakręciłem wszystkie krany, usiłowałem podnieść starą wannę i tak dalej. Podobnej analizy dokonałem w kuchni; bez rezultatu.

Powtarzałem tę próbę wielokrotnie i tak uważnie, że gdybym nie był wiedział, iż owi dwaj ludzie byli

tu tego samego wieczora, byłbym zaniechał całego przedsięwzięcia.

Usiadłem zniechęcony na starej gazowej kuchni.

Z poprzednich doświadczeń wiedziałem, że doszedłszy do pewnego punktu, nie warto powtarzać od początku tego samego rozumowania, gdyż z utartej drogi myślenia niepodobna zbroczyć.

Przyłapałem się nagle na jedzeniu czekoladek, co wydałoby się nieskończenie śmieszne ukrytemu gdzieś, a dla mnie niewidocznemu, świadkowi. Sam uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie tę scenę, lecz w tej chwili zamarłem z przerażenia: kto mi zaręczy, że w istocie KTOS nie obserwuje mnie z jakiegoś niewidocznego miejsca?

Dziurawe sufity, popękane ściany mogły kryć w sobie otwory, przez które nietrudno było podglądać z sąsiedniego domu. Znowu ogarnął mnie lęk, na chwilę zgasiłem latarkę, jak gdyby ta niewczesna ostrożność mogła mi być pomocna. W ciemności starałem się odgadnąć znaczenie najmniejszego szelestu, zachowałem jednak tyle przytomności umysłu, żeby w końcu zrozumieć, iż moja ostrożność jest nie tylko idiotycznie zbędna, ale nawet niewskazana, gdyż bez światła byłem bardziej bezbronny niż przy świetle. Zapaliłem więc znowu moją latarkę i choć mocno zdenerwowany, usiłowałem zastanowić się nad wyjaśnieniem tajemnicy.

Owładnięty myślą o szczelinach, przez które mogą mnie podglądać, puszczałem z latarki snopy światła na wszystkie sufity opuszczonego mieszkania. Były to płaskie, drewniane stropy pokryte gipsem; rzeczywiście, gips w wielu miejscach odpadł, sztukaterie były podniszczone. Jakaś osoba lub nawet kilka osób mogło mnie istotnie podpatrywać przez szczeliny w suficie, ale i na sufitach nie zauważyłem nic, co by mogło służyć jako wejście albo właz. Ponadto gdyby istniała taka możliwość, potrzebna byłaby drabina, a takiej w całym mieszkaniu nie było. Chyba że po spełnieniu zadania wciągną ją do góry, byłaby to więc drabinka sznurowa.

Oglądałem sufity i rozmyślałem o takiej możliwości, aż w końcu nasunęło mi się rozwiązanie: podłoga! Często tak bywa: najpóźniej przychodzi do głowy to, co najprostsze.

XX W rosnącym napięciu kontrolowałem przy świetle latarki każdy skrawek podłogi, aż znalazłem to, co nieuchronnie musiało się tu znaleźć: nieostrzegalne wyżłobienie w kształcie kwadratu. Nie ulegało wątpliwości, że był to brzeg klapy leżącej na włązie do piwnicy. Oczywiście: komu przyjdzie na myśl, że w mieszkaniu na pierwszym piętrze jest wejście do piwnicy?

W jakiś sposób potwierdziło to mój pierwotny domysł, że mieszkanie to łączy się z sąsiednim za pomocą ukrytych drzwi; ale kto mógł przypuścić, że łączy się z mieszkaniem na parterze? Byłem w tej chwili tak zdenerwowany, że nie pomyślałem o czymś, co skłoniłoby mnie może do ucieczki ze strachu: o hałasie wywołanym przez moje kroki. Kto jak kto, ale ślepi zamieszkujący parter musieli je usłyszeć. Ten mój brak uwagi, ten mój błąd pozwolił mi na dalsze poszukiwania; nie zawsze bowiem tylko prawda prowadzi nas do wielkich odkryć. Wspominani o tym także dlatego, ażeby podać typowy przykład, jak wiele w czasie moich badań popełniłem omyłek i błędów pomimo ciągłej, gorączkowej pracy mózgu. Teraz wierzę, że przy tego rodzaju poszukiwaniach kieruje nami potężna siła intuicji, niezrozumiała, ale tak pewna jak ów wzrok lunatyka, który pozwala zmierzać wprost do celu. Do niezrozumiałego celu.

Kłapa przylegała tak szczelnie, że nie mogło być mowy o zdjęciu jej bez ostrego i mocnego narzędzia; oczywiście otwierała się od dołu i otwierano ją chyba po uprzednio uzgodnionej z wysłannikiem godzinie. Martwiła mnie myśl, że muszę całą tę operację przeprowadzić jeszcze tej samej nocy, gdyż nazajutrz ktoś zauważyłby rozbitą kłódkę, co utrudniłoby, a może i uniemożliwiło dalsze badania. Co robić?

Nie było nic odpowiedniego. W myślach przebiegłem wszystko, co było pod ręką: jedynie w kuchni i w łazience mogłem znaleźć coś przydatnego do moich celów. Pobiegłem do kuchni, ale nic tam nie znalazłem. Udałem się więc do toalety, gdzie wpadło mi na myśl, że metalowe ramię pływaka może ostatecznie służyć jako narzędzie mniej więcej odpowiednie. Zdjąłem pływak, wyrwałem ramię z taką siłą, że się rozlutowało, i pobiegłem do pokoju, w którym była kłapa. Po przeszło godzinnej pracy udało mi się odchylić je-

den z jej brzegów, do czego posłużyły mi ostre kanty metalu, pozostałe po rozlutowaniu. Włożyłem pod ten brzeg metalowe ramię i niby lewarkiem starałem się ją ostrożnie podważyć. Po kilku nieudanych próbach, które zwiększyły jeszcze moją gorliwość, mogłem w końcu odchylić klapę na tyle, żeby włożyć pod nią palce i dokończyć dzieła rękami.

Cichutko zdjąłem klapę, odłożyłem ją na bok i snopem światła z latarki oświetliłem wewnątrz: otwór nie prowadził, jak sądziłem, do mieszkania na parterze, ale na strome i kręte schody, po których zszedłem na dół.

W ten sposób dostałem się do dawnej piwnicy mieszczącej się pod parterem. Piwnica ta należała zapewne kiedyś do mieszkania na parterze, a wskutek porozumienia pierwotnych właścicieli obydwu mieszkań przyłączono ją do lokalu na piętrze za pomocą tych oto niezwykłych i nieprzewidzianych schodów. Piwnica wyglądała na zwyczajną sobie piwnicę, jakich wiele w innych domach w Buenos Aires, ale była zupełnie pusta i tak zaniedbana jak samo mieszkanie, do którego należała. Czyżbym się omylił? Czyżbym po tak żmudnej pracy znalazł wejście nigdzie nie prowadzące? Mimo wszystko należało koniecznie obejrzeć ją dokładnie, tak dokładnie, jak obejrzałem całe mieszkanie.

Niedużo było do oglądania: gładkie betonowe ściany nie przedstawiały nic interesującego. Żelazna krata w murze wychodziła jak zwykle w tego rodzaju budynkach wprost na ulicę, widać było przez nią jasno oświetlony plac. Nieco dalej piwnica miała zakręt (zbudowana była w kształcie litery L) i wodząc światłem po tym zakamarku, niewidocznym na pierwszy rzut oka, ujrzałem drugą kratę, ale już większą, która wychodziła — na cóż mogła wychodzić? — na piwnicę sąsiedniego domu. Ponieważ nie było drugiego wyjścia ani innej możliwej kombinacji, pomyślałem, że może krata da się usunąć. Chwyciwszy w obie ręce sztaby po obydwu brzegach kraty, przekonałem się, że istotnie łatwo daje się wyjąć; serce znowu zaczęło mi walić jak szalone.

Odstawiłem na bok rzekomą kratę i latarką rzucałem snop światła: nie była to piwnica sąsiedniego domu, ale korytarz, który, jak daleko docierało świa-

tło latarki, zdawał się nie mieć końca. Oczywiście przypisałem to jednak ograniczonemu zasięgowi jej światła.

Odcinek, który według mego obliczenia miał ze dwieście metrów, kończył się zakrętem w prawo i tu zaczynały się schody w górę, które miały dwanaście stopni, (policzyłem je, aby zmierzyć wysokość). Zaabsorbowany tą czynnością, ujrzałem ku memu zdumieniu, że na podeście u szczytu schodów były drzwi, a raczej drzwiczki, tak niskie, że należało się schylić, żeby tędy przejść.

Zdumienie rychło ustąpiło miejsca konsternacji: te drzwi stanowiły przeszkodę, zamykały mi na tę noc wstęp do tajemniczej kryjówki. Być może też, że nie tylko na tę noc, ale na zawsze, gdyż po tym wszystkim, co zrobiłem w pozornym mieszkaniu, ślepi zastosują nazajutrz środki ostrożności, które uniemożliwią mi powrót. Przeklinałem moją wieczną niecierpliwość — za wcześnie odesłałem F., bo chociaż naturalnie nie mogłem go wtajemniczyć w mój plan (który on uznałby na pewno za plan szaleńca), mogłem go jednak poprosić, ażeby mi towarzyszył tak długo, aż okoliczności nie wykażą, że nie jest mi już koniecznie potrzebny. Na przykład teraz: jak miałem, do licha, otworzyć te drzwi?

Stanąłem na podeście rozważając, czy przypadkiem drzwi nie prowadzą do mieszkania, które widziałem z placyku.

Dwanaście stopni po dwadzieścia kilka centymetrów, czyli mniej więcej trzy metry. Mieszkanie jest więc na poziomie ulicy i z pewnością posiada normalne wejście z którejś z pobliskich ulic; prawdopodobnie jest to jakiś lokal handlowy. Nie wiem, dlaczego przyszło mi do głowy, że może to być salon krawcowej lub modystki.

I któż mógłby, w samej rzeczy, domyślić się, że w pracowni modystki jest wejście do wielkiego labiryntu? Że jegomość podobny do Pierre Fresnaya nie wszedł normalnym wejściem, to zrozumiałe; czego mają szukać u modystki dwaj mężczyźni, z których jeden jest ślepy? Pierwsza ich wizyta może by i przeszła nie zauważona, ale gdyby miała częściej się powtarzać, ludzie zaczęliby coś podejrzewać, a nie sądzę, żeby Sekta nie liczyła się z możliwością, że pomiędzy tymi 296

„ludźmi” znajdzie się ktoś taki jak ja. Toteż zachować puste mieszkanie, które służyłoby jako wejście, było rzeczą nader rozsądną.

Przemyślałem nad tym. wszystkim stojąc pod drzwiami na podeście. Nic nie było słychać, gdyż o tej porze modystka jeszcze spała; było wpół do piątej nad ranem.

Wszystko skończyło się na niczym. Podobnie jak po nieudanym zamachu stanu rewolucjoniści, traktowani jak bandyci, stają się śmieszni, tak i ja wydałem się sobie nad wyraz śmieszny: patrzyłem na moją białą laskę i myślałem sobie: „Co za ciężki idiota ze mnie! Dorosły mężczyzna, człowiek, który czytał Hegla i brał udział w napadzie na bank, stoi oto w jakiejś piwnicy, o wpół do piątej nad ranem, naprzeciw jakichś drzwi, za którymi — jak przypuszczam — mieszka jakaś pseudomodystka na usługach tajnej loży. Czy to ma sens? A do tego jeszcze biała laska, na którą co chwila kieruję światło latarki, i spoglądam z taką nienaturalną przyjemnością, jakbym dotykał bolesnego miejsca”.

„No tak — rzekłem do siebie — skończyło się”.

Cofnąłem się i miałem już ruszyć z powrotem tą samą niewygodną drogą, kiedy strzeliło mi do głowy, że być może drzwi nie są zamknięte na klucz; ta podniecająca myśl obudziła we mnie nową nadzieję, w tej chwili bowiem nie wyobrażałem sobie, jaki można wyciągnąć wniosek z tej na pozór pomyślnej okoliczności: groźny wniosek, że oczekują mnie.

Wróciłem i oświetliłem drzwi latarką. „Nie, to niemożliwe — powiedziałem sobie. — Te drzwi są otwarte tylko wtedy, kiedy oczekuje się kogoś ze ślepców i emisariusza”.

Niemniej przecucie kazało mi położyć drżącą rękę na gałce. Przekręciłem ją i pchnąłem.

Drzwi były otwarte!

XXI Wszedłem skulony przez niziutkie drzwi i wyprostowawszy się podniosłem latarkę, aby zobaczyć, gdzie jestem.

Wstrząsnął mną zimny prąd elektryczny: snop światła oświetlił jakąś twarz.

Wpatrywała się we mnie ślepa kobieta. Była to 297

piekielna zjawa, ale piekło, z którego przyszła, było zimne i czarne.

Oczywista, że nie dlatego sianęła u drzwi, iż zaalarmowało ją moje ledwo dosłyszalne stąpanie. Nie: była starannie ubrana i niewątpliwie oczekiwała mnie.

Nie wiem, ile czasu minęło, mm zemdlałem.

Wiem tylko, że stałem jak skamieniały pod straszliwym lodowatym spojrzeniem meduzy.

Zemdlałem wtedy po raz pierwszy w życiu, trudno mi określić, czy to omdlenie spowodował strach, czy magiczna siła ślepej, nie wątpię bowiem, że owa hierofantyna posiadała zdolność rozpętywania bądź też przywoływania diabelskich mocy.

Ściśle mówiąc, nie było to omdlenie w całym tego słowa znaczeniu, nie straciłem bowiem przytomności, a tylko upadłem na podłogę (powinienem raczej powiedzieć „zapadłem się”) i ogarnęła mnie głęboka senność i zmęczenie jak podczas gwałtownego ataku grypy.

Pamiętam, że w skroniach waliło mi coraz mocniej, aż w pewnej chwili doznałem wrażenia, że moja głowa wybuchnie jak kocioł pod ciśnieniem tysiąca atmosfer.

Gorączka kipiała we mnie jak wrzący płyn w naczyńiu, a pośród ciemności coraz wyraźniej widziałem Ślepą, otoczoną zielonawym fosforycznym blaskiem.

Aż oto nastąpił wybuch, od którego nieomal pękły mi bębunki, i upadłem, a raczej, jak rzekłem, osunąłem się bez czucia na podłogę.

XXII Nic już więcej nie widziałem, lecz miałem wrażenie, że powracam do rzeczywistości, która, jak mi się zdawało lub jak obecnie mi się wydaje, była intensywniejsza od tej codziennej, pełna niespokojnych przywidzeń, jakie nawiedzają nas w gorące.

Siedziałem w łodzi, a łódź płynęła po ogromnym, czarnym jeziorze. Złowroga cisza niepokoiła mnie, podejrzewałem bowiem, że nie jestem sam w tym półmroku (jakieś wieczorne słońce rzucało niewyraźne widmowe światło), lecz że ktoś mnie śledzi, że spo-

glądają na mnie istoty, których nie mogłem co prawda rozróżnić, lecz które niewątpliwie żyły tu, poza zasięgiem mego niejasnego widzenia. Czego oczekiwały po mnie, a przede wszystkim co mnie czekało pośród ogromu stojącej ponurej wody?

Nie mogłem jednak myśleć, pomimo iż zachowałem jakąś mętną świadomość i przykre wspomnienie mego dzieciństwa. Ptaki, którym w tamtych krwawych latach wykluwałem oczy, krążyły nade mną w przestworzach, jak gdyby odbywały straż nad moją podróżą, nie myśląc bowiem o tym — byłem wszak pozabawiony niejako możliwości myślenia — wiosłowałem w kierunku, gdzie w godzinę lub w setki lat później miało zajść to wieczorne słońce. Nieomal słyszałem ciężki łopot ich skrzydeł, tak wielkich, jak gdyby te ptaki mego dzieciństwa przemieniły się w olbrzymie pterodaktyle albo w gigantyczne nietoperze. Nade mną i za moimi plecami, a więc tam gdzie byłaby strona wschodnia owej bezmiernej, czarnej topieli, prze-czuwałem obecność jakiegoś gniewnego starca: i on także pilnie strzegł mojej przeprawy. Jak cyklop miał tylko jedno olbrzymie oko pośrodku czoła, a rozmiary jego były tak wielkie, że głowę miał bodaj że w zenicie, a ciałem sięgał po horyzont. Odczuwałem wyraźnie obecność tego olbrzymia, który nie pozwalał mi się obrócić — potrafiłbym nieomal opisać groźny wyraz jego oblicza — siedziałem więc zwrócony do niego plecami.

Niespodzianie pomyślałem, a może i powiedziałem • „Dałbym wszystko, żeby móc dopłynąć do brzegu, zanim słońce zajdzie”. Płynąłem w tamtą stronę, ale łódź posuwała się naprzód powoli, jak w koszmarnym śnie. Słyszałem ciężkie chlupotanie wiosła, które zagłębiały się w czarne błoto, odtrącając za każdym uderzeniem duże liście unoszące się na powierzchni i kwiaty podobne do *victoria regia*, ale zwiędłe i smutne. Usiłowałem skupić się na mojej ciężkiej pracy i nie myśleć o straszliwych stworach, od których z pewnością roilo się w przepastnej cuchnącej wodzie; kierując wzrok na domniemany zachód wiosłowałem uporeczywie w tamtą stronę, by dopłynąć, zanim to słońce zajdzie.

Nawigacja była niezmiernie trudna i powolna, fiównie powoli chyliło się słońce ku zachodowi, a ja

z pasją poruszałem ciężkimi wiosłami myśląc tylko o jednym: dopłynąć przed zachodem. Już zbliżało się to słońce do horyzontu, kiedy poczułem, że moja łódź dotyka dna. Odłożyłem wiosła i z rufy skoczyłem do wody. Po kolana w szlamie szedłem do ledwie -widocznego w mroku brzegu. Wkrótce poczułem, że znajduję się na czymś, co nazwać by można stałym lądem, lecz w istocie było to bagnisko, gdzie było tak trudno chodzić, jak 'przedtem wiosłować. Każdy krok wymagał ogromnego wysiłku, mimo to w rozpaczy posuwałem się powoli, lecz nieustannie naprzód. I jak przedtem pragnąłem dotrzeć do stałego lądu, tak teraz przejęty byłem, tą jedną myślą, iż muszę *znaleźć* się u stóp góry majaczącej w oddali, na zachodzie. Pamiętam, że pomyślałem: „Tam jest ta grota". Jaka grota? I dlaczego muszę się tam dostać? Wówczas o to nie pytałem, a i teraz nie umiałbym, odpowiedzieć na te pytania. Wiedziałem tylko, że muszę tam dotrzeć i że za wszelką cenę mam dostać się do wnętrza groty. Przy tym dokuczała mi wciąż obecność nieznanego olbrzyma za moimi plecami. Jedynym swym okiem, bezustannie otwartym, ziejącym nienawiścią, zdawał się mnie śledzić, a nawet kierować jak złośliwy żandarm moim marszem na zachód. Otwartymi ramionami ogarniając połowę sklepienia, opierał dłonie o północy i na południu, i tak zajmował całą przestrzeń za moimi plecami. W tej sytuacji nie widziałem innego rozwiązania, jak iść wciąż naprzód ku zachodowi; pośród owej pozbawionej sensu rzeczywistości jedynie to wydało mi się logiczne i rozsądne. Zamierzałem wymknąć się jego spojrzeniu, ukryć się w jaskini, gdzie spojrzenie to w końcu utraci nade mną władzę. Stąpałem więc z trudem czas jakiś, Iktóry wydał mi się długi jak rok. Słońce wciąż zachodziło, a góra, choć coraz bliższa, jeszcze ciągle była daleko. Ostatni odcinek drogi przebyłem walcząc ze zmęczeniem, z lękiem i rozpaczą. Czułem, że człowiek za moimi plecami uśmiecha się złośliwie. Nade mną krążyły pterodaktyle, ciężkimi skrzydłami niemal dotykały mojej głowy. Lękałem się ich chłodnego jak galareta dotknięcia, drżałem też ze strachu, że w końcu rzucają się na mnie i uzębionymi dziobami wyłupią mi oczy. Miałem -wrażenie, że namyślnie czekają chwili, kiedy do ostatka wyczerpany

niepotrzebnym długotrwałym marszem uwierzę, że jestem bliski celu, by wraz z oczyma pozbawić mnie płonnej nadziei. „Wszystko zostało chyba z góry uplanowane, ku mojej największej udręce — myślałem zbliżając się do kresu wędrówki. — Jeżeli bowiem wykłużyby mi oczy, zanim wybrałem się w podróż — rozumowałem przytomnie — nie byłbym miał zgoła nadziei i nie puściłbym się w tę uciążliwą drogę przez nieznane morza i wstrętne bagniska”.

Czułem, że moja męka sprawia starcowi okrutną uciechę, a byłem pewny, że wszystko to przeżywam na jawie i że oto czeka mnie największa klęska tej wyprawy. Nie chciałem oczywiście patrzeć w górę, ale nie było to nawet potrzebne: dokładnie słyszałem, jak owe ptaszyska, z ogromnymi ostrymi dziobami, krążą nade mną; nad moją głową rozlegał się ciężki łopot ich kilkumetrowych skrzydeł i ogarniał mnie wstręt, kiedy raz i drugi poczułem na policzkach i na włosach ich lekkie muśnięcie.

Docierałem już do celu; grota prześwitywała w fosforycznym półmroku. Czołgałem się na czworakach, unurzany w lepkim błocie, co chwila trafiałem dłońmi na węże, których mnóstwo uwijało się w rozległym bagnisku, odrzucałem je z obrzydzeniem, ale tak byłem przerażony tym, co mnie miało spotkać, że na nic innego nie zwracałem uwagi.

W końcu zmęczenie wzięło górę nad rozpaczą i upadłem.

Usiłując utrzymać głowę ponad powierzchnią bagniska, zwracałem twarz w stronę grotty, a ciałem tkwiłem w cuchnącym szlamie.

„Muszę oddychać” — pomyślałem.

Lecz pomyślałem także: „One wylupią mi oczy”.

A pomyślałem to w taki sposób, jak gdyby ciążyła na mnie klątwa, i gotów byłem z rezygnacją poddać się straszliwej operacji, której jednak nie mogłem uniknąć.

Tkwiąc w błocie, pośród nieczystości, z biciem serca wodziłem wzrokiem za wielkimi ptakami kołującymi powoli nad moją głową. Jeden z nich, ogromny, nadleciał od tyłu, widziałem z bliska, jak odlatuje na zachód, ale wrócił i z głuchym plaśnięciem osiadł na błocie naprzeciw mojej głowy. Dziób miał ostry jak sztylet, a spojrzenie puste, jak u ślepych, nie posiadał 301

bowiem oczu: mogłem rozróżnić puste oczodoły. Wyglądał jak starożytne bóstwo na chwilę przed przyjęciem ofiary.

Czułem, jak wbił dziób w moje lewe oko, przez chwilę czułem nawet, że giętka źrenica stawia opór, aż w końcu dziób wbił się głęboko i boleśnie, a po lewym policzku spłynęła ciecz. "Wskutek jakiegoś mechanizmu, którego dotychczas nie zdołałem pojąć, tak było to nielogiczne, trzymałem wciąż głowę w tej samej pozycji, jak gdybym chciał ułatwić ptakowi ten ohydny zabieg, jak u dentysty, gdzie mimo bólu nadstawiamy usta i głowę.

Czułem na lewym policzku wodę i krew wyciekła z oka i myślałem przy tym: „A teraz wykłuje mi prawe”. Spokojnie, bodajże bez nienawiści, co, pamiętam, wprawiało mnie w zdumienie, wielki ptak skończył z lewym i cofnąwszy się nieco, powtórzył ten sam zabieg na prawym. I znowu poczułem taki sam leciutki, chwilowy opór giętkiej źrenicy i zaraz potem okrutny ból —■ wgłębianie się dzioba. Prawym policzkiem spłynęła krystaliczna ciecz i krew — dokładnie je odróżniałem, gdyż ciecz była chłodna i rzadka, krew zaś gorąca i lepka.

Po chwili wielki ptak odleciał, a za nim poleciały inne; słyszałem, jak oddalając się trzepotały ciężkimi skrzydłami. „Najgorsze już minęło” — pomyślałem.

Nic już nie widziałem, lecz mimo straszliwego bólu i dziwnego wstrętu, który odczuwałem teraz sam do siebie, nie zrezygnowałem z zamiaru wsunięcia się do groty.

Kosztowało mnie to wiele wysiłku.

Po jakimś czasie trud mój został nagrodzony: pod rękami moimi bagnisko ustępowało i osobliwa jakaś cisza, jakieś uczucie zamknięcia, a także bezpieczeństwa dały mi znać, że w końcu dotarłem do wielkiej groty. I zapadłem w sen.

Kiedy wróciłem **do** przytomności, byłem tak straszliwie zmęczony, jak gdybym we śnie ciężko pracował fizycznie.

Leżałem na podłodze i nie mogłem zrozumieć, gdzie jestem. Nie zdoławszy unieść głowy usiłowałem przy-

oomicie sobie; sądziłem, że, jak to nieraz bywało, wróciłem pijany do domu i straciłem przytomność. Nikłe światło brzasku wpadało skądś do izby. Usiłując podnieść ciężką głowę z trudem rozglądałem się powoli dookoła.

Pomimo zmęczenia skoczyłem na równe nogi: ujrzałem Ślepą!

Błyskawicznie uświadomiłem sobie zdarzenia: Iglesias. człowiek podobny do Pierre Fresnaya, placyk w Belgrano, ukryty korytarz. Na wpół siedząc, a czyniąc nieludzkie wysiłki, ażeby wstać, niezmiernie szybko zorientowałem się w sytuacji i zacząłem się zastanawiać nad ratunkiem.

Zdołałem w końcu podnieść się i stanąć na nogach. Ślepa nie zmieniła hieratycznej postawy, w jakiej pierwszy raz ją ujrzałem, oświetliwszy ją w ciemności latarką. Czy uległem tylko chwilowemu złudzeniu? Czy ten koszmarny sen trwał od chwili, kiedy straciłem przytomność?

W blasku wczesnego ranka starałem się pobieżnie naszkicować sobie w duchu całe otoczenie: była to normalna izba, z łóżkiem, ze stołem (do pracy?), z paroma krzesłami, z kanapą i aparatem radiowym z adaptorem. Zauważyłem brak obrazów i fotografii, co zgadzało się ze ślepotą jej mieszkańców. Drzwi, przez które prześwitywał brzask, wychodziły z pewnością na lokal od ulicy; mógł to być ten sam, który przedtem brałem za domniemaną pracownię krawiecką. Były jeszcze drzwi boczne, prowadzące chyba do łazienki. Spojrzałem poza siebie: tak, tam były te małe drzwi. A niemal pragnałem, żeby ich nie było, taki lęk ogarniał mnie na widok tych głupich, karłowatych drzwi. Rozważania te zajęły mi ledwie parę sekund. Ślepa stała milcząc przede mną.

Dwa fakty przyprawiły mnie o niepokój: fakt, który w tej chwili pamiętam z przytłaczającą jasnością, że ona oczekiwała mnie za zamkniętymi drzwiami, którymi wszedłem, i ten drugi niepojęty fakt, że oto stoi tu nieruchomo, zagadkowa i groźna. Zastanawiałem się, co mam uczynić i jakich użyć słów, aby były niezbyt głupie a wiarygodne.

— Proszę mi wybaczyć — bąknąłem — chciałem coś ukraść, a ujrawszy panią, zemdlałem.

Zaledwie wypowiedziałem te słowa, zrozumiałem, 303

że palnąłem głupstwo. Zdołałyby może przekonać normalnego mieszkańca normalnego domu, ale czy podobny nonsens mógł przekonać Ślepą? Ślepą, która najwidoczniej mnie oczekiwała?

Zdawało mi się, że spostrzegłem na jej twarzy grymas aronii.

Po chwili wyszła przez tamte otwarte drzwi. Zamknęła je za sobą, usłyszałem zgrzyt klucza w zaniku. Zostałem w ciemnościach. Wzburzony podbiegłem po omacku do drzwi i bezskutecznie naciskałem klamkę. Potem trzymając się ściany, dotarłem do drugich drzwi, z prawej strony, również bez skutku, foo, co łatwo można było przewidzieć, one także były zamknięte na klucz.

Stałem oparty o ścianę, pełen lęku i niepewności.

W mojej głowie kłębiły się myśli.

Wpadłem w pułapkę, z której się nie wydostanę.

Ślepa poszła po Innych: zadecydują teraz o moim losie.

Ślepa oczekiwała mnie; a więc wiedzieli, że mam przyjść. Od jak dawna?

Wiedzieli o tym od poprzedniego dnia; elektryczny sygnał kontrolny powiadomił ich z daleka o naruszeniu kłódki przy drzwiach.

Wiedzieli o tym od chwili, kiedy Iglesias posiadał właściwą ich Sekcie nadprzyrodzoną moc, a zatem od chwili, kiedy mógł przejrzeć moje tajemne zamiary.

Wiedzieli o tym od dawna: ostatnio zauważyłem ogromną lukę w moich poprzednich konstrukcjach myślowych, ponieważ wskutek niepojętego zapomnienia (zapomnienia?) nie wziąłem pod uwagę, że po opuszczeniu szpitala zaprowadzono Iglesiasa do pensjonatu, który polecił mu hiszpański pielęgniarz.

Twierdził, że znajdzie tam dobrą opiekę.

W tej chwili przytomności nie wątpiłem już, że kiedy naj słuszniej w świecie chępiłem się swoim sprytem, byłem z bliska inwigilowany przez Sektę. I to ni mniej, ni więcej, tylko przez tę śmieszoną panią Etcheparaborda! Jakże zabawny wydał mi się teraz pomysł, że wszystkie owe tanie cacka, owe prowansalskie pejzażyki i niby to fotografie rodziny Etcheparaborda nie były niczym innym jak tylko cudowną inscenizacją! Pomyślałem ze wstydem, że nie usiłowali nawet oszukać mnie w bardziej wyrafinowany sposób;

a kto wie, czy za jednym zamachem nie chcieli też zranić mojej dumy, oszukując mnie tak, abym sam sobie wydał się głupcem.

XXIV Nie wiem, ile godzin straszliwej niepewności przeżyłem po ciemku w tym więzieniu. Na domiar złego zaczęło mi brakować powietrza, co zresztą nie było dziwne, gdyż jedyną wentylację tej przeklętej izby stanowiły szczeliny, przy drzwiach wychodzących na frontowe pomieszczenie odczuwało się słabiutki prąd powietrza. Czy starczy go do odnowienia tlenu w izbie? Nie wyglądało na to, miałem bowiem wrażenie, że robi się coraz duszniej. Pomyślałem co prawda, że przyczyna tego może być natury psychologicznej.

A jeżeli Sekta zamierza pogrzebać mnie żywcem w tej zamkniętej izbie?

Raptem przypomniałem sobie jeden z licznych wypadków, które odkryłem podczas moich kilkuletnich badań. W domu przy ulicy Guido, należącym do rodziny Echagiie, była — jeszcze za życia starego — pokojowa, którą wykorzystywał pewien ślepy sutener każąc jej w wolne dni pracować w parku Retiro.

W roku 1935 został w tym domu portierem pewien młody Hiszpan, który zakochał się w dziewczynie i kazał jej porzucić sutenera. Dziewczyna żyła przez szereg miesięcy w ustawicznym strachu, stopniowo jednak argumenty Hiszpana zdołały ją przekonać, że ze strony dawnego kochanka nic jej nie grozi. Minęły dwa lata i oto pierwszego stycznia 1937 roku rodzina Echagiie zwinęła dom w Buenos Aires, by udać się do estancji, gdzie miała spędzić letnie miesiące. Wszyscy już opuścili dom, z wyjątkiem portiera i pokojowej, którzy mieszkali na górze; lecz stary służący Juan, który pełnił obowiązki majordoma, w przekonaniu, że i oni już wyszli, wyłączył prąd elektryczny, po czym oddalił się sam, zamykając wejściową bramę na klucz. Tak się jednak złożyło, że w chwili kiedy Juan wyłączył prąd, portier wraz z żoną zjeżdżali windą. Wróciwszy po trzech miesiącach do miasta, rodzina Echague zastała w windzie szkielety portiera i pokojowej, którzy, jak wyjaśniono, mieli podczas wakacji pozostać w Buenos Aires.

⁴⁵ O bohaterach i grobach

W chwili kiedy Echague opowiadał mi tę historię, nie śniło mi się nawet, że kiedyś rozpocznę badania nad ślepymi. Dokonując po latach retrospektywnego przeglądu wszystkich wiadomości mających w taki lub inny sposób jakiś związek z Sektą, przypomniałem tobie ślepego sutenera i przyszło mi na myśl, że niewątpliwie wydarzenie to, na pozór przypadkowe, było świadomym i z góry zaplanowanym dziełem Sekty. Czy jednak da się to kiedykolwiek sprawdzić? Mówiłem z Echague i wtajemniczyłem go w moje podejrzenia. Spojrzał na mnie zdumiony, zdawało mi się, że dostrzegłem w jego mongolskich oczkach ironię. Niemniej przeto 'dopuścił chyba taką możliwość, gdyż rzekł:

— Czy sądzisz, że uda się nam tego dowieść⁷

— Wiesz, gdzie mieszka Juan? — zapytałem z kolei.

— Możemy się dowiedzieć od Gonzaleza. Przypuszczam, że utrzymuje z nim kontakt.

— Świetnie, i pamiętaj, co ci powiedziałem. Juan maczał palce w tej sprawie. Ten człowiek wiedział, że tamtych dwoje jest na górze. Mało tego: upatrzył chwilę, kiedy puszcza windę w ruch. a obliczywszy, że są między piętrami (wszystko zostało doświadczalnie z zegarkiem w ręce obliczone i przewidziane), wyłączył prąd lub też wołaniem albo gestem polecił to zrobić drugiemu, który zapewne trzymał już rękę na wyłączniku,

— Drugiemu? Jakiemu drugiemu?

— Tego nie wiem. Ktoremukolwiek z członków szajki, niekoniecznie musiał nim być twój służący. A choćby nawet Gonzalezowi.

— Sądzisz więc, że Juan należał do jakiejś szajki związanej ze ślepymi lub przez nich kierowanej?

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Znajdź go tylko, a 'przekonasz się.

Znowu spojrział na mnie z ukrytą ironią, ale powiedział tylko, że postara się odszukać Juana.

Po jakimś czasie zapytałem go przez telefon, czy otrzymał jakąś wiadomość. Wyraził chęć zobaczenia się ze mną; spotkaliśmy się w barze. Tym razem nie patrzył na mnie z ironią, był raczej zdumiony.

— No i co z tym Juanem? — spytałem.

— Gonzalez był z nim w kontakcie. Powiedziałem mu, że chciałbym porozumieć się z Juanem. Odpowie-

dział w sposób, który wydał mi się trochę podejrzany, że go już dawno nie widział, ale że postara się odwieźć go w mieszkaniu, z którego podobno ma się wyprowadzić. Spytał, czy to ważna i pilna sprawa. Miałem wrażenie, że pytał o to z pewnym niepokojem. Nie zauważyłem tego w danej chwili, lecz dopiero później, kiedy zastanawiałem się nad tą rozmową, uświadomiłem to sobie. Był niemało zaskoczony, kiedy mu wyjaśniłem, że od dawna noszę się z zamiarem ustalenia okoliczności, w jakich zdarzył się wypadek z windą, i sądzę, iż Juan mógłby uzupełnić nieco moje wiadomości. Gonzalez słuchał mnie z twarzą nieprzenikną, jak by ci powiedzieć... z twarzą trochę jak przy pokerze. To znaczy, wydawało mi się, że ma twarz zanadto spokojną. I to również zastanowiło mnie dopiero później. Niestety. Bo należało wziąć go za kołnierz, zaprowadzić w odludne miejsce, dwa, trzy razy dać mu po głbie i wyciągnąć z niego wszystko, co trzeba. No dobrze. Końca nie potrzebuję ci chyba opowiadać.

— A jakież był ten koniec?

Echagiie odstawił filiżankę z nie dopitą kawą.

— Żaden Gonzaleza już więcej nie ujrzałem. W cukierni, gdzie pracował, także się już nie pojawił. Oczywiście jeżeli przykładasz do tego wagę, można by wszcząć śledztwo przez policję i odszukać ich obu.

— Nie troszcz się o to. Wiem już wszystko, co chciałem wiedzieć. Resztę mogę sobie wyobrazić. Teraz znowu przypomniła mi się ta historia. A ponieważ mam skłonność do wyobrażania sobie okropności, rozmyślałem o szczegółach tego wypadku. Zrazu portier jest lekko zaskoczony zatrzymaniem się windy. Raz i drugi naciska guzik, stara się otworzyć drzwi. Po chwili woła, pewny, że Juan jest na dole i że otworzył drzwi od szybu; każe mu je zamknąć. Nikt tnie odpowiada. Woła więc głośniej, przekonany, że Juan czeka na dole, dopóki wszyscy nie zejną; nie ma odpowiedzi. Woła kilka razy, coraz głośniej, w końcu już ze strachem. Mijają chwile, patrzą oboje na siebie z pytaniem w oczach. I znowu woła, teraz już i ona; wołają oboje. Czekają chwilę. „Poszedł do łaźni” — powiada portier. „Wyszedł i rozmawia na ulicy z Dąbrowskim” (Dąbrowski to Polak, portier z sąsiedniego domu) — mówi ona. „Wróci, by przekonać się, czy coś

w domu nie zostało". I tak dalej. Mija kwadrans, znowu wołają. Cisza. Wołają pięć, dziesięć minut. Nadaremnie. Czekają jeszcze chwilę z rosnącym niepokojem, wymieniając przerażone spojrzenia. Ani on, ani ona nie chcą słowami wyrazić swych myśli, ale oboje zaczynają podejrzewać, że chyba wszyscy już wyszli i zamknęli dopływ prądu. Teraz dopiero wszczynają alarm, krzyczą oboje z całej siły, aż z wolna krzyk przechodzi w wycie. Wyją jak oszalone zwierzęta zapędzone przez dzikie bestie w pułapkę. Po kilku godzinach słabną: ochrypli, są wyczerpani fizycznym wysiłkiem i strachem. Mogą już tylko jęczeć i płakać. Wał słabnącymi pięściami w masywną ścianę. Co nastąpiło później, nietrudno sobie wyobrazić. Mogło być tak na przykład, że w chwili jakiegoś oszołomienia oboje w ciemności milczeli. Później może rozmawiali, wymieniali zdania, a nawet nikłe nadzieje: „Juan wróci, poszedł do baru wypić szklaneczkę”. „Juan zapomniał czegoś i wróci, ściągnie windę i znajdzie nas tutaj”. Powitają go z płaczem i powiedzą: „Gdybyś wiedział, Juanie, ileśmy się strachu najedli”. A później wszyscy troje wyjdą i omawiając ten koszmar, będą się śmiali z byle głupstwa, które zauważą na ulicy, tak będą szczęśliwi. Ale Juan nie wróci, nie poszedł do kręgielni na rogu ani nie zatrzymał go portier Dąbrowski z sąsiedniego domu. Mijają godziny i w tej milczącej opuszczonej rezydencji nic się nie dzieje. Tymczasem uwięzieni nabrali nowej energii i na nowo zaczynają krzyczeć, krzyki przemieniają się w wycie, a wycie w coraz cichsze jęki. Wówczas już prawdopodobnie leżą oboje na podłodze windy i myślą, że tak straszna rzecz nie jest możliwa: zjawisko typowe towarzyszące straszliwym okolicznościom. Powiadają wtedy: „Nie, to być nie może”. A jednak tak jest i strach znowu zaczyna ich zżerać. Wtedy zapewne ponawiają serię wrzasków i jęków. Po co to wszystko? Juan jest teraz w drodze do estacji, gdzie spędzi lato wraz ze swym państwem, pociąg odszedł o szóstą po południu, a jest już chyba koło dziesiątej wieczorem. Na nic więc cały ten alarm, ale taka już jest natura ludzka, że w krzyku i wyciu pokłada sporo nadziei, czego dowiodła niejedna katastrofa. A więc resztkami sił wrzeszczą i kończą jak zwykle na jękach.

Nie może to, oczywiście, trwać wieki; nadchodzi 3C

chwila, kiedy traci się wszelką nadzieję, i wtedy, choć wydaje się to śmieszne, myśli się o jedzeniu. Po co jeść? Ażeby przedłużyć mękę? W tej klatce, leżąc obok siebie po ciemku i dotykając się, myślą oboje o tej samej okropności: co będą jedli, kiedy głód stanie się nie do zniesienia? Czas mija, zaczynają też rozmyślać o śmierci, która za iparę dni nadejdzie niechybnie. Jaka będzie? Jak umiera się z głodu? Myślą o rzeczach minionych, przywołują z pamięci wspomnienia szczęśliwych lat. Jej wydaje się piękny ów czas, kiedy chodziła po parku Retiro: świeciło słońce, marynarze i żołnierze czasami bywali uprzejmi i czuli, w chwili śmierci sprawy życia zawsze wydają się cudowne, choćby i były wstrętne. On sięga zapewne pamięcią do czasów dzieciństwa, wspomina ipieśni i tańce w swojej hiszpańskiej wsi.

Jakie to wszystko dalekie! Wraz ze wspomnieniami powraca myśl: „Ależ to niemożliwe! To się nigdy nie zdarza. Czyżby właśnie nas miał spotkać taki koszmar?” I jeszcze jedna porcja krzyków, ale już znacznie słabszych i trwających krócej niż poprzednie. W głowach kłębią się myśli, wspomnienia hiszpańskiej wioski i szczęśliwych czasów prostytucji. Zrezygnujmy jednak z dalszego opisu; kto posiada choć trochę wyobraźni, potrafi sobie odtworzyć: rosnący głód, wzajemna podejrzliwość, sprzeczki, wymówki na temat spraw minionych. On chciałby zapewne zjeść kobietę, aby więc uspokoić sumienie, zaczyna wspominać jej przeszłość: „Nie miałaś wstydu! Jak mogłaś uprawiać tak ohydny proceder... itd.”

Tymczasem rozmyśla (po dwóch lub trzech dniach bez jedzenia), jak iby zaspokoić głód niekoniecznie zabijając żonę. Mógłby urwać jej bodaj kilka palców lub odgryźć ucho. Kto pragnie zrekonstruować tę scenę, winien pamiętać, że tych dwoje musi też załatwiać swoje potrzeby, że więc miejsce akcji zanieczyszcza się, staje się obrzydliwe. Mimo to pragnienie i głód coraz bardziej dają się we znaki. Pragnienie można jako tako ugasić moczem, który wypija się z dłoni, co również zostało dowiedzione. Z głodem sprawa jest trudniejsza. Podobnie dowiedzione zostało, że nikt nie zjada swych własnych członków, jeżeli ma w pobliżu inną istotę ludzką.

Czy pamiętacie historię z uwięzieniem hrabiego

Ugolino i jego własnych synów? Prawdopodobnie, a raczej na pewno, po trzech lub czterech dniach ohydnej, nieludzkiej męki, przy rosnącej wzajemnej niechęci, silniejszy usiłuje zjeść słabszego. W tym przypadku portier zjada pokojową, zrazu pewnie częściowo, zaczynając od palców, później zadaje jej cios w głowę albo też uderza nią parę razy o ścianę windy i zjada ją całą.

Dwa szczegóły potwierdzają moją rekonstrukcję: jej odzież porwana w strzępy leżała na podłodze wśród nieczystości; również jej kości były porzucane, jak gdyby portier-ludożerca powyrywał je, każdą z osobna. Natomiast jego przegniłe zwłoki, ze szkieletem częściowo odsłoniętym, leżały na boku nienaruszone.

W położeniu bez wyjścia jałem w dalszym ciągu głowić się rozpaczliwie nad moim własnym losem. Kto wie, czy nie był on przypieczętowany już od owej przygody ze ślepcem z kolei podziemnej, a w ciągu tych trzech przeszło lat, kiedy byłem przekonany, że chodzę trop w trop za ślepyimi, w rzeczywistości to oni mnie śledzili. Przyszło mi na myśl, że badania, które doprowadziłem do końca, nie były zamierzone, nie były produktem mojej sławetnej wolności, lecz były nieuniknione, i że przeznaczeniem moim jest ścigać ludzi z Sekty po to, żebym w ten sposób mógł ścigać swoją własną śmierć, i coś gorszego od śmierci. Cóż bowiem wiedziałem, w *rzeczy samej*, o tym, co mnie czeka? Czyżby koszmar, który oto przeżyłem, miał być zapowiedzią? Czyżby i mnie chcieli wyłupić oczy? Czy owe wielkie ptaki miały być symbolem okrutnej operacji, która mnie czekała?

Czyż bowiem koszmar ten nie był wspomnieniem podobnych okrutnych operacji, jakich ja sam w dzieciństwie dokonywałem na kotach i ptakach? Czyżbym więc już od dziecka był skazany?

XXV Rozważania te, wraz z innymi wspomnieniami moich studiów nad ślepyimi, zajęły mi cały ten dzień. Co pewien czas myślałem o Ślepej, o jej zniknięciu i o moim więzieniu. Kiedy medytowałem nad tragedią w windzie, wpadło mi na myśl, że i moja pokuta mogłaby polegać na głodowej śmierci w tym nieznanym pokoju, lecz natychmiast pojąłem, 310

że taka kara byłaby dobrodziejstwem w porównaniu z męką, na jaką skazano tamtych dwoje nieszczęśników.

Umrzeć z głodu po ciemku? Proszę bardzo! Nieomal uśmiechnąłem się na tę myśl.

W pewnej chwili zdało mi się, że wśród milczenia usłyszałem spoza którychś drzwi przyciszone głosy. Wstałem po cichutku i bez butów zbliżyłem się do drzwi, które przypuszczalnie prowadziły do frontowego pomieszczenia. Delikatnie przyłożyłem ucho do zamka: cisza. Macając ściany dotarłem do drugich drzwi i powtórzyłem ten sam zabieg. Istotnie, doznałem wrażenia, że w chwili kiedy przyłożyłem ucho do zamka, rozmawiający nagle zamilkli. Chociaż byłem, ostrożny, niewątpliwie mnie usłyszeli. Nie bacząc na to stałem dłuższy czas z uchem przy zamku. Nie mogłem jednak złowić najmniejszego dźwięku: ani rozmowy, ani ruchów. Przypuszczałem, że po tamtej stronie zgromadziła się Rada Ślepych, której przeszkodziłem, czekając więc, aż poniecham głupiego zamiaru. Widząc, że nic nie wskóram, a tylko bardziej jeszcze rozdrażnię tych ludzi, wróciłem na dawne miejsce, tym razem mniej ostrożnie, gdyż i tak już wiedziałem, że mnie usłyszeli. Rzuciłem się więc na łóżko i zapaliłem papierosa. Cóż innego mogłem zrobić? Ponad wszelką wątpliwość owa pokątna rada rozstrzygnie o mojej najbliższej przyszłości.

Do tej chwili opierałem się chęci palenia, nie chcąc zużywać skąpych zapasów tlenu, którego, według moich obliczeń, dostarczał słaby prąd powietrza napływającego przez szpary. Czy jednak w tej sytuacji mogło mnie spotkać coś lepszego niż śmierć od uduszenia dymem? Od tego momentu zacząłem kopcić jak komin, w wyniku czego coraz trudniej było oddychać.

Rozmyślałem, odgrzebywałem wspomnienia. Przede wszystkim o aktach zemsty ze strony Sekty. Wtedy to jeszcze raz przeanalizowałem sprawę Castela. Sprawa ta była głośna nie tylko dzięki zamieszonym w nią osobom, ale także dzięki pamiętnikom, które morderca Przesłał z domu obłąkanych do wydawnictwa. Interesowałem się ogromnie tą sprawą dla dwóch powodów: znałem Marię Iribarne i wiedziałem, że mąż jej był ślepy. Łatwo zrozumieć, że pragnąłem poznać Castela, Lecz równie łatwo sobie wyobrazić, że bałem się, bo

znaczyłoby to to samo, co włożyć głowę w paszczę lwa. Nie pozostało mi więc nic innego, jak przeczytać, przestudiować dokładnie jego dziennik.

„Zawsze miałem uprzedzenie do ślepych”, wyznaje Castel. Kiedy pierwszy raz czytałem ten dokument, byłem wstrząśnięty, gdyż mówił o zimnej skórze, o wilgotnych rękach i o innych charakterystycznych cechach rasowych, które i ja również zaobserwowałem i które 'zaprzętały moją uwagę, jak na przykład skłonność do zamieszkiwania jaskiń i miejsc pozbawionych światła. Wstrząsnął mną już sam tytuł pamiętnika: *Tunel*, tak był znamienny.

Zareagowałem odruchowo: chciałem natychmiast pobiec do domu obłąkanych, pomówić z malarzem i sprawdzić, jak daleko posunął się w swych badaniach. Zaraz wszakże zreflektowałem się, pomysł ten bowiem był tak niebezpieczny, jak zapalenie zapalki dla obejrzenia składu amunicji.

Zbrodnia Castela była bezsprzecznie wynikiem nieubłaganej zemsty ze strony Sekty. Jaki był mechanizm tej zemsty? Całymi latami starałem się zdemontować go i zbadać, nigdy jednakże nie zdołałem przebrnąć przez zagadkowość, która jest cechą dominującą każdej akcji planowanej przez ślepych.

Jeśli idzie o mnie, to owo zdarzenie, które nastąpiło niedługo po mojej przygodzie z człowiekiem z fiszbinami, odebrało mi do reszty spokój. Postanowiłem zmylić ślady, odgrodzić się nie tylko czasem, ale i przestrzenią, i wyjechałem z kraju. Niejednemu czytelnikowi niniejszego raportu wyda się to przesadą. Zawsze śmiałem się z braku wyobraźni tych panów, co to uważają, że dla znalezienia jakiejś prawdy należy utrzymywać fakty we „właściwych proporcjach”. Te karły wyobrażają sobie (oni również mają wyobraźnię, tyle że karłowatą), że rzeczywistość nie przekracza ich miary, że nie jest bardziej skomplikowana niż ich ptasi mózdzek. Osoby te, które same siebie określają mianem „realistów”, nie widzą bowiem dalej swojego nosa, biorą za Rzeczywistość Koło Dwumetrowej Średnicy, którego środek leży w ich słabej głowie. Prowincjusze ci naśmiewają się ze wszystkiego, czego nie mogą zrozumieć, i nie wierzą w nic, co leży poza obrębem ich sławetnego koła. Z chytrą, typową dla chłopów, z reguły wyrzucają z domu szaleńca, który 312

przynosi im plan odkrycia Ameryki, ale kiedy schodzą do miasta, dają się nabrać na kupno tramwaju. Uważają za „logiczne” (lubią to słówko!) to, co jest po prostu psychologiczne. Utarty zwyczaj uchodzi u nich za rzecz słuszną i rozsądną; dzięki temu mechanizmowi Lapończyk uważa za słuszne i rozsądne ofiarować swą żonę przyjeźdnemu, podczas gdy Europejczyk (poczytuje to raczej za szaleństwo. Tego rodzaju spryciarze odrzucali po kolei istnienie antypodów, karabinu maszynowego, mikrobów i fal Hertza. Realisci, którzy odznaczają się tym, że odrzucają (na ogół stanowczo, choć z uśmiechem, a nawet przy pomocy więzienia i domu obłąkanych) przyszłe fakty.

Drugi wspomniały aforyzm „właściwych proporcji” lepiej przemilczeć. Wspomnę tylko, że w historii ludzkości wszystko, co miało pewne znaczenie, było przesadzone: począwszy od Imperium Rzymskiego, skończywszy na Dostojewskim.

Zostawmy jednak te głupstwa i wróćmy do jednego tematu, który powinien interesować ludzkość.

Postanowiłem wyjechać z kraju; z początku zamierzałem przeprowić się przez Deltę * w motorówce któregoś z przemytników, współników F., w porę jednak wpadło tmi na myśl, że w taki sposób nie mógłbym wyjechać poza Urugwaj. Nie widziałem innego sposobu, jak postarać się o fałszywy paszport. Udałem się w tym celu do Turka Nassifa i na nazwisko Federico Ferrari Hardoy otrzymałem paszport, który pośród wielu innych skradzionych przez szajkę Nassifa czekał na swój ostateczny los. Wybrałem ten właśnie, ponieważ miałem kiedyś nieprzyjemności z Ferrarim Hardoy i oto trafiła mi się okazja, by popełnić w jego imieniu jakieś łajdactwo.

Chociaż miałem ten dokument, wolałem przeprowić się przez Deltę w motorówce przemytnika. Dopłynąłem do Carmelo, stamtąd pojechałem autobusem do Colonii i w końcu innym autobusem przybyłem do Montevideo.

Otrzymawszy w konsulacie argentyńskim wizę, kupiłem bilet na samolot Air France, który miał odlecieć za dwa dni. Co począć z dwoma dniami oczekiwania?

Ujście rzeki La Pláta. (Przyp. tłum.)

Niepokoilem się, byłem zdenerwowany. Spacerowałem po ulicy 18 Lipca, wypilem kilka kaw i parę koniaków dla rozgrzewki. Ale dzień włókł się rozpaczliwie powoli; zbyt wolno zbliżał się moment, kiedy miałem odgrodzić się oceanem od człowieka z fiszbankami. Nie chciałem oczywiście spotkać znajomych. Na nieszczęście jednak (nie był to przypadek, lecz niestety stało się to przez moją nieostrożność, gdyż powinienem był spędzić tych parę dni w jakiejś dzielnicy Montevideo, gdzie nie miałbym okazji spotkać znajomych) w kawiarni „Tupi-Namba” zauważyli mnie Bayce oraz pewna blondynka, malarka, którą także poznałem kiedyś w Montevideo. Siedział z nimi również młody, szczupły facet o twarzy intelektualisty, w dzinsach i bardzo dziwnych buciorach. Miałem wrażenie, że go skądś znam.

Tego nie dało się uniknąć; Bayce podszedł i zaciągnął mnie do swego stolika, gdzie przywitałem się z Lily i nawiązałem rozmowę z młodzieńcem w buciorach. Powiedziałem mu, że wydaje mi się znajomy. Czy był kiedyś w Valparaiso? Czy nie jest architektem? Owszem, jest architektem, ale w Valparaiso nie był.

Byłem zaintrygowany. Rzecz zrozumiała; ta niezwykła przypadkowość była podejrzana: nie tylko wydał mi się znajomy, ale odgadłem jego zawód. Czyżby kłamał mówiąc, że nie był w Valparaiso, aby uniknąć niebezpiecznych wniosków z mojej strony?

Tak mnie to speszyło i zaniepokoiło (należy pamiętać, że historia z fiszbankami zdarzyła się zaledwie parę dni temu), że nie mogłem włączyć się w ogólną rozmowę. Mówili o Peronie (jakżeby nie), o architekturze, o jakiejś tam teorii i o nowoczesnej sztuce.

Architekt miał z sobą egzemplarz czasopisma „Domus”. Podziwiali koguta z ceramiki, pomimo zdenerwowania musiałem i ja go obejrzeć; twórcą koguta był Włoch Durelli czy Fratelli (obojętne), który zapewne ściągnął go od Niemca nazwiskiem Staudt, ten zaś ściągnął go od Picassa, który z kolei ściągnął go od jakiegoś afrykańskiego Murzynka, jedyne, który na kogucie nie zarobił dolarów.

Myśl o architekcie bez przerwy mnie dręczyła: przypatrywałem mu się i byłem coraz bardziej pewny, że go znam. Nazywał się Capurro. Ale czy naprawdę 314

tak się nazywał? Ach, co za nonsens; pochodził z Montevideo, Bayce i Lily byli jego przyjaciółmi, jakże by mógł podać mi fałszywe nazwisko? Więc nie, to nieważne, nazwisko mogło być i z pewnością było prawdziwe, ale czy nie kłamał, mówiąc, że nie był w Valparaiso? Co w takim razie ukrywał? Staralem się gorączkowo przypomnieć sobie, czy w tamtej grupie w Valparaiso był ktoś taki, kto w sposób bezpośredni lub pośredni mówił kiedyś o ślepych. Znamienne było na przykład, że człowiek ten zwracał specjalnie uwagę na koguty, a wiadomo przecie, że koguty, których używa się do walk kogutów, są zawsze ślepe. Nie, nie mogłem sobie przypomnieć. Raptem błysnęła mi myśl, że nie w Valparaiso spotkałem tego człowieka, ale w Tucuman.

— Czy był pan kiedyś w Tucuman? —■ spytałem faceta.

— W Tucuman? Nie, i tam również nie byłem, Często bywałem, rzecz jasna, w Buenos Aires, ale w Tucuman nie byłem. Dlaczego pan pyta?

— Nie, nic. Tylko wydaje mi się, że pana znam, i zastanawiam się skąd.

— No wiesz! Znasz go chyba z Montevideo, przecież nieraz tu bywałeś — wtrącił się Bayce ze śmiechem.

Zaprzeczyłem i powróciłem do moich medytacji, oni zaś wciąż rozprawiali o tym kogucie.

Pożegnawszy się pod jakimś pretekstem, poszedłem do innej kawiarni, ale w myślach nadal rozwiązywałem problem architekta.

Postanowiłem odświeżyć znajomość z kimś, kto był w Tucuman. Jak zwykle utrzymywałem tam, stosunki z ludźmi z towarzystwa dla ukrycia mojej prawdziwej działalności. To naturalne; nie mogłem przecież bywać u miejscowych fałszerzy i pokazywać się w towarzystwie tamtejszych bandytów. Zatelefonowałem do pewnej studentki architektury, z którą w tamtych czasach sypiałem.

Poszedłem do niej. Porosła w piórka, wykladała na wydziale i współpracowała z grupą młodych architektów, którzy budowali coś tam w Tucuman, fabrykę, szkołę czy sanatorium. Pokazała mi projekty. Nie wiem, wszystko to wygląda jednakowo, w takim budynku można jutro równie dobrze zainstalować tokar-

nię, jak i szpital ginekologiczny. Oni nazywają to budownictwem funkcjonalnym.

Przyjaciółka moja — jak już powiedziałem — dorobiła się. Nie mieszkała już, jak niegdyś w Buenos Aires, w studenckim pokoiku. Miała teraz nowoczesny i odpowiedni dla jej indywidualności apartament. Kiedy pokojówka otworzyła mi drzwi, chciałem odejść, miałem bowiem wrażenie, że nikt tu nie mieszka. Dopiero gdy spuściłem oczy, zauważyłem meble. Wszystkie niskie, tuż nad podłogą, jak dla krokodyli. Od pięćdziesięciu centymetrów ponad podłogą mieszkanie było całkiem nie zamieszkane. Przepraszam, wchodząc zobaczyłem, że na olbrzymiej ścianie wisi obraz, jeden jedyny obraz jakiegoś przyjaciela Gabrieli: na gładkim, stalowoszarym tle nakreślona przy użyciu grafionu i przykładnicy błękitna pionowa linia, a o jakieś pięćdziesiąt centymetrów w prawo maleńkie żółte kółeczko.

Usiedliśmy na podłodze, bardzo niewygodnie; Gabriela zaczęła się do stolika wysokości dwudziestu centymetrów, by nalać kawy do filiżaneczek z ceramiki, bez uszek. Parząc sobie palce pomyślałem, że bez kilku szklanek whisky nie uda mi się w tej lodówce stworzyć temperatury dostatecznie wysokiej, aibym mógł przespać się z Gabrielą. Pogodziłem się już z losem, gdy nagle pojawili się jej przyjaciele. Kiedy podeszli bliżej, zauważyłem, że jednym z nich była kobieta, choć również nosiła dżinsy. Pozostali dwaj byli architektami; jeden był mężem kobiety w spodniach, a drugi chyba przyjacielem albo kochankiem Gabrieli. Wszyscy mieli na sobie młodzieżowe dżinsy i 'dziwaczne buciska typu „Patria”, które dawniej nosili nasi rekruci, a które teraz widocznie robi się na miarę, na zamówienie Wydziału Architektury.

Przez dofrą chwilę rozmawiali swoim żargonem o sprawach oscylujących pomiędzy architekturą a psychoanalizą i bodajże w równym stopniu entuzjazmowali się spiralą logarytmiczną Maxa Billa, co sadyzmem anobukalnym jakiegoś przyjaciela, którego psychikę właśnie analizowali.

Wówczas to podczas tej rozmowy rozjaśniło mi się w głowie. Nie, Capurro nie był mi znany, nie spotkałem go ani w Valparaiso, ani w Tucuman. Po prostu wszyscy ci ludzie są do siebie podobni, niełatwo do-

strzec między nimi różnicę, zwłaszcza kiedy widzi się ich z daleka albo w półmroku, lub też, jak to było ze mną, w chwili gwałtownej emocji.

Uspokoiwszy się co do osoby Capurra, spędziłem resztę czasu nie najgorzej: poszedłem do kina, potem tło jakiegoś baru na przedmieściu, w końcu zamknąłem się w hotelu. Nazajutrz, gdy samolot Air France wystartował z Carrasco, zacząłem spokojnie oddychać. Wylądowaliśmy na Orły w nieznośnym upale (było to w sierpniu). Pociłem się jak mysz. Funkcjonariusz, który sprawdzał mój paszport, nie bez ironii raczył zwrócić się do mnie z ową, nierzadką u Francuzów, przesadną gestykulacją, którą oni uważają za cechę charakterystyczną południowych Amerykanów.

— Ależ wy jesteście tam chyba przyzwyczajeni do gorszego upału?

Wiadomo, Francuzom nie brak logiki, toteż mechanizm myślowy owego Karfezjusza z Urzędu Celnego działał bezbłędnie: Marsylia leży na południu i panuje w niej upał, Buenos Aires leży jeszcze bardziej na południe, a więc musi tam panować piekielny upał. Oto do czego prowadzi logika: dobre rozumowanie może stopić biegun południowy.

Uspokoilem go (pochlebiłem mu), utwierdzając go w tym przekonaniu. Oświadczyłem, że w Buenos Aires nosimy jedynie slipy i że nie przywykliśmy chodzić w ubraniu. Facet zadowolony z siebie położył pieczęć na moim paszporcie i podał mi go z uśmiechem.

— *Allez-y!* * — powiedział. — Trochę cywilizacji nie zaszkodzi!

Nie miałem specjalnych planów na Paryż, ale uważałem za rozsądne obrać dwa kierunki: po pierwsze, nawiązać kontakt z przyjaciółmi F., gdyż mogło mi zabraknąć pieniędzy; po drugie, jak zawsze, zmylić ślad, a więc spotykać się z moimi przyjaciółmi (?) z Montparnasse i z Quartier Latin, z ową zbieraniną Katalończyków, Włochów, Żydów polskich i Żydów rumuńskich, z której składa się Szkoła Paryska.

Zatrzymałem się przy ulicy Du Sommerard w *maison meuble* **, gdzie mieszkałem przed wojną. Ale dawnej właścicielki, madame Pinard, już tam nie było.

* Dobra, w porządku. (Przyp. red.)

** Dom, w którym wynajmuje się umeblowane pokoje.

<Przyp. red.)

Jakaś inna gruba baba zajęła jej miejsce w łoży konsjerżki, skąd pilnowała wchodzących i wychodzących studentów, zapoznanych artystów i sutenerów, którzy nie tylko są mieszkańcami tego domu, ale również niewyczerpanym tematem Szeptów dozorczyńni oraz surowcem jej Filozofii Istnienia.

Wynająłem pokój na trzecim piętrze, po czym wyszedłem na poszukiwanie znajomych.

Pierwsze kroki skierowałem do „Dôme”. Nie zastałem nikogo. Powiedziano mi, że ci ludzie przenieśli się do innych kawiarni. Dano mi adres Domingueza i poszedłem do jego pracowni, która mieściła się obecnie w „Grandę Chaumiere”.

Jest dowiedzione, że cokolwiek bym zrobił, zawsze muszę się w końcu znaleźć w Zakazanym Królestwie; prowadzi mnie tam niezawodnie jakiś nieomylny węch. „Oto portret ślepej modelki” — powiedział Dominguez wskazując obraz. Uśmiechnął się przy tym znacząco; miał skłonność do perwersji.

Z wrażenia usiadłem na krześle.

— Co ci się stało? — zapytał. — Zbladłeś.

Przyniósł mi koniaku.

— Mam zaburzenia żołądkowe — wyjaśniłem.

Wyszedłem z pracowni z postanowieniem, że nie wrócę. Ale nazajutrz pojąłem, że byłaby to najgłupsze z wszystkiego, co mógłbym uczynić, jak to wykazuje następująca sekwencja:

1. Dominguez zdziwiłby się moim zniknięciem.
2. Zastanawiałby się nad jego przyczyną. Jest tylko jedna: nieomal zemdlałem, kiedy pokazał mi portret Ślepej.
3. Było to tak oczywiste, że mówiłby o tym nawet ze Ślepą, a zwłaszcza z nią. Z tej ewentualności wynikają dalsze:
4. Ślepa spyta, kim jestem.
5. Dowie się, skąd pochodzę, jak się nazywam itd.
6. Natychmiast zawiadomi Sektę.

Wiadomo, co nastąpi: znowu znajdę się w niebezpieczeństwie i będę musiał uciekać z Paryża, może do Afryki lub na Grenlandię.

Postanowiłem więc, czego każdy inteligentny człowiek łatwo się domyśli: nie ma innej rady, trzeba wrócić do pracowni Domingueza, jak gdyby nic się nie stało, i podjąć ryzyko spotkania Ślepej.

Po dalekiej, kosztownej podróży stanąłem więc znowu oko w oko z moim Przeznaczeniem.

XXVI

Teraz, kiedy zbliża się śmierć, posiadam przeraźliwie jasny umysł.

Szybko zanotuję kwestie, które chciałbym przeanalizować, jeśli zostawią mi czas:

Ślepi trędowaci.

Afera w Clichy, szpiegostwo w księgarni.

Tunel pomiędzy kryptą Saint-Julien Le Pauvre a cmentarzem Pere-Lachaise, Jean Pierre, oko.

XXVII Mania prześladowcza! Zawsze ci realiści, owi słynni wyznawcy „właściwych porcji”.

Kiedy mnie w końcu spalą, wtedy dopiero przekonają się, że miałem rację; podobnie musieliby metrem krawieckim zmierzyć średnicę ziemi, żeby uwierzyć astrofizykom.

Świadectwem będą te oto papiery.

Powiecie: pycha *post mortem*? * Być może. Pycha jest tak pełna fantazji, tak pozbawiona „realizmu”, że aż każe ci troszczyć się o to, co pomyślą o tobie po twojej śmierci, kiedy "będziesz jużgnił w ziemi.

Czyżby to w jakiś sposób dowodziło nieśmiertelności duszy?

XXVIII Istotnie, cóż za banda łobuzów! Aby komuś uwierzyć, muszą go spalić!

XXIX Powróciłem więc do pracowni. Teraz, kiedy już byłem zdecydowany, gnał mnie tam jakiś gwałtowny niepokój: zaledwie wszedłem, poprosiłem go, by mi opowiedział o Ślepej. Dominguez był jednak pijany. Skłął mnie, jak zawsze, kiedy tracił nad sobą kontrolę. Pod wpływem alkoholu ten szpetny, zgarbiony olbrzym stawał się straszliwym potworem.

* Po śmierci. (Przyp. red.)

Nazajutrz, tępy jak wół, najspokojniej w świecie stał przy sztaludze i malował.

Spytałem go o Ślepą, powiedziałem, że miałbym ochotę przyjrzeć się jej, ale bez jej wiedzy. Powróciłem więc do moich badań, znacznie wcześniej jednak, niż zamierzałem, jako że odległość piętnastu tysięcy kilometrów może w każdym razie zrównoważyć tych kilka lat. Tak niemądrze wtedy myślałem. Nie muszę chyba wyjaśniać, że Domingueza nie wtajemniczyłem w moje myśli. Powiedziałem mu, że 'chciałbym zaspokoić ciekawość, chorobliwą ciekawość.

Kazał mi usadowić się na górze, skąd będę mógł do woli napatrzeć się i nasłuchać. Mam nadzieję, że wiecie, jak wygląda pracownia malarska: jest to coś na kształt szopy, dosyć wysokiej, w dolnej części stoją sztalugi, szafki z farbami, jakieś legowisko dla modela, stoły i krzesła do siedzenia, jedzenia itp. Z boku na podwyższeniu wysokim na dwa metry mniej więcej stoi łóżko. Tam właśnie miało się mieścić moje obserwatorium, jakby stworzone do tego celu.

Zapaliłem się do tego projektu, tymczasem, zaś w oczekiwaniu na Ślepą rozmawialiśmy z Dominguezem o starych przyjaciółkach. Wspominaliśmy Mattę, który był wówczas w Nowym Jorku, Estebana Frances, Bretona, Tristama Tzarę, Pereta. Co porabia Marcelle Ferry? (Doskonale pamiętam, że nie zapytałem wtedy o Wiktora Braunera: Przeznaczenie nas oślepia!)

W końcu pukanie do 'drzwi obwieściło przybycie modelki. Pobiegłem na podwyższenie, gdzie stało łóżko Domingueza, jak zawsze brudne i rozmamłane. Z tego miejsca miałem przyglądać się osobliwej scenie, bo Dominguez uprzedził mnie, że czasami „nie ma innej rady”, musi po prostu zaspokoić lubieżną zmysłowość Ślepej.

Gdy ujrzałem tę kobietę w otwartych drzwiach, przeniknął mnie zimny dreszcz! Mój Boże, że też widok ślepeca zawsze musiał przyprawiać mnie o dreszcze! Była średniego wzrostu, raczej drobna, w ruchach miała wdzięk lubieżnej kotki. Podszedłszy bez cudzej pomocy do tego tam legowiska, obnażyła się. Jej wątpa postać miała w sobie coś pociągającego, nade wszystko jednak pociągały mnie jej kocie ruchy.

Dominguez malował, ona tymczasem obmawiała swojego męża. Nie wydało mi się to szczególnie zajmu-

jące, dopóki nie pojąłem, że jej mąż również jest ślepy. Oto wyłoni, którego tak długo szukałem! Nieprzyjaciel ■widziany z daleka jest zwartym monolitem, którego niepodobna przeniknąć, wewnątrz jednak istnieją nienawiści i gniewy, jest pragnienie zemsty; gdyby nie to, nie byłoby możliwe szpiegostwo ani nie mogłaby istnieć kolaboracja w okupowanym kraju.

Nie od razu oczywiście wdarłem się radośnie w ten ■wyłom. Wpierw należało sprawdzić:

- a) Czy ta kobieta rzeczywiście nie wie o moim istnieniu i o mojej obecności.
- b) Czy rzeczywiście nienawidzi swojego męża (mógł to być haczyk do łowienia szpiegów).
- c) Czy rzeczywiście jej mąż jest również ślepy.

Wiadomość o tej nienawiści zaalarmowała mnie, do czego dołączyło się podniecenie zmysłów na widok sceny, jaka po chwili rozegrała się w pracowni. Przewrotny sadysta Dominguez wykorzystując ślepotę kobiety czynił tysiące sprośności, a i mnie zachęcał gwałtem do współdziałania, ja jednak musiałem strzec tej okazji jak skarbu, nie mogłem więc zmarnować jej na samo tylko zaspokojenie zmysłów. Przypatrywałem się komedii, która przerodziła się rychło w ponurą, nieomal przerażającą walkę dwóch płci, dwojga krzyczących i gryzących się opętańców.

Nie, w tej kobiecie na pewno nie było nic fałszywego. Dla późniejszego śledztwa mogło to mieć doniosłe znaczenie. Chociaż dobrze wiem, że kobieta potrafi kłamać na zimno nawet w najbardziej płomiennych momentach, byłem skłonny uwierzyć, że Ślepa jest szczerą również w stosunku do ślepego męża. Mimo wszystko jednak należało się upewnić.

Kiedy wreszcie uspokoili się pośród chaosu panującego w pracowni (nie tylko bowiem krzyczeli i wyli, ale Dominguez kazał Ślepej ścigać się na czworakach po pracowni, nakłaniając ją do tego niezwykle a sprośnymi wyzwiskami), leżeli jakiś czas milcząc, Po czym Ślepa ubrała się i powiedziała „do widzenia” jak biuralistka po skończonej pracy. Dominguez nie odpowiedział nawet, a tylko leżał nagi i otepiały na tapczanie. Ja zaś, trochę śmieszny, patrzyłem na to wszystko z góry. W końcu zdecydowałem się zejść. Spytałem go, czy naprawdę jej mąż jest ślepy, czy

²¹ O bohaterach i grobach

on sam wdział go kiedyś. I czy naprawdę ona go nienawidzi, tak jak twierdzi.

Za całą odpowiedź Dominguez wyjaśnił mi, że Ślepa, chcąc dręczyć swego męża, przyprowadza do mieszkania swoich kochanków i kładzie się z nimi w jego obecności. Na moje zdziwienie objaśnił mnie, że ślepy mąż jest prócz tego sparaliżowany. W krześle na kółkach asystuje przy scenach, które są dla niego wymyślną torturą.

— Jak to? — spytałem. — Czy nie jeździ na tym krześle? Czy nie może im przeszkodzić?

Dominguez ziewnął otwierając usta szeroko jak hipopotam i głową dał znak, że nie. Nie, ślepiec jest zupełnie sparaliżowany, może jedynie poruszać kilka palcami prawej ręki i coś tam bełkotać. Kiedy erotyczna scena dochodzi do punktu kulminacyjnego, oszalały ślepiec rusza palcami i obracając ciastowatym językiem wydaje nieartykułowane dźwięki.

Dlaczego ta kobieta tak go nienawidzi? Tego Dominguez nie wiedział.

XXX Wróćmy jednak do modelki. Dzisiaj jeszcze drzę na wspomnienie o przelotnym stosunku ze Ślepą, nigdy bowiem nie znajdowałem się tak blisko przepaści jak w owym czasie. Jakże głupi byłem wtedy i jak mało przewidujący! I pomyśleć, że uważałem się za nieomylnego mędrca, za człowieka, który nie ruszy się na krok, dopóki nie wybada terenu! O, cóż ze mnie ibył za nieszczęsny dureń!

Nie było mi trudno nawiązać stosunku ze Ślepą (ciężki idiota, powinienem raczej powiedzieć: „Nie było mi trudno uprosić ich, żeby mnie okpili”. Spotkałem się z nią w pracowni Domingueza, wyszliśmy razem, rozmawialiśmy o pogodzie, o Argentynie, o Dominguezie. Nie wiedziała oczywiście, że poprzedniego dnia obserwowałem ich z podwyższenia.

— To wspaniały człowiek — powiedziała o malarzu. — Kocham go jak brata.

Świadczyło to o dwóch rzeczach: po pierwsze, że nie wiedziała o mojej obecności w obserwatorium, i po drugie, że była kłamczuchem. Wniosek ten nakazał mi być czujnym wobec jej przyszłych zwierzeń: należy je wszystkie nicować. Dopiero po pewnym czasie, niedłu-

gim, ale obfitującym w wydarzenia, zacząłem podejrzewać, a raczej zrozumiałem, że pierwszy mój wniosek był wątpliwy. Czy to dzięki swojej intuicji wiedziała o mojej obecności? Dzięki owemu szóstemu zmysłowi, który pozwala im odgadnąć czyjąś obecność? Czy też była w znowie z Dominguezem? Wszystko opowiem. Pozwólcie mi tylko wyliczyć fakty po kolei.

Wobec siebie samego jestem tak bezlitosny jak wobec reszty ludzkości. Dziś jeszcze zadaję sobie pytanie, czy jedynie obsesja wobec Sekty wciągnęła mnie w ową przygodę z Luizą. Pytam, na przykład, czy mógłbym nawiązać stosunek z odrażająco brzydką ślepą kobietą. Takie dopiero podejście byłoby prawdziwie naukowe. Podobnie jak astronom, który, drżąc z zimna, leży (pod gołym niebem) na drewnianej ławie i w długie zimowe noce obserwuje położenie gwiazd. Gdyby mu bowiem było ciepło i wygodnie, usnąłby, a celem jego jest nie sen, lecz prawda. Ja natomiast, niedoskonały a lubieżny, nie bacząc na wielki i doniosły cel przyświecający mi przez długie lata, dałem się wciągnąć w sytuację, w której co chwila czyhało na mnie niebezpieczeństwo.

Nie potrafię już dzisiaj, rzecz jasna, odróżnić, ile w tym było czystego pragnienia wiedzy, a ile choroby rozpusy. Bo muszę przyznać, że ta rozpusta była również pozytywna dla zgłębienia tajemnicy Sekty. Skoro rządzi oia światem za pomocą sił ciemności, cóż lepszego można zrobić niż zgłębić okrucieństwa ciała i ducha i poznać w ten sposób granice, kontury i zasięg tych sił? Nie mówię tu o rzeczach, które w obecnej chwili są absolutnie pewne, zastanawiam się jedynie i chciałbym wiedzieć, nie pobłażając własnym słabościom, ile było wówczas w moich uczynkach folgowania tym słabościom, a ile odważnego wdzierania się w czeluście prawdy.

Nie warto podawać szczegółów mojej plugawej znajomości ze Ślepą, nie wniosłyby one nic ważnego do raportu, który zamierzam pozostawić przyszłym badaczom. Pragnę, ażeby mój raport tyle miał wspólnego z tego rodzaju opisami, ile ma geografia socjologiczna Afryki Środkowej z opisem aktu ludożerstwa. Powiem tylko, że gdybym nawet miał żyć pięć tysięcy lat, nie zapomniiałbym do śmierci owych letnich popołudni z bezimienną samicą, wielokształtną jak ośmiornica,

prężną i przewrotną jak wielka żmija, naelektryzowaną i rozszalałą niczym kotka w przedwiosenną noc. Tamten siedział tymczasem w fotelu na kółkach, okazały i patetyczny i poruszając dwoma palcami prawej ręki belkotął szmacianym językiem nie wiadomo jakie przekleństwa, jakie mętne i bezsilne groźby. Aż w końcu wampirzyca, wyssawszy ze mnie wszystką krew i uczyniwszy ze mnie plugawego mięczaka, zostawiała mnie samego.

Nie będziemy się więc zajmować tą stroną zagadnienia, a przyjrzyjmy się ważnym dla niniejszego raportu faktom, które pozwoliły mi sięgnąć spojrzeniem w zakazany świat.

Pierwszym moim zadaniem było, oczywiście, sprawdzić, jakiego rodzaju i jak głęboki wstręt odczuwa Ślepa do swego męża, gdyż ta szczerba była, jak rzekłem, jedną z dawno poszukiwanych przeze mnie możliwości.

Nie muszę chyba wyjaśniać, że nie pytałem o to wprost Luizy, podobne pytania wzbudziłyby jej ciekawość oraz podejrzenie; prowadziliśmy długie rozmowy o życiu w ogólności, po czym w ciszy swojego pokoju analizowałem jej odpowiedzi, jej milczenia i przemilczenia. Na tej podstawie (sądzę, że solidnej) doszedłem do przekonania, że ów osobnik był rzeczywiście jej mężem i że jej uraza była tak głęboka, jak to istotnie wykazywał perwersyjny pomysł spółkowania w jego obecności.

Powiedziałem „istotnie wykazywał”, gdyż zrazu wzbudziła we mnie podejrzenie, że gra komedię, aby mnie złapać, według schematu:

- a) nienawiść do męża,
- b) nienawiść do ślepych w ogóle.
- c) zdobycie mego serca!

Doświadczenie ostrzegło mnie przed tak sprytnie obmyśloną pułapką; zabezpieczyć się przed nią mogłem jedynie przez wyśledzenie, jak dalece niechęć Luizy do męża jest prawdziwa. Najbardziej przekonującym czynnikiem był według mego zdania rodzaj jego ślepoty: człowiek ten utracił wzrok już jako dorosły, podczas gdy Luiza była ślepa od urodzenia, a wytłumaczyłem już, że ślepi od urodzenia żywią do nowo orzybytych wściekłą nienawiść.

Oto historia ich małżeństwa: poznali się w biblio- 324

tece dla niewidomych, pokochali, postanowili pobrać; wkrótce jednak z powodu jego zazdrości zaczęły się nieporozumienia, z których wywiązywały się kłótnie i bójki.

Według Luizy zazdrość ta nie była uzasadniona, gdyż ona kochała Gastona: był dobrze zbudowanym, dzielnym mężczyzną. Ale niepohamowana zazdrość doprowadziła go do tego, że uniesiony żądzą zemsty pewnego dnia przywiązał Ślepą do łóżka, na którym położył się z inną kobietą sprowadzoną z miasta.

Z kolei Luiza w swej udęcie poprzysięgła mu zemstę i kiedy po kilku dniach wychodzili z domu, zepchnęła go ze schodów (mieszkał na czwartym piętrze, a jak wiadomo, w hotelikach paryskich windy używa się tylko do jazdy w górę). Gaston koziółkując stoczył się aż na dół, czego skutkiem był paraliż. Jedyne jego nadzwyczajny słuch pozostał nienaruszony.

Ponieważ nie mógł porozumiewać się za pośrednictwem mowy ani pisma, nie mógł też nikomu wyjawiać prawdy i wszyscy wierzyli opowiadaniu Luizy o upadku ze schodów, tym bardziej że ślepemu łatwo może się taka rzecz przydarzyć.

Siedział więc zakuty w sztywny gorset i pełen bezsilnej złości asystował miłośnym scenom mściwej Luizy z przygodnymi kochankami. Za każdym ich poruszeniem zżerała go żywcem cała armia krwiożerczych mrówek.

Przekonawszy się, że nienawiść Ślepej jest autentyczna, zapragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej o Gastonie, kiedy bowiem pewnego wieczora rozmyślałem o wypadkach dnia, obudziło się we mnie podejrzenie: a jeśli ten człowiek, zanim oślepl, był jednym z tych bezimiennych nieubłaganych śmiałków, którzy od tysięcy lat usiłują wtargnąć w zakazany świat? Czy nie jest możliwe, że Sekta jako pierwszy stopień kary pozbawiła go wzroku, po czym skazała go na srogą, nieustanną zemstę owej Ślepej, która go w sobie rozmyślnie rozkochała?

Wyobraziłem sobie na chwilę, że oto ja sam siedzę zakuty żywcem w pancierz, że posiadam nienaruszoną inteligencję, wyostrzony słuch i podrażnione być może ^{zm}ysły, i słyszę, że kobieta, za którą kiedyś szalałem, jęczy w miłosnej ekstazie z kolejnymi kochankami.

Tylko oni mogli wymyślić podobne tortury.

Wzburzony wstałem z łóżka. Tej nocy nie mogłem zasnąć, kręciłem się po mieszkaniu paląc papierosy i rozmyślając. Trzeba było w jakiś sposób zbadać tę ewentualność. Jednakże badanie to byłoby najniebezpieczniejsze ze wszystkich, jakie przedsięwziąłem w stosunku do Sekty. Musiałem przekonać się, do jakiego stopnia to męczeństwo było moim własnym wymysłem.

Nad ranem kręciło mi się w głowie. Wykąpałem się dla orzeźwienia i zaostrzenia wyobraźni. Trochę spokojniejszy powiedziałem sobie: jeżeli ten osobnik odbywa karę, na którą go Sekta skazała, to w jakim celu Ślepa dała mi informację mogącą we mnie wzbudzić takie właśnie podejrzenia? Po co powiedziała mi, że go karze? Mogła i powinna była ukryć ten fakt, jeśli chciała, żebym wpadł w pułapkę. Ja sam bez jej pomocy nigdy bym się o tym nie mógł dowiedzieć, gdyż tylko dzięki jej informacji wiedziałem, że ten człowiek słyszy i cierpi. Mało tego: jeżeli Sekta miała na celu schwytać mnie w pułapkę Ślepej, to po cóż pokazała mi ślepeca w owej niewyraźnej, a w każdym razie podejrzanej dla mnie sytuacji? Poza tym Dominquez również kładł się z tą kobietą w takich samych okolicznościach, myślałem (i to uwalnia go od posądzeń). Uspokoilem się, lecz postanowiłem zdwoić czujność.

Tego samego dnia uczyniłem coś, o czym już myślałem, ale czego dotąd nie praktykowałem: podsłuchiwałem pod drzwiami. Jeżeli jej wstręt jest autentyczny, to niewykluczone, że kiedy są we dwoje, obraża go i lży,

Pojechałem windą na piąte piętro, a później zszedłem ostrożnie na czwarte, zatrzymując się na każdym stopniu po pięć minut. W ten sposób udało mi się podejść do ich mieszkania i przyłożyć ucho do drzwi. Usłyszałem rozmowę Luizy z jakimś mężczyzną. Zdziwiło mnie to, gdyż w tym czasie oczekiwała mnie, co prawda dopiero za godzinę. Czyżby była zdolna zatrzymać innego mężczyznę aż do chwili mojego przyścia? Jedyne, co mi pozostało, to czekać.

Minąłem po cichu korytarz i czekałem w kącie.

„Jeżeli ktoś nadejdzie albo będzie tędy przechodził — myślałem — zejść o piętro niżej i nikt mnie o nic nie posądzi”. Na szczęście o tej porze nie było tu ru-

chu, mogłem więc czekać aż do godziny umówionej z Luizą, lecz mężczyzna ten nie wyszedł z jej mieszkania. Pomyślałem, że być może czekając na mnie Luiza rozmawia tymczasem z jakimś znajomym, albo sąsiadem. Bądź co bądź nadeszła już umówiona pora. Zbliżyłem się więc i zaipukałem.

Otworzyła mi drzwi i wszedłem do mieszkania.

Omalże nie zemdlałem!

W mieszkaniu nie było nikogo. Oprócz Ślepej, oczywiście, i jej sparaliżowanego męża w fotelu na kółkach.

Błyskawicznie wyobraziłem sobie ponurą komedię: ślepy, rzekomo sparaliżowany i niemy, wprowadzony przez Sektę jako mąż tej drugiej kanalii, po to, aby mnie wciągnąć w pułapkę, wziąć na lep owej sławetnej nienawiści, owego sławetnego wyłomu oraz nieuniknionej spowiedzi.

Wybiegłem co tchu, gdyż mój umysł, jasny i precyzyjny jak rzadko, przypomniał mi, że dla ostrożności nie podałem mojego adresu nikomu, nawet Dominguezowi, i że ów buf on nie będzie mógł pognać za mną po schodach na dół, bo jeśli nawet nie jest sparaliżowany, to jednak jest ślepy.

Jak strzała minąłem bulwar i przemierzywszy pędem Ogród Luksemburski na drugim jego końcu wsiałem do taksówki. Zamierzałem bezzwłocznie zabrać z hotelu walizkę i uciec z Paryża. Myślałem o podróży, lecz w pewnej chwili wpadło mi do głowy, że chociaż nikomu nie powiedziałem, gdzie mieszkam, to jednak Sekta prawdopodobnie (a raczej na pewno) wysłedziła mnie, spodziewając się z mojej strony jakiejś nagłej ucieczki. Do diabła z walizką! Paszport i pieniądze nosiłem zawsze przy sobie. Ponadto, nie wiedząc dokładnie, co mi się może przydarzyć, lecz nauczony długim doświadczeniem, nabytym podczas moich badań, zabezpieczyłem się w sposób, który uważałem teraz za genialny: paszport mój miał wizy kilku krajów. Sekta bowiem mogła bezpośrednio po tej historii przy ulicy Gay-Lussaca wysłać kogoś do konsulatu argentyńskiego, aby nie zgubić mego tropu. Raz jeszcze pomimo irytacji doznałem dzięki mojej zdolności przewidywania krzepiącego poczucia siły.

Na Grands Boulevards kazałem szoferowi zawieźć się do któregoś z biur podróży. Kupiłem bilet na pierw-

szy z brzegu samolot. Pomyślałem też o szpiegach na lotnisku, sądziłem jednak, że Sekta będzie mnie przede wszystkim oczekiwać w konsulacie i zostanie wyprawiona w pole.

I tak wyjechałem do Rzymu.

XXXI Ileż głupstw popełniamy rozumując rzekomo prawidłowo! Oczywiście rozumiemy dobrze, rozumiemy wspaniale na przesłankach A, B i C. Tylko że nie wzięliśmy pod uwagę przesłanek D i E, i F, i całego alfabetu łacińskiego, i cyrylicy. Dzięki temu to mechanizmowi inkwizytorzy psychoanalizy spoczywają na laurach wyciągnawszy poprawne wnioski z niepełnych *założeń*.

Ileż to gorzkich refleksji nasunęło mi się podczas owej podróży do Rzymu! Starłem się uporządkować moje myśli, teorie i fakty, które przeżyłem. Jedynie bowiem wtedy odgadniesz przyszłość, kiedy zdołasz odkryć prawa, jakie rządziły przeszłością.

Ileż w tej przeszłości omyłek! Ile nieuwagi! Ile przy tym naiwności! W owej chwili przypomniał mi się Wiktor Brauner i wtedy dopiero zrozumiałem, jak dwuznaczną rolę odgrywał Dominguez. Teraz, po latach, potwierdzam moją hipotezę: Dominguez skazany na dom obłąkanych i na samobójstwo.

Tak, podczas podróży przypomniał mi się dziwny wypadek Braunera, przypomniałem sobie również, że spotkawszy Domingueza pytałem go o wszystkich: o Bretona, o Pereta, o Estebana Frances, o Matę, o Marcelle Ferry. Tylko o Braunera nie pytałem. Znamiennie „zapomnienie”!

Jeśli nie słyszeliście o tym wypadku, to wam opowiem. Malarz ten miał obsesję na punkcie ślepoty; malował ludzi z jednym okiem wybitym lub wykłutym. Nawet na autoportrecie namalował sobie jedno puste oko. Otóż niedługo przed wojną, podczas orgii w pracowni jednego z malarzy surrealistów, pijany Dominguez cisnął w kogoś szklanką, ten ktoś przechylił się i szklanka wybiła oko Braunerowi.

Powiedzcie więc sami, czy można tu mówić o przypadkowości, czy przypadek ma wśród ludzi jakiegokolwiek znaczenie. Przeciwnie, ludzie poruszają się jak lunatycy, cel, który czasem intuicyjnie przeczuwają,

przyciąga ich tak, jak płomień przyciąga ómy. Jak owa szklanka i ślepotą trafiły do Braunera, tak i ja -w 1953 roku poszedłem do Domingueza, nie wiedząc, że idę na wezwanie mego Przeznaczenia. Ze wszystkich ludzi, których wówczas mogłem spotkać, natrafiłem na tego właśnie, który w pewnej mierze był na usługach Sekty. Reszta jest wam wiadoma: obraz, który mną wstrząsnął, ślepa modelka (pozuająca wyłącznie ten jeden raz), komedia spółkowania z Dominguezeni, moja idiotyczna warta w obserwatorium, moja znajomość ze Ślepą, mąż udający paralityka itd.

Ostrzegam naiwnych:

PRZYPADKI NIE ISTNIEJĄ!

Przed wszystkim zaś ostrzegam tych, którzy po mojej śmierci przeczytają niniejszy raport oraz postanowią wszcząć poszukiwania i dotrzeć nieco dalej, niż ja dotarłem. Zginą, jak zginęli ich nieszczęśni poprzednicy — Maupassant (który przyplącił to szaleństwem), Rimbaud (który mimo ucieczki do Afryki umarł na delirium i gangrenę) i wielu innych bezimiennych bohaterów, których nie znamy i którzy zapewne bez wiedzy współczesnych dokonali swoich dni zamknięci w domach dla obłąkanych, zamęczeni przez policję, uduszeni z braku powietrza w podziemnych lochach, zżarci przez mrówki w Afryce lub w oceanie przez rekiny, wykastrowani i sprzedani sułtanom Wschodu lub jak ja sam — skazani na śmierć w ogniu.

Z Rzymu uciekłem do Egiptu, stamtąd udałem się okrętem do Indii. Wszelako Przeznaczenie mnie wyprzedziło i oczekiwało mnie: w Bombaju znalazłem się nagle w burdelu ślepych prostytutek. Przerażony uciekłem do Chin, a stamtąd do San Francisco.

Kilka miesięcy spędziłem spokojnie w pensjonacie pewnej Włoszki, Giovanni. Zdawało mi się, że nie dzieje się nic podejrzanego, postanowiłem więc powrócić do Argentyny.

Znalazłszy się na miejscu, odpowiednio już wyszkolony, czekałem, dopóki nie natknę się na jakiegoś krewniaka lub przyjaciela, który utracił wzrok wskutek wypadku.

Wicie już, co było potem: zecer Celestino Iglesias, 329

wyczekiwanie, wypadek, znowu czekanie, dom w Belgrano i wreszcie hermetycznie zamknięta izba, gdzie, jak sądziłem, miało ostatecznie dopełnić się moje Przeznaczenie.

XXXII Nie wiem, czy to wskutek zmęczenia, czy wskutek wielu godzin nerwowego wyczekiwania, czy też z powodu zepsutego powietrza zaczęła mnie ogarniać nieprzeparta senność i w końcu zapadłem (a może teraz tak mi się wydaje) w gorączkowy, niespokojny półsen. Coraz nowe, nie kończące się koszmary mieszały się z przykrymi wspomnieniami, jak na przykład z historią z windą albo z Luizą. Pamiętam, w pewnej chwili miałem wrażenie, że się duszę. W nozpaczy zerwałem się, pobiegłem do drzwi i zacząłem walić w nie pięściami. Zrzuciłem marynarkę, a potem koszulę, gdyż ubranie ciążyło mi i uwierało.

Do tego momentu przypominam sobie wszystko dokładnie.

, Nie wiem natomiast, czy stało się to dzięki mojemu waleniu i krzykom, ale drzwi otwarły się i stanęła w nich Ślepa.

Teraz jeszcze widzę na tle otwartych drzwi jej hieratyczną postać 'otoczoną świetlistą, z lekka fosforyzującą poświatą. Bił z niej majestat, jej ruchy, a zwłaszcza twarz, promieniowały nieodpartym czarem. Zdało mi się, że to wąż pręży się w otwartych drzwiach i wpija we mnie wzrok.

Zdobyłem się na wysiłek, by przełamać czar, który mnie obezwładnił. Zamierzałem rzucić się na nią (był to z pewnością nonsens, ale jeżeli wziąć pod uwagę zupełną beznadziejność mojej sytuacji, było to niemal logiczne), a w razie potrzeby powalić ją i poszukać wyjścia na ulicę. Nie mogłem jednakże utrzymać się na nogach: w członkach odczuwałem ogromne zmęczenie, jak przy wysokiej gorączce. I rzeczywiście, czułem coraz mocniejsze pulsowanie w skroniach; w pewnej chwili miałem wrażenie, że moja głowa wybuchnie jak gazomierz.

Wreszcie ostatkiem świadomości pomyślałem, że jeżeli nie skorzystam z tej okazji, nigdy już nie zdołam się uratować.

Napiąwszy wolę zebrałem wszystkie moje siły i rzu-
ciłem się na Ślepą. Odepchnąłem ją gwałtownie i wpa-
dłem do drugiego pomieszczenia.

XXXIII Potykając się w mroku szukałem jakiegoś
wyjścia. Otworzyłem jakieś drzwi i zna-
lazłem się w jeszcze innym pomieszczeniu, ciemniej-
szym niż poprzednie. W rozpaczę potykałem się o stoły
i krzesła, wreszcie znalazłem po omacku inne drzwi,
otworzyłem je i wchłoneły mnie ciemności, intensyw-
niejsze niż przedtem.

Pamiętam, że wśród zamętu pomyślałem: „Jestem
zgubiony”. I upadłem bezwładnie, jak gdybym był wy-
czerpał resztki energii. Straciłem wszelką nadzieję:
z pewnością uwięzili mnie w jakimś labiryncie, z któ-
rego nigdy nie wyjdę. Leżałem tak parę minut zzia-
jany i zlany potem. „Nie wolno mi stracić przytomno-
ści”, przeszło mi przez głowę. Usiłowałem ocknąć się
i wtedy dopiero przypomniałem sobie, że posiadam
zapalniczkę. Zapaliwszy ją stwierdziłem, że pokój ten
jest pusty i że ma drugie drzwi. Podeszedłem i otwo-
rzyłem je: wychodziły na korytarz, którego końca nie
mogłem dojrzeć. Cóż jednak pozostało mi innego, jak
wyzyskać tę ostatnią możliwość? Ponadto wystar-
czała sekunda namysłu, by zrozumieć, że pomyłką
było przypuszczenie o labiryncie. Sekta bowiem nie
skazałaby mnie w żadnym wypadku na tak wygodną
śmierć.

Szedłem więc przed siebie tym korytarzem. Szedłem
ze strachem, lecz powoli, gdyż światło zapalniczki było
skąpe, a w dodatku używałem jej tylko dorywczo, aby
nie wyczerpać przedwcześnie paliwa.

Po jakichś trzydziestu krokach korytarz kończył
się schodami prowadzącymi na dół, podobnymi do
tamtych, po których zszedłem z mieszkania przy ko-
ściele do piwnicy, to znaczy były obmurowane tak jak
one. Prowadziły zapewne poprzez mieszkania albo
przez domy do piwnic i podziemi Buenos Aires. Po
kilkunastu metrach klatka schodowa rozwarła się,
a stopnie wiodły dalej w ciemności przez szeroką
otwartą przestrzeń. Były to może piwnice albo składy,
lecz przy słabym świetle zapalniczki nie mogłem z da-
leka nic odróżnić.

XXXIV W miarę jak schodziłem na dół, coraz wyraźniej słychać było charakterystyczny szmer płynącej wody. Naprowadziło mnie to na myśl, że zbliżam się do któregoś z kanałów podziemnych, tworzących pod Buenos Aires ogromny labirynt sieci kloaczej, ciągnący się na przestrzeni wielu tysięcy kilometrów. Istotnie, wkrótce znalazłem się w jednym z owych smrodliwych tuneli, których dnem płynie wartki strumień cuchnącej wody. Odległe światelko wskazywało, że w kierunku, w którym płynęła woda, powinien znajdować się wlot burzowy, lub uliczna krata ściekowa, albo może ujście do jednego z głównych kanałów. Postanowiłem udać się w tamtą stronę. Musiałem ostrożnie stąpać po wąskiej dróżce brzegiem tunelu, gdyż poślizgnięcie się mogło być nie tylko zgubne, ale też niewypowiedzianie wstrętne. Wszystko tutaj było ohydne i lepkie od brudu, ściany czy też mury tunelu były również mokre, ściekały po nich niteczki wody zaipewne przesączające się z górnych warstw ziemi.

Nieraz medytowałem w życiu nad istnieniem owej podziemnej sieci, zawsze bowiem miałem skłonności do rozmyślań o piwnicach, studniach, tunelach i jaskiniach, słowem, o tym wszystkim, z czym w taki lub inny sposób wiąże się zagadkowe podziemne życie: jaszczurki, węże, szczury, karaluchy, wiedźmy i ślepi. Odrażające kloaki Buenos Aires! Nędzny, okropny świat, ojczyzna nieczystości! Widziałem w myślach wspaniałe salony tam, na górze, piękne, delikatne kobiety, wytwornych dyrektorów banków, nauczycieli, kiórzy zabraniają pisać na ścianach brzydkie wyrazy, wyobrażałem sobie białe, nakrochmalone kitle, balowe suknie z tiulu lub z powiewnej gazy, romantyczne wiersze do ukochanej, wzruszające przemówienia o cnotach obywatelskich. Tymczasem tu, na dole, płynie cuchnącym strumieniem brudna mieszanina menstruacji owych romantycznych kochanek, prezerwatyw użytych przez ostrożnych dyrektorów, ekskrementów zwiewnych dziewic odzianych w tiule i gazy, porozdzieranych szczątków nie donoszonych płodów, resztek jadła milionów ludzi, olbrzymi, niezmierny Ściek Buenos Aires.

Wszystko to zdąża ku Nicości oceanu przez podziemne ukryte przewody, jak gdyby Tamci z Góry 332

pragnęli zapomnieć, jakby chcieli odżegnać się od tej części swojej własnej prawdy. Przekleństwem takich jak ja negatywnych bohaterów jest zdać sobie sprawę z tej rzeczywistości.

Badacze Nieczystości, zwiadowcy Śmietników i Niedobrych Myśli!

Tak, poczułem się nagle pewnego rodzaju negatywnym bohaterem, bohaterem czarnym i odrażającym, ale bohaterem. Pewnego rodzaju Zygfydem Ciemności, który pośród wyziewów dźwiga swą czarną chorągiew targaną piekielną wichurą. Dokąd zdążałem? Tego właśnie nie mogłem pojąć, a i teraz, na chwilę przed śmiercią, również nie potrafię zrozumieć.

Doszedłem wreszcie do miejsca, gdzie, jak sądziłem, miał znajdować się wlot burzowy, gdyż stamtąd przeświecało skąpe światelko, które pomogło mi iprzy wędrówce w kanale. W rzeczywistości było to ujście mojego kanału do innego, większego i głośnie huczącego. Tam, na górze był niewielki boczny otwór, który według mego obliczenia mógł mieć około metra długości i jakieś dwadzieścia centymetrów szerokości. Nie można było nawet ipomyśleć o wyjściu przez ten otwór, tak był ciasny, a przede wszystkim niedostępny. Zniechęcony, skrzyłem więc w prawo, by wejść w nowy, ¹ szerszy kanał; wyobrażałem sobie, że w ten sposób, wcześniej czy później, dostanę się do głównego ujścia, jeżeli przedtem nie zemdleję w trującej atmosferze i nie wpadnę do cuchnącej rzeki.

Nie przeszedłem nawet stu kroków, kiedy ku mej niezmiernej radości ujrzałem, że od mojej wąskiej ścieżki prowadzą w górę schodki z kamienia albo z betonu. Było to niewątpliwie jedno z owych wejść lub wyjść, którymi posługują się robotnicy, kiedy muszą schodzić do podziemi.

Zachęcony tym widokiem wspiałem się po schodkach w górę. Po sześciu czy siedmiu stopniach skrzyły w prawo. Jeszcze parę stopni i znalazłem się u wylotu nowego korytarza. Udałem się nim i doszedłem <io innych schodków, takich jak tamte, lecz ku mojemu wielkiemu zdziwieniu prowadzących na dół. Przez chwilę wahałem się, niezdecydowany. Co teraz zrobić? Czy zawrócić do wielkiego kanału i iść tak długo, dopóki nie natrafię na schody prowadzące w górę? Dziwiło mnie, że mam znowu zejść na dół, 333

kiedy logilka nakazywała obrać kierunek przeciwny. Wyobrażałem sobie oczywiście, że tamte schodki, korytarz, który właśnie minąłem, i te nowe schodki na dół stanowią coś takiego jak most nad kanałem poprzecznym, podobnie jak to bywa na stacjach kolei podziemnych, gdzie istnieje połączenie z inną linią. Powiedziałem sobie, że jeżeli podążę dalej w tym samym kierunku, muszę w końcu w jakiś sposób wy dostać się na powierzchnię. Toteż zszedłem na dół po tych nowych schodkach i znalazłem się w nowym korytarzu, którym podążyłem dalej.

XXXV Korytarz ten stopniowo upodabniał się do chodnika w kopalni węgla.

Zaczął mi dokuczać wilgotny chłód, zorientowałem się wówczas, że chwilę już stąpam po mokrym gruncie. Przyczyną tego były zapewne niteczki wody, która cicho spływała z coraz bardziej nierównych i porysowanych murów, jako że nie były to już betonowe, przez inżynierów wybudowane ściany korytarza, lecz zapewne ściany chodnika wyżłobionego w ziemi pod powierzchnią miasta Buenos Aires.

Powietrze stawało się coraz rzadsze, a może było to tylko moje subiektywne wrażenie, spowodowane ciemnością tego tunelu, który wydawał się nieskończenie długi.

Stwierdziłem również, że teren przestał biec poziomo, lecz stopniowo opadał, co prawda nierównomier nie, jak gdyby chodnik został wykopany zgodnie z ukształtowaniem terenu. Innymi słowy, nie był to korytarz zaprojektowany przez inżynierów i wybudowany przy użyciu odpowiednich maszyn; odnosiło się raczej wrażenie, że jest to zaniedbany, podziemny chodnik, wydrążony przez prehistoryczne istoty w naturalnych szczelinach i korytach podziemnych strumieni. Dowodziła tego coraz większa obfitość dokuczliwej wody. Chwilami brnęło się w błocie, później znów wychodziło się na twardy skalisty grunt. Coraz więcej wody ściekało ze ścian. Chodnik rozszerzał się, aż raptem zauważyłem, że znajduję się w jaskini, chyba olbrzymiej, gdyż moje kroki dudniły niby ipod gigantycznym sklepieniem. Niestety w skąpym świetelku mojej zapalniczki nie mogłem nawet dostrzec jej za-

rysów. Stwierdziłem też obecność mgły, nie tej z pary wodnej, lecz — sądząc po intensywnym zapachu — powstałej anoże wskutek samoczynnego powolnego spalania się zgniłego drewna.

Zatrzymałem się, onieśmieliła mnie, jak sędzę, mglista, olbrzymia grota czy też sklepienie. Pod stopami czułem wodę, nie była to woda stojąca, lecz płynęła w kierunku, gdzie, jak sobie wyobrażałem, wpadała do jednego z owych podziemnych jezior, które są przedmiotem badań speleologów.

Zupełna samotność, niedostrzegalność granic jaskini, w której isię znalazłem, olbrzymi obszar wody, mdlące wyziewy czy też dym, wszystko to pomnażało mą udrękę do granic wytrzymałości. Czułem się sam na świecie i jak błyskawica iprzemknęła mi przez głowę myśl, że oto zstąpiłem do jego źródeł. Poczulem się wspaniały i nic nie znaczący.

Bałem się, że w końcu wyziewy zamroczą mnie, że wpadnę do wody i utonę, w momencie kiedy miałem odkryć najistotniejszą tajemnicę istnienia.

Począwszy od tej chwili nie potrafię już odróżnić tego, co się działo, od tego, co mi się śniło lub o czym mi kazano śnić, tak dalece, że nie jestem już pewny niczego: ani nawet tego, co, jak sędzę, zdarzyło się w poprzednich latach, a bodajże i w ostatnich dniach. Wątpiłbym nawet o przygodzie z Iglesiasem, gdybym nie był pewny, że utracił on wzrok w wypadku, przy którym byłem obecny. Ale wszystko inne, od czasu tego wypadku, pamiętam z chorobliwą dokładnością, jak wielki okropny koszmar: pensjonat przy ulicy Paso, ipanią Etcheparaborda, człowieka z CADE, wysłannika podobnego do Pierre Presnaya, wejście do domu w Belgrano, Ślepą i oczekiwanie w zamkniętym pokoju na /wyrok.

Mąciło mi się w głowie, a ponieważ wiedziałem, że wcześniej lub później stracę przytomność, byłem na tyle przezorny, że cofnąłem się do miejsca, gdzie poziom, wody był niższy, i padłem bez sił.

I oto usłyszałem — chyba we śnie — szmer strumyka Indio Muerto, uderzającego o skały przy ujściu do rzeki Arrecifes w estancji Capitan Olmos.

Był letni zmierzch, stałem Obrócony plecami do łąki i słyszałem z daleka, jak gdyby z niezmiernej odległości, głos mojej imatki, która, jak to było w jej

zwyczaj, nuciła coś, kąpiąc się w strumieniu. Pieśń zrazu wydała mi się wesoła, powoli jednak stawała się coraz bardziej żałosna; chciałem ją zrozumieć, lecz pomimo wysiłku nie zdołałem; męczyłem się straszliwie, gdyż słowa tej pieśni miały dla mnie decydujące znaczenie: kwestia życia albo śmierci. Obudziłem się z krzykiem: „Nie rozumiem! Nie mogę zrozumieć!” Jak to się często zdarza po przebudzeniu z koszmaru, starałem się uświadomić sobie, gdzie jestem i w jakiej znajduję się sytuacji. Nieraz budząc się ze snu, już jako dorosły, odnosiłem wrażenie, że jestem w moim dziecięcym pokoju, tam, w Capitan Olmos, i dopiero po długich minutach męczarni odzyskiwałem poczucie rzeczywistości, miejsca i czasu: chwyciłem się rzeczywistości jak tonący, który obawia się, że na nowo zostanie wchłonięty w wir ponurej rzeki, kiedy już z ciężkim trudem uchwycił się brzegów i był bliski ocalenia.

W chwili kiedy żalony śpiew stał się beznadziejnie smutny, powtórzyło się owo wrażenie i rozpaczliwie starałem się uchwycić brzegów prawdziwej sytuacji, w której się obudziłem. Tylko że teraz rzeczywistość była gorsza niż sen; koszmar przeżywałem na jawie. Mój krzyk obił się przytłumionym echem o ogromne sklepienie grotty i przywołał mnie do rzeczywistości. Pośród głuchego milczenia i ciemności (przy upadku zapalniczka wpadła do wody) moje słowa powtórzyły się kilkakrotnie, a potem zgasły w oddali.

Kiedy zamarło ostatnie echo mojego wołania, leżałem dłuższy czas zdruzgotany i dopiero wtedy uzyskałem chyba pełną świadomość mojego osamotnienia i mroku, który mnie otaczał. Do tej chwili, a raczej do chwili, zanim przyśniło mi się moje dzieciństwo, żyłem w zaklętym kręgu moich badań jakby pozbawiony świadomości; niepokój, a nawet trwoga nie miały do mnie dostępu, moja świadomość, a także i podświadomość, cała moja istota pędziła na oślep ku przepaści i nic nie mogło jej powstrzymać.

Dopiero w tej chwili siedząc w błocie, w samym środku podziemnej wklęsłości, której krańców nie mogłem się nawet domyślić, uświadomiłem sobie jasno moją okrutną zupełną samotność.

Złudzeniem wydawał mi się teraz zgiełk tamtego świata, tam w górze, owo chaotyczne Buenos Aires, 336

||

miasto szalejących pajaców na sprężynach, wszystko to zdało mi się dziecinną uludą, nieważką i nierealną. Rzeczywistość była tu, przy mnie. Samotny na tym dnie świata, poczułem się, jak rzekłem, wspaniały i nic nie znaczący. Nie wiem, jak długo trwało moje osłupienie.

Cisza panująca w owym podziemiu, z początku gładka i abstrakcyjna, stopniowo stawała się złożona. Kiedy przebywamy długo sam na sam z sobą w milczeniu, bacznie wsłuchując się w ciszę, zauważymy w końcu, że jest ona pełna małych nierówności, dźwięków zrazu nieuchwytnych, przytłumionej wrzawy, tajemniczych trzasków. Podobnie, oglądając cierpliwie plamy na wilgotnej ścianie, dostrzegamy kontury twarzy, zwierząt, mitologicznych potworów; tak pośród głębokiej ciszy tej jaskini uważny słuch odkrywał dźwięki i tony, które z wolna nabierały sensu: charakterystyczny szmer dalekiego wodospadu, przytłumiony szept nieufnych ludzi, głosy istot być może bliższych, zagadkowe, przerywane modlitwy, pisk *nocnych* ptaków. Nieskończona ilość dźwięków i znaków, które rodziły nowe obawy lub niedorzeczne nadzieje. Podobnie jak Leonardo nie w plamach wilgoci wynajdywał twarze i dziwne stwory, lecz odkrył je w podziemnych labiryntach, tak tnie należy sądzić, że to moja niespokojna wyobraźnia i lęk sprawiały, iż słyszałem dźwięki brzmiące jak błagalny szept, jak trzepot skrzydeł i pisk wielkich ptaków. Nie, mój niepokój, wyobraźnia, długi i pełen trwogi okres terminowania, moje zmysły oraz inteligencja wyostrzona w ciągu wieloletnich poszukiwań pozwoliły mi odkrywać głosy i złowieszcze struktury, których zwykły człowiek nie mógłby zauważyć. Już w najmłodszych latach dzieciństwa koszmarnie sny i halucynacje dały mi pierwsze "wyobrażenia owego przewrotnego świata. Wszystko, co później czyniłem w życiu, tak czy inaczej miało jeden ukryty wątek, i fakty, które dla zwykłych ludzi nie miały znaczenia, mnie rzucały się w oczy; dostrzegałem wyraźnie ich zarysy, tak jak w owych rysunkach dla dzieci, gdzie powinno się znaleźć smoka ukrytego pomiędzy drzewami i strumyczkami. Toteż kiedy inni chłopcy pod presją nauczycieli, znudzeni, przerzucali pobieżnie stronicę Homera, ja, który ptakom wykluwałem oczy, po raz pierwszy poczułem dreszcz czyta-

jąc ustęp, gdzie człowiek ten opisuje z przytłaczającą siłą, z precyzją maszyny, z perwersją znawcy i mściwym sadyzmem, chwilę, kiedy Ulisses i jego towarzysze wypalają wielkie oko Cyklopa płonąca żagwią. Czy Homer nie był ślepy? Kiedy indziej otworzyłem na chybił trafił gruby tom mitologii mojej matki i kładąc wskazujący palec na pierwszym lepszym miejscu strony przeczytałem: „I ja, Tejrezjasz, za karę, że widziałem Atenę w czasie kąpieli i zapłonąłem do niej pożądaniem, oslepiłem; wszelako litościwa Bogini użyczyła mi daru pojmovania języka proroczych ptaków, dlatego powiadam ci, że ty, Edypie, choć o tym nie wiesz, jesteś tym człowiekiem, który zabił swojego ojca i poślubił swoją matkę, i za to zostaniesz ukarany”. A ponieważ nigdy, nawet jako dziecko, nie wierzyłem w przyfpadki, zabawa ta albo to, co według mego zdania robiłem dla zabawy, wydało mi się wróżbą. I na zawsze już pozostał mi w pamięci tragiczny los Edypa, który usłyszawszy słowa Tejrezjasza i będąc świadkiem samobójstwa swojej matki wykuł sobie oczy szpilką. Coraz też mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że ślepi rządzą światem: za pomocą koszmarów i halucynacji, tprzez zarazy i przez czarownice, przez wróżbitów, przez ptaki i węże, i przez wszystkie w ogóle stwory ciemności i jaskiń. I tak pod pozorami nauczyłem się dostrzegać ohydny świat. Przygotowywałem się 'do tego hartując swe zmysły namiętnością i niepokojem, wyczekiwaniem i lękiem, by w końcu dostrzec wielkie siły 'ciemności, jak mistycy widzą w końcu bogów światła i dobroci. Ja zaś, mistyk Śmietnika i Piekła, mogę i muszę wołać: WIERZCIE WE MNIE!

I oto siedząc w tej obszernej jaskini ujrzałem w końcu peryferie zakazanego świata, do którego oprócz ślepych niewielu chyba śmiertelnych uzyskało wstęp, za jego odkrycie bowiem płaci się straszliwą pokutą. Świadectwo tego świata nigdy jeszcze nie dostało się bezkarnie do rąk ludzi, którzy tam, na górze, przeżywają swój naiwny sen; z lekceważeniem wzruszają ramionami wobec znaków, które winny ich obudzić: jakiegoś snu, jakiejś przelotnej wizji, opowiadania dziecka lub szaleńca. Czytają oni, dla zabicia czasu, relacje pewnych ipisarzy, którym być może udało się wśliznąć do zakazanego świata, a którzy również skon-

czyli jako szaleńcy lub samobójcy (jak Artaud, jak Lautreamont i Rimbaud) i zasłużyli sobie jedynie na protekcyjną mieszaninę podziwu i pogardy, jaką dorośli odczuwają dla dzieci.

Odczuwałem więc obecność niewidzialnych istot, które poruszały się w ciemnościach: były to stada olbrzymich gadów, kłębowiska węży piętrzących się w błocie jak robaki w gnijącym cieple gigantycznego trupa, ogromne nietoperze w rodzaju pterodaktyli; słyszałem głuche trzepotanie ich skrzydeł, czułem też na ciele, a nawet na twarzy, ich wstrętne, lekkie muśnięcia. Wyczuwałem również obecność ludzi, którzy właściwie przestali być ludźmi czy to z powodu nieustannego kontaktu z owymi podziemnymi stworami, czy choćby z samej konieczności poruszania się na bagnistym gruncie, to znaczy czołgania się w błocie i brudzie nagromadzonym w tych czeluściach. Nie mogę co prawda twierdzić, że wszystkie te szczegóły widziałem na własne oczy (wszak panuje tam ciemność), lecz odczuwałem je poprzez tysiące oznak, które nigdy nie mylą: jakieś dyszenie, charkot, trzepotanie skrzydeł. Długo siedziałem spokojnie wsłuchując się w to odrażające, przytłumione życie.

Kiedy podniosłem się, miałem wrażenie, że zwoje mózgowe mam pełne ziemi i omotane pajęczyną. Stałem przez dłuższy czas zataczając się i nie wiedząc, co począć. W końcu domyśliłem się, że powinienem pójść w kierunku, skąd jak gdyby przeświecało jakieś nikłe światło. Wtedy to pojąłem, jak dalece słowa „światło” i „nadzieja” związane są z sobą w mowie prymitywnego człowieka.

Grunt, po którym stąpałem, był nierówny; chwilami woda sięgała mi do kostek, kiedy indziej ziemia była tylko nasiąknięta wilgocią; przypominało mi to do złudzenia jezioro na pampie, tak dobrze mi znane z dzieciństwa. Kiedy poziom wody podnosił się, skręcałem na bok, gdzie nie było tak mokro, i zdążałem dalej w kierunku dalekiego światła.

XXXVI W miarę jak posuwałem się naprzód, wzmagala się jasność, aż wreszcie ujrzałem, że miejsce, w którym się znalazłem i które uważałem za jaskinię, było w rzeczywistości olbrzymim

amfiteatrem roztaczającym się na płaszczyźnie oświetlonej przygaszonym czerwonioliliowym światłem. Wyszedłszy z amfiteatru i ogarnąwszy wzrokiem owo nieznane niebo, ujrzałem, że źródłem tego światła jest gwiazda, znacznie zapewne większa od naszego słońca, lecz jej martwy blask wskazywał na przynależność do owych umierających już ciał niebieskich, które resztkami energii oświetlają zimne, opuszczone planety swego wszechświata; podobnie jak kominek w przestronnym salonie, na którym dogasa już ogień i ostatni płomień stłumiony popiołem spalonych głowni śle tajemniczy czerwony odblask. Wieczorem budzi to w nas myśli zagadkowe i nostalgiczne; pogrążeni w sobie dumamy o przeszłości, o baśniach, o dalekich krajach, o sensie życia i śmierci i zanim zmorzy nas sen, wydaje nam się, że płyniemy po widmowym jeziorze i na strudze unoszonej prądem dryfujemy do głębokiego, mglistego oceanu nieomal martwej wody. O kraino melancholii!

Przytłoczony samotnością i ciszą stałem długo nieruchomo i błądziłem oczyma po tym rozległym obszarze.

W stronie, gdzie zapewne był zachód, na liliowym tle nieba burzliwego, lecz utrwalonego w bezruchu, jak gdyby jakaś potężna nawałnica została z czyjegós rozkazu wstrzymana, na niebie pełnym chmur, które wyglądały jak porozdzierane, przesiąknięte krwią kawałki wystrzępionej waty, odcinały się dziwne, ogromnie wysokie wieże, zniszczone przez tysiąclecia, a może również przez tę samą katastrofę, która spustoszyła cały ten posępny obszar. Szkielety wysokich buków, których widmowe spopieliałe sylwetki kontrastowały z krwistą czerwienią chmur, zdawały się wskazywać, że początkiem i końcem owej katastrofy był pożar planetarny.

Pośrodku wieloboku utworzonego z wysokich wież wznosił się równie jak one wysoki posąg. W miejscu pępka lśniła fosforyczna latarnia; byłbym przysiągł, że latarnia ta mruga, gdyby nie martwota, która jednak panując nad całą tą krainą wskazywała, że owo mruganie było tylko złudzeniem moich zmysłów. Wierzyłem fanatycznie, że tutaj zakończą się moje długie peregrynacje i że w tym mocarnym schronie znajdę wreszcie sens moiego istnienia.

Na północy melancholijne to pustkowie kończyło się pasmem księżycowych gór, wysokich chyba na dwadzieścia do trzydziestu tysięcy metrów. Olbrzymi ten łańcuch mógł być grzbietem jakiegoś skamieniałego smoka-olbrzymia.

Od południowej strony równiny natomiast sterczały kratery, które również przypominały krajobraz księżycowy. Wygasłe i na pozór zimne ciągnęły się ponad kamienną pampą ku nieznanym obszarom południa. Czyżby te właśnie wygasłe wulkany zrównały niegdyś z ziemią i spaliły potokami lawy tę krainę?

Z miejsca, gdzie stałem nieruchomo, w olśnieniu, nie można było dostrzec, czy owe kolosalne wieże wznosiły się samotnie pośród równiny (być może były to świątynie nieznanymi religii), czy też, przeciwnie, wystrzelały ponad płaszczyznę umarłych miast, których istnienia z tego miejsca nie dało się stwierdzić. Fosforyczne Oko lśniące w brzuchu bogini jakby wzywało mnie: wiedziałem, że moim przeznaczeniem jest zdążać ku niemu.

Serce moje niemalże przestało bić; weszło chyba w stadium życia utajonego jak u gadów w długie zimowe miesiące. Miałem niesamowite wrażenie, że skurczyłem się i zakrzepłem na widok tragicznego krajobrazu. W tym cmentarnym królestwie nie słychać było żadnego dźwięku, żadnego głosu ani nawet szmeru; niewypowiedziany smutek unosił się jak mgła nad całym tym tajemniczym opuszczonym obszarem.

Czyżby te ogromnie wysokie wieże stały istotnie na pustkowie? Przemknęło mi przez myśl, że w minionych czasach były może schronieniem okrutnych olbrzymów-samotników. *

Tymczasem Fosforyczne Oko wciąż mnie przyciągało, z wolna przyciąganie to wzięło górę nad moją niemocą i ruszyłem w kierunku wież.

Nie wiem, jak długo trwał mój marsz po rozległej, srebrzystej równinie, gdyż zachodząca gwiazda stała Przez cały czas nieruchomo na burzliwym firmamencie. Idąc wciąż naprzód nie zauważyłem nigdzie śladu życia. Wszystko, co niegdyś żyło, zostało spalone lawą lub też zakrzepło pod płonącym popiołem, wyrzuconym w pradawnych czasach podczas owej katastrofy kosmicznej.

Im bliżej byłem wież, tym bardziej wydawały mi 341

się tajemnicze i pełne majestatu. Było ich dwadzieścia jeden, stały rozsiane w wieloboku o powierzchni nie niniejszej od Buenos Aires. Wybudowane z czarnego kamienia, może z bazaltu, odcinały się uroczyście na tle spopielałej równiny i <na fiolecie nieba poroździe-
ranym przez strzępiaste purpurowe chmury. I choć zniszczone przez tysiąclecia i przez katastrofę, imponowały swą wysokością nie mniejszą od średnicy utworzonego przez nie wieloboku.

W samym centrum odróżniałem teraz wyraźnie posąg nagiej bogini, w której brzuchu lśniło Fosforyczne Oko.

Dwadzieścia jeden wież tworzyło jak gdyby gwardię wokół posągu.

Bogini wyrzeźbiona była w żółtym kamieniu, włosami jej były węże ze szczerego złota, lśniące w świetle gasnącej gwiazdy pomarańczowym blaskiem. Ciało miała kobiece, lecz posiadała skrzydła i głowę wampira z czarnego błyszczącego bazaltu. Ręce i nogi zakończone były potężnymi pazurami. W prawicy wzniesionej w górę i wskazującej przed siebie dzierżyła wielki klucz. W lewej trzymała na długim łańcuchu rozjuszonego tygrysa o trzech głowach. Twarzy nie miała, ale w miejscu pępka lśniło ogromne Oko, to samo, które mnie tu przywiodło: okiem tym mógł być olbrzymi szlachetny kamień, być może rubin, lecz jego lśnienie, jakby żywe, zdało mi się raczej migoczącym refleksem wewnętrznego ognia; pośród posepnego pustkowiecia wywoływało to dreszcz grozy i fascynacji. Była to straszliwa bogini nocy, widmowy demon i zapewne najwyższy władca życia i śmierci.

W miarę jak zbliżałem się do posągu, na kamiennej wyżynie zaczęło pojawiać się coraz więcej szczątków życia: wielki krąg wokół bogini stanowił wypalone i statyczne muzeum okropności. Widziałem tam hydry, niegdyś zapewne żywe, lecz obecnie skamieniałe, katatoniczne meduzy, hipogryfy i centaury skryształizowane we frenetycznych pozach ucieczki. Widziałem mogiły bohaterów, żółtookie bożki w opuszczanych domostwach, boginie o skórze pasiastej jak zebra, obrazy niemego bałwochwalstwa z nieczytelnymi napisami.

W tej kramie celebrowano jedynie tylko skamieniały Obrzęd Śmierci. Poczulem się naraz tak straszliwie samotny, że krzyknąłem. Mój krzyk w owej ka-

mierniej pozahistorycznej ciszy ozwał się echem, jak gdyby przebił się przez stulecia i przez wygasłe pokolenia.

Po chwili znowu nastąpiło milczenie.

Zrozumiałem wtedy, że mam pójść aż do końca; Oko majestatycznej bogini zabłysło ponurym blaskiem i wyraźnie przywołało mnie do siebie.

Owych dwadzieścia jeden wież były to wierzchołki wielokątnego muru, do którego tak długo zdążałem. W miarę jak zbliżałem się, jego wysokość zdumiewała mnie coraz bardziej. A kiedy znalazłszy się wreszcie u jego stóp podniosłem oczy, obliczyłem, że mur ten, z pozoru nieprzekraczalny, miał wysokość katedry gotyckiej. Ale wieże były chyba sto razy wyższe.

WIEDZIAŁEM, że w tym olbrzymim murze musi istnieć wejście, abym JA mógł dostać się do kręgu bogini. I CHYBA WYŁĄCZNIE DLA MNIE. I oto nagle olśniła mnie myśl, że to wszystko (wieże, opuszczona kraina, krąg bogini, gasnąca gwiazda) czekało na moje przybycie i że jedynie dzięki temu oczekiwaniu nie zapadło się w nicość. Kiedy zaś zdołałem wniknąć w głąb Oka, wszystko to rozwieje się jak tysiącletni miraż.

Ta myśl dodała mi otuchy do długiej wyprawy w poszukiwaniu wejścia.

I oto ippo wielu dniach nużącego marszu wzdłuż nieskończenie długiego muru napotkałem w końcu wrota. Zaraz u wrót zaczynały się kamienne schody prowadzące do Fosforycznego Oka. Miałem pokonać tysiące stopni, obawiałem się, że padnę ze zmęczenia, lecz oświecony dzikim fanatyzmem i desperacją postanowiłem wytrwać.

Nie mogę również określić, jak długo wspinałem się po niezliczonych stopniach (gdyż gwiazda stała wciąż w tym samym miejscu i oświetlała beczasowo cały obszar), natomiast moje zmęczone stopy i ściśnięte serce odmierzyły nieludzki wysiłek, gdy pośród milczenia spalonej równiny, pełnej posągów i skamieniałych drzew, oddalałem się od wielkiej Kordyliery Północy.

Nikt mi nie pomógł ani modlitwą, ani nawet nawiścią. Tę tytaniczną walkę musiałem stoczyć SAM pośród obojętnej kamiennej pustki.

Fosforyczne Oko stawało się coraz większe, w mia-

rę jak wchodziłem po odwiecznych schodach. I kiedy w końcu przerażony znalazłem się przed Nim, zmogło mnie zmęczenie i padłem na kolana.

Po jakimś czasie ozwał się władczy Głos, jak gdyby z głębi Oka:

— A TERAZ WEJDŹ! TU JEST TWÓJ POCZĄTEK I TWÓJ KONIEC.

Podniosłem się i wszedłem oślepiiony czerwoną łuną. Mocny, acz zagadkowy blask, właściwy tego rodzaju fosforycznemu światłu, które zaciera drżące kontury, wypełniał długi, niezmiernie wąski tunel wznoszący się w górę; musiałem czołgać się na brzuchu. Blask ten, jak gdyby z tajemniczej, podwodnej grotty, miał swoje źródło w miejscu, gdzie kończyły się schody; taką widmową, lecz potężną jasność wytwarzają zapewne glony; widziałem coś podobnego w tropikalnej nocie, kiedy płynąc statkiem po Morzu Sargassowym wpatrywałem się pilnie w głębinę oceanu. Fluorescencja, spowodowana przemianą materii u glonów, oświetla podwodne regiony pełne stworów; na powierzchnię wypływają one li tylko w niezwykłych a groźnych okolicznościach, szerząc popłoch wśród załogi okrętu, który na nieszczęście znalazł się w ich pobliżu; bywa, że oszalała załoga rzuca się do morza i okręt-widmo, niemy świadek klęski, dryfuje przez długie lata unoszony prądami i gnany wiatrem na los szczęścia; dopóki deszcze i tajfuny wschodnich mórz lub monsun i tropikalne słońce Oceanu Indyjskiego, a zwłaszcza Czas (po prostu Czas) nie rozłożą kadłuba i 'masztów, aż w końcu resztki okrętu nadgryzione solą i jodem, zgrzybiałe i zżarte przez ryby, toną w odmętach oceanu, częstokroć w sąsiedztwie przewrotnego stwora, który spowodował katastrofę i który z rozmysłem pilnował przez długie lata obłądnej tułaczki zaklętego statku.

Cóż mogło znajdować się w tej grocie, która przywiodła mi na pamięć lata zuchwałych poszukiwań spędzone na obskurnym handlowym statku pływającym ■po Morzu Karaibskim?

Kiedy prześlizgiwałem się przez ów gorący, duszny tunel, działo się ze mną coś strasznego: moje ciało przybierało kształt ryby. Ze wstrętem czułem, że moje kończyny zmieniają się w płetwy, a skóra pokrywa się twardą łuską.

Tymczasem z miejsca, gdzie kończył się tunel, bił coraz mocniejszy blask: pociągał mnie i jednocześnie napełniał lękiem. I oto w przejmującej ciszy usłyszałem znowu ową daleką skargę czy też wołanie, coś, co przypomniało mi, jak we śnie, odległe zdarzenia, których jednak nie mogłem dokładnie odtworzyć. Moje rybie ciało nie potrafiło już prześliznąć się przez ów igielnik, nie wspinałem się już własnym wysiłkiem, gdyż nie mogłem nawet poruszać płetwami, potężne skurcze ciasnego, jak gdyby gumowego tunelu ścisnęły mnie i równocześnie unosiły z niepowstrzymaną siłą ssania do majaczącego w oddali ujścia. Aż oto nagle straciłem przytomność. Rozległe regiony planetarne i niezmierne ilości czasu zostały jak gdyby wchłonięte przez Generalny Ściek Egzystencji. Jednakże w tych nielicznych sekundach, kiedy piałem się do owego Centrum, przesunęły się przed moją świadomością zawrotne ilości twarzy, katastrof i krajów. Ujrzałem istoty, które spoglądały na mnie z przestraszeniem, dokładnie widziałem sceny z mojego dzieciństwa, góry Azji i Afryki, gdzie spędziłem lata włości, mściwe i pełne ironii zwierzęta oraz ptaki, tropikalne zmierzchy, szczury w spichrzu w Caipitan Olmos, ponure domy publiczne, szaleńców, którzy wykrzykiwali jakieś decydujące, lecz niestety niezrozumiałe słowa, kobiety, które pokazywały bezwstydnie odkrytą pleć, robaki pasożytujące na zgniłych zwłokach na pampie, wiatraki z mojej rodzinnej estancji, pijaków grzebiących w śmietniku i wielkie czarne ptaszyska, które ostrymi dziobami atakowały moje przeżalone oczy.

Wszystko to, jak sądzę, trwało kilka sekund. Potem straciłem przytomność i zacząłem słabnąć. Lecz wtedy miejsce świadomości zajęło wszechwładne, choć niejasne uczucie, że zstąpiłem oto do wielkiej groty i zanurzyłem się w cieplej, galaretowatej i fosforyzującej wodzie.

XXXVII Nie wiem, jak długo leżałem bez przytomności. Wiem tylko, że gdy się ocknąłem, miałem wrażenie, że przeżyłem całe epoki zoologiczne i że zagłębiłem się w odmęty jakiegoś niezmiernie głębokiego, archaicznego oceanu.

Zrazu nie mogłem pojąć, gdzie się znajduję, nie pamiętałem też długiej pielgrzymki do Bogini ani zdarzeń poprzednich. Leżałem w łóżku, na wznak, głowa ciążyła mi jak z żelaza, zamglone oczy zaledwie mogły dostrzec bladą fosforescencję; stopniowo uświadomiłem sobie, że podobne fosforyczne światło widziałem u Ślepej przed ucieczką. Ale niewymowna o ciężałość ogarnęła wszystkie moje członki, nie mogłem nawet poruszyć głową, by przekonać się, gdzie jestem. Powoli jednak moja pamięć uległa odbudowie, jak centrala telefoniczna po trzęsieniu ziemi; zaczynały się w niej pojawiać fragmenty moich perypetii: Celestino Iglesias, wejście do mieszkania w Belgrano, korytarze, zjawienie się Ślepej, pokój, w którym mnie zamknęła, ucieczka i w końcu zejście do Bogini. Wtedy dopiero zauważyłem, że pokój, w którym się znajduję, wypełniony jest takim samym fosforycznym światłem, jakie panowało w grocie i jakie otaczało Ślepa, kiedy ujrzałem ją w otwartych drzwiach.

Z wolna zdołałem rozejrzeć się po izbie; na widok ścian i sufitu, a zwłaszcza owej fosforescencji, zacząłem podejrzewać, że znowu jestem w tym samym pokoju, u Ślepej, skąd — jak mi się zdawało — uciekłem. Tymczasem i moje zmysły powracały jak gdyby do normalnego stanu i choć nie odważyłem się obrócić głowy ku drzwiom, odnosiłem wrażenie, że w otwartych drzwiach znowu pojawiła się Ślepa. Nie śmiejąc obrócić głowy, starałem się spojrzeniem z ukosa sprawdzić, czy to wrażenie odpowiada rzeczywistości i mimo że nie mogłem dostrzec szczegółów, ujrzałem hieratyczną postać kobiety. Znowu byłem w pokoju u Ślepej. Cała moja wędrówka po podziemiach i kloakach, mój długotrwały marsz w ogromnej jaskini i ta ostateczna wspinaczka do Bogini były więc tylko złudą, produktem magicznej sztuki Ślepej lub całej Sekty. Nie mogę tego oczywiście stwierdzić stanowczo, ale chociaż tę rozległą, spustoszoną równinę, owe tysiącletnie wieże i ów wspaniały posąg brałem raczej za koszmar, podczas gdy moje zejście do kanałów w Buenos Aires i marsz w błotnistym podziemiu zamieszkanym przez stwory miały siłę i precyzję fizyczną realnego przeżycia, to jednak pomyślałem, że również i tamto, owa pielgrzymka do Bogini nie była snem, lecz rzeczywistym przeżyciem. W danej chwili nie posiadałem jesz-

cze dostatecznie jasnego umysłu ani spokoju potrzebnego do przeanalizowania tych zdarzeń, ale teraz sądzę, że istotnie wszystko to działo się naprawdę i że nawet jeżeli wcale nie wychodziłem z pokoju Ślepej, jej magiczna moc sprawiła, że przeżywałem to wszystko nie ruszając się z miejsca, tak jak to się dzieje we wszystkich magiach kultur pierwotnych: ciało jest uśpione albo też wydaje się uśpione, dusza tymczasem przebywa w zaświatach. Czyż duszy nie przedstawiamy w postaci ptaka, który może lecieć w dalekie strony? Wymknąwszy się z więzienia, którym jest ciało i czas, ulatuje ku beczasowemu niebu, gdzie nie istnieje „przedtem” ani „potem” i gdzie wszystko, co później przydarzy się ciału, znajduje się już uwiecznione w posągach Niedoli i Klęski. Jeśli więc sen jest wędrówką duszy po obszarach wieczności, dla człowieka, który rozumie sny, każdy sen jest wróżbą lub zapowiedzią tego, co nadejdzie. Tak więc w tej mojej wędrówce dowiedziałem się podobnie jak Edyp z ust Tejrezjasza. Jaki koniec jest mi przeznaczony.

Czułem, że ta kobieta zbliża się do mojego łóżka. Powiadomiły mnie o tym raczej moje podrażnione zmysły niż jej zaledwie dosłyszalne kroki —• stąpała, jak gdyby była boso. Leżałem nieruchomo, jak skamieniały, z oczyma utkwionymi w sufit, mimo to wyczułem, że zbliża się do mnie w całej swej przewrotności. Przymknąłem oczy, jak gdybym w ten sposób pragnął uniknąć aktu, który miał nastąpić, mówiłem sobie: „Jest o trzy kroki ode mnie”, „już tylko dwa”, „jest już przy mnie”. I wtedy wyczułem obecność tej istoty u stóp mego łóżka. Nie chciałem otworzyć oczu, mimo to wiedziałem, że jest, że spogląda na mnie wyczekująco. Było to nie do zniesienia.

Ciekawa rzecz. Odnosiłem wrażenie, że ta kobieta przyszła do mnie na moje własne, nieświadome wezwanie. Jeszcze teraz nie umiem tego wytłumaczyć: to pewne, że byłem więźniem Sekty i że ta kobieta, z którą miałem połączyć się w najbardziej ponurym akcie kopulacji, stanowiła zapewne część lub początek Kary, na jaką mnie Sekta skazała. Pewne jest również, że nastąpił oto koniec długiego śledztwa, które z mojej własnej woli prowadziłem rozmyślnie i cierpliwie przez długie lata. Wydało mi się to ciekawym Przypadkiem podwójnego magnetyzmu: ukryte króle-

stwo Sekty przyciągało mnie, szedłem ku niemu bezwiednie jak lunatyk, lecz i ja sam poświęcałem przez długie lata wszystkie moje głęboko utajone siły, by w końcu przywołać do tego pokoju w Belgrano kobietę, której w jakiś sposób najbardziej w moim życiu pragnąłem.

Upajało mnie i jednocześnie paraliżowało złożone uczucie: mieszanina lęku i pragnienia, wstępu i zmysłowego pożądania. A gdy wreszcie zdołałem otworzyć oczy, ujrzałem, że oto stoi przede mną naga i ciało jej wydziela elektryczność, która wstrząsa mną i budzi moje zmysły.

W jaki sposób, za pomocą jakich środków stała się ta kobieta Narzędziem Kary, którą święta Sekta wymyśliła w niepamiętnych czasach, a teraz z okrucieństwem skierowała przeciwko mnie? Ze strachem, a zarazem z nadzieją, którą winien bym nazwać czarną (taka nadzieja mogłaby istnieć w piekle), patrzyłem, jak ta żmija zbliża się do mojego łóżka.

Jak widywałem niegdyś w tropikalne noce wyładowania elektryczne na wierzchołkach masztów, tak i teraz ujrzałem, że pokój wypełnia się fosforyzującym światłem, które promieniuje z koniuszków jej palców, z włosów, z rzęs, z drżących sutek jej piersi: jak gdyby potężny magnes przyciągał do siebie busolę z żywego ciała spoza mglistych majaczących obszarów.

Ta Czarna Żmija opętana przez diabły jest niewątpliwie obdarzona jakąś świętą wiedzą!

Nieruchomy, spokojny, niby ptak pod paraliżującym spojrzeniem, patrzyłem, jak z wolna i lubieżnie zbliża się do mnie. A gdy w końcu dotknęła palcami mojej skóry, było to jak wyładowanie elektryczne Wielkiej Czarnej Płaszczki, zamieszkującej głębiny morskie.

Niczym potężna błyskawica olśniła mnie nieomylna pewność: TO ONA! W tej krótkiej chwili w umyśle moim panował chaos, teraz jednakże, w oczekiwaniu śmierci, zastanawiam się nad tajemnicą tego wcielenia. Podobnie zapewne czyjaś władcza wola może przywołać duszę i wcielić ją w ciało medium, z tą tylko różnicą, że w tym wypadku nie tylko dusza, ale i ciało zostało przywołane.

Zastanawiam się też, czy to nie moja podświadoma wola cierpliwie wywoływała owo wcielenie, co Ślepa 348

■w swej przewrotności mi ułatwiła, albo czy, przeciwnie, ta Ślepa i cały jej Świat Ślepców nie był wspólną organizacją stworzoną wyłącznie na moje usługi, dla mojej rozkoszy, mojej namiętności i w końcu dla mojej zguby.

Lecz ta chwila przytomności umysłu była tylko błyskawicą, która zajaśniała nad przepaścią. Straciłem potem poczucie rzeczywistości, dokładną pamięć mojej prawdziwej egzystencji i ową świadomość, która ustala granice, w jakich człowiek powinien żyć, przeprowadza linię podziału pomiędzy niebem i piekłem, dobrem i złem, ciałem i duszą. A także granice między czasem i wiecznością: nie wiem bowiem i nigdy nie będę wiedział, jak długo trwała ta szatańska komedia, gdyż w tej jaskini nie było dnia ani nocy, wszystko działało się nieprzerwanie w ciągu jakiegoś niewiadomego okresu czasu.

Nie wątpię teraz, że istota ta posiadała władzę nad złymi siłami: ci, co nie budują rzeczywistości, umieją niekiedy tworzyć straszliwe majaki, poza czasem i przestrzenią lub w jakimś zmienionym czasie i w zniekształconej przestrzeni. Patrzyłem na katastrofy i na tortury, widziałem moją przeszłość i moją przyszłość (moją śmierć), czułem, że mój czas stanął dając mi złudzenie wieczności, przeżywałem epoki geologiczne i gatunki zoologiczne: byłem człowiekiem, rybą i żabą, byłem też wielkim prehistorycznym ptakiem. Teraz jednak wszystko to zmaćniało się i nie umiem wiernie odtworzyć moich przemian. Zresztą nie jest to potrzebne: zawsze powróci i z obsesją będzie się powtarzał ten sam potworny, urzekający, zmysłowy związek.

XXXVIII Nic zgoła teraz nie wiem, jak długo to wszystko trwało. W chwili przebudzenia (tak chyba należy to nazwać) czułem, że od tego nocnego świata dzieli mnie na wieki nieprzebyta otchłań: otchłań przestrzeni i czasu. Oślepli i głuchy jak człowiek, który się wynurza z głębiny morskiej, znalazłem się znowu pośród codziennej rzeczywistości. Tak była rzeczywista, że zadawałem sobie pytanie, czy jest prawdziwa. Kiedy bowiem moja świadomość odzyskiwała siły i mogłem już oczyma pochwycić kontury otacza-

jącego mnie świata i
stwierdzić, że znajduję się w
moim
pokoju w Villa Devoto, w
moim jedynym, dobrze mi
znanym pokoju, pomyślałem
ze strachem, że być może
zaczyna się znowu jakiś
niezrozumiały koszmar.
Koszmar ten ma zakończyć
się moją śmiercią, gdyż
pamiętam, że w tej
opętańczej magii ukazała mi
się
moja przyszłość w postaci
krwi i ognia. Dziwna rzecz:
zdaje mi się, że nikt mnie
teraz nie prześladowuje. Skoń-
czył się koszmar domu w
Belgrano. Nie wiem, jakim
sposobem jestem wolny,
znajduję się w moim
własnym
mieszkanu i nikt (chyba)
mnie nie pilnuje. Sekta jest
nieskończenie daleko.
Jak dostałem się do mego
domu? W jaki sposób
wypuścili mnie ślepi z
owego pokoju otoczonego
labi-
ryntem? Nie wiem. Wiem
tylko, że to wszystko zda-
rzyło się dokładnie tak, jak
opisałem. Łącznie i przede
wszystkim z owym ostatnim
ponurym dniem.
Wiem też, że mój czas jest
ograniczony i że śmierć
na mnie czeka. Dziwne to i
niezrozumiałe, że śmierć
oczekuje mnie niejako z
mojej własnej woli,
albowiem
nikt tutaj po mnie nie
przyjdzie, to ja sam pójde,
muszę pójść w to miejsce,
gdzie ma się spełnić
wróżba.
Pragnienie życia, rozpacz i
chytrość dyktowały mi
tysiące sposobów ucieczki.
Czyż można jednak uciec
przed przeznaczeniem?
Na tym kończę niniejszy
raport, schowam go tam,
gdzie Sekta nie zdoła go
odnaleźć.

Jest dwunasta w nocy. Idę
tam.
Wiem, że ona mnie
oczekuje.

CZĘŚĆ CZWARTA
NIEZNANY BÓG

W nocy 24 czerwca 1956 roku Marcin nie mógł usnąć. Prześladował go obraz Aleksandry idącej mu naprzeciw jak wtedy w parku, kiedy ją ujrzał po raz pierwszy. Potem bezładnie napływały wspomnienia chwil czułości, to znowu grozy, i znów widział zmierzającą ku niemu Aleksandrę, tę z pierwszego spotkania, tę baśniową, nie tę prawdziwą. Powoli morzyła go senność, wyobraźnia jego zaczęła ulatywać w kierunku owej nieokreślonej strefy przyćmienia i zarazem jasnowidzenia i opuszczając stopniowo plażę świadomości zanurzyła się w oceanie nocy. I oto zdało mu się, że w oddali słyszy melancholijne bicie dzwonów i jakieś niewyraźne jęki, które z kolei stały się wołaniem; czyjś głos powtarzał żałośnie, ledwie dosłyszalnie jego imię, a przy tym dzwony biły coraz gwałtowniej, aż rozdźwięczyły się z prawdziwą furją Niebo, to niebo ze snu, oświetlała krwawa luna pożaru. I ujrzał nagle, że w szkarłatnej ciemności sunie ku niemu Aleksandra z wykrzywioną twarzą i wyciągniętymi przed siebie ramionami, poruszając wargami, jak gdyby w udręce powtarzała bezgłośnie jego imię. „Aleksandro!” — wykrzyknął Marcin, budząc się ze snu. Drżąc zapalił światło i przekonał się, że jest sam w swoim pokoju.

Była godzina trzecia nad ranem.

Usiadł bezradnie, nie wiedząc, co myśleć i co zrobić. W końcu, coraz bardziej zdenerwowany, ubrał się, wybiegł na ulicę i popędził oo tchu do Olmosów.

A kiedy z daleka ujrzał na pochmurnym niebie odblask pożaru, nie miał już wątpliwości. Zrozpaczony dotarł biegiem aż do domu Olmosów i pośród cizby ludzi runął zemdlny na ziemię. Odzyskawszy przytomność w mieszkaniu jakichś sąsiadów, wrócił czym prędzej pod dom Olmosów, ale policja zdążyła już zabrać obydwie trupy, a strażacy czynili jeszcze starania, aby pożar nie rozprzestrzenił się poza mirador.

Pamięć Marcina zachowała z tej nocy pojedyncze, nie związane z sobą fakty: tylko ktoś niespełna rozumu może mieć takie pojęcie o przebiegu tragicznego zdarzenia. Zdaje się jednak, że kolejne wypadki przedstawiały się następująco:

Około godziny drugiej w nocy pewien człowiek, który schodził (jak to potem zeznał) ulicą Patricios w stronę Riachuelo, spostrzegł dym. Później okazało

„=ę. jak zwykle, że było kilku takich, co widzieli dym albo ogień i coś podejrzewali. Jakaś starucha mieszkająca w sąsiedniej ruderze zeznała: „Zle sypiam, poczułam więc zapach dymu i zwróciłam uwagę synowi, który w dzień pracuje, a śpi w tej samej izbie i ma ciężki sen, ale powiedział mi, żebym go zostawiła •w spokoju. I okazało się, że miałam rację” ■— dodała z dumą. „Większość ludzi, zwłaszcza starych ■— pomyślał Bruno — lubi chełpić się tym, że wywróżyli ciężką chorobę albo śmiertelny wypadek”.

Kiedy wyniesiono już zwłoki Aleksandry i jej ojca, a w rmradorze starano się ugasić pożar, policja wywiozła z domu starego don Pancha, owiniętego pledem, na jego własnym fotelu na kółkach. „A pomylenieć? A Justyna?” — pytali sąsiedzi. Ujrzeni wówczas, jak prowadzono siwowłosego mężczyznę o głowie w kształcie wydłużonej skuli; w rękę trzymał klarnet i zdawał się okazywać pewną wesołość. Co zaś do starej służącej, Indianki, to zachowała ona jak zwykle niewzruszone oblicze.

Kazano opróżnić ulicę. Paru sąsiadów pomagało strażakom i policji wynosić meble i ubrania. Sporo było przy tym zamieszania, można też było zauważyć u ludzi pewną euforię, jak zwykle, kiedy są świadkami zdarzenia, które na chwilę wyrzywa ich z szarej, pospolitej egzystencji.

Bruno nie stwierdził tej nocy nic innego, godnego specjalnej uwagi.

II

Następnego dnia Estera Milberg powiadomiła Bruna telefonicznie, że przeczytała właśnie w „La Razón” notatkę policyjną (dzienniki poranne nie zdążyły jeszcze zamieścić tej wiadomości). Bruno o niczym nie wiedział: Marcin błakał się otumaniony po ulicach Buenos Aires i nie dotarł jeszcze do jego mieszkania.

W pierwszej chwili Bruno nie wiedział, co począć. Potem, jakkolwiek było to zgoła niepotrzebne, pobiegł do Barracas, by ujrzeć dogasający pożar. Policjant zabronił zbliżyć się do domu. Spytał o starego Olmosa, °służącą, o pomyleńca.

Na podstawie tego, co mu opowiedział policjant, informacji otrzymanych później doszedł do wniosku- 35a

sku, że rodzina Acevedo, oburzona i przestraszona wiadomością z prasy wieczornej, podjęła w pośpiechu odpowiednie kroki. Sama wzmianka w dzienniku nie bardzo ich zaskoczyła, gdyż Acevedów nie mogło zaskoczyć nic, co tyczyło się tej rodziny szaleńców i degeneratów, wiadomość ta jednak powtarzana z ust do ust mogła wywołać niemały skandal i plotki na temat całej rodziny, choć z Olmosami łączyło ich tylko dalekie pokrewieństwo. Oni, ci bogaci i dostojni Acevedowie, którzy przez długie lata dokładali starań, żeby ta kłopotliwa gałąź rodziny [pozostawała w ukryciu (z tak dobrym skutkiem, że tylko nieliczni członkowie socjety w Buenos Aires wiedzieli o jej istnieniu, a przede wszystkim o tym pokrewieństwie), znaleźli się nagle zamieszani w taki skandal w kronice policyjnej. Toteż (myślał dalej Bruno) czym prędzej zabrali don Pancha, wujka Bebe i nawet samą Justynę, żeby zatrzeć wszelkie ślady i żeby dziennikarze nie mogli otrzymać jakichkolwiek danych od tych nieodpowiedzialnych istot. Ktoś bowiem, kto jak Bruno znał nienawiść Acevedów do owych pożałowania godnych poigrobowców wspańiałej przeszłości, musiał wykluczyć możliwość współczucia czy litości.

Tego wieczora, powróciwszy do domu, dowiedział się, że był u niego „ten chudy chłopiec”, jak mu z cienką wymówką oznajmiła Pepa (stała czyniła Bruną odpowiedzialnym za defekty jego przyjaciół), „który teraz, do tego wszystkiego, wygląda jak zagubiony”. Na owo „do tego wszystkiego” Bruno musiał się uśmiechnąć pomimo grozy sytuacji, gdyż wskazywało to na cały szereg defektów, jakie jego gospodyni kolejno wynajdowała w biednym Marcinie, zanim doszła do tej ostatniej nieszczęsnej kondycji „zagubionego”; wyrażenie to odpowiadało zresztą dokładnie istotnemu a przerażającemu stanowi jego umysłu; był jak drżące, przestraszone dziecko zagubione w nocy w lesie. Bruno nie zdziwił się, że Marcin go szukał. Pomimo że był tak skryty, iż nigdy nie wypowiedział do końca swego zdania o czymkolwiek, a tym bardziej o Aleksandrze, musiał jednak uciec się do niego, do jedyne go człowieka, który wziąłby na swe barki przynajmniej część jego udręki i udzielił mu może jakiegoś wytłumaczenia, pociechy czy oparcia. Bruno wiedział, rzecz jasna, jakiego rodzaju stosunek łączył Marcina

z Aleksandrą, nie iżby Aleksandra mu o tym mówiła (nie była zdolna do tego rodzaju wynurzeń), ale dlatego że ten chłopiec nieraz szukał u niego schronienia i ciszy, że czasem bąknął jakieś słowo o Aleksandrze, a zwłaszcza że, jak wszyscy zakochani, słuchał z nie-nasyconą zachłannością wszystkiego, co odnosiło się do umiłowanej istoty; nie wiedząc zgoła, że pyta i słucha człowieka, który w jakiś sposób również był zakochany w Aleksandrze (choćby to było jedynie złudne chwilowe odbicie tamtej, prawdziwej miłości do Georginy). Wiedząc czy też przeczuwając intuicyjnie, że Marcin utrzymywał (pewnego rodzaju stosunki z Aleksandrą (w odniesieniu do osoby Aleksandry wyrażenie „pewnego rodzaju” było nieodzowne), Bruno nie znał jednak szczegółów tej miłosnej przyjaźni, którą śledził ze zdumieniem: Marcin bowiem, mimo iż pod wieloma względami był młodzieńcem wyjątkowym, był właśnie młodzieńcem, nieomal młodzieniaszkiem, podczas gdy Aleksandra, tylko o rok starsza wiekiem, posiadała zatrważająco wielkie, tysiącletnie niemal doświadczenie.

Zdumienie to świadczyło o uporczywej, niewyczerpanej chyba świeżości umysłu Marcina (mówił sobie Bruno), gdyż dobrze wiedział (wiedział intelektem, a nie sercem), że nic z tego, co ludzkie, nie powinno nigdy wywoływać zdumienia, dlatego zwłaszcza, że — jak powiedział Proust — „pomimo” bywa zwykle jakimś nieuświadomionym „dlatego”, a więc właśnie owa przepaść dojrzałości umysłu i doświadczenia w brudach tego świata mogła niewątpliwie tłumaczyć przyjaźń takiej kobiety jak Aleksandra z chłopcem takim jak Marcin.

Po śmierci Aleksandry i po pożarze przeczucia Bruna z czasem miały okazać się trafne, w miarę jak wysłuchiwał maniackich i chaotycznych, a niekiedy szczegółowych relacji Marcina o jego stosunku do Aleksandry. Maniackość i chaotyczność tych wynurzeń nie wynikała z jakiejś choroby umysłowej Marcina, był on bowiem człowiekiem normalnym, ale nieprzytomna gmatwanina, jaką stanowił świat psychiczny Aleksandry, skłoniła go do paranoicznej niemal analizy, cierpienie bowiem spowodowane miłością z przeszkodami, zwłaszcza z przeszkodami niezrozumiałymi, bywa aż nadto wystarczającą przyczyną (myślał Bru-

aa0), ażeby człowiek skądinąd rozsądny myślał, czuł i działał jak szaleniec. Rzecz prosta, że owych wyznań Marcin nie czynił w pierwszą noc, zaraz po pożarze, kiedy zjawił się u niego otumaniony po wielu godzinach wafesania się ulicami Buenos Aires, lecz dopiero później, podczas następnych kilku dni i wieczorów, zanim wpadł na nieszczęsny pomysł rozmowy z Bordenavem,; w te dni i wieczory Marcin siedział przy nim milcząc niekiedy całymi godzinami, niekiedy zaś opowiadając bez przerwy, jakby zażył leku na mówienie prawdy lub też — aby ściślej to określić — leku, który z najgłębszych, hermetycznych stref istoty ludzkiej wyzwala gorączkowo tłoczące się obrazy. Jeszcze po latach wróci doń z dalekiego południa, z tą samą, tak człowiekowi właściwą (myśli Bruno), żądzą zdobycia jakiejś pamiątki po ukochanej istocie, jakichś szczątków ciała lub duszy, które tu pozostały: w starej, zniszczonej fotografii, w słowach, które kiedyś powiedziała komu innemu, we wspomnieniu jakiegoś wyrazu, który kto inny zapamiętał lub twierdzi, że zapamiętał, a nawet w owych drobnych przedmiotach, które tym sposobem nabierają symbolicznej, nadmiernej wartości (pudełko zapalek, bilet do kina); przedmiot ten lub to słowo czyni naówczas cuda: wskrzesza chociażby nietrwałą i rozpaczliwie nieuchwytną obecność ukochanej istoty, podobnie jak zapach perfum lub urywek melodii budzi drogie sercu wspomnienia; nie musi to być muzyka piękna i poważna, bywa to raczej byle jaka melodia, która w tamtych cudownych czasach wydała się nam śmiesznie pospolita, teraz jednak, uszlachetniona przez śmierć i wieczystą rozłąkę, staje się dla nas wzruszająco piękna.

— Bo przecież pan — pytał Marcin, podnosząc na chwilę głowę, którą dotąd uparcie trzymał schyloną ku ziemi, owym gestem zachowanym z młodości i zapewne z dzieciństwa, który jak odciski palców niezmiennie towarzyszy człowiekowi aż do śmierci — bo przecież pan ją również kochał, nieprawdaż?

Do takiego wniosku doszedł w końcu tam, na południu, po długich nocnych medytacjach! A Bruno wzruszył ramionami i milczał. Bo i co mu miał powiedzieć? Jak wytłumaczyć mu to wszystko o Georgmie i o powtarzaniu się uczuć z dzieciństwa? Przede wszystkim nie był nawet pewien, czy tak było, przy-

najmniej w tym znaczeniu, jak Marcin to sobie wyobrażał. Toteż nie dał odpowiedzi, a tylko spojrzawszy niezdeterminowanie na Marcina i pomyślał, że po kilku latach oddalenia, ciszy i samotnych rozmyślań tam, na pustkowiu, ten chłopiec o usposobieniu stoika musi jeszcze opowiedzieć komuś swoją historię, a może wciąż jeszcze, wciąż jeszcze ma nadzieję odnaleźć klucz do tragicznego a cudownego nieporozumienia, choć klucz taki, jeśli istnieje, jest zapewne równie niejasny i niezgłębiony, jak same wypadki, które ma wyjaśnić. Wszelako, jak mówił, w ową pierwszą noc po pożarze Marcin zachowywał się jak rozbitek, który utracił pamięć. Błąkał się po ulicach, a znalazłszy się twarzą w twarz z Brunem nie wiedział nawet, co mu powiedzieć. Widział, że Bruno pali papierosa, czeka, spogląda na niego, rozumie go, ale cóż? Aleksandra nie żyje, umarła, zginęła straszną śmiercią w płomieniach i nic już nie ma znaczenia, wszystko jest jakieś nie-realne. A kiedy zdecydował się odejść, Bruno ścisnął go za ramię i powiedział coś, czego dobrze nie rozumiał i czego w każdym razie nie mógł sobie przypomnieć. A potem znowu błąkał się jak lunatyk <po ulicach i wracał do miejsc, gdzie ona mogłaby się mu lada chwila ukazać.

Stopniowo jednak, podczas tych wizyt Marcina, dowiedział się Bruno z jego nieskładnych, gorzkich wyznań o wielu rzeczach. Marcin wyrzucał z siebie jak automat zdania bez związku, zdawać by się mogło, że w piasku na plaży omiatanej wiatrem szuka cennego śladu. Mało tego: szuka śladu ulotnej zjawy. Szukał klucza, ukrytego znaczenia. A Bruno mógł wiedzieć, musiał wiedzieć, znał przecież Olmosów od dziecka, Aleksandra rosła na jego oczach, a Fernando był jego przyjacielem lub czymś w tym rodzaju. Albowiem on sam, Marcin, nic z tego wszystkiego nie rozumiał, ani jej nieobecności, ani tych dziwnych przyjaciół, ani Fernanda. A Bruno tylko słuchał, rozumiał go i z pewnością dzielił jego ból. O najważniejszych sprawach opowiedział mu Marcin zaraz po powrocie z dalekich stron, w których się zaszły i kiedy za sprawą czasu cierpienie jak gdyby osiadło na dnie jego duszy: lecz przy ponownym spotkaniu z ludźmi i z przedmiotami nierozdzielnie związanymi z jego tragedią cierpienie "Wróciło i świeże wzruszenia na nowo zmały mu 357

umysł. I choć naówczas ciało Aleksandry uległo już zniszczeniu i stało się ziemią, ten chłopiec, który teraz był już prawdziwym mężczyzną, wciąż opętany był miłością i kto wie, jak długo jeszcze (chyba do śmierci) będzie ją żywił; według Bruna stanowiłoby to jakby dowód nieśmiertelności duszy.

„M u s z e wiedzieć” — mówił sobie Bruno z cierpką ironią. Oczywiście, że wiedział. Ale w jakim stopniu, jakim, rodzajem wiedzy? Cóż bowiem ■wiemy na pewno o ostatniej tajemnicy człowieka, choćby naj-, bliższego? Pamiętał Marcina z tej pierwszej nocy: wyglądał jak jedno z owych dzieci, których zdjęcia czasem pojawiają się w dziennikach; po trzęsieniu ziemi lub wykolejeniu pociągu siedzą z pustymi, nagle postarzałymi oczyma, na tobołku; taką władzę niszczycielską ma nieszczęście nad ciałem i duszą człowieka, że w ciągu godziny dokonuje tego, co troski, choroby i rozczarowanie przynoszą po latach. Na ten rozpaczliwy obraz nałożył potem inny, późniejszy, gdzie Marcin pojawia się jak inwalida, co z czasem sam iprzy pomocy kul dźwiga się sponad swoich własnych ruin, z dala od wojny, na której omal nie zginął, ale już nie ten sam, co przedtem, skoro zaciążyły na nim, na zawsze, doświadczenia grozy i śmierci. Widział go z opuszczonymi ramionami, ze spojrzeniem wbitym w jakiś punkt, zwykle poza głowę Bruna, na prawo. Zdawał się grzebać w pamięci z milczącą i bolesną zawziętością jak człowiek śmiertelnie ranny, który niezmieśnie ostrożnie usiłuje wyjąć z poszarpanego ciała zatrutą strzałę. „Jaki on samotny” — pomyślał wtedy Bruno.

— Nie wiem. Nic nie rozumiem — powtarzał Marcin. — To z Aleksandrą było...

Przerwał, nie kończąc zdania, podniósł głowę opuszczoną ku ziemi i spojrzał w końcu na Bruna, ale mimo to chyba go nie widział.

— Właściwie... — bełkotał szukając uparcie słów, jakby obawiał się, że nie odda dokładnie tego, „co było z Aleksandrą”, a co Bruno, o dwadzieścia pięć lat starszy, mógł łatwo uzupełnić powiadając, że „było cudowne i tragiczne”.

Wie pan... — szeptał ściskając boleśnie swe palce nie miałem jasnego pojęcia... nigdy nie rozumiałem...

Wyjął swój sławetny biały scyzoryk, obejrzał go, otworzył.

— Nieraz myślałem, że to było jak wybuchy ognia, jak...

Szukał porównania.

— Jak wybuchy ropy, tak jest... jak wybuchy ropy w ciemną noc... w burzliwą noc...

Znów skierował oczy na Bruna, ale urzeczoną tą wizją patrzył zapewne w swój własny wewnętrzny świat.

— Choć czasem — dodał po chwili namysłu — co prawda bardzo rzadko... zdawało mi się, że chyba wypoczywała przy mnie.

Wypoczywała (pomyślał Bruno) jak żołnierz, który podczas marszu przez nieznaną, mroczną okolicę kryje się pośród piekielnej strzelaniny w jamie czy w innym przypadkowym schronie.

— Nie mógłbym także określić, jakiego rodzaju uczucia...

Jeszcze raz podniósł oczy, ale tym razem rzeczywiście spojrzał na Bruna, jak gdyby prosił go o wytłumaczenie, a że Bruno milczał, opuścił je ponownie i zezął oglądać scyzoryk-

— Pewnie, to nie mogło trwać — szepnął. — Jak podczas wojny, kiedy żyje się chwilą... tak mi się zdaje... bo przyszłość jest niepewna... i zawsze straszliwa...

A polem wyznał mu, że nawet w samym miłosnym uniesieniu pojawiały się nieraz sygnały katastrofy. Było to tak, jak gdyby znajdował się w pociągu, którego maszynista nagle oszalał.

— Przerazało mnie to i jednocześnie kusiło — tłumaczył patrząc na Bruna.

I wówczas Bruno, czy żeby cokolwiek rzec. czy też żeby wypełnić pustkę, powiedział:

— Tak, rozumiem.

Ale co rozumiał z tego wszystkiego?

III —• Po śmierci Fernanda musiałem przebiec myślą nie tylko jego życie, ale i moje własne (opowiadał mi Bruno), jego egzystencja bowiem była przyczyną ogromnych wstrząsów w moim życiu, a także w życiu Georginy i wielu innych kobiet i mężczyzn. 359

Zanudzają mnie (pytaniami: „Pan, który go znałeś z bliska”. Ale słowa „znałeś” i „z bliska” w odniesieniu do Vidala są raczej śmieszne.

To prawda, że w trzech czy w czterech decydujących momentach przebywałem w pobliżu i znałem część jego osobowości; tę, co jak księżyc zwrócona była w naszą Stronę. Prawdą jest również, że posiadam jakieś hipotezy co do jego śmierci, ponieważ jednak mogę się mylić, nie czuję się skłonny ich wyjawiać.

Nagie fakty (pewne osoby, które Vidal z ironią nazywał realistami, sądzą, że owe sławetne „fakty” rozwiążą do końca zagadkę, podczas gdy na ogół tworzą one tylko jej powierzchnię), otóż fakty znają obecnie wszyscy i nic nie mogę do nich dodać; zresztą nawet nie warto.

Powiadają niektórzy: „Vidal był szubrawcem”. No tak, w pewnym znaczeniu tak było Mało tego: w pewnym sensie był ostatnim szubrawcem. Inni, a tych jest większość, wzruszają tylko ramionami i powiadają, że był szaleńcem. I to również zawiera część prawdy. Nie zapominajmy, że w jego rodzinie było kilku dziwnych osobników, jak kuzyn Bebe Olmos, jak cioteczna prababka Scholastyka, jak stryj Carlos Alberto (który, mając czterdzieści lat, położył się do łóżka i leżał aż do śmierci przez trzynaście lat czytając gazety i rozmyślając, nic, tylko rozmyślając, gdyż twierdził dokumentując to gazetą, że nic nie jest warte wysiłku podniesienia się z łóżka), jak owa Teresa wreszcie, co życie spędzała na pogrzebach i po zakrystiach i zawiadamiała o chorobach i nieszczęściach. Sądzę jednak, że byłoby ciężką pomyłką uważać Fernanda za szaleńca w pospolitym znaczeniu tego słowa, chociaż prawdą jest, że miewał w życiu długie okresy, kiedy postępował jak obłąkany. Ja powiedziałbym raczej, że w jego osobowości było coś łamliwego, coś niestałego, a sądzę, że tego rodzaju umysł może jako tako przetrwać w czasach spokojnych, lecz w chwilach krytycznych jak tamte następują w nim zmiany, mąci się. *B* nawet w końcu ulega zniszczeniu dając świadectwo tragicznym przeżyciom

Nie znam się dobrze na psychiatrii i nie wiem, czy tego rodzaju stan należy nazwać szaleństwem, bo różni się od tego, co zwykliśmy za szaleństwo uważać, ale zdaje mi się, że określenie to jest trafne, gdyż osobnik 360

taki żyje z daleka od codziennej zwyczajnej rzeczywistości, a przebywa w jakiejś krainie nam obcej, poza granicami naszego poznania, naszych zasad i naszych dążeń.

Rozważywszy to wszystko, nie mogłem się dziwić niczemu, co się z nim działo. To pracował w cyrku jako klaun, to znowu był sutenerem w domu publicznym i dawał się utrzymywać przez kobiety. Jeśli można było opisać człowieka szeregiem pojedynczych słów, musiałbym powiedzieć, że Fernando był przewrotny, wyuzdany, cyniczny, sarkastyczny, chępliwy, że był szubrawcem skłonny do chaosu i do szaleństwa. Badając jednak potem te luźne słowa, często ze sobą sprzeczne (czy na przykład można jednocześnie być wyrachowanym i szalonym), i starając się odtworzyć w ten sposób domniemanego Fernanda, zdołamy jedynie wywołać marę niewiele mającą wspólnego z poszukiwaną przez nas istotą z krwi i kości.

Jak wspominałem, znalazłem się blisko Fernanda w paru momentach jego życia: w naszym dzieciństwie w Capitan Olmos, do 1923 roku, dwa lata później w domu w Barracas, kiedy umarła jego matka i dziadek go tam zabrał, potem jako młodzieńcy braliśmy udział w ruchu anarchistycznym w 1930 roku i wreszcie w ostatnich latach, kiedy spotykałem go przelotnie. Lecz w tym ostatnim okresie był to człowiek zupełnie obcy w moim życiu i chyba daleki od życia wszystkich innych ludzi (oczywiście nie mówię o Aleksandrze, ma się rozumieć, że nie). Był już chyba zdecydowanym szaleńcem, człowiekiem stojącym poza tym wszystkim, co uważamy, może zbyt prostodusznie, za „świat”. Pamiętam jeszcze dzień, niedawno temu, kiedy spotkałem go na ulicy Reconquista; szedł jak lunatyk i jakby mnie nie widział albo udawał, że mnie nie widzi; jeśli idzie o niego, to możliwe jest zarówno jedno, jak i drugie, a przecież nie widzieliśmy się przeszło dwadzieścia lat i każdy normalny człowiek byłby się zatrzymał i porozmawiał. Jeśli mnie zauważył, co jest zupełnie możliwe, to dlaczego udawał, że mnie nie widzi? Gdy idzie o Vidala, nie można na to pytanie dać jednoznacznej odpowiedzi. Jako jedną z możliwych wersji można przyjąć, że przechodził -właśnie ostry atak manii prześladowczej i chciał 361

uniknąć spotkania ze mną, nie pomimo to, że byliśmy starymi znajomymi, ale właśnie dlatego.

Jednak wielkie obszary jego życia są mi absolutnie nie znane. Wiem oczywiście, że jeździł po wielu krajach, choć w odniesieniu do Fernanda bardziej właściwe byłoby powiedzieć, że „uciekał” do wielu krajów. Istnieją ślady tych podróży, tych poszukiwań. O jego rozjazdach wiedzą niektóre osoby, które go widziały lub którym o nim mówiono: Marta Mosquera spotkała go pewnego razu w „Dóme”, Wilcock spotkał go przy obiedzie w jakiejś restauracji na piazza Spagna; kiedy zauważył, że go rozpoznano, zakrył się gazetą i udawał, że czyta ją z bliska jak krótkowidz[^] Julio Bayce potwierdził pewien ustęp z jego raportu: spotkał go w kawiarni „Tupi Namba” w Montevideo. I to wszystko. Nie znamy szczegółów jego podróży i ich kolejności, a już zupełnie nic nie wiemy o owych ekspedycjach na wyspy Oceanu Spokojnego i do Tybetu. Gonzalo Rojas opowiedział mi pewnego razu, że mówiono mu kiedyś o jakimś Argentyńczyku, który kręcił się po Valparaiso i czynił starania, by zaokrętować się na szkuner kursujący co jakiś czas do wyspy Juan Fernandez; na podstawie jego spostrzeżeń i moich uwag doszliśmy do wniosku, że był to Fernando Vidal. Czego szukał na tej wyspie? Wiemy, że związany był z teozofami, spirytystami i ludźmi zajmującymi się czarną magią; ale świadectwo tego rodzaju osobników należy uważać za problematyczne.

Ze wszystkich tych niejasnych epizodów za jedyne wiarygodne można by od biedy uważać jego spotkanie z Gurdjieffem w Paryżu, a to z powodu awantury, w jaką się z nim wdał, i z powodu konsekwencji policyjnych.

Powoła się pan zapewne na jego pamiętnik, na ów słynny raport. Ja jednak sądzę, że nie można przyjmować go za fotograficzny dokument pierwotnych faktów, chociaż należy go uważać za autentyczny w głębszym znaczeniu. Odślania on jak gdyby chwile jego przywidzeń, jego majaczeń, a ściśle biorąc obejmowały one cały ostatni okres jego istnienia, czas, kiedy zamykał się w odosobnieniu lub znikał. Czytając te strony odnosiłem wrażenie, że Vidal zanurzał się w czeluście piekła i machał przy tym chusteczką na pożegnanie; są to niby majaczące, pełne

ironii słowa pożegnania, a może rozpaczliwe wołania o pomoc, zaciemnione i przytłumione przez jego chępliwość i dumę.

Lecz i ten pamiętnik niewiele nam mówi; ogromne połacie jego życia pozostają nieznane. Możemy oczywiście snuć pewne domysły lub wyobrażać sobie pewne fakty. Ale taka rekonstrukcja posiadać będzie — jak każdy odtworzony żywot ludzki — nieuniknione braki: będzie to hipotetyczne i do pewnego stopnia urojone zmartwychwstanie człowieka, który kiedyś żył własnym życiem, co oznacza, że w najgłębszej swej istocie był zagadkowy i niepoznawalny.

Daleki więc jestem od tego, żeby rościć sobie pretensje do znajomości tego człowieka, nie potrafiłbym też uchwycić sensu jego życia: niechaj każdy czyni to na swój własny rachunek, na podstawie owych sławetnych faktów, i niechaj osądzi, jeżeli czuje się zdolny (a któż nie czuł się kiedyś zdolny do tego?) osądzać życie swych bliźnich, ważąc je na zwykłe do tych celów używanej niedokładnej wadze.

Muszę przyznać, że czuję niekłamana potrzebę mówienia o Fernandzie. Może jest to ukryta potrzeba poznania go. W swoim życiu należał on bowiem do tych ludzi, których myśli i namiętności stanowią bodziec dla wielu innych. Niejeden świadomie lub nieświadomie działał pod jego wpływem, godził się z nim albo go zwalczał (gdyż korzystamy też z nieprzyjaciół), ale zawsze z nienawiścią lub urazą. Jeśli idzie o mnie, to sądzę, że zawdzięczam mu wiele ważnych momentów w moich własnych poszukiwaniach, znaczną część moich myśli, a nawet takie jego charakterystyczne wyrażenia, jak „niesamowity” i „zagadkowy”. Ale u niego myśli te były mgliste i demoniczne, jakby zmacone przez wizje i sprzeczne, prawie zawsze piekielne namiętności; nie istniała u niego myśl w stanie czystym, platonicznym; myśl, którą dla jej jasności, przejrzystości i ścisłości porównujemy często z diamentem; przeciwnie, u Vidala byliśmy świadkami geologicznego kataklizmu, kiedy w ogniu i pod ciśnieniem węgiel przekształca się w diament. A potem my, stojący opodal, zagarnialiśmy dla siebie któryś z kryształów zrodzony w jego duszy kosztem nie wiadomo jakich cierpień i nie zauważaliśmy, że kryształy te, mimo że lśniły jak diamenty, nie były już tym sa-

mym, czym były w nim, właśnie dlatego że zostały wydobyte z chaosu, z rozżarzonej magmy, w której skład wchodziły.

Pragnąłbym usilnie nie poprzestawać na uogólnieniach, a podać panu pewne konkretne epizody z historii Fernanda, przynajmniej tego Fernanda, którego znałem. Chciałbym opowiedzieć, jak poznaliśmy się w dzieciństwie, jak byliśmy obaj zakochani w jego matce Annie Marii; i jak po śmierci Anny Marii, już jako dorośli, zakochałem się w Georginie, niezwykle do niej podobnej, bo choć była tylko siostrzenicą Anny Marii, zachowała wszystkie jej rysy fizyczne i duchowe, w każdym razie znacznie bardziej wiarogodnie niż Fernando (u którego przeważały brutalne rysy jego ojca) albo po latach Aleksandra (która fizycznie podobna była do babki, ale duchowe jej cechy pochodziły wprost od Fernanda i od ojca Fernanda).

Staram się opowiedzieć to wszystko od początku, ale raz po raz przyłapuję się na uogólnieniach. A nie mógłbym nawet w moim własnym życiu znaleźć niczego, co miałoby jakieś znaczenie, a co w jakiś sposób nie łączyłoby się z burzliwym życiem Fernanda.

Jego umysł wciąż jeszcze panuje nad moim, nawet po jego śmierci. Mniejsza o to, nie mam zamiaru bronić się przed jego myślami, które zbudowały i zburzyły moje życie, nie burząc jego własnego: był on jak owi eksperci od materiałów wybuchowych, co umieją uzbroić i rozbroić bombę. Nie będę więc miał z tego powodu skrupułów, postaram się też nie robić niepotrzebnych ubocznych uwag. Z drugiej strony nazywam sprawiedliwość, by nie przyznać, że mnie przewyższał. Szacunek mój dla niego był rzeczą tak dalece naturalną, że czułem ulgę i pewną rozkosz w uznawaniu jego wyższości. Niemniej jednak nigdy go nie kochałem, chociaż podziwiałem go często. Nie cierpiałem go, ale nigdy nie był mi obojętny. Należał do tych, obok których nie sposób przejść obojętnie: momentalnie przyciągną nas lub odepchną, a najczęściej i jedno, i drugie równocześnie.

Była w nim jakaś siła magnetyczna, która mogła przyciągać albo odpychać, a kiedy w strefę jej działania wchodził ktoś skłonny do rozmyślań i chwiejny jak ja, doznawał wstrząsu jak mała busola, gdy dostanie się w strefę burz magnetycznych. W dodatku

był to osobnik zmienny: z najwyższego zapału przechodził w najgłębszą depresję. To była jedna z setek jego sprzeczności. Rozumował z żelazną logiką, a raptem zaczynał bredzić zachowując przy tym pozory ścisłości i dochodził w końcu do nieprawdopodobnych nonsensów, które jednakże jemu samemu wydawały się normalnym i słusznym wnioskiem.

Przed chwilą błyskotliwy rozmówca, nagle pogrążył się w milczeniu i nikt nie odważył się skierować doń słowa. W charakterystyce jego wymieniłem, zdaje się, słowo „wyuzdany”, a niewątpliwie były w jego życiu okresy, kiedy nagle stawał się najbardziej surowym ascetą. Czasami zagłębiał się w kontemplacjach, kiedy indziej był niesłychanie czynny.

Widywałem go w dzieciństwie w Capitan Olmos, kiedy na bezbronnych zwierzętach popełniał straszne okrucieństwa, a potem widziałem go w scenach czułości nie do pogodzenia z tamtymi. Czyżby udawał? Czy były to przedstawienia urządzone dla mnie, oburzonego jego cynizmem? Nie wiem. Chwilami przyglądał się sobie z zachwytem jak Narcyz, aż do obrzydzenia, i natychmiast potem wyrażał o sobie najbardziej pogardliwe zdanie. Bronił Ameryki, to znowu naśmiewał się z jej obrońców.

Gdy ktoś zachęcony jego sarkastycznymi uwagami i powiedzonkami na temat naszych dostojników ośmielił się dodać choćby słówko, Fernando natychmiast zmieniał front i z kolei miażdżył ironią swego rozmówcę.

Był więc zupełnym przeciwieństwem człowieka zrównoważonego albo po prostu takiego, który według opinii ogółu zasługuje na miano „człowieka”, jeśli przyjmiemy, że różnica między „człowiekiem” a „osobnikiem” polega na pewnej hartowności, na wytrwałości i powiązaniu myśli i uczuć. Nic podobnego w nim nie było, prócz powiązania ciągłych jego obsesji, które cechowała rygorystyczna ścisłość. Był zupełnym przeciwieństwem filozofa, to jest człowieka, który myśli i konstruuje pewien system w sposób harmonijny jak budowlę; był on raczej terrorystą myśli, pewnego rodzaju antyfilozofem. Nawet i twarz jego nie była

„Sdy taka sama. Przyznam się, że zawsze miałem wrażenie, iż mieszka w nim kilka rozmaitych osób. A choć niewątpliwie był lajdakiem, ośmielię się twier-

dzić, że z pewnością posiadał także swego rodzaju czystość, nazwijmy ją czystością piekielną. Był, że się tak wyrażę, świętym piekielnym. Sam słyszałem, jak powiedział raz, że w piekle, podobnie jak i w niebie, istnieją liczne hierarchie, poczynając od małych i średnich grzeszników (nazwał ich drobnomieszczanami piekła), a skończywszy na wielkich, przewrotnych a rozpaczliwych czarnych potworach, posiadających prawo zasiadania po prawicy Szatana; być może, że nie mówiąc tego jasno wydawał w tej chwili sąd o sobie samym. Czynniki, które oddalały go od normy, mogły być bezsprzecznie z jednej strony dziedzictwo po ojcu, z drugiej zaś fakt, że rodzina Olmosów była nieco ekscentryczna i wynaturzona (co prawda w starych rodzinach argentyńskich jest to nierzadko cechą wrodzoną). Ta zdegenerowana rodzina sprawiała wrażenie, że składa się z upiorów albo z roztargnionych lunatyków, co nie odczuwają, nie słyszą i nie rozumieją otaczającej ich twardej rzeczywistości; rzecz ciekawa i trochę śmieszna, że wychodziło im to w sposób paradoksalny na korzyść, gdyż przekraczali najtwardsze mury rzeczywistości, jak gdyby ich wcale nie było. Fernando jednak nie we wszystkim był reprezentantem tej rodziny, miewał bowiem nagłe napady szalonej energii, jakkolwiek używał jej zawsze dla negacji i destrukcji; cechę tę odziedziczył zapewne po ojcu, umysłowo mniej niż przeciętnym, lecz obdarzonym jakąś gwałtowną a ponurą siłą, która przeszła na syna, jakkolwiek ten nienawidził go i nie chciał go uznać; być może dlatego właśnie, iż w sobie samym odnajdywał cechy tego człowieka, do którego miał tak wielki wstręt, że w dzieciństwie usiłował go otruć. W starej rodzinie ten zastrzyk krwi Vidala spowodował u Fernanda, a później u Aleksandry gwałtowną reakcję, jak —• przypuszczam — zdarza się to u pewnych schorzałych lub słabych roślin, u których pod wpływem złośliwych bodźców zewnętrznych rozwija się potwornie żywotny rak i zżera je w końcu całkowicie. Tak właśnie stało się z tym starożytnym rodem, szlachetnym i z powodu braku jakiegokolwiek poczucia rzeczywistości aż wzruszająco śmiesznym. Wydaje się nieprawdopodobne, że dotychczas żyli w owych ruinach domu w Barracas, gdzie mieściła się niegdyś rezydencja ich przodków, teraz gnieźdząc się w jej

ostatnich mizernych szczątkach, pośród fabryk i ruder, a pradziadek Pancho drzemał tam i wzdychał do dawnych cnót zniweczonych przez trudne dni naszej epoki, podobnie jak brutalny łoskot niweczy prostą, naiwną balladę o minionych latach.

I ja również (kochałem się na swój sposób w Aleksandrze, dopóki nie pojąłem, że prawdziwą miłość żywiłem do jej matki, Georginy, a kiedy ona mnie odtrąciła, przelałem uczucie na jej córkę. Z czasem zrozumiałem swą omyłkę i wróciłem wówczas do mojej pierwszej (nieszczęśliwej) miłości; sądzę, że potrwa ona chyba do śmierci Georginy, a więc dopóty, dopóki będę miał choć najslabszą nadzieję, że pozyskam ją dla siebie. Zdziwi się pan pewnie, ale wbrew temu, co myśli Aleksandra albo udaje, że tak myśli, Georgina dotąd żyje. Aleksandra przy swym usposobieniu i swoim sposobie pojmowania świata miała niemało powodów, aby nienawidzić matki, i niejeden powód, by uważać ją za zmarłą. Muszę jednak od razu wyjaśnić, iż na przekór temu, co pan mógłby teraz przypuścić, Georgina jest kobietą wielkiej dobroci, niezdolną skrzywdzić nikogo, tym bardziej własnej córki. Dlaczego więc Aleksandra tak bardzo jej nienawidziła, że od dziecka pragnęła jej śmierci? I dlaczego Georgina żyła z dala od niej i w ogóle z dala od wszystkich Olmosów? Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć na te pytania, a także na kilka innych, które nasuną się jeszcze w związku z tą rodziną, co tak zaciążyła na moim życiu, a obecnie na życiu tego chłopca. Przyznam się, że postanowiłem nie mówić panu nim o mojej miłości do Georginy, bo... no cóż... powiedzmy, że nie lubię mówić o moich osobistych zmartwieniach. Ale widzę teraz, że nie zdołam naświetlić pewnych zaułków osobowości Fernanda, jeżeli nie opowiem chociaż powierzchownie o Georginie. Czy powiedziałem już panu, że jest ona bliską krewną Fernanda? Otóż jest ona córką Patricia Olmosa, a siostrą Beba, tego pomyleńca z klarnetem. Anna Maria, raatka Fernanda, była siostrą don Patricia, rozumie Pan? A więc Fernando i Georgina byli kuzynostwem Pierwszego stopnia, a poza tym, co najważniejsze, Georgina była zadziwiająco podobna do Anny Marii frie tylko pod względem fizycznym, jak Aleksandra, ale zwłaszcza duchowo: stanowiła jak gdyby kwintę-

sencję rodziny Olmosów, bez domieszki gwałtownej a szkodliwej krwi Vidala. Była subtelna i nieśmiała, dobra i trochę nierealna, pełna kobiecości i bardzo delikatnie zmysłowa. Co się tyczy jej stosunku do Fernanda...

Wyobraźmy sobie piękną kobietę, która pociąga nas swą uduchowioną urodą, swoją pełną wyrazu powagą, ale wykorzystywana jest przez osobnika mocnego i ponurego jako medium czy też przedmiot eksperymentu hipnozy albo przekazywania myśli.

Każdy z nas oglądał kiedyś podobne widowisko i Y/idział, jak medium automatycznie wykonuje wszelkie rozkazy, jak posłuszne jest każdemu spojrzeniu hipnotyzera. Każdy z nas zauważył puste jak u ślepego spojrzenie ofiary takiego eksperymentu. Wyobraźmy sobie, że mamy nieodparty pociąg do tej kobiety, a do pewnego stopnia i ona w przerwach, kiedy czuwa i jest w pełni świadoma, okazuje nam niejaką skłonność. Cóż jednak możemy zrobić, kiedy ona pozostaje pod władzą hipnotyzera? Możemy tylko smucić się i rozpaczać.

Otóż to właśnie przydarzyło mi się z Georgią. Nieliczne były te wyjątkowe chwile, kiedy złośliwa moc zdawała się ustępować, a wówczas (ach, te cudowne, przelotne chwile!) ona płacząc kryła głowę na mojej piersi. Lecz jakże niepewne były te sekundy szczęścia! Wkrótce powracał stan odurzenia, a wtedy nie było rady: na próżno poruszałem rękami przed jej oczyma, przemawiałem do niej, ujmowałem jej dłoń; ona nie widziała mnie, nie słyszała ani nawet nie odczuwała mojej obecności.

A Fernando? Czy kochał ją? Jaką miłością? Nie mógłbym panu na to odpowiedzieć. Przede wszystkim sądzę, że on nigdy nikogo nie kochał. Poza tym posiadał tak wielką świadomość swojej wyższości, że nawet nie był zazdrosny; co najwyżej widząc, że ktoś ją adoruje, czynił ledwo dostrzegalny gest ironii lub pogardy. Wiedział zresztą, że wystarczyło najmniejsze jego poruszenie, ażeby udaremnić wszelki rozwój uczucia, jak wystarczy uderzenie palcem, aby zburzyć domek z kart, który budowało się z trudem, niemal wstrzymując oddech. A ona zdawała się czekać z niepokojem na ten gest Fernanda jak na największy dowód jego miłości.

*

Nie było rady. Pamiętam na przykład, jak Fernando się ożenił. Ale pan przecież o tym oczywiście nie wie. I znowu się pan zdziwi. Ożenił się, i to nie z Georginą.

Ale po namyśle trzeba przyznać, że byłoby dziwne, gdyby się z nią ożenił, a jeżeliby to zrobił, dopiero to byłoby niepojęte. Nie, z Georginą utrzymywał stosunki potajemnie, gdyż w owym czasie wstęp do domu Olmosów był mu wzbroniony i nie wątpię, że don Patricio przy całej swej dobroci byłby go zabił. A kiedy Georginą urodziła córkę... ach, za długo musiałbym o tym mówić, a zresztą nie miałyby to sensu, wystarczy powiedzieć, że opuściła dom; przede wszystkim z nieśmiałości i wstydu, bo ani don Patricio, ani jego żona Maria Helena nie byli zdolni postąpić z nią brutalnie; mimo to poszła sobie, znikła krótko przed urodzeniem Aleksandry i mógłbym chyba powiedzieć, jak się to potocznie mówi, że znikła z powierzchni ziemi. Zbyt daleko zawiodłoby mnie opowiadanie, dlaczego rozstała się z Aleksandrą, kiedy ukończyła ona dziesięć lat, dlaczego dziewczynka zamieszkała u dziadków w Barracas, dlaczego Georginą nigdy już tam nie wróciła, ale może pan to po części zrozumie, jeśli przypomnę o śmiertelnej nienawiści Aleksandry do matki, wzmagającej się w miarę, jak dorastała. Powróćmy jednak do tematu: mówiłem o ożenku Fernanda. Niejeden zdziwiłby się, że ten mihilista, ten terrorysta moralny, naśmiewający się z wszelkich uczuć i z mieszczańskich pojęć, mógł się ożenić. Jeszcze bardziej zdziwiłby się, gdyby wiedział, jak się ożenił... I z kim... Była to panienska szesnastoletnia, bardzo piękna, o wielkiej fortunie. A Fernando ogromnie lubił kobiety piękne i zmysłowe i równie ogromnie nimi pogardzał; skłonność tę wykazywał zwłaszcza wobec bardzo młodych. Szczegółów nie znam, bo wtedy go nie widywałem, a choćbym go i widywał, także niewiele znałbym szczegółów, bo człowiek ten potrafił wygodnie żyć na dwóch lub trzech różnych płaszczyznach jednocześnie. Mówiono tu jednak — ale Rio było to być wątpliwe, jak wszystko, co odnosiło się do uczynków i do myśli Fernanda — że miał na oku Jttajątek panny i że ten komediant oczarował małą całkowicie. Mówiono też, że Fernando miał stosunek z jej matką (jedni mówili, że przed małżeństwem, 369

inni, że w czasie), z czterdziestokilkuletnią polską Żydówką z pretensjami intelektualnymi, nie bardzo zgodnie żyjącą z mężem, niejakim panem Szenfeldem, właścicielem fabryk włókienniczych. Krążyły plotki, że w czasie kiedy Fernando utrzymywał stosunek z matką, córka zaszła w ciążę i wobec tego „nie było innej rady, jak się ożenić”. Kiedy mi to opowiedziano, mocno się uśmieiałem, tak komiczne były te słowa w zastosowaniu do Fernanda. Niektórzy z informatorów, uważający się za bardziej niż inni powołanych, gdyż w domu w San Isidro grywali w kanastę, twierdzili, że pomiędzy aktorami tej groteski dochodziło do burzliwych scen zazdrości i do pogróżek i że — co również wydawało mi się szczególnie śmieszne — Fernando twierdził wówczas, że nie mógłby ożenić się z panią Szenfeld, gdyby się rozwiodła, bo sam pochodzi ze starego katolickiego rodu, że natomiast jego obowiązkiem jest ożenić się z jej córką, z którą miał stosunek.

Domyśli się pan zapewne, że mnie, który tak dobrze znałem Fernanda, plotki te mogły co najwyżej dostarczyć pewnego rodzaju bolesnej rozrywki; rzecz jasna, że zawierały w sobie część prawdy, jak każda najbardziej fantastyczna bajka. W każdym razie faktem jest, że Fernando ożenił się z szesnastoletnią żydowską dziewczyną, że przez kilka lat korzystał z pięknego domu w Martinez, podarku pana Szenfelda; że roztrwonił pieniądze, otrzymane zapewne w posagu, a w końcu i sam dom, i wtedy porzucił tę małą.

Tak wyglądają fakty.

Ich interpretacja i plotki wokół nich nadawałyby się do szczegółowych rozważań. Nie od rzeczy chyba będzie powiedzieć, co o tym myślę, gdyż zdarzenia te rzucają i pewne światło na osdbę Fernanda, choćby na tyle, na ile istotę diabła może wyjaśnić znajomość kilku jego beczelnych, tragikomicznych kawałów. Ciekawa rzecz: pierwszy raz wpadło mi teraz na myśl wyrażenie „tragikomiczny” w odniesieniu do Fernanda, ale myślę, że użyłem go odpowiednio. Fernando był osobistością do gruntu tragiczną, ale w życiu jego zdarzały się momenty pełne ponurego humoru. Na przykład cała ta mętna sprawa jego ożenku: z pewnością znakomicie sam się bawił, dając upust swemu 370

czarnemu humorowi i urządzając piekielnie śmieszne widowisko. Na przykład jego powiedzonko powtarzane przez damy grające w kanastę: że pochodzi z katolickiej rodziny i że z tego powodu nie może ożenić się z rozwódką. Słowa te były podwójnie bezczelne, nie dość bowiem, że kpił sobie ze swej katolickiej rodziny i katolicyzmu w ogóle, z wszelkich zasad i podwalin społeczeństwa, ale miał czelność powiedzieć je matce dziewczyny, z którą także miał stosunek. Ow sposób mieszania tego, „co uchodzi”, z nieprzyzwoitością był jedną ze specjalności Fernanda. Tak samo zdanie, które, jak mówią, wypowiedział w celu zatrzymania dla siebie pięknego domu w Martinez: „Porzuciła rodzinę”. A tymczasem ta mała uciekła chyba przerażona albo — co bardziej prawdopodobne — on sam ją wypędził przy pomocy jakiejś diabelskiej sztuczki. Jedną z jego ulubionych rozrywek było przyprowadzanie do domu swoich kochanek i przekonywanie żony (co do tego posiadał moc niemal nieograniczoną), że powinna je przyjmować i ugaszczać; niewątpliwie jednak przesadzał w tych eksperymentach, które miały na celu zniechęcenie małej i, jak tego oczekiwał, doprowadziły w końcu do jej ucieczki z domu.

W jaki sposób udało mu się utrzymać dom w swoich rękach, tego nie wiem, ale przypuszczam, że potrafił załatwić to z matką (która nie przestała go kochać, a więc była zazdrosna o córkę) oraz z panem Szenfeldem. W jaki sposób ten człowiek mógł pozyskać przyjaźń męża swojej kochanki, w jaki sposób potrafił wykorzystać tę przyjaźń czy też słabość do tego stopnia, że szczywany kupiec podarował wystawny dom osobnikowi, który nie tylko był kochankiem jego żony, ale w dodatku unieszczęśliwił jego córkę, wszystko to pozostanie na zawsze jedną z tajemnic niezrozumiałej indywidualności Vidala. Jestem jednakże pewien, że dla tych celów musiał przeprowadzić nader delikatną operację, nie inaczej, niż postępuje makiażeliczny władca wobec partii opozycyjnych skłóconych między sobą. Moja koncepcja jest następująca: Szenfeld nienawidził żony, która zdradzała go nie tylko z Fernandem, ale przedtem jeszcze z jego współnikiem, niejakim Shapiro. Odczuwał zapewne żywą satysfakcję dowiedziawszy się, że ktoś poniżył i skazał 371

na cierpienie tę chełpliwą intelektualistkę, co zawsze nim pogardzała; od żywej satysfakcji brakowało tylko jednego kroku do podziwu, a nawet afektu, zwłaszcza że Fernando miał talent uwodzenia, kogo tylko ze-
chciał, czemu sprzyjał zupełny brak szczerości i uczci-
wości; albowiem człowiek szczerzy i uczciwy przy ca-
łej przyjaźni, jaką żywi dla drugiej osoby, musi przy
niejednej sposobności okazać się szorstki, jak to bywa
między ludźmi nawet najlepszymi, i nie potrafi zdo-
być się na absolutny zachwyt, do czego zdolny jest
tylko cynik i kłamca; kłamstwo zawsze milsze jest
człowiekowi niż prawda, prawda bowiem ujawnia pew-
ne niedoskonałości, a tych nie brak nawet istotom
najszlachetniejszym, którym chciałoby się dogodzić
i sprawić przyjemność.

Ponadto pan Szenfeld odczuwał zapewne jeszcze
większą satysfakcję, kiedy się przekonał, że jego żona
cierpi z powodu zranionej dumy starzejącej się ko-
biety, którą kochanek zdradza z młodą, piękną dziew-
czyną. No i w końcu (czynnik ten może również ode-
grał pewną rolę) iprzy całej tej operacji nie on, Szen-
feld, poniósł stratę, gdyż jego godność zdradzanego już
przedtem małżonka w tym przypadku nie ucierpiała,
ale pan Shapiro, który jako uwodziciel miał niemałe
ambicje, a więc duma jego została poważnie ukrócona.
A klęska Shapiry na tym terenie (jedynym, gdzie gó-
rował nad współnikiem, ponieważ Szenfeld, jakiekol-
wiek były jego niedomogi małżeńskie, w interesach
był asem) spychała go do roli godnej pogardy, co dla
kontrastu umocniło samopoczucie Szenfelda i nie tylko
dało mu impuls do nowych szczęśliwych operacji
w przedsiębiorstwach tekstylnych, ale — co zostało
ogólnie zauważone — od czasu ożenku Fernanda za-
czął on wobec osób trzecich traktować współnika
z wyższością, choć po przyjacielsku.

Co zaś do Georginy, to opowiem panu rzecz dla
niej znamieną. Ślub odbył się w 1951 roku. W tym
czasie spotkałem ją na ulicy Maipii; rzadka to rzecz,
bo nigdy nie bywała w śródmieściu. Dziesięć lat jej
nie widziałem: przy swoich czterdziestu latach wyglą-
dała staro, była smutna i bardziej jeszcze milcząca niż
dawniej; a choć zawsze była powściągliwa w słowach,
w owej chwili milczenie jej było prawie nie do znie-
sienia. Niosła jakąś paczkę. Jak zawsze, odczułem 372

o crome wzruszenie. Gdzie podziewała się przez te wszystkie lata? W jakiej miejscowości przeżywała w ukryciu swoją tragedię? Co robiła przez cały ten czas, o czym myślała, co przecierpiała? Pragnąłbym był o to wszystko zapytać, wiedziałem jednak, że jest to trud daremny; nie sposób było wyciągnąć jej na jakąkolwiek rozmowę, a cóż dopiero otrzymać odpowiedź na tak intymne pytania. Georgina przypominała mi zawsze dom stojący na pustkowiu, stale zamknięty i milczący, zamieszkały przez osoby dorosłe a zagadkowe; przez jakąś parę samotnych braci, przez samotnika, który przeżył tragedię, przez nieznanego artystę, mizantropa z kanarkiem i kotem; nic nie wie się o takim domu, drzwi jego uchylają się jedynie o pewnych porach i tylko dla przyjęcia mleka czy chleba; dla rzeczy, a nie dla ludzi, co je przynoszą, a których przez zaledwie uchylone drzwi odpycha ramię samotnego mieszkańca. Wieczorem w takim domu świeci się zwykle tylko jedno światło; może w kuchni, gdzie samotny człowiek przebywa i jada, a potem przenosi lampę do pokoju, gdzie zapewne sypia lub czyta, albo' też wykonuje jakąś niedorzeczną pracę, buduje na przykład okręt w butelce. Widząc takie światło ja, człowiek ciekawy i żyjący z domysłów, nieuchronnie stawiam sobie pytanie: kim jest ten mężczyzna czy ta mężatka, czy tamta stara panna? Z czego żyje? Z renty czy z jakiegoś spadku? Dlaczego nie wychodzi z domu? Dlaczego to światło świeci się do późnej nocy? Czyżby czytała? Albo pisała? A może jest to jedna z owych samotnych i jednocześnie lękliwych istot, którym tylko światło, wielki nieprzyjaciel upiórów, prawdziwych lub wyimaginowanych, pomaga znieść samotność?

Musiałem wziąć ją za ramię, prawie że nią potrząsnąć, aby mnie poznała. Szła jakby na wpół sena. A w ogóle było w tym coś dziwnego oglądać ją żywą pośród chaosu ruchu ulicznego Buenos Aires.

Jej zmęczoną twarz rozjaśnił uśmiech, jak wątły blask świecy zapalonej w ciemnej, smutnej sali.

— Chodź — rzekłem prowadząc ją do kawiarni „London”.

Usiedliśmy. Położyłem rękę na jej ręce. Jakże była znaizerowana! Nie wiedziałem oczywiście, co jej powiedzieć ani o co ją zagadnąć; o sprawy, które mnie 373

naprawdę interesowały, pytać nie mogłem, a tamte inne... po co je poruszać... Poprzestałem, więc na tym, że patrzyłem na nią w milczeniu jak na stary obraz z dawnych czasów i z czułą melancholią odczytywałem na jej twarzy dzieło przeżytych lat.

Nie mogłem się jednak powstrzymać i powiedziałem z jakąś podłą mieszaniną ironii i bólu:

— A więc Fernando się ożenił.

Postąpiłem ohydnie, aczkolwiek nieświadomie, i natychmiast tego pożałowałem.

Z oczu Georginy puściły się z wolna dwie ledwo dostrzegalne łzy, jak gdyby człowiekowi ginącemu od tortur i głodu zdołano ostatnim, brutalnym uderzeniem wyrwać jeszcze ostatnie ciche wyznanie.

Rzecz osobliwa i źle o mnie świadcząca, że w tej chwili zamiast jakimś sposobem załagodzić to nieszczęsne powiedzenie dodałem z urazą:

— A ty jeszcze płaczesz!

Na moment oczy jej zalśniły blaskiem, który tak podobny był do dawnego blasku jej oczu, jak wspomnienie do rzeczywistości.

— Zabraniam ci osądzać Fernanda — odrzekła.

Cofnąłem rękę.

Siedzieliśmy w milczeniu. Nic nie mówiąc dopiliśmy kawę.

■— Muszę już iść ■— rzekła po chwili.

Przejął mnie dawny ból, ten sam ból, który tkwił we mnie uśpiony przez tyle lat rezygnacji. Kto wie, kiedy ją znowu ujrzę.

Rozstaliśmy się w milczeniu. Ale kiedy oddaliła się o kilka kroków, przystanęła na chwilę, odwróciła się jakby onieśmielona i wydało mi się, że zauważyłem w jej spojrzeniu ból, czułość i rozpacz. Pragnąłem pobic ku niej, okryć pocałunkami jej zmiętą twarz, jej spłakane oczy i prosić ją, błagać, byśmy się spotkali, by pozwoliła mi przy sobie zostać. Ale powstrzymałem się. Dobrze wiedziałem, że to niemożliwe, że nie połączymy naszych losów aż do śmierci.

Niedługo po tym przypadkowym spotkaniu Fernando rozszedł się z żoną. Dowiedziałem się też, że dom w Martinez, wspaniały prezent pana Szenfelda, został sprzedany na licytacji, a Fernando zamieszkał w jakimś domku w Villa Devoto.

Tymczasem prawdopodobnie niejedno się zdarzyło 374

i sprzedaż domu była zapewne konsekwencją burzliwych perypetii w życiu Fernanda; wiadomo mi bowiem, że w tym czasie grywał w ruletkę w Mar del Plata i przegrywał ogromne sumy. Mówiono mi też, że miał udział w handlu terenami w okolicy lotniska w Ezeiza, ale wiadomości te równie dobrze mogły być fałszywe; lansował je być może któryś z przyjaciół państwa Szenfeldów. Faktem jednakże jest, że ostatecznie zamieszkał w nad wyraz skromnym domku w Villą Devoto, gdzie też znaleziono ukryty jego Raport o *Ślepcach*.

Jak powiedziałem, Szenfeld pomagał mi. Uważam teraz, iż należałoby raczej powiedzieć, że go „nagrodził” z okazji jego nieprawdopodobnego ożenku. Jak wielu innych, tak był omotany siecią Fernanda, że pomagał mi później w spekulacjach, a w okresie ruletki wyciągał go z kłopotów. W końcu jednak z nieznanych mi powodów paradoksalna przyjaźń z panem Szenfeldem chyba się skończyła; trudno inaczej wytłumaczyć jego nędzny koniec.

Kiedy po raz ostatni spotkałem go na ulicy (nie mówię tu o spotkaniu w dzielnicy Constitución, kiedy to udawał, że mnie nie poznaje albo wcale mnie nie zauważył, w ostatnim bowiem okresie opętania ślepcami był ogromnie roztargniony), szedł z jakimś bardzo wysokim blondynem o surowej, okrutnej twarzy. Ponieważ nieomal wpadłem na Fernanda, nie mógł już mnie ominąć i zamieniliśmy z sobą kilka słów. Przedstawił mi swego towarzysza — wymienił niemieckie nazwisko, którego już nie pamiętam — po czym osobnik ten odszedł na bok i spoglądał na ulicę. Kilka miesięcy później ujrzałem jego zdjęcie w „La Razón” w kronice policyjnej; zapamiętałem dobrze tę okrutną twarz o cienkich zaciśniętych wargach. Figurował obok innych poszukiwanych przez policję indywidualiów, posadzonych o napad na filię Banco de Galicia. Napad był świetnie zorganizowany, według przypuszczenia Policji dokonali go dowódcy wojskowi. Osobnik ów był Polakiem i działał w dowództwie armii generała Andersa. Nazwisko, które mi podał Fernando, było fałszywe.

Kłamstwo to utwierdziło mnie w przekonaniu, że Policja się nie omyliła. W okresie kiedy tego człowieka Przypadkiem spotkałem, przygotowywał on ów napad. 375

Czy Fernando był w tę historię wmieszany? Bardzo możliwe. W młodości dowodził szajką bandytów w Avellaneda i według wszelkiego prawdopodobieństwa w złej sytuacji materialnej wrócił do swej dawnej namiętności: napadów na banki. Zawsze uważał, że jest to idealny sposób, ażeby za jednym zamachem zdobyć majątek; poza tym miało to dla niego znaczenie symboliczne. Jako młody chłopiec mawiał nieraz, że Bank pisany przez duże B jest świątynią ducha mieszczańskiego.

Jakkolwiek sprawa się miała, w komunikacie policji jego nazwisko nie zostało wymienione.

Nie widywałem go już później w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy — jak sądzić można z dziwnego *Raportu* — pogrążał się w niedorzecznych badaniach podziemnego świata.

Od kiedy go pamiętam, miał obsesję na punkcie ślepych i ślepoty.

Przypominam sobie charakterystyczny fakt, który zdarzył się niedługo przed śmiercią jego matki. Złapał wróbla, zaniósł go na górę do swego pokoju — nazywał go swoją fortecą — i wykuł mu oczy igłą. Potem wypuścił go, a ptak oszalały z bólu i przerażenia tłukł się o ściany i nie mógł trafić do okna. Staralem się przeszkodzić mu w tej zbrodni i dostałem przy tym nudności. Schodząc na dół byłem bliski zemdlenia, musiałem stanąć i przez dłuższy czas trzymać się poręczy; słyszałem wtedy, jak tam na górze Fernando śmieje się ze mnie.

Niejeden raz opowiadał mi, że wykuwa oczyma ptakom i innym zwierzętom, ale oglądałem to wtedy po raz pierwszy. I ostatni zarazem. Nie zapomnę nigdy straszliwego wrażenia, jakie odniosłem owego poranka.

Z powodu tego wypadku nie odwiedziłem już więcej jego domu ani estancji: pozbawiłem się rzeczy dla mnie najcenniejszej: przestałem widywać jego matkę. Obecnie jednak uważam, że poniechałem wizyt u Osmosów, gdyż nie mogłem pogodzić się z faktem, że tak cudowna kobieta jak Anna Maria jest matką niegodziwca Fernanda i żoną Juana Carlosa Vidala, którego do dzisiaj wspominam ze wstrętem.

Fernando nienawidził ojca. Miał wtedy dwanaście lat, był śniady i bezwzględny jak on. Mimo że go nie-

nawidził, był do niego podobny nie tylko fizycznie, ale i z usposobienia. Pewne rysy miał po Olinosach: zielone oczy, wystające kości policzkowe. Wszystko inne odziedziczył po ojcu. Z biegiem lat zatracił stopniowo to podobieństwo, a myślę, że ono właśnie stanowiło główną przyczynę nagłych wybuchów niechęci, jaką odczuwał wobec samego siebie. Jego gwałtowność, jego okrutna zmysłowość pochodziły od ojca.

Bałem się go. Milczał, a raptem dostawał ataków ślepej wściekłości. Śmiech jego był twardy. Zapewne na złość ojcu, pijakowi i kobieciarzowi, przez wiele lat młodości nie brał do ust alkoholu i niejednokrotnie widywałem go oddanego zadziwiającej ascezie, jak gdyby zamierzał się umartwiać. Okresy takie przerywały dnie rozwiązłości i sadyzmu, szalał wtedy z kobietami znajdując w tym jakąś piekielną satysfakcję, pogardzając nimi jednocześnie, a później nagle odpychał je z ironią, jakby obarczał je winą za własną niedoskonałość. Pomimo swego komedianctwa był stoikiem i samotnikiem, nie miał przyjaciół, nie chciał i nie mógł ich mieć. Sądzę, że kochał jedynie swą matkę, choć trudno mi wyobrazić sobie, że ten chłopiec mógł kogoś kochać, jeżeli słowem tym chcemy wyrazić pewien rodzaj uczucia czułości. U niego była to chyba niezdrowa histeryczna namiętność do matki. Pozostało mi w pamięci pewne zdarzenie: namalowałem akwarelę gniadego konia, ulubieńca Anny Marii, którego używała pod wierzch. Portret zachwyił ją: ucałowała mnie z czułością. Wtedy Fernando rzucił się na mnie okładając mnie pięściami, a kiedy Anna Maria nas rozdzieliła i wyłajała go, Fernando znikł. Spotkałem go później nad strumieniem, gdzie zwykle się kąpał, starałem się z nim pogodzić; słuchał mnie w milczeniu gryząc paznokcie, jak zwykle, kiedy go coś dreczyło, i nagle rzucił się na mnie z otwartym scyzorykiem. Nie mogłem zrozumieć tej wściekłości, ale walczyłem zaciekle, a gdy udało mi się wyrwać mu scyzoryk i odrzucić go daleko, puścił mnie, podniósł swoją broń i ku memu wielkiemu zdziwieniu, kiedy byłem pewien, że znowu mnie zaatakuje, wbił ostrze w swoją własną dłoń. Dopiero po latach zrozumiałem, jak wielka durna kierowała nim wtedy.

Niedługo potem zdarzyła się ta historia z wróblem i więcej go nie widziałem, nie wróciłem już do jego 377

domu ani do estancji. Po kilku miesiącach, kiedy obydwaj mieliśmy po dwanaście lat, w zimie umarła Anna Maria: jedni mówili, że ze zmartwienia, inni, że zażyła pigułki nasenne. Smutny nastrój tego nieszczęsnego dnia kojarzy się u mnie z porażką Firpa z Dempseyem (o niczym innym wtedy nie mówiono) i z melodią shimmy, *Taniec wazek*, graną w pobliżu naszego domu na fortepianie.

Minęły dwa lata, zanim go znów ujrzałem. Śmieszny piętnastolatek, mieszkałem wtedy sam na pensji w Buenos Aires i w długie niedziele raz po raz wracałem myślami do Capitan Ohnos. Powiedziałem już panu, zdaje się, że matki mojej prawie że nie znałem: umarła, kiedy miałem dwa lata. Proszę więc nie dziwić się, że dla mnie estancja Capitan Olmos była w znacznej mierze wspomnieniem Anny Marii.

W letnie popołudnie deklamowała tam czasem francuskie wiersze; nie rozumiałem ich, ale recytacja i głęboki głos Anny Marii sprawiały mi subtelną rozkosz. „Są tam — myślałem ■ — są tam”, w naiwny sposób sam siebie oszukując tą liczbą mnogą, w głębi mej duszy pragnąłem bowiem, by słowem „są” i ona była objęta: może w Buenos Aires, w tym starym domu w Barracas, znanym mi tak dobrze, jakbym go kiedyś widział (tyle mi Anna Maria o nim opowiadała), żyła jeszcze w jakiś sposób jej dusza, może ślad jej, choćby zmieniony i zeszpecony, przetrwał w jej synu, w jej nieznośnym synu, w Georginie, w ojcu i w siostrach. Krążyłem wokół ich domostwa, ale nigdy me miałem odwagi wejść do środka. Aż pewnego dnia ujrzałem Fernanda idącego do domu i nie chciałem ani nie mogłem już uciec.

— To ty? — powitał mnie z pogardliwym uśmiechem.

Znowu, jak zawsze, ogarnęło mnie niezrozumiałe uczucie winy wobec niego.

Co ty tu robisz? — jego przenikliwe złośliwe oczy nie pozwoliły mi skłamać. Zresztą byłoby to daremne: wiedział doskonale, że naumyślnie kręciłem się w pobliżu domu. Poczuję się głupio, jak początkujący przestępca. Opowiedzieć mu o moich uczuciach, o nostalgii było tak niemożliwe, jak w prosektorium pośród trupów napisać romantyczny wiersz o miłości.

Fernando zaprowadził mnie do siebie; mileząc przy-

jąłem ze wstydem tę jałmużnę, gdyż ze wszech miar pragnąłem zobaczyć ten dom.

Kiedy o zmroku mijaliśmy ogród, owionął mnie mocny zapach jaśminu i jak zawsze woń tych kwiatów skojarzyła mi się z dzieciństwem, ze słowami *daleko, matka, czułość, już nigdy*. Zdało mi się, że w miradorze mignęła w półmroku twarz jakiejś staruchy i znikła jak widmo. Główny korpus domu łączy się krytą galerią z mniejszym, który tworzy w ten sposób jak gdyby półwysep. Ow mniejszy korpus z miradorem składa się z dwóch pokoi zamieszkiwanych dawniej chyba przez służbę. Z parteru (podczas próby, której poddał mnie później Fernando, przekonałem się, że mieściła się tam graciarnia oraz wewnętrzne drewniane schody, prowadzące na wyższe piętro) blaszane kręte schody wiodły po zewnętrznej stronie domu na taras, gdzie wznosił się mirador. Taras rozciągał się nad dwoma wspomnianymi już dużymi pokojami, a otoczony był, jak nieraz w dawnych budynkach, balustradą, wtedy już na wpół zburzoną. Nie mówiąc ani słowa, Fernando wspiął się po schodach na piętro i wszedł do pierwszego z owych dwóch pokoi. Zapalił światło; domyśliłem się wtedy, że jest to jego mieszkanie; stało tam łóżko, stary stół z jadalni służący za biurko, komoda i kilka innych sfatygowanych i chyba niepotrzebnych mebli, które postawiono tam w braku innego miejsca, pokoje w tym domu ulegały bowiem stopniowemu zniszczeniu. Za ledwie weszliśmy, w drzwiach wiodących do drugiego pokoju ukazał się jakiś chłopiec, na którego widok cofnąłem się instynktownie.

— Przyniosłeś? — zapytał bez dalszych wyjaśnień

— Nie — odrzekł krótko Fernando.

Patrzyłem ze zdumieniem na chłopca; miał może czternaście lat, głowę ogromną i wydłużoną jak piłka do rugby, cerę bladą jak kość słoniowa, włosy gładkie i cienkie, wystające szczęki, nos zaostrzony i nieprzytomne jak w gorączce oczy. Te oczy właśnie sprawiły, że się cofnąłem, jak cofnąłbym się przed istotą z innej planety, o ludzkim wyglądzie, a jednak inną, wzbudzającą lęk.

Fernando nie rzekł ani słowa więcej, tamten zaś wpatrzony w niego tymi swoimi nieprzytomnymi oczami przytknął do warg ustnik fletu czy też klarnetu

i zaczął grać jakby początek jakiejś frazy. Fernando grzebał tymczasem w stosie pokrytych kurzem tygodników leżących w kącie na podłodze i nie zwracając na mnie uwagi, jak gdybym był stałym mieszkańcem domu, zdawał się czegoś szukać. W końcu wyjął egzemplarz, na którego okładce widniała fotografia bohatera *Uskrzydłonej sprawiedliwości*. Widząc, że zamierza odejść i że najwidoczniej nie zwraca na mnie uwagi, znalazłem się w nie lada kłopotcie: nie mogłem wyjść z nim razem, po przyjacielsku, bo nie poprosił mnie, bym mu towarzyszył; nie mogłem też zostać w mieszkaniu, zwłaszcza w towarzystwie tego dziwnego chłopca z klarnetem. W tej chwili czułem się najniezwyklejszą i najśmieszniejszą istotą na świecie. Teraz jednak rozumiem, że Fernando w swej przewrotności czynił to wszystko rozmyślnie.

Toteż poczułem niezmierną ulgę, kiedy pojawiła się rudowłosa dziewczynka i uśmiechnęła się do mnie. Fernando uśmiechnął się ironicznie i odszedł bez pożegnania z tygodnikiem w ręce, a ja zostałem i patrzyłem na Georginę: znacznie się zmieniła; nie była już tym chudym dziewczątkiem, które znałem w Capitan Oimos przed śmiercią Anny Marii: miała teraz czternaście albo piętnaście lat i zaczynała upodabniać się do swego ostatecznego portretu jak pobieżny szkic malarza do gotowego dzieła. Dlatego zapewne, że ujrzałem jej rysujące się już pod sweterkiem piersi, zaczerwieniłem się i spuściłem oczy.

— ■ Nie przyniósł — powiedział Bebe, z klarnetem w ręce.

— Ale z pewnością przyniesie — odrzekła tonem matki, która okłamuje dziecko.

— Kiedy? — upierał się Bebe.

— Wkrótce.

— Ale kiedy?

— Powiadam ci, że wkrótce, zobaczysz. A teraz usiądziesz i zagrasz na klarnecie. Dobrze?

Ujęła go delikatnie za ramię i odprowadziła do drugiego pokoju.

— Chodź, Bruno — zwróciła się do mnie.

Poszedłem za nimi: był to zapewne pokój, gdzie rodzeństwo sypiało, a różnił się w zupełności od pokoju Fernanda, pomimo że i tu meble były stare 380

i zniszczone; panowała w nim jednak subtelna, kobieca atmosfera.

Zaprowadziła go do krzesła i kazała usiąść.

— Usiądziesz teraz i zagrasz, nieprawdaż?

A potem, jak gotowa do przyjęcia gości pani domu, która wydała już dyspozycje, pokazała mi swoje skarby: tamborek, na którym haftowała chusteczkę dla ojca, dużą lalkę Murzynkę zwaną Elwirą, którą w nocy kładła obok siebie, tudzież przymocowaną pinezkami do ściany kolekcję fotografii aktorów i aktorek filmowych, Valentina w stroju szejka, Poli Negri, Glorii Swanson w fiknie *Dziesięcioro przykazań*, Williama Duncana i Pearla White'a. Omawialiśmy zalety i wady każdego z nich, rozmawialiśmy o ich rolach w filmach, a tymczasem Bebe powtarzał na klarnecie wciąż tę samą frazę. Jej podobał się najbardziej Rudolf Valentino, ja wołałem raczej Williama S. Harta, chociaż musiałem przyznać, że Valentino był wspaniały. Co do filmów, ja skłaniałem się do westernów, ale Georgina twierdziła, że za dużo w nich okropności i że w najgorszym momencie musi przymykać oczy.

Bebe przestał grać i przyglądał się nam.

— Graj, Bebe — powiedziała machinalnie i zaczęła haftować na tamborku.

Ale Bebe nie przestał wpatrywać się we mnie.

— No dobrze, pokaż więc Brunowi swoją kolekcję żołnierzyków.

Bebe ożywił się, odłożył klarnet i wyjął spod łóżka pudełko od bucików.

— Pokaż mu, Bebe — powtórzyła z powagą, nie podnosząc oczu znad tamborka, jak matka, która daje dzieciom wskazówki, a sama zajęta jest ważną robotą domową.

Bebe zbliżył się i pokazał mi swoje skarby, a potem ustawił żołnierzyki na podłodze w szyku bojowym.

Nagle zaczął go dławić kaszel. Georgina odłożyła tamborek, podeszła do szafki i wyjęła butelkę syropu. Bebe krztusił się, oczy zaszły mu łzami, ale opierał się, rękoma czyniąc odmowne gesty. Nie zrażona tym Georgina z łagodną stanowczością zmusiła go do wypicia dużej łyżki syropu.

— Jeżeli się nie wyleczysz, nie będziesz mógł grać *ia klarnecie — przekonywała go.

Takie było moje pierwsze spotkanie z Georgina 381

u niej w domu; przy następnych dwóch albo trzech przekonam się ze zdumieniem, że w obecności Fernanda staje się ona nagle bezbronną istotą. Rzecz dziwna, że nigdy nie wyszedłem poza te dwa pokoje, stanowiące jak gdyby ipredmieście domu (z wyjątkiem straszliwego doświadczenia w miradorze, o którym panu opowiem). Nie spotykałem też nikogo oprócz tych trojga dzieci, tak niepodobnych do siebie i tak dziwnych; uroczej dziewczynki, delikatnej i kobiecej, ale ujarzmionej przez nikczemnika, chłopca umyślowo niedorozwiniętego i tamtego diabła. O innych mieszkańcach miewałem wiadomości niepewne i sporadyczne, ale podczas nielicznych moich odwiedzin nie miałem możliwości przekonać się naocznie, co dzieje się w głównej części domu, a moja ówczesna nieśmiałość nie pozwalała mi pytać Georginy (jedynie ją mógłbym o to zagadnąć), jacy są i jak żyją jej rodzice, ciotka Maria Teresa i dziadek Pancho. Najwidoczniej dzieci pod wodzą Fernanda korzystały w swoich dwóch pokojach z zupełnej niezależności.

Gdybym był wtedy starszy, dziwiłbym się zapewne tej niezależności trojga dzieciaków od osób dorosłych. Ale przy nieco większym jeszcze doświadczeniu życiowym, jak to niemal zawsze się zdarza, przestałbym się dziwić. Po latach, mniej więcej w 1930 roku, poznałem pozostałych mieszkańców, obecnie więc rozumiem, że przy tego rodzaju osobach wszystkiego można się było w tym domu spodziewać i wszystko mogło się zdarzyć. Powiedziałem już panu, jak mi się zdaje, że wszyscy Olmosowie cierpieli na jakiś brak realizmu (z wyjątkiem, naturalnie, Fernanda i jego córki, o czym jeszcze opowiem), odnosiło się wrażenie, że zgoła nie biorą oni udziału w brutalnej rzeczywistości otaczającego świata; coraz ubożsi, nie mieli jednak dosyć rozsądku, żeby starać się zarobić albo przynajmniej utrzymać resztki dziedzictwa, brak im było wyczucia proporcji i zrozumienia dla polityki, a dzielnica, gdzie mieszkali, nastroczała ich krewnym okazji do ironicznych, złośliwych uwag. Olmosowie oddalali się z każdym dniem coraz bardziej od swojej sfery, sprawiali wrażenie, że pośród chaosu tego nieubłaganego, zmerkantylnizowanego miasta kosmopolitów stanowią epilog dramatu starożytnej rodziny. I zachowali, nie wiedząc o tym, rzecz jasna, dawne argentyńskie cnoty, które 382

inne rodziny odrzuciły jak balast, ażeby nie utonąć: byli gościnni, hojni, szczerze patriarchalni, w skromny sposób arystokratyczni. Być może, że niechęć ich bogatych dalekich krewnych wynikała po części z tego, że sami nie potrafili zachować tych cnót i włączyli się w proces merkantylizacji i materializmu, który w Argentynie zaczął się w końcu ubiegłego wieku. Podobnie jak człowiek, który zawinił, żywi niechęć do niewinnego, tak biedni Olmosowie w śmieszny sposób odizolowani w dawnej swojej rezydencji w Barracas byli przedmiotem nienawiści krewnych; bo nadal mieszkali w plebejskiej obecnie dzielnicy, zamiast przeprowadzić się do Dzielnicy Północnej albo do San Isidro; bo dalej pili matę zamiast herbaty, bo świecili ubóstwem, słowem, bo nie bacząc na swe tradycje, żyli jak prości ludzie. Jeśli dodam, że wszystkie te cnoty, które inni uważali za oburzające wady, u nich były nieświadome i że "wprowadzali je w życie w sposób prosty i naiwny, nietrudno zrozumieć, że dla mnie i dla niektórych innych rodzina ta była wzruszająco smutnym symbolem czegoś, co nas opuszcza i nigdy już nie wróci.

Kiedy wychodziłem stamtąd owego wieczora i miałem już zamknąć za sobą furtkę w ogrodzeniu, obróciłem się, nie wiem dlaczego, i spojrzałem na mirador. Okno- było słabo oświetlone, zdawało mi się, że ujrzałem w nim twarz starej kobiety.

Długo wahałem się, zanim powtórnie tam poszedłem, wstrzymywała mnie obecność Fernanda, marzyłem za to o Georginie i pragnąłem ją ujrzeć. Miały mną dwie przeciwne sobie siły. W końcu przeważyła tęsknota za Georginą. Przez cały ten czas myślałem o niej, chciałem dowiedzieć się o wielu rzeczach i jeżeli to będzie możliwe, poznać jej rodziców. „Może Fernanda nie będzie w domu” — mówiłem sobie dla dodania odwagi. Przypuszczałem, że chyba ma znajomych, pamiętałem bowiem, jak szukał numeru tygodnika i jak potem wyszedł, sądziłem więc, że miał się spotkać z innymi chłopcami; a że znałem Fernanda dosyć dobrze, ażeby rozumieć nawet w moim młodym wieku, że nie jest on zdolny do przyjaźni, sądziłem przeto, że z innymi chłopcami łączy go może jakieś "wspólne sprawy innego rodzaju; później przypuszczenie to miało się sprawdzić, Georginą wyzna mi, co

prawda w tajemnicy, że Fernando dowodzi bandą chłopców inspirowanych przez niektóre filmy, jak *Tajemnice Nowego Jorku*, *Falszywy pieniądz* itp. Banda ta używała kastetów, miała swoje tajemne hasło i jakieś nieczne zamierzenia. Teraz, kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, mam wrażenie, że organizacja ta była jak gdyby próbą generalną późniejszych wypadów Fernanda: około roku 1930 był on hersztem szajki włamywaczy.

Od samego południa stałem na zbiegu ulic Rio Quarto i Izabeli Katolickiej. Myślałem: „Po obiedzie może wyjdzie; jeżeli wyjdzie, pójdę tam, choćby było późno”.

Może pan sobie wyobrazić, jak bardzo zależało mi na tym, żeby ujrzeć Georginę, jeżeli czekałem na tym rogu od pierwszej do siódmej. O siódmej ujrzałem Fernanda, jak wychodził. Pobiegłem wówczas ulicą Izabeli Katolickiej na przeciwległy róg i stanąłem w dostatecznej odległości, żeby mu się wymknąć, jeżeliby poszedł tą samą ulicą, albo móc wrócić do ich domu, jeżeliby ujrzał, że idzie ulicą Rio Quarto. Tak też się stało, poszedł przez Rio Quarto. Pobiegłem więc co rychlej do Georginy.

Jestem pewien, że Georgina ucieszyła się moim widokiem. Prosiła przecież, żebym koniecznie przyszedł.

Spytałem o rodzinę. Opowiedziała mi o matce i o ojcu, o ciotce, Marii Teresie, słynnej z tego, że lubiła pasjami opowiadać o chorobach i katastrofach. A także o dziadku Pancho.

— To ten, co mieszka na górze — zaryzykowałem, przeczuwając, że „na górze” ukrywa się jakaś tajemnica.

Georgina spojrzała na mnie zaskoczona.

— Na górze?

— Tak, w miradorze.

— Nie, dziadek tam nie mieszka — odrzekła wymijająco.

■— Ale ktoś tam mieszka — upierałem się.

— Mieszka tam Scholastyka — odparła w końcu niechętnie.

— Scholastyka?

— Tak, dawniej nadawali takie imiona.

— Ona nigdy nie schodzi?

— Nigdy.
 — Dlaczego?
 Wzruszyła ramionami.
 — Zdaje mi się, że Fernando coś wspomniał —
 rzekłem patrząc na nią uważnie.
 — Wspomniał? Co? Kiedy to było?
 — O jakiejś wariatce. Jeszcze w Capitan Olmos.
 Georgina zarumieniła się i spuściła głowę.
 — Tak ci powiedział? Że Scholastyka jest wariatką?
 — Nie, ale mówił coś o jakiejś wariatce. Czy to o niej?
 — Nie wiem, czy jest wariatką. Nigdy z nią nie rozmawiałam.
 — Nigdy z nią nie rozmawiałaś? — spytałem ze zdumieniem.
 — Nie, nigdy.
 — A dlaczego?
 — Przecież ci powiedziałam, że nigdy nie schodzi.
 ■ — A ty nigdy u niej nie byłaś?
 — Nigdy.
 Nie spuszczałem z niej oczu.
 — W jakim jest wieku?
 — Ma osiemdziesiąt cztery lata.
 • — To twoja babka?
 — Nie.
 — Prababka?
 — Nie.
 — A więc kim jest?
 — Jest ciotką mego dziadka. Córką komendanta Acevedo.
 — Od dawna tam zamieszkuje?
 — Od roku 1853.
 — I nigdy nie schodzi?
 — Nigdy.
 — Dlaczego?
 — Zdaje mi się, że przez tę głowę.
 — Przez głowę? Przez jaką głowę?
 — Jej ojca. Przez głowę komendanta Acevedo.
 Wrzucili ją przez okno.
 — Przez okno? Kto ją wrzucił?
 — Mazorka. I ona pobiegła tam z tą głową.
 — ■ Pobiegła z głową? Dokąd?
 — Tam, do miradoru. I już stamtąd nie wyszła.

385

— I zapewne dlatego zwariowała.

— Nie wiem. Ja nie wiem, czy ona jest wariatką. Nigdy u niej nie byłam.

— A Fernando także nie?

— Fernando tak.

W tej chwili ujrzałem z przerażeniem, że Fernando wraca. Wszedł zapewne, żeby coś naprędce załatwić.

— Ach, znowu przyszedłeś! — powiedział, tylko, wpijając we mnie świdrujące spojrzenie, jak gdyby chciał wybadać przyczyny powtórnej mojej wizyty.

Od chwili kiedy wszedł, Georgina zmieniła się. Być może, że poprzednim razem nie zauważyłem ze zdenerwowania, jak wielki wpływ na jej sposób bycia wywiera obecność Fernanda. Onieśmielał ją: przestała mówić, poruszała się niezręcznie, a kiedy musiała odpowiedzieć mi na jakieś pytanie, czyniła to patrząc ukradkiem na Fernanda. On natomiast położył się na łóżku i obserwował nas, gryząc zawzięcie paznokcie. Sytuacja stała się nieprzyjemna; raptem Fernando zaproponował, żebyśmy zagraли w jakąś grę, gdyż — jak twierdził — strasznie się nudzi. Ale w spojrzeniu jego nie widać było znudzenia, było w nim coś innego, czego nie zdołałem pojąć.

Georgina spojrzała na niego zalekniona i natychmiast spuściła głowę, jakby czekała na wyrok.

Fernando usiadł na łóżku i zastanawiał się nad czymś, nie spuszczać z nas oka i bez przerwy gryząc paznokcie.

— Gdzie jest Bebe? — zapytał wreszcie.

— U mamusi — odpowiedziała Georgina.

— Przyrowadź go.

Georgina poszła wykonać rozkaz. Siedzieliśmy, w milczeniu, dopóki nie powrócili. Bebe oczywiście ze swoim, klarnetem.

Fernando wyjaśnił zasady gry: ich troje poukrywa się w obydwu pokojach, w gradami i w ogrodzie (było już ciemno), ja zaś mam ich szukać i rozpoznać bez słowa, przez samo tylko dotknięcie.

— Po co? — zapytałem zdumiony.

— Później ci wytłumaczę. Jeżeli poznasz, dostaniesz nagrodę — powiedział z suchym uśmiechem.

Obawiałem się, że kpi sobie ze mnie, jak dawniej w Capitan Olmos. Ale bałem się także odmówić, gdyż w takich przypadkach dokuczał mi uszczypliwą uwa-

oą, że odmawiam z tchórzostwa, wiedząc, że jego gra musi zawierać jakieś okropności. Ale jakiej okropności mógłbym się spodziewać w tym przypadku? Raczej jakiegoś głupiego żartu, czegoś, co by mnie w ordynarny sposób ośmieszyło. Spojrzałem na Georginę, jak gdybym szukał na jej twarzy jakiegoś znaku, jakiejś rady. Ale Georgina nie była już ta sama co przedtem; jej pobladła twarz i szeroko otwarte oczy świadczyły o zafascynowaniu czy strachu, czy też o jednym i, drugim równocześnie.

Fernando kazał zgasić światło, ukryli się, a ja zacząłem ich szukać po omacku. Po chwili poznałem Bebe siedzącego niewinnie na swoim łóżku. Ale Fernando z miejsca ustalił, że powinienem znaleźć i rozpoznać co najmniej dwie osoby.

W pokoju tym nikogo więcej nie było. Musiałem szukać w drugim pokoju, a także w drewnitni. Ostrożnie, potykając się tu i ówdzie, przechodziłem przez pokój Fernanda, aż doznałem wrażenia, że pośród ciszy słyszę czyjś oddech. Prosiłem Boga, żeby to nie był Fernando, gdyż, nie wiem dlaczego, wydało mi się czymś wstrętnym natknąć się na niego po ciemku. Szedłem uważnie, nadstawiając ucha, w kierunku, skąd zdawał się dochodzić ów przytłumiony szmer. Potknąłem się o krzesło, wyciągniętymi przed siebie rękami szukałem na prawo i na lewo, aż natrafiłem na ścianę z odklejoną tapetą, wilgotną i zakurzoną. Przy ścianie posuwałem się naprzód wciąż na prawo w stronę, dokąd prowadził mnie ów szmer. Dotknąłem szafy, potem natrafiłem kolaniem na łóżko Fernanda i schyliłem się, aby sprawdzić rękami, czy ktoś na nim nie leży lub nie siedzi, ale łóżko było puste. Trzymając się jego brzegu posuwałem się ostrożnie naprzód; natknąłem się na szafkę nocną i nieco dalej znowu na tę odrapaną ścianę. Teraz już byłem pewien: regularny oddech, coraz wyraźniej szy, zmienił się w lekką nerwową zadyszkę. Przyczyną było zapewne moje zbliżanie się.

Owładnęło mną dziwne wzruszenie, jak gdybym stanął przed jakąś wielką tajemnicą. Zacząłem stąpać po cichutku na palcach. Raptem natrafiłem prawą ręką na czyjeś ciało. Cofnąłem się, jak gdybym dotknął rozpalonego żelaza, poznałem bowiem natychmiast, że była to Georgina.

— Fernando — skłamałem po cichu, jakby powodowany wstydem.

Nie otrzymałem odpowiedzi.

Zuchwała ręka wróciła do niej pożądliwie, musnęła jej policzek, dotknęła warg. Czułem, że były zaciśnięte i drżące.

— Fernando — kłamałem dalej i zaczerwieniłem się, jak gdyby mogła mnie dojrzeć.

Nie było odpowiedzi: do dzisiaj nie wiem dlaczego. Wtedy jednak wydało mi się to jak gdyby milczącym przyzwoleniem, gdyż zgodnie z regułą ustaloną przez Fernando powinna by już była zgłosić moją omyłkę. Była to jak gdyby kradzież popełniona za zgodą ofiary. Zdumiewa mnie to jeszcze dzisiaj.

Z wolna ręka moja zatrzymała się z wahaniem na jej policzku, wstydliwie, jakby na znak wdzięczności pogłaskała jej oczy i usta (czy powiedziałem już, że w ciągu tych dwóch lat Georgina rozwinęła się na dorosłą panią i zaczęła przypominać mi Annę Marię?). Oddychała teraz mocno, jakby dokonując fizycznego wysiłku, była wzburzona. W pewnej chwili nieomal krzyknąłem: „Georgina!”, i niewiele brakowało, a byłbym uciekł zrozpaczony. Powstrzymałem się jednak i ręką błędziłem po jej twarzy, ona zaś nie czyniła nic, aby uniknąć mej pieczyoty, i to zadecydowało chyba o mojej niedorzecznej nadziei, którą żywię przez tak wiele lat, aż do dzisiaj.

— Georgina — rzekłem w końcu ochryłym głosem, ledwie dosłyszalnie.

— Dość tego! Puść mnie! — zawołała wybuchając płaczem i rzuciła się do ucieczki.

Otępiały wyszedłem powoli za nią; czułem, że stało się coś niejasnego, co nie powinno się było stać, nie umiałem tego jednak wytłumaczyć. Nogi uginały się pod mną, jak gdybym przeżył wielkie niebezpieczeństwo. W drugim pokoju, oświetlonym już, zastałem tylko Bebe, Georgina znikła. Niemal natychmiast zjawił się Fernando, spojrzał na mnie ponuro, jak gdyby ów zły ogień płonący w jego wnętrzu wybuchnął w ciemności płomieniem.

— Wygrałeś — stwierdził władczo. — W nagrodę dostaniesz jutro trudniejsze zadanie.

Zrozumiałem, że powinienem odejść i że Georgina 388

nie wróci. Bebe stał z na wpół otwartymi ustami i patrzył na mnie nieprzytomnie, z klarnetem w ręku.

— Dofarze — powiedziałem wychodząc.

— Jutro wieczorem, po kolacji, o jedenastej — rozkazał Fernando.

Przez całą noc rozmyślałem nad tym, co mi się przydarzyło, i co może zdarzyć się nazajutrz. Przerażała mnie myśl, że Fernando posunie się jeszcze dalej i jakkolwiek nie wiedziałem dobrze dlaczego, ale rozumiałem, że między nim a mną stoi osoba Georginy. Dlaczego nie zaprzeczyła, kiedy wymieniłem imię Fernanda? Dlaczego trwała w milczeniu, jak gdyby przyzwalając na moją pieszczotę?

Następnego wieczora punktualnie o jedenastej byłem w pokoju Fernanda. On i Georgina czekali już na mnie. Zauważyłem w oczach Georginy wyraz pełnego grozy oczekiwania, co podkreślała jeszcze bladość jej twarzy. Fernando oznajmił z chłodną precyzją, jak dowódca, który daje instrukcje patrolowi:

— Na górze, w miradorze, mieszka stara Scholastyka. O tej porze już śpi. Wejdiesz tam z tą latarką, podejdziesz do komody stojącej naprzeciw łóżka, otworzysz drugą od góry szufladę, wyjmiesz z niej pudło od kapelusza i przyniesiesz je tutaj.

— Nie głowę, Fernando! Wszystko inne, tylko nie głowę! ■— zawołała Georgina błagalnie, nieswoim głosem, i wbiła spojrzenie w ziemię.

Fernando uczynił gest pogardy.

— Coś innego nie miałoby sensu. Tylko głowa.

Pamiętałem historię, którą opowiedziała mi Georgina, i byłem bliski omdlenia. Nie, to niemożliwe, takie rzeczy nie zdarzają się naprawdę. A zresztą dlaczego mam to zrobić? Kto mnie do tego zmusi?

— Dlaczego mam to zrobić? Kto mnie do tego zmusi? — bąknąłem nieśmiało.

— Jak to dlaczego? A dlaczego ludzie wspinają się na Aconcaguę? Ze wspinaczki na Aconcaguę nie ma żadnego pożytku. Czy jesteś tchórzem?

Pojąłem, że nie wolno mi odmówić.

— Doskonale, daj mi więc latarkę i powiedz, jak się tam wchodzi.

Fernando podał mi latarkę i zaczął tłumaczyć, jak mam wejść do miradoru.

— Chwileczkę — przerwałem mu, — A jeżeli stara 389

się obudzi⁷ Może się przecież obudzić i krzyżeć. Co wtedy?

— Stara nie widzi, nie słyszy i prawie że nie może się ruszać. Nie troszcz się o to. Najgorsze, co się może zdarzyć, to to, że będziesz musiał wrócić bez tej głowy, ale mam nadzieję, że starczy ci odwagi, aby ją przynieść.

Wytłumaczyłem już panu, że pod miradorem był skład starych gratów, skąd można było starymi drewnianymi schodami dostać się na górę. Fernando zaprowadził mnie do tej graciarni, gdzie nie było światła

— Jak -wejdiesz na górę, napotkasz drzwi — powiedział. ■—• Naciśniesz klamkę i wejdiesz do miradoru. My będziemy czekać na ciebie u mnie w pokoju

Odszedł, a ja zostałem z latarką w ciemnej graciarni. Serce tłukło mi jak młotem. Pytałem sam siebie, dlaczego mam popełnić to szaleństwo i kto, jeśli nie własna duma, może mi wydać taki rozkaz, ale po chwili postawiłem nogę na pierwszym stopniu. Wchodziłem z rosnącym wciąż przerażeniem i tak powoli że mnie samego to zawstydzalo. Ale wchodziłem.

Istotnie, schody kończyły się niewielkim podestem i drzwiami prowadzącymi do mieszkania staruszki. Wiedziałem wprawdzie, że jest prawie bezwładna, pomimo to tak bardzo się bałem, że oblewał mnie pot i omal nie dostałem rozstroju żołądka. Ale cofnąć się już nie mogłem, lepiej więc było mieć to jak najszybciej za sobą.

Ostrożnie nacisnąłem klamkę, starając się nie czynić najmniejszego szmeru, gdyż miałem nadzieję, że cała ta historia z pewnością okaże się mniej groźna, jeżeli wariatka się nie obudzi. Drzwi otworzyły się skrzypiąc — jak mi się zdawało — przeraźliwie. W pokoju panowała zupełna ciemność. Przez chwilę wahałem się, czy oświetlić latarką łóżko, gdzie leżała starucha, i zobaczyć, czy śpi, ale obawiałem się, że światło ją przebudzi. Jak jednak mdgłem wejść do tego nieznanego pokoju z zamkniętą w nim wariatką, nie sprawdzwszy przynajmniej, czy starucha leży, czy też stoi i na mnie patrzy? Z mieszaniną odrazy i lęku podniosłem w górę latarkę i oświetliłem pokój dookoła w poszukiwaniu łóżka

Omial nie zemdląłem- starucha nie spała, lecz stała przy łóżku i wpatrywała się we mnie przerażonymi

oczami. Starowińska była maleńka, chuda jak mumia, po prostu żywy szkielet. Jej wysuszone wargi wyrze-
kły coś, co, jak mi się zdawało, odnosiło się do Ma-
zorki, ale nie jestem tego pewien, gdyż zaledwie ujrza-
łem w ciemnościach jej postać, uciekłem ku wyjściu
i pędem pobiegłem schodami na dół. Kiedy znalazłem
się w pokoju Fernanda, padłem zemdlony.

Gdy odzyskałem przytomność, Georgina trzymała
w ramionach moją głowę i z oczu jej spływały ogro-
mne łzy. Dopiero po dobrej chwili uprzytomniłem so-
bie, co się stało, i ogarnął mnie straszny wstyd. Byłem
sam z Georgina. Fernando odszedł mruknąwszy jakąś
zjadliwą uwagę o moim tchórzostwie- to nie ulegało
wątpliwości.

— Ona nie śpi — wybełkotałem.

Georgina nic nie odrzekła, tylko cicho płakała.

Tych dwoje zaczęło stanowić dla mnie niezgłębioną
tajemnicę, która jednocześnie pociągała mnie i prze-
rażała. Byli jak gdyby ministrantami nieznanego
obrzędu, a ja nie rozumiałem jego znaczenia, lecz spo-
dziewałem się jakiegoś okrucieństwa

Czasem wyobrażałem sobie, że Fernando ze mnie
sztydzi, kiedy indziej, że zastawia na mnie diabelską
zasadzkę To rodzeństwo cioteczne żyło w izolacji od
całego domu, samotnie, jak król z jedynym poddanym
lub raczej jak najwyższy kapłan z jedynym wyznaw-
cą, a ja z chwilą przybycia stałem się jedyną ofiarą
ich mrocznego rytuału. Fernando gardził resztą świata,
odrzucał go z dumą, ode mnie zaś wymagał c z e g o ś ,
czego nie mogłem rozróżnić, lecz sądzę, że kierowały
nim jakieś mętne uczucia związane z niezdrową zmy-
słowością; podobnych uczuć doznawać mógł kapłan
Azteków, który na szczycie świętej piramidy wrywał
swej ofierze drżące, ciepłe serce Bardziej jeszcze nie-
rozumiałe, że i ja odczuwałem jakąś mglistą zmy-
słową rozkosz w tej mszy, do której służyła Georgina
jak przerażona hierofantka

Te zdarzenia bowiem były zaledwie początkiem
Byłem świadkiem wielu dziwnych i przewrotnych
obrzędów, zanim uciekłem zanim z bólem i ze stra-
chem pojąłem, że to biedne stworzenie wypełnia ślepo,
jak w hipnozie, rozkazy Fernanda

Teraz, po trzydziestu latach, wciąż jeszcze staram
się, a nie mogę. zrozumieć, jaki stosunek łączył tych - «*t»l

dwoje. Stanowili jak gdyby dwa przeciwstawne światy, choć niewątpliwie jednak jakimś sposobem łączyła ich wewnętrznie niezrozumiała, lecz potężna więź. Fernando panował nad Georginą, ale nie mógłbym twierdzić, że jedynie święty lęk wiązał ją z kuzynem; czasem zdaje mi się, że Georginą odczuwała dla niego litość. Litość dla takiego potwora? Tak, Nieraz uciekała przed jego diabelskimi wybrykami i widziałem, jak przerażona zalewała się łzami w jakimś ciemnym kącie domu w Barracas. Ale pamiętam też, że z matczyńską energią broniła go przed moimi atakami. „Nie wyobrażasz sobie, jak on cierpi” — powiadała. Dzisiaj, kiedy na trzeźwo zastanawiam się nad jego osobą i rozpatruję jego postęпки, muszę przyznać, że Fernando nie posiadał tej chłodnej obojętności, jaka podobno cechuje urodzonych zbrodniarzy; powiedziałem już, jak mi się zdaje, o moim wrażeniu, iż toczy jakąś chaotyczną, rozpaczliwą walkę wewnętrzną. Muszę jednak wyznać, że nie stać mnie na taką wielkoduszość, żebym mógł litować się nad tego rodzaju ludźmi jak Fernando. Wielkoduszość tę posiadała natomiast Georgina.

Spyta pan zapewne, jakiego rodzaju były jego cierpienia. Były liczne i najróżniejsze, fizyczne, umysłowe, a nawet duchowe. Te fizyczne i te umysłowe były wiadome. Cierpiał na halucynacje, miewał koszmarne sny, nagle popadał w omdlenie. Sam widziałem, jak stawał się naraz nieobecny, mimo że nie tracił przytomności; urywał rozmowę i nie reagował na nic, co działo się dookoła. „To mu minie”, powiadała mi wtedy Georgina, wpatrując się w niego z niepokojem. Opowiadała mi też, że mówił jej czasem: „Widzę cię, wiem że jesteś tu, przy tobie, ale jednocześnie jestem też gdzie indziej, bardzo daleko, w ciemnym, zamkniętym pokoju. Szukają mnie, chcą wykluć mi oczy, chcą mnie zabić”. Z najgwałtowniejszej egzaltacji wpadał w absolutną bierność i melancholię; stawał się wówczas ■—■ jak twierdziła Georgina — najbardziej bezbronną i bezradną istotą na świecie i jak małe dziecko trzymał się jej spódnicy.

Ja oczywiście nie widziałem go nigdy w takich poniżających sytuacjach, a przypuszczam, że gdybym był go widział, Fernando byłby zdolny mnie zabić. Ale opowiadała mi to Georgina, która sama nigdy nie kła-

mała, a sędzę, że Fernando, który w udawaniu był mistrzem, jakich mało, przed nią nigdy nie odgrywał komedii.

Mnie pokazywał się zawsze z najnieprzyjemniejszej strony. Uważał, że stoi iponad społeczeństwem i ponad prawem. „Prawo stworzone jest dla prostaków”, powiedział.

Z jakiejś niezrozumiałej dla mnie przyczyny pasjonował się pieniędzmi, lecz sędzę, że miały one dla niego inne znaczenie niż dla normalnych ludzi. Dla niego pieniądze miały jakąś wartość magiczną, kryły w sobie coś demonicznego, lubił nazywać je „złotem”. Tej dziwnej skłonności przypisać chyba należy jego pasję do alchemii i do czarnej magii. Najwyraźniej jednak objawiała się jego chorobliwość we wszystkim, co miało bezpośredni lub pośredni związek ze ślepymi. Osobiście stwierdziłem to (po raz pierwszy jeszcze w Capitan Olmos, podczas jakiejś przechadzki, kiedy nagle ujrzeliśmy idącego nam naprzeciw ślepcę, który grywał na bębnie w wiejskiej orkiestrze. Fernando był bliski omdlenia, oparł się o moje ramię i poczułem wtedy, że drży jak w febrze, a twarz jego zbladła i zeszywniała jak u nieboszczyka. Dłuższą chwilę nie mógł przyjść do siebie, musiał usiąść na skraju ścieżki, a później dostał ataku historycznego gniewu i zwy-myślał mnie, że podałem mu ramię, chroniąc go od upadku.

Pewnego zimowego dnia roku 1925 zakończy*} się w moim życiu ów okres oszołomienia. Wszedłem do pokoju Georginy i zastałem ją płaczącą na łóżku. Chciałem ukoić jej łzy, zapytać o ich przyczynę, lecz ona zdołała tylko wyjąkać wśród łez: „Odejdź, Bruno, chcę, żebyś odszedł i nigdy nie wrócił. Na miłość boską, odejdź!”

Znałem dwie Georginy: pierwszą słodką i kobiecą jak jej matka i tę drugą opętaną przez ciemne moce Fernanda. W tej chwili miałem przed sobą tę drugą Georginę, bezbronną i zaleknioną, która prosiła mnie, żebym odszedł i nie wrócił. Dlaczego? Jaką straszliwą prawdę chciała przede mną ukryć? Nigdy mi tego nie powiedziała, potem jednak z biegiem lat i z rosnącym doświadczeniem domyśliłem się i zrozumiałem. Naj-smutniejszy ze wszystkiego nie był ani strach Georginy, ani zniszczenie jej subtelnej, wrażliwej duszy- 393

przez szatańskiego ducha Fernanda; najsmutniejsze było to, że go Tcochała.

Nalegałem na nią w niemądry sposób, w końcu jednak pojąłem, że nie mogę, że nie mam prawa niczego zmieniać w tym małym zakątku świata, gdzie kryła się zapewne jakaś fatalna tajemnica.

Nie widziałem Fernanda do roku 1930.

Nie jest trudno przewidywać przeszłość, mawiał on zjadliwie. Teraz, po trzydziestu prawie latach, drobne wydarzenia ówczesne, na {pozór przypadkowe i błahe, odsłaniają mi swe -znaczenie; podobnie jak dla człowieka, który skończył czytać długą powieść, kiedy losy jej bohaterów dobiegły kresu (jak śmierć kładzie kres życiu), zwyczajne słowa, jak na przykład: „Aleksy Karamazow był trzecim synem właściciela ziemskiego w naszej guberni”, nabierają głębokiego, tragicznego nieraz znaczenia. Nigdy nie wiadomo przed końcem, czy coś, co się nam pewnego dnia przytrafiło, jest wynikiem ciągu zdarzeń, czy prostym przypadkiem, czy jest wszystkim (choć wydaje się rzeczą zwyczajną), czy niczym (choć jest bolesne). Po wielu latach oddalenia najmniej znaczące fakty postawiły mnie znowu na drodze Fernanda, jak gdyby jego obecność w moim życiu była nieunikniona; wszystkie moje wysiłki, żeby na zawsze stracić go z oczu, speliły na niczym.

Wspominam dawne czasy i przychodzą mi na myśl słowa: szachy, Capablanca i Alechin, Al Jolson, Deszczowa piosenka, S a c c o i Vanzetti, Sandino i Nicaragua.

Co za dziwna, melancholijna mieszanina! Czyż jednak istnieje jakikolwiek zespół słów związanych ze wspomnieniem naszej młodości, który nie byłby dziwny i pełen melancholii? Cokolwiek słowa te przywodzą mi na pamięć, łączy się z tym twardym, lecz urzekającym okresem, kiedy to życie kraju i nasza własna egzystencja miały ulec gruntownej zmianie. Z okresem tym nieuchronnie wiąże się obecność Fernanda, jak gdyby był niejasnym symbolem owej epoki i zarazem najpotężniejszą przyczyną moich przemian. W roku 1930 bowiem nastąpił jeden z krytycznych momentów mojej egzystencji- początek rozprawy z życiem Wszystko zaczęło się chwiać pod moimi stopami: sens mojego własnego życia, sens istnienia ojczyzny tudzież gatun-

ku ludzkiego w ogólności kiedy bowiem sprawujemy sąd nad własnym życiem, niechybnie wydajemy wyrok na całą ludzkość. Choć mógłbym również powiedzieć, że dlatego tylko ferujemy wyroki na całą ludzkość, iż zgłębiliśmy do dna własną świadomość.

Było to lato dramatycznych porywów. Myślę na przykład o Carlosie (prawdziwego jego nazwiska nie znałem). Do dzisiaj wspominam ze wzruszeniem tego chłopca pochylonego nad broszurą za trzydzieści centavos i widzę, jak z ogromnym wysiłkiem sylabizuje ściskając skronie pięściami, jak gdyby w pocie czoła wykopywał spod ziemi czarodziejską skrzynkę, gdzie jakoby ukryty był klucz do jego nieszczęsnego życia, krytyczny komentarz do cierpień młodego robotnika. Ojczyzna! Czyja ojczyzna? Miliony ich przybyły z hiszpańskich jaskiń, z Pirenejów, z nędznych wiosek Italii. Pariasi ze wszystkich krańców świata, stłoczeni pod pokładem, snują jednak marzenia: tam czeka ich wolność, tam przestaną być jucznymi zwierzętami! Ameryka! Mityczna kraina, gdzie 'pieniądze leżą rozsypane na ulicy! A 'później ciężka praca, nędzne zarobki, dwunasto- i czternastogodzinny dzień pracy. Dla znacznej większości tak wyglądała naprawdę Ameryka: nędza i łzy, poniżenia, ból i tęsknota. Jak dzieci oszukane bajką o dobrej wróżce i wzięte w niewolę. I wtedy oni albo ich synowie kierują wzrok 'ku innej utopii, ku ziemi przyszłości, o której opowiadały książki gwałtowne, lecz ipelne czułości dla nich, dla nędzarzy; książki, które mówiły im o ziemi i a wolności i nakłaniały do buntu. Wiele krwi spłynęło wówczas ulicami Buenos Aires, wielu mężczyzn, kobiet, a nawet i dzieci tych nędzarzy zginęło w 1905 roku, w 1908, w 1910 „Stulecie ojczyzny? Czyjej ojczyzny? — pytał Carlos z ironicznym, bolesnym grymasem. — Ojczyzny nie ma, ja o tym wiem! Jest świat panów i świat niewolników". „Chleba i wolności!" — krzyczeli robotnicy, przybyli ze wszystkich stron świata, a przerażeni, wściekli panowie rzucali policję i wojsko 'przeciwko hołocie I jeszcze więcej krwi, i na nowo strajki i manifestacje, i znowu zamachy i bomby. Podczas kiedy panicz studiował w jakimś liceum w Szwajcarii, w Anglii lub we Francji, syn bezimiennego robotnika pracował w chłodni za pięćdziesiąt centavos dziennie, marzył w zimnym pomieszczeniu i w końcu umierał na

gruźlicę w jakimś cuchnącym szpitalu. Tamten czytał Keatsa i Baudelaire'a, ten zaś z mozolem, jak wtedy Carlos, odczytywał teksty Małatesty lub Bakunina. Aż wybuchła Wielka Rewolucja! Nadchodził Złoty Wiek! Wykłęty, powstań, ludu ziemi! Apokalipsa Potężnych. I nowe pokolenia ubogich młodzieńców i niesfornych zbuntowanych studentów czytały Marksa i Lenina, Gorkiego i Kropotkina. Jednym z nich był ów Carlos; jakbym go miał przed sobą, jakby nie minęło trzydzieści lat, widzę go, jak z uporem wczytuje się w te książki. Teraz wydaje mi się on symbolem epoki finansowego krachu z roku 1930, kiedy to Religia Nieokreślonego Postępu wraz z jej świątyniami przy Wall Street zaczęła chylić się ku upadkowi. Wspaniałe banki - chwiały się w posiadach, ciężki przemysł runął i dziesiątki milionerów popełniło samobójstwo. A kryzys owej bezczelnej religii laickiej z metropolii rozlał się olbrzymią falą aż po najdalsze krańce planety. I kiedy w Argentynie upadł Yrigoyen, długie kolejki wyczekiwały w ludowych garkuchniach, drobni urzędnicy bez posady słuchali w ekstazie gorzkiej melodii tanga, na Avellaneda rozpanoszyły się domy publiczne i jaskinie gry. Wybiła godzina barów automatycznych i sutenerów.

Nędza i brak wiary objęły w posiadanie olbrzymie miasto. Alfonsi, bandyci, lustrzane salony gry, pijacy i włóczęgi, bezrobotni żebracy, dziewczki po dwa pesos. I jak świetlani posłańcy Kary i Nadziei, owi mężczyźni i młodzi chłopcy, co schodzili się w spelunkach przygotowując rewolucję.

A więc Carlos.

Był ogniwem tego łańcucha, co na nowo zaprowadził mnie do Fernanda, chociaż on sam wkrótce odstąpił od niego jak święty od diabła. Może i pan również go znał, gdyż utrzymywał kontakt z grupą anarchistów w La Pląta; toodaj że przypominam sobie, iż przy jakiejś sposobności o panu wspomniał. Zdaje mi się, że gorzkie doświadczenie z Fernandem odrzuciło go od anarchizmu i skierowało w stronę ruchu komunistycznego; chociaż co prawda, jak może pan sobie wyobrazić, sam ten fakt nie mógł zmienić jego mentalności; pozostała ona taka, jaka była przedtem. Mentalnością jego można wytłumaczyć to, że wykluczono go z ruchu komunistycznego pod zarzutem terroryzmu.

Do roku 1938 straciłem go z oczu. Usłyszałem o nim dopiero w zimie tegoż roku, kiedy do Paryża zaczęli napływać mężczyźni i kobiety, którym po klęsce w Hiszpanii udało się przekroczyć Pireneje. Paulina (biedna Paulina), którą często ukrywałem u siebie w pokoju przy rue des Ecoles, opowiedziała mi o śmierci Carlosa. Wraz z innym Argentyńczykiem zginął w czołgu śmiercią żołnierza. Czy stał się trockistą? Paulina tego nie wiedziała; widziała go tylko jeden raz: był mrukliwym i jak zawsze samotnym, nieprzeniknionym stoikiem. Jak postaniec, który nie zna treści listu, tak ów nieznany chłopiec miał być tym, który jeszcze raz postawi mnie na drodze Fernanda.

W ostatnich dniach stycznia 1930 roku, po wakacjach spędzonych w Capitan Olmos, wróciłem do Buenos Aires, by zapisać się na wydział prawa. Zainstalowałem się w pensjonacie przy ulicy Cangallo i siłą przyzwyczajenia, nieomal machinalnie, natychmiast skierowałem kroki do kawiarni „La Academia”. Dlaczego tam poszedłem? Chciałem spotkać znajomych, zwłaszcza Alonsa, pokibicować im przy wiecznej grze w szachy, słowem, ujrzeć to samo co zawsze. Wówczas bowiem nie rozumiałem jeszcze, że przyzwyczajenie nieraz zawodzi, że machinalne kroki nie zawsze prowadzą do tej samej rzeczywistości; nie wiedziałem jeszcze, że rzeczywistość jest pełna niespodzianek i na dłuższą metę bywa tragiczna.

Alonso grał z jakimś obcym. Nazywał się on Maks Steinberg. Może wydać się dziwne, że człowiek nieznajomy, niby to przypadkiem spotkany, zaprowadzi mnie do kogoś, kto urodził się w tej samej wsi, kto był członkiem rodziny tak ściśle związanej z moją. W tym miejscu muszę potwierdzić jeden z maniackich aksjomatów Fernanda: nie ma przypadków, jest przeznaczenie. Spotyka się tylko to, czego się szuka, a szuka się tego, co w jakiś sposób ukryte jest w najtajniejszej głębi naszego serca. Dlaczego bowiem spotkanie z tym samym człowiekiem dla jednego jest brzemienne w skutki, dla drugiego zaś stanowi mało znaczący epizod? Spotkanie z rewolucjonistą skierowuje jednego na drogę rewolucji, innego natomiast pozostawia obojętnym. Toteż wydaje mi się, że w końcu spotykamy tych ludzi, których mamy spotkać, i przypadek nie gra w tym wszystkim zbyt wielkiej roli. Owe spotkania,

które w życiu każdego z nas wydają się zdumiewające, jak na przykład moje spotkanie z Fernandem, są tylko skutkiem działania nieznanymi sił, które poprzez obojętny tłum zbliżają nas wzajemnie, tak jak bieguny potężnego magnesu przyciągają z daleka opyłki żelaza. Opyłki dziwiłyby się takiemu przyciąganiu, gdyby posiadały świadomość swoich ruchów, nie będąc jednak w pełni świadome całokształtu rzeczywistości. Tak oto zdążamy, trochę jak lunatycy, ale i z taką samą jak lunatycy pewnością, ku istotom przeznaczonym nam od początku.

Nasunęły mi się te myśli, gdyż zamierzałem właśnie opowiedzieć panu, że do chwili, kiedy spotkałem Carlosa, życie moje niewiele różniło się od życia innych studentów; że miałem takie same typowe problemy i te same złudzenia, że, jak inni chłopcy w moim wieku, przeżywałem moją pierwszą miłość i podobnie jak inni wygłupiałem się na lekcjach i w pensjonacie. Ale zanim jeszcze napisałem te słowa, zrozumiałem, że nie jest to wcale takie pewne; że dam panu mylne pojęcie o okresie, który poprzedzał owo spotkanie, i że z tego powodu spotkanie to może panu wydać się dziwne. Tak się jednak przeważnie dzieje, że kiedy do głębi poznajemy okoliczności, wśród których miało miejsce jakieś na pozór niezwykle zdarzenie, przestaje ono nas dziwić.

W istocie w ciągu owych pięciu lat żyłem zafascynowany rodziną Olmosów, nie mogłem wyrugować z pamięci ani Anny Marii, ani Georginy, ani Fernanda, żyli oni na dnie mojej istoty i często ukazywali mi się we śnie. Pamiętam, że w roku 1925, jeszcze w Capitan Olmos, Fernando opowiadał mi nieraz, że zamierza zorganizować bandę zbójców i terrorystów. Sądzę obecnie, że ten jego pomysł, który wydawał mi się niedorzeczny, pozostał z pewnością wyryty w mojej podświadomości i zdecydował o moim zbliżeniu do grupy anarchistów, jak zresztą wiele innych myśli i obsesji Fernanda wywarło, choć o tym nie wiedziałem, wpływ na moje poczynania. Jak mówiłem, człowiek ten wywierał nieodparty i przeważnie zgubny wpływ na młodzież; jego myśli, a nawet jego manie pienily się wśród młodych ludzi, którzy stawali się w ten sposób jakąś mętną, tanią karykaturą tego demona. I teraz zrozumie pan, że moje powtórne spotkanie z Fernandem 3J98

nie było tak dziwne, jeżeli ze wszystkich osób, jakie poznawałem, wybierałem bezwiednie te, które przy-, bliżały mnie do Fernanda. Tak oto dowiedziawszy się, że Maks i Carlos są członkami grup anarchistów, natychmiast przyłączyłem się do nich, a. ponieważ każda z tych grup liczy zwykle niewielu członków i wszystkie są między sobą powiązane (chpć jak w, tym przypadku niezgodnością i wzajemną dezaprobatą), musiałem z konieczności spotkać się z Fernandem.

Spyta pan zapewne, dlaczego, jeżeli taki był mój cel, nie odwiedziłem Fernanda w domu, w Barracas? Odpowiem na to, że spotkanie Fernanda bynajmniej nie było moim celem, była to raczej obsesja, dp której wstydziłem się przyznać; przeciwnie, mój rozsądek i moja świadomość wzbraniały się przed spotkaniem, z tym złośliwym indywiduum, które mogło mi przynieść i istotnie przyniosło tylko niepokój i ból.

Istniały inne jeszcze czynniki sprzyjające tym nieświadomym zabiegom- Powiedziałem już chyba, że wcześniej straciłem matkę i że w dodatku wysłali mnie, na studia do wielkiego miasta, daleko od domu. Byłem sam, byłem nieśmiały i niestety fatalnie wrażliwy. Świat wydawał mi się chaosem pełnym zła, niesprawiedliwości i cierpienia. Jak tu nie szukać ucieczki w samotność, w daleki powieściowy świat fantazji? Nie muszę chyba wspominać, że uwielbiałem Schillera i jego *Zbójców*, Chateaubrianda i jego amerykańskich bphaterów, Goetza von Berlichingen. Byłem przygotowany do czytania powieści rosyjskich i może byłbym je już dawno przeczytał, gdybym nie był synem burżuja, ale pochodził, jak wielu innych chłopców, których poznałem później, z ubogiej rodziny robotniczej; dla tym młodzieńców bowiem rewolucja rosyjska była wielkim osiągnięciem naszej epoki, wielką nadzieją.

Tak czy inaczej, w, roku 1929 zdałem maturę. Jak, dziś pamiętam tych kilka dni po egzaminach, kiedy szkołę zaległy cisza i smutek, jak zwykle podczas wakacji, gdy chłopcy porozjeżdżają się do domów. Zapragnąłem ujrzeć po raz ostatni to miejsce, gdzie przeżyłem pięć bezpowrotnych lat. Usiadłem na kamiennej ławce w ogrodzie szkolnym i pogrążyłem się w zadumie, a potem zbliżyłem do drzewa, na którym przed kilkoma laty jako niedorostek wyryłam moje inicjały: 3-99,

B. B. 1924. Jakież byłem wówczas samotny! Jaki bezbronny i smutny, ja, chłopezyzna ze wsi, w obcym ogromnym mieście!

Po kilku dniach wyjechałem do Capitan Olmos. Miały to być ostatnie wakacje, jakie spędziłem w mojej wsi. Ojciec zestarzał się, ale nadal był oschły i surowy. Czułem się daleki od niego i od braci, moją duszą miotaly niejasne porywy, ale nie wiedziałem dobrze, czego pragnę. Nie rozumiałem, że cel moich pragnień znajduje się w pobliżu, pomimo że moje sny i obsesyjne krążenie dookoła domu Olmosów mogły mi to wyjaśnić. Podczas tych wakacji nie widziałem mojej wioski, chociaż na nią patrzyłem. Musiało prze-minąć wiele lat, zanim w jakiś sposób odzyskałem ojca i rodzinną wieś; spadł na mnie niejedyn cios, wyzbyłem się wszelkich złudzeń, poznałem mnóstwo ludzi; droga bowiem do tego, co najbliższe, jest długa i okrężna, a wiedzie przez obce istoty i dalekie światy. Tak i ja odzyskałem mojego ojca, ale, jak to niemal zawsze się zdarza, kiedy było już za późno. Gdybym był wówczas przeczuwał, że ostatni raz widzę go w zdrowiu, gdybym był odgadł, że w dwadzieścia pięć lat później ujrzę nędzną kupkę kości i trzewi patrzącą na mnie oczami prawie już obcymi temu światu, byłbym usiłował zrozumieć tego człowieka surowego, ale dobrego, oschłego, lecz o czystym sercu. Za późno, niestety, staramy się zrozumieć tych, co są obok nas, a kiedy zaczynamy nabierać pojęcia o trudnym zawodzie, jakim jest życie, przychodzi nam umierać i okazuje się, że odeszli już ci, wobec których najgoręcej pragnęlibyśmy nabytą wiedzę zastosować.

Kiedy wróciłem do Buenos Aires, nie wiedziałem zgoła, jakie wybrać studia. Chciałem wszystkiego, a może nie chciałem niczego. Lubiałem malować, pisywałem opowiadania i wiersze. Czyż to był zawód? Czy można było powiedzieć komuś na serio, że pragnie się zostać malarzem albo pisarzem? Czyż nie było to raczej rozrywką dla człowieka bez zajęcia i bez odpowiedzialności? Wszyscy inni wyglądali tak solidnie, zainstalowali się na wydziale medycznym lub inżynieryjnym, uczyli się leczyć szkarlatynę i budować mosty, a ja nie mogłem się zdecydować i sam przestałem traktować poważnie moje zainteresowania. Z samego wstydu wstąpiłem więc na wydział prawa, jakkolwiek w głębi 400

duszy byłem przekonany, że nigdy nie będę nadawał się na adwokata.

Odchodzę od tematu, który pana interesuje, ale nie mogę opowiadać o ludziach dla mnie tak ważnych, nie wspominając przy tym o moich ówczesnych uczuciach. Albowiem tylko moje własne cierpienia i uczucia sprawiły, że osoby te miały dla mnie tak wielkie znaczenie.

Powróćmy więc do Maksa.

Podczas gdy kończył partię szachów, przypatrywałem mu się z zainteresowaniem. Był jednym z owych łagodnych, trochę powolnych Żydów, ze skłonnościami do tycia. Miał gruby orli nos, ale w całości twarz jego o wysokim czole miała w sobie coś szlachetnego. Pogodny, a przy tym myślący i poważny wyraz twarzy pasowałby raczej do człowieka dojrzałego, otrząsnętego z życia. Ubrany był niechlujnie: przy marynarce brakowało guzików, krawat był nieporządnie związany, wszystko na nim wyglądało jak włożone na prędcę, byle nie pokazać się nago na ulicy. Przekonałem się później, że był zupełnie pozbawiony zmysłu praktycznego, że nie miał najmniejszego pojęcia o gospodarowaniu pieniędzmi: w kilka dni po otrzymaniu miesięcznej pensji, którą szastał na prawo i na lewo, musiał zastawiać książki i ubranie, a pierścionek, podarek od matki, stale leżał w lombardzie. Gdy poznałem jego rodzinę, stwierdziłem, że miał ojca równie łagodnego i równie niepraktycznego jak on sam. Zarówno ojciec, jak i syn byli żywym zaprzeczeniem tego, co pewni ludzie uważają za typowo żydowskie: obaj pozbawieni zmysłu praktycznego, obaj lekkomyślni (przyjemnie, pogodnie lekkomyślni), obaj zgodliwi i przyjacielscy, kontemplacyjni i leniwi, bezinteresowni i absolutnie niezdolni do zarabiania pieniędzy — nie-realni marzyciele. Później, kiedy zacząłem bywać u niego w pensjonacie, miałem sposobność przekonać się, w jakim żył bałaganie: spał o dowolnej porze, jadł byle co leżąc w łóżku; w tym celu przygotowywał sobie na stoliku nocnym ogromne kanapki z salami albo z serem, wypijał olbrzymie ilości matę lub dla odmiany palił papierosy. Na tym samym rozbebeszonym legowisku uczył się na wpół ubrany lub na kieszonkowej szachownicy odtwarzał słynne partie szachów, zaglądając przy tym co chwila do książek albo do specjalnych czasopism.

401

Przez tego to młodzieńca poznałem Carlosa, jak gdybym przez chwiejącą się kładkę grożącą lada chwila zawaleniem przeszedł na twardy kamienisty grunt, na kontynent z 'bazaltu, gdzie dymią potężne wulkany. Później miałem nieraz sposobność przekonać się, że pewni ludzie służą jedynie za pomost dla innych dwóch osób, które potem nawiążą z sobą ścisłą głęboką łączność; są oni jak prowizoryczne mosty, budowane w celach strategicznych, które burzy się po spełnieniu zadania.

Spotkałem go pewnego wieczora u Makska. Zamilkli, kiedy wszedłem do pokoju. Maks przedstawił go, ale usłyszałem tylko jego imię; mam wrażenie, że nazwisko brzmiało po włosku. Był bardzo szczupły, o wylupiających oczach. Twarz jego i ręce cechowała jakaś kanciastość i szorstkość, zdawało się też, że gwałtownie opanowuje się i skupia. Niemało chyba wycierpiał, a prócz widocznego ubóstwa miał zapewne mnie jeszcze przyczyny duchowej męki i cierpienia. Kiedy później zastanawiałem się nad nim, jako że dzięki swoim kontaktom z Fernandem wzbudził we mnie żywe zainteresowanie, wydał mi się czystym umysłem, jak gdyby jego ciało spaliło się w gorączce i została z niego tylko skóra i odrobina kości oraz nieliczne, ale za to bardzo twarde mięśnie, żeby mógł się poruszać i znieść napięcie swojego życia.

Milczał, lecz oczy jego miotają błyskawice, a wargi, niby wycięte nożem w nieruchomej twarzy, zaciskały się kryjąc ważne, niepokojące tajemnice.

W owym czasie dziwiła mnie przyjaźń Carlosa z Makssem. Za młody byłem, żeby rozumieć, że niczemu, co ludzkie, nie należy się dziwić; jeśli prawdą jest — jak twierdzi Platon — że wiedza rodzi się ze zdziwienia, to jest również prawdą, że "wiedza zabija zdziwienie. Teraz rozumiem, że Maks posiadał odpowiednie warunki do tej na pozór dziwnej przyjaźni: wielką dobroć, która powinna była łagodzić umysłowe napięcie Carlosa, jak woda łagodzi pragnienie człowieka na pustyni, oraz delikatność, dzięki której potrafił bez zbytnych wstrząsów łączyć ludzi tak twardej, a tak różnych jak Carlos i Fernando; sam działał przy tym jak amortyzator. Ponadto żadna policja świata nie mogłaby wpaść na pomysł, że człowiek taki jak 402

Maks utrzymuje stosunki z anarchistami i z bandytami.

Tyle o Carlosie. Co zaś do Fernanda, to zrazu podejrzewałem, później zaś stwierdziłem, że działała u niego pobudka zgoła odmienna: matka Maksa. Nie wiem, czy już powiedziałem, że wykazywał on osobliwe skłonności do dwóch rodzajów kobiet: do bardzo młodych i do dojrzałych. A ponieważ posiadał niezwykle talent odgrywania komedii, potrafił uwieść zarówno naiwne, sentymentalne dziewczątko, jak kobietę posiadającą szeroką i na ogół gorzką znajomość mężczyzn. Jeżeli najprawdziwszą twarz posiada człowiek wtedy, kiedy jest sam, to prawdziwa twarz Fernanda musiała być okrutna i bezlitosna, jak wyżłobiona nożem; lecz podobnie jak właściciel sklepu, choć ma jakieś zmartwienie, może (i powinien) oczywiście przybrać przed kupującym miły wyraz twarzy, tak Fernando umiał organizować na powierzchni swojej twarzy najdoskonalszą imitację czułości, zrozumienia, romantyzmu lub prostoduszności, zależnie od klienta. Wspierała go przy tym zupełna pogarda dla rodzaju ludzkiego, a zwłaszcza dla kobiety, a w ponurej tej komedii nie tylko chyba znajdował najlepszy sposób zadowolenia zmysłów, ale także jeden ze sposobów gardzenia sobą samym. Sztydził z uproszczonych teorii o kobietach, zawartych w pewnych komunałach; drwił sobie zarówno z tych, co uważają, że kobieta jest romantyczna i że należy ją zdobywać przy świetle księżyca, jak i z tych, co sądzą, że należy nią poniewierać. Jego zdaniem jednej kobiecie potrzeba wiązanek kwiatów, drugiej uderzenia w twarz, innej jeszcze (a czasem tej samej, zależnie od okoliczności) jednego i drugiego. Ale na dłuższą metę poniewierał nimi wszystkimi, czasem w sposób okrutny, na przykład ziewając w kulminacyjnym momencie aktu płciowego.

Matka Maksa miała w owym czasie jakieś czterdzieści kilka lat. Pomimo iż była Żydówką o ciemnych włosach, wygląd miała typowo słowiański. Nie wiem, czy była piękna, ale niewątpliwie była interesująca: począwszy od jej wyrazistych, płonących namiętnością oczu, skończywszy na dziejach jej życia. Nie muszę więc chyba dodawać, że Maks niczym nie przypominał matki, odziedziczył natomiast fizyczne i umysłowe cechy ojca.

Nadia była urzekająca, a może urzekła mnie tak jej historia. Matka jej studiowała medycynę w Petersburgu i wraz z Wierą Figner była jedną z założycielek ruchu Narodnaja Wola. Jak wielu innych, porzuciła studia dla propagowania rewolucji wśród chłopstwa, a kiedy carat po kilku zamachach wszczął represje, udało jej się uciec. Przyłączyła się do grup rewolucyjnych w Zurychu, wyszła za młodego wygnańca nazwiskiem Isaiew i z małżeństwa tego urodziła się Nadia. Nadia miała niespokojne dzieciństwo i młodość: rodzice jej tułali się po całej Europie, w końcu powrócili do Szwajcarii, gdzie Nadia wyszła za wiecznego studenta medycyny, niejakiego Steinberga. Wyjechała z nim do Argentyny, ukończyła tam studia lekarskie i z energią walczyła o chleb dla rodziny.

Ze swą tatarską nieco urodą, z ciemnymi włosami, przedzielonymi pośrodku głowy i upiętymi nad karkiem w węzeł, Nadia wyglądała jak bohaterka jakiegoś rosyjskiego filmu.

— Z jakiej sfery Żydów pochodzi pani? — ośmieliłem się pewnego razu zapytać.

— Pochodzimy z pogromów — odpowiedziała mi z uśmiechem.

Dopiero po kilku latach, kiedy nabrałem głębszego doświadczenia w obcowaniu z Żydami, zwróciłem uwagę na pewne oznaki, nieomylnie świadczące o jej pochodzeniu.

Mogła raptem wzruszyć ramionami albo uczynić minimalny gest ręką — oznaki te spotyka się często u Żydów z jej sfery: twarze o typie słowiańskim lub tatarskim, herbata ze starych rodzinnych samowarów, uwielbienie dla Puszkina, Gogola albo Dostojewskiego (czytanych w oryginale) i raptem, kiedy przywykło się do nich jak do półmroku w słabo oświetlonym pokoju, pod dobrze znanymi rysami twarzy zaczyna się zauważać pewne cechy znamienne dla tej tysiącletniej rasy. Nie zawsze są to cechy fizyczne, czasem jest to ledwo dostrzegalny zarys uśmiechu czy tonacji głosu albo nawet sposobu myślenia lub postępowania. Na mocnej słowiańskiej twarzy pojawi się nagle smutny uśmieszek i oto spod pozornej tężyzny wyłania się słaba dziewczyna, która boi się, że ją napadną. Kiedy indziej Nadia wzrusza ramionami — oznacza to pewien

nie pozbawiony ironii brak zaufania do świata go-
iów, jakieś bolesne rozczarowanie i zamilkłe wspo-
mnienia tragicznych przeżyć. Owe rysy fizyczne oraz
właściwości umysłu wyłaniające się ledwo widocznie
spod słowiańskiej maski, niczym cieńsze, delikatne kre-
ski, którymi rysownik uzupełnia pierwotny szkic, obja-
wiają się również w pewnej osobliwej formie, jaką Żyd
nadaje swemu rozumowaniu. Wbrew ogólnemu przy-
puszczeniu niewiele ma to wspólnego ze ścisłym rozu-
mowaniem; logika bowiem polega na stwierdzeniu, że
A jest A, Żyd natomiast woli stwierdzić to w formie
pytania: „Dlaczego A nie ma być A?” I wzru-
szy przy tym ramionami, jak gdyby w tej sprawie
zrzucił z siebie odpowiedzialność, gdyż nigdy nie wia-
domo, jak i kiedy mogą się zacząć prześladowania.
Owo wzruszenie ramionami, ten minimalny ruch ręki,
to zmarszczenie brwi barwi, zniekształca i przekręca
prawo tożsamości gmatwaniną uczuć, ukrytą ironią,
niejasnymi uwagami i przemilczeniami, dzięki czemu
Żydzi tak są dalecy od czystego racjonalizmu, jak
Proustowska analiza uczuć daleka jest od traktatu filo-
zoficznego.

Maks nawiązał stosunki z Femandem w pewien so-
botni wieczór roku 1928 w robotniczej czytelnicy „Świt”
w dzielnicy Avellaneda, gdzie Gonzalez Pacheco miał
wygłosić odczyt na temat: „Anarchizm i gwałt”.
W owym czasie problem ten był zawzięcie dysku-
towany, szczególnie w następstwie zamachów i napadów
Di Giovanniego. Dyskusje te były niebezpieczne, gdyż
wielu z obecnych miało przy sobie broń, a anarchiści
dzielili się na frakcje, które się nawzajem śmiertelnie
nienawidziły. Błędem bowiem byłoby sądzić —• jak to
często wyobrażają sobie ludzie, którzy patrzą na ruch
rewolucyjny z daleka lub od zewnątrz — że wszyscy
jego uczestnicy stanowią pewien ściśle określony typ
człowieka; analogiczny błąd perspektywiczny popeł-
niamy przypisując jakieś ściśle określone cechy wszyst-
kim Anglikom lub twierdząc, że wszyscy Japończycy
są tacy sami. a czynimy tak wskutek tego samego me-
chanizmu psychologicznego, dzięki któremu zauważa-
my z daleka przede wszystkim pewne rysy wspólne
(one bowiem pierwsze wpadają powierzchownie
w oko). I na odwrót, mechanizm ten każe nam do-
strzegać różnice wtedy, kiedy znajdujemy się we-

wnętrz danej społeczności, ważne bowiem są dla nas wówczas cechy rozróżniające.

W czytelnicy spotykali się najrozmaitsi ludzie. Przychodzili tam wyznawcy Tołstoja, którzy jako wrogowie wszelkiej gwałtownej śmierci nie jadal mięsa, a byli wśród nich liczni esperantyści i teozofowie; przychodzili tam także zwolennicy gwałtu w każdej jego postaci, bądź uważając za słuszne przeciwstawiać się państwu prowadzącemu jawną walkę przy użyciu siły zbrojnej, bądź jak w przypadku Podesty, dając w ten sposób upust swym sadystycznym instyktom. Bywali tam również intelektualiści albo studenci, jak Fernando, którzy dostali się do ruchu poprzez Stirnera i Nietzschego; wśród tej grupy przeważały jednostki skrajnie aspołeczne i najczęściej kończące jako stronnicy faszystów. W czytelnicy schodzili się też robotnicy półanalfabeci; do anarchizmu przyciągało ich instyktownie poszukiwanie nadziei. Inni wyżywali się tym sposobem w swojej nienawiści do pracodawcy albo do społeczeństwa, lecz w końcu, jeśli tylko udało im się zdobyć trochę pieniędzy, sami przeistaczali się w bezlitosnych pracodawców albo w członków korpusu policyjnego. Niemal było jednak wśród anarchistów ludzi uczciwych, dobrych i wielkodusznych, którzy mimo to, w imię sprawiedliwości, nie wahał się dokonywać zamachów i zabijać. Równie dobrze spotkać można było darmozjadę, który pod maską anarchisty używał świata do woli, jadł i spał u towarzysza i przy sposobności okradał go lub zabierał mu żonę, a jeżeli za swoje sprawki usłyszał nieśmiałą wymówkę, odpowiadał wzgardliwie: „Co z was, towarzyszu, za anarchistę”. Niekiedy zachodził do czytelnicy włóczęga, zwolennik życia na swobodzie, miłośnik słońca i szerokich przestrzeni, co z tobołkiem na plecach wędrował po świecie głosząc dobrą nowinę. Tu pomógł przy żniwach, tam naprawił jakiś młyn albo pług, a wieczorem w chłopskiej stodole nauczał analfabetów czytać i pisać i w prostych, lecz żarliwych słowach zapowiadał nadejście nowego społeczeństwa, które nie będzie znało poniżenia i nędzy. Bywało, że wyjmował z tobołka książkę i odczytywał na głos stronic dzieł Malatesty albo Bakunina, a słuchacze utrudzeni pracą od świtu do nocy i upałem, przycupnąwszy na ziemi lub przysiadłszy na skrzynce po nafcie, popijali matę i wspo-

minając może jakąś daleką wioskę włoską albo polską snuli marzenia o lepszym życiu. Pragnęli wierzyć, podobnie jak ludzie otepiali od doczesnych nieszczęść pragną wierzyć w istnienie pozagrobowego raju. Był zapewne wśród tych chłopów niejeden Argentyńczyk, z tych dumnych, co tęsknią za swobodnym życiem na szerokiej pampie, bez ogrodzeń z kolczastego drutu; chłopski indywidualista, przeświadczony, że Bóg stworzył dla wszystkich na równi ziemię i gwiazdziste niebo, stawał się na zawsze już gorliwym wyznawcą owych dalekich apostołów o dziwnych nazwiskach i z zapalem przyswajał sobie naukę dobrej nadziei. Wielu takich Argentyńczyków spotykałem w anarchistycznych syndykatach portowych i na placach chłodni. Pamiętam, był między nimi niejaki Vallejos. Pewnego razu zemdlął on z głodu na ulicy i policjant, który brał od niego dane, znalazł przy nim banknot stu pesos. Zapytany, dlaczego mając tyle pieniędzy mdleje z głodu, Vallejos odpowiedział ze spokojem i godnością: „Te pieniądze są własnością syndykatu”. Tak, byli tacy anarchiści jak Vallejos. Ale byli też i tacy jak Di Giovanni, który za zrabowane pieniądze opublikował co prawda wszystkie dzieła Reclusa, ale pod koniec życia chodził w jedwabnych koszulach. Za to „bandyci” jak Ascaso i Durruti byli skrupulatnie uczciwi. Aż do śmierci, którą ponieśli na wojnie hiszpańskiej przy karabinach maszynowych, nie zachowali dla siebie ani grosza ze swych napadów.

Tacy oto najrozmaitsi ludzie brali udział w owych dyskusjach, a kierowały nimi tak różne pobudki, jak różne były ich uczucia i charaktery.

Zdarzyło się pewnego wieczora w roku 1928, że pewien szewc, wyznawca Tolstoja, zabrał głos twierdząc, że w imię anarchizmu nie wolno nikogo zabijać, że nawet życie zwierząt jest rzeczą świętą i że z tego powodu on sam żywi się jarzynami. Na to odpowiedział mu jakiś może siedemnastoletni młodzieniec, wysoki i smagły, o zielonych oczach i ironicznym, oschłym wyrazie twarzy:

— Być może, że jedząc sałatę, poprawicie funkcjonowanie swego żołądka, lecz nie sądzę, żeby w ten sposób udało się utracić burżuazję.

Wszyscy spojrzeli na nieznanego chłopca.

W obronie szewca inny entuzjasta Tolstoja przy-

toczył legendę o Buddzie, który chcąc nasycić głodnego tygrysa dał się przez niego pożreć. Zarepiikował mu z kolei któryś ze zwolenników sprawiedliwego gwałtu pytając, co uczyniłby Budda, gdyby ujrzał, że tygrys nie rzuca się na niego, ale na bezbronne dziecko. Po czym dyskusja przybrała formę burzliwą i sarkastyczną, nie brakło też wypowiedzi poetycznych, oskarżycielskich, namiętnych i brutalnych, zależnie od temperamentów, wykazując jeszcze raz, że społeczeństwo bezklasowe i pozbawione problemów socjalnych może okazać się, podobnie jak to oto, gwałtownie skłócone. Przytaczano wciąż te same argumenty, wywoływano te same wspomnienia: czy nie słuszne było zamordowanie naczelnika policji, winnego masakry z roku 1909? Czyż nie należało pomścić śmierci ośmiu i ran czterdziestu proletariuszy? A czy wśród ofiar nie było kobiet i dzieci? Były, z pewnością. Państwo burżuazyjne uzbrojone po zęby broni nieubłaganie swoich przywilejów, nie darując życia ani wolności; dla tych despotów dbających jedynie o utrzymanie swych przywilejów nie istnieje sprawiedliwość ani honor. Ale od bomb anarchistów nieraz giną ludzie niewinni. A ponadto, czy społeczeństwo można uczynić lepszym drogą gwałtu i zemsty? Czy anarchiści nie powinni być prawdziwymi nosicielami najlepszych wartości ludzkich: sprawiedliwości i wolności, braterstwa i szacunku dla człowieka? Czyż więc można dopuścić, aby w imię tych ■wzniosłych haseł zabijać Bogu ducha winnych kasjerów bankowych, mordować niewinnych ludzi dla uzyskania pieniędzy, w dodatku przeznaczonych na cele raczej wątpliwe?

W tym momencie dyskusja zakończyła się pośród głośnych krzyków i wyzwisk, a w końcu przy dobieciu broni. Dopiero Gonzalez Pacheco dzięki swemu talentowi krasomówczemu zdołał przywrócić spokój, przypominając obecnym anarchistom, że tego rodzaju właśnie usprawiedliwiają najgorsze oskarżenia ze strony burżuazji.

W takich to okolicznościach —• opowiadał mi Maks — poznał on Femanda. Zwróciło jego uwagę owo epigramatyczne powiedzenie, a także twarz Fernanda. Wyszli razem z czytelnikami, przyłączył się do nich niejaki Podesta, którego i ja poznałem później. Był to pierwszy krok do uformowania bandy jaką ów

podesta zamierzał zapewne zorganizować pod swoim dowództwem, ale dowództwo to nieuchronnie musiało przypaść w udziale Fernandowi.

Do Oswalda R. Podesta poczułem wstręt od pierwszej chwili. Było w nim coś niepewnego, coś śliskiego. Miał łagodny, niemal kobiecy sposób bycia, był stonkowo wykształcony, gdyż zanim przyłączył się do bandy Di Giovanniego, kończył czwarty rok studiów. Wywraçał oczyma i patrzył trochę z ukosa, w nieprzyjemny sposób. Z czasem, kiedy poznałem jego dzieje potwierdziło się moje pierwsze wrażenie: po rozstrzelaniu Di Giovanniego, kiedy zaczęto prześladować ruch całą mocą prawa wojennego, i po napadzie szajki Fernanda na kasjera domu bankowego „Braceras” uciekł w łodzi przemytników do Urugwaju, a potem dostał się do Hiszpanii. Zaczął tam działać jako terrorysta (w latach poprzedzających wojnę domową zginęło kilkuset ludzi), ale z jakiegoś nie znanego mi powodu został podejrzany o współdziałanie z policją. W dowód uczciwości zobowiązał się zabić, ikogo mu wskażą. Wskazano mu samego naczelnika policji w Barcelonie i Podesta zastrzelił go, czym. zdaje się. odnowił swój kredyt. Kiedy jednak wybuchła wojna domowa, dokonywał ze swoją bandą takich okrucieństw, że Federacja Anarchistów Iberyjskich wydała na niego wyrok śmierci. Dowiedziawszy się o tym Podesta i jego dwaj przyjaciele postanowili uciec z Terragony motorówką obładowaną kosztownościami i pieniędzmi, zostali jednak w porę zastrzeleni.

Nietrudno zrozumieć, że taki człowiek jak Podesta mógł znaleźć się w szajce Fernanda. Dziwne jednak, że młodzieniec taki jak Carlos związał się z tego rodzaju kompanią, chyba tylko jego niewinność może tłumaczyć ten fakt. Nie należy zresztą zapominać, że Fernando posiadał nieograniczoną siłę przekonywania i nietrudno mu zapewne było udowodnić Carlosowi, że jest to jedyny sposób walki przeciwko społeczeństwu burżuazyjnemu. Niemniej jednak Carlos odsunął się w końcu od nich z obrzydzeniem, dowiedziawszy się, że zrabowane podczas napadów pieniądze nie zasilają funduszu żadnego z syndykatów ani nie służą jako wsparcie dla rodzin uwięzionych lub deportowanych towarzyszy. Wystąpił wtedy właśnie, "kiedy dowiedział się, że Gatti nie otrzymał funduszków, które

Fernando zobowiązał się dostarczyć na ucieczkę z więzienia w Montevideo; a ponieważ z ucieczką nie można już było zwlekać, zorganizowano ją za pieniądze otrzymane pośpiesznie z innego źródła. Carlos ogromnie cenił Gattiego (sam to stwierdziłem), a to zdarzenie było dla niego prawdziwą rewelacją.

Przypomina pan sobie może ową słynną ucieczkę z więzienia w Montevideo, kiedy to czternastu skazańców wymknęło się przez ponad trzydziestometrowy tunel wykopany pod przewodnictwem Gattiego, znanego „inżyniera”. Tunel prowadził pod skład węgla mieszczący się naprzeciw więzienia, Gatti pracował metodą naukową używając busoli, map, małej koparki elektrycznej i wagonika ciągniętego linami po szynach, dla uniknięcia hałasu; ziemię gromadzono w workach niby to z węglem, odwożono je później ciężarówkami. Skomplikowane te i długie operacje wymagały ogromnych funduszy, po większej części pochodziły one z napadów. Ostatecznie — jak Fernando zwykł był z chytrą mawiać, a co pan rozumie — wszystko to było autofagia: organizowało się napady, aby wyciągnąć z więzienia anarchistów wiezionych za poprzednie napady.

Anarchiści posiadali dwa obfite źródła, skąd czerpali fundusze: napady i fałszerstwo. I jedno, i drugie było teoretycznie usprawiedliwione, jak bowiem twierdzą niektórzy ich teoretycy, własność jest rabunkiem, drogą napadu zaś społeczeństwo odzyskuje część tego, co jednostka niesłusznie sobie przywłaszczyła; przez emisję fałszywych banknotów nie tylko uzyskuje się środki na organizowanie uciezek i strajków, ale — zwłaszcza kiedy dzieje się to na wielką skalę — przyczynia się to do zrujnowania skarbu państwa i do rozkładu narodu. Kierując się historycznym przykładem Anglii, która pragnąc sabotować rewolucyjny rząd francuski wysyłała tam na kutrach rybackich swe słynne fałszywe banknoty, anarchiści przy niejednej sposobności dokonywali fałszerstw na wielką skalę. Była to urzekająca praca podziemna i w dodatku niezbyt trudna, jako że wielu bojowników wykazywało zdolności do grafiki. Di Giovanni zorganizował dużą pracownię graficzną, gdzie drukowano banknoty po 10 pesos- w pracowni tej zatrudniony był pewien hiszpański zecer nazwiskiem Celestino 410

Iglesias, człowiek uczciwy i szlachetny. Fernando poznał go wówczas, a w ostatnich latach przed śmiercią zatrudnił go przy jakimś fałszerstwie, zanim Iglesias utracił wzrok w wypadku.

Ale wróćmy do naszego spotkania.

Było to w styczniu 1930 roku. Byłem z Maksym w kinie na filmie *Zdrada stanu*, a kiedy weszliśmy do baru zatopieni w rozmowie o grze Emila Janningsa oraz o zaletach i wadach filmu dźwiękowego (Maksa podobnie jak Renę Claira i Chaplina przerażały perspektywy kina dźwiękowego) — ujrzeliśmy Fernanda siedzącego blisko stolika Maksa z szachownicą. Poznałem go natychmiast, mimo że był już dorosłym mężczyzną, rysy jego nie zmieniły się, należał bowiem do tego typu ludzi, których rysy od wczesnego dzieciństwa nie zmieniają się, lecz umacniają i nabierają wyrazu. Mógłbym go być poznać w tłumie nieznanymi ludźmi, tak charakterystyczną i niezapomnianą miał twarz.

Nie wiem, czy Fernando rzeczywiście mnie nie poznał, w każdym razie zachował się tak, jak gdyby mnie nie poznawał. Wyciągnąłem, do niego rękę.

— ■ Ach, Bruno — stwierdził, podając mi rękę, jakby z roztargnieniem.

Odeszli na bok, Fernando powiedział coś Maksowi na ucho. Patrzyłem na niego z takim zdumieniem, że nie mogłem wydobyć głosu. Jakkolwiek bowiem znalazłem później niejedno wytłumaczenie dla tego spotkania — jak to panu przedtem wyjaśniłem — to w owej chwili jego pojawienie wydało mi się pewnego rodzaju cudem. Czarną magią.

Po chwili Fernando odszedł uczyniwszy w moją stronę pożegnalny gest ręką. Spytałem Maksa, czy opowiedział mu, skąd się znamy.

— Nie, nic mi nie powiedział — odrzekł Maks.

Oczywiście, dla niego spotkanie to nie było rzeczą dziwną: w wielkim mieście miewa się różnych znajomych.

I tak wszedłem ponownie na orbitę Fernanda, a chociaż widziałem go zaledwie kilka razy, powie-
dzenia jego, jego teorie i sarkastyczne uwagi wywarły na mnie ogromny wpływ, zwłaszcza, że przeżywałem wówczas okres krytyczny. Rzecz? Iasna nie brałem
^i-Sdy udziału w tajnej działalności jego bandy ale 411

poprzez Maksą i Carlosa śledziłem uważnie przejawy jego burzliwej egzystencji. Do dziś pozostaje dla mnie nie wyjaśnioną zagadką, jak dalece i w jaki sposób tego rodzaju chłopiec jak Maks mógł uczestniczyć w tej organizacji. Przypuszczam, że odgrywał w niej jakąś poboczną rolę, może łącznika, gdyż ani jego temperament, ani zapatrywania nie nadawały się do działania, tym bardziej do takiego działania. Jeszcze dzisiaj zadaję sobie pytanie, dlaczego Maks zbliżył się do tej szajki. Czyżby z ciekawości? Czy też jakiś choćby daleki wpływ wywarła na to historia jego rodziny?

Teraz jeszcze uśmiecham się na myśl, jak bardzo Maks nie pasował do tego środowiska. Był tak ugodowy, że mógłby chyba znaleźć argumenty, żeby zostać przyjacielem samego naczelnika policji w Buenos Aires, a gdyby miał okazję, rozegrałby z nim bez wątpienia ładną partyjkę szachów. Jego obecność wśród tych ludzi była tak niedorzeczna, jak gdyby podczas trzęsienia ziemi ktoś siedział spokojnie w fotelu i czytał gazetę. Pośród bojówkarzy i terrorystów rozprawiających o fałszerstwach, o napadach i podkopach Maks opowiadał mi o koncercie Honeggera, który dyrygował w sali „Colón” *Królem Dawidem*, albo o reżyserii Tairowa w „Odeonie”, albo też analizował wyczerpująco najlepszą partię Capablanki z Alechinem. A czasem miewał napady humoru, tak nieodpowiedniego dla tego towarzystwa, jak kieliszek porto dla pijaków ciągnących ordynarną wódkę.

Począwszy od 2 września wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie: manifestacje studentów, strzelanina, zabicie studenta Aguilar, strajki i na koniec 6 września wybuch rewolucji i upadek prezydenta Yrigoyen. Wierny obecnie, że był to koniec epoki liberalizmu. Nigdy już Argentyna nie będzie tym, czym była niegdyś.

Dyktatura wojskowa i stan oblężenia były straszliwym ciosem dla całego ruchu. Zamknięto lokale robotnicze i studenckie, deportowano cudzoziemskich robotników, ruch rewolucyjny zaczęto prześladować wszelkimi sposobami. Rok 1930 był nie tylko końcem epoki liberalizmu, ale i końcem ruchu anarchistycznego. W Argentynie pod wpływem Hiszpanii i Włoch i dzięki olbrzymiemu napływowi pracowników i syn-

dykalistów z obydwu tych krajów należał on do najsilniejszych na świecie.

26 września tegoż roku zamordowano w dzielnicy Avellaneda naczelnika policji, majora Rosasco. Jak to zwykle bywa, śmierć ta przyczyniła się jedynie do wzmocnienia represji i prześladowań. Mimo to 2 października Di Giovanni ze swoją bandą dokonali jednego z najśmielszych napadów: zabili kasjera przedsiębiorstwa robót sanitarnych i uciekli z 300 000 pesos. Fakt ten był jak gdyby pogardliwym wyzwaniem i rzeczywiście posłużył on rządowi jako pretekst dla wprowadzenia stanu wojennego i zamknięcia nielicznych, dotąd nie tkniętych, podejrzanych ośrodków.

W zamieszaniu straciłem Carlosa z oczu, podejrzewałem jednak, że musi on być wpłątany w jakąś niebezpieczną aferę. Kiedy więc 1 grudnia przeczytałem w gazecie o napadzie na dom towarowy przy ulicy Catamarca, przypomniałem sobie natychmiast o pewnej dalekiej a podejrzanej przechadzce, na którą przed dwoma miesiącami zaciągnął mnie Carlos pod pozorem szukania lokalu dla tajnej drukarni. Nie miałem wątpliwości, że napadu tego dokonała szajka Fernanda, po jakimś czasie zresztą upewniłem się o tym. Był to ostatni napad, w którym Carlos uczestniczył, gdyż wówczas już był ostatecznie przekonany, że cele, do jakich dążył Fernando, nie miały nic wspólnego z jego celami.

Jakkolwiek Fernando starał się podważyć jego sympatie do komunizmu za pomocą cynicznych, lecz druzgocących argumentów, Carlos wstąpił do jednej z komórek partii komunistycznej dzielnicy Avellaneda. Miałem parę razy sposobność słyszeć argumenty Fernanda, Carlos wysłuchiwał tych złośliwości z zaciśniętymi szczękami, wpatrzony w ziemię. Wówczas już Carlos pozostawał pod wpływem młodych komunistów i zaczynał pojmować wyższość tego ruchu: komuniści walczą o coś określonego i stałego, wykazują, że indywidualny anarchizm jest nieskuteczny, a nawet zgubny, poddają poważnej i uzasadnionej krytyce anarchizm, który dopuścił do uformowania się bandyckich szajek, i wykazują w końcu, że zorganizowanym siłom państwa burżuazyjnego mogą skutecznie przeciwstawić się jedynie zorganizowane siły proletariatu, aż do wprowadzenia dyktatury dostatecznie silnej, aby 413

mogła podjąć walkę z międzynarodowym kapitalizmem.

Krytyka Fernanda jednakże, w odróżnieniu od krytyki innych anarchistów, nie odnosiła się do nowego ustroju, 'bardziej surowego niż poprzedni, do żelaznej dyktatury tłumiącej wolność osobistą na rzecz przyszłej społeczności, nie: on zarzucał komunistom mierność, połowiczność oraz dążność do ostatecznego rozwiązania problemów człowieka za pomocą elektryczności, hutnictwa, butów i dobrego odżywiania.

Najgorsze, moim zdaniem, nie było to, że Fernando usiłował zburzyć rodzącą się wiarę Carlosa za pomocą sofistycznych argumentów, lecz to, że komunizm i anarchizm nie miały dla niego absolutnie żadnego znaczenia, całej swojej dialektycznej broni używał jedynie w celu zdruzgotania tak bezbronnej istoty jak Carlos.

To jednak działo się — jak rzekłem — przed napałem na dom towarowy. Od tej chwili nie widziałem Carlosa aż do roku 1934. Z Fernandem zaś spotkałem się dopiero po dwudziestu latach.

W styczniu 1931 roku wskutek jakiegoś donosu policja zaskoczyła Di Giovanniego w tajnej drukarni. Ścigany po ulicach i podwórzach śródmieścia został w końcu pośród strzelaniny schwytany i uwięziony. W nocy 1 lutego został wraz ze swym towarzyszem Scarfo rozstrzelany. Zginęli z okrzykiem: „Niech żyje anarchia!” Lecz okrzyk ten był raczej zapowiedzią jej ostatecznej śmierci w Argentynie.

Wraz z anarchią skończyło się wiele innych rzeczy.

Spotkanie z Fernandem oraz samotność, którą w owym krytycznym okresie mego życia odczuwałem, bardziej jeszcze niż w ostatnich latach studiów, wzbudzały we mnie nieprzewartą chęć powrotu „do Vidalów”.

Zawsze posiadałem naturę kontemplacyjną, a teraz porwał mnie nagle rwący strumień niczym wezbrana górską rzeką, co unosi z sobą przedmioty dotąd spokojnie stojące w miejscu. Dlatego może cały ten okres wydaje mi się obecnie, po tak wielu latach, nierealny jak sen i tak urzekający (ale i tak obcy) jak świat powieści.

Wskutek kontaktów z Carlosem byłem poszukiwany przez policję, pensjonat mój był pod obserwacją

i musiałem schronić się w domu, gdzie mieszkał Ortega, student inżynierii, który w owym czasie starał się przyciągnąć mnie do komunizmu. Mieszkał w pensjonacie przy ulicy Brasil, opodal Constitución, u pewnej hiszpańskiej wdowy, która go adorowała. Na jakiś czas znalazłem tam bez trudu schronienie. Gospodyni wstawiła mi materac do małej izdebki, którą przedtem opróżniła z gratów.

Tej nocy spałem niespokojnie. Obudziłem się z przestachem; nie przypomniałem sobie natychmiast o wypadkach poprzedniego dnia i zanim odzyskałem pełną świadomość, patrzyłem ze zdziwieniem na otaczającą mnie nieznaną rzeczywistość. Przebudzenie bowiem nie przychodzi nagle, lecz jest to skomplikowany, powolny proces, w którym rozpoznajemy nasz pierwotny świat, jak gdybyśmy wrócili z długiej podróży po dalekich, mglistych kontynentach i po latach nieokreślonej egzystencji stracili pamięć egzystencji poprzedniej, zachowując z niej tylko wspomnienie oderwanych fragmentów. Dopiero po pewnym nie dającym się zmierzyć czasie światło dzienne zaczyna z lekka oświetlać wyjście z tego męczącego labiryntu, śpieszymy wtedy z utęsknieniem ku światłu dnia. I docieramy do brzegów snu wyczerpani niczym rozbitki, którzy po długiej walce z żywiołem zdołali dopłynąć do plaży. Wtedy dopiero, jeszcze na wpół świadomi, lecz już po trosze uspokojeni, zaczynamy z wdzięcznością rozpoznawać pewne cechy szczególne życia codziennego, spokojny i wygodny świat cywilizacji.

Antoine de Saint-Exupery opowiada, jak to po zaciętej walce z żywiołem, zgubiwszy się nad oceanem, on i jego mechanik stracili już niemal nadzieję na wyładowanie, kiedy dostrzegli wątle światełko na wybrzeżu Afryki i ostatnim litrem paliwa zdołali dolecieć do upragnionego lądu, i jak wówczas kawa z mlekiem, którą wypili w jakiejś chacie, była dla nich skromnym, lecz nieomylnym znakiem kontaktu z pełną egzystencją, małym, ale cudownym powtórnym spotkaniem z życiem. Podobnie dla nas, powracających ze świata snu, jakiś stolik, para zniszczonych butów, zwyczajna, dobrze nam znana lampa są owym upragnionym światłem na wybrzeżu, gdzie chcemy bezpiecznie osiąść. Dlatego też niepokoimy się, jeżeli 415

ułamek rzeczywistości, jaki zaczęliśmy odróżniać, nie jest tym spodziewanym: tym stolikiem, tą parą butów, tą znaną nam lampą. To właśnie przydarza się nam, kiedy budzimy się nagle w nieznanym mieszkaniu, w nieprzytulnym anonimowym pokoju hotelowym albo gdzieś, gdzie zbieg okoliczności rzucił nas poprzedniego wieczora.

Pojmowałem stopniowo, że znajduję się w innym niż zazwyczaj pokoju, i jednocześnie wróciła pamięć wczorajszych przykrych zajęć z policją. Teraz w świetle dnia wydało mi się to wszystko nonsensem nie mającym ze mną nic wspólnego. Raz jeszcze stwierdziłem, że fakty trafiają z nedorzeczną gwałtownością w osoby najbardziej nieodpowiednie. Wskutek całego szeregu dziwnych powiązań ja, który uważam się za sensata stworzonego do biernej kontemplacji, znalazłem się w centrum niejasnych, a nawet groźnych wydarzeń.

Wstałem, otworzyłem okno i patrzyłem na obojętne miasto.

Poczułem się samotny i zbity z tropu. Życie zdało mi się skomplikowane i agresywne.

Przyszedł Ortega, jak zwykle pełen zdrowego optymizmu. Dowcipkował na temat anarchistów. Przed pójściem na uczelnię zostawił mi jedno z dzieł Lenina zalecając przeczytać je, zawierało bowiem ostateczną rozprawę z terroryzmem. Pod wpływem Nadii przeczytałem kiedyś wspomnienia Wiery Figner, za udział w zamachu żywcem pogrzebanej w carskich więzieniach, toteż bez wielkiego zapału zabrałem się teraz do lektury tej srogiej, pełnej ironii analizy. „Rozpacz drobnomieszczanina”. Jakże śmiesznie wyglądali tamci romantycy w bezlitosnym świetle teorii marksistowskiej! Z biegiem lat rozumiałem coraz lepiej, że rzeczywistość bliższa jest Leninowi niż Wierze Figner, ale sercem pozostałem wierny tamtym żarliwym, choć niezbyt rozumnym bohaterom.

Czas jak gdyby stanął nagle w miejscu. Ortega polecił mi przez kilka dni nie wychodzić z domu i czekać na dalszy rozwój wypadków. Ale po trzech dniach nie wytrzymałem i zacząłem wychodzić w nadziei, że policja nie rozpozna mnie, jako że dotąd nie miałem z nią nic wspólnego.

W południe wszedłem do jakiegoś baru na obiad. 416

Dziwiła mnie obecność tak wielu beztroskich ludzi na ulicach i w kawiarniach. Czytałem w mojej izdebce dzieła rewolucyjne i zdawało mi się, że świat może lada chwila wybuchnąć, tymczasem na ulicy wszystko nadal przebiega w spokoju: urzędnicy udają się do biur, kupcy sprzedają, widać nawet ludzi przesiadujących beczynnie na placach publicznych na ławkach; dla nich czas płynie powoli i nudno. I znowu — nie po raz ostatni zapewne — poczułem się obcy na tym świecie, jak gdybym się nagle obudził i nie rozumiał ani jego sensu, ani praw, które nim rządzą. Wałęsałem się bez celu po ulicach Buenos Aires, patrzyłem na ludzi, potem usiadłem na placu Constitución na ławce i rozmyślałem. A gdy powróciłem do swojej izdebki, poczułem się bardziej opuszczony niż kiedykolwiek. Jedyne w książkach odnajdywałem rzeczywistość; tamto życie uliczne wydawało mi się jakimś ogromnym snem zahipnotyzowanych ludzi. Minęło wiele lat, zanim pojąłem, że na tych ulicach i placach, w owych biurach i sklepach Buenos Aires tysiące ludzi czuło i myślało naówczas podobnie jak ja: ze smutkiem dumali w samotności nad sensem i bezsensem życia i jak ja mieli wrażenie że świat wokół nich jest uspiony, a ludzie chodzą po nim jak automaty.

Zacząłem wtedy pisać opowiadania.

Teraz wiem, że za każdym razem pisałem o moim własnym smutku i samotności, o tym, że pozostaję w niezgodzie ze światem, na którym wypadło mi żyć. Myślę, że tak być musi, gdyż sztuka naszej epoki, ta napięta i rozdarta sztuka rodzi się z naszej rozterki, z naszego niepokoju i niedosytu. Jest ona jakby próbą pogodzenia ludzi, plemienia słabych, niespokojnych i tęskniących stworzeń, ze światem. Zwierzętom nie jest to potrzebne; wystarcza im samo życie, gdyż biegnie ono zgodnie z ich atawistycznymi potrzebami. Ptakom wystarcza parę ziarenek albo robaków, drzewo, gdzie uwiją gniazdo, i trochę przestrzeni do lotu; życie ich od urodzenia do śmierci przebiega w pogodnym rytmie, nie przerywanym nigdy przez metafizyczną rozpacz ani przez szaleństwo. Człowiek zaś, w chwili kiedy stanął na tylnych łapach i wyostrzony kamień zmienił w pierwszą siekiere, zbudował fundamenty swojej wielkości, a jednocześnie stworzył pod-

stawy własnego niepokoju: albowiem rękami swoimi oraz narzędziami przez nie wytworzonymi wznosił potężną a dziwną budowlę zwaną kulturą i w ten sposób dał początek swojej rozterce, przestał bowiem już być prostym zwierzęciem, a jeszcze nie zaczął być bogiem, jak tego pragnie jego umysł. Dwoista a nie-szczęсна ta, istota żyje i porusza się pomiędzy ziemią zwierząt a niebem bogów, utraciła bowiem ziemski raj niewinności, a nie osiągnęła niebieskiego raju zbawienia. Cierpiąca i chora na umyśle istota zapytała po raz pierwszy o przyczynę swego istnienia. I tak ręce, a później siekiera i ogień, a jeszcze później wiedza i technika dzień po *drńu* drążą coraz głębszą przepaść pomiędzy człowiekiem a gatunkiem, od którego pochodzi, i jego zoologicznym szczęściem. Ostatnim etapem tego szaleńczego biegu jest miasto, najwyższy wyraz jego dumy i najwyższa forma jego alienacji. I oto stworzenia niezaspokojone, trochę ślepe i jakby trochę oszalałe usiłują po omacku odzyskać utraconą harmonię między sobą a tajemnicą, między sobą a rodem malując lub opisując rzeczywistość inną niż ta, która niestety je otacza, rzeczywistość nierzadko fantastyczną i obłąkaną, ale która, o dziwo! okazuje się w końcu głębsza i bardziej prawdziwa niż ta codzienna. Marząc po trochu za nas wszystkich, słabe te stworzenia umieją wzniesć się ponad osobiste niedole i stają się piewcami, a nawet wyzwolicielami od wspólnego losu.

Ja zaś byłem zawsze podwójnie nieszczęśliwy, gdyż moja słabość, mój skłonny do kontemplacji umysł. brak decyzji i woli stały na przeszkodzie memu dążeniu do nowego ładu, do nowego świata, jakim jest dzieło sztuki; za każdym razem spadałem z rusztowania utęsknionego gmachu, który miał mnie ocalić. A po upadku, rozbity i stokroć bardziej smutny, szukałem schronienia u prostych ludzi.

Tak i wtedy: wszystko, co stworzyłem, było niedolnym zamierzeniem i coraz częściej, za każdym niepowodzeniem i za każdym razem, kiedy czułem się samotny i zbity z tropu, słyszałem w głębi duszy, wraz z niewyraźnym szeptem widma mojej matki, którą ledwie pamiętałem, cichutki szept Anny Marii, jedynej mojej więzi z cielesną matką. Było to jak gdyby echo miotanych przez burzę dzwonów zatopionej ka-

tedry z bajki. Jak zawsze kiedy zaciemniało się moje życie, odległe to dzwonienie rozbrzmiewało głośniejsze, jak gdyby wołała: „Pamiętaj, że zawsze tu jestem, że zawsze znajdziesz przy mnie schronienie”.

Pewnego dnia wołanie stało się tak intensywne, że nie mogłem mu się oprzeć. Wskoczyłem z łóżka, gdzie godzinami leżałem pogrążony w bezowocnej zadumie, i pobiegłem, nagle bowiem opanowała mnie myśl, że powinienem być usłuchać tego głosu już dawniej, znacznie dawniej, by odzyskać coś z tego, co pozostało z dzieciństwa, z tamtej rzeki, z owych dalekich popołudni w estancji, z Anny Marii.

Omyliłem się, nie zawsze przecież tęsknota prowadzi nas do prawdy. Spotkanie z Georginą było raczej nieporozumieniem i początkiem nowej niedoli, która w jakiś sposób trwa do dzisiaj i potrwa zapewne do mojej śmierci. Ale to już jest inna historia i nie o tym będę mówił.

Widywałem ją oczywiście nieraz, przechadzałem się z nią po ulicach, była dla mnie uprzejma. Ale kto powiedział, że tylko nieuprzejmi sprawiają nam ból?

Była milcząca, powściągliwa w słowach, jak gdyby żyła w ustawicznym strachu. To nie jej słowa wyjaśniły mi, Mm była Georginą w tym okresie życia i jakie były jej cierpienia. To jej obrazy. Georginą malowała od dzieciństwa. Błędem byłoby sądzić, że na obrazach ukazała bezpośrednio treść swoich przeżyć. Nie ma na nich ani postaci ludzkich, ani anegdoty. Są to martwe natury: krzesło przy oknie, wazon. Ale rzecz osobliwa: człowiek powiada „krzesło”, „okno”, „zegarek”, słowa te oznaczają zwyczajne przedmioty otaczającego nas obojętnego świata, a my nagle przekazujemy przy ich oomocy jakąś nieokreśloną patetyczną wiadomość z głębi naszej istoty. Powiadamy „krzesło”, ale nie o krzesło nam chodzi — i rozumieją nas. A przynajmniej zrozumie nas ten, dla którego ■utajona, szyfrem pisana wiadomość jest przeznaczona; dosięgnie go ona poprzez obojętny i wrogi tłum. Para sabotów, żagiel, krzesło nie znaczą te saboty, ten oto biały żagiel, to krzesło ze słomy, ale znaczą ją, Van Gogh. Vincent (przede wszystkim Vmcent), moja tęsknota, moja udreka, moja samotność; są one właściwie moim autoportretem, opisem moich najgłębszych bolesnych przeżyć. Posługując się byle jakimi przed-

miotami ze świata istniejącego poza nami, świata, który był, kiedy nas nie było, i który chyba będzie trwał obojętny i zimny, kiedy my pomrzemy, budujemy z nich chwiejny most (podobnie jak poeta ze słów) dla pokonania przepaści, jaka zawsze otwiera się pomiędzy człowiekiem a światem; są one jak gdyby symbolem tego, co tkwi ukryte w głębi nas: obojętne, obiektywne i nijakie dla tych, co nie potrafią odczytać szyfru, ale gorące, napięte i przepojone ukrytą intencją dla wszystkich, którzy go znają. W istocie nie są to przedmioty wzięte z obojętnego świata, lecz stworzył je samotny człowiek, rozpaczliwie pragnący porozumienia. Postępuje on z przedmiotami, podobnie jak dusza postępuje z ciałem: nasycza je swoim uczuciem i swoją tęsknotą, co przejawia się w zmarszczkach na czole, w błysku oczu, w uśmiechu i w grymasie ust; jak duch, który usiłuje rozpaczliwie objawić się w obcym, nieraz przeraźliwie obcym, ciele histeryczki albo zawodowego medium.

Tak też i ja mogłem dowiedzieć się po trosze o tym, co działo się w najbardziej ukrytym, a dla mnie najdroższym zakątku duszy Georginy.

Ale po co, mój Boże? Po co?

IV Przez kilka dni kręcił się przed domem i czekał, aż odwołają straż. Z daleka tylko spoglądał na to, co zostało z pokoju, gdzie poznał rozkosz i rozpacz: szkielec poczerniały od płomieni i wiodące doń jakby w błagalnym, patetycznym geście skręcone schody. A gdy zapadał wieczór, w ścianach słabo widocznych przy świetle narożnej latarni otwierały się jamy okien i drzwi jak puste oczodoły w trupiej czaszce.

Czego szukał, czemu chciał tam wejść? Nie mógłby na to odpowiedzieć. A jednak przeczekał spokojnie dopóki nie odwołali niepotrzebnej już straży, i wówczas, tego samego jeszcze wieczora, wspiał się po kracie i wszedł. Z latarką w ręce przebył tę samą drogę którą w pewną letnią noc przeszedł po raz pierwszy z nią, przed wiekami: okrążył stare domostwo i poszedł w stronę miradoru. Z całego skrzydła wraz z dwoma pokojami pod miradorem i graciarnią zostały tylko czarne, zwęglone ściany.

Noc była chłodna i pochmurna, okolicę zalegała 420

głęboka cisza. W oddali zabrzmiało echo syreny okrętowej, a potem znowu zapadło milczenie. Marcin, do głębi przejęty, stał chwilę nieruchomo. I nagle (ale było to chyba skutkiem napiętej wyobraźni) usłyszał słaby, lecz wyraźny głos Aleksandry; powiedziała tylko: „Marcinie”. Zdruzgotany oparł się o ścianę i tak stał nieskończenie długo.

Zdołał w końcu przewyciężyć bezwład i podążył ku domowi. Czuł nieodpartą potrzebę wejścia, ujrzenia po raz ostatni rezydencji dziadka, gdzie w jakiś sposób przetrwał duch rodziny Olmosów, gdzie ze starych portretów spoglądały oczy Aleksandry.

Sień była zamknięta na klucz. Marcin cofnął się i zauważył, że jedne drzwi są zamknięte na łańcuch i kłódkę. Pośród resztek ocalałych od pożaru znalazł łom i wyłamał nim deskę, na której umocowany był łańcuch; nie sprawiło to trudności, stare drewno było spróchniałe. Przedostał się przez otwór; w świetle laski całe otoczenie wyglądało bezsensownie jak w rupieciarni.

W pokoju dziadka wszystko pozostało na miejscu, z wyjątkiem fotela na kółkach, którego brakło: stary lichtarz, olejne portrety rycerzy i dam z wysokimi grzebieniami we włosach, konsola, stare weneckie lustro.

Znalazł miniaturę Trinidad Arias i zaczął wpatrywać się w twarz pięknej kobiety o indiańskich rysach; ślad ich pozostał w twarzy Aleksandry, niby szept Indian przytłumiony rozmową Anglików i hiszpańskich konkwistadorów.

Zdało mu się, że wstąpił w krainę snu, jak wtedy kiedy weszli tu z Aleksandrą; w krainę spustoszoną teraz przez ogień i śmierć. Ze ścian spoglądają na niego rycerz i dama z grzebieniem we włosach. Duchy wojowników, szaleńców, kacyków i księży weszły niepostrzeżenie do pokoju i opowiadają sobie dzieje podbojów i walk.

Nad wszystkim góruje Celedonio Olmos, dziadek dziadka Aleksandry. Tutaj właśnie, może w tym fotelu, rozpamiętywał w latach starości ów ostatni odwrót, owo zakończenie, dla rozsądnych ludzi pozbawione wszelkiego sensu, kiedy to armia Legionu rozbita została przez wojska generała Oribe. skłócona przez zdradę i klęskę, złamana rozpaczą.

Zdążają teraz do Salty nieznanymi, górskimi szlakami, różdżkarz wskazuje im drogę. Zostało ich za ledwie sześciuset. A jednak on, Lavalle, wciąż jeszcze ufa, Lavalle zawsze chyba w coś wierzy, chociażby w majaki i zwiady, szepcą między sobą komendanci Ocampo i Hornos. Komu chce stawić czoło z tą garstką niedobitków? A jednak jedźcie na czele, w słomianym kapeluszu z błękitną kokardą (która jest już tylko wyblakłym strzępem), okryty błękitnym poncho (które z błękitnego stało się ziemistoszare) i marzą mu się Bóg wie jakie podboje. Choć nie jest wykluczone, że usiłuje tylko nie poddać się rozpaczcy i śmierci.

Chorąży Celedonio Olmos walczy o zachowanie swych osiemnastu lat, bo czuje, że jego młode życie stoi nad przepaścią, że lada chwila może runąć w otchłań wieczności.

Wciąż na koniu, osłabły, ze zranionym, ramieniem, wpatruje się w jadącego na przedzie wodza z posepnie zadumany pulkownikiem Pedernera u boku i walczy w obronie swoich wież, jasnych a dumnych wież swej młodości, owych iskrzących się słów, które wielkimi literami wyznaczają granice dobra i zła, niczym dumne strażnice absolutu.

Choć osaczony, broni się jeszcze w tych wieżach. Po ośmiuset milach klęsk, zdrad i waśni wszystko się zmąciło. Ścigany przez nieprzyjaciela, zrozpaczony i zlany krwią, z szablą w ręce wspina się stopień po stopniu na wieże niegdyś jaśniejące, teraz zbrukane krwią i kłamstwem, klęską i zwątpieniem. A że trudna to jest wspinaczka, spogląda więc po towarzyszach i milcząc prosi o pomoc tych, co podobne staczają walki: Friasa, może Lacasę. I słyszy, jak Frias szepce do Lacasy, spoglądając przy tym na komendantów szwadronów z Corrientes: „Jestem przekonany, że nas opuszczą”.

„Gotowi są do zdrady”, myślą komendanci szwadronu z Buenos Aires.

Tak, Hornos i Ocampo istotnie coś knują. Tamci przyglądają się im i wietrzą zdradę. Toteż kiedy Hornos odłącza się od towarzysza i podjeżdża do generała, wszyscy mają to samo na myśli.

Lavalle każe stanąć i wszczyna z Hornosem rozmowę. Co mówią, o czym dyskutują? Później w trakcie dalszego marszu 'zaczynają się szerzyć sprzeczne 422

a straszliwe wieści: próbowali go przekonać, zapowiedzieli mu swe odejście, postawią go pod sąd. Opowiadają też, jakoby Lavalle miał rzec: „Gdyby wszystko było stracone, zaprzestałbym dalszej walki, jednakże otrzymamy posiłki od rządów Salty i Jujuy, dostarczą nam ludzi i ekwipunku, umocnimy się w górach i rozbijemy oddziały Oribe”.

Ktoś szepnął: „Lavalle już do reszty oszalał”. I oto chorąży Celedonio Olmos dobywa szabli z pochwy, żeby bronić szczątków swojej wieży, i rzuca się na zuchwalca, ale powstrzymują go przyjaciele, tamtego zaś uciszają i karcą, przede wszystkim bowiem (powiadają) należy zachować jedność i starać się, by generał nie widział ani nie słyszał, co się dzieje. „General śni (rzecze Frias) i musimy strzec jego snu, jego uludy. General jest dzieckiem, szalonym, ale niewinnym, umiłowanym dzieckiem, my zaś, jego starsi bracia, czuwamy nad jego snem”.

Frias, Lacasa i Olmos spoglądają na wodza z lękiem, czy się nie obudził, na szczęście śni bez przerwy pod strażą wiernego sierżanta Sosy, zawsze tego samego milczącego sierżanta, którego nie dosięgły żadne wyroki ziemskie ani ludzkie.

Ale sen o odsieczach, o walce i o posiłkach w koniach i ludziach musiał przysnąć. Na ulicach Salty, gdzie dotarli o zmierzchu, panuje trwoga, mieszkańcy uciekają w popłochu. Oribe stoi o dziewięć mil od miasta i wszystko okazało się daremne.

— Oto widzicie, generale — powiada Hornos.

Ocampo zaś rzecze:

— My, reszta dywizji z Corrientes, postanowiliśmy przekroczyć Chaco i ofiarować pomoc generałowi Paz.

Lavalle spuszcza głowę i milczy.

Czyżby wciąż jeszcze śnił? Komendanci Hornos i Ocampo spoglądają po sobie.

— ■ Marny obowiązek bronić w tych prowincjach naszych przyjaciół — odpowiada wreszcie Lavalle. — Jeśli zaś przyjaciele wycofają się do Boliwii, my będziemy ostatni, którzy to uczynimy. Musimy kryć ich odyjrót. My ostatni opuścimy terytorium ojczyzny.

Komendanci Hornos i Ocampo jeszcze raz spoglądają po sobie. Obydwaj myślą to samo: „Oszalał. Jakimiż to siłami zamierza kryć ów odwrót?”

— Ostatni — powtarza Lavallo ze wzrokiem utkwionym w horyzont.

„Ponosi go jego przekłeta duma, a może też i zawiść wobec Paza” — myślą komendanci Hornos i Ocampo.

— Żałujemy, generale — powiadają — ale nasze szwadrony przyłączą się do armii generała Paza.

Lavallo pochyla głowę jak pod ogromnym ciężarem. Kiedy ją podnosi i spogląda na komendantów, wygląda jak starzec.

— Powodzenia, komendanci. Oby generał Paz mógł zwycięsko zakończyć walkę, do której ja widocznie nie jestem już zdolny.

Reszta dywizji z Corrientes odjeżdża cwałem, odprowadzana smętnym spojrzeniem dwustu ludzi, którzy zostają przy generale. Ze ściśniętym sercem myślą: „Wszystko stracone. Pozostaje tylko czekać śmierci u boku wodza”.

Patrzą więc w ziemię i milczą, kiedy Lavallo obwieszcza: „Stawimy opór, rozwiniemy partyzantkę w górach. Na razie pomaszerujemy do Jujuy”. Choć dobrze wiedzą, że marsz do Jujuy to niedorzeczność, choć rozumieją, że jedynym sposobem ocalenia chociażby życia to uciekać w rozsypce nieznanymi ścieżkami do Boliwii, mimo wszystko odpowiadają: „Rozkaz, generale”.

Nie ma wśród nich takiego, kto odebrałby generałowi ostatni jego sen.

Ruszają. Jest ich niespełna dwustu. Zdążają główną drogą do miasta Jujuy. Główną drogą!

V „Del Castillo”, powiedział. „Aleksandra”, powiedział. Co pan mówi?

Marcin wybełkotał parę luźnych oderwanych słów, aż w końcu „śmierć”, „pożar” wprawiły tego człowieka w zdumienie. I choć dobrze czuł, że rozmawiać z Bordenavem o Aleksandrze to jakby się chciało z błota i łajna wydobyć szlachetny kamień, nie zrezygnował.

Bordenave spojrzął na niego pytająco okazując zmieszanie i lęk. Bardzo się różnił ten Bordenave od tamtego, którego kiedyś poznał.

Marcin nie mógł wykrztusić słowa.

— Proszę wypić — częstował go Bordenave.

Marcin wychylił chciwie kieliszek koniaku. Miał zaschnięte gardło i czuł się słabo.

— Chciałbym porozmawiać z panem o...
Spojrzał w pusty kieliszek nie wiedząc, co ma dalej mówić.

— Niech pan wypije — zachęcał Bordenave.

Raptem wydało mu się to niepotrzebne i głupie. O czym mogliby rozmawiać? Po kilku kieliszkach zamąciło mu się w głowie i świat pogrążył się w chaosie.

— O Aleksandrze — powiedział chyba kto inny, nie on.

Tak, cały świat pogrążył się w chaosie. I ten człowiek także jakby się odmienił: nagle stał się uprzejmy, niemal serdeczny. Przez wiele lat analizował Marcin ten moment, a kiedy później wrócił z południa, omawiał go z Brunem. Otóż, zdaniem Bruna, Bordenave poniewierając Aleksandrą mścił się nie tylko za siebie samego, ale i za Marcina, jak owi bandyci z Kalabrii, którzy kradli u bogatych, żeby obdarowywać biednych. Ale chwileczkę, cała sprawa wciąż jeszcze nie jest jasna. Przede wszystkim za co mścił się Bordenave na Aleksandrze? Za jakie zniewagi czy poniżenia? Z całej tej chaotycznej rozmowy z Bordenavem Marcin zapamiętał dobrze pewne słowa, które uważał za znamienne: Bordenave mówił o Aleksandrze pogardliwie. Ale Bruno sądził, że była to raczej nienawiść albo złość na Aleksandrę; bo nie gardzi się tym, kogo się nienawidzi; pogardę odczuwamy dla osób stojących niżej, a do człowieka, który nas przewyższa, żywimy gniew albo nienawiść. Bordenave więc pastwił się czy też pastwilił się nad Aleksandrą (trudno ustalić czas mając tak niewiele danych, by to móc osądzić), aby dać upust swojej złości. Takie uczucie złości jest charakterystyczne dla typowego Argentyńczyka, który w kobiecie widzi wroga i nie wybaczają jej nigdy zniewagi albo poniżenia; a i jedno, i drugie łatwo można było przypuścić, jeśli znało się obydwie wchodzące w grę osoby, nie należy bowiem wątpić, że Bordenave posiadał dosyć inteligencji czy też intuicji, aby zdawać sobie sprawę z wyższości Aleksandry, a na tyle był Argentyńczykiem, aby czuć się poniżony tym, że zdołał ujarzmić tylko ciało Aleksandry, wiedząc przy

tym, że w niedostępnej dla niego streiie swego umysłu. Drażniła go też myśl, że używała go, jak zapewne wielu innych, jako narzędzia chytrej zemsty, której nigdy nie mógł pojąć. Z wszystkich tych powodów był skłonny odnieść się do Marcina z sympatią, nie tylko dlatego, że nie uważał go za rywala, nie tylko z braterstwa wobec wspólnego wroga, ale też dlatego, że zadając cierpienia tak słabemu chłopcu Aleksandra straciła niejako swą nietykalność i nawet on, Bordenave, mógł ją zaatakować. Dzieje się podobnie, kiedy zazdrościmy bogaczowi jego majątku, a wiedząc, że zazdrość jest uczuciem niskim i godnym pogardy, chwytamy się jakiejś wady jego charakteru (na przykład skąpstwa), żeby móc nienawidzić go bez jakichkolwiek skrupułów.

W tej chwili wszakże Marcin o tym wszystkim, nie myślał, dopiero dużo później. Teraz czuł się, jak gdyby wyrwano mu serce z piersi i przyciśnięto kamieniem do ziemi lub jakby wyciął mu je ktoś tęnym nożem i rozszarpywał pazurami.

Uczucie zupełnej nieważności swej osoby, zawrót głowy, nagle uzyskana pewność, że ten człowiek był kochankiem Aleksandry, wszystko to sprawiło, że Marcin nie mógł wydobyć głosu.

Bordenave spojrzął na niego zakłopotany.

— O Aleksandrze? Po co? Przecież ona już nie żyje — powiedział.

Marcin wciąż miał głowę spuszczoną.

Istotnie, po co ta chęć poznania, to absurdalne pragnienie dotarcia do samego końca? Tego Marcin nie wiedział, a choćby nawet niejasno przeczuwał, nie potrafiłby tego wyrazić słowami. Coś go jednak w niedorzeczny sposób popychało. Bordenave widział to, zdawał się coś ważyć, odmierzać dawkę straszliwego leku.

— Proszę wypić — ■ częstował napełniając kieliszek — czuje się pan słabo. Niech pan pije.

Marcin ożywił się nagle.

„Chcę się upić — powiedział sobie — chcę umrzeć”. Wychylił duszkiem parę kieliszków, a Bordenave przypatrywał mu się uważnie i rzekł coś w tym rodzaju: „Wie pan, tam na piętrze”. Pod Marcinem ugięły się nogi, świat przed nim zawirował. Żołądek, od dnia pożaru pusty, wypełnił się czymś żrącym i wstrętnym.

Aleksandra przejrzała go na wskroś i gardziła nim. Z ogromnym wysiłkiem wszedł za Bordenavem po schodach do tego plugawego miejsca i jak przez sen ujrzał przez okno rzekę. Z uczuciem litości nad sobą pomyślał: „Nasza rzeka”. Widział siebie małym i śmiesznym jak dziecko i poczuł żal, jakby miał to dziecko przed sobą. Od intensywnego zapachu perfum chciało mu się zwymiotować na posadzkę, pomiędzy wszystkie te miękkie fotele. Bordenave tymczasem otworzył szafkę, która nagle okazała się magnetofonem, powiedział „bardzo praktyczne”, potem mówił coś o szyfrze i o bandytach: „Wyobraź pan sobie, jaki dokument mam w ręku”. A później coś jakby o jakiejś zasadzie i interesach, że tamten ktoś to ważna figura i ze względu na swą fabrykę aluminium bardzo dla niego, Bordenavego, cenny. (A przy okazji — pomyślał Bruno — kto wie, czy tym sposobem nie knuł jakiejś podłej masochistycznej zemsty przeciw Aleksandrze). A jeśli już Marcin koniecznie chce wiedzieć, jeżeli tak mu na tym zależy, to niech się dowie, że sprawiało jej ogromną przyjemność oddawać się za pieniądze. Jednocześnie puścił w ruch aparat, a on, Marcin, nie mógł nawet poprosić, by zatrzymał to paskudztwo, i musiał wysłuchać plugawej mieszanki słów, krzyków i jęków. W końcu jakaś nadludzka siła pomogła mu wstać z miejsca i pobiec na dół, jakby go ktoś ścigał. Potykał się, to upadał, to wstawał, w końcu wydostał się na ulicę, gdzie zimne powietrze i deszcz przeniosły go z cuchnącego piekła w chłodną śmierć. Zaczął iść powoli jak ciało pozbawione duszy i skóry i deptał po odłamkach szkła popychany przez bezlitosny tłum.

Nie ma ich nawet dwustu i nie są już żołnierzami ci wynędziali rozbitkowie, z których wielu już nie wie, dlaczego i o co się biją. Chorąży Celedonio Olmos, na koniu jak wszyscy, rozmyśla posępnie o ojcu, kapitanie Olmos, i o bracie, którzy zginęli w Quebracho Herrado.

Osiemset mil odwrotu i klęsk. Chorąży niczego już nie rozumie, a wciąż ma w uszach złośliwe słowa tamtego zuchwalca: „Lavalle oszalał, sam nie wie już, czego chce”.

Dwa lata temu wszystko było jasne: Wolność albo Śmierć.

A

teraz...
42

Świat pograżył się w chaosie. Chorąży Celedonio Olmos pomyślał o matce i o dzieciństwie.

VI Szedł nie widząc, co się dookoła dzieje, resztki jego myśli znowu rozpadały się w strzępy od gwałtownych wzruszeń, jak ruiny domu zburzonego przez trzęsienie ziemi wałęsają się od nowych wstrząsów. Wsiadł do autobusu; ogarnęło go jeszcze mocniej wrażenie bezsensowności świata: autobus pędzi zdecydowanie i pewnie w jakimś obojętnym dla niego kierunku; precyzyjny, doskonały technicznie mechanizm unosi jego, który nie ma przed sobą żadnego celu, w nic nie wierzy, na nic nie czeka i donikąd nie chce się dostać; o ustalonych porach i taryfach, ze sztabem kierowców i konduktorów, z miejsca na miejsce przewozi chaos. Złe zrobił, że wyrzucił zastrzyki na serce, a teraz pójść po nie do Pabla to jakby miał iść na bal, by spotkać tam Boga albo Szatana. Ale można przecież pod pociąg; na rogu ulicy Dorrego jest przejazd, może tam, tylko chwila i koniec, przypomina sobie to zbiegowisko (wtedy) i krzyki; co się stało, gdzie, przez tłum nie można się przedostać; i wołanie: to straszne, chwyciło go przez nieuwagę, nieprawda, rzucił się sam, chciał się zabić, a ktoś inny krzyknął: tu leży but z nogą. Albo może do wody. z mostu na Boca, ale tam woda jest tłusta, możliwe też, że zawaha się albo będzie żałował w tych kilku sekundach spadania, w ułamku czasu, który może trwać, kto wie, może tak długo jak całe życie, jak w nieskończoność ciągnące się chwile koszmarne snu. A gdyby tak zamknąć się i otworzyć gaz, i połknąć mnóstwo pigułek jak Juan Pedro, ale Nene zostawiła otwartą szparę w oknie, biedna Nene, myśli z tkliwą ironią. Uśmiecha się pośród tragedii, jak gdyby promyk słońca zabłysnął podczas burzy i powodzi, a konduktor woła nagle: „Koniec jazdy!”, i ostatni pasażerowie wychodzą. Co? Już? Gdzie jestem? Chyba avenida Generała Paz, tak jest, kościół i wysoka wieża. Z jakiejś sieni wybiega maleństwo, za nim kobieta, zapewne matka, krzyczy, ja ci dam, ty łobuzie, wystraszony malec ucieka za róg i znika, miał na sobie brązowe spodnie i czerwony sweterek, malutkie płochliwe piękno na tle szarego nieba, tą samą drogą 428

idzie dziewczyna w żółtym nieprzemakalnym płaszczu, idzie do sklepu po zakupy, myśli Marcin, albo po bułki, matka albo ojciec emeryt powiedział: mam ochotę na matę z bułeczką, idź i kup; albo może jakiś chłopiec, co ich nazywają „sympatia”, jest dzisiaj wolny i ma z nią randkę, nie, to chyba brat ją posłał, który ma tutaj warsztat, bo zauważył właśnie niewielki garaż, a w nim młodego człowieka, co mógłby być jej bratem, w niebieskim zatłuszczonym kombinezonie, z kluczem angielskim w ręku, i słyszy, jak powiada do ucznia, idź, Perico, i poproś go o lewar, a uczeń leci z pośpiechem, ale to wszystko jest jak sen i po co to wszystko: lewary, klucze angielskie i mechanicy, i żal mu się zrobiło tego przestraszonego malca; bo my wszyscy śnimy, myśli Marcin, więc po co karać dziecko i po co naprawiać wozy, i mieć sympatie, i potem żenić się, i mieć dzieci, które także będą śniły, że żyją, i będą musiały cierpieć, i pójść na wojnę, i będą walczyć albo rozpaczać z powodu głupich snów.

Dążył przed siebie jak łódź bez wioślarza, unoszona zmiennymi prądami, poruszał się machinalnie jak chory, który utracił nieomal zupełnie wolę i świadomość i pozwala dźwigać się przez pielęgniarza, a resztkami tej woli i świadomości słucha wskazówek, choć nie wie, po co.

..Wsiadę w autobus 493 — pomyślał — a potem kolejką podziemną do Floridy i stamtąd pieszo do hotelu". Wsiadł więc w 493, machinalnie wykupił bilet i przez pół godziny przyglądał się widmom, którym śniły się codzienne sprawy, a ze stacji Florida udał się pieszo do hoteliku „Warszawa — Pokoje kawalerskie” — wszedł brudnymi wydeptanymi schodami na czwarte piętro i do cna wyczerpany rzucił się na łóżko.

Pedernera spogląda na generała jadącego nieco przed nim. Wynędzniały i obdarty jest tylko cieniem tamtego Laualle'a z Armii Andyjskiej... Ileż to lat minęło? Dwadzieścia pięć lat walk, chwaly i klęsk. W owych czasach wiedzieli jednak, o co się biją: pragnęli wolności dla kontynentu, walczyli o Wielką Ojczyznę... A teraz... Tyle krwi spłynęło do amerykańskich rzek, tak wiele stoczono bratobójczych walk. Ot i teraz: czyż Oribe nie był ich towarzyszem broni to Armii Andyjskiej? A Dorrego?

Pedernera spogląda na niebosiężne szczyty gór 429

i z kolei zwraca posępne spojrzenie na opuszczoną dolinę. Zadumał się chyba nad losami wojen...

Zmierch wsączał się powoli we wszystkie kąty i pogrążał w nicości barwy i przedmioty. Tanie, kiepskie lustro na drzwiach szafy jak wszystkie lustra (dobre i liche) nabierało wieczorem tajemniczej mocy, podobnie jak w nas wszystkich, żebrakach czy królach, otwiera się przed śmiercią ta sama tajemnicza otchłań.

Mimo wszystko chciałby ją jeszcze ujrzeć. Zapalił lampę na stoliku i usiadł na brzegu łóżka. Z wewnętrznej kieszonki wyjął zniszczone zdjęcie i przysunąwszy się bliżej do lampy oglądał je uważnie, jak mało czytelną dokument, od którego właściwej interpretacji zależą zdarzenia ogromnej wagi.

Z licznych twarzy, jakie posiadała Aleksandra (jak wszyscy ludzie), ta właśnie najbardziej należała do Marcina: pełna głębi i smutku wyrażała pragnienie czegoś, o czym wiedziała z góry, że jest nieosiągalne; twarz tęskniąca, lecz zawczasu -już pozbawiona nadziei, jak gdyby tęsknota (a więc nadzieja) i beznadziejność mogły objawiać się jednocześnie. A przy tym ów zaledwie dostrzegalny, lecz nieomylny wyraz pogardy dla kogoś, może dla Boga albo dla całej ludzkości, a najprawdopodobniej dla samej siebie. Albo też dla wszystkich razem. Nie tylko pogardy, ale także lekceważenia, a nawet wstrętu. A przecież całował i pieścił tę straszną maskę w epoce, która mu się teraz wydaje odległa, chociaż trwała do niedawna; podobnie jak po przebudzeniu niezmiernie odległe wydają się nam te mgliste obrazy, co wzruszały lub przerażały nas we śnie.

A teraz, wkrótce już, jej twarz zniknie na zawsze wraz z tym pokojem, z Buenos Aires, z całym światem, z jego własną pamięcią. Jak gdyby wszystko to było tylko gigantyczną fantasmagorią wywołaną przez złośliwego czarownika.

Kiedy tak wpatrywał się w ów statyczny wizerunek, w pewnego rodzaju symbol niemożliwości, spośród chaosu panującego w jego głowie zaczęła wyłaniać się, jakkolwiek niejasno, myśl, że to nie Drzewią, nie przez Aleksandrę zabije się, ale przez coś ałębszego i bardziej trwałego, czego nie mógł określić; jak gdyby Aleksandra była jedynie fatamorganą, jednym z tych majaków, które przedłużają rozpaczliwą wędrówkę 430

przez pustynię, a których zniknięcie może skłonić do samobójczej śmierci, główną bowiem przyczyną rozpacz (a więc samobójstwa) nie jest fałszywa oaza, ale nieskończona pustynia.

W głowie miał wir, mętną i zawieszoną topiel, jakąś lepką mieszaninę osadów, tłuszczu i rozłożonych zwłok wraz z pięknymi fotografiami i resztkami ukochanych przedmiotów, jak podczas wielkiej powodzi. Ujrzał siebie przechadzającego się w letnie popołudnie nad brzegiem Riachuelo, samotnie i smutno „jak sierotka” (powiedział raz o nim sąsiad). Po śmierci babki przeniósł całą swą czułość na pieska Bonito, który biegł przed nim, poszczekując wesoło w pogoni za wróblem. „Jak dobrze być psem”, powiedział wówczas do pana Bachicha, a ten słuchał go zadumany, paląc nieodłączną fajkę. Nagle pośród zamętu myśli i uczuć przypomniał sobie wiersz, nie Dantego ani Homera, ale poety ulicznego, skromnego jak Bonito. „Gdzie był Bóg wtedy, kiedy ty odeszłaś?” — zapytywał ów nieszczęśnik. Istotnie, gdzie był Bóg, kiedy jego matka skakała przez sznur, żeby się go pozbyć? Gdzie był, kiedy Bonito został przejechany przez ciężarówkę? Biedne, najmniej w świecie znaczące stworzenie, zmiżdżone i zbroczone krwią, spoglądało umierając na niego, jakby go o coś pytało, ta drobna i niewinna istota zasługiwała chyba przynajmniej na spokojną śmierć w starości. Gdzie był Bóg, kiedy Aleksandra robiła te plugastwa? Raptem ujrzał także tę scenę ze zdjęcia w tygodniku, której nie mógł zapomnieć, zdjęcie to przechowywał Alvarez u siebie w domu i pokazywał mu je często z pewnego rodzaju masochizmem: wciąż i wciąż patrzył na siedmio- czy ośmioletniego malca skaczącego niezdarnie na swej jedynej nóżce podczas ucieczki przez Pireneje do Francji. Samotny, wśród zwałów śniegu i tłumy nieznanymi uchodźców, kuśtykał opierając się na zaimprovizowanej kuli, jakby koszarne bombardowanie Barcelony wciąż jeszcze trwało, i smutny, jakby w którąś piekielną noc nie tylko nogę tam zostawił, lecz powoli gubił strzępy swej zaleknionej, samotnej duszy podczas tej nieskończonej długiej przeprawy.

I nagle wstrząsnęła nim myśl.

Wyłoniła się z jego duszy jak błyskawica spomiędzy czarnych burzowych chmur. Jeżeli świat ma jakąś rację istnienia, jeżeli życie ludzkie posiada jakiś sens,

jeżeli istnieje Bóg, niechaj się objawi, tu, w tym brudnym hotelowym pokoiku. Czemu by nie? Dlaczego Bóg nie miałby usłuchać jego wyzwania? Jeżeli istnieje. Jest mocny, jest potężny. Mocni, potężni mogą sobie pozwolić na luksus pewnej ustepliwości. Dlaczegoż by nie? Komu przyniesie korzyść, jeśli się nie objawi? Jakiego rodzaju dumę może w ten sposób zadowolić? „Do świtu”, powiedział sobie Marcin z jakąś złośliwą przekorą; ściśle określony termin sprawił, że poczuł się nagle mocny i zadowolony z siebie, jak gdyby powiedział sobie: „A teraz zobaczymy”.

A jeśli się nie objawi, zabiję się.
Pełen nowej żywotności wstał podniecony i zaczął przemierzać pokój od ściany do ściany. Nerwowo gryząc paznokcie myślał rozpaczliwie jak lotnik w wirującym zawrotnie samolocie, który ma runąć w dół, lecz dzięki nadludzkiemu wysiłkowi pilota ląduje szczęśliwie na ziemi.

Nagle przystanął w napięciu, zdjęty nieokreślonym lękiem.

Czyżby to był lęk przed Bóstwem? Czy on, Marcin, istotnie wierzy w Boga? Czyżby jego głęboko ukryta wiara miała teraz wybuchnąć pod ciśnieniem, jak wybuchająca lava podczas geologicznego kataklizmu?

Zaiste, dziwny to lęk. Marcin stanął nagle jak wryty pośrodku pokoju. Czyż nie nadmierna to zachwłość żądać objawienia się Boga po to tylko, aby on, nic nie znaczący młodzik z Buenos Aires, znalazł usprawiedliwienie dla świata?

A jeżeli objawi mu się Bóg, jaki przybierze kształt, czym będzie? Czy jakąś nieskończoną, przerażającą obecnością, postacią, wielkim milczeniem, głosem czy też łagodną, kojącą pieśczęcią? A gdyby się objawił i on, Marcin, nie umiał go dostrzec? Zabiłby się wtedy przez pomyłkę i niepotrzebnie.

W pokoju była głęboka cisza, tylko z ulicy dochodziły szmery wielkiego miasta.

Marcin pomyślał z przestachem, że któryś z tych szmerów jest może sygnałem.

Miał wrażenie, jak gdyby zagubiony w ogromnym, wzburzonym tłumie pragnął rozpoznać twarz nieznanego, który niesie mu zbawczą wiadomość, a o którym nic nie wie ponad to jedno: że jest nosicielem wieści, która go może ocalić.

Drżący, rozgorączkowany usiadł na brzegu łóżka. Pomyślał: „Nie wiem, nic nie wiem, niechaj się objawi w jaki bądź sposób. W jaki bądź sposób. Jeżeli istnieje i chce mnie ocalić, będzie już wiedział, jak to zrobić, abym go zauważył”.

Ta ostatnia myśl nieco Marcina uspokoiła. Położył się. Nie na długo jednak. Po chwili, jeszcze bardziej wzburzony, zaczął na nowo przemierzać pokój od ściany do ściany, aż niespodzianie znalazł się na ulicy i szedł na los szczęścia, bezsilny jak rozbitek na dnie łodzi unoszonej przez wiatr i burzę.

Piętnaście godzin trwa już marsz do Jujuy. General jest chory, od trzech dni nie spał. Zgarbiony i milczący pozwala unosić się koniowi w oczekiwaniu na wiadomości, jakie ma przynieść adiutant Lacasa.

Wiadomości! Biedny general — powiadają oficerowie — trzeba nam strzec jego snu, pilnować, by się nie ocknął z zamroczenia.

I powraca Lacasa na spienionym koniu, i oznajmia to, o czym wszyscy już wiedzą.

Toteż nie zbliżają się, nie chcą, by general spostrzegł, że nikogo z nich ravori nie zdziwił. Z tkliwą ironią, z pełnym melancholii fatalizmem słuchają z odalenia czarnego raportu: wszyscy unitarianie uciekli do Jujuy.

Domingo Arenas, wojskowy dowódca miasta, słucha już rozkazów federalistów i czeka na Lavalle'a, by z nim skończyć.

„Uciekajcie do Boliwii wszystkimi możliwymi skrótami” — doradzają mieszkańcy.

Co uczyni Lavalle? Wiadomo: nigdy nie obróci się tyłem do niebezpieczeństwa. Nic na to nie poradzą, gotowi są więc towarzyszyć mu w tym ostatnim śmiertelnym szaleństwie. Pada rozkaz: „Maszerować do Jujuy”.

Wszyscy to widzą: wódz starzeje się, z godziny na godzinę, czuje, że śmierć się zbliża, i jak gdyby musiał odbyć w skróconym czasie całą tę wędrówkę, jest coś w spojrzeniu tego czterdziestoczterolpniogo człowieka, w pochyleniu jego ramion, w jego krańcowym znużeniu, co zapowiada śmierć.

Towarzysze spoglądają nań z odalenia i rozmyślają: ..Oto idzie na śmierć Cyd o błękitnych oczach, general Juan Galo de Lavalle, potomek Hernana Coriesa 433

i Don Pelaya, nazwany przez San Martina Pierwszą Szpadą Oswobodzicielskiej Armii. Ten człowiek, który nigdy się nie poddał, stoczył sto dwadzieścia pięć bitew o wolność kontynentu, a sięgając do rękojeści szpady kazał zamilknąć samemu Bolivarowi. Nigdy nie poddał się i teraz także się nie podda".

Damasita Boedo, dziewczyna jadąca konno u boku generała, z niepokojem wpatruje się w twarz ukochanego; czuje, że przebywa on w innym, dalekim świecie: „Pragnęłabym, abyś spoczął — myśli dziewczyna — żebyś złożył głowę na moim tonie, żebyś zasnął ukołysany w moich ramionach. Świat byłby bezsilny wobec ciebie, jak bezsilny jest wobec dziecka, co śpi na tonie matki. Jestem teraz twoją matką, generale. Spójrz na mnie, powiedz, że mnie kochasz, że potrzebna ci jest moja pomoc".

Ale generał Juan de Lavalle jedzie milcząc, pogrążony w zadumie, wie bowiem, że zbliża się śmierć. Wybiła godzina obrachunku, inwentaryzacji klęsk, przeglądu twarzy z przeszłości. Nie czas teraz na igraszki ani na przebywanie w zewnętrznym zwyczajnym świecie. Świat zewnętrzny przestaje już istnieć, jeszcze chwila, a będzie prześnionym snem. W umyśle generała pojawiają się twarze prawdziwe, te, co przetrwały w ukryciu, zamknięte na siedem kluczy w głębi jego duszy. I oto sercem napotyka zioiędłą, -pooraną zmarszczkami twarz, która, niegdyś piękna jak ogród, jest teraz wyschniętym ugorem. Widzi ją znowu, poznaje też altanę, gdzie spotykali się za młodu, kiedy rozczarowania, niedole i czas nie dokonały jeszcze dzieła zniszczenia. „Dolores", szepce z uśmiechem, który na jego martwej twarzy zabłysnął jak płomyk już prawie wygasły w popiele.

Damasita Boedo słyszy wypowiedziane szeptem imię i oczy jej wypełniają się łzami. Docierają właśnie do przedmieść Jujuy: widać już kopułę i wieże kościoła. Oto jest posiadłość Tapiales de Castañeda Zapada wieczór, Lavalle wydaje Pedernerze rozkaz: tu obozować. On sam, z nieliczną eskortą, uda się do Jujuy. Poszuka domu, gdzie mógłby spędzić noc; jest słaby, upada ze zmęczenia.

^Towarzysze spoglądają po sobie: cóż można uczynić? To wszystko jest szaleństwem. Tak czy inaczej czeka ich niechybna śmierć. "

Błąkał się bez celu, wchodził do kawiarenek w portowej dzielnicy, gdzie bywał ongi z Aleksandrą, a w miarę jak się upijał, świat zatracił kształt i spoi- stość; słyszał krzyki i śmiechy, w głowę wwiercało mu się przenikliwe światło, pieściły go umalowane kobie- ty, aż w końcu ogromne masy czerwonego, włóknistego ołowiu powaliły go na ziemię. Opierając się na zaim- prowizowanej kuli kuśtyka pośród pełnego nieczysto- ści odchodów i trupów bagniska, które lada chwila go pochłonie. Usiłuje wydostać się na suchy ląd i otwiera szeroko oczy, by móc poruszać się w pół- mroku w kierunku owej zagadkowej twarzy świecącej z daleka nad samą ziemią niczym jakiś piekielny księ- życ nad ohydny krajobrazem. Biegnie tam ze swoją kulą, ta twarz wzywa go, słyszy przecież, że go woła, śpieszy się więc, potyka, wstaje i widzi ją nagle nad sobą, tuż obok, odpychającą i tragiczną; odległość zmy- liła go widać, okazała się podstępą magiczną sztuczką, więc krzyczy i zrywa się gwałtownie z łóżka.

—• Uspokój się, dziecinko — rzekła kobieta przy- trzymując go rękami. — No cicho już, cicho.

Pedernera, który zdrzemnął się oparty o siodło, nagle zerwał się: wydaje mu się, że słyszy wystrzały z krocie. Nie jest to jednak pewne, być może przy- widziało mu się tylko. Na próżno starał się usnąć w tę fatalną noc, prześladowa go widmo śmierci i knoi.

Wstaje, idzie pomiędzy uspiionych towarzyszy i pod- chodzi do wartownika. Tak, wartownik również słyszał wystrzały. Pedernera budzi towarzyszy ze snu, prze- czuwa coś złego, uważa, że powinni osiodłać konie i czuwać w pogotowiu, co też czynią, kiedy galopem nadjeżdżają strzelcy z eskorty Lavallo'a i krzyczą: „General zabity!”

Usiłuje myśleć, lecz głowę ma pełną płynnego oło- wiu i śmieci.

— Już minęło, dziecinko — powiada kobieta.

Dziwne: z całej tej niezwyklej sytuacji Marcin za- pamiętał najlepiej słowo „dziecinko”.

Głowa go boli, jak gdyby uciskał ją sprężony gaz, niczym w kotle. Jak przez gęstą pajęczynę spostrzegł, że znajduje się w nieznanym pokoju: naprzeciw łóżka widać kolorowe zdjęcia Carlosa Gardela we fraku i Evity Peron, a pod nimi wazon z kwiatami.

Na czole czuje dotknięcie kobiecej ręki — próbuje chyba, czy ma gorączkę, jak przed laty jego babka.

Zaczyna rozróżniać szmer prymusa; kobieta odszedłszy od łóżka pompuje do prymusa powietrze i szmer staje się coraz głośniejszy. Słyszy także za plecami płacz niemowlęcia, ale nie może się odwrócić, brak mu sił. Sen klei mu powieki.

Po raz trzeci już się to powtarza: zbliża się do niego żebrak i szepce coś niezrozumiale, składa na ziemi worek, otwiera go i pokazuje zawartość, na którą Marcin nie ma odwagi spojrzeć.

Słowa jego są tak rozpaczliwie niezrozumiale jak słowa listu, o którym wiemy, że decyduje o naszym losie, ale nie można go odczytać, gdyż czas i wilgoć dokonały dzieła zniszczenia.

W sieni leżą zbroczone krwią zwłoki generała; kłęcząc tuli się doń z płaczem Damasita Boedo. Sierżant Sosa spogląda na ten obraz jak dziecko, co straciło matkę podczas trzęsienia ziemi.

Panuje ogólne zamieszanie. Nikt nic nie rozumie. Gdzie są federaliści? Dlaczego nie zginął nikt inny prócz generała? Dlaczego nie odcięto mu głowy?

„Nie wiedzą, kogo zabili tej nocy — powiada Frias. — Strzelali na ślepo”. „Oczywiście — myśli Pedernera. — Trzeba nam uciekać, zanim się dowiedzą”. Z energią wydaje szczegółowe polecenia: zwłoki generała owinięte w poncho kładą na jego koniu i cwałują z powrotem do Tapiales de Castaneda, gdzie czeka reszta Legionu.

Przemawia pułkownik Pedernera: „Oribe przysiągł wystawić na placu Zwycięstwa głowę generała nadzianą na ostrze piki. Nie dopuścimy do tego, towarzysze. W siedem dni możemy dotrzeć do Boliwii, tam złożymy szczątki naszego wodza na wieczny spoczynek”.

Dzieli więc swe siły: grupie strzelców poleca w ariergardzie osłaniać odwrót i podejmuje ostatni marsz na wygnanie.

Znowu usłyszał płacz niemowlęcia.

— Idę już, ide — uspokaja kobieta, podając Marcinowi herbatę. Poprawiła mu poduszkę i poszła do niemowlęcia nucać kołysankę.

Marcin odwrócił głowę z wysiłkiem: stała pochyłona nad czymś. co. jak później zauważył, było skrzynką.

— Spij, maleńki — uciszała szeptem maleństwo. 436

Nad skrzynką służącą za kołyskę wisiała kolorowa litografia: Chrystus z otwartą piersią wskazuje palcem na serce. Opodal, w innej skrzynce, stał prymus, a na nim rondelek.

— Spij — powtórzyła i nucila dalej ledwo dosłyszalnym głosem.

Zapadła cisza, schylona nad dzieckiem kobieta oczekiwała chwilę, dopóki nie usnęło na dobre. Po czym, starając się nie mącić ciszy, zwróciła się do Marcina.

— Ot i usnęło — rzekła z uśmiechem.

Nachyliła się nad Marcinem i położyła mu rękę na czole:

— Lepiej się pan czuje?

Dłoń jej była spierzchnięta od pracy.

Marcin skinął potakująco głową.

— Spał pan trzy godziny.

Marcin wracał z wolna do przytomności. Spojrzał na kobietę: praca, ubóstwo i troski (nieodłączne towarzyski ubóstwa) nie zdołały odjąć jej twarzy wyrazu macierzyńskiej słodyczy.

— Stracił pan przytomność. Powiedziałam im więc, żeby pana tu przynieśli.

Marcin zaczerwienił się, usiłując wstać z łóżka. Powstrzymała go.

— Poleżałby pan sobie. Nikt pana przecież nie goni. A we śnie mówiłeś coś, dziecinko — dorzuciła ze smutnym uśmiechem.

— Co mówiłem? — spytał Marcin zawstydzony.

— Dużo, ale niedobrze zrozumiałam — odparła nieśmiało. — Nie trzeba nigdy rozpaczać — dodała po chwili milczenia. W głosie jej zabrzmiała macierzyńska tkliwość.

Zauważyła chyba, że Marcin spojrzał na nią z wyrazem bolesnej ironii, i zapewne go zrozumiała.

— Bo i ja również... — rzekła z wahaniem. — Ale teraz przynajmniej mam pracę w pobliżu i mogę mieć dziecko przy sobie. Praca jest ciężka, trzeba przyznać. Ale mam ten pokoik i mogę być razem z małym. Jak widzę w zimie ludzi, co śpią w sieni albo gdzieś pod mostem, to myślę sobie, że Bóg był dla mnie aż nadto łaskawy. A zresztą — dorzuciła mieszając łyżką w rondelku — tak wiele jest radości w życiu...

Podniosła oczy i znowu spotkała się z ironicznym spojrzeniem Marcina. Jęła więc karcieć go łagodnie, 437

choć nieśmiało, jak to bywa, kiedy robimy uwagi komuś, kto nas przewyższa: była to raczej nieśmiała prośba niż upomnienie.

— Prawda, dziecinko? — ciągnęła niezrażona. — Jest po co żyć. Chociażby ja... mam syneczka — chętnie się — mam patefon i parę płyt Gardela... Zna pan piosenkę *Madreselva en flor!* albo *Caviinilo!* Nie ma nic piękniejszego nad muzykę.

Podniosła rozmarzone spojrzenie na kolorowe zdjęcie śpiewaka: odwieczny Gardel we fraku darzył ją olśniewającym uśmiechem.

— No i kwiaty, ptaszki, psy, bo ja wiem co jeszcze — wyliczała. — Szkoda tylko, że kot z kawiarni zjadł mi kanarka. Taki był z niego przyjemny towarzysz.

„O mężu nie wspomina — pomyślał Marcin. — Nie ma męża albo umarł, albo ktoś ją uwiódł”.

— Dobrze jest żyć... ■ — dowodziła z zapałem — widzisz, dziecinko, mam dwadzieścia pięć lat, a już mi żal, że kiedyś przyjdzie mi umrzeć.

Marcin spojrzał na kobietę, wyglądała na co najmniej czterdzieści lat. Przymknął oczy i zadumał się. Kobieta zaniepokojona położyła rękę na jego czole; obawiała się, że znowu zaniemógł. W dotknięciu stwardniałej dłoni Marcin wyczuł niezręczną, wstydliwą pieczęć.

— Już mi lepiej. Herbata dobrze mi zrobiła.

Kobieta ucieszyła się.

— Pójdę już — dokończył Marcin.

Podniósł się z łóżka. Był osłabiony i mdliło go.

— Niedobrze się pan czuje? — spytała zaniepokojona.

— Doskonale... Jak pani na imię?

— Hortensja Paz, do usług.

— A ja nazywam się Marcin del Castillo.

Zdjął z małego palca pierścioneł, podarek od babki z okazji pierwszej komunii.

— Podaruję pani ten pierścioneł.

Kobieta zarumieniła się. Nie chciała przyjąć.

— Powiedziała mi pani, że w życiu jest wiele radości. Jeżeli przyjmie pani tę pamiątkę, będzie to dla mnie wielka radość. Jedyna radość, jaką miałem w ostatnim czasie. Czy nie chce mi pani sprawić tej przyjemności?

Hortensja wciąż się wahała. Wiozyl jej więc pierścionek do ręki i wybiegi.

Świtało, kiedy wrócił do swego pokoju. Otworzył okno. Na wschodzie odcinał się już na szarym niebie wieżowiec Kavanagh.

Jak to powiedział Bruno? Ze wojna może być absurdalną omyłką, ale oddział, w którego skład wchodzimy, jest wartością absolutną. Jeżeli stoisz na straży, a towarzysze śpią, nie wolno ci odejść, musisz dzielić ich troski i nadzieje.

Zawsze znajdzie się ktoś taki, dla kogo nasze odejście będzie bolesne, stanie się jeszcze jednym niezasłużonym zmartwieniem, za które tylko my, a nikt inny jesteśmy odpowiedzialni. Jest na przykład D'Arcangelo. Albo ta Hortensja. A chociażby pies.

Jest mroźna noc. Księżyc rzuca zimne światło na wąwóz. Stu siedemdziesięciu pięciu ludzi biwakuje, łowiąc uchem szmery z południa. Rio Grandę, obojętny świadek bitew, ekspedycji i mordów, wije się i lśni jak rcię. Wojska Inków, karawany jeńców, kolumny hiszpańskich konkwistadorów, których krew płynie we mnie (myśli chorąży Celedonio Olmos), a którzy w czterysta lat później odżyją utajonym życiem we krwi Aleksandry (myśli Marcin). A później kawaleria patriotów odepchnie Hiszpanów na północ, Hiszpanie jednak wrócą i dotrą na południe, i ponownie odepchną ich patrioci. Lancą i króciwą, mieczem i szpadą będą kaleczyć się i mordować w bratobójczym szale. I zapadnie kamienne milczenie, tylko szum Rio Grandę zagłuszy z wolna krwawe, lecz jakże przemijające echa walk pomiędzy ludźmi. Dopóki znów nie zabrzmi w wąwozie śmiertelny wrzask, woda nie zabarwi się czerwienią i ludzie nie rzucą się do ucieczki, spaliwszy wprzód swoje domy i siola, by znowu powrócić kiedyś na ziemię, gdzie urodzili się i cierpieli.

Stu siedemdziesięciu pięciu ludzi biwakuje w kamienną noc. Ktoś trącił struny gitary i zanucił przytłumionym głosem:

*Biała gołąbeczko,
co latasz nad doliną,
powiedz wszystkim,*

goląbeczko,
że Lavallo zginął.

*Z brzaskiem dnia ponawiają odwrót na północ.
Chorąży Celedonio Olmos cwałuje teraz u boku
milczącego sierżanta Sosy. Chorąży całym dniami roz-
myśla. Dusza jego przywiedła w ostatnich miesiącach
jak delikatny kwiat pośród żywiołowej klęski. Zaczął
jednak rozumieć, jak niedorzeczna jest ta ostatnia rej-
terada.*

*Stu siedemdziesięciu pięciu ludzi pędzi siedem dni
galopem — dla jednego trupa.*

*„Przenigdy Oribe nie dostanie głowy” — powiedział
mu sierżant Sosa. Poprzez swoje zburzone wieże za-
czyna młody chorąży dostrzegać inną wieżę: jedną je-
dyną, lśniącą, niezniszczalną.*

Warto dla niej żyć i umierać.

W Buenos Aires rodził się nowy dzień, dzień jak
każdy inny w szeregu niezliczonych dni, od kiedy czło-
wiek jest człowiekiem.

Z okna ujrzał Marcin chłopaczka biegnącego co tchu
z porannymi gazetami. Może chce się rozgrzać, a może
praca ta wymaga ruchu. Bezdomny pies, niewiele róż-
niący się od Bonita, grzebie w kupie śmieci. Dziew-
czyna jak Hortensja idzie do pracy.

Przyszedł mu na myśl Bucich ze swą ciężarówką
z przyczepą. Przypomniała mu się dawna chęć zwie-
dzenia południa, otrzymania tam jakiejś pracy.

Włożył swe rzeczy do plecaka i zszedł po wydepta-
nych schodach.

VIII Mżył deszcz, noc była mroźna. Wściekle pod-
dmuchy wiatru unosiły papiery z ulic i zry-
wały ostatnie suche liście z огоłoconych drzew.

Naprzeciw garażu czyniono ostatnie przygotowania.
„Brezent — powiedział Bucich ze zgaszonym ogarkiem
w ustach — bo może lać”. Opierając łydkę o wóz, umo-
cowywali rzemienie. Przechodzący robotnicy pozdra-
wiali ich strojąc żarty, inni mijali ich bez słowa,
z opuszczonymi głowami. „Pociągnij do siebie, chłop-
cze” — rzekł Bucich. Potem weszli do baru; męż-
czyźni ze skórzanymi workami, w granatowych kom-
binezonach i wysokich butach rozmawiali hałaśliwie, 440

pili kawę i jałowcówkę, jedli ogromne kanapki i wymieniali zlecenia. Bucicha klepali mocno po plecach, w skórzaną wiatrówkę, wołając go poufale: „Ty stary kudłaczu”, co przyjmował z uśmiechem. A potem, kiedy już zjedli kielbasę i wypili czarną kawę, powiedział do Marcina: „A teraz jazda, szczeniaku”, i wyszli. Bucich włączył do kabiny, zapuścił motor, zapalił światła i w zimną deszczową noc wyruszyli przez most Avelaneda w długą podróż na południe. Minawszy ulice, które dla Marcina łączyły się z tak wieloma wspomnieniami, wydostali się z wolna przez Riachuelo i przez dzielnice fabryczne na otwartą trasę wiodącą na południowy wschód, po czym minęli skrzyżowanie drogi wiodącej z La Plata i wyjechali w kierunku zdecydowanie południowym na wspaniałą autostradę 3, kończącą się na krańcu świata, tam gdzie, jak Marcin sobie wyobrażał, wszystko jest białe i skute lodem, do omiatanej patagońskim wiatrem niegościnnej, lecz czystej krainy, która skłania się ku Antarktydzie. Przylądek Ostatniej Nadziei, Z a t o k a Niepotrzebna, Port Głodu, W y s p a Opu-szczona*. Marcin znał te nazwy od dzieciństwa, przez długie lata oglądał je na mapie, u siebie na fajatce, w godzinach smutku i samotności; nazwy te przywodziły na myśl dalekie i surowe, ale czyste, najczystsze obszary, nieskalane chyba jeszcze przez ludzi, a zwłaszcza przez kobiety.

Spytał kierowcę, czy dobrze zna Patagonię.

— Jasne — odrzekł Bucich, uśmiechając się z dobrośliwą ironią. — Byłem jednym z pierwszych. Mogę śmiało powiedzieć, że od kiedy przestałem raczkować, rozjeżdżam po Patagonii. Ojciec mój był marynarzem; na statku opowiadał mu ktoś o kopalniach złota na południu. Wsiadł więc w Buenos Aires na frachtowiec, co płynął do Puerto Madryn. Poznał się tam z jednym Anglikiem, który również szukał złota. Wyprawili się razem na to południe. Jak popadło: konno, wozem albo łodzią. Aż dojechali do jeziora Viedma, niedaleko Fisroy. Tam się urodziłem. Tam poznał ojciec moją matkę. Pochodziła z Chile. Nazywała się Albina Rojas.

Bucich zadumał się uśmiechając się do swych myśli,

¹ W oryg. Seno de la **Ultima Esperanza**, **Bahia Inutil**, **Puerto Hambre**, isla Desolación. (Przyp. red.)

nie przestał jednak uważnie obserwować szosy. Marcin spytał go, czy w Patagonii panują wielkie mrozy.

— Rozmaicie bywa. W zimie dochodzi czasem do trzydziestu poniżej zera, zwłaszcza w okolicy pomiędzy Lago Argentino a Rio Gallegos. Ale w lecie jest ciepło i pięknie.

I zaczął opowiadać o swym dzieciństwie, o polowaniach na pumy i na lisy, na lamy i na dziki. O ekspedycjach łodzią wraz z ojcem,

— Mój stary nigdy nie przestał marzyć o złocie. A chociaż pracował jako hodowca przy kilku owcach, kiedy tylko mógł, wyruszał na poszukiwania. W 1903 roku wybrali się we trójkę z jednym Duńczykiem i jednym Niemcem do Ziemi Ognistej. Byli pierwszymi białymi, którzy przekroczyli Rio Grandę. Wrócili potem na północ przez Przylądek Ostatniej Nadziei aż do jezior. Wciąż za tym złotem.

— No i znaleźli je w końcu?

— E, gdzie tam. Ot, gadanie.

— A z czego tam żyli?

— Z tego, co upolowali i złowili. Później ojciec zaczął pracować z tym Duńczykiem Masenem w komisji granicznej. Przebywając niedaleko Viedmy zapoznał się z jednym z pierwszych w tamtych stronach hodowców, Anglikiem, i ten mu tak powiedział: „Don Bucich, proszę mi wierzyć, hodowla ma przyszłość. Zamiast chodzić i szukać złota, zostań pan tutaj. Owce są złotem, ja wiem, co mówię”.

Bucich zamyślił się, gryząc wygasły niedopałek. Od czasu do czasu wymieniał pozdrowienia z szoferami ciężarówek jadących w przeciwnym kierunku.

— Znają tu ciebie — zauważył Marcin.

— Chłopcze, przecież już dziesięć lat minęło, od kiedy jeżdżę tą trasą. Trzy tysiące kilometrów od Buenos Aires do cieśniny — tłumaczył Bucich uśmiechając się z nie pozbawioną dumy skromnością. — A przedtem pracowałem jako robotnik w Santa Cruz. Byłem tam podczas wielkiego strajku w 21 roku. Ależ to była rzeź.

Tymczasem pogoda zmieniła się, deszcz ustał, zerwał się za to mocny wiatr „od środka” (jak powiedział Bucich) i chłód zaczął dawać się we znaki. Ale niebo było teraz przejrzyste. W miarę jak zdążali na południe, otwierał się przed nimi wspaniały krajobraz 442

pampy, a powietrze wydało się Marcinowi jakby szlachetniejsze. Poczul się użyteczny: pomagał przy zmianie opony, przyrządzał matę, niecił ogień. Zakończył się pierwszy dzień podróży.

W ciszy nocnej rozlega się tętent kopyt uchodzącej wciąż na północ kawalerii.

To ucieka Legion (resztki Legionu) ścigany przez oddziały Oriby. Na cisawym bojowym rumaku, zawinięte w poncho, spoczywają gnijące zwłoki generała.

Pozostało jeszcze trzydzieści pięć mil. Trzy dni nieprzerwanej gonitwy z cuchnącym trupem, z którego sączy się posoka, z kilkoma kryjącymi odwrót strzelcami w ariergardzie, których jest coraz mniej, jako że po drodze padają od lanc albo szabel. „Już tylko trzydzieści pięć mil zostało”, powiadają dla dodania sobie otuchy. Nie więcej jak cztery albo pięć dni gonitwy, jeśli Bóg pomoże.

— Nie lubię jadać w knajpie — powiedział Bucich zatrzymując wóz na skraju szosy.

Gwiazdy rozświetlały ciemną, chłodną noc.

— Taki mam system — ciągnął z dumą, uderzwszy parę razy dłonią o bok wozu, jakby to był jego ulubiony koń. — Na noc staję. Nocami jeżdżę tylko w upalne lato, dla ochłody. Ale to zawsze niebezpieczne: zmęczysz się, usniesz, i nieszczęście gotowe. Tak właśnie stało się niedaleko Azul z grubym Villanueva, tamtej wiosny. Mówiąc szczerze, nie o mnie samego chodzi, ale i o tamtego. Nadjedzie ci z przeciwka i koniec.

Marcin zaczął niecić ognisko, a kierowca nadział mięso na rożen.

— Smaczna będzie pieczeń, zobaczysz. Mój system, kupować bezpośrednio po ubiciu. Nigdy z chłodni, pamiętaj, chłopcze: mrożone mięso nie ma krwi. Gdybym ja rządził, to daję ci słowo, zabroniłbym sprzedaży mrożonego mięsa. Z niego, wierz mi, tyle chorób dzisiaj na świecie.

— Co powiadasz! Przecież w wielkim mieście chłodnia zapobiega psuciu się mięsa

Bucich wyjął z ust cygaro i wskazującym palcem zrobił przeczący gest.

— Kłamstwo, wszystko to interesy. Gdyby sprzedawali zaraz po ubiciu, nic by nie było. Trzeba kupować całkiem świeże. Takie jest najlepsze.

Poprawił mięso na rożnie, by nie przypaliło się na wietrze.

— Powiem ci szczerze — ciągnął z przekonaniem — że dawniej ludzie byli zdrowsi. Może nie wyglądali tak młodo, ale zdrowsi byli. Wiesz, ile lat ma mój ojciec?

Nie, tego Marcin nie wie. W świetle ogniska spogląda na Bucicha, który przykucnąwszy na piętach uśmiecha się pełen dumy.

— Osiemdziesiąt trzy. I czy uwierzysz mi? W życiu nie widział lekarza.

Usiadł na skrzynce przy ognisku, czekając w milczeniu, aż mięso się upiecze. Niebo jest czyste, panuje przenikliwy chłód. Marcin spogląda w ogień.

Pedernera każe stanąć i przemawia do towarzyszy: zwłoki psują się, cuchną nieźnośnie. Trzeba będzie oddzielić kości i głowę. Oribe jej nie dostanie.

Kto zechce to uczynić? A przede wszystkim kto zdoła to uczynić?

Podejmie się tego pułkownik Aleksander Danel.

Zdejmują więc trupa z konia i kładą go na brzegu potoku. Trzeba teraz rozciąć nożem odzież napiętą na obrzmiałym ciele. Danel przykłęka i dobywa z pochwy noża. Przygląda się chwilę zniekształconym zwłokom wozu. Przyglądają się mu także ustawieni w krąg osowiali żołnierze, po czym Danel zatapia nóż w miejscu, gdzie gnicie rozpoczęło już swoje dzieło. Strumień Huacalera unosi kawałki ciała, kości zostają spowite w poncho.

Dusza Lavalle'a spostrzegła lzy Danela i rozmyśla: „Cierpij przede mną, a powinieneś raczej troszczyć się o siebie i o towarzyszy, którzy pozostali żywi. Dla mnie nie warto już cierpieć. To, co się we mnie psuło, wrzuciłeś do rzeki, woda te szczątki uniesie, jakieś roślinie pomogą one rosnąć, a z czasem może przemienia się w kwiat, w aromat. Widzisz więc, że nie masz się czym smucić. Zresztą pozostaną ze mnie kości, jedyne, co w nas jest trwale i podobne do kamienia. Rad jestem także, że zachowacie moje serce; służyło rai wiernie w przeciwnościach losu. Także głowa, oczywiście, o której tamci mędrcy powiadają, że niewiele jest warta. Zapewne dlatego tak mówią, że nie chciałem sprzymierzać się z cudzoziemcami, albo dlatego, że ten długi odwrót wydawał im się głupi i bezcelowy. Mieli mi też za złe, że nie zdecydowałem się natrzeć na Bue-

nos Aires, kiedyśmy stali o krok od miasta. Nie zrozumieli owi intelektualisci, że w dniach, kiedy znów ■patrzyłem na pole, gdzie niegdyś kazałem rozstrzelać Dorrego, dręczyło mnie jego wspomnienie, zwłaszcza gdy słyszałem, jak ludzie na wsi śpiewają:

*Rozplakało się niebo,
Gdy zabili Dorrego...*

Zrozumiałem wtedy, że lud wiejski był po jego stronie, a nie po naszej.

Tak, towarzysze, to ci mędracy skłonili mnie do zbrodni, byłem bowiem miody i szczerze wierzyłem, że przysłużę się ojczyźnie, więc choć bolało mnie okrutnie, gdyż kochałem Manuela, podpisałem ów wyrok, przez który tyle krwi przelano w ciągu jedenastu lat. Śmierć jego, nieczym rak, zżerała mnie na wygnaniu i potem, podczas tej niedorzecznej kampanii. Ty, Danelu, który byłeś przy mnie w owej chwili, wiesz dobrze, jak trudno mi było to uczynić, jak podziwiałem inteligencję i odwagę Manuela. Wiesz również, że to oni, ci mędracy, podżegali mnie do zabójstwa podstępnyimi listami, które na domiar złego kazali mi natychmiast niszczyć. To oni. Nie ty, Danelu, ani ty, Acevedo, ani nikt spośród nas, którzy posiadamy tylko dzielne ramiona i mężne serca".

(Kości zawinięto już w poncho, które, niegdyś błękitne, teraz podobnie jak duch tych ludzi jest już tylko brudnym łachmanem, nie wiadomo co przedstawiającym; symbole uczuć i namiętności ludzkich — błękit i czerwień — przybierają w końcu nieśmiertelną barwę ziemi, która jest także barwą brudu, barwą starości i ostatecznego kresu wszystkich ludzi, niezależnie od ich idei. Serce złożono już do miseczki z wódką. A ludzie przechowali w swych wystrzępionych kieszeniach drobne pamiątki: kosteczkę, pukiel włosów).

„A ty, Aparicio Sosa, który nigdy nie usiłowałeś niczego zrozumieć, gdyż poprzestałeś na tym, że mi byłeś wierny, że ślepo wierzyłeś we wszystko, co ja mówiłem lub czyniłem, ty, co pilnowałeś mnie, kiedy byłem smarkatym, zuchwałym kadetem, ty, milczący dziobaty Murzynie, Aparicio Sosa, który ocaliłeś mi życie w Cancha Rayada, który niczego nie posiadasz prócz dzikiej, nieszczęsnej ojczyzny i prócz miłości do

biednego pokonanego generała: chciałbym, aby o tobie pomyśleli. Pragnąłbym..."

(Uchodźcy włożyli już zawiniątko z kośćmi do skórzanego worka generała, worek zaś umieścili na bojowym koniu. Wahają się jednak, co zrobić z sercem; Danel u>ręcza je w końcu sierżantowi Sosa, najbardziej dotkniętemu śmiercią wodza).

„Ofiarowuję je, towarzysze, sierżantowi Sosa... To tak, jakbym je oddawał ziemi, tej barbarzyńskiej ziemi, zbroczonej krwią tylu Argentyńczyków. Jakbym je złożył w wąwozie, którym dwadzieścia pięć lat temu wspinał się Belgrano ze swoimi śnioieżo upieczonymi żołnierzami, kiedy to on, świeżo upieczony generał, kruchy jak dziewczątka, obdarzony jedynie mocą ducha i zapalem, miał stawić czoło siłom zbrojnym Hiszpanii w toalce za ojczyznę, o której nie wiedział jeszcze dokładnie, czym była, o której dzisiaj jeszcze nie wierny, czym jest, gdzie są jej krańce, do kogo naprawdę należy: czy do tyrana B.osasa, czy do nas, czy do wszystkich, czy do nikogo. Tak, sierżancie Sosa: ty jesteś tą ziemią, tym amerykańskim pustkoniem, tą bezimienną rozpacza, co gnębi nas pośród chaosu, pośród tej bratobójczej walki”.

Pedernera każe dosiąść koni. Za ich plecami w ariergardzie rozlegają się wystrzały; zbyt wiele stracono! już czasu. Bzecz więc do toiuarzyszy: „Jeśli szczęście będzie na,m sprzyjało, dotrzemy za cztery dni do granicy”. Istotnie, trzydzieści pięć mil można pokonać 10 ciągu czterech dni rozpaczliwej gonitwy. „Jeśli Bóg pomoże”, dodaje.

Uchodźcy nkną w kurzawie pod bezlitosnym górskim słońcem, a za ich plecami towarzysze umierają za nich.

Usiedli na skrzyniach i pożywali się w milczeniu. Po kolacji Bucich przyrządził matę. Pociągając je spoglądał w wygwieżdżone niebo, wreszcie ośmielił się zdradzić Marcinowi swe ukrywane marzenie.

— Przyznam ci się, chłopcze, że miałbym ochotę być astronomem. Prawda, że to dziwne? — zapytał nie chcąc wydać się śmiesznym, chociaż poważna mina Marcina na nic takiego nie wskazywała.

— Nie, wcale się nie dziwię — odrzekł Marcin.

— Po nocach. kiedy jeżdżę, patrzę na gwiazdy i zastanawiam się, kto żyje na tych światach? Niemiec 446

Mainsa powiada, że żyją tam miliony ludzi i że każda z gwiazd jest wielka jak Ziemia.

Zapalił niedopałek, głęboko zaciągnął się dymem i umilkł.

— Mainsa — powtórzył po chwili nazwisko. — Mówił mi też, że Rosjanie posiadają groźne wynalazki. Siedzimy sobie tu spokojnie i jemy kolację, a oni puszcza jakiś promień i bądź zdrów. Promienie śmierci.

— Kto to jest Mainsa? — zapytał Marcin.

•— Mój szwagier. Mąż mojej siostry Violetty.

—• Skąd on wie o takich rzeczach?

Bucich pociągnął przez rurkę łyk matę.

— Od piętnastu lat jest telegrafistą w Bahia Blanca — wyjaśnił — a więc zna się doskonale na tych wszystkich tam aparatach i promieniach. Jest przecież Niemcem.

Po chwili milczenia Bucich podniósł się:

— Trzeba iść spać, chłopcze — ■ rzekł i wyciągnąwszy butelkę jałowcówki, pociągnął łyk.

— Dobrze, że choć tutaj nie lało — powiedział spojrzawszy na niebo. — Jutro musimy odwalić trzydzieści kilometrów polnej drogi. Co mówię: sześćdziesiąt. Trzydzieści tam i trzydzieści z powrotem.

— Po polnej drodze? — zdziwił się Marcin.

— Tak, musimy trochę zboczyć, chcę odwiedzić przyjaciela w estancji Garma. Zachorował mój chrześniak. Wiozę dla niego samochodzik.

Poszperał w kabinie i z pełnym dumy uśmiechem zaprezentował Marcinowi samochodzik. Nakręcił sprężynę i daremnie usiłował puścić zabawkę w ruch.

— Pewnie po wybojach nie polecą. Ale na drewnianej albo betonowej posadzce leci, że aż hej!

Schował pieczołowicie zabawkę, a Marcin spoglądał na niego trochę zdumiony.

*Resztkami sił cwałują do granicy, gdyż pułkownik Pedernera rozkazał: „Dzisiaj wieczorem musimy stanąć na boliwijskiej ziemi”. Za plecami słyszą strzały tylnej straży. Rozmyślają więc, jak wielu i których spośród towarzyszy, co kryją ich odwrót, dosięgła po-
9oń generała Oribe.*

O północy mijają granicę i zgłodnieli, zrozpaczeni,

■ wreszcie zwalić się na ziemię i spać.

kiedy następnego ranka pułkownik Pedernera

każe osiodłać konie i podjąć marsz do Potosi, ludzie siadają na koń, lecz nie ruszają z miejsca. Wszyscy (także pułkownik Pedernera) posyłają spojrzenie na południe. Stu siedemdziesięciu pięciu zadumanych mężczyzn i jedna kobieta patrzą na południe, w stronę ziemi znanej pod nazwą Zjednoczone Prowincje (Zjednoczone! j Południa, w stronę świata, gdzie się urodzili, gdzie pozostawili braci, żony i matki. Czy na zawsze?

Wszyscy spoglądają na południe. Także sierżant Sosa przyciska do piersi naczynie z sercem generała i śle spojrzenie na południe.

Także chorąży Celedonio Olmos, który wraz z ojcem i z bratem, co zginęli w Quebracho Herrado, zaciągnął się, mając lat siedemnaście, do Legionu, by walczyć dla idei, które pisze się wielkimi literami, ale których nazwy zatarły się z wolną, a wielkie litery, pradawne jaśniejące wieże, uległy niszczącemu działaniu lat i ludzi.

W końcu pułkownik Pedernera uznał, że nadeszła pora, i każe ruszyć. Ściągają cugle i puszczają się w cwał ku północy.

Jadą wzniecając kurzawę wśród kamiennego pustkowia i znikają, pył pośród pyłu.

Nic już nie pozostało w wąwozie z owych mizerynych resztek Legionu. Echa kawalkady przebrzmiały, ziemia, rozgrzebana kopytami powoli, lecz nieuchronnie wróciła na swe łono; ciało Lavallo'a rzeka uniosła na południe (by przemienić je w drzewo, w kwiat, w aromat?) Zostało jedynie mgliste, z dnia na dzień zacierające się wspomnienie Legionu-widma. „W księżycowe noce — opowiada pewien stary Indianin — widuję ich czasem. Naprzód słychać tętent kopyt i rżenie koni, potem na ognistym białym jak śnieg rumaku (tak wyobraża sobie Indianin generalskiego konia) zjawia się generał. Ma długą szpadę i wysoki grenadierski kask (nie wiedział biedny Indianin, że generał nosił brudny słomiany kapelusz i poncho, co zapomniało już, że było niegdyś błękitne. Nie posiadał już nieszczęśnik ani munduru, ani kasku. Był nędzarzem nad nędzaczami). — Jest to niby sen: jeszcze chwila, a przekroczy rzekę i zniknie w mroku nocy, w górach, na zachodzie...”

Bucich wskazał im miejsce do spania w przyczeniu, rozłożył materac, nastawił budzik, powiedział- „O pię-

tej wyruszamy", i odszedł parę kroków, aby sobie ulżyć; Marcin uważał za swoją powinność zrobić to samo obok przyjaciela.

Niebo było przezroczyste i twarde niby czarny diament. W blasku gwiazd równina rozpościerała się w nieskończoność. Ostry, gorący zapach moczu łączył się z zapachem pampy.

— Wielki jest nasz kraj... — powiedział Bucich.

Wówczas Marcin wpatrując się w potężną sylwetkę kierowcy na tle obsypanego gwiazdami nieba poczuł po raz pierwszy, jak przezysty spokój zaczyna wypełniać jego obolałą duszę.

— Idziemy spać, chłopcze — powiedział Bucich. — O piątej wyruszamy. Jutro przekroczymy Colorado.

KONIEC

POSŁOWIE

Za serię szczęśliwych dla literatury przypadków należy uznać fakty, że utalentowany matematyk i fizyk, autor rozprawy *On Alfven's Hypothesis of a Cosmic Cyclotron*, rezygnuje w roku 1945 — z przyczyn politycznych — ze stanowiska profesora fizyki teoretycznej na Uniwersytecie La Plata, że porzuca w dwa lata później — z przyczyn prywatnych — posadę w UNESCO, opuszcza Paryż i udaje się do Włoch, a po drodze, w Szwajcarii, kupuje walizkową maszynę do pisania, na stacji w Zurychu, czekając na połączenie do Mediolanu, rozkłada ją na stercie waliz — i rozpoczyna swoją pierwszą powieść: *Tunel*.

Odwracając jednakże całą sprawę, bo — jak powiada Fernando Vidal Olmos — przypadki nie istnieją, możemy to samo powiedzieć w inny sposób, zastępując słowo „przypadek” słowem „konieczność”. Kiedy bowiem zaczniemy grzebać się w biografii, odnajdziemy szereg faktów tłumaczących owe konieczności, np. pochodzenie włoskie i świadomość bycia Argentyńczykiem w pierwszym pokoleniu. Jest to czynnik niezmiernie istotny w tym łańcuchu przyczyn i skutków, jeżeli zważyć, że dzieciństwo przyszłego fizyka i pisarza upłynęło nie w kosmopolitycznej metropolii, a w małym miasteczku położonym wśród pampy, trzysta kilometrów na zachód od stolicy, gdzie antagonizm, a w każdym razie bariera między dziećmi *gringos* i dziećmi *criollos* była na tyle silna, że w dotykany sposób objawiała swoją obecność. Dostrzec tę barierę, dotknąć jej — to znaczy wyodrębnić to, co rozdzielała, by móc w przyszłości dokonać świadomej syntezy Argentyńczyka — Argentyńczyka z Buenos Aires — mieszaniny Hiszpana i Włocha, Irlandczyka, Niemca i Żyda, Anglika, Metysa z prowincji, z domieszką emigracji rosyjskiej, polskiej, chorwackiej, serbskiej, skandynawskiej, węgierskiej i Bóg wie jakich jeszcze nacji.

Ta bariera, to poczucie świeżej, niepełnej argentyńskości może nasunąć pytania: co to znaczy być Argentyńczykiem i co to jest Argentyna? Pytania, jakie ludzie i narody zadają sobie na pierwszym etapie swojego stania się albo w okresie wstrząsów, tak samo jak dopiero w okresie zachwiania wszelkich stabilnych dotąd wartości nabiera powszechnego sensu pytanie o ich szansę i znaczenie. Pytania tego typu — co to znaczy być Argentyńczykiem, Chilijczykiem, Meksykaninem? — zaczęła stawać przed sobą cała współczesna, znacząca literatura

iberoamerykańska, kiedy tylko rozpoczęła dialog ze światem, po rozerwaniu kokonów naśladownictwa i regionalizmu.

Nową barierę napotka dwunastoletni chłopiec, kiedy po skończeniu szkoły podstawowej w prowincjonalnym miasteczku — w geografii „realnej” nazywa się ono Rojas, w geografii powieściowej Capitán Olmos — zostanie wysłany dla kontynuowania nauki do uniwersyteckiego miasta La Plata. Bariere tę między nim a otoczeniem stanowić będą jego maniery i nieśmiałość prowincjusza, a ratunkiem w osamotnieniu okaże się ucieczka w świat matematycznych wzorów i pierwsze próby literackie.

Na uniwersytecie udział w politycznych ruchach studenckich, związki zarazem z anarchizmem i marksizmem, zetknięcie się z dogmatyczną wykładnią wzbudzą w nim brak zaufania do wszelkich ideologii w ogóle, nieufność, której konsekwencją będzie ucieczka najpierw w świat nauki, a później — w świat literatury. Potem, w Paryżu lat trzydziestych, nastąpi kontakt z surrealistami, przyjaźń z André Bretonem; kontakt, którego — w uproszczeniu mówiąc — owocem jest *Raport o ślepcach*; w uproszczeniu — mamy tu bowiem do czynienia ze sprzężeniem zwrotnym, gdyż, jak powiada Sábato: „*Raport*, a ściślej to z *Raportu*, co spoczywało w mojej podświadomości może jeszcze od czasów dzieciństwa, było przyczyną, która doprowadziła mnie do surrealizmu”.

Istotnym czynnikiem była tutaj wyjątkowa wrażliwość pisarza, jego poczucie współodpowiedzialności za człowieka i świat, które prowokują szereg pytań z dziedziny ontologii i etyki, a przede wszystkim owo „nawiedzenie przez demony”, koszmary, rola pisarza „przeklętego”, który pisze nie dla przyjemności, rozrywki, zysku ani sławy, ale wiedziony wewnętrznym nakazem rozwikłania zagadki bytu, rozdarcia zasłony tajemnicy spowijającej działania człowieka, rozświetlenia mroków jego psychiki.

Literatura, podobnie jak i myśl ludzka, od zarania dzieliła się na „jasną” i „ciemną”: obrazom rajū zawsze towarzyszyły sceny z podziemia, w krainie mlekiem i miodem płynącej rozlegała się skarga Hioba, triumfom Gilgamesza towarzyszyła ponura wizja „kraju bez powrotu”. Bohaterami literatury byli lord Jim i Gillaumet, ale także Stawrogin i Iwan Karamazow. Zło — powiada Sábato — jest esencją bytu ludzkiego, „esencją, bez której niemożliwe jest zrozumienie człowieka, Bóg nie wystarcza, po-

trzebny jest Demon... William Blake, który pod wieloma względami antycypuje Nietzschego, sądził, że człowiek może osiągnąć wymiar gigantyczny, kiedy zdoła połączyć swe niebo ze swoim piekłem”.

Pisarze dzielili się zawsze na biegłych w swej sztuce artystów, z każdym dziełem dążących do doskonałości, i na tych, którzy pisali, bo nie mieli innego wyjścia, bo tylko literatura pozwalała im podźwignąć ciężar egzystencji, znieść cierpienie własne i cierpienie świata. Hölderlin, Rimbaud, Lautréamont, Dostojewski, Strindberg, Kafka, Lowry, Genet... — szczupła jest lista męczenników literatury, do których należy autor *O bohaterach i grobach*.

Flaubert — powiada Sábato — miał pełne prawo twierdzić: *Madame Bovary c'est moi* (Pani Bovary to ja). Ale nie tylko Emma Bovary, ale również Homais, Rudolf i inne postacie powieści przedstawiają jakąś część autorskiego „ja”. Emanacją *ego* autora (tkwiących w nim pokładów zła — jak to gdzieś określił sam Sábato) w powieści *O bohaterach i grobach* jest Fernando Vidal, ale reprezentują go i Bruno, i Marcin, i Aleksandra, postacie wyłonione z głębi psychiki pisarza, poprzez które usiłuje on zrozumieć i określić siebie samego, to swoje najgłębsze, zaszyfrowane „ja”. Literatura zatem jawi się jako *katharsis*, jako rodzaj egzorcyzmów, magicznych zabiegów, w których postacie powieści dokonują czynów, na jakie autorowi zabrakłoby odwagi — jako wyzwolenie pisarza, ale wyzwolenie w służbie człowieczeństwa. W epoce szeroko dyskutowanego „kryzysu powieści”, „kryzysu literatury”, sztuki w ogóle, ich postępującej dehumanizacji — Sábato przywraca powieści jej najwyższą rangę. Każe jej pełnić rolę narzędzia wyjaśniania, interpretowania świata i człowieka, poszukiwania prawdy, dawania jej świadectwa.

W tej swojej funkcji badacza, świadka, interpretatora pisarz musi pozostawać wierny nie tylko swym przekonaniom, ale i obsesjom, niepokojom, lękom — temu wszystkiemu, co irracjonalne, co przeczute za ledwie, mgliste, niewypowiedziane, co można oddać tylko za pomocą obrazów, scen i symboli, których znaczenie pozostanie do końca nie wyjaśnione. Do przekazania tych przede wszystkim prawd, które nie dają się ująć w formuły słowne, służy powieść. Wyraża w niej pisarz to wszystko, czego nie zdołał, nie potrafił w licznych swoich esejach wypowiedzieć, ponieważ „powieść tworzy się i odbiera nie tylko

myślą, ale także odczuciem i intuicją”. Toteż indagowany wielokrotnie na temat *Raportu o ślepcach* Sábato oświadcza za każdym razem, że niczego już doń dodać ani niczego wyjaśnić nie potrafi. „To co czuję — powiada w wywiadzie dla kwartalnika «Sin Nombre» (vol. II nr 3) — i co myślę o egzystencji w ogóle i problemie Zła w szczególności, powiedziane jest w tej powieści w sposób złożony, którego nie mógłbym zredukować do czystych pomysłów (...) *Raport* jest już poza mną, jest sprawą, którą każdy może odbierać i interpretować w sposób, na jaki mu pozwala jego umysłowość (...) Nie wiem, kogo reprezentuje Sekta. Mówiono mi wszystko: noc, piekło, macica, podświadomość. Każda interpretacja jest inna, zgodnie z poglądami filozoficznymi osoby, która czyta ten fragment. Być może Sekta reprezentuje to wszystko. Rozmyślałem wiele za każdym razem, kiedy zaproponowano mi jakąś egzegezę, ale sam dotąd nie rozumiem, dlaczego właśnie ślepi”.

Pisarz — powiada Sábato — nie ma prawa emitować papierowych pieniędzy, musi posiadać w swoim skarbcu rezerwy złota. Pisarz, który rok po roku wypuszcza w świat nową książkę, który z łatwością podejmuje każdy dowolny temat, jest tylko zręcznym rzemieślnikiem. Łatwość pisania, malowania, komponowania melodii zabija Sztukę. Prawdziwy artysta, niewolnik Sztuki i Prawdy, tworzy przez całe życie jedno tylko dzieło, które uzupełnia i poprawia w kolejnych wariantach. Poszczególne powieści są „jak obozy, które rozbijają alpinści, kiedy przygotowują się do zdobycia wysokiego szczytu; trzeba przebywać jakiś czas w każdym z nich, zanim osiągnie się najwyższy”. Wierny tym poglądom autor *O bohaterach i grobach* pisze wiele, lecz publikuje mało. Pracuje zrywami, okresy gorączki twórczej przedzielają długotrwałe okresy depresji. Pisze, kiedy napięcie i ciśnienie nagromadzonych spraw zmuszają go do przelania ich na papier. *Tunel* (1948) dzieli od *O bohaterach i grobach* trzynaście lat. Tę z kolei od trzeciej powieści — *Abaddón, el Exterminador* — taki sam okres. Przez ten czas Sábato podejmował wiele prób powieściowych, zniszczył jednak wszystkie teksty, uważając je za nieudane. Podobny los zresztą — jak wyznaje — spotkałby i tę ostatnią książkę, gdyby nie interwencja przyjaciół pisarza.

Niespełna stustronicowy *Tunel* — nowela raczej niż powieść — to studium alienacji, pasji, namiętności, roz-

paczy i obłądu, które — zgodnie z tym, co powiadają niektórzy psychiatrzy — jest niczym innym, jak tylko kondensacją określonych cech i predyspozycji, występujących w mniejszym stężeniu w psychice każdego człowieka. Mroki podświadomości, zakamarki duszy ludzkiej są terenem dalszej penetracji w *O bohaterach i grobach*, ale w tej powieści-rzecz autor poszerza teren obserwacji o sprawy narodowe, włączając się tym samym do podejmowanych przez wielką literaturę latynoamerykańską prób samookreślenia.

Historia powieści w każdym kraju jest w pewnym sensie zarazem historią kolejnych modeli jego rzeczywistości społecznej, politycznej, psychologicznej. Nowe pokolenia pisarzy dobudowują swoje konstrukcje do modelu pozostawionego przez poprzedników, współtworząc powszechny model narodowy, w którym przeszłość wyjaśnia teraźniejszość. Niemal zupełny brak tradycji powieściowej w Ameryce Łacińskiej postawił pisarzy tego kontynentu przed koniecznością budowy modelu totalnego, który zawierałby możliwie całą przeszłość i całą teraźniejszość, który wyrażałby esencję, istotę i sens zdania „Jestem Latynoamerykaninem”. Stąd tak częste w tej literaturze dzieje rodów, dzieje poszczególnych ludzi zagłębiające się w najdalszą przeszłość. Stąd ci wszyscy Olmosowie, Bueñdiowie, Aizcoitiowie, Cruzowie i inni, którzy składają się na portret Latynoamerykanina.

Dla Argentyny, która nie odpowiedziała sobie jeszcze do końca na pytanie, na czym polega jej „argentyńskość”, historia zaczyna się od 1806 roku, od desantu Anglików w Buenos Aires, podówczas jeszcze stolicy wicekrólestwa La Platy — kolonii hiszpańskiej — zdarzenia, które obudziło w przodkach dzisiejszych Argentyńczyków poczucie świadomości narodowej. Ale istnieje jeszcze inna Argentyna — Argentyna imigrantów, dla których historia zaczyna się w momencie przybicia statku do portu i w których pamięci żywe są ciągle obrazy z „prehistorii”: niebo nad Neapolem, górzyste wioski Sycylii czy równiny środkowej i wschodniej Europy. Istnieje Argentyna, której symbolem jest „współczesny Babilon”, jak nazywa Buenos Aires Bruno, i Argentyna prowincjonalna, Argentyna wsi, miasteczek, estancji rozsianych po pampie. Toteż dopiero powieść, która — jak *O bohaterach i grobach* — łączy w sobie teraźniejszość i obecną w niej, dopowiadającą, wyjaśniającą ją historię, która przedstawia wielopłaszc-

czynową, totalną wizję rzeczywistości argentyńskiej, może pretendować do rangi modelu doskonałego.

Śmiem twierdzić, że w całej literaturze latynoamerykańskiej nie ma drugiego dzieła, które by w sposób tak niezrównany łączyło w sobie to, co uniwersalne, i to, co narodowe: niepokoje i lęki, uczucia, problemy dobra, zła, miłości, śmierci, nadziei — wspólne całemu gatunkowi ludzkiemu — z obrazem tego, co wyróżnia jej bohaterów w zbiorowisku innych narodów, z konkretnym wizerunkiem świata, w którym zostali usytuowani. Buenos Aires Ernesta Sabato jest tak realne, prawdziwe, poznawalne niemal fizycznie, jak miasta gigantów realizmu, jak Paryż Balzaca, jak Petersburg Dostojewskiego, jak — w innej poetyce — Dublin Joyce'a. W zestawieniu z realizmem i z wymiarem metafizycznym *O bohaterach i grobach* jakże kurczy się genialna igraszka umysłu — dzieło Borgesa, pisarza, którego wspomina się tu tylokrotnie i z którym polemizuje się na licznych stronicach powieści.

JERZY KŁJHN